

Colleen McCullough

PIEŚŃ O TROI

Tłumaczyła Justyna Grzegorzczak

*Mojemu bratu Carlowi,
który zginął 5 września 1965 roku
na Krecie, ratując z morza tonącą kobietą*

Śmierć nie znalazła w nim niczego, co nie byłoby piękne.

Homer, *Iliada* 22,73

ROZDZIAŁ PIERWSZY

OPOWIEŚĆ PRIAMA

Na całym świecie nie było miasta podobnego do Troi. Młody kapłan Kalchas posłany do egipskich Teb w czasie swojego nowicjatu, wrócił rozczarowany piramidami zbudowanymi na zachodnim brzegu Rzeki Życia. Troja, powiedział, jest bardziej imponująca, ponieważ wznosi się wysoko, a jej budynki są domem żywych, a nie zmarłych. Jednak, dodał, istnieje pewna łagodząca okoliczność: Egipcjanie mają gorszych bogów. Egipcjanie układają kamienie rękoma śmiertelników, podczas gdy potężne mury Troi zostały wzniesione przez samych bogów. Również płaski Babilon, powiedział Kalchas, nie może się z nią równać. Wysokość jego budowli ograniczają rzeczne bagna, a mury wyglądają jak dzieło dziecka.

Nikt z żywych nie pamięta już, kiedy zbudowano nasze mury, tak dawno to było, lecz ich historię zna każdy. Dardanos (syn króla bogów, Zeusa) wziął w posiadanie kwadratowy półwysep lądu na północy Azji Mniejszej, gdzie Euxinus wlewa swe wody do Morza Egejskiego przez wąski przesmyk Hellespontu. To nowe królestwo Dardanos podzielił na dwie części. Południową część dał swojemu drugiemu synowi, który nazwał to dominium Dardanią i stolicę ustanowił w mieście Lyrnessos. Część północna, choć mniejsza, jest o wiele, wiele bogatsza. Do niej należy straż nad Hellespontem i prawo do pobierania ceł od kupców, którzy wpływają bądź wypływają z Euxinusa. Ta część zwana jest Troadą. Jej stolica, Troja, mieści się na wzgórzu o tej samej nazwie.

Zeus kochał swego śmiertelnego syna. Zatem, kiedy Dardanos modlił się do boskiego ojca, aby obdarował Troję niezniszczalnymi murami, Zeus był rad, że może spełnić jego prośbę. Dwaj bogowie znajdowali się wtedy w niełasce: Posejdon, władca mórz, i Apollo,

władca światła. Nakazano im zejść do Troi i zbudować wały obronne wyższe, grubsze i mocniejsze niż jakiegokolwiek na świecie. Nie było to zadanie dla delikatnego i wybrednego Apolla, który wolał raczej grać na lirze, niż brudzić się i pocić. Wyjaśnił łatwowiernemu Posejdonowi, że gdy mury będą rosnać, on swą grą będzie pomagał mijać czasowi. I tak Posejdon kładł kamień na kamieniu, podczas gdy Apollo mu przygrywał.

Posejdon za swoją pracę miał dostać wynagrodzenie, sto talentów złota, każdego roku składane w jego świątyni w Lyrnessos. Król Dardanos przystał na to. Od niepamiętnych więc czasów rokrocznie płacono świątyni Posejdona w Lyrnessos sto talentów w złocie. Pewnego razu, właśnie wtedy, gdy mój ojciec, Laomedon, wstąpił na tron Troi, nastąpiło trzęsienie ziemi tak silne, że zawaliło pałac Minosa na Krecie i zdmuchnęło wyspiarskie imperium Thery. Runęła również zachodnia część naszych murów i ojciec najął greckiego inżyniera Ajakosa, by je odbudował.

Ajakos wykonał kawał dobrej roboty, choć nowe mury nie miały ani tej gładkości, ani piękna co reszta wielkiego, ręką boską wzniesionego obwarowania.

Ojciec ogłosił, że kontrakt z Posejdonem (przypuszczam, że Apollo nie zniżył się, by prosić o honorarium muzyka) został unieważniony. Okazało się bowiem, że mury nie były niezniszczalne. Dlatego też przestał płacić sto talentów w złocie świątyni Posejdona w Lyrnessos. Raz i na zawsze. Pozornie argument ten wydawał się silny, tylko że bogowie z pewnością wiedzieli to, co i ja, choć byłem dopiero chłopcem – król Laomedon był nieuleczalnym skąpcem. Nie miał najmniejszego zamiaru płacić tyle cennego, trojańskiego złota świątyni położonej w konkurencyjnym mieście, znajdującym się we władaniu rywalizującej dynastii swoich krewnych.

Jako się rzekło, złota nie wypłacano. I przez ten cały czas, kiedy z chłopca wyrastałem na mężczyznę, nic się nie zmieniało.

Nawet wtedy, gdy zjawił się lew, nikomu nie przyszło do głowy

łączyć jego pojawienia z obrażonymi bogami czy murami miasta.

Na południe od Troi, na zielonych równinach, mój ojciec miał stadninę koni. To był jego jedyny kaprys – choć nawet ta słabostka musiała przynosić mu zysk. Niedługo po tym, jak Grek Ajakos skończył odbudowywać zachodni mur, do Troi przybył człowiek z miejsca tak odległego, że nie wiedzieliśmy o nim nic prócz faktu, że jego góry podpierają niebo, a trawy są słodsze od innych. Przybysz przyniósł ze sobą dziesięć koni – trzy ogiery i siedem klaczy. Takich koni nigdy u nas nie widziano – duże, szybkie, wdzięczne, o długich grzywach i ogonach, pięknych pyskach, oswojone i posłuszne. Wspaniale nadawały się do ciągnięcia rydwanów! Już w chwili, gdy padł na nie wzrok króla, los ich opiekuna został przesądzony. Zginął w tajemniczych okolicznościach, a konie stały się własnością króla Laomedona. Postanowił wyhodować rasę tak niezwykłą, żeby kupcy z całego świata przybywali do niego po klacze i wałachy. Mój ojciec był zbyt sprytny, żeby sprzedawać ogiery.

Przez środek końskiego pastwiska biegł stary, złowróżbny trakt. Był on niegdyś używany przez lwy, które wiosną wędrowały na północ, z Azji Mniejszej do Scytii, a na zimę z powrotem do Karii i Licji, gdzie mogły wygrzewać swe płowe cielska na słońcu. W wyniku polowań lwy zostały całkowicie wybite – ich trakt stał się ścieżką do wodopoju.

Sześć lat temu do pałacu przybiegli bladzi z przerażenia chłopci. Nigdy nie zapomnę miny mojego ojca, kiedy mu powiedzieli, że na skutek ataku lwa trzy z jego najlepszych klaczy leżą martwe, a ogier został ciężko okaleczony. Laomedon nie był człowiekiem, który szukałby szybkiej, bezmyślnej zemsty. Opanowanym głosem nakazał, by następnej wiosny wzdłuż szlaku rozłożył się oddział straży, którego zadaniem miało być zgładzenie bestii.

To nie był zwykły lew! Każdej wiosny i jesieni podchodził ukradkiem, tak że nikt go nie widział. Zabijał o wiele więcej zwierząt, niż domagał się jego żołądek. Zabijał dla czystej przyjemności. Dwa

lata od jego pojawienia się straż pałacowa przyłapała go na tym, jak zaatakował ogiera. Zbliźali się do niego, tłukąc mieczami o tarcze. Chcieli zagonić go do narożnika, by móc użyć dzid. On jednak wydał wojowniczy ryk, skierował się prosto na nich i przemknął między ich szeregami niczym lawina po zboczu wzgórza. Królewskie zwierzę, zanim odeszło swoją drogą, zabiło siedmiu spośród rozproszonych wojowników, samo nie odnosząc szwanku.

Z tej katastrofy wypłynęła jedna dobra rzecz. Pewien człowiek, poharatany pazurami, przeżył i poszedł do kapłanów. Powiedział Kalchasowi, że bestia miała na sobie znak Posejdona. Na jego płowym boku znajdował się czarny, trójzębny harpun. Kalchas natychmiast poradził się wyroczni, a następnie ogłosił, że lew należy do Posejdona. „Biada trojańskiej ręce, która go ugodzi!”, wołał Kalchas. „Lew jest karą zesłaną na Troję za cofnięcie Władcy Mórz corocznego wynagrodzenia. Nie odejdzie, póki cała suma nie zostanie spłacona”.

Z początku mój ojciec ignorował Kalchasa i wyrocznię. Jesienią znowu nakazał straży wyjść i zabić zwierzę. Nie wziął jednak pod uwagę strachu, jaki prości ludzie odczuwają przed bogami. Nie chcieli iść, mimo że król zagroził strażnikom śmiercią. Wściekły, ale pokonany, poinformował Kalchasa, że odmawia przekazania trojańskiego złota do Lyrnessos w Dardanii. Niechaj kapłani lepiej wymyślą coś innego. Kalchas ponownie udał się do wyroczni, która jednoznacznie obwieściła, że istnieje alternatywa. Posejdona usatysfakcjonuje, jeśli co wiosnę i co jesień wybierzemy losowo sześć dziewczic i zakute w łańcuchy zostawimy lwu na pożarcie. Usatysfakcjonuje go to, oczywiście, tylko na jakiś czas.

Naturalnie król wolał dać bogu dziewczęta zamiast złota. Nowe zarządzenie weszło w życie. Problem polegał na tym, że król nigdy tak naprawdę nie ufał opinii kapłanów, nie dlatego, że był bluźniercą – dawał bogom to, co uznawał, że im się należy – ale dlatego, że nie lubił się narażać na straty materialne. Zatem co

wiosnę i jesień wszystkie piętnastoletnie dziewice zakrywano od stóp do głów białymi całunami, aby nie można ich było rozpoznać, i prowadzono na dziedziniec Posejdon Budowniczego Murów, gdzie kapłani spośród tych anonimowych, białych zawiniątek wybierali sześć na ofiarę.

Układ funkcjonował. Dwa razy do roku przybywał lew i zabijał stłoczone, zakute w kajdany dziewczęta, a konie pozostawiał w spokoju. Dla króla Laomedona była to niewielka cena w zamian za ocalenie swojej dumy i ochronę własnych interesów.

Cztery dni temu wybrano kolejne sześć jesiennych ofiar. Pięć z nich to dziewczęta z miasta; szósta jest z cytadeli, wysokiego pałacu. Najukochańsze dziecko mojego ojca, jego córka Hezjone. Kiedy Kalchas przyszedł, aby przekazać mu wiadomość, król nie uwierzył.

– Chcesz mi powiedzieć, że byłeś takim idiotą, że nie zaznaczyłeś w żaden sposób jej całunu? – zapytał. – Moja córka potraktowana tak jak cała reszta?

– Taka jest wola boga – powiedział spokojnie Kalchas.

– Nie jest wolą boga, aby moja córka została wybrana! Jego wolą jest, aby otrzymać sześć dziewczic, nic innego! Zatem wybierz inną ofiarę, Kalchasie.

– Nie mogę, wielki królu.

W tym względzie Kalchas był nieugięty. Boska ręka kierowała wyborem, a to znaczyło, że właśnie Hezjone, a nie żadna inna dziewczyna spełniała warunki ofiary.

Choć nikt z dworu nie był obecny przy tej nerwowej i gniewnej rozmowie, jednak plotka o niej wyslizgnęła się z cytadeli i rozeszła po całym mieście, wzdłuż i wszerz, i z góry na dół. Przychylni dworzanie, jak na przykład Antenor, głośno potępiali kapłana, podczas gdy liczne dzieci króla – ze mną, jego następcą, włącznie –

uważały, że ojciec powinien się wreszcie poddać i zapłacić Posejdonowi coroczne sto talentów w złocie.

Następnego dnia król zwołał naradę. Oczywiście uczestniczyłem w niej – następca tronu jest zobowiązany przysłuchiwać się, gdy król wydaje sądy.

Nie wyglądał na zaniepokojonego czy zmartwionego. Król Laomedon, drobny mężczyzna, którego młodość dawno już przeminęła, nosił długie, siwe włosy. Ubrany był jak zwykle w długą złotą szatę. Głos, który z siebie wydobywał, nigdy nie przestawał nas zdumiewać, tak był głęboki, szlachetny, melodyjny i silny.

– Moja córka, Hezjone – powiedział do zgromadzonych szeregów synów oraz bliskich i dalekich kuzynów – wyraziła zgodę, by pójść na ofiarę. Tego żąda od niej bóg.

Może Antenor odgadł, co chciał powiedzieć król, ale ja nie, podobnie jak moi młodszy bracia.

– Mój panie! – zawołałem, zanim zdołałem się opanować. – Nie wolno ci! Kiedy są trudne czasy, król może zgodzić się na ofiarę dla swego ludu, ale dziewicze córki należą do bogini Artemidy, a nie do Posejdona!

Nie obchodziło go to, że jego najstarszy syn łaje go na oczach dworzan. Zacisnął gniewnie wargi, a jego pierś wzniosła się.

– Moja córka została wybrana, Priamie! Wybrana przez Posejdona!

– Posejdon byłby szczęśliwszy – powiedziałem przez zęby – gdyby mu zapłacono sto talentów w złocie i złożono w jego świątyni w Lyrnessos.

W tej chwili dostrzegłem sarkastyczny wzrok Antenora. Uwielbiał słuchać, jak król i jego następca robili z siebie durniów!

– Odmawiam płacić dobrym, ciężko zarobionym złotem bogu, który zbudował zachodni mur nie dość mocny, by mógł przetrwać

choćby jedno z jego własnych trzęsień ziemi! – powiedział król Laomedon.

– Nie wolno ci posyłać Hezjone na śmierć, ojcze!

– Nie ja ją posyłam na śmierć! Posejdon to robi!

Kapłan Kalchas poruszył się, a potem zamarł.

– Śmiertelnik taki jak ty – powiedziałem – nie powinien winić bogów za własne niepowodzenia.

– Czyżbyś twierdził, że spotykają mnie niepowodzenia?!

– Wszystkim śmiertelnikom się one zdarzają – odparłem. – Nawet królom Troi.

– Zabieraj się, Priamie! Wynoś się z tej sali! Kto wie? Może w przyszłym roku Posejdon na ofiarę zażąda następcy tronu!

Antenor ciągle się uśmiechał. Odwróciłem się i wyszedłem, aby znaleźć pociechę na wietrze.

Chłodne, wilgotne powietrze z dalekiego szczytu Idy powoli studziło mój gniew. Szedłem po wybrukowanym tarasie przed salą tronową, ku schodom – dwustu schodom – prowadzącym w górę, na szczyt cytadeli. Tam, wysoko ponad równiną, oparłem dłonie o kamienie położone przez człowieka. Cytadeli nie zbudowali bowiem bogowie, lecz Dardanos. Poczułem, jak coś we mnie wnika z tych starannie wyciętych kości Matki Ziemi. Poczułem moc, jaką posiada król. Ile jeszcze lat musi minąć, zastanawiałem się, nim otrzymam złotą tiarę i zasiadę na tronie z kości słoniowej, który był tronem Troi? Mężczyźni z domu Dardanosa byli długowieczni, a Laomedon nie miał jeszcze siedemdziesiątki.

Przez dłuższą chwilę obserwowałem mężczyzn i kobiety bez ładu krzątających się po mieście, a potem spojrzałem dalej przed siebie, na zielone równiny, gdzie cenne konie Laomedona wyciągały swe długie szyje, skubiąc trawę. Ten widok jednak tylko spotęgował mój ból. Spojrzałem więc na zachód, na wyspę Tenedos i plamę dymu

znad ognisk rozpalonych w małej portowej wiosce Sigios. Za nią, na północy, niebieskie wody Hellespontu kpiły sobie z błękitu nieba. Widziałem długi, szarawy łuk plaży, znajdującej się między ujściami Skamandra i Simois, dwóch rzek, które nawadniały Troadę i karmiły plony, pszenicę i jęczmień, falujące na nieustannie szemrzącym wietrze.

W końcu wiatr przepędził mnie od parapetu na wielki dziedziniec, który znajdował się między wejściami do pałaców. Tam poczekałem, aż chłopak stajenny przyprowadzi mój rydwan.

– Do miasta! – rzuciłem woźnicy. – Niech konie cię prowadzą!

Główna droga schodziła z cytadeli w dół, by wpaść w zakręt ulicy, która biegła wzdłuż murów obronnych miasta. Murów zbudowanych przez Posejdona. Na połączeniu dwóch ulic stała jedna z trzech bram prowadzących do Troi, Brama Skajska. Nie mogłem sobie przypomnieć, by kiedykolwiek ją zamykano. Ludzie mówili, że zdarzało się to tylko w czasie wojny. Obecnie nie było na świecie państwa dość silnego, które by się zaangażowało w wojnę z Troją.

Brama Skajska była wysoka na dwadzieścia łokci i zrobiona z potężnych kłód spiętych sztabami i kłamrami z brązu, zbyt ciężka, by obracać się na największych zawiasach, jakie potrafił wykuć człowiek. Otwierała się na zasadzie, którą, jak powiadano, wymyślił Łucznik Apollo, kiedy leżał na słońcu, obserwując trud Posejdona. Dół jedynego skrzydła bramy opierał się na wielkim okrągłym otoczaku umieszczonym w głębokim rowie. Za kamień zarzucono masywne łańcuchy z brązu. Jeśli trzeba było zamknąć bramę, do tych łańcuchów zaprzęgano trzydzieści wołów, które ciągnęły skrzydło, zamykając je kawałek po kawałku, aż gład osiadał na końcu rowu.

Kiedyś, gdy byłem małym chłopcem, bardzo chciałem zobaczyć to widowisko i błagałem ojca, by zaprzęgnął woły. Roześmiał się i odmówił. Dzisiaj, choć mam czterdzieści lat, dziesięć żon

i pięćdziesiąt konkubin, nadal tęsknię za tym, by zobaczyć zamknięcie Bramy Skajskiej.

Mury nad bramą łączyło sklepienie łukowe, dzięki czemu dróżka, która prowadziła górą, mogła biec nieprzerwanie dookoła całego miasta. Plac Skajski, znajdujący się wewnątrz, leżał w wiecznym cieniu wspaniałych, wzniesionych przez boga obwarowań. Górowały one nade mną na trzydzieści łokci – gładkie, lśniące i błyszczące w jasnym słońcu.

Skinałem na woźnicę, aby ruszył dalej. Nim jednak zdążył potrząsnąć lejcami, zmieniłem zdanie i powstrzymałem go. Przez bramę weszła na plac grupa mężczyzn. Grecy. To było widać po ich strojach i sposobie zachowania. Nosili skórzane spódniczki albo obcisłe, długie do kolan skórzane spodnie. Niektórzy byli nadzy do pasa, a inni mieli paradne, wytłaczane bluzy ze skóry, rozpięte, aby było widać szeroką pierś. Ich ubrania były ozdobne, pokryte złotymi wzorami albo frędzlami z farbowanej skóry. W talii ciasno opinały ich szerokie pasy ze złota i brązu, nabijane ćwiekami z lapis-lazuli. Z uszu zwisały paciorki z polerowanego kryształu, a na szyi nosili wielkie obroże inkrustowane klejnotami. Ich długie włosy spływały luźno w ufryzowanych lokach.

Grecy byli w ogóle wyżsi i przystojniejsi od Trojan. Ci Grecy jednak byli wyżsi, przystojniejsi i lepiej zbudowani od wszystkich mężczyzn, jakich dotąd widziałem. Bogactwo ich szat i broni świadczyło, że nie należeli do zwykłych maruderów, choć mieli oszczepy i długie miecze.

Na czoło wysunął się człowiek, który zdecydowanie się wyróżniał – olbrzym przewyższający pozostałych towarzyszy. Musiał mierzyć z sześć łokci. A jego barki wyglądały niczym góry. Masywną dolną szczękę okalała smoliście czarna, przyszczyżona w łopatę broda. Czarne włosy, choć przycięte krótko, wiły się dziko i niesfornie nad czołem, które wystawało nad oczodołami niczym nawis skalny. Jego ubranie stanowiło jedynie olbrzymie futro lwa przewieszane przez

lewe ramię, lwia głowa niczym kaptur tkwiła na jego plecach, a z jej przerażających szczęk sterczały potężne kły.

Odwrócił się i dostrzegł, że go obserwuje. Nie mając wyjścia, spojrzałem więc w jego szerokie nieruchome oczy – oczy, które widziały wszystko, zniosły wszystko, przeżyły wszelaką degradację, jaką tylko bogowie mogli zesłać człowiekowi. Oczy, w których błyszczała inteligencja. Poczułem się jakby przyparty do ściany domu, który był za mną. Mój duch stał się nagim kościotrupem, a umysł został wchłonięty przez jego umysł.

Zebrałem jednak w sobie malejącą odwagę i wyprostowałem się dumnie. Do mnie należał przecież wielki tytuł, mój był zdobiony złotem rydwan, moja – para białych koni piękniejszych niż wszystkie, które dotąd widział. Moje było też to miasto, najpotężniejsze na świecie.

Ruszył przez zbiegowisko i przekroczył rynek, jakby w ogóle nie istniał. Podszedł prosto do mnie z dwoma towarzyszami po bokach, potem wyciągnął rękę wielkości szynki, aby łagodnie pogłaskać czarne pyski moich białych koni.

– Jesteś z pałacu czy może z domu króla? – zapytał głosem niezwykle głębokim, choć pozbawionym władczości.

– Jestem Podarkes, zwany Priamem, syn i następca Laomedona, króla Troi – odparłem.

– Jestem Herakles – powiedział.

Patrzyłem na niego z otwartymi ustami. Herakles! Herakles był w Troi! Obliziałem wargi.

– Panie, to dla nas zaszczyt. Czy zechciałbyś gościć w domu mojego ojca?

Jego uśmiech był zdumiewająco słodki.

– Dziękuję ci, książę Priamie. Czy twoje zaproszenie dotyczy wszystkich moich ludzi? Pochodzą ze szlachejnych greckich domów,

nie przyniosą wstydu twojemu domowi ani mnie.

– Oczywiście, panie.

Skinął do tyłu na dwóch ludzi, by wyszli z jego cienia.

– Czy wolno mi przedstawić moich przyjaciół? To jest Tezeusz, arcykról Attyki, a to Telamon, syn Ajakosa, króla Salaminy.

Przełknąłem ślinę. Cały świat znał Heraklesa i Tezeusza. Bardowie nieustannie śpiewali pieśni o ich wyczynach. Ajakos, ojciec młodego Telamona, odbudował nasz zachodni mur. Ile jeszcze sławnych imion było pośród tej grupy Greków?

Taka moc znajdowała się w tym jednym słowie Herakles, że nawet mój skąpy ojciec był na tyle poruszony, że postanowił sprawić sławnemu Grekowi królewskie powitanie. Tej nocy zatem zaplanowano ucztę w Sali Wielkiej, z nieograniczoną ilością jedzenia i wina, podanego na złotej zastawie. Rozrywki mieli dostarczać harfiarze, tancerki i klauni. Podobnie jak mój ojciec byłem pod wrażeniem – wszyscy bowiem Grecy z grupy Heraklesa sprawowali na swojej ziemi urząd króla. Dlaczego, zastanawiałem się, zadowalali się podążaniem za tym mężczyzną, który nie rościł sobie prawa do żadnego tronu? Który czyścił stajnie? Który był dręczony, bity i kąsany przez wszystkie zwierzęta, począwszy od komara, a skończywszy na lwie?

Siedziałem przy wysokim stole z Heraklesem po lewej i młodym Telamonem po prawej stronie. Mój ojciec siedział między Heraklesem a Tezeuszem. Chociaż bliskość ofiarnej śmierci Hezjone kładła się cieniem na naszej gościnności, jednak skrywaliśmy to tak dobrze, że jak sądziłem, greccy goście niczego nie zauważyli. Rozmowa płynęła gładko, ponieważ tam, gdzie znaleźli się tacy kulturalni mężowie jak my, właściwie wykształceni we wszystkim, od pamięciowej arytmetyki po poezję, zawsze oddawano się wspomnieniom bohaterskich czynów. Tylko, co kryło się we wnętrzu tych Greków?

Między Grecją a Azją Mniejszą, z Troją włącznie, nie było ożywionych kontaktów. My, mieszkańcy Azji Mniejszej, z zasady nie interesowaliśmy się Grekami. Był to znany lud, pochodzący z daleka, sławny ze swej nieuleczalnej ciekawości, i tyle wiedzieliśmy. Lecz ci mężczyźni musieli być niezwykli nawet wśród swych pobratymców, ponieważ Grecy, wybierając królów, kierowali się innymi powodami niż więzy krwi.

Mój ojciec w szczególności nie dbał o Greków. Podpisał traktaty z różnymi królestwami Azji Mniejszej, pozwalając większości z nich na handel między Euxinusem a Morzem Egejskim. Oznaczało to, że poważnie zmniejszył liczbę greckich statków handlowych, przepływających przez Hellespont. Ani Myzja, ani Lidia, ani Doria, ani Karia, Licja, Cylicja nie chciały prowadzić handlu z Grekami, a to z prostego powodu: Grecy zawsze jakoś ich wywodzili w pole, pojawiając się z lepszymi interesami. Mój ojciec wykonywał swoją część, nie pozwalając greckim kupcom wpływać na czarne wody Euxinusa. Wszystkie szmaragdy, szafiry, rubiny, złoto i srebro z Kolchis i Scytii wędrowały do narodów Azji Mniejszej. Nowi kupcy greccy, którym ojciec wydawał pozwolenia, musieli ograniczyć handel do przywożenia cyny i miedzi ze Scytii.

Jednakże Herakles i jego towarzysze byli zbyt dobrze wychowani, by rozmawiać na takie drażliwe tematy, jak handlowe embargo mojego ojca. Ograniczyli konwersację do pełnych podziwu uwag na temat wysoko obwarowanego miasta, rozmiaru cytadeli i piękna naszych kobiet – choć to ostatnie mogli ocenić, jedynie obserwując niewolnice, które chodziły między stołami, podawały gulasz, roznosiły chleb i mięso oraz nalewały wina.

Z kobiet rozmowa w sposób naturalny przeniosła się na konie. Czekałem, aż Herakles podejmie ten temat, ponieważ widziałem w jego mądrych, czarnych oczach podziw dla moich białych rumaków.

– Konie, które dzisiaj ciągnęły rydwan twojego syna, panie, były

naprawdę wspaniałe – powiedział w końcu Herakles. – Nawet Tesalia nie może się pochwalić taką rasą. Czy sprzedajesz je także?

Na twarzy mojego ojca pojawiła się chciwość.

– Tak, są wspaniałe i są na sprzedaż. Obawiam się jednak, że cena wydałaby ci się zniechęcająca. Za dobrą klacz żądam i dostaję tysiąc złotych talentów.

Herakles ze smutkiem wzruszył swoimi potężnymi ramionami.

– Być może stać mnie byłoby na tę cenę, panie, ale są ważniejsze rzeczy, które muszę kupić. To, czego żądasz, to królewski okup.

Nie wspomniał więcej o koniach.

Kiedy nadciągnął wieczór i światło zaczęło słabnąć, ojciec pogrążył się w milczeniu, przypominając sobie, że rankiem jego córka zostanie poprowadzona na śmierć. Herakles położył swą dłoń na ramieniu mojego ojca.

– Królu Laomedonie, co cię trapi?

– Nic, mój panie, zupełnie nic.

Herakles uśmiechnął się tym szczególnie słodkim uśmiechem.

– Wielki królu, potrafię poznać spojrzenie, które niesie troskę. Powiedz mi!

I tak potoczyła się opowieść, choć oczywiście ojciec ukazał siebie w lepszym świetle, niż wskazywały na to fakty. Opowiedział, jak nachodził go lew należący do Posejdona, w związku z czym kapłani nakazali ofiarę z sześciu dziewczic każdej wiosny i jesieni, a tej jesieni wybór padł na jego ukochaną córkę Hezjone.

Herakles popatrzył z namysłem.

– Co dokładnie powiedzieli kapłani? Że żadnemu Trojaninowi nie wolno podnieść ręki na zwierzę?

Oczy króla zabłysły.

– Właśnie, Trojaninowi, mój panie.

– Zatem twoi kapłani nie będą mieć nic przeciwko temu, jeśli grecka ręka spadnie na bestię, czyż nie tak?

– Logiczny wniosek, Heraklesie.

Herakles zerknął na Tezeusza.

– Zabiłem wiele lwów – powiedział – włącznie z tym z Nemei, którego skórę noszę.

Mój ojciec wybuchnął płaczem.

– Och, Heraklesie, zdejmij z nas to przekleństwo! Jeśli ci się uda, będziemy mieli u ciebie potężny dług. Nie mówię tylko w swoim imieniu, ale w imieniu mojego ludu. Doznali straty trzydziestu sześciu córek.

Poczułem przyjemny dreszczyk oczekiwania. Czekałem. Herakles nie był głupcem, nie oferowałby zgładzenia zesłanego przez boga lwa, gdyby nie spodziewał się dla siebie jakiejś korzyści.

– Królu Laomedonie – powiedział Grek na tyle głośno, że wszystkie głowy zwróciły się ku niemu – chciałbym zawrzeć z tobą umowę. Zabiję lwa w zamian za parę twoich koni, jednego ogiera i jedną klacz.

Co miał począć ojciec? Pięknie zapędzony w kozi róg publiczną naturą tej propozycji, nie miał wyboru, jak tylko zgodzić się na tę cenę, inaczej plotka o jego bezdusznym skąpstwie rozniosłaby się po całym dworze – wśród jego dalekich i bliskich krewnych. Zatem skinął głową na zgodę, słabo udając radość.

– Jeśli ci się uda zabić lwa, Heraklesie, dam ci to, czego żądasz.

– Niech tak będzie.

Przez chwilę Herakles siedział nieruchomo, z szeroko otwartymi

oczami, choć z niewidzącym wzrokiem; nie ruszał powiekami ani nie widział, co się wokół niego działo. Potem westchnął, zamrugał oczami i spojrzał, lecz nie na króla, tylko na Tezeusza.

– Pójdziemy jutro, Tezeuszu. Mój ojciec mówi, że lew przyjdzie w południe.

Nawet pozostali Grecy, siedzący z nim przy stole, zdawali się być pod wrażeniem.

Delikatne nadgarstki, obciążone złotymi łańcuchami, kostki w złotych kajdanach, ciała odziane w najpiękniejsze szaty, włosy świeżo u fryzowane, umalowane oczy. Sześć dziewcząt czekało na kapłanów, którzy mieli wejść na dziedziniec przed świątynią Posejdon Budowniczego Murów. Pośród nich była moja przyrodnia siostra, Hezjone, spokojna i zrezygnowana, choć lekko opuszczone kąci delikatnych ust zdradzały wewnętrzny lęk. Powietrze było przepelnione zawodzeniem i płaczem rodziców i krewnych, brzękiem ciężkich kajdan, przyśpieszonymi oddechami sześciu młodych, przerażonych dziewcząt. Pocałowałem Hezjone i zaraz odszedłem. Nic nie wiedziała o próbie, którą Herakles miał podjąć, by ją uratować.

Nie powiedziałem jej o tym dlatego, że już wtedy przeczuwałem, iż tak łatwo nie pozbedziemy się klątwy – i jeśli Herakles zabije lwa, Posejdon Władca Mórz zastąpi ją czymś jeszcze gorszym. Moje wątpliwości uleciały, gdy pośpiesznie precisnąłem się przez dziedziniec świątyni ku małym drzwiom na tyłach cytadeli. Tam Herakles zebrał swoją grupę. Do pomocy w polowaniu wybrał jedynie dwóch wojowników: doświadczonego Tezeusza i gołowąsa Telamona. Na chwilę przystanął, by przemówić do jednego z członków swej gromady, Lapita, króla Pirithoos. Podśluchałem, jak powiedział mu, by w południe zebrał resztę wojowników w Bramie Skajskiej i tam czekał. Będzie im potem spieszno odejść, co doskonale rozumiałem. Grecy wybierali się do ziemi Amazonek, aby przed zimą wykraść pas ich królowej, Hippolity.

Po wspaniałym transie, którego świadkami byliśmy poprzedniego wieczoru, nikt nie wątpił w stwierdzenie Heraklesa, że lew dziś się pojawi. Gdyby rzeczywiście tak się stało, to jak dotąd byłoby to jego najwcześniejsze przejście. Herakles jednak wiedział. Był synem Pana Wszystkiego, Zeusa.

Miałem czterech rodzonych braci, wszyscy byli ode mnie młodszy: Tironos, Klytios, Lampos i Hiketaon. Towarzyszyliśmy Heraklesowi z eskortą mojego ojca i przybyliśmy na umówione miejsce do stadniny koni, zanim jeszcze kapłani pojawili się z dziewczętami. Herakles przemierzył okolicę we wszystkich kierunkach, chcąc poznać teren. Potem wrócił do nas i wraz z Telamonem, dzierżącym długi łuk, i Tezeuszem, trzymającym dzidę, zajął pozycję do ataku. Jego bronią była olbrzymia maczuga.

Wspięliśmy się na szczyt pagórka, który znajdował się po nawietrznej, skąd mieliśmy dobry widok. Ojciec został na szlaku i czekał na kapłanów, jak robił to zwykle pierwszego dnia ofiary. Biedne, młode istoty musiały nieraz czekać wiele dni w swych złotych łańcuchach, śpiąc na gołej ziemi. I tylko kilku młodych, bardzo przerażonych kapłanów przynosiło im jedzenie.

Słońce było już wysoko, kiedy w zasięgu wzroku pojawiła się procesja ze świątyni Posejdon Budowniczego Murów. Kapłani popychali przed sobą płaczące dziewczęta i śpiewali rytualne pieśni, uderzając pałeczkami w małe bębenki. Przyczepili łańcuchy do klamer znajdujących się w ziemi w cieniu wiązu i odeszli z pośpiechem, na jaki pozwalała im godność. Równie szybko mój ojciec wdrapał się do naszej kryjówki, znajdującej się w wysokiej trawie.

Jakiś czas obserwowałem drogę leniwie, nie spodziewając się, że zobaczę cokolwiek przed nastaniem południa. Nagle młody Telamon wyrwał się z ukrycia i pobiegł szybko do miejsca, gdzie tłoczyły się dziewczęta. Zabrzęczały łańcuchy. Usłyszałem, jak ojciec mruczy coś na temat zuchwałości Greka. Chłopak objął moją przyrodną siostrę

i przytulił ją do swej nagiej opalanej piersi. Hezjone była pięknym dzieckiem i przyciągała uwagę większości mężczyzn. Cóż to jednak było za szaleństwo, żeby biec do niej, gdy w każdej chwili mógł się pojawić lew! Zastanawiałem się, czy Telamon działał za pozwoleniem Heraklesa.

Ręce Hezjone desperacko objęły jego ramiona. Pochylił się i wyszeptał jej coś do ucha, a potem pocałował ją długo i namiętnie, jak nie wolno było żadnemu mężczyźnie w jej krótkim życiu. Potem otarł jej łzy wierzchem dłoni i pobiegł beztrąsko z powrotem do miejsca, w którym umieścił go Herakles. Usłyszałem głośny śmiech trzech Greków. Zadrzałem z gniewu. Ofiara była święta! A oni pozwalali sobie na śmiech! Kiedy jednak spojrzałem na Hezjone, zauważyłem, że zniknął z jej twarzy cały strach. Stała dumna, wyprostowana, z błyszczącymi oczami, co było widać nawet z oddali.

Wesołość Greków trwała do późnego przedpołudnia. Potem w jednej chwili ucichli. Słyszeliśmy jedynie szum niespokojnego trojańskiego wiatru, który nigdy nie ustawał.

Jakaś ręka dotknęła mojego ramienia. Myśląc, że to lew, podskoczyłem z walącym w piersi sercem. To jednak był tylko Tissanes, sługa pałacowy, który dla mnie pracował. Nachyliłem się, zbliżając ucho do jego warg.

– Księżna Hekabe pragnie cię widzieć, panie. Służące twierdzą, że jej życie wisi na włosku.

Dlaczego kobiety zawsze muszą wybierać zły moment? Dałem znak Tissanesowi, aby usiadł i był cicho. Sam odwróciłem się, by obserwować ścieżkę ginącą za szczytem małego wzniesienia. Ptaki przestały śpiewać i nawoływać się, wiatr ustał. Zadrzałem.

Lew wspiał się na wzniesienie i ruszył ścieżką w dół. Było to największe zwierzę, jakie kiedykolwiek widziałem. Miał jasną, płową sierść i ciężką czarną grzywę, a na końcu ogona czarny pędzel. Na jego prawym boku widniał znak Posejdona – trójzębny harpun.

W połowie drogi do miejsca, gdzie znajdował się Herakles, zwierzę zatrzymało się w pół kroku, z jedną łapą zawieszoną nad ziemią. Uniosło wysoko swą olbrzymią głowę, tłukąc ogonem i nadymając nozdrza. Potem zobaczyło swoje ofiary, zastygłe z przerażenia, i przeważała perspektywa zabawy. Podwijając ogon i naprężając mięśnie, pobiegł naprzód, stopniowo nabierając szybkości. Jedna z dziewcząt krzyknęła, wysoko i chrapliwie. Moja siostra warknęła coś do niej i tamta zamilkła.

Nagle z trawy wynurzył się Herakles, olbrzym w lwiej skórze, trzymając luźno swoją maczugę w prawej dłoni. Lew się zatrzymał i odsłonił poźółkłe kły. Herakles potrząsnął maczugą i wrzasnął wyzywająco. Lew sprężył się i skoczył. Jednak Herakles skoczył również, unikając straszliwego ciosu pazurów. Uderzył w czarno owłosiony brzuch lwa z siłą, która wybiła go z równowagi. Lew przysiadł na tylnych łapach, z jedną łapą w górze, chcąc powalić mężczyznę. Powtórnie spadła maczuga. Dał się słyszeć głośny trzask, gdy broń spotkała się z grzywiastą czaszką. Łapa zawahała się, mężczyzna odskoczył na bok. Uniósł znowu maczugę i ponownie nią uderzył. Drugi odgłos uderzenia zdawał się cichszy od pierwszego, ponieważ głowa była już rozłupana. Żadnej walki! Lew leżał rozciągnięty na ścieżce, jego czarna grzywa parowała od potoku ciepłej krwi.

Tezeusz i Telamon zaczęli tańczyć z radości, a Herakles wyciągnął nóż i podciął bestii gardło. Ojciec i bracia ruszyli w dół do rozradowanych Greków. Mój sługa Tissanes wyślizgnął się ich śladem, a ja odwróciłem się, by pospieszyć do domu. Hekabe, moja żona, rodziła, a jej życiu zagrażało niebezpieczeństwo.

Kobiety niewiele znaczyły. Śmierć podczas porodu była częsta wśród dostojnie urodzonych. Miałem dziewięć innych żon i pięćdziesiąt konkubin oraz ze sto dzieci. A jednak kochałem Hekabe, jak nie kochałem żadnej innej. Ona miała być moją królową, kiedy wstąpię na tron. Jej dziecko się nie liczyło. Ale co

poczną, gdy ona umrze? Tak, Hekabe była ważna, gdyż pochodziła z Dardanii i przyprowadziła z sobą do Troi swego brata Antenora. Kiedy dotarłem do pałacu, okazało się, że Hekabe jeszcze nie urodziła. Ponieważ żaden mężczyzna nie może być obecny przy kobiecych tajemnicach, resztę dnia spędziłem, zajmując się swoimi sprawami, to znaczy zadaniami, których nie chciał załatwić król.

Wieczorem zacząłem się niepokoić, ponieważ ojciec nie skontaktował się ze mną. W potężnym kompleksie pałacowym na szczycie wzgórza Troi nie rozbrzmiewała też żadna radosna wrzawa. Nie docierał do mnie żaden głos, grecki ani trojański. Panowała zupełna cisza. Dziwne.

– Wasza Wysokość! Wasza Wysokość!

Mój sługa Tissanes stał cały w kurzu, z oczami wytrzeszczonymi z przerażenia, trzęsąc się w sposób niekontrolowany.

– Co się stało? – spytałem, przypominając sobie, że zostałem na lwim szlaku, by obserwować resztę zdarzeń.

Upadł na kolana, złapał mnie za kostki.

– Wasza Wysokość, nie śmiałem się ruszyć aż do tego czasu! A potem uciekłem! Nie rozmawiałem z nikim, przybiegłem prosto do ciebie!

– Wstawaj, człowieku! Wstawaj i mów!

– Wasza Wysokość, król, twój ojciec, nie żyje! Twój bracia nie żyją! Wszyscy nie żyją!

Spłynął na mnie ogromny spokój. Król, nareszcie.

– Grecy także?

– Nie, panie! To Grecy ich zabili!

– Mów powoli, Tissanesie, opowiedz mi, co się stało.

– Człowiek imieniem Herakles był zadowolony ze swego

polowania. Śmiał się i śpiewał, kiedy obdzierał lwa ze skóry, podczas gdy pozostali, Tezeusz i Telamon, podeszli do dziewcząt i zaczęli uwalniać je z łańcuchów. Kiedy skóra lwa została rozciągnięta na słońcu, żeby wyschła, Herakles poprosił króla, aby towarzyszył mu do stajni. Chciał, jak powiedział, od razu wybrać ogiera i klacz, ponieważ śpieszy mu się z wyjazdem.

Tissanes przestał mówić, oblizując wargi.

– Dalej.

– Król bardzo się rozgniewał, Wasza Wysokość. Wyparł się, że cokolwiek obiecał Heraklesowi. Lew był igraszka, powiedział. Herakles zabił go dla zabawy. Nawet wtedy, gdy Herakles i dwaj wojownicy rozgniewali się tak samo jak król, on nie ustąpił.

Ojcze, ojcze! Oszukać boga, choćby takiego jak Posejdon, to jedna rzecz – bogowie są powolni i rozważni w swoim odwecie. Ale Herakles i Tezeusz nie są bogami. To herosi, a herosi są o wiele groźniejsi i szybsi.

– Tezeusz był zuchwały, Wasza Wysokość. Splunął pod nogi króla i nazwał go kłamliwym starym złodziejem. Książę Titonos wyciągnął miecz, ale Herakles stanął między nimi i zwrócił się do króla. Poprosił go, aby skapitulował i dał mu umówioną zapłatę w postaci ogiera i klaczy. Król odpowiedział, że nie zamierza się pozbywać swojego majątku dla grupki zwykłych greckich najemników. Wtedy zauważył, że Telamon stoi, obejmując ramieniem księżniczkę Hezjone. Podeszedł do nich i uderzył Telamona w twarz. Księżniczka zaczęła płakać – więc król także i ją uderzył. Reszta jest straszna, Wasza Wysokość.

Mój sługa drżącą ręką otarł pot z twarzy.

– Czyń swoją powinność, Tissanesie. Powiedz, co widziałeś.

– Herakles wydawał się urosnąć do rozmiarów żubra, Wasza Wysokość. Podniósł swoją maczugę i powalił króla na ziemię. Książę

Titonos próbował pchnąć Tezeusza i nadział się na jego dzidę, którą ten ciągle trzymał przed sobą. Telamon chwycił swój łuk i przeszył strzałą księcia Lamposa, wtedy Herakles podniósł księcia Klytiosa i księcia Hiketaona z ziemi i rozduśił im głowy o siebie niczym jagody.

– A gdzie ty byłeś przez cały ten czas, Tissanesie?

– Ukryty – odpowiedział, zwiesiwszy głowę.

– Jesteś niewolnikiem, a nie wojownikiem. Kontynuuj...

– Grecy zdawali się odzyskiwać zmysły. Herakles chwycił skórę lwa i powiedział, że nie ma czasu, by szukać teraz koni, i że natychmiast muszą odejść. Tezeusz wskazał na księżniczkę Hezjone i powiedział, że w takim razie niech ona będzie ich nagrodą. Mogą dać ją Telamonowi, ponieważ bardzo mu się spodobała, a honor Greka zostanie uratowany. I natychmiast odeszli do Bramy Skajskiej.

– Czy opuścili nasze wybrzeże?

– Pytałem po drodze, panie. Strażnik powiedział, że było wczesne popołudnie, kiedy pojawił się Herakles. Tezeusza ani Telamona, ani księżniczki Hezjone nie widział. Wszyscy Grecy wyruszyli drogą do Sigios, gdzie znajdował się ich statek.

– A co z pozostałymi pięcioma dziewczętami?

Tissanes znowu zwiesił głowę.

– Nie wiem, Wasza Wysokość, myślałem tylko o tym, żeby dotrzeć do ciebie.

– Bzdury! Ukrywałeś się do zmierzchu, ponieważ się bałeś. Znajdź rządcę w pałacu mego ojca i powiedz mu, by poszukał dziewcząt. Trzeba także sprowadzić ciała mego ojca i braci. Powiedz rządcy wszystko, co mi powiedziałeś. I dopilnuj w moim imieniu, by wszystko wykonano. Odejdź teraz, Tissanesie.

Herakles prosił jedynie o dwa konie! Dwa konie! Czyż nie ma lekarstwa na chciwość? Odrobiny rozsądku, która nakazałaby hojność? Gdyby Herakles tylko poczekał! Mógłby zwrócić się do sądu po sprawiedliwość – wszyscy słyszeliśmy, jak ojciec złożył obietnicę. Herakles otrzymałby swoją zapłatę.

Zamiast tego zwyciężył gniew i chciwość. A ja zostałem królem Troi.

Zapomniawszy o Hekabe, poszedłem do Sali Wielkiej i uderzyłem w gong, wzywając dwór na naradę.

Nie mogąc się doczekać wieści na temat spotkania z lwem, niespokojni, z racji późnej godziny – przybyli niezwłocznie. Nie był to odpowiedni moment, by zasiadać na tronie. Stałem więc z jednej jego strony i spoglądałem z góry na morze zaciekawionych twarzy; twarzy należących do moich przyrodnych braci, kuzynów wszelakiego stopnia oraz dostojnie urodzonych nie spokrewnionych z nami, a jedynie spowinowaconych przez małżeństwa. Stał tam także mój szwagier Antenor o czujnym wzroku. Skinąłem, by podszedł bliżej, a potem zastukałem w podłogę laską z czerwoną chorągiewką.

– Panowie Troi, lew Posejdona nie żyje, zabity przez Greka Heraklesa – obwieściłem.

Antenor spoglądał na mnie z ukosa. Jako mieszkaniec Dardanii, nie był przyjacielem Troi, jednak był bratem Hekabe, zatem ze względu na nią tolerowałem go.

– W tym właśnie momencie opuściłem polowanie, ale został tam mój sługa. Niedawno wrócił do domu, by mi oznajmić, że trzech Grecy zabili króla oraz moich rodzonych braci. Napastnicy odpłynęli zbyt dawno, aby ich ścigać. Siłą zabrali z sobą księżniczkę Hezjone.

Wobec wrzawy, która potem nastąpiła, niemożliwe było kontynuowanie przemowy. Nabrałem powietrza, zastanawiając się, co mogę im powiedzieć, nie narażając dobrego imienia króla. Nie

mogę nawet wspomnieć o złamaniu uroczystej obietnicy przez króla Laomedona. On nie żył, a pamięć po nim powinna być królewska, niezmacona tak marnym końcem. Lepiej powiedzieć, że Grecy zaplanowali tę zniewagę od początku w odwecie za jego politykę nie dopuszczającą greckich kupców do Morza Czarnego.

Byłem królem. Troja i Troada należały do mnie. Byłem strażnikiem Hellespontu i właścicielem Euxinusa.

Kiedy powtórnie uderzyłem laską w podłogę, hałas natychmiast ucichł. Co za różnica, być królem!

– Ślubuję, że aż do śmierci nie zapomnę, co Grecy uczynili Troi – powiedziałem. – Co roku, tego dnia będziemy obchodzić żałobę, a kapłani będą śpiewać o grzechach greckich najemników w całym mieście. Nie ustane w poszukiwaniach właściwych sposobów zmuszenia Greków, by pożałowali tego uczynku! Antenorze, mianuję cię moim kanclerzem. Przygotuj publiczną proklamację: odtąd żaden grecki okręt nie będzie mógł przepłynąć przez Hellespont na Morze Czarne. Miedź można uzyskać w innych miejscach, ale cyna pochodzi jedynie ze Scytii. A miedź i cyna razem tworzą brąz! Żaden naród nie przetrwa bez brązu. W przyszłości Grecy będą musieli kupować go za wygórowaną cenę od narodów Azji Mniejszej, jako że one będą posiadały monopol na cynę. Wszystkie narody Grecji szczęzną!

Podnieśli ogłuszające wiwaty. Tylko Antenor zmarszczył brwi; tak, jego będe musiał wziąć na bok i powiedzieć mu prawdę. Tymczasem wręczyłem mu laskę i pośpieszyłem z powrotem do pałacu, gdzie, jak sobie nagle przypomniałem, Hekabe leżała na łożu śmierci.

Na szczycie schodów czekała na mnie służąca z twarzą całą we łzach.

– Czy ona nie żyje, kobieto?

Stara uśmiechnęła się przez łzy bezzębnymi ustami.

– Nie, nie! Oplakuję twojego drogiego ojca, panie. Wieści o nim już i tu dotarły. Królowa jest bezpieczna, a ty masz zdrowego, pięknego syna.

Hekabe została już przeniesiona do swojego łóżka, gdzie spoczywała blada i zmęczona, z zawiniątkiem w zagięciu prawej ręki. Nikt nie przekazał jej złych wieści, a i ja nie chciałem tego robić do czasu, gdy będzie silniejsza. Pochyliłem się, aby ją ucałować, a potem, gdy jej palce rozchyliły pieluszki, spojrzałem na niemowlę. Ten czwarty syn, którego mi dała, leżał spokojnie i cicho, nie wiercił się ani nie marszczył twarzy, jak to zwykle robią noworodki. Był wyjątkowo piękny, miał gładką cerę koloru kości słoniowej, a nie czerwoną, pomarszczoną. Czarne kręcone włosy pokrywały jego czaszkę. Miał długie czarne rzęsy. Czarne brwi pięknie wyginały się nad oczami tak ciemnymi, że nie potrafiłem odgadnąć ich koloru, brązowe czy niebieskie.

Hekabe połaskotała go pod jego ślicznym podbródkiem.

– Jak go nazwiesz, mój panie?

– Parys – odparłem bez wahania.

Wzdrygnęła się.

– Parys? Poślubiony śmierci? To złowieszczę imię, mój panie. Dlaczego nie Aleksander, jak zaplanowaliśmy?

– Będzie miał na imię Parys – odparłem, odwracając się. Wkrótce dowie się, że to dziecko było poślubione śmierci już w dniu swych urodzin.

Zostawiłem ją wzniesioną na poduszkach, z zawiniątkiem kołyszającym się słabo między jej nabrzmiałymi piersiami.

– Parysie! Mój mały mężczyzno! Jesteś taki piękny! Och, ileż to serc złamiesz! Wszystkie kobiety będą cię kochać. Parysie, Parysie, Parysie...

ROZDZIAŁ DRUGI

OPOWIEŚĆ PELEUSA

Kiedy moje nowe królestwo Tesalia zostało uporządkowane i mogłem już zaufać tym, których zostawiłem w Jolkos, że właściwie załatwią moje sprawy, udałem się na wyspę Skyros. Zmęczony tęskniłem za towarzystwem przyjaciela, a jak dotąd nie miałem w Jolkos nikogo, kto mógłby się równać z królem Likomedesem ze Skyros. Miał szczęście: nigdy nie wygnano go z królestwa ojca, jak mnie; ani nie musiał walczyć zębami i pazurami, aby wydzierać dla siebie inne królestwo, jak ja; ani jak ja iść na wojnę, by go bronić. Jego przodkowie rządzili tą skalistą wyspą od początku świata, bogów i ludzi, a on wstąpił na tron po swoim ojcu, który zmarł we własnym łóżu, otoczony synami i córkami, żonami i nałożnicami. Ojciec Likomedesa, jak i on sam, trwał przy starej religii. Zatem żadnej monogamii dla władców Skyros!

Stara czy nowa religia, Likomedes mógł oczekiwać takiej samej śmierci, podczas gdy ja nie mogłem być niczego pewien. Zazdrościłem mu jego spokojnej egzystencji. Gdy jednak spacerowałem z nim po jego ogrodach, uświadomiłem sobie, że zupełnie omija go znaczna część życiowych przyjemności. Jego królestwo i jego królowanie nie znaczyło dla niego tyle, co dla mnie. Prowadził swoje prace sumiennie i rzetelnie, będąc zarówno czułym, jak i utalentowanym władcą. Brakowało mu jednak determinacji, z którą trzymałby się tego, co do niego należało, ponieważ nikt nigdy nie zagroził, że mu cokolwiek odbierze.

Ja w pełni poznałem, co to znaczy strata, głód, desperacja. I kochałem swoje ciężko zdobyte królestwo Tesalii, jak on nigdy nie mógłby pokochać Skyros. Tesalia, moja Tesalia! Ja, Peleus, byłem arcykrólem Tesalii! Inni królowie byli mi winni wierność, mnie

Peleusowi, który jeszcze kilka lat temu nigdy nie postawił stopy na północy Attyki. I władałem Myrmidonami, ludźmi–mrówkami w Jolkos.

Moje rozmyślenia przerwał Likomedes.

– Myślisz o Tesalii?

– Jakżebym mógł o niej nie myśleć?

Machnął białą, omdlewającą dłonią.

– Mój drogi Peleusie, brakuje mi twojego potężnego entuzjazmu. Kiedy we mnie coś się lekko tli, ty płoniesz jasnym, żywym ogniem. Mimo to jestem zadowolony z tego stanu rzeczy. Gdybyś był na moim miejscu, nie spocząłbyś, dopóki wszystkie wyspy między Kretą a Samotraką nie należałyby do ciebie.

Oparłem się o drzewo orzechowe i westchnąłem.

– A jednak jestem strasznie zmęczony, mój przyjacielu. Nie jestem już taki młody.

– To prawda tak oczywista, że nie warto o niej wspominać.

Jego blade oczy obserwowały mnie z namysłem.

– Czy wiesz, Peleusie, że cieszysz się sławą najlepszego mężczyzny w Grecji? Nawet w Mykenach cię zauważono.

Wyprostowałem się i ruszyłem dalej.

– Nie jestem ani lepszy, ani gorszy od innych mężczyzn – odparłem.

– Zaprzeczaj, jak chcesz, ale to prawda. Masz wszystko, Peleusie! Piękne, silne ciało, sprytny i subtelny umysł, geniusz dowodzenia, potrafisz natchnąć swój lud miłością. Masz nawet całkiem przystojną twarz!

– Chwal mnie tak dalej, Likomedesie, a będę musiał się spakować i wrócić do domu.

– Nie denerwuj się, już skończyłem. Właściwie chciałbym coś z tobą omówić. Te pochwalne peany były tylko do tego wstępem.

Popatrzyłem na niego zaciekawiony.

– Czyżby?

Zwilżył językiem wargi, ściągnął brwi i postanowił powiedzieć wprost o nurtującej go sprawie.

– Peleusie, masz trzydzieści pięć lat. Jesteś jednym z czterech arcykrólów Grecji, a zatem wielką potęgą na ziemi. A jednak nie masz żony. Nie masz królowej. Jak wiadomo, podpisujesz się całkiem pod nową religią, wybrałeś monogamię. Zatem, skoro nie masz żony, jak chcesz zagwarantować w Tesalii sukcesję?

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu.

– Likomedesie, ty potworze! Wybrałeś za mnie małżonkę.

Spojrzał ostrożnie.

– Mógłbym to zrobić. Chyba, że masz inne pomysły.

– Często myślę o małżeństwie. Niestety, nie widzę żadnych kandydatek.

– Znam kobietę, która mogłaby ci się bardzo spodobać. Z pewnością byłaby wspaniałą królową.

– No dalej, człowieku! Słucham z niecierpliwością.

– I z ironicznym nastawieniem. Jednakże mimo to mam zamiar kontynuować. Ta kobieta jest arcykapłanką Posejdona na Skyros. Bóg polecił jej wyjść za mąż, ale ona tego nie zrobiła. Nie mogę zmusić tak wysokiej dostojniczki do posłuszeństwa, jednak ze względu na mój lud i moją wyspę muszę skłonić ją do małżeństwa.

Patrzyłem na niego w zdumieniu.

– Likomedesie! A więc ja jestem tylko pretekstem!

– Nie, nie! – wykrzyknął, a jego twarz zmarszczyła się. – Posłuchaj mnie, Peleusie!

– Posejdon rozkazał jej wyjść z męż?

– Tak. A wyrocznie mówią, że jeśli ona tego nie zrobi, Władca Mórz otworzy ziemię pod Skyros i zabierze na zawsze moją wyspę w głębinie.

– Wyrocznie, w liczbie mnogiej. Zatem konsultowałeś się z kilkoma?

– Nawet z Pytią w Delfach i z dębem w Dodonie. Odpowiedź jest zawsze ta sama: „Wydadź ją za męż albo zginiesz”.

– Dlaczego ona jest taka ważna? – zapytałem zafascynowany.

Na jego twarzy odbiła się groza.

– Ponieważ ona jest córką Nereusa, Starca Mórz. Jest zatem półkrwi boginią, podzieloną w swej lojalności. Z dziedzictwa krwi należy do starej religii, a jednak służy nowej. Czy zdajesz sobie sprawę, Peleusie, jakiego potopu doświadczył cały nasz grecki świat, kiedy zawaliły się Kreta i Thera? Weź Skyros! Nigdy nie byliśmy tak zdominowani przez Matkę, jak Thera, Kreta czy królestwa wyspy Pelopsa – tu zawsze prawnie rządzili ludzie – ale stara religia jest silna. Posejdon należy do nowej religii, a my znajdujemy się pod jego władaniem – nie tylko jest Panem Mórz, które nas otaczają, ale także rządzi trzęsieniami ziemi.

– Rozumiem – powiedziałem wolno. – Posejdon jest rozgniewany tym, że kobieta starej religii jest jego arcykapłanką. Ale przecież musiał usankcjonować jej stanowisko.

– Rzeczywiście, usankcjonował je. Teraz jednak się gniewa. Znasz bogów, Peleusie! Czy kiedykolwiek byli spójni? Mimo wcześniejszej zgody, teraz się złości i mówi, że nie chce, aby przy jego ołtarzu służyła córka Nereusa.

– Likomedesie, Likomedesie! Czy rzeczywiście wierzysz w te

plodzone przez bogów opowieści? – zapytałem niedowierzająco. – Miałem o tobie lepsze zdanie! Mężczyzna lub kobieta, którzy twierdzą, że mają boga za ojca, zazwyczaj urodzili się bękartami. I to przeważnie za sprawą pastuszka albo chłopca stajennego.

Zatrzepotał rękoma jak przestraszona kura.

– Tak, tak, tak! Wiem, Peleusie, a jednak w tę historię wierzę! Nie widziałeś jej, nie znasz jej. A ja tak. To przedziwne stworzenie! Jedno spojrzenie na nią, a będziesz wiedział ponad wszelką wątpliwość, że pochodzi z morza.

Teraz byłem już oburzony.

– Nie wierzę własnym uszom! Dzięki za komplement! Chcesz dać rękę jakiejś dziwnej, szalonej kobiety arcykrólowi Tesalii? Nie chcę jej!

Obie jego dłonie spoczęły na moim prawym przedramieniu.

– Peleusie, czyżbym miał cię oszukiwać w taki sposób? Żle to ująłem. Nie chciałem cię urazić, przysięgam! To dlatego, że kiedy po tylu latach mój wzrok spoczął na tobie, poczułem w swym sercu, iż ona jest kobietą dla ciebie. Nie brak jej szlachetnych zalotników i każdy dobrze urodzony kawaler na Skyros starał się o nią. Lecz ona nie chce żadnego z nich. Mówi, że czeka na tego, którego bóg obiecał jej przysłać ze znakiem.

Westchnąłem.

– Dobrze, Likomedesie, zobaczę się z nią. Jednakże niczego nie obiecuję. Czy to jasne?

Święty krąg i ołtarz Posejdona – ten bóg nie miał świątyni jako takiej – leżał na dalekim krańcu wyspy, mniej żyznym i bardziej odludnym. Raczej dziwna lokalizacja dla głównej świątyni Pana Mórz. Jego przychylność była potrzebna każdej wyspie, otoczonej ze wszystkich stron jego morskim dominium. Zły humor lub łaska tego boga wyznaczały, czy zwycięży dobrobyt czy głód. Nie był też na

darmo władcą trzęsień ziemi. Sam widziałem owoce jego gniewu, całe miasta poddawały mu się łatwiej niż złoto młotkowi kowala. Posejdon szybko wpadał w gniew i był bardzo zazdrosny o swój prestiż. Dwukrotnie za mojego życia Kreta łamała się pod jego zemstą, gdy jej królowie za bardzo rośli w pychę i zapominali, co są mu winni. Podobnie było z Thera.

Jeśli ta kobieta, z którą chciał mnie poznać Likomedes, rzeczywiście była córką Nereusa – władającego morzami w czasach, gdy Kronos rządził światem z Olimpu – mogłem zrozumieć żądanie wyroczni o odsunięciu jej z urzędu. Zeus i jego bracia nie mieli czasu dla starych bogów, których pozbawili władzy – no cóż, kto przebaczyłby łatwo ojcu, który ich pożarł?

Sam poszedłem do kręgu, pieszo i ubrany w zwykły strój do polowania, prowadząc swoją ofiarę na długim postronku. Chciałem, by mnie oceniła jak zwykłego człowieka, a nie króla Tesalii. Ołtarz wznosił się na wysokim cyplu górującym nad małą zatoczką. Szedłem cicho przez święty gaj, który przed nim rósł. W głowie mi się kręciło od ciszy i ciężkiej, dusznej świętości. Nawet morze w moich uszach było nieme, choć fale kłębiły się wolno i rozbijały z białymi bąblami o skały poblížnionego podnóża cypla. Przed prostokątnym, prostym ołtarzem w złotym trójnogu płonął wieczny ogień. Podeszedłem bliżej, zatrzymałem się i przyciągnąłem do siebie ofiarne zwierzę.

Wyłoniła się na światło dzienne prawie niechętnie, jak gdyby wolała zamieszkiwać w zimnej i płynnej filtracji cienia. Przyglądałem się jej zafascynowany. Niska, wiotka i kobieca, posiadała jednak cechę, która nie była właściwa jej płci. Zamiast zwyczajowej sukni z falbanami i haftami nosiła prostą szatę z pięknego, przezroczystego płótna, tkanego w Egipcie, przez które bez trudu przelazł kolor jej skóry – blady i błękitnawy – tworząc smugi, gdyż tkanina była niefachowo farbowana. Miała pełne wargi, ale zaledwie bladoróżowe, oczy zmieniały kolor na wszystkie możliwe odcienie morza –

szarości, błękity, zielenie, nawet ciemna purpura. Jej twarz nie była umalowana, z wyjątkiem cienkich, czarnych kresek wokół oczu, z lekka przeciągniętych ku górze, co nadawało jej odrobinę groźnego wyrazu. Włosy nie miały w ogóle barwy, były siwobiałe z lekkim połyskiem, który nadawał im błękitnego odcienia, jak w zaciemnionym pokoju.

Zbliżyłem się, prowadząc swoją ofiarę.

– Pani, jestem gościem na waszej wyspie i przyszedłem złożyć ofiarę Ojcu Posejdonowi.

Kiwnąwszy głową, wyciągnęła rękę, by wziąć ode mnie postronek, potem okiem znawcy oglądnęła białego cielaka.

– Ojciec Posejdon będzie rad. Już dawno nie widziałam tak pięknego zwierzęcia.

Popatrzyła uważnie w płomień ołtarza.

– Czas nie jest pomyślny dla ofiary. Złożę ją później – powiedziała.

– Jak sobie życzysz, pani.

Odwróciłem się, by odejść.

– Poczekaj.

– Tak, pani?

– Kto składa tę ofiarę bogu?

– Peleus, król Jolkos i arcykról Tesalii.

Jej oczy gwałtownie zmieniły kolor z jasnobłękitnego na ciemnoszary.

– Nie jesteś zwykłym człowiekiem. Twoim ojcem był Ajakos, a jego ojcem sam Zeus. Twój brat Telamon jest królem Salaminy, a ty jesteś spokrewniony z królami.

Uśmiechnąłem się.

– Tak, jestem synem Ajakosa i bratem Telamona. O moim dziadku nic nie wiem. Choć wątpię, by był nim król bogów. Bardziej prawdopodobne, że był nim rozbójnik, który spodobał się mojej babce.

– Bezbożność, królu Peleusie – powiedziała wyważonym tonem – prowokuje bogów do odwetu.

– Przykro mi, pani, że zostałem odebrany jako bezbożnik. Czcę bogów i składam im ofiary.

– A jednak nie chcesz uznać Zeusa za swego dziada.

– Opowiada się czasami takie legendy, pani, by uzasadnić prawo jakiegoś człowieka do tronu, jak to było prawdopodobnie w przypadku mojego ojca, Ajakosa.

Pogłaskała odruchowo białego cielaka po nosie.

– Pewnie zatrzymałeś się w pałacu. Dlaczego król Likomedes pozwolił ci przyjść tutaj samemu i bez zapowiedzi?

– Ponieważ tego sobie życzyłem, pani.

Przytracając białe ciele do kółka przy jednej z kolumn, odwróciła się do mnie plecami.

– Pani, a kto przyjmuje moją ofiarę?

Spoglądając na mnie znad ramienia, pokazała oczy w kolorze chłodnej i neutralnej szarości.

– Jestem Tetyda, córka Nereusa. To nie jest zwykła plotka, królu Peleusie. Mój ojciec jest wielkim bogiem.

Pora iść. Podziękowałem jej i odszedłem.

Nie odszedłem jednak daleko. Ostrożnie, by nie zauważył mnie nikt obserwujący ze świątyni, ześlizgnąłem się ścieżką węży ku zatoce. Ukrywszy dzidę i miecz pod skałą, położyłem się na ciepłym,

żółtym piasku, osłoniętym skalnym nawisem. Tetyda. Tetyda. Rzeczywiście, w jej wyglądzie było coś z morza. Stwierdziłem nawet, że chcę wierzyć, że była córką boga, ponieważ zbyt głęboko zajrzałem w te oczy kameleona. Zobaczyłem wszystkie sztormy i cisze morskie oraz echo jakiegoś zimnego ognia, który nie poddawał się opisowi. I zapragnąłem, by została moją żoną.

Ona także była mną zainteresowana; tak powiedziały mi lata doświadczenia. Kluczem do sprawy było jej silne zainteresowanie. W głębi duszy czułem ostrzeżenie przed porażką. Tetyda nie zechce wyjść za mnie, podobnie jak nie chciała poślubić innych utytułowanych zalotników, którzy ją o to prosili. Chociaż nie byłem mężczyzną dla mężczyzn, nigdy za bardzo nie dbałem o kobiety, nie licząc zaspokojenia, jakiego od nich pożytkowałem. Nawet najwięksi bogowie cierpieli równie boleśnie, co ludzie. Czasami brałem sobie jakąś kobietę z domu, aby ze mną spała, ale aż do tej pory żadnej nie kochałem. Czy o tym wiedziała czy nie, Tetyda należała do mnie. A ponieważ wyznawałem nową religię pod każdym względem, nie będę miał innych żon, z którymi musiałaby rywalizować. Będę należał tylko do niej.

Słońce paliło mnie w plecy z rosnącą siłą. Nastąpiło południe. Zdjąłem swój myśliwski strój. Gorące promienie Heliosa przenikały moją skórę. Nie mogłem jednak spokojnie uleżeć, musiałem usiąść i wpatrywać się w morze, winiąc je za ten nowy kłopot. Potem zamknąłem oczy i opadłem na kolana.

– Ojcze Zeusie, spójrz na mnie przychylnie! Tylko w chwilach największego porzucenia i osamotnienia modłę się do ciebie jako człowiek szukający pociechy swojego przodka. Tak właśnie modłę się teraz, do tej twojej części, która jest najmiłsza i najbardziej miłosierna. Nigdy mnie nie zawiodłeś, ponieważ nigdy nie trapiłem cię rzeczami trywialnymi. Pomóż mi teraz, błagam! Daj mi Tetydę tak, jak dałeś mi Jolkos i Myrmidonów, tak jak oddałeś w me ręce całą Tesalię. Daj mi odpowiednią królową, aby zasiadła na tronie

Myrmidonów, daj mi silnych synów, którzy zajmą moje miejsce, kiedy umrę!

Długo klęczałem z zamkniętymi oczami. Kiedy się podniosłem, nie zauważyłem, żeby coś się zmieniło. Ale przecież to normalne. Bogowie nie czynią cudów jedynie po to, by wpoić wiarę w serca ludzi. Wtedy ujrzałem ją, jak stoi z rozwianą łopoczącą niczym sztandar szata, z błyszczącymi w słońcu włosami, z twarzą uniesioną w zachwycie. Obok niej stało białe ciele, w prawej dłoni trzymała sztylet. Zwierzę szło na swój los spokojnie, samo położyło się jej na kolanach, gdy zatrzymała się z nim na skraju chlupoczących fal. Nawet się nie poruszyło ani nie wydało żadnego dźwięku, kiedy podcięła mu gardło. Trzymała je, a jasne, szkarłatne wstęgi spływały po jej udach i białych rękach. Woda wokół niej stała się mniej czerwona, kiedy zmieniające się prądy wessały krew cielaka w głębiny i pożarły ją.

Nie widziała mnie ani nie dostrzegła, posuwając się głębiej w fale, ciągnąc martwe zwierzę za sobą, aż była wystarczająco głęboko, by zarzucić je sobie na ramiona. W pewnej odległości od brzegu zsunęła z ramion cielaka, który natychmiast zatonął. Z wody wystawała duża płaska skała. Podpłynęła do niej, wspięła się na nią i stanęła nieruchomo na tle bladego nieba. Potem położyła się na plecach z założonymi pod głowę rękoma i wydawało się, że śpi.

Obcy rytuał, nie ten, jaki zalecała nowa religia. Tetyda przyjęła moją ofiarę w imieniu Posejdona, a potem złożyła ją Nereusowi. Świętokradztwo! Ona, arcykapłanka Posejdona. Och, Likomedesie, miałeś rację! W niej znajdowały się nasiona zagłady Skyros. Nie spełniała swojej powinności wobec Pana Mórz ani nie szanowała go jako Ziemiotrząscy.

Powietrze było mleczne i spokojne, woda przezroczysta. Ja jednak schodząc w dół ku falom, drżałem niczym człowiek wstrząsany dreszczami. Kiedy płynąłem, woda nie miała dość mocy, by mnie ochłodzić. Afrodyta zacisnęła na mnie swe gładkie, ostre

pazury, wystarczająco ostre, by przeciąć me ciało do kości. Tetyda była moja, a ja będę jej. Ocale biednego Likomedesa i jego wyspę.

Kiedy dotarłem do skały, zacisnąłem ręce na krawędzi i gwałtownie, z wysiłkiem, od którego pękały mi mięśnie, wspiałem się na nią. Klęknąłem obok niej na skale, zanim w ogóle uświadomiła sobie, że nie jestem w pałacu nad miastem Skyros. Ale nie spała. Jej oczy, łagodne, marzycielsko zielonkawe, były otwarte. Zauważywszy mnie, odsunęła się i spojrzała nagle czarnymi oczami.

– Nie dotykaj mnie! – powiedziała, dysząc. – Żadnemu mężczyźnie nie wolno mnie dotknąć! Oddałam się bogu!

Błysnęła moja ręka, zatrzymując się na jej kostce.

– Twoje śluby wobec boga nie są wieczne, Tetydo. Jesteś wolna i możesz wyjść za mąż. I wyjdiesz za mnie.

– Należę do boga!

– Jeśli tak, to do którego? Czyżbyś służyła ustami jednemu, a jego ofiary składała drugiemu? Należysz do mnie. Jeśli bóg – którykolwiek bóg – zażąda za to ode mnie śmierci, przyjmę jego wyrok.

Krzyknęła ze strachu i zmartwienia, próbując ześlizgnąć się ze skały do morza. Byłem jednak dla niej zbyt szybki, chwyciłem ją za nogę i przyciągnąłem z powrotem, a ona palcami drapała ostrą powierzchnię, łamiąc paznokcie. Chwyciłem ją za nadgarstek, puściłem kostkę i postawiłem na nogi.

Broniła się przede mną jak dziesięć dzikich kotów, zębami i paznokciami, kopiąc i bijąc mnie w milczeniu, gdy obejmowałem ją swymi ramionami. Z dziesięć razy wyślizgiwała się z nich, i zawsze ją chwyciłem ponownie; oboje ociekaliśmy krwią. Moje ramię było podrapane, jej wargi rozcięte, kępki naszych włosów odpłynęły z wiatrem. To nie był gwałt. Nie chciałem, żeby to był gwałt. Była to zwykła próba sił, mężczyzny i kobiety, nowej i starej religii. Walka

skończyła się tak, jak musiała: zwycięstwem mężczyzny.

Runęliśmy na skałę, upadek odebrał jej oddech. Przygwoździłem jej ciało swoim i przytrzymałem ręce. Popatrzyłem jej w twarz.

– To była walka. Pokonałem cię.

Usta jej drżały, odwróciła głowę na bok.

– To ty. Wiedziałam to od chwili, gdy wszedłeś do świątyni. Kiedy zaprzysiężono mnie na jego służbę, bóg powiedział mi, że z wody wyjdzie mężczyzna, mężczyzna z nieba, który zdejmie morze z mego umysłu i uczyni mnie swoją królową. – Westchnęła. – Zatem niech tak będzie.

Wprowadziłem Tetydę do Jolkos jako swoją królową z honorami i pompą. W czasie pierwszego wspólnie spędzonego roku zaszła w ciążę, to była ostateczna radość naszego zjednoczenia. Nigdy nie byliśmy tak szczęśliwi jak w czasie tych długich miesięcy oczekiwania na naszego syna. Żadne z nas nie brało pod uwagę możliwości, że to będzie dziewczynka.

Na położną została wyznaczona moja własna mamka. Kiedy u Tetydy zaczął się poród, opadłem z sił. Stara kobieta wykorzystwała swoją władzę i przepędziła mnie na drugi kraniec pałacu. Przez jedno pełne okrażenie rydwanu Febusa siedziałem sam, ignorując służących, którzy błagali, bym coś zjadł albo wypił. Czekałem, czekałem... Wreszcie Arezuna odnalazła mnie w nocy. Nie kłopotowała się zmianą tuniki, na przedzie splamionej porodową krwią. Skuliła się z twarzą skurczoną bólem. Jej oczy były tak zapadnięte i czarne, że wydawały się pustymi oczodołami. Płakała.

– To był syn, panie. Nie żył jednak na tyle długo, by zaczerpnąć powietrza. Królowa jest bezpieczna. Straciła dużo krwi i jest bardzo zmęczona, ale jej życiu nic nie grozi. – Splotła razem kościste dłonie. – Panie, przysięgam, że nie zrobiłam niczego złego! Taki duży, piękny chłopak! To była wola bogini.

Nie chciałem, aby zobaczyła moją twarz w świetle lampy. Zbyt porażony, by płakać, odwróciłem się i odszedłem. Kilka dni minęło, zanim zebrałem się na tyle, by zobaczyć się z Tetydą.

Kiedy w końcu wszedłem do pokoju, byłem zdumiony, widząc, jak siedzi na swym wielkim łożu, zadowolona i kwitnąca. Powiedziała wszystkie właściwe rzeczy, bawiąc się słowami smutku, ale żadne z nich nie wyrażało tego, co czuła. Tetydą była szczęśliwa!

– Nasz syn nie żyje, żono! – wybuchnąłem. – Jak możesz to znieść? Nigdy nie pozna sensu życia! Nigdy nie zajmie mojego miejsca na tronie. Nosilaś go przez dziewięć miesięcy. Na próżno!

Wyciągnęła dłoń i poklepała moją z lekką wyższością.

– Och, drogi Peleusie, nie martw się. Nasz syn nie miał śmiertelnego życia, ale czyżbyś zapomniał, że jestem boginią? Ponieważ nie odetchnął ziemskim powietrzem, poprosiłam ojca, by dał mu życie wieczne, a mój ojciec był zachwycony, mogąc to spełnić. Nasz syn żyje na Olimpie – pije i jada z innymi bogami, Peleusie! Nie, on nigdy nie będzie rządził w Jolkos, ale cieszy się tym, czym żaden śmiertelnik cieszyć się nie może. Umierając, nigdy nie umrze.

Moje zdumienie zmieniło się w niesmak. Popatrzyłem na nią, zastanawiając się, jak to możliwe, żeby ta sprawa z bogami tak silnie ją odurzyła. Była taką samą śmiertelniczką jak ja, a jej niemowlę było śmiertelne jak my oboje. Potem zauważyłem, z jaką ufnością patrzy na mnie, i nie mogłem wypowiedzieć tego, co miałem na końcu języka. Skoro wiara w te nonsensy oszczędzała jej żalu po stracie, to dobrze. Życie z Tetydą nauczyło mnie, że ona nie myślała ani nie zachowywała się jak inne kobiety. Zatem pogłaskałem ją po włosach i odszedłem.

W ciągu następnych lat dała mi sześciu synów. Wszyscy urodzili się martwi. Kiedy Arezuna powiedziała mi o śmierci drugiego syna, prawie oszalałem. Nie mogłem zobaczyć się z Tetydą przez

wiele miesięcy, ponieważ wiedziałem, co ona mi powie – nasz zmarły syn jest bogiem. Jednak w końcu miłość i żądza zawsze pchały mnie do niej z powrotem i musieliśmy przechodzić ten złowieszczy cykl od nowa.

Kiedy szóste dziecko urodziło się martwe – jak to się mogło stać, skoro urodziło się o terminie i wyglądało w swej trumience tak zdrowo, nie licząc ciemnoniebieskiej skóry? – przysiągłem, że nie podaruję już Olimpowi więcej synów. Posłałem do Pytii w Delfach i nadeszła odpowiedź, że to Posejdon się gniewa. Miał do mnie żal za to, że ukradłem mu kapłankę. Co za hipokryzja! Co za obłąd! Najpierw jej nie chciał, teraz chce. Zaprawdę, żaden człowiek nie zrozumie zamysłów ani uczynków bogów, nowych czy starych.

Nie żyłem z Tetydą przez dwa lata. Nieustannie błagała mnie, bym jej dał więcej synów dla Olimpu. Pod koniec drugiego roku wziąłem białe źrebie i złożyłem je w ofierze Posejdonowi Ojcu Koni przed wszystkimi Myrmidonami i moim ludem.

– Zdejmij swoją klątwę, pobłogosław mnie żyjącym synem! – zawołałem.

Ziemia zagrzmiała głęboko w swoich posadach, spod ołtarza wystrzelił święty wąż niczym błysk brązowej błyskawicy, ziemia uniosła się w skurczu. Przede mną zwała się kolumna, ja jednak stałem nieporuszony. Między moimi stopami pojawiło się pęknięcie, dusiłem się od smrodu siarki, ale nie zmieniłem pozycji. W końcu drżenie ustało, a szczelina zamknęła się. Źrebie leżało na ołtarzu wysuszone i nieruchome. Trzy miesiące później Tetydą powiedziała mi, że jest w ciąży z naszym siódmym dzieckiem.

Przez cały ten nużący czas obserwowałem ją pilniej niż jastrząb kurczęta. Kazałem Arezunie spać z nią w jednym łóżu i zagroziłem służącym niewyobrażalnymi torturami, jeśli zostawiają choć na chwilę samą, gdy nie będzie przy niej Arezuny. Tetydą znosiła te kaprysy, jak je nazywała, z cierpliwością i dobrym humorem. Nigdy się nie kłóciła ani nie próbowała przeciwstawić się moim

poleceniom. Pewnego razu sprawiła, że włosy stanęły mi na głowie, a przez ciało przeszły dreszcze. Zaczęła śpiewać dziwną, niemelodyjną pieśń starej religii. Gdy jednak poleciłem jej, by zamilkła, usłuchała i nigdy już jej nie śpiewała. Jej czas zbliżał się. Zacząłem mieć nadzieję. Z pewnością zawsze zachowywałem należny lęk wobec bogów! Z pewnością są mi winni jednego żywego syna!

Posiadałem zbroję, która kiedyś należała do Minosa. Był to mój najcenniejszy skarb. Zachwycająca rzecz. Z wierzchu pokryta złotem, składała się z czterech oddzielnych warstw brązu i trzech cyny, wykładana we wspaniałe wzory bursztynem, lapis-lazuli, koralem i kryształem. Tarcza podobnej konstrukcji była wielkości przeciętnego mężczyzny i wyglądała jak dwie okrągłe tarcze złączone z sobą, jedna nad drugą. Zatem była jakby węższa w pasie. Hełm, kilt oraz osłony na pierś, golenie i ramiona były wykonane na kogoś wyższego ode mnie, co wzbudzało we mnie szacunek dla zmarłego Minosa. Nosił bowiem tę zbroję, krocząc po swoim kretańskim królestwie, pewny, że nigdy nie będzie potrzebował się bronić. Pragnął jedynie pokazać swojemu ludowi, jak jest bogaty. Jednak na nic mu się zdała. Zabrał go, jak i cały jego świat, Posejdon. Zniszczył go, ponieważ nie chciał się podpisać pod nową religią. Kretą i Therą od zawsze władała Matka Kubaba, Wielka Bogini starej religii, królowa ziemi i wszystkiego, co w górze.

Razem ze zbroją Minosa otrzymałem dzidę o drzewcu z jesionu, pochodzącego ze zboczy góry Pelion. Miała małe ostrze wykonane z metalu zwanego żelazem, tak rzadkiego i cennego, że większość ludzi uważała go za legendę – niewielu go widziało. Próby wykazały, że dzida leciała bezbłędnie do swego celu, a była lekka jak piórko, zatem kiedy nie musiałem już jej używać, umieściłem ją razem ze zbroją w skarbcu. Dzida miała swoje imię: Stary Pelion.

Przed urodzeniem się mojego pierwszego syna wydobyłem te cuda na światło dzienne, aby je wyczyścić i wypolerować. Byłem pewny, że mój syn wyrośnie na dużego mężczyznę i będzie mógł je

nosić. Ale moi synowie rodzili się martwi, odesłałem więc broń z powrotem do skarbcza, by mieszkała tam w ciemnościach nie mniejszych od mojej rozpacz.

Na pięć dni przed terminem, kiedy Tetyda miała urodzić nasze siódme dziecko, wziąłem lampę i ruszyłem zniszczonymi kamiennymi stopniami, prowadzącymi do pałacowych piwnic. Przeciskałem się przez ciasne przejścia, aż dotarłem do wielkich drewnianych drzwi, które broniły dostępu do skarbcza. Dlaczego tu przyszedłem?, pytałem sam siebie, lecz nie potrafiłem znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Otworzyłem drzwi, chcąc zajrzeć do mrocznej sali. Zamiast mroku znalazłem na dalekim końcu olbrzymiego pomieszczenia plamę złotego światła. Mój własny ogień zgasł, skradałem się naprzód ze sztyletem w ręce. Droga była zastawiona skrzyniami i urnami, kuframi i złożonymi tu świętymi sprzętami. Musiałem ostrożnie torować sobie drogę.

Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem odgłos kobiecego płaczu. Na podłodze siedziała Arezuna, moja mamka, kołysząc na rękach hełm Minosa, którego piękne złote pióra spływały z jej pomarszczonej dłoni. Płakała cicho, ale gorzko, mrużąc do siebie pieśń żałobną Eginy, królestwa Ajakosa, wyspy, z której zarówno ona, jak i ja pochodziliśmy. O Koro! Arezuna już oplakiwała mojego siódmego syna.

Nie mogłem zostawić jej niepocieszonej. Nie mogłem odejść ukradkiem i udawać, że jej nie widziałem ani nie słyszałem. Kiedy polecono jej, by dała mi swą pierś, była już dojrzałą kobietą. To ona wychowała mnie pod obojętnym okiem mej rodzonej matki. Szła za mną przez tuzin narodów, wierna jak pies. A kiedy podbiłem Tesalię, wyniosłem ją wysoko w swoim domu. Podszedłem zatem bliżej, dotknąłem łagodnie jej ramienia i poprosiłem, by przestała płakać. Zabrałem hełm z jej rąk, przytuliłem jej zeszywniałe, stare ciało do siebie i mówiłem jej wiele głupstw, próbując ją pocieszyć mimo własnego cierpienia. W końcu ucichła, uczepiwszy się swymi

kościstymi palcami mojej koszuli.

– Mój panie, dlaczego? – zachrypiała. – Dlaczego pozwalasz jej to robić?

– Co robić? Komu?

– Królowej – odparła, krztusząc się.

Później uświadomiłem sobie, że jej ból wprawił ją w lekkie szaleństwo, inaczej nigdy bym nie zdołał z niej tego wydusić. Choć była mi bliższa od matki, zawsze miała świadomość, że nasze pochodzenie jest tak różne. Ścisnąłem ją, że aż się skrzywiła i jęknęła.

– Co z królową? Co ona robi?

– Zabija twoich synów.

Skamieniałem.

– Tetyda? Moich synów? O co chodzi? Mów!

Skurczyła się, spojrzała na mnie z przerażeniem, zrozumiałem, że o niczym nie wiedziałem. Potrząsnąłem nią.

– Lepiej mów, Arezuno. Jak moja żona zabija swoich synów? I dlaczego? Dlaczego?!

Jednak ona zacisnęła wargi i nic nie odrzekła, jej oczy płonęły z przerażenia. Wyciągnąłem sztylet, przycisnąłem go do jej luźno zwisającej skóry.

– Mów, kobieto, albo na Wszechmocnego Zeusa, przysięgam, że wydrę ci oczy, wyrwę paznokcie. Wszystko zrobię, żeby rozwiązać ci język! Gadaj, Arezuno, gadaj!

– Peleusie, ona mnie przeklnie, a to jest o wiele gorsze niż wszystkie tortury – powiedziała drżącym głosem.

– To będzie fałszywa klątwa. A fałszywe klątwy powracają na głowę tego, kto je rzuca. Powiedz mi, proszę!

– Byłam pewna, że o wszystkim wiesz i to popierasz, panie. Może ona ma rację – może nieśmiertelność jest lepsza od życia na ziemi, jeśli tam nie ma starości.

– Tetyda jest szalona – powiedziałem.

– Nie, panie. Ona jest boginią.

– Nie jest żadną boginią, Arezuno. Dałbym za to swe życie! Tetyda jest zwykłą śmiertelną kobietą.

Arezuna spojrzała na mnie nie przekonana, lecz nie nakłaniałem jej więcej.

– Zabiła wszystkich twoich synów, Peleusie, to wszystko. Mając najlepsze intencje.

– Jak ona to robi? Czy bierze jakąś truciznę?

– Nie, mój panie. Robi to o wiele prościej. Kiedy kładziemy ją na łożo porodowe, wypędza z pokoju wszystkie kobiety z wyjątkiem mnie. Wtedy każe mi ustawić pod sobą wiadro z morską wodą. Gdy pojawia się główka noworodka, ona wkładają do wiadra i trzyma tak długo, żeby dziecko nie złapało już oddechu.

Moje pięści zacisnęły się i otwarły.

– Dlatego są tacy sini! – Wstałem. – Wracaj do niej, Arezuno, zanim zauważy, że cię nie ma. Przysięgam ci jako twój król, że nigdy nie zdradzę jej, skąd o tym wiem. Dopilnuję, aby nie zrobiła ci krzywdy. Obserwuj ją. Kiedy zacznie rodzić, natychmiast mi powiedz. Czy to jasne?

Skinęła głową, jej łzy zniknęły i odpłynęło straszne poczucie winy. Ucałowała moje dłonie i oddaliła się truchtem.

Siedziałem tam bez ruchu, obie lampy zgasły. Tetyda zabijała moich synów – w imię czego? W imię jakichś szalonych i nieprawdopodobnych snów. Przesądów. Fantazji. Pozbawiała ich prawa do bycia ludźmi. Dokonała tak plugawych zbrodni, że

natychmiast zapragnąłem iść do niej i przesyć ją swym mieczem. Lecz ona nadal nosiła moje siódme dziecko. Miecz musiał poczekać. A zemsta należała do bogów nowej religii.

Piątego dnia po tym, jak rozmawiałem z Arezuną, stara kobieta przybiegła po mnie z włosami rozwianymi dziko na wietrze. Było późne popołudnie, właśnie zszedłem do padoku, by obejrzeć ogiery, ponieważ nadchodziła pora parzenia się. Moi stajenni chcieli mi przedstawić plan, według którego konie miały się parzyć z klaczami.

Popędziłem z powrotem do pałacu z Arezuną na plecach, sam niczym jeden z moich ogierów.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała, kiedy opuściłem ją na ziemię przed drzwiami Tetydy.

– Wejść razem z tobą – odparłem.

Sapnęła jękliwie.

– Panie, panie, to zakazane!

– Tak jak zabójstwo – powiedziałem i otworzyłem drzwi.

Poród jest kobiecą tajemnicą, nie może jej profanować obecność mężczyzny. Tyle świat ziemski zawdzięczał niebu. Kiedy nowa religia pokonała starą, niektóre rzeczy się nie zmieniły. Matka Kubaba, Wielka Bogini, nadal rządzi sprawami kobiet. Szczególnie tym wszystkim, co dotyczy wzrastania świeżego ludzkiego owocu – i zrywania go, gdy pięknie dojrzewał lub sechł z wiekiem.

Wszedłem i przez chwilę nikt mnie nie zauważył. Miałem czas, by poobserwować, powąchać i posłuchać. Pokój cuchnął potem i krwią oraz innymi nie znanymi mi rzeczami, które przerażają mężczyzn. Poród najwyraźniej już się zaczął, ponieważ służące właśnie prowadziły Tetydę z jej łoża na porodowy drewniany fotel, przy którym krążyły położne, czyniąc okropną wrzawę. Moja żona była naga, jej groteskowo nabrzmiały brzuch prawie lśnił od napięcia. Ostrożnie ułożyły jej nogi na twardej drewnianej

powierzchni, po obu stronach szerokiego otworu w drewnianym siedzisku przeznaczonym do przyjęcia rozwiązania.

Drewniane wiadro z wodą stało opodal na podłodze, jednak żadna z kobiet nie zwracała na nie uwagi, ponieważ nie miały pojęcia, po co ono się tam znajdowało.

Wreszcie dostrzegły mnie i ruszyły oburzone w moim kierunku. Sądziły, że król oszalał, i postanowiły mnie wyprowadzić. Uderzyłem najbliższą z nich. To ją oszołomiło, a reszta cofnęła się. Arezuna przykucnęła przy wiadrze, mrużąc zaklęcia, chroniące przed urokiem. Nawet się nie poruszyła, gdy wypędzałem kobiety z pokoju i ryglowałem drzwi.

Tetyda wszystko widziała. Jej twarz błyszczała od potu, a oczy zrobiły się czarne, panowała jednak nad wściekłością.

– Wyjdź, Peleusie – powiedziała cicho.

W odpowiedzi odsunąłem Arezunę na bok, podszedłem do wiadra z mętą morską wodą, podniosłem je i wylałem zawartość na podłogę.

– Żadnych zabójstw więcej, Tetydo. Ten syn należy do mnie.

– Zabójstw? Zabójstw? Och, ty głupcze! Nikogo nie zabiłam! Jestem boginią! Moi synowie są nieśmiertelni!

Usiadła. Chwyciłem ją za ramiona i przycisnąłem do oparcia fotela porodowego.

– Twoi synowie nie żyją, kobieto! Zostali skazani na byt bezcielesnych cieni, ponieważ nie dałaś im szansy dokonania niezwykłych czynów, które zjednałyby im miłość i podziw bogów! Żadnej szansy na Pola Elizejskie, na status bohatera, na miejsce wśród gwiazd. Nie jesteś boginią! Jesteś zwykłą śmiertelniczką!

Jej odpowiedzią był przenikliwy krzyk udreki. Wygięła się, rękoma chwyciła kurczowo za drewniane oparcie fotela tak silnie, że zbieleły jej kłyckie.

– Już czas – krzyknęła teraz Arezuna – za chwilę będzie rodzić!

– Nie dostaniesz go, Peleusie – warknęła Tetyda.

Zaczęła zaciskać nogi wbrew instynktowi, który kazał je szeroko rozchyłać.

– Zduszę mu głowę na miazgę! – warknęła, a potem zaczęła krzyczeć. – Ojczy! Ojczy Nereusie! On mnie rozdziera na pół!

Żyły na jej czole nabrzmiały niczym purpurowe powrozy, po jej policzkach potoczyły się łzy, lecz ciągle usiłowała zaciskać nogi. Choć skręcała się z bólu, siłą woli wytrzymała się, by nie rozłożyć nóg, skrzyżowała je i spłotła mocno, by utrzymać je na miejscu.

Arezuna była na dole, na mokrej podłodze, z głową pod fotelem. Usłyszałem, jak pisnęła, a potem cicho zachichotała.

– Aj! Aj! – zaskrzeczała. – Peleusie, to jego noga! Rodzi się pośladkowo, to jego noga!

Wyszła spod fotela, wstała i obróciła moją twarz do siebie z siłą młodzieńca w swej starej dłoni.

– Chcesz mieć żywego syna? – zapytała.

– Tak! Tak!

– Zatem rozewrzyj jej uda, panie. Dziecko rodzi się nogami naprzód, główka jest nie uszkodzona.

Uklęknąłem pod fotelem i lewą ręką chwyciłem Tetydę za jedno kolano, prawą ścisnąłem za drugie i zacząłem rozciągać na zewnątrz. Jej kości chrupnęły niebezpiecznie. Pochyliła głowę i zaczęła pluć przekleństwami i śliną niczym śmiertelnym deszczem. Jej twarz – mógłbym przysiąc – przybrała łuskowaty, wąski kształt głowy węża. Kolana zaczęły się z wolna rozdzielać. Byłem dla niej zbyt silny. A jeśli to nie stanowiło dowodu na jej śmiertelność, to co nim było?

Arezuna zanurkowała między moimi dłońmi. Zamknąłem oczy

i nie puszczałem rąk. Nastąpił ostry, krótki dźwięk, konwulsyjne pluśnięcie i nagle cały pokój wypełnił płacz żywego niemowlęcia. Otworzyłem oczy, patrzyłem oszołomiony na Arezunę, na to coś, co trzymała w rękach – lepkie, mokre i śliskie, szarpiące się, wijące i drące aż po sam dach niebios – to coś pod błoną miało zarysowane, penis i mosznę. Syn! Miałem żywego syna!

Tetyda siedziała cicho z pustą i nieruchomą twarzą. Jej wzrok nie spoczywał na mnie. Utkwiła go w moim synu, którego Arezuna myła, odcinała mu pępowinę i zawijała w czyste pieluszki.

– Oto syn, który ucieszy twe serce, Peleusie – śmiała się Arezuna – największe i najzdrowsze niemowlę, jakie kiedykolwiek widziałam! Wyciągnęłam go za prawą piętę!

Przestraszyłem się.

– Za jego piętę? Prawą piętę? Czy nie jest złamana? Nie jest zdeformowana?

Rozchyliła pieluszki, aby pokazać jedną doskonałą piętę – lewą – i drugą spuchniętą i siną.

– Obie są w porządku, panie. Prawa wyzdrowieje, a siniaki znikną.

Tetyda zaśmiała się, słabo i niewyraźnie.

– Jego prawa pięta. Zatem dzięki niej zaczerpnął ziemskiego powietrza. Jego nogi przyszły najpierw. Nic dziwnego, że tak mocno mnie szarpał. Tak, jego siniaki znikną, ale ta prawa pięta będzie jego słabością. Pewnego dnia, gdy będzie jej potrzebował silnej i pewnej, ona go zawiedzie.

Zlekceważyłem ją i wyciągnąłem rękę.

– Daj mi go! Pozwól mi go zobaczyć, Arezuno! Serce mojego serca, rdzeń mojej istoty. Mój syn, mój syn!

Poinformowałem dwór, że mam żywego syna. Jaka radość,

jakie uniesienie! Całe Jolkos, cała Tesalia cierpiała przez lata wraz ze mną.

Gdy wszyscy odeszli, usiadłem na tronie z czystego białego marmuru, z głową między rękami, tak zmęczony, że nie mogłem myśleć. Głosy stopniowo znikwały w oddali i czarna samotna noc zaczęła prząść swoją sieć. Syn. Miałem żywego syna. A powinienem mieć ich siedmiu. Moja żona była wariatką.

Weszła do słabo oświetlonego pokoju z bosymi stopami, ubrana znowu w przezroczystą, powiewną szatę, jaką nosiła na Skyros. Jej twarz była pomarszczona i stara. Szła wolno po zimnej marmurowej posadzce, a jej chód mówił o bólu, jaki odczuwało jej ciało.

– Peleusie – odezwała się od podnóża piedestału.

Obserwowałem ją przez palce. Zabrałem ręce z twarzy i uniosłem głowę.

– Wracam na Skyros, mężu.

– Likomedes nie przyjmie cię, żono.

– Zatem pójdę tam, gdzie będą mnie chcieli.

– Jak Medea, w rydwanie ciągniętym przez węże?

– Nie. Popłynę na grzbiecie delfina.

Nigdy już jej nie zobaczyłem. O świcie Arezuna przyszła po mnie z dwoma niewolnikami, którzy zaprowadzili mnie do łóżka. W czasie jednego okrażenia Febusa podczas jego nie kończącej się wędrówki wokół naszego świata, spałem, zapomniawszy, że mam syna. Po obudzeniu się pobiegłem na górę schodami do pokoju dziecinnego w uskrzydłonych sandałach Hermesa. Znalazłem tam Arezunę zabierającą mego syna od niańki – zdrowej młodej kobiety, która straciła własne dziecko. Stara kobieta szczebiotała. Mamka miała na imię Leukippe: biała klacz.

Moja kolej. Wziąłem go na ręce i stwierdziłem, że jest ciężki. Nic

dziwnego u kogoś, kto wygląda, jakby był cały ze złota. Kręcone, złote włosy, złotawa skóra, złote brwi i rzęsy. Oczy, które mnie śledziły nieruchomo, były czarne. Czulem jednak, że gdy zaczną widzieć, też nabiorą koloru złota.

– Jak go nazwiesz, panie? – spytała Arezuna.

Tego nie wiedziałem. Musiał mieć swoje własne imię, nie to, które już kiedyś do kogoś należało. Zatem jakie? Przyglądałem się nosowi, policzkom, podbródkowi, czołu, oczom. I stwierdziłem, że mają delikatny kształt, jak u Tetydy. Wargi jednak miał własne, a właściwie nie miał ich wcale. Zamiast nich w dole twarzy była prosta szczelina, zdradzająca determinację, lecz smutnie wygięta w dół.

– Achilles – powiedziałem.

Pokiwała z aprobatą.

– Bezwargi. Dobre imię dla niego, drogi panie. – Potem westchnęła. – Jego matka mu coś przepowiedziała. Czy chcesz zasięgnąć rady Delf?

Pokręciłem głową.

– Nie. Moja żona jest szalona. Nie przykładam wagi do jej przepowiedni. Pytia jednak zawsze mówi prawdę, a ja nie chcę wiedzieć, co czyha na mojego syna.

ROZDZIAŁ TRZECI

OPOWIEŚĆ CHIRONA

Przed swoją grota miałem ulubione miejsce, fotel w skale wycięty przez bogów, zanim jeszcze na górę Pelion przyszli ludzie. Znajdował się on nad krawędzią klifu. Spędzałem tam wiele chwil, siedząc na niedźwiedziej skórze, która chroniła moje stare kości przed twardą pieszczotą kamienia. Patrzyłem na ziemię i morze niczym król, którym nigdy nie byłem.

Byłem taki stary. Tak bardzo stary, szczególnie na jesień, gdy zaczynałem odczuwać bóle zapowiadające zimę. Nikt nie pamiętał, ile miałem lat, a najmniej ja sam. Przychodzi czas, kiedy rzeczywistość wieku zamarza i wszystkie lata i pory roku są tylko jednym dniem oczekiwania na śmierć.

Świt obiecywał dzień piękny i spokojny. Zatem nim jeszcze wstało słońce, wykonałem swoje skromne obowiązki domowe, a potem wyszedłem na zewnątrz, na chłodne, szare powietrze. Moja grota znajdowała się wysoko na Pelionie, prawie na samym szczycie, po jego południowej stronie, i wisiała nad przepaścią rozległej równiny. Otuliłem się skórą niedźwiedzia, aby obserwować słońce. Widok roztaczający się przede mną nigdy mnie nie zmęczył. Przez wiele lat patrzyłem z wierzchołka Pelionu na świat leżący poniżej, wybrzeże Tesalii i Morze Egejskie. Obserwując wschód słońca, wyciągnąłem z alabastrowego puzderka kawałek ociekającego miodem plastra i zanurzałem w nim swoje bezzębne dziąsła, ssąc łapczywie. Rozkoszowałem się dzikim kwieciem, bryzą zefiru oraz zapachem sosnowych lasów.

Mój lud, centaurowie, zamieszkiwał na górze Pelion dłużej, niż sięgała ludzka pamięć. Służył królom Grecji za wychowawców ich

dzieci, ponieważ byli wśród nas niezrównani nauczyciele. Powiedziałem „byli”, gdyż zostałem już ostatnim centaurem. Po mnie ta rasa przestanie istnieć. Większość z nas, mając na uwadze interes pracy, wybierała celibat. Nie łączyliśmy się też z innymi kobietami, tylko z naszymi własnymi. Zatem gdy one zmęczyły się swoją bezwartościową egzystencją, po prostu spakowały swój dobytek i odeszły do Tracji, by dołączyć do Menad i czcić Dionizosa. Rodziło się nas coraz mniej, gdyż większość centaurów nie mogła sobie pozwolić na tak daleką podróż. Stopniowo powstała legenda, że centaury zniknęły, ponieważ nie chciały pokazywać ludziom swych ciał półczłowieka i półkonia. Interesujące stworzenie – gdyby takie istniało. Lecz nie istniało. Byliśmy zwykłymi ludźmi.

Moje imię znano w całej Grecji. Jestem Chiron i uczyłem większość młodzieńców, którzy wyrosli na sławnych bohaterów: Peleusa i Telamona, Tydeusza, Heraklesa, Atreusza i Tyestesa, żeby wymienić tylko kilku. Jednakże było to bardzo dawno temu i patrząc na wschód słońca, przestałem już rozmyślać o Heraklesie czy jego potomstwie.

Pelion obfituje w lasy jesionowe, wyższe i silniejsze niż gdzie indziej, o tej porze roku tworzą istne morze jasnej żółci, gdy złote liście drżą i dygoczą na wietrze. Pode mną znajdowała się stroma ściana skalna, pięćset łokci pozbawionej choćby najmniejszej plamki zieleni nagiej skały. Pod nią natomiast wyrastał pod samo niebo jesionowy las, w którym śpiewało wiele ptaków. Nigdy nie słyszałem tu głosów ludzi, ponieważ tak wysoko nie mieszkał już żaden śmiertelnik. Nisko w dole znajdowało się królestwo Jolkos, zmniejszone do rozmiaru mrówek – niezbyt wyszukane określenie. Lud Jolkos nazywany był Myrmidonami – to znaczy mrówkami.

Pośród wszystkich miast świata (z wyjątkiem tych na Krecie i Therze, zanim Posejdon je zatopił) jedynie Jolkos nie miało murów obronnych. Któż ośmieliłby się napadać na dom Myrmidonów, niezrównanych wojowników? Z tego powodu kochałem Jolkos

jeszcze bardziej. Mury mnie przerażały. W dawnych czasach, kiedy jeszcze wędrowałem, nie mogłem znieść zamknięcia w Mykenach czy Tirynsie dłużej niż dzień lub dwa. Mury to budowle wznoszone przez samą Śmierć z kamienia wydobywanego w Tartarze.

Wyrzuciłem miodowy plaster i sięgnąłem po bukłak z winem. Oślepiało mnie słońce, kładące się purpurą na dalekich krańcach Zatoki Pagasai. Połyskiwało na pozłacanych figurach znajdujących się na dachu pałacu, ożywiało kolory kolumn i murów świątyni, pałacu i budynków publicznych. Z miasta do mojej kryjówki wila się w górę droga, ale nikt z niej nigdy nie korzystał. Tego ranka jednak było inaczej. Usłyszałem zbliżający się pojazd. Gniew rozwiął czar kontemplacji. Wstałem i pokuśtykałem, by wyjść na spotkanie intruza i odesłać go z powrotem do licha. Był to ktoś szlachetnie urodzony, prowadził szybki wóz myśliwski, zaprzężony w dwa tesalskie kasztanki. Na bluzie nosił insygnia królewskiego domu. Z jasnym wzrokiem, uśmiechnięty skoczył na ziemię z wdziękiem właściwym tylko młodzieńcom i podszedł do mnie. Cofnąłem się, zapach człowieka w tych dniach był dla mnie wstrętny.

– Król przysłał ci pozdrowienia, mój panie – powiedział młodzieniec.

– O co chodzi, o co chodzi? – spytałem, stwierdzając z niezadowoleniem, że mój głos skrzeczy i chrypi.

– Król polecił mi przekazać tobie wiadomość, Chironie. Jutro on i jego królewski brat przyjadą, by oddać ci pod opiekę swoich synów do czasu, aż staną się młodymi mężczyznami. Masz ich nauczyć wszystkiego, co powinni wiedzieć.

Stałem wyprostowany. Król Peleus przecież dobrze wiedział! Jestem za stary, by zajmować się nieposłusznymi chłopcami, dawno już przestałem uczyć potomków domu, nawet tak znakomitego jak dom Ajakosa.

– Powiedz królowi, że nie jestem zadowolony! Nie chcę szkolić

jego syna ani syna jego królewskiego brata Telamona. Powiedz mu, że jeśli wstąpi jutro na tę górę, tylko straci czas. Chiron jest na emeryturze.

Młodzieniec spojrział na mnie, udając skonsternowanego.

– Chironie, nie śmiałybym przekazać mu takiej wiadomości. Polecono mi, bym cię powiadomił, że przybywa, i tak zrobiłem. Nie miałem przynosić mu żadnej odpowiedzi.

Kiedy powóz myśliwski zniknął, wróciłem na swoje miejsce, by stwierdzić, że piękny widok zniknął za welonem szkarłatu. Welonem mojej wściekłości. Jak król śmiał przypuszczać, że będę uczył jego potomka albo syna Telamona? Przecież to sam Peleus już dawno temu rozesłał po całej Grecji heroldów z wiadomością, że centaur Chiron przeszedł na emeryturę. Teraz łamie swój własny nakaz.

Telamon, Telamon... On miał dużo dzieci, ale tylko dwóch synów było jego faworytami. Starszy o dwa lata, był bękartem trojańskiej księżniczki Hezjone, miał na imię Teukros. Drugi był prawowitym potomkiem, o imieniu Ajaks. Peleus natomiast miał tylko jednego syna, zrodzonego przez Tetydę, która po sześciu martwych cudownie urodziła jednego żywego. Achillesa. Ile lat mogą mieć teraz Achilles i Ajaks? Z pewnością są mali. Cuchnący, zasmarkani, niedorostki. Fuj.

Cała moja radość wyparowała. Wściekły wróciłem do groty. Nie było odwrotu od tego zadania. Peleus był arcykrólem Tesalii, a ja jego poddanym, winnym mu posłuszeństwo. Zatem z punktu widzenia mojego długiego i beztroskiego urlopu z niepokojem patrzyłem na mające teraz nadejść dni i lata. Moja lira leżała na stole, na tyłach głównego pomieszczenia, jej dawno nie używane struny pokryły się kurzem. Przyjrzałem się jej posepnie i z niechęcią. Potem chwyciłem do ręki i strząsałem dowód mojego zaniedbania. Wszystkie struny były zwiotczałe, musiałem je odpowiednio naciągnąć. Dopiero potem mogłem zagrać.

Och, ten mój głos! Już po nim, po nim. Przez cały czas, gdy Febus powoził swym słonecznym rydwanem ze wschodu na zachód, grałem i śpiewałem, zmuszając zeszywniałe palce do posłuszeństwa, naciągając dłonie i nadgarstki, odgrywając gamy w górę i w dół. Bardzo złą rzeczą jest nabieranie wprawy przy uczniach. Musiałem więc ćwiczyć, zanim przybędą. Zatem dopiero, gdy w grocie zapadła ciemność i czarne milczące cienie nietoperzy zaczęły wnikać do swego nieba, gdzieś głębiej do wnętrza góry, przestałem grać, zmęczony ponad wszelkie wyobrażenie, głodny, zziębnięty i rozdrażniony.

Peleus i Telamon przybyli w południe. Podróżowali razem w królewskim rydwanie, za którym podążał drugi rydwan oraz wyładowany wóz, zaprzęgnięty w woły. Wyszedłem na drogę, by ich powitać, i stałem z pochyloną głową. Całe lata nie widziałem króla, ale jeszcze dłużej nie widziałem Telamona. Mój nastrój polepszył się, gdy zobaczyłem, jak nadjeżdżają. Tak, byli królami, ci dwaj mężczyźni promienieli siłą i władzą. Peleus, wielki jak zawsze, a Telamon jak zwykle gibki. Obaj zahartowani, uporali się ze swymi kłopotami, ale dopiero po długim okresie zmagania, wojen i troski. Tak, ci fałszerze metalu w ich ludzkich duszach zostawili swoje niezatarte znaki. Na ich głowach złoto ustąpiło miejsca srebru, ale nie zauważyłem oznak rozkładu w ich krzepkich ciałach ani twardych surowych twarzach.

Peleus wysiadł pierwszy i podszedł do mnie. Zanim zdążyłem się cofnąć, objął mnie serdecznie. Skurczyłem się, ale serdeczność zwyciężyła moją odrazę.

– Nie podejrzewałem, Chironie, że można wyglądać jeszcze starzej. Dobrze się miewasz?

– Wziąwszy wszystko pod uwagę, panie, bardzo dobrze.

Odeszliśmy trochę od rydwanów. Przyjrzałem się Peleusowi dokładnie.

– Panie, jak możesz prosić mnie, bym znowu nauczał? Czy nie zrobiłem już dość? Czy nie ma nikogo zdolnego poradzić sobie z waszymi synami?

– Chironie, jesteś niezrównany. – Patrząc na mnie z wysokości swego wzrostu, Peleus ścisnął mnie za ramię. – Musisz z pewnością wiedzieć, ile Achilles dla mnie znaczy. Jest moim jedynym synem, a innych nie będzie. Kiedy umrę, obejmie oba trony, zatem musi być dobrze wykształcony. Sam mogę wiele zrobić, ale bez odpowiednich podstaw to niemożliwe. Tylko ty możesz zapoznać go z rudymentami, Chironie, i wiesz o tym najlepiej. Dziedziczni następcy mają w Grecji niepewną pozycję. Zawsze znajdą się chętni do zrzucenia ich z tronu. – Westchnął. – Poza tym kocham Achillesa bardziej niż własne życie. Jakże mógłbym mu odmówić edukacji, którą sam otrzymałem?

– Wygląda na to, że psujesz chłopca.

– Nie. Sądzę, że jego nie da się zepsuć.

– Nie chcę tego zadania, Peleusie.

Przechylił głowę na bok, zmarszczył brwi.

– Głupotą jest popędzać martwego konia, ale czy przynajmniej widziałeś chłopców? Może zmienisz zdanie.

– Nie sądzą, nawet dla drugiego Heraklesa czy Peleusa, panie. Ale popatrzę na nich, jeśli tego sobie życzysz.

Peleus odwrócił się i skinął na dwóch chłopaków, którzy stali obok drugiego rydwanu. Podchodzili wolno, jeden za drugim. Nie mogłem dostrzec chłopca, który szedł z tyłu. Nic dziwnego. Chłopiec na przedzie z pewnością przyciągał wzrok. Jednak budził też rozczarowanie. To miał być Achilles, ten ukochany jedynak? Nie, z pewnością nie. To musiał być Ajaks, był za duży na Achillesa. Miał czternaście, może trzynaście lat, ale osiągnął już wzrost mężczyzny. Na jego wielkich ramionach grały mięśnie. Nie wyglądał źle, ale

niczym się nie wyróżniał. Zwykły duży wyrostek z nieco za małym nosem i szarymi oczami bez wyrazu, w których brakowało światła prawdziwego intelektu.

– To jest Ajaks – powiedział Telamon z dumą. – Ma dopiero dziesięć lat, choć wygląda na więcej.

Odsunąłem Ajaksa na bok.

– A to Achilles? – spytałem jakby zduszonym głosem.

– Tak – odparł Peleus, wysilając się, by zabrzmiało to obojętnie. – On także jest duży, jak na swój wiek. Niedawno skończył sześć lat.

W gardle miałem sucho. Przełknąłem ślinę. Już w tym wieku miał coś czarodziejskiego w sobie, jakiś powab, o którym nie wiedział, a który zjednywał mu ludzi i kazał go im kochać. Nie tak silnie zbudowany jak jego kuzyn Ajaks, ale wysoki, o mocnej sylwetce. Jak na tak małego chłopca, stał bardzo swobodnie. Przeniósłszy ciężar ciała na jedną nogę, drugą wdzięcznie wysunął do przodu, ręce zwiesił luźno wzdłuż boków, choć nie niezdarnie. Opanowany i nieświadomie królewski, wydawał się zrobiony ze złota. Włosy niczym promienie Heliosa, skrzydlate brwi błyszczące jak żółte kryształy, polerowana złota skóra. Bardzo piękny, z wyjątkiem bezwargich ust – prostych jak szczelina – niezwykle smutnych, a jednak zdradzających zdecydowanie. Złakłem się o niego. Patrzył na mnie poważnie, oczami koloru późnego świtu, żółtymi, zamglonymi oczami, napełnionymi ciekawością, bólem, żalem, oszołomieniem i inteligencją.

Siedem lat z mojego kończącego się życia poszło na bok, gdy usłyszałem własne słowa:

– Będę ich uczył.

Peleus rozpromienił się, a Telamon uścisnął mnie. Nie byli pewni.

– Nie możemy zostać – powiedział Peleus. – Na wozie znajduje

się wszystko, co będzie chłopcom potrzebne. I przywiozłem ci sługi do pomocy. Czy ten stary dom jeszcze stoi?

Pokiwałem głową.

– Zatem sługi mogą go używać jako mieszkania. Mają rozkaz słuchać każdego twojego polecenia. Przemawiasz w moim imieniu.

Krótko potem odjechali.

Zostawiając sługi zajęte wyładowywaniem wozu, podszedłem do chłopców. Ajaks stał niczym góra, bierny i uległy, o jasnym wzroku. Trzeba będzie walić w tę grubą czaszkę, zanim nabierze świadomości, jaka jest jej właściwa funkcja. Achilles nadal patrzył na drogę za swoim ojcem, z oczami pełnymi łez. To rozstanie miało dla niego wielkie znaczenie.

– Chodźcie ze mną, młodzi ludzie. Pokażę wam wasz nowy dom.

Szli w milczeniu, gdy prowadziłem ich do mojej grotty i pokazałem, jak wygodne może być takie dziwne miejsce zamieszkania. Wskazałem na miękkie futra, na których będą spać, miejsce, gdzie będziemy razem siadać podczas nauki. Potem zabrałem ich na skraj skały i usiadłem w swoim fotelu, z chłopcami po bokach.

– Czy cieszycie się, że będziecie się uczyć? – spytałem bardziej Achilleśa niż Ajaksa.

– Tak, mój panie – odparł grzecznie Achilles, ojciec udzielił mi widać lekcji dobrych manier.

– Nazywam się Chiron. Możecie się tak do mnie zwracać.

– Dobrze, Chironie. Ojciec powiedział, że muszę się cieszyć z nauki.

Zwróciłem się do Ajaksa.

– Na stole w grocie znajdziesz lirę. Przynieś mi ją, i staraj się jej nie upuścić.

Masywny młodzian spojrział na mnie bez urazy.

– Nigdy niczego nie upuszczam – odpowiedział całkiem poważnie.

Uniosłem brwi. Poczułem lekkie łaskotanie rozbawienia, ale to nie obudziło żadnej iskierki w szarych oczach syna Telamona. Poszedł wykonać to, co mu poleciłem – dobry żołnierz wykonujący rozkaz bez sprzeciwu. To było najlepsze, co mogłem zrobić dla Ajaksa, pomyślałem. Ukształtować go na żołnierza o doskonałej sile i wytrzymałości. Oczy Achillesa odbijały moją wesołość.

– Ajaks zawsze traktuje wszystko poważnie – powiedział pewnym, spokojnym i miłym głosem, którego już lubiłem słuchać. Wyciągnął rękę, aby wskazać na miasto w dole.

– Jolkos?

– Tak.

– Zatem to musi być pałac, tam na wzgórzu. Jakże mały wydaje się stąd! Zawsze uważałem, że rywalizuje z Pelionem, jednak z Pelionu wygląda jak inne domy.

– Wszystkie pałace tak wyglądają, jeśli tylko zdołasz odejść od nich dość daleko.

– Tak, rozumiem.

– Tęsknisz już za ojcem.

– Myślałem, że się popłaczę, ale już mi przeszło.

– Zobaczysz go znowu na wiosnę, a czas szybko minie. Nie będzie okazji na bezczynność, a to bezczynność rodzi niezadowolenie, nieszczęście, złe zamiary i wybryki.

Nabrał powietrza.

– Czego muszę się nauczyć, Chironie? Co powinienem wiedzieć, aby być wielkim królem?

– Zbyt tego wiele, by to szczegółowo opisać, Achillesie. Wielki król jest krynica wiedzy. Każdy król powinien być najlepszym człowiekiem, ale wielki król rozumie, że jest reprezentantem swego ludu przed bogiem.

– Nauka nie przyjdzie zbyt szybko.

Wrócił Ajaks z lirą w dłoni, ostrożnie niosąc ją nad ziemią. Był to duży instrument, bardziej przypominający harfę, na której grają Egipcjanie, uformowany z olbrzymiej skorupy żółwia, która błyszczała odcieniami brązu i bursztynu, z małymi złotymi kołkami. Położyłem ją na kolanie i delikatnie dotknąłem strun, wzbudzając piękny dźwięk, nie melodię.

– Musicie grać na lirze i zapoznać się z pieśniami swojego ludu. Największym grzechem jest być kimś niekulturalnym i nieokrzesany. Będziecie musieli wyuczyć się na pamięć historii i geografii świata, wszystkich cudów natury, wszystkich skarbów pod łonem Matki Kubaby, która jest Ziemią. Nauczę was polować, zabijać, walczyć wszystkimi rodzajami broni oraz samemu ją wykonywać. Pokażę wam zioła leczące choroby i rany, nauczę wyrabiać leki, wyszkolę w składaniu złamanych kończyn. Wielki król czyni więcej zapasów na życie niż na śmierć.

– A retoryka? – spytał Achilles.

– Oczywiście. Po moich lekcjach wasza retoryka będzie wyciągać słuchaczom serca z piersi, z powodu radości albo smutku. Pokażę wam też, jak osądzać ludzi, jak tworzyć prawa i je wykonywać. Nauczę was, czego spodziewają się po was bogowie, ponieważ jesteście wybrani. – Uśmiechnąłem się. – A to dopiero początek!

Wziąłem lirę i oparłem ją na ziemi, a potem wyciągnąłem ręce nad jej strunami. Przez kilka chwil tylko grałem, kolejne dźwięki były coraz mocniejsze, a wtedy, w punkcie kulminacyjnym, gdy ostatni akord zamarł w ciszy, zacząłem śpiewać.

*Był sam, z każdej strony otoczony wrogami.
Potomstwo królowej Hery wyciągało swe ręce,
A złocone belki Olimpu drżały,
Gdy odwracała się niespokojnie, by go obserwować.
Nieprzejednany jej boski gniew! Król Zeus
Bezsilny na wszystkich krańcach swego nieba,
Bo oto obiecał świetnej Herze swego syna jęczącego w niewoli na
ziemi.
Eurysteusz, jej faworyt, zimny i bezlitosny,
Śmiał się, licząc strumyki potu, którymi Herakles dawał swą zapłatę.
To dzieci bogów muszą pokutować,
Gdyż oni sami nie podlegają odwetowi,
Taka jest różnica między bogami a ludźmi, którzy modlą się do nich
jako ofiary.
Nieślubne dziecię, bez kropli nektaru, Herakles, zapłacił cenę za
namiętność.
W cierpieniu i poniżeniu ją płacił,
A Hera śmiała się, widząc, jak Zeus płacze...*

Była to ballada o Heraklesie, żywa od tylu lat. Śpiewając, obserwowałem ich obu. Ajaks słuchał uważnie, Achilles z napiętym ciałem, pochylony do przodu, z brodą opartą na rękach i łokciami na oparciu mojego fotela. Jedynie jego oczy nie spoczywały na mojej twarzy. Kiedy w końcu odłożyłem lirę, opuścił ręce z westchnieniem, wyczerpany.

Tak to się zaczęło i tak trwało, a lata mijały. Achilles przodował we wszystkim, Ajaks posuwał się z trudem przez wyznaczone zadania. Syn Telamona nie był jednak głupi. Miał odwagę i determinację, których mógł mu pozazdrościć niejeden potężny król, i zawsze udawało mu się dotrzymywać kroku Achillesowi. Jednak moim chłopcem, moją radością był ten drugi. Każda najdrobniejsza rzecz, o której mu mówiłem, była chowana z zazdrosną troską – do

wykorzystania wtedy, gdy już będzie wielkim królem, jak powiedziałby z uśmiechem. Kochał naukę i podobały mu się wszystkie jej dziedziny, dobry zarówno w pracy umysłu, jak i w pracy rąk. Do dziś mam kilka jego glinianych mis i małych rysunków.

Achilles, oprócz tego, że dobrze sobie radził w nauce, był stworzony do działania, wojny i wielkich czynów. Nawet w sensie fizycznym przewyższał swego kuzyna, ponieważ szybciej biegał i chwycił rękojeść broni niczym chciwa kobieta szkatułkę z klejnotami. Nigdy nie chybiał dzidą i trudno było dostrzec miecz, kiedy już po niego sięgnął. Widziałem tylko błysk i świst. O tak, był urodzonym przywódcą! Rozumiał sztukę wojny bez żadnego trudu, instynktownie. Urodzony myśliwy, wracał do grotty, ciągnąc dzika, zbyt ciężkiego, by go nieść, i mógł dalej biec za jeleniem. Tylko raz widziałem go w kłopotcie, kiedy spadł do kamieniołomu. Upadł z taką siłą, że minęło trochę czasu, zanim odzyskał przytomność. Zawiodła go, jak wyjaśnił, prawa noga.

Ajaks niekiedy rozpalał się gwałtowną wściekłością, ale nigdy nie widziałem, żeby Achilles stracił nad sobą panowanie. Ani żeby się kiedyś zawstydził czy wycofał. Posiadał wewnętrzny spokój i opanowanie. Myślący wojownik. To rzadkość. W jednym tylko wypadku szczelina jego ust objawiała drugą stronę jego natury. Gdy coś się nie zgadzało z jego poczuciem przyzwoitości, potrafił być tak chłodny i nieugięty jak północny wiatr przynoszący śnieg.

Te siedem lat dało mi dużo radości, więcej niż cała reszta życia razem wzięta, nie tylko dzięki Achillesowi, ale i Ajaksowi. Kontrast między kuzynami był tak wyraźny, a ich doskonałość tak wielka, że przetapianie ich w mężczyzn stało się zadaniem pełnym miłości. Z wszystkich chłopców, których uczyłem, najbardziej kochałem Achillesa. Kiedy odjechał, płakałem. Przez wiele księżyców potem moja wola życia była niczym uporczywy komar, który dręczył Jo. Dużo czasu minęło, nim mogłem bez mgły w oczach patrzeć ze

swego fotela na pałac i złotą obwódkę dachu błyszczącą w słońcu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

OPOWIEŚĆ HELENY

Ksantypa dała mi ostrą nauczkę, schodziłam z pola dysząca i wyczerpana. Zgromadziłyśmy ogromną widownię, a ja kręgowi pełnych podziwu twarzy posłałam jeden z mych najbardziej promiennych uśmiechów. Żaden mężczyzna nie był zainteresowany, by pogratulować Ksantypie wygranej. Przyszli tu, by mnie oglądać. Tłocząc się, śpiewali pochwalne hymny. Korzystali z każdej sposobności, by dotknąć mojej dłoni czy ramienia. Kilku śmiazków żartobliwie zaoferowało nawet chęć odbycia zapasów ze mną. Nie było sposobu, by uniknąć ich żartów, ordynarnych, niesubtelnych i brutalnych.

Mimo mych lat nadal traktowali mnie jak dziecko, ale ich wzrok temu przeczył. Ich spojrzenie mówiło mi o mnie to, o czym i tak już wiedziałam, ponieważ w moich pokojach znajdowały się lustra z polerowanej miedzi. Ja także miałam oczy. Choć wszyscy byli szlachetnie urodzeni, żaden z nich tak naprawdę się nie liczył. Strząsnęłam ich jak wodę po kąpieli. Wzięłam od mojej służącej lniany ręcznik i wśród chóru protestów owinęłam nim swe nagie, spocone kończyny.

Wtedy z tyłu tłumu zobaczyłam swojego ojca. Ojciec też tu był? To nadzwyczajne! Nigdy nie przychodził oglądać, jak kobiety uprawiają parodię męskich sportów! Moja mina kazała kilku dworzanom odwrócić się i w jednej chwili wszyscy zniknęli. Podeszłam do ojca i pocałowałam go w policzek.

– Czy zawsze masz taką entuzjastyczną publiczność, moje dziecko? – spytał, marszcząc brwi.

– Tak, ojciec – odparłam, wdzięcząc się. – Mnie najbardziej podziwiają, wiesz o tym.

– Właśnie widzę. Chyba się starzeję i tracę zmysł obserwacji. Na szczęście twój starszy brat nie jest ani stary, ani ślepy. Powiedział mi dziś rano, że rozsądnie byłoby, gdybym wpadł na kobiece widowisko sportowe.

Najeżyłam się.

– Dlaczegoż to Kastor tak się o mnie troszczy?

– Byłoby źle, gdyby tego nie robił.

Doszliśmy do drzwi sali tronowej.

– Umyj się, Heleno, ubierz i przyjdź do mnie.

Jego twarz niczego mi nie powiedziała, zatem wzruszyłam ramionami i pobiegłam do siebie.

W moich pokojach czekała na mnie z wymówkami Neste. Pozwoliłam się jej odwinąć z ręcznika. Nie mogłam się doczekać ciepłej kąpieli, szorowania szczotką mojej skóry. Paplając coś, odrzuciła ręcznik w kąt i zaczęła rozwiązywać wstażki przy bieliźnie. Nie słuchałam jej. Skacząc po zimnych płytkach, weszłam do kąpieli, radośnie rozpryskując wodę. Co za cudowne uczucie, dotyk wody, która paruje tak, że mogę się pieścić ukryta przed wzrokiem Neste. Co za przyjemność potem stanąć i pozwolić, by natarła mnie pachnącym olejkiem, i samej się trochę ponacierać. W ciągu dnia nigdy dość chwil na pieszczoty, pocieranie, ofiarowanie sobie tej odrobiny dreszczyku, o który dziewczyny w rodzaju Ksantypy wydają się nie zabiegać. Może dlatego, że nie miały Tezeusza, który by je tego nauczył.

Jedna ze służących ułożyła krąg mojej spódnicy na podłodze, bym mogła w nią wejść. Podciągnęły ją do góry i zawiązały w pasie. Była ciężka, ale teraz przyzwyczaiałam się do jej wagi, ponieważ od dwóch lat nosiłam już kobiece spódnice, to znaczy od czasu mojego powrotu z Aten. Matka uznała za niepoważne ubieranie mnie w dziecięce rzeczy po tej ateńskiej przygodzie. Potem włożyły mi

koszulę, sznurowaną pod biustem, szeroki pas i fartuch, który mógł być zawiązany dopiero, gdy wciągnęłam powietrze. Jedna z kobiet przełożyła moje włosy przez otwór w złotym diademie, a druga włożyła piękne kryształowe kolczyki w moje przekłute uszy. Podnosiłam nagie stopy, najpierw jedną, potem drugą, pozwalając im nałożyć małe pierścienie z dzwonekami na wszystkie dziesięć palców, a na ręce tuziny brzęczących bransolet.

Kiedy skończyły, podeszłam do swojego największego lustra i krytycznie przyjrzałam się sobie. To była moja najładniejsza spódnica, cała w frędzlach i falbankach od pasa w dół, obciążona paciorkami kryształu i bursztynu, amuletami z lapis-lazuli i bitego złota, złotymi dzwonekami i wisiorami z fajansu. Każdemu mojemu ruchowi towarzyszyła muzyka. Pas nie był dość ciasno związany. Kazałam dwóm silnym kobietom go poprawić.

– Dlaczego nie mogę pomalować sobie sutków na złoto, Neste?
– spytałam.

– Mnie nie pytaj, księżniczko. Zapytaj matkę. Zachowaj jednak tę sztuczkę na czasy, kiedy będziesz jej potrzebowała, po tym, jak urodzisz dziecko i twoje sutki staną się ciemnobrązowe.

Stwierdziłam, że chyba ma rację. Należałam do tych szczęśliwych kobiet, które miały sutki różowe i sterczące jak pączki, a piersi pełne i wysokie.

Jak to powiedział Tezeusz? Dwa pulchne, białe szczeniaczki z różowymi noskami. Kiedy o nim myślałam, mój nastrój natychmiast się zmieniał. Odeszłam od lustra, szeleszcząc falbanami i brzęcząc błyskotkami. Och, leżeć znowu w jego ramionach! Tezeusz, mój ukochany Tezeusz. Jego usta, dłonie, sposób, w jaki dręczył moje ciało, by w końcu szalało z pożądania... Potem przybyli oni, by mnie zabrać, moi szacowni bracia, Kastor i Polluks. Gdyby tylko był w Atenach, kiedy oni przyjechali! Lecz on był daleko na Skyros, u króla Likomedesa, zatem nikt nie śmiał się sprzeciwić synom Tyndarejosa.

Pozwoliłam, by kobiety namalowały czarne kreski wokół moich oczu i zabarwiły powieki na złoto, ale nie zgodziłam się na umalowanie policzków i ust karminem. Nie ma potrzeby, zawyrokował Tezeusz. Potem zesłam do sali tronowej, by spotkać się z ojcem, który siedział w fotelu koło okna. Natychmiast wstał.

– Podejź do światła – powiedział.

Nie pytając, zrobiłam, co kazał. Był dla mnie pobłażliwym rodzicem, tak, ale był również królem. Kiedy tak stałam w ostrym słońcu, on cofnął się kilka kroków i przyglądał mi się, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział.

– O tak! Tezeusz miał oko bystrzejsze od wszystkich młodzieńców w Lakonii. Twoja matka ma rację, jesteś dorosła. Dlatego musimy coś z tobą zrobić, zanim zjawi się kolejny Tezeusz.

Twarz mi płonęła. Nie odezwałam się.

– Nadszedł czas, byś wyszła za mąż, Heleno. – Zastanawiał się przez chwilę. – Ile masz lat?

– Czternaście, ojcze.

Małżeństwo! Nareszcie coś ciekawego!

– Zatem nie jest za wcześnie – odparł.

Weszła moja matka. Nie spojrzałam na nią. Czułam się nieszczególnie, stojąc tak przed ojcem, który przyglądał mi się wzrokiem mężczyzny. Jednak ona to zlekceważyła, podeszła do jego boku i także zaczęła mnie taksować. Potem wymienili długie, znaczące spojrzenie.

– Mówiłam ci, Tyndarejosie – powiedziała.

– Tak, Ledo, potrzeba jej męża.

Moja matka zaśmiała się wysoko, melodyjnie, co podobno kiedyś tak zachwyciło potężnego Zeusa. Była mniej więcej w moim wieku, kiedy znaleziono ją oplatającą nagimi kończynami wielkiego

łabędzia, rozpaloną i jęczącą z rozkoszy. Szybko myślała. Zeus, Zeus, łabędziem był Zeus, to on mnie zgwałcił! Jednak ja, jej córka, wiedziałam lepiej. Jak mogły te cudowne białe pióra w ogóle coś czuć? Ojciec wydał ją trzy dni później za Tyndarejosa, któremu urodziła dwie pary bliźniąt: najpierw Kastora i Klitajmestrę, a po kilku latach Polluksa i mnie. Choć niektórzy uważają, że to Kastor i Pollutes są bliźniakami. Albo że cała nasza czwórka urodziła się razem, jako czworaczki. Gdyby tak było, to kto z nas należał do Zeusa, a kto do Tyndarejosa? Tajemnica.

– Kobiety z mojego domu wcześniej dojrzewają i wiele cierpią – powiedziała moja matka Leda, nadal się śmiejąc.

Ojciec nie śmiał się.

– Tak – odpowiedział raczej szorstko.

– Nietrudno będzie znaleźć jej męża. Będziesz musiał odpędzać ich kijami, Tyndarejosie.

– Jest wysoko urodzona i ma duży posag.

– Głupstwa! Jest tak piękna, że nie będzie się liczyło, ile ma posagu. Arcykról Attyki oddał nam przysługę, rozgłaszał o jej urodzie od Tesalii po Krete. Nieczęsto się spotyka, by mężczyzna dojrzały i doświadczony jak Tezeusz, dał się tak omamić, że wprowadził dwunastoletnie dziecko.

Wargi mojego ojca zacisnęły się.

– Wolałbym raczej, aby nie wspominać o tej sprawie – powiedział sztywno.

– Szkoda, że jest piękniejsza od Klitajmestry.

– Klitajmestra pasuje do Agamemnona.

– Szkoda, że nie ma dwóch arcykrólów w Mykenach.

– Jest w Grecji jeszcze trzech innych arcykrólów – odparł, zaczynając myśleć praktycznie i rozsądnie.

Usunęłam się ukradkiem ze światła, nie chcąc, by mnie zauważono i odprawiono. Temat rozmowy – czyli ja – był zbyt interesujący. Lubiłam słuchać, jak ludzie nazywają mnie piękną. Szczególnie gdy mówili, że jestem piękniejsza od Klitajmestry, mojej starszej siostry, która wyszła za Agamemnona, arcykróla Myken i arcykróla całej Grecji. Choć nigdy jej nie lubiłam, zawsze napawała mnie trwogą, gdy kroczyła po korytarzach w czasie jednego z tych swoich napadów złego humoru. Jej płomienne włosy były szaleńczo rozwiane, a czarne oczy ciskały błyskawice. Uśmiechnęłam się. Cóż za zabawny taniec musiała prowadzić ze swym mężem w czasie takich napadów! Jednakże Agamemnon wyglądał na takiego, który potrafi nad nią zapanować. Był równie władczy jak Klitajmestra.

Rodzice ciągle debatowali nad moim małżeństwem.

– Lepiej roześle heroldów do wszystkich królów – powiedział ojciec.

– Tak, im szybciej, tym lepiej. Nowa religia niezbyt chętnie spogląda na poligamię, lecz wielu królów nie wzięło sobie królowych. Na przykład Idomeneusz. Wyobraź sobie! Jedna córka na tronie Myken, a druga na tronie Kreta. Cóż to byłby za tryumf!

Ojciec zaprotestował.

– Kreta nie jest już taką potęgą jak niegdyś. Obie te pozycje nie są sobie równe.

– Filoktet?

– Tak, wspaniały mężczyzna, przeznaczony do wielkich czynów, jak powiadają. Jednakże jest królem Tesalii, a to znaczy, że musi składać hołd zarówno Peleusowi, jak i Agamemnonowi. Wolałbym raczej Diomedesa. Właśnie wrócił z kampanii w Tebach i opływa w bogactwo i chwałę. Myśl o Argos jest mi dość miła. Najlepszym kandydatem byłby Peleus, gdyby był młodszy, ale powiadają, że nie chce się już żenić.

– Nie ma sensu zatrzymywać się na tych, którzy są nieosiągalni
– powiedziała matka żywo. – Zawsze jeszcze jest Menelaos.

– Zapomniałem o nim. Jak mogłem.

– Wyślij zaproszenia do wszystkich, Tyndarejosie. Zarówno do następców tronów, jak i do królów. Odyseusz z Itaki też został królem, teraz, gdy Laertes się postarzał. A Menestenes jest bardziej stanowczym arcykrólem Attyki od Tezeusza – dzięki bogom, nie musimy mieć już do czynienia z Tezeuszem!

Podskoczyłam.

– Co masz na myśli? – spytałam, a ciarki przeszły mi po skórze. W głębi serca miałam nadzieję, że właśnie Tezeusz przybędzie po mnie i zażąda jako panny młodej. Od czasu powrotu z Aten nie słyszałam o nim żadnej wzmianki.

Matka chwyciła mnie za rękę.

– No cóż, lepiej, jak dowiesz się od nas, Heleno. Tezeusz nie żyje. Został wypędzony i zabity na Skyros.

Wyrwałam się i pobiegłam do swego pokoju. Moje marzenia legły w gruzach. Nie żyje? Tezeusz nie żyje? Tezeusz umarł. A wraz z nim częśćka mej duszy.

Dwa miesiące później przybył mój szwagier Agamemnon wraz ze swym bratem Menelaosem i całym orszakiem. Byłam obecna, kiedy weszli do sali tronowej – dla mnie nowość, ale całkiem podniecająca. Nagle stałam się osią, wokół której toczyły się wszystkie rozmowy. Posłańcy, chcąc nas uprzedzić o wizycie, przybyli od Bramy Lwa, zatem król Myken i całej Grecji wkroczył przy dźwięku rogów, w szacie ze złota spływającej aż do jego królewskich stóp.

Nigdy nie mogłam się zdecydować, czy go lubię czy nie. Jednak rozumiałam trwożę, którą budził. Wysoki i wyprostowany jak zawodowy żołnierz, wchodził, jakby należał do niego cały świat. Jego

kruczoczarne włosy były z lekka przyprószone siwizną, bystre czarne oczy mogły wydawać się groźne, nos dumnie zadarty, wąskie wargi opadały w kącikach, nadając mu wyraz ciągłej pogardy.

Mężczyźni o ciemnych włosach byli czymś niezwykłym w Grecji – w ziemi mężczyzn wysokich i jasnych. Agamemnon jednak nie wstydził się tego i podkreślał swoją urodę. Choć panowała obecnie moda na gładko ogolone podbródki, on nosił długą kręconą, czarną brodę, ułożoną w regularne loki, oplecione złotymi wstążkami. Tak samo miał ufryzowane włosy. Był w długiej sukni z purpurowej wełny, wyszywanej złotą nicią w skomplikowane wzory. W prawej ręce niósł królewskie berło z litego złota, wywijając nim z taką łatwością, jakby było wykonane z kredy.

Ojciec zszedł ze swego tronu i ukląkł, by ucałować jego dłoń. Złożył hołd, który arcykrólowi Myken byli winni wszyscy królowie greccy. Matka ruszyła za nim. Przez chwilę mnie ignorowano, co dało mi czas na przyjrzenie się mojemu przyszłemu zalotnikowi, Menelaosowi. Och! Niecierpliwe oczekiwanie ustąpiło miejsca rozczarowaniu. Przyzwyczaiłam się do myśli, że wyjdę za sobowtóra Agamemnona. A ten tu człowiek zupełnie nie był do niego podobny. Czy rzeczywiście to rodzony brat arcykróla Myken, syn Atreusza z tego samego łona? Wydawało się to niemożliwe. Niski. Krępy. Miał grube i niezgrabne nogi, które w obcisłych spodniach wyglądały śmiesznie. Okrągłe, pochylone ramiona. Łagodny i skruszony. Pospolite rysy. Włosy tak samo płomiennorude jak u mojej siostry. Zrobiłby na mnie lepsze wrażenie, gdyby jego włosy miały inny kolor.

Ojciec skinął na mnie. Ruszyłam z trudem do przodu i podałam mu rękę. Imperialny gość zwrócił na mnie swój wzrok, gorące, pełne podziwu spojrzenie. Po raz pierwszy doświadczyłam fenomenu, z którym miałam tak dobrze zaznajomić się w nadchodzących latach. Byłam ni mniej, ni więcej, jak tylko cenną zwierzyną wystawioną na sprzedaż za najwyższą cenę.

– Jest doskonała – powiedział Agamemnon do ojca. – Jak udało ci się spłodzić tak piękne dzieci, Tyndarejosie?

Ojciec zaśmiał się, objawszy matkę w pasie.

– To tylko w połowie moja zasługa, panie – odparł.

Potem odwrócili się i zostawili mnie z Menelaosem, ale zdażyłam jeszcze usłyszeć ostatnie pytanie króla.

– Jaka prawda kryje się za tym epizodem z Tezeuszem? – spytał.

Matka wtrąciła się szybko.

– Porwał ją, Agamemnonie. Na szczęście Ateńczycy uznali to za kroplę, która przepelniła czarę. Wygnali go, zanim zdażył ją pozbawić dziewictwa. Kastor i Polluks przywieźli ją z powrotem nietkniętą.

Kłamczucha, kłamczucha!

Menelaos popatrzył na mnie, uśmiechnęłam się wdzięcznie.

– Nie byłeś nigdy wcześniej w Amyklaju – powiedziałam.

Wymamrotał coś, zwiesiwszy głowę.

– O co chodzi? – spytałam.

– N...n...n...nie – udało mu się wykrztusić.

O nie, na dodatek się jąkał!

Zalotnicy nareszcie się zgromadzili. Jedynie Menelaosowi pozwolono mieszkać w pałacu, z powodu jego powinowactwa z naszą rodziną – oraz zwierzchnictwa jego brata. Reszta została rozmieszczona w domach dworzan oraz domach gościnnych. Była ich setka. Najzabawniejsze zdawało mi się to, że żaden z nich nie był bardziej nudny i nieatrakcyjny od rudowłosego jąkały Menelaosa.

Filoktet i Idomeneusz przybyli razem. Wysoki, jasny, tryskający

energiją Filoktet i dumny Idomeneusz, kroczący ze świadomą arogancją kogoś urodzonego w pałacu Minosa, który po Katreusie miał władać Kretą jako arcykról.

Kiedy wszedł Diomedes, od razu uznałam go za najlepszego. Prawdziwy król i wojownik. Wokół niego roztaczała się ta sama aura światowego doświadczenia, która towarzyszyła Tezeuszowi. Choć ten był tak czarny, jak Tezeusz jasny; tak czarny jak Agamemnon. Przystojny! Wysoki i gibki, czarna pantera. Oczy błyszczały mu prowokująco, usta wydawały się zawsze śmiać. W jednej chwili wiedziałam, że wybiorę jego. Kiedy rozmawiał ze mną, rozbierał mnie wzrokiem. Całe moje ciało przebiegł krótki dreszcz pożądania. Tak, wybiorę króla Diomedesa z Argos.

Skoro przybyli już wszyscy, mój ojciec wydał wielką ucztę. Siedziałam na podwyższeniu niczym królowa, udając, że nie zauważam spojrzeń setki śmiałych oczu, nieustannie ku mnie płynących. Mój wzrok, ilekroć się dało, spoczywał na Diomedesie. Lecz kto to nagle odwrócił ode mnie jego uwagę? Między ławami przeciskał się mężczyzna, którego przybycie jedni witali oklaskami, a drudzy gwizdami. Diomedes zerwał się i obrócił przybysza do siebie w silnym uścisku. Wywiązała się między nimi szybka rozmowa, potem przybysz klepnął Diomedesa po plecach i ruszył dalej ku podwyższeniu, by powitać mojego ojca i Agamemnona, którzy powstali. Agamemnon wstaje? Arcykról z Myken nie wstaje przed byle kim!

Przybysz był jakiś inny. Wysoki, ale z pewnością byłby jeszcze wyższy, gdyby jego nogi były proporcjonalne do reszty ciała. Ale nie były. Były nienormalnie krótkie i lekko krzywe. Muskularna sylwetka zdawała się zbyt ciężka, jak na tak karłowate podpory. Miał twarz prawdziwie pięknego mężczyzny, miłe rysy i niezwykle duże, jasne oczy, błyszczące i pełne wyrazu. Jego włosy charakteryzowały się agresywną, jasną rudością, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Przy nich włosy Klitajmestry i Menelaosa były blade.

Kiedy jego wzrok spoczął na mnie, poczułam jego siłę. Ciało przeszedł dreszcz. Kto to jest?

Ojciec skinął niecierpliwie na sługę, który umieścił królewski fotel między nim i Agamemnonem. Kto to jest, że tak go honorują? Choć na nim te honory nie robiły żadnego wrażenia.

– Oto Helena – powiedział ojciec.

– Nic dziwnego, że dziś widzę tu pół Grecji, Tyndarejosie – powiedział wesoło, chwytając kurze udko i zanurzając w nie głęboko swoje białe zęby. – Teraz zaczynam wierzyć plotkom – ona rzeczywiście jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Będziesz miał kłopot z tą gromadą gorących głów. Możesz zadowolić tylko jednego, a tyłu musisz rozczarować.

Agamemnon spojrzał na mego ojca żałośnie i obaj wybuchnęli śmiechem.

– Wiedziałem, że zauważysz problem w minutę po swoim przybyciu, Odyseuszu – powiedział arcykról.

Moje zdumienie rozwiało się. Poczułam się głupio. Odyseusz, oczywiście. Któż inny miałby śmiałość rozmawiać z Agamemnonem jak równy z równym? Komu innemu przysługiwałby specjalny fotel na podwyższeniu.

Wiele o nim słyszałam. Jego imię zawsze się pojawiało, ilekroć była mowa o prawach, decyzjach, nowych podatkach, wojnie. Ojciec wyruszył kiedyś w tajemniczą wyprawę do Itaki tylko po to, by się go poradzić. Uważano go za najinteligentniejszego człowieka na świecie, bystrzejszego od Nestora i Palamedesa. On był nie tylko inteligentny, ale i mądry. Nic dziwnego, że w mojej wyobraźni Odyseusz był szacownym siwowłosym starcem, pochylonym przez troski długiego życia, tak starym jak król Nestor z Pylos. Kiedy Agamemnon miał ważne sprawy do omówienia, posyłał po Palamedesa, Nestora i Odyseusza, ale zazwyczaj to Odyseusz je rozstrzygał.

Wiele szeptało się o Lisie z Itaki, jak zwali go mężczyźni. Jego królestwo składało się z czterech skalistych, jałowych wysepek na zachodnim wybrzeżu, biedna i godna pożałowania domena. Pałac miał skromny i był rolnikiem, ponieważ jego dworzanie nie mogli płacić dość podatków, aby go utrzymywać. Jego imię jednak uczyniło Itakę sławnym miejscem. Wówczas, gdy przybył do Amyklaju i widziałam go po raz pierwszy, miał nie więcej jak dwadzieścia pięć lat – a może był młodszy, jeśli to prawda, że mądrość czasami ma moc postarzania ludzkiej twarzy.

Kontynuowali rozmowę, chyba zapomniawszy, że siedzę po lewej ręce ojca i mogę wszystko podsłuchać. Jako że po swej prawej stronie miałam Menelaosa, żadna konwersacja mnie nie rozpraszała.

– Czyżbyś zamierzał prosić o Helenę, mój przebiegły przyjacielu?

Odyseusz popatrzył złośliwie.

– Zauważyłeś mnie, Tyndarejosie.

– Istotnie, i co z tego? Nie przypuszczałem, żebyś chciał zaprzętać sobie głowę polowaniem na pięknotki, chociaż ona ma posag.

Zrobił zdumioną minę.

– A moja ciekawość? Nie zapominaj o mojej ciekawości! Czy sądzisz, że ominąłbym takie widowisko?

Agamemnon uśmiechnął się, a mój ojciec roześmiał na głos.

– Widowisko, to prawda! Co mam począć, Odyseuszu? Popatrz na nich! Stu jeden królów i książąt, wszyscy warczą na siebie i zastanawiają się, kto będzie tym szczęśliwcem; zdeterminowani podważać mój wybór, nie bacząc na logikę i względy polityczne.

Tym razem przemówił Agamemnon.

– Rozwinęło się tu coś w rodzaju zakładów: kto jest najbardziej

faworyzowany przez arcykróla Myken i jego teścia Tyndarejosa z Lakonii! Wiedzą, że Tyndarejos zasięgnie mojej rady. Lecz jak widzę, z tej sytuacji może zrodzić się tylko trwała nienawiść.

– Rzeczywiście. Spójrzcie na Filokteta, jak pręży swój dumny kark i prycha. Nie wspominając o Diomedesie i Idomeneuszu. Menestenesie. Eurypylosie. I tak dalej.

– Co więc powinniśmy zrobić? – zapytał arcykról.

– Czy to oficjalna prośba o radę, panie?

– Tak.

Zesztywniałam. Zaczęłam sobie uświadamiać, jak nikła była moja rola w tym wszystkim. Nagle zachciało mi się płakać. Ja wybieram? O nie! To oni wybiorą – Agamemnon i mój ojciec. Choć jak to teraz rozumiem, mój los w swej dłoni trzymał Odyseusz. I czy ja go obchodziłam? Nawet nie zerknął na mnie. Serce mi zamarło. Nie, ja go nie obchodziłam. W tych pięknych szarych oczach nie było śladu żądy. Nie przyszedł tu, aby starać się o moją rękę. Przyszedł, bo wiedział, że będzie potrzebna jego rada. Przyszedł, by wzmocnić swoją pozycję.

– Jak zwykle cieszę się, że mogę służyć radą – powiedział łagodnie, ze wzrokiem skierowanym na mojego ojca. – Jednakże, Tyndarejosie, zanim uporamy się z problemem bezpiecznego i politycznego wydania Heleny za męża, muszę poprosić o małą przysługę.

Agamemnon wydawał się zgorszony. Usilnie zastanawiałam się, o jaki to subtelny targ tu chodzi.

– Chcesz Helenę dla siebie? – spytał ojciec bez ogródek.

Odyseusz odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się tak głośno, że na chwilę cała sala umilkła.

– Nie! Nie! Nie śmiałybym o nią prosić, skoro moja fortuna jest tak znikoma, a królestwo tak ubogie. Biedna Helena! Mój umysł

wzdraga się przed wizją tego piękna uwięzionego na skale sterczącej z Morza Jońskiego! Nie, nie pragnę Heleny dla siebie. Pragnę innej.

O! – chrząknął Agamemnon, mięknąc. – Kogo?

Odyseusz wolał skierować swoją odpowiedź do mojego ojca.

– Córkę twojego brata Ikariosa, Tyndarejosie. Penelopę.

– To nie powinno być trudne – odparł mój ojciec zdziwiony.

– Ikarios mnie nie lubi, poza tym było wielu lepszych pretendentów do ręki Penelopy.

– Dopilnuję tego – rzekł ojciec.

– Uważaj to za załatwione – dodał Agamemnon.

Cóż za szok dla mnie! Nawet, jeśli oni rozumieli, co Odyseusz widział w Penelopie, to ja z pewnością nie. Dobrze ją znałam, była moją najbliższą kuzynką. Nie wyglądała źle, i była wielką dziedziczką, ale jaka nudna! Kiedyś przyłapała mnie na tym, jak jeden z dworzan całował moje piersi – z pewnością na nic więcej bym mu nie pozwoliła – i wygłosiła mi kazanie na temat tego, jak to żądza ciała jest niemądra i niegodna. Zrobiłabym lepiej, stwierdziła tym swoim odmierzonym, pozbawionym emocji głosem, skupiając się na prawdziwie kobiecych zajęciach, na przykład na tkactwie. Popatrzyłam na nią, jakby była szalona. Tkactwo!

Odyseusz znowu zaczął mówić, poniechałam więc swoich myśli o kuzynce Penelopie i słuchałam uważnie.

– Domyślam się, komu zamierzasz oddać swoją córkę, Tyndarejosie, i rozumiem dlaczego. Jednakże to, kogo wybierzesz, nie jest ważne. Ważne jest to, że musisz bronić interesów własnych i Agamemnona – i zagwarantować sobie układ z unieszczęśliwioną setką mężczyzn po tym, jak ogłosisz wybór jednego. Pomogę ci tego dokonać. Założywszy, że wykonasz dokładnie to, co ci powiem.

– Wykonamy – odpowiedział Agamemnon.

– Zatem pierwszy krok to zwrócić wszystkie dary, jakie przynieśli zalotnicy, jednocześnie serdecznie dziękując za dobre intencje. Żaden z nich nie może nazwać cię chciwym, Tyndarejosie.

Ojciec spojrzał zasmucony.

– Czy to rzeczywiście konieczne?

– Bezwzględnie.

– Dary zostaną zwrócone – powiedział Agamemnon.

– Dobrze. – Odyseusz pochylił się do przodu w swoim fotelu, a dwaj królowie zrobili to samo. – Ogłosisz swój wybór w nocy, w sali tronowej, potrzebne nam miejsce mroczne i święte, noc nam w tym pomoże. Niech będą obecni wszyscy kapłani. Niech pali się dużo kadzideł. Moim zamiarem jest osłabić ducha zalotników, a tego można dokonać jedynie dzięki rytuałom. Nie wolno ci obwieścić imienia kandydata pośród wojowniczego nastroju.

– Jak sobie życzysz – westchnął ojciec. Nie przywiązywał wagi do drobiazgów.

– To, Tyndarejosie, zaledwie początek. Kiedy przemówisz, poinformujesz zalotników, jak bardzo cenisz sobie ten drogi klejnot, swoją córkę, i ile to razy zwracałeś się do bogów o radę. Twój wybór, powiedz im, został pochwalony przez Olimp. Znaki są przychylnie, a wyrocznia jednoznaczna. Lecz potężny Zeus zażądał warunku. Mianowicie, że zanim ktokolwiek – poza tobą – pozna imię szczęśliwego zwycięzcy, wszyscy muszą złożyć przysięgę, że poprą ten wybór. Co więcej, każdy musi także przysiąc, że będzie szczerze pomagał mężowi Heleny i z nim współpracował w razie zagrożenia. Musi przysiąc, że sprawy męża Heleny będą mu równie bliskie jak samych bogów. Gdy zajdzie potrzeba, wszyscy będą zobowiązani iść na wojnę, żeby bronić praw i tytułów męża Heleny.

Agamemnon siedział cicho, patrząc przed siebie i gryząc wargi. Wyraźnie spalał go wewnętrzny ogień. Mój ojciec patrzył tylko

w oszołomieniu. Odyseusz rozsiadł się teraz wygodnie, chwycił kurze udko, wyraźnie z siebie zadowolony. Nagle Agamemnon odwrócił się do niego i chwycił go za ramiona. Jego kłykcie pobielaly od gwałtownej siły uścisku, a twarz wyglądała groźnie. Odyseusz, nieprzestraszony, patrzył na niego spokojnie.

– Na Matkę Kubabę, Odyseuszu, jesteś geniuszem! – Arcykról wychylił się, by spojrzeć na mojego ojca. – Tyndarejosie, czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Ktokolwiek ożeni się z Heleną, będzie zabezpieczony nieodwołalnym przymierzem z prawie wszystkimi narodami w Grecji! Jego przyszłość będzie zapewniona, a pozycja wzrośnie tysiąckrotnie!

Mój ojciec, choć poczuł olbrzymią ulgę, nachmurzył się.

– Jakiej przysięgi mogę zażądać? – spytał. – Która przysięga jest tak potężna, że zwiąże ich z czymś, co będzie im wstrętne?

– Jest tylko jedna – powiedział wolno Agamemnon. – Przysięga Poćwiartowanego Konia. Na Zeusa Gromowładnego, Posejdoną Ziemiotrząscę, na córki Kory i na Rzekę Zmarłych.

Słowa spadały niczym krople krwi z głowy Meduzy. Ojciec wzdrygnął się i ukrył twarz w dłoniach.

Odyseusz, najwyraźniej niewzruszony, nagle zmienił temat.

– A co słyhać w Hellesponcie? – zapytał Agamemnona zaciekawiony.

Arcykról uniósł brwi.

– Nie wiem. Chyba coś nie w porządku z tym trojańskim królem Priamem. Nie rozumiem, dlaczego jest tak ślepy na korzyści mogące spływać od greckich kupców z Morza Egejskiego.

– Myślę – powiedział Odyseusz, wybierając miodowe ciasteczko – że Priamowi to bardzo odpowiada, by nie dopuszczać naszych kupców. I tak już tyje na cłach z Hellespontu. Ma również umowy z zaprzyjaźnionymi królami Azji Mniejszej i niewątpliwie swój udział

w zawyżonych cenach, jakie my, Grecy, płacimy za cynę i miedź, które – ponieważ musimy – kupujemy w Azji Mniejszej. Odcięcie Greków od Euxinusa oznacza dla Troi więcej, a nie mniej pieniędzy.

– Telamon zrobił nam brzydką przysługę, uprowadzając Hezjone! – powiedział gniewnie mój ojciec.

Agamemnon pokręcił głową.

– Telamon miał do tego prawo. Herakles prosił jedynie o należną zapłatę za wielką przysługę. Kiedy ten nieszczęsny stary skąpiec Laomedon mu jej odmówił, powinien, bezrozumny idiota, przewidzieć, jaki będzie skutek.

– Herakles nie żyje już od dwudziestu lat albo dłużej – powiedział Odyseusz, dolewając wody do wina. – Tezeusz także nie żyje. Tylko Telamon został. Nigdy nie zgodzi się rozstać z Hezjone, nawet gdyby ona chciała odejść. Porwanie i gwałt to przestarzałe bajki – kontynuował, najwyraźniej nie usłyszawszy plotki o Helenie i Tezeuszu – i nie mają zbyt wiele wspólnego z polityką. Grecja podnosi się. Azja Mniejsza o tym wie. Dlatego dla Troi i Azji Mniejszej nie ma lepszej polityki, jak odmawiać Grecji tego, co mieć musi – cyny i miedzi do wytopu brązu.

– Prawda – przyznał Agamemnon, skubiąc brodę. – Zatem, co wyniknie z embarga handlowego Troi?

– Wojna – powiedział Odyseusz spokojnie. – Wcześniej czy później musi dojść do wojny. Gdy poczujemy wystarczająco silne ukłucie; gdy wrzask naszych kupców o sprawiedliwość rozlegnie się w każdej sali tronowej od Knossos po Jolkos; gdy nie będziemy już mogli wskrobać dość cyny, by z naszą miedzią przetopić ją w brąz na miecze, tarcze oraz groty strzał – wtedy wybuchnie wojna.

Ich rozmowa stawała się coraz nudniejsza, przestała mnie dotyczyć. Poza tym miałam dość Menelaosa. Wino zaczynało robić swoje wśród zgromadzonych i coraz mniej twarzy zwracało się w moim kierunku z podziwem. Wyciągnęłam nogi spod stołu

i wykradłam się przez drzwi znajdujące się za fotelem mojego ojca. Przechodząc korytarzem równoległym do jadalni, żałowałam, że nie mam na sobie czegoś mniej głośnego od tej brzęczącej spódnicy. Schody do kobiecego skrzydła znajdowały się na końcu korytarza, który rozgałęział się tam do innych publicznych pomieszczeń. Dotarłam do tego miejsca i nie zatrzymywana wbiegłam na górę. Teraz musiałam tylko przemknąć obok pokojów mojej matki. Z pochyloną głową wsunęłam się za kotarę.

Nagle na moich ramionach zacisnęły się czyjeś ręce, a mój krzyk został stłumiony dłonią zakrywającą mi usta. Diomedes! Gdy go zobaczyłam, serce zaczęło mi walić. Do tej pory nie miałam okazji być z nim sam na sam. Ani z nim nie rozmawiałam, nie licząc powitania.

Światło lampy połyskiwało na jego skórze i nadawało jej połysk bursztynu, żyły na jego szyi nabrzmiały. Odwzajemniłam jego ciemne gorące spojrzenie i poczułam, jak dłoń puszcza moje usta. Jakże był piękny! A ja bardzo lubiłam piękno. A najbardziej u mężczyzn.

– Spotkajmy się na zewnątrz w ogrodzie – wyszeptał.

Gwałtownie potrząsnęłam głową.

– Chyba jesteś szalony! Pozwól mi odejść, a nie wspomnę, że spotkałam cię przed pokojami mojej matki! Puść mnie!

Jego zęby błysnęły bielą, zaśmiał się cicho.

– Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie obiecasz, że przyjdiesz do ogrodu. Oni jeszcze bardzo długo będą w jadalni – nikt nie zauważy, że nas nie ma. Dziewczyno, pragnę cię! Nie obchodzą mnie ich decyzje ani opóźnienia, pragnę cię i będę cię miał.

Moja głowa ciągle była otumaniona upałem z jadalni. Przyłożyłam dłoń do czoła. Wtedy, najwyraźniej kierowana niezależną wolą, głowa sama przytaknęła. Diomedes natychmiast

mnie puścił. Uciekłam do swoich pokojów.

Neste czekała, by mnie rozebrać.

– Idź do łóżka, stara kobieto! Sama się rozbiore.

Przyzwyczajona do moich humorów, odeszła zadowolona, zostawiając mnie szarpiącą się ze sznurówkami. Drżącymi palcami zdarłam gorset i koszulę, potem zмагаłam się ze spódnicą. Pozbyłam się dzwonek, bransolet i pierścieni, znalazłam swój luźny lniany płaszcz kąpielowy i zawinęłam się w niego. Wymknęłam się korytarzem do tylnych schodów i wydostałam na powietrze. W ogrodzie, powiedział. Odszukałam grządki z kapustą i jadalnymi korzeniami. Uśmiechnęłam się. Kto by nas szukał wśród jarzyn?

Stał nagi pod drzewkiem wawrzynu, zdjęłam lnianą suknię, będąc jeszcze daleko od niego, żeby mógł mnie zobaczyć w deszczu księżycowego światła.

Był już przy mnie, rozpościł moją szatę jako łożo. Przycisnął mnie płasko pod sobą do matki Ziemi, od której wszystkie kobiety otrzymują siłę, a mężczyźni ją tracą. Taka była wola bogów.

– Palcami i językiem, Diomedesie – wyszeptałam. – Muszę wejść do małżeńskiego łoża z nienaruszoną błoną.

Zdusił śmiech między moimi piersiami.

– Czy to Tezeusz nauczył cię, jak pozostać dziewicą? – spytał.

– Nikt mnie tego nie potrzebował uczyć – odparłam, głaszcząc jego ramiona i ręce. Westchnęłam. – Nie mam zbyt wielu lat, ale wiem, że moja głowa jest ceną za utratę dziewictwa z każdym oprócz męża.

Kiedy mnie opuszczał, był – jak sędzę – zadowolony, choć nie tak, jak się spodziewałam. Ponieważ naprawdę mnie kochał, uszanował mój stan – jak kiedyś Tezeusz. Nie, żebym się zbyt martwiła tym, co czuł Diomedes. Ja byłam zadowolona.

Gdyby czyjś wzrok chciał to zauważyć, mógł to odczytać nazajutrz, w nocy, gdy zasiadłam obok tronu ojca. Diomedes siedział z Filoktetem i Odyseuszem w tłumie, zbyt daleko, bym w mroku mogła dostrzec, jak wygląda. Sala, jasna od fresków walczących wojowników i szkarłatno pomalowanych kolumn, tonęła w ciemnościach i migotliwych cieniach. Przyszli kapłani. Unosiły się gęste i duszące opary kadzidła i bez zbędnych napomnień atmosfera stała się uroczysta, obciążona świętością miejsca, w którym przebywaliśmy.

Słyszałam, jak ojciec wypowiada słowa, które przygotował mu Odyseusz. Napięcie rozsiadło się niczym żywe stworzenie. Potem wszedł koń ofiarny, nieskazitelnie biały ogier, z różowymi oczami, bez żadnego czarnego włoska. Jego kopyta ślizgały się na wytartych płytach posadzki, nerwowo szarpał głową w złotej uździenicy. Agamemnon chwycił wielki topór o dwóch ostrzach i zakręcił nim zrećnie. Wydawało się, jakby koń upadał niesłychanie wolno. Grzywa i ogon powiewały jak wiązki ziół unoszone przez prądy wodne, tryskała krew.

Ojciec informował towarzystwo o przysiędze, której żądał. Ja obserwowałam z przerażeniem i nudnościami, jak kapłani rozcinają piękne zwierzę na cztery części. Nigdy tej sceny nie zapomnę: zalotnicy podchodzili po kolei i wstępując dwoma stopami na cztery kawałki gorącego mięsa, wygłaszali straszliwą przysięgę o lojalności i posłuszeństwie wobec mojego przyszłego męża. Ich głosy były przytłumione i apatyczne, ponieważ w tej budzącej grozę chwili cała ich moc i męstwo umarły. Błede, spocone twarze połyskiwały w świetle migoczącej pochodni. Skądś zaczął wiać wiatr i był niczym potępiona dusza.

W końcu dokonało się. Parujące ścierwo konia leżało porzucone, a zalotnicy jakby w upojeniu patrzyli ze swych miejsc na króla Tyndarejosa z Lakonii.

– Swoją córkę oddaję Menelaosowi – powiedział ojciec.

Dało się słyszeć wielkie westchnienie, nic więcej. Nikt nie zaprotestował. Nawet Diomedes, który poderwał się gniewnie na nogi. Nasze oczy spotkały się, kiedy słudzy weszli zapalić światła. Pożegnaliśmy się ponad połową setki głów, wiedząc, że nas pokonano. Myślę, że gdy na niego patrzyłam, po moich policzkach spływały łzy. Lecz nikt tego nie zauważył. Włożyłam swą bezwładną dłoń w wilgotny uścisk Menelaosa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

OPOWIEŚĆ PARYSA

Wracalem do Troi pieszo i sam, z łukiem i kołczanem przewieszonymi przez plecy. Siedem księżyców spędziłem w lasach i na polanach góry Idy, jednak nie przynosiłem żadnego trofeum, które mógłbym im pokazać. Lubilem polować, ale nie znosiłem widoku zwierzęcia potykającego się pod uderzeniem strzały. Wolalem je widziec tak samo wolne, jak ja byłem. Najlepsze chwile polowania wiązały się z bardziej atrakcyjną zdobyczą niż jelenie czy dziki. Dla mnie najzabawniejszy był pościg za mieszkankami lasów Idy, dzikimi dziewczętami i pasterkami. Kiedy dziewczyna padała, pokonana, żadna strzała jej nie przeszywała z wyjątkiem tej, którą wypuszczał Eros. Nie było strug krwi ani śmiertelnych jęków, tylko westchnienia słodkiego zadowolenia, gdy brałem je w ramiona, jeszcze zdyszane od ekstazy pościgu i gotowe dyszeć od innej ekstazy.

Zawsze spędzałem wiosnę i lato na Idzie. Życie dworu nudziło mnie do szaleństwa. Jakże nienawidziłem tych cedrowych kolumn namaszczonej olejem i wypolerowanych do głębokiego brązu, tych malowanych kamiennych sal i kolumnowych wież! Zamknięcie za potężnymi murami to cierpienie, to więzienie. Ja pragnąłem przebiegać całe mile trawy i drzew, leżeć wyczerpany z twarzą wtuloną w aromat spadłych liści. Jednak na jesień musiałem wracać do Troi i tam spędzać zimę z ojcem. To był mój obowiązek, a raczej okup. W końcu byłem dopiero jego czwartym synem pośród wielu. Nikt nie traktował mnie poważnie i to mi odpowiadało.

Tego ponurego, gwałtownego dnia wszedłem do sali tronowej akurat na koniec zebrania. Byłem nadal w ubraniu do polowania. Zignorowałem litościwe uśmieški i wargi wydęte w dezaprobacie.

Zmierzch już zmieniał się w mrok nocy. Spotkanie musiało być długie.

Mój ojciec, król, siedział na tronie ze złota i kości słoniowej wysoko na podwyższeniu z purpurowego marmuru, na dalekim końcu sali. Jego długie, białe włosy były starannie ufryzowane, a olbrzymia broda spleciona cienkimi wstążkami ze złota i srebra. Przesadnie dumny ze swego podeszłego wieku, najlepiej czuł się na wysokim piedestale, gdy jak starożytny bóg patrzył z góry na wszystko, co posiadał.

Gdyby scena była mniej imponująca, spektakl, który wystawiał mój ojciec, nie robiłby takiego wrażenia. Lecz nasza sala była, jak powiadano, jeszcze większa i wspanialsza niż dawna sala tronowa w Knossos na Krecie. Przestronna na tyle, by pomieścić swobodnie trzystu ludzi, z wysokim sufitem, między cedrowymi belkami pomalowanym na niebiesko, usianym złotymi konstelacjami. Podpierały go masywne kolumny, które zwążyły się ku górze, u podstawy były ciemnoniebieskie albo purpurowe, a wokół prostych kapiteli i cokołów – złoczone. Ściany do połowy były obłożone purpurowym marmurem bez płaskorzeźb, wyżej znajdowały się freski ze scenami przedstawiającymi lwy, lamparty, niedźwiedzie, wilki i polujących ludzi – biało-czarne, żółte, purpurowe, brązowe i różowe na jasnoniebieskim tle. Ściana za tronem była wyłożona boazerią z czarnego, egipskiego hebanu, zdobioną w złote wzory. Wokół stopni prowadzących na podwyższenie znajdowały się również złote obramowania.

Zdjąłem łuk i kołczan i wręczyłem je słudze. Torując sobie drogę wśród grup dworzaków, zmierzałem do podwyższenia. Dostrzegłszy mnie, król pochylił się, by delikatnie dotknąć mojej pochylonej głowy szmaragdową gałką swego berła z kości słoniowej. Był to sygnał, żebym powstał i zbliżył się do niego. Pocałowałem go w pomarszczony policzek.

– Dobrze jest widzieć cię z powrotem, synu – powiedział.

– Chciałbym powiedzieć, że dobrze jest wrócić, ojcze.

Popychając mnie, bym usiadł u jego stóp, westchnął.

– Zawsze mam nadzieję, że tym razem zostaniesz, Parysie. Mógłbym coś dla ciebie wymyśleć, gdybyś został.

Wyciągnąłem rękę, żeby go pogłaskać po brodzie, ponieważ wiedziałem, że to lubi.

– Nie chcę żadnych książęcych zadań, panie.

– Ale ty jesteś księciem! – Znowu westchnął, kołysząc się lekko.

– Chociaż bardzo młodym, i jeszcze masz czas.

– Nie, panie, nie mam już czasu. Myślisz o mnie jak o chłopcu, ale ja jestem mężczyzną. Mam trzydzieści trzy lata.

Nie usłyszał mnie, jak sądziłem, ponieważ uniósł głowę i odwrócił się, wskazując laską na kogoś z tłumu. Na Hektora.

– Parys upiera się, że ma trzydzieści trzy lata, mój synu! – powiedział, kiedy Hektor stanął u stóp podwyższenia. Nawet z tego miejsca był wystarczająco wysoki, by patrzeć ojcu prosto w twarz.

Ciemne oczy Hektora przyglądały mi się uważnie.

– Przypuszczam, że tyle musisz mieć, Parysie. Urodziłem się dziesięć lat po tobie. Sześć miesięcy temu skończyłem dwadzieścia trzy lata. – Uśmiechnął się. – Ale z pewnością nie wyglądasz na swój wiek.

Zaśmiałem się również.

– Dzięki, braciszku! Ty za to wyglądasz na mój wiek. Dlatego jesteś dziedzicem. Dziedzictwo ludzi postarza – przywiązuje do kraju, armii i korony. Daj mi wieczną młodość, nieodpowiedzialność każdego dnia!

– To, co pasuje jednemu, niekoniecznie odpowiada innym – padła spokojna odpowiedź. – Ja mam o wiele mniejszy apetyt na

kobiety, zatem nie ma dla mnie znaczenia to, czy wyglądam staro. Kiedy ty cieszysz się swoimi małymi eskapadami do haremu, ja znajduję radość w dowodzeniu wojskiem na manewrach. Być może dlatego moja twarz przedwcześnie się pomarszczyła, ale za to ciało będzie gibkie i sprawne długo po tym, jak ty zaczniesz dźwigać solidny brzuszek.

Skrzywiłem się. Hektor zawsze znajdzie słaby punkt! Potrafił już z daleka oszacować słabość człowieka i skoczyć jak lew. Nie bał się też użyć swych pazurów. Bycie dziedzicem sprawiało, że dojrzał. Zniknął ten radosny, pobudliwy młodzieniec, gdy swoją ogromną siłę zaprzęgał do pożytecznych zadań. A jednak był na tyle wielki, że z pewnością sobie poradzi. Sam nie byłem cherlakiem, ale Hektor przewyższał mnie dwukrotnie wzrostem i masą ciała. Ubierał się bardzo prosto – dlatego też z pewnego rodzaju zniewalającą godnością – w skórzany kilt i koszulę, swoje długie czarne włosy zaplatał w warkoczyki i związywał ciasno z tyłu. Wszyscy synowie Priama i Hekabe słynęli z urody, ale Hektor miał coś jeszcze więcej.

Naturalną władczość.

W następnej chwili zostałem podniesiony na nogi i usunięty z sąsiedztwa ojca. Stary Antenor z irytacją domagał się rozmowy z królem przed swoim odejściem. Hektor i ja wyslizgnęliśmy się z podwyższenia nie zatrzymywani.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział mój młodszy brat z cichym zadowoleniem. Szliśmy nie kończącym się przejściem, które łączyło poszczególne skrzydła i mniejsze pałace wchodzące w skład cytadeli.

Pałac następcy tronu był tuż obok pałacu ojca, zatem spacer nie był aż tak długi. Kiedy wprowadził mnie do swojej dużej sieni, podparłem się pod boki i popatrzyłem w zdumieniu.

– Hektorze! Gdzie ona jest?

To, co niegdyś stanowiło zbrojownię zagraconą dzidami,

tarczami, zbrojami i mieczami, było teraz pokojem. Nie cuchnęło tu końmi, choć Hektor je tak kochał. Nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek widział tu choć kawałek ściany, by móc się przekonać, jak są ozdobione. Tego jednak wieczoru płonęły splątanymi drzewami z jaspisu, błękitnymi i purpurowymi kwiatami oraz czarno-białymi skaczącymi końmi. Trójnogi i ornamenty były wypolerowane, a nad oknami i drzwiami wisiały na złotych kółkach pięknie haftowane purpurowe kotary.

– Gdzie ona jest? – spytałem znowu.

Zaczerwienił się.

– Zaraz przyjdzie.

Weszła niczym echo jego słów. Przyjrzałem się jej i musiałem pochwalić jego dobry gust. Była niezwykle przystojna. Tak samo jak on czarna, wysoka i mocna. I tak samo pozbawiona towarzyskiej oglady. Rzuciła mi jedno spojrzenie, po czym odwróciła wzrok.

– To moja żona, Andromacha – powiedział Hektor.

Pocałowałem ją w policzek.

– Pochwalam wybór, braciszku! Nie jest z tych stron, z pewnością.

– Nie. Jest córką króla Itiona z Cylicji. Byłem tam po ojca wiosną i przywiozłem ją z sobą. To nie było zaplanowane – wciągnął powietrze – ale się zdarzyło.

W końcu nieśmiało odezwała się i ona.

– Hektorze, kto to jest?

Hektor zażenowany trzepnął się dłonią o udo z siłą, która sprawiła, że aż podskoczyłem.

– Och, kiedy się w końcu tego nauczę. To Parys.

W jej oczach przez chwilę pojawiło się coś, co mi się nie

spodobało. Och! Ta dziewczyna mogła być siłą, z którą należało się liczyć, kiedy już zniknie niepokój i obcość.

– Moja Andromacha ma wielką odwagę – powiedział Hektor z dumą, obejmując ją jedną ręką w pasie. – Opuściła dom i rodzinę i przysłała tu ze mną do Troi.

– Rzeczywiście – powiedziałem grzecznie i po tych słowach wyszedłem.

Wkrótce owładnęła mną monotonia życia w cytadeli. Deszcz ze śniegiem stukał w szylkretowe żaluzje w oknach albo spadał kaskadami z murów. Potem śnieg pokrył dywanem dziedzińce. A ja węszyłem i wałęsałem się wśród kobiet, szukając kogoś nowego i interesującego, kogoś, kto wzbudziłby we mnie pożądanie gorętsze niż pasterki. Było to nudne zajęcie, nie mające w sobie żadnego wyzwania ani nie dające trudnego treningu. Hektor miał rację. Dopóki nie znajdę lepszego sposobu na utrzymywanie kondycji niż włóczenie się po zapomnianych korytarzach, dorobię się pokaźnego brzuszka.

W cztery miesiące od mojego powrotu do pokoju wszedł Helenos i wygodnie rozsiadł się w wyściełanym wykuszu. Dzień był radosny – całkiem ciepły dla odmiany – a widok z moich kwater był niezwykle piękny, przez całe miasto na port Sigios i wyspę Tenedos.

– Zazdroszczę ci wpływu na ojca, Parysie – powiedział Helenos.

– No cóż, jesteś bardzo młodym, mimo że królewskim synem. Takiego widoku człowiek dorabia się później w życiu.

Jeszcze się nie golił, ale był pięknym młodzieńcem, o ciemnych włosach i bardzo ciemnych oczach, jak my wszyscy, którzy mieliśmy za matkę Hekabe. Bliźniak, zajmował dziwną pozycję. Mówiono o nim różne rzeczy, jak i o jego drugiej połowie, Kasandrze. Mieli po siedemnaście lat i byli dla mnie o wiele za młodzi, żeby między nami rozwinęła się jakaś bliższa więź. On i Kasandra mieli dar podwójnego widzenia. Wokół nich wisiała tajemnicza aura, która

u innych, nawet braci i sióstr, wywoływała niepokój. Ta aura nie była tak wyraźna u Helenosa, jak u Kasandry, co przemawiało na korzyść Helenosa, oczywiście. Kasandra była po prostu szalona.

Już jako niemowlęta poświęcono ich służbie Apollinowi. Nawet jeśli któreś z nich kiedykolwiek było niezadowolone z takiego arbitralnego wyznaczenia losu, nigdy się do tego nie przyznali. Zgodnie z prawami ustanowionymi przez króla Dardanosa, wyrocznię Troi musiał objąć syn i córka króla i królowej, najlepiej bliźnięta. Kasandrę i Helenosa automatycznie wybrano. Na razie cieszyli się jeszcze pewnego rodzaju wolnością. Kiedy jednak skończą dwadzieścia lat, zostaną formalnie przekazani pod opiekę kapłańskiej trójcy, która władała kultem Apolla w Troi: Kalchasa, Laokoono i żony Antenora, Teano.

Helenos nosił długie, powiewne szaty swojej religii. Jego marzycielski wyraz twarzy nadawał mu akurat tyle piękna, by zwrócić moją uwagę, gdy tak siedział, przyglądając się miastu z mojego okna. Lubił mnie bardziej niż pozostałych braci, czy to synów Hekabe, czy innej żony lub konkubiny – ponieważ nie miałem zamiłowania do wojny i zabijania. Choć jego surowa ascetyczna natura nie wybaczała mi flirtów, uważał rozmowę ze mną za bardziej spokojną i zbliżoną do jego upodobań, gdyż nie dotyczyła wojny.

– Mam dla ciebie polecenie – powiedział, nie odwracając się.

Westchnąłem.

– Co mam zrobić?

– Nic strasznego. Mam cię namówić, abys wieczorem, po kolacji, przyszedł na spotkanie.

– Nie mogę. Jestem już umówiony.

– Lepiej przyjdź. Polecenie pochodzi od ojca.

– A to kłopot! Dlaczego ja?

– Nie mam pojęcia. To niewielka grupa, jedynie kilku

dostojnych synów oraz Antenor i Kalchas.

– Dziwne zgromadzenie. Ciekaw jestem, o co chodzi.

– Idź, a się przekonasz.

– O, pójdę! Czy ty również jesteś zaproszony?

Helenos nie odpowiedział. Jego twarz wykrzywiła się, a oczy nabrały wyrazu dziwnej głębi. Już wcześniej widywałem go w transie i patrzyłem z fascynacją. Nagle wzdrygnął się i znowu normalnie spojrzał.

– Co widziałeś? – spytałem.

– Nie widziałem wyraźnie – powiedział wolno, ocierając pot z czoła. – Jakiś wzór. Wyczułem jakiś wzór... początek zawijasa i zakrętu, który doprowadzi do nieuniknionego końca.

– Musiałeś coś zobaczyć, Helenosie!

– Płomienie... Greków w zbrojach... Jakaś kobietę, tak piękną, że musiała chyba być Afrodytą... Okręty – setki okrętów – ciebie, ojca, Hektora...

– Mnie? Przecież jestem taki nieważny!

– Uwierz mi, Parysie, jesteś bardzo ważny – powiedział zmęczonym głosem. Potem nagle wstał. – Muszę znaleźć Kasandrę. Bardzo często ona widzi te same rzeczy, choć nie jesteśmy razem.

Ja także poczułem coś z tej czarnej, pajęczynowatej Obecności i potrzęsnałem głową.

– Nie. Kasandra temu zaprzeczy.

Helenos miał rację. Grupa rzeczywiście była niewielka. Przybyłem ostatni i zająłem miejsce na końcu ławy, na której siedzieli moi bracia, Troilos i Ilos – dlaczego oni? Troilos miał osiem lat, a Ilos siedem. Byli ostatnimi dziećmi mojej matki, obaj odziedziczyli imiona po mitycznym człowieku, który objął tron po

królu Dardanosie. Był też Hektor. Podobnie jak nasz najstarszy brat Deifobos. Według prawa Deifobos powinien być następcą, ale każdy, kto go znał – włącznie z ojcem – wiedział, że w ciągu roku po objęciu tronu doprowadziłby wszystko do upadku. Chciwy, bezmyślny, wybuchowy, samolubny, nieopanowany – tymi słowami zazwyczaj go opisywano. Jakże on nas nienawidził! Szczególnie Hektora, który według niego uzurpował sobie należne mu miejsce.

Włączenie wuja Antenora było logiczne. Jako kanclerz uczestniczył w spotkaniach wszelkiego rodzaju. Ale dlaczego Kalchas? Bardzo niepokojący człowiek.

Wuj Antenor spojrzał na mnie z naganą. Nie dlatego, że przyszedłem ostatni. Dwa lata temu na Idzie wystrzeliłem strzałę do celu przypiętego do drzewa. Właśnie w tej chwili, nie wiadomo skąd, zerwał się wiatr. Moją strzałę zniosło daleko w jedną stronę. Znalazłem ją utkwioną w plecach najmłodszego syna wuja Antenora, zrodzonego z jego najukochańszej nałożnicy. Biedny chłopiec chował się, by podglądać kąpiące się w strumieniu nagie pasterki. Zginał, a ja stałem się winny niezamierzonego zabójstwa.

Nie była to zbrodnia w prawdziwym sensie, ale jednak spowodowałem śmierć, którą należało odkupić. Jedynym sposobem, w jaki mogłem to zrobić, była podróż za granicę i znalezienie obcego króla, który chciałby podjąć się ceremonii oczyszczenia. Wuj Antenor nie mógł żądać zemsty, ale nigdy mi nie wybaczył. Jego wzrok przypominał mi, że nie wyruszyłem jeszcze w podróż w poszukiwaniu obcego króla. Królowie byli jedynymi kapłanami mogącymi odprawić ryty oczyszczenia z przypadkowego zabójstwa.

Ojciec zastukał w posadzkę końcem swego berła z kości słoniowej. Okragła główka wykonana z doskonałego szmaragdu rzuciła zielone błyski.

– Zwołałem to zebranie, aby omówić coś, co gnębi mnie już od wielu lat – powiedział swym pewnym, silnym głosem. – Mój syn Parys urodził się właśnie w dniu, kiedy to się stało, trzydzieści trzy

lata temu. W dniu śmierci i żałoby. Wtedy to został zamordowany mój ojciec Laomedon. Podobnie jak moi czterej bracia. Moja siostra Hezjone zaś została porwana i zgwałcona. Jedyne narodziny Parysa sprawiły, że nie był to najczarniejszy dzień w moim życiu.

– Ojczy, dlaczego tu jesteśmy? – spytał łagodnie Hektor. Zauważyłem, że ostatnio często musiał sprowadzać naszego ojca z powrotem do tematu, gdy jego umysł gdzieś się zabłąkał. Były to dopiero początki tej przypadłości.

– Nie powiedziałem wam? Hektorze, ty dlatego, że jesteś dziedzicem. Deifobos, ponieważ jest moim najstarszym królewskim synem. Helenos, ponieważ obejmie wyrocznię Troi. Kalchas, ponieważ zawiaduje wyrocznią do czasu, aż będzie to robił Helenos. Troilos i Ilos, ponieważ Kalchas powiedział, że wobec nich są proroctwa. Antenor, ponieważ tego dnia był ze mną. I Parys, ponieważ w tym dniu się urodził.

– W jakim celu nas wezwalesz? – spytał powtórnie Hektor.

– Zamierzam, gdy tylko morza będą bezpieczne, wysłać do Telamona na Salaminę oficjalnych ambasadorów – powiedział ojciec. Wydawało mi się to całkiem logiczne, ale Hektor nachmurzył się, jakby coś go zaniepokoiło. – Ambasadorowie przedłożą żądanie, aby Telamon zwrócił Troi moją siostrę.

Zapadła cisza. Podszedł Antenor i zajął miejsce między naszymi ławami, twarzą zwróciwszy się w stronę tronu. Biedak był pochylony prawie wpół od bolesnej choroby stawów, na którą cierpiał od niepamiętnych czasów. Wszyscy uważali, że powodem tego były niszczące go notoryczne napady złości.

– Panie, to głupie ryzyko – powiedział stanowczo. – Dlaczego Troja ma na to wydawać swoje złoto? Wiesz równie dobrze jak ja, że podczas swego trzydziestotrzyletniego wygnania Hezjone nigdy nie poskarżyła się na swój los. Jej syn, Teukros, być może jest bękartem, ale stoi bardzo wysoko na dworze Salaminy. Jako

przyjaciel i mentor współpracuje z salamińskim dziedzicem, Ajaksem. Nie otrzymasz pozytywnej odpowiedzi, Priamie. Po cóż więc ten cały kłopot?

Król skoczył na równe nogi.

– Oskarżasz mnie o głupotę, Antenorze? To mi wiadomoś, że Hezjone jest zadowolona z wygnania! Nie, to Telamon nie pozwala, by poprosiła nas o pomoc!

Antenor potrząsnął swoją sękatą pięścią.

– Mam prawo głosu, panie! I domagam się wysłuchania! Dlaczego uważasz, że przez te wszystkie lata to myśmy byli skrzywdzeni? To Herakles został skrzywdzony, i w głębi serca wiesz o tym. Przypominam ci także, że gdyby Herakles nie zabił lwa, Hezjone byłaby martwa.

Ojciec zadrżał od stóp do głów. Między nim a Antenorem, choć byli szwagrami, nie było miłości. Antenor pozostał w duchu wrogiem wewnętrznym, Dardańczykiem.

– Kiedy ty i ja byliśmy młodzi – powiedział ojciec, wypluwając słowa – nasza ciągła walka miała jakiś sens. Mogliśmy chwycić za miecze i tarcze i skończyć ją raz na zawsze. Ale teraz ty jesteś kaleką, a ja jestem za stary. Powtarzam: wysyłam ambasadorów do Salaminy najszybciej, jak się da. Zrozumiano?

Antenor parsknął.

– Ty jesteś królem, panie, decyzja należy do ciebie. A co do walki – wolno ci nazywać siebie starym, ale jak śmiesz przypuszczać, że jestem na tyle zniedołężniały, bym nie mógł cię posiekać na miazgę? Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności!

Odszedł, nim przebrzmiało echo jego słów. Ojciec usiadł z powrotem, skubiąc brodę.

Wstałem, zdziwiony, że to robię, ale jeszcze bardziej zdziwiony tym, co mówię.

– Panie, zgłaszam się na ochotnika jako przywódca twojego poselstwa. I tak muszę wyruszyć za granicę, aby dokonać oczyszczenia za śmierć syna wuja Antenora.

Hektor zaśmiał się i klasnął w dłonie.

– Niech żyje Parys.

– Dlaczego nie ja? – zmarszczył się Deifobos. – Ja powinienem iść! Jestem najstarszy.

Na to wtrącił się Helenos... przemawiając na korzyść Deifobosa. Nie mogłem prawie uwierzyć swym uszom, wiedząc, jak bardzo Helenos nie znosi najstarszego brata.

– Ojczy, pošlij Deifobosa, proszę! Jeśli pójdzie Parys, czuję to w kościach, Troja zapłacze krwawymi łzami!

Krwawymi czy nie krwawymi, król Priam już postanowił. Zlecił zadanie mnie.

Kiedy inni wyszli, ja zostałem.

– Parysie, jestem zadowolony – powiedział, głaszcząc mnie po włosach.

– Zatem zostałem nagrodzony, ojczy. – Nagle roześmiałem się. – Jeśli nie będę mógł przyprowadzić ciotki Hezjone z powrotem, to może przywiodeę zamiast niej jakąś grecką księżniczkę.

Chichocząc, kołysał się w przód i tył na swoim tronie. Mój żart dobrze mu zrobił.

– Grecja obfituje w księżniczki, mój synu. Przyznaję, że zrobilibyśmy na złość Grekom, gdybyśmy im odplacili pięknym za nadobne.

Pocałowałem go w rękę. Jego nieprzejeđnana nienawiść do Greków była przysłowiowa w całej Troi. Uczyniłem go szczęśliwym. Co za różnica, że żart był pusty, skoro wywołał u niego uśmiech?

Jako że łagodna zima zdawała się kończyć w tym roku szybciej, już kilka dni później zszedłem do Sigios, aby uzgodnić sformowanie floty z kapitanami i kupcami, którzy chcieliby wejść w jej skład. Potrzeba mi było dwudziestu dużych okrętów z pełną załogą i pustymi ładowniami. Państwo płaciło, więc wiedziałem, że zgłosi się do mnie wielu gorliwych petentów. Nie rozumiałem, jaki demon kazał mi się zgłosić na ochotnika, ale stwierdziłem, że perspektywa wyprawy ekscytuje mnie. Wkrótce miałem zobaczyć dalekie miejsca, miejsca, jakich Trojanom nie śniło się widzieć. Rezydencje Greków.

Po rozmowie z żeglarzami przechadzałem się jeszcze po porcie, aby pooddychać chłodnym, ostrym, morskim powietrzem. I obserwowałem aktywność tej pracowitej plaży – statki wciągnięte na zimę na kamienisty brzeg, teraz roily się od zastępów mężczyzn, których obowiązkiem było sprawdzić posmołowane boki i upewnić się, że nadają się do żeglugi. Nagle spostrzegłem, że ku brzegowi manewruje jakiś olbrzymi, szkarłatny okręt. Z czubka dziobu spoglądała na mnie galeona najwyraźniej przedstawiająca moją ulubioną boginię Afrodytę. W jakim to śnie ujrzał ją budowniczy tego statku, że w tak cudowny sposób potrafił ją wyobrazić?

W końcu kapitan znalazł dość przestrzeni, by osadzić ciężkie boki statku na kamienistym brzegu. Spuszczono drabinki linowe. W tej chwili dostrzegłem, że statek ma na swym dziobie królewskie znaki – purpurowe tło i frędzle z litego złota – wiozł na pokładzie obcego króla! Ruszyłem wolno do przodu, ściągając swój płaszcz w osiem zakładek.

Królewska postać schodziła ostrożnie. Grek. To było widać po jego ubiorze oraz wrodzonej wyższości, którą okazywał nawet ostatni Grek w spotkaniu z resztą świata. Kiedy jednak królewska postać podeszła bliżej, mój początkowy strach minął. Jakże pospolicie wyglądał ten człowiek! Niezbyt wysoki, niezbyt przystojny i rudy. Tak, zdecydowanie był Grekiem. Połowa z nich zdawała się ruda. Jego skórzany kilt był farbowany na purpurowo i wytłaczany złotem,

lamówka z frędzlami była złota, miał szeroki złoty pas nabijany klejnotami, purpurową bluzę rozciętą, tak że odsłaniała zapadniętą klatkę piersiową, a na szyi nosił wielki naszyjnik ze złota i klejnotów. Bogacz.

Kiedy mnie dostrzegł, zmienił kierunek.

– Witaj na brzegach Troi, królu – powitałem go oficjalnie. – Jestem Parys, syn króla Priama.

Chwycił zaofiarowaną przeze mnie rękę.

– Dzięki, Wasza Wysokość. Jestem Menelaos, król Lakonii i brat Agamemnona, arcykróla Myken.

Moje oczy rozszerzyły się.

– Czy zechciałbyś jechać do miasta w moim rydwanie, królu Menelaosie? – spytałem.

Ojciec był w trakcie codziennych audiencji i interesów. Szepnąłem coś heroldowi, który podskoczył i otworzył podwójne drzwi.

– Król Menelaos z Lakonii! – wrzasnął.

Weszliśmy razem, by stanąć wobec tłumu zastygłego w bezruchu. Z tyłu stał Hektor z wyciągniętą ręką i otwartymi ustami w niewypowiedzianym słowie. Antenor zamarł na wpół odwrócony ku nam, a ojciec wyprostował się na tronie niczym rażony piorunem. Tak mocno zaciskał rękę na swej lasce, że cała się trzęsła. Nawet jeśli mój towarzysz zdał sobie sprawę, że Grek tutaj nie jest mile widziany, nie dał tego po sobie poznać. Kiedy go potem bliżej poznałem, doszedłem do wniosku, że raczej niczego nie zauważył. Wzrok, którym omiótł salę i jej sprzęty, nie zdradził, żeby zrobiły na nim wrażenie. Zacząłem się zatem zastanawiać, jak wyglądają greckie pałace.

Ojciec zszedł ze swego podwyższenia i wyciągnął rękę.

– Królu Menelaosie, jesteście zaszczytzeni – powiedział. Wskazując na wielką kanapę z rozrzuconymi poduszkami, chwycił gościa pod ramię. – Czy zechciałbyś usiąść? Parysie, przyłącz się do nas, ale najpierw poproś Hektora, żeby także przyszedł. I dopilnuj, aby podano coś dla pokrzepienia się.

Dwórze zamarli w milczeniu, spekulując w myślach, gdyż rozmowa była niesłyszalna już na dwa kroki od kanapy.

Grzeczność nakazywała, by pierwszy przemówił mój ojciec.

– Co sprowadza cię do Troi, królu Menelaosie?

– Sprawa najwyższej wagi dla mojego ludu w Lakonii, królu Priamie. Wiem, że to, czego szukam, nie znajduje się na ziemiach Troi, ale Troja zdaje się najlepszym miejscem dla zasięgnięcia informacji.

– Pytaj.

Menelaos pochylił się do przodu i jednocześnie na bok, by móc zajrzeć w pozbawioną wyrazu twarz mojego ojca.

– Panie, moje królestwo nęka plaga. Moi kapłani nie potrafili znaleźć jej przyczyny, posłałem więc do Pytii w Delfach. Powiedziała mi, że muszę osobiście udać się na poszukiwanie kości synów Prometeusza i przywieźć je do Amyklaju – mojej stolicy. Muszą zostać pogrzebane w Amyklaju. Wtedy plaga ustanie.

Zatem jego misja nie ma nic wspólnego z ciotką Hezjone, ani z brakiem cyny i miedzi czy handlowym embargiem w Hellesponcie. Jego misja była bardziej zwyczajna. Bardziej pospolita. Borykanie się z plagami nie należało do rzadkości. Zawsze ten czy ów król błąkał się po wodach i łąkach w poszukiwaniu jakiejś rzeczy, którą, jak orzekała wyrocznia, musi sprowadzić do domu. Zastanawiałem się, czy czasami jedynym celem wyroczni nie było wysyłanie króla z dala od domu, do czasu, gdy naturalne siły doprowadzą chorobę do nieuniknionego końca. Był to sposób ochrony króla przed zemstą

– gdyby został w domu, prawdopodobnie umarłby od tej samej plagi albo został rytualnie zlinczowany.

Oczywiście należało pomóc królowi Menelaosowi. Kto wie, czy w przyszłym roku król Priam nie zostanie odesłany przez wyrocznie po pomoc do króla Menelaosa? Braterstwo królów, bez względu na różnicę interesów i narodowości, w pewnych sytuacjach zobowiązywało. Zatem podczas gdy króla Menelaosa zaproszono do wjazdu do miasta, jednocześnie wyszli z niego zwiadowcy mojego ojca, by zlokalizować kości synów Prometeusza. Dowiedzieli się, że znajdują się one w Dardanii. Król Anchizes z Dardanii protestował groźnie, ale na nic się to zdało. Czy mu się to podobało czy nie, wskazane szczątki miały go opuścić.

Moim zadaniem była opieka nad Menelaosem, gdy ten uroczyście udawał się do Lyrnessos z żądaniem wydania kości. Według gościnnego zwyczaju zaproponowałem mu, aby wybrał sobie kobietę, która mu się podobała – każdą z wyjątkiem królewskiej.

Zaśmiał się i stanowczo pokręcił głową.

– Nie potrzeba mi żadnej kobiety, oprócz mojej żony Heleny – powiedział.

Nastawiłem uszu.

– Naprawdę?

Spojrzał zmieszany, a jego twarz poczerwieniała.

– Ożeniłem się z najpiękniejszą kobietą na świecie – stwierdził poważnie.

Choć patrzyłem grzecznie, udałem niedowierzanie.

– Naprawdę?

– Naprawdę, Parysie. Helena nie ma sobie równej.

– Czy jest piękniejsza od żony mojego brata Hektora?

– Księżniczka Andromacha jest zaćmioną Seleną w porównaniu ze splendorem Heliosa – odparł.

– Powiedz mi więcej.

Westchnął, zatrzepotał rękoma.

– Czy można opisać Afrodytę? Czy można odmalować widzialną doskonałość samymi słowami? Wejdz na mój statek, Parysie, i spójrz na galeonę. To Helena.

Zamknąłem oczy, próbując sobie przypomnieć ten widok. Lecz potrafiłem tylko przywołać parę oczu zielonych jak u egipskich kotów.

Musiałem poznać tę doskonałość! Nie, żebym mu uwierzył. Galeona mogła przewyższać swoją modelkę. Żaden posąg Afrodyty, który dotąd widziałem, nie mógł się równać z twarzą galeony (choć, co prawda, rzeźbiarze to biedacy, którzy upierają się nadawać posągom głupi uśmiech, sztywne rysy i jeszcze sztywniejsze ciała).

– Panie – powiedziałem impulsywnie. – Wkrótce muszę stanąć na czele poselstwa do Salaminy, aby spotkać się z królem Telamonem i zapytać go, jak się miewa moja ciotka Hezjone. Kiedy jednak będę w Grecji, chciałbym również dokonać oczyszczenia z przypadkowego zabójstwa. Czy daleko jest z Salaminy do Lakonii?

– Pierwsza z nich to wyspa przy wybrzeżu Attyki, a druga to państwo na wyspie Pelopsa, ale to trasa możliwa do pokonania.

– Czy podjąłbyś się uroczyście mnie oczyścić, Menelaosie?

Rozpromienił się.

– Oczywiście, oczywiście! Przynajmniej będę się mógł odplacić za twoją uprzejmość, Parysie! Przybądź do Lakonii latem, a odprawię ryty. – Popatrzył filuternie. – Nie uwierzyłeś mi, kiedy mówiłem o pięknie Heleny – nie, nie uwierzyłeś! Twoje oczy cię zdradziły. Zatem przybywaj do Amyklaju, a sam się przekonasz. Spodziewam się potem przeprosin.

Przypieczętowaliśmy umowę łykiem wina, a potem pochłonęły nas plany podróży do Lyrnessos, gdzie pod czujnym wzrokiem króla Anchizesa i jego syna Eneasza mieliśmy odkopać kości synów Prometeusza. Zatem Helena jest tak piękna jak Afrodyta, nieprawdaż? Zastanawiałem się, jak Anchizes i Eneasze zareagują na to porównanie, kiedy Menelaos się z nim wyrwie, a uczyni to z pewnością. Było powszechnie wiadomo, że w młodości Anchizes sam był tak piękny, że Afrodyta zstąpiła, aby się z nim kochać. A potem odeszła i urodziła mu Eneasza. Ha! Tak oto szaleństwa młodości powracają, by nas prześladować.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

OPOWIEŚĆ HELENY

Kiedy do Amyklaju sprowadzono kości synów Prometeusza ozdobione pięknymi wyrobami rzemieślniczymi – każda czaszka była osłonięta maską ze złota – plaga zaczęła ustępować. Cudownie, że można znowu jechać przez miasto, uczestniczyć w górskich łowach, obserwować zawody sportowe na arenie za pałacem! Cudownie znowu oglądać twarze ludzi rozjaśnione uśmiechami; słyszeć, jak nas błogosławią, kiedy między nimi przejeżdżamy. Król zażegnał plagę i znowu wszyscy mieli się dobrze.

Z wyjątkiem Heleny. Menelaos żył w cieniu. Z biegiem lat stawałam się coraz spokojniejsza, coraz poważniejsza – godna i posłuszna, zawsze. Urodziłam Menelaosowi dwie córki i syna. Co noc spał w moim łóżu. Nigdy nie wzbraniałam mu wejścia do mojego pokoju, kiedy zapukał. I kochał mnie. Na jego oczach nie mogłabym zrobić niczego złego. Dlatego pozostawałam godną i posłuszną żoną. Nie mogłam oprzeć się temu, żeby traktowano mnie jak boginię. Był także inny powód – chciałam, by moja głowa pozostała na karku, tam, gdzie jej miejsce.

Gdybym tylko potrafiła zachować chłodne i nieobecne ciało, kiedy przyszedł do mnie po ślubie! Ale nie potrafiłam. Helena była stworzeniem z krwi i kości, nieodpornym na dotyk mężczyzny, nawet tak ponurego i gapowatego jak mój mąż. Lepszy taki mężczyzna niż żaden.

Nadeszło lato najbardziej upalne, jakie pamiętałam. Deszcze ustały, strumienie wyschły, kapłani pomrukiwali złowieszczo z ołtarzy. Przetrwaliśmy plagę. Czyżby głód miał być następnym na liście naszych ludzkich cierpień? Dwukrotnie poczułam, jak Posejdon Ziemiotrząśca jęknął i poruszył posadami ziemi, jakby i on

także był niespokojny. Ludzie zaczęli szeptać o złych znakach. Kapłani wzniesli swe głosy wyżej, gdy pszenica zległa bez ziarna na wysuszonej ziemi i pojawiła się groźba, że to samo stanie się ze zwykle odporniejszym jęczmieniem.

Wreszcie, gdy lato osiągnęło szczyty upału, przemówił Gromowładny o sobolowych brwiach. Pewnego dusznego, parnego dnia przysłał swych posłańców – burzowe chmury. Gromadziło się ich coraz więcej na ołowianym niebie. Po południu słońce zniknęło, mrok zgęstniał i w końcu Zeus wybuchnął. Rycząc potężnie w nasze ogłuszone uszy, posyłał w dół na ziemię pioruny z gwałtownością, która zmusiła Matkę Ziemię do drżenia i wstrząsów. Każdy pocisk spadał ze słupem czystego ognia z jego straszliwej dłoni.

Drżąc z przerażenia, pocąc się i modląc bezładnie, skuliłam się na kanapie w małym pokoju, z którego korzystałam w publicznej części pałacu. Zatkanam uszy, podczas gdy pioruny trzaskały i co rusz rozbłyskało dzikie, białe światło. Menelaosie, Menelaosie, gdzie jesteś?

W tej chwili z oddali usłyszałam jego głos. Rozmawiał niezwykle ożywiony z kimś, kto posługiwał się greką kulawo i sepleniąco. Jakiś przybysz. Przebiegłam przez drzwi i uciekłam do swoich apartamentów, nie chcąc narazić się na nieprzyjemne spotkanie. Jak wszystkie damy w pałacu, nosiłam podczas upału koszulę z przezroczystego egipskiego płótna.

Tuż przed kolacją Menelaos przyszedł do mojego pokoju. Zastał mnie wchodzącą do kąpieli. Nigdy nie próbował mnie dotykać, a kąpiel stanowiła dla niego okazję, by na mnie popatrzeć.

– Moja droga – powiedział, odchrząkując. – Mamy gościa. Czy mogłabyś dziś wieczór założyć swe paradne szaty?

Spojrzałam zdziwiona.

– Czy to ktoś aż tak ważny?

– Bardzo. To mój przyjaciel, książe Parys z Troi.

– Ach tak, pamiętam.

– Musisz wyglądać jak najlepiej, Heleno, ponieważ w Troi pochwalilem się przed nim twoim pięknem. Był sceptyczny.

Uśmiechnęłam się, zanurzając się i rozchlapując wodę.

– Będę wyglądać jak najlepiej, mężu, obiecuję.

I tak z pewnością było, kiedy weszłam do jadalni w chwilę po tym, gdy zgromadził się dwór, by spożyć z królem i królową ostatni posiłek tego dnia. Menelaos już tam był. Stał przy wysokim stole, rozmawiając z mężczyzną, który był odwrócony do mnie plecami. Bardzo interesującymi plecami. Gość był o wiele wyższy od Menelaosa, a fala gęstych, czarnych kręconych włosów spadała mu do połowy pleców. Od pasa w górę był nagi na styl kreteński. Jego kark ozdabiał duży naszyjnik z klejnotów oprawionych w złoto, a oba potężne ramiona były zakute w mankiety ze złota i kryształu. Przyjrzałam się jego purpurowemu kiltowi, zgrabnie ukształtowanym nogom i poczułam dreszcz, którego nie doświadczałam od wielu lat. Z tyłu wygląda dobrze, pomyślałam, ale na pewno ma końską twarz.

Kiedy przeczesalam swoje falbany, aby zadźwięczały, obaj mężczyźni odwrócili się. Spojrzałam na gościa i... zakochałam się. To było takie proste, takie łatwe. Zakochałam się. Jeśli ja byłam doskonałą kobietą, to on z pewnością był doskonałym mężczyzną. Przyglądałam mu się z idiotycznym wyrazem twarzy. Żadnej skazy. Doskonała perfekcja. I zakochałam się.

– Moja droga – powiedział Menelaos, podchodząc do mnie – oto książe Parys. Winni jesteście mu wszelką grzeczność i staranie. Był dla mnie wspaniałym gospodarzem w Troi. – Spojrzał na Parysa, unosząc brwi. – Mój przyjacielu, czy nadal wątpisz w me słowa?

– Nie – powiedział Parys. I powtórzył: – Nie.

Menelaos promieniał.

Ta kolacja to prawdziwy koszmar! Wino płynęło swobodnie, a ja jako kobieta nie mogłam go pić. I jakież to złośliwy bóg włożył kielich w ręce mojego męża, sprawiając, że się upił? Przecież zazwyczaj był taki wstrzemięźliwy. Parys siedział między nami, co znaczyło, że nie mogłam nawet zbliżyć się do Menelaosa, by zabrać mu kielich. Ten trojański książę również nie zachowywał się roztropnie. Oczywiście, dostrzegłam błysk zainteresowania w jego oczach, gdy na mnie spojrzał. Wielu mężczyzn reagowało podobnie, a później się onieśmielali. Ale nie Parys. Podczas całego posiłku prawił mi skandaliczne komplementy, patrzył bezwstydnie, najwyraźniej nieświadomy faktu, że siedząc na podwyższeniu, jesteśmy obserwowani przez setkę mężczyzn i kobiet z dworu.

Przybita lękiem i rozterką próbowałam sprawiać wrażenie na obserwujących (wśród których przynajmniej połowa była szpiegami Agamemnona), że nic złego się nie dzieje. Chcąc być uprzejma i otwarta, wypytywałam Parysa o życie w Troi – czy wszystkie narody Azji Mniejszej posługują się greką? – jak daleko jest z Troi do takich miejsc, jak Asyria czy Babilon? – czy w tych państwach również znają grekę?

Obyty z kobietami, odpowiadał z łatwością i powagą, podczas gdy jego niegodziwe oczy wędrowały od moich ust do włosów, od końców palców do piersi.

Ten nie kończący się posiłek wyraźnie zmęczył Menelaosa. Jego mowa stawała się coraz bardziej niewyraźna i nie widział niczego poza zawartością swego kielicha. Parys był za to coraz śmielszy. Pochylał się do mnie tak nisko, że czułam jego oddech na ramieniu, jego słodycz. Odsuwałam się, aż w końcu ława się skończyła.

– Bogowie są okrutni – wyszeptał – dając tyle piękna pod opiekę jednemu mężczyźnie.

– Mój panie, uważaj na to, co mówisz! Błagam cię, bądź dyskretny!

W odpowiedzi uśmiechnął się. Zakłuło mnie w piersiach i ścisnęłam kolana, czując napływ gorąca.

– Widziałem cię dziś rano – ciągnął, jakbym niczego nie powiedziała – gdy uciekałaś przed nami w koszuli z gazy.

Moja skóra zalała się szkarłatem. Modliłam się, by nikt z sali tego nie zauważył.

Jego dłoń spoczęła na moim ramieniu. Podskoczyłam. Jego dotyk był nie do zniesienia. Podobnie czułam się rano, gdy ryczał Gromowładny.

– Panie, proszę! Mój mąż cię usłyszy!

Śmiejąc się, położył rękę z powrotem na stole. Ale tak gwałtownie, że kielich przy jego łokciu przewrócił się. Czerwone wino rozlało się niczym jezioro na białym drewnie. Kiwnęłam na służę, żeby to posprzątał, a on znowu pochylił się ku mnie.

– Kocham cię, Heleno – powiedział.

Czy słudzy to słyszeli? Ich twarze były tak beznamietne, kiedy czekali, by usłużyć. Zerknęłam na Menelaosa, kompletnie pijany gapił się sennie w stół.

Tej nocy był zbyt pijany, żeby do mnie przyjść. Ludzie zanieśli go do jego apartamentów, a ja sama poszłam do swoich. Bardzo długo siedziałam w salonie przy oknie i rozmyślałam. Co robić? Jak przeżyć kolejne dni z tym niebezpiecznym człowiekiem? Jeden posiłek z nim i byłam pokonana. Podszedł mnie bez lęku, uznając mojego męża za głupca, który niczego nie widzi. Jednak stało się tak tylko z powodu nadmiaru wina. Wiedziałam, że jutro przy kolacji będzie trzeźwy. Nawet u najgłupszego z mężczyzn jest odrobina czujności. Poza tym jeden z baronów miał obowiązek o wszystkim donosić. Agamemnon opłacał go za to, że wszystko widział. Gdyby uznał, że byłam niewierna, już na drugi dzień Agamemnon wiedziałby o tym. Trojański książę czy nie, Parys z pewnością

rozstałby się ze swoją głową. A ja ze swoją. A ja ze swoją!

Zwijalam się rozdarta między lękiem a tęsknotą. O, jakże go kochałam! Lecz czy to jest miłość, skoro przyszła tak nagle? Czystej żądz potrafiłam się oprzeć. Nauczyłam się tego w czasie małżeństwa. Tej miłości jednak nie mogłam sprostać. Tęskniłam za tym, żeby z obojętnie jakiego powodu znaleźć się przy Parysie. Pragnęłam spędzić z nim życie. Chciałam wiedzieć, co myśli, jak żyje, co czuje, jak wygląda, kiedy śpi. Moje serce przeszła strzała, ta sama, która Fedrze kazała się zabić, Danae wejść do skrzyni, którą potem jej ojciec spuścił do morza, a Orfeuszowi wyruszyć do królestwa Hadesa w poszukiwaniu Eurydyki. Moje życie nie należało już do mnie. Należało do Parysa. Mogłabym dla niego umrzeć! A jednak... Co za ekstaza móc dla niego żyć!

W kilka chwil potem, gdy zmęczona weszłam do łóża, do mojej sypialni wszedł Menelaos. Koguty piał skrzekliwie, a krawędź wschodniego nieba bladła wśród mgły. Patrzył potulnie i nie chciał mnie pocałować.

– Mój oddech czuć winem, ukochana, obraziłbym cię. Dziwne, że tyle wypilem. Nie trzeba było.

Pociągnęłam go, żeby usiadł obok mnie.

– Jak się czujesz... pomijając ten oddech?

Uśmiechnął się.

– Odrobinę niezdrowo. – Rozbawienie odpłynęło. Zmarszczył brwi. – Heleno, mam problem.

Poczułam suchość w ustach, oblizalam wargi. Jeden z baronów mu powiedział! Słowa! Muszę znaleźć właściwe słowa!

– Problem? – wychrypiałam.

– Tak, obudził mnie posłaniec z Krety. Zmarł mój dziad Katreus, a Idomeneusz nie chce go pochować, dopóki nie przybędzie Agamemnon albo ja. Naturalnie spodziewa się mnie. Agamemnon

jest związany z Mykenami.

Usiadłam z otwartymi ustami.

– Menelaosie, nie możesz jechać!

Moja gwałtowność zdziwiła go, ale wziął to za komplement.

– Nie mam wyboru, Heleno. Muszę popłynąć na Krete.

– Czy długo cię nie będzie?

– Przynajmniej pół roku – chciałbym, abyś lepiej znała geografię. Jesienne wiatry zanoszą mnie na Krete, ale do lata będę musiał czekać na wiatry powrotne.

– O – jęknęłam. – Kiedy wyruszasz?

Ścisnął mnie za ramię.

– Dzisiaj, moja najdroższa. Najpierw muszę udać się do Myken, by zobaczyć się z Agamemnonem, a kiedy wypłynę z Lery albo Nauplii, nie będę mógł tu wrócić przed rejsem na Krete. Taka szkoda – paplał, zadowolony z mojej konsternacji.

– Nie możesz jechać, Menelaosie. Masz gościa w domu.

– Parys zrozumie. Dziś rano przed wyruszeniem do Myken dokonam rytów oczyszczenia. Powiem mu też, żeby czuł się swobodnie i został, jak długo chce.

– Zabierz go z sobą do Myken – powiedziałam w przypiływie natchnienia.

– Heleno, naprawdę! W takim pośpiechu? Oczywiście powinien zobaczyć Mykeny, ale wtedy, gdy będzie miał na to ochotę – powiedział mój głupi mąż. Troszczył się o swego gościa, będąc ślepy na niebezpieczeństwo, jakie tamten przedstawiał.

– Menelaosie, nie możesz zostawiać mnie tu z Parysem! – zawołałam.

Zamrugął.

– Dlaczego? Masz tyle przyzwoitek, Heleno.

– Agamemnon może będzie inaczej uważał.

Zacisnęłam rękę na jego przedramieniu. Pochylił się, aby ją pocałować. Poglądził mnie po włosach.

– Heleno, zostań w pokoju. Twoja troska jest czarująca, ale niepotrzebna. Ufam ci. Agamemnon też ci ufa.

Jak mogłam mu wytłumaczyć, że ja sama sobie nie ufam?

Po południu stałam u podnóża pałacowych stopni i żegnałam się z mężem. Parysa nigdzie nie było widać.

Kiedy rydwany i wozy zniknęły w oddali, poszłam do swoich pokojów i tam zostałam. Posiłki mi przynoszono. Skoro Parys nie chciał mnie widzieć, może zmęczyła go ta gra, jaką ze mną prowadził, i zabrał się do Myken albo Troi. Nie będą mieli pałacowi baronowie okazji widzieć nas razem.

Kiedy jednak zapadła noc, nie mogłam zasnąć. Chodziłam po sypialni w tę i z powrotem, a potem podeszłam do okna. Amyklaj leżał w całkowitych ciemnościach. Żadna lampa się nie paliła, a góry stały się anonimowymi garbami na rozgwieżdżonym niebie. Księżyc w pełni wisiał wielki i srebrny, milcząco kąpiąc w świetle Dolinę Lakonii. Pod wrażeniem widoku wychyliłam głowę przez okienny otwór. Cisza przeniknęła mnie do kości. Oczarowana tym wszystkim, poczułam go nagle za sobą. Byłam pewna, że obserwuje piękno niebios ponad moim ramieniem. Nie odwróciłam się ani nie krzyknęłam, ale poznał, że wiem, iż stoi za mną. Dłońmi chwycił mnie za łokcie i delikatnie przyciągnął do siebie.

– Heleno z Amyklaju, jesteś piękna jak Afrodyta.

Moje ciało omdlało, poruszyłam lekko głową pod jego policzkiem.

– Nie kuś bogini, Parysie. Ona nie lubi rywalek.

– Ona cię lubi. Nie rozumiesz? Afrodyta mi cię dała. Należę do niej, jestem jej ulubieńcem.

– To dlatego, jak powiadają, nigdy nie spłodziłeś dziecka?

– Tak.

Jego ręka na mojej talii poruszała się wolnymi kręgami, niespiesznie, jakbyśmy mieli wszystkie dni świata, aby się kochać. Jego wargi odszukały moją szyję.

– Heleno, czy nigdy nie tęskniłaś za tym, żeby się znaleźć z dala od tego miejsca, w nocy, w głębokim lesie? Czy nigdy nie pragnęłaś uciekać jak sarna? Biec wolna niczym wiatr, padać z wyczerpania pod ciałem tego jedyne go mężczyzny?

Wszystkie moje ścięgna zadrżały, ale wyszeptalam wyschniętymi wargami:

– Nie. Nigdy nie marzyłam o czymś takim.

– A ja tak. O tobie. Widzę, jak twoje długie jasne włosy płyną w ślad za tobą, twoje długie nogi próbują przede mną uciekać. Powinienem taką cię spotkać, a nie w tym pustym, pozbawionym życia pałacu.

Rozchylił moją koszulę, jego dłonie, lekkie niczym pióra, spoczęły na moich piersiach.

– Zmyłaś farbę.

I to był punkt zwrotny. Odwróciłam się do niego i zapomniałam o wszystkim z wyjątkiem faktu, że on jest moją bratnią duszą. Że go kocham, naprawdę kocham.

Dobrowolna niewolnica, leżałam w jego ramionach bezwładnie jak szmaciana lalka mojej córeczki i pragnęłam, żeby nigdy nie nastał świt.

– Jedź ze mną do Troi – powiedział nagle.

Uniosłam się, żeby zajrzeć mu w twarz, dostrzegłam moją własną miłość odwzajemnioną w jego cudownych oczach.

– To szaleństwo – powiedziałam.

– Nie, zdrowy rozsądek. – Jedną rękę położył na moim brzuchu, a drugą bawił się moimi włosami.

– Nie możesz należeć do tego nieczułego niedołęgi, Menelaosa. Należysz do mnie.

– Urodziłam się dla tej ziemi, dla tego pałacu. Jestem królową. Moje dzieci są tutaj...

Otarłam łzy.

– Heleno, należysz do Afrodyty, podobnie jak ja! Kiedyś złożyłem uroczystą przysięgę, że dam jej wszystko. Pozwoliłem jej zwyciężyć nad Herą i Pallas Ateną, jeśli da mi to, o co poproszę. A ja poprosiłem o ciebie.

– Nie mogę stąd odejść!

– Nie możesz tu zostać. Mnie tu nie będzie.

– O, kocham cię! Jak mogłabym żyć bez ciebie?

– Nie mogłabyś, Heleno.

– Prosisz o niemożliwe... – Płakałam, a łzy spadały coraz obficie.

– Nonsens! Co w tym za trudność? Nie chcesz zostawić dzieci?

Pytanie dało mi okazję do namysłu. Odpowiedziałam szczerze.

– Nie za bardzo. Nie. Kłopot w tym, że są takie pospolite! Wzięły wszystko po Menelaosie, od stóp do głów. I mają piegi!

– Zatem, jeśli nie chodzi o dzieci, to chyba o Menelaosa.

Czyżby? Nie. Biedny, zdominowany, tyranizowany Menelaos,

rzządzony żelazną ręką z Myken. Co właściwie byłam mu winna? Nigdy nie chciałam za niego wychodzić. Nic mu nie zawdzięczałam ani jego krzaczastobrewemu bratu, który używał nas jak pionków w monumentalnej grze. Agamemnona nic a nic nie obchodziłam – nie interesowały go moje potrzeby, pragnienia ani uczucia.

– Pojadę z tobą do Troi – powiedziałam. – Tutaj nic mnie nie trzyma.

Nic.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

OPOWIEŚĆ HEKTORA

Zarządca portu w Sigios przysłał mi wiadomość, że flota Parysa nareszcie wróciła z Salaminy. Dołączywszy do zgromadzenia, posłałem ojcu giermka, aby przekazał mu nowinę. Odbywała się zwykła, nużąca, niespieszna audyencja – rozmowy na temat własności, niewolników, ziemi i podobnych spraw – poselstwo z Babilonu, które trzeba było przyjąć – narzekania na temat praw do pastwisk od naszych szacownych krewnych z Dardanii, przedstawiane jak zawsze przez wuja Antenora.

Poselstwo z Babilonu zostało wysłuchane i odprawione. Król miał właśnie ogłosić wyrok w jakiejś nieważnej sprawie, gdy zagrzmiały rogi i do sali tronowej wkroczył Parys. Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu na jego widok. Wszedł jak Kreteńczyk po zemstę. Skończony dandys, od purpurowej spódniczki z frędzlami po klejnoty i loki. Wyglądał bardzo dobrze i był niezwykle zadowolony z siebie. Co za figiel chciał spletać? Miał minę szakala, który zamierza przed lwem dobrać się do zwierzyny. Oczywiście, nasz ojciec jak zwykle patrzył na niego przychylnie. Jak to możliwe, że tak mądry człowiek, który zasiada na tronie, jest jednocześnie tak zaślepiony przez zwykły wdzięk i urodę?

Parys przemaszerował przez całą salę do podwyższenia i już stawał stopę na pierwszym stopniu, gdy i ja się zbliżyłem. Przysunął się również Antenor. Wszedłem, by stanąć przy tronie.

– Czy przynosisz dobre wieści, mój synu? – spytał król.

– Nie na temat ciotki Hezjone – powiedział Parys, kręcąc głową. Pierścienie na lokach zadźwięczały. – Król Telamon był dla mnie grzeczny, ale oświadczył jednoznacznie, że nie zrezygnuje z ciotki Hezjone.

Król parsknął groźnie. Jak daleko ta stara nienawiść się posunie? Dlaczego po tylu latach ojciec nadal był tak wrogo nastawiony do Grecji? Świst jego oddechu uciszył całą salę.

– Jak śmiał! Jak Telamon śmiał mnie obrazić! Czy widziałeś swoją ciotkę? Czy miałeś sposobność z nią rozmawiać?

– Nie, ojczu.

– Zatem przeklinam ich wszystkich! – zaryczał z głową wzniesioną ku sufitowi i zamkniętymi oczami. – O potężny Apollo, panie światła, władco słońca, księżyca i gwiazd, daj mi szansę, bym mógł zdusić tę grecką pychę!

Pochyliłem się nad tronem.

– Panie, uspokój się! Czyżbyś oczekiwał innej odpowiedzi?

Zwróciwszy głowę ku mnie, otworzył oczy.

– Nie, chyba nie. Dzięki, Hektorze. Jak zwykle zwracasz moją uwagę na chłodne realia. Dlaczego jednak Grecy to uczynili, powiedz mi? Dlaczego porwali trojańską księżniczkę?

Parys położył swoją dłoń na kolanie ojca i poklepał je łagodnie. Twarz ojca złagodniała, gdy zwrócił ją ku niemu.

– Ojczu, ukarałem odpowiednio grecką arogancję – oznajmił Parys z błyszczącymi oczami.

Miałem właśnie odejść, ale zastanowił mnie ton jego głosu.

– W jaki sposób, mój synu?

– Oko za oko, panie! Oko za oko! Grecy ukradli ci siostrę, zatem ja przywiozłem ci z Grecji łup o wiele cenniejszy niż piętnastoletnia dziewczyna!

Skoczył na nogi. Był tak podekscytowany, że chwili dłużej nie mógł usiedzieć u stóp tronu króla Priama.

– Panie – zawołał, a jego głos wzniósł się pod belki dachu. –

Przywiozłem ci Helenę! Królową Lakonii, żonę Menelaosa, brata Agamemnona, i siostrę małżonki Agamemnona, królowej Klitajmestry!

Zatoczyłem się ze zgrozy, nie byłem w stanie znaleźć słów. To był z mojej strony poważny błąd, stworzyłem bowiem okazję, by pierwszy przemówił wuj Antenor. Wystąpił naprzód, nabrzmiałe stawy jego rąk upodobniły je do szponów.

– Przestań się wtrącać, ty głupi bawidamku! – wrzasnął Antenor. – Dlaczego nie sprawiłeś się lepiej i nie porwałeś samej Klitajmestry?! Grecy już i tak nie mogą przeżyć naszego embarga oraz braku cyny i miedzi. Czy spodziewasz się, że po czymś takim będą siedzieć spokojnie? Ty głupcze! Dałeś Agamemnonowi okazję, na jaką czekał od lat! Wplątałeś nas w pożar, który Troję doprowadzi do ruiny! Ty bezmózgi zarozumiały idioto! Dlaczego twój ojciec cię nie powściągnie? Dlaczego nie zdusił twej rozwijającej kariery, nim jeszcze się zaczęła? Wkrótce wszyscy poniesiemy tego konsekwencje, a wtedy żaden Trojanin nie wymówi twego imienia bez splunięcia!

Połowa mnie pochwalała słowa Antenora. Dokładnie wyraził moje uczucia. A druga połowa go przeklęła. Jaka byłaby decyzja ojca, gdyby ten starzec trzymał język za zębami? Tam, gdzie Antenor znajdował winę, Priam upierał się nagradzać. Nieważne, co sobie pomyślał, jednak atak Antenora pchnął go na stronę Parysa.

Parys stał jak porażony.

– Ojczy, zrobiłem to dla ciebie! – powiedział błagalnie.

– O tak, oczywiście! – parsknął Antenor. – A czy zapomniałeś o najślawniejszej przepowiedni? „Strzeżcie się kobiety wziętej z Grecji jako łup dla Troi”? Czy to już nie mówi samo za siebie?

– Nie, nie zapomniałem! – zawołał mój brat. – Helena nie jest żadnym łupem! Przybyła ze mną z własnej woli! Nie jest ofiarą porwania. Przybywa, ponieważ chce zostać moją żoną! Na dowód tego przywozi z sobą wielki skarb, złoto i klejnoty. Jest tego dość, by

kupić królestwo! Posag, ojczy, posag! – zachichotał. – Dałem Grekom porządną nauczkę za porwanie królowny... przyprawilem im rogi!

Antenor spojrział tylko, pokonany. Trzęsąc wolno swoją białą czupryną, wycofał się do szeregów dworzan. Parys spoglądał na mnie ponaglająco, błagalnie.

– Hektorze, poprzyj mnie!

– Jak mógłbym to zrobić? – rzuciłem przez zęby.

Odwrócił się, upadł na kolana i obiema rękami objął króla za nogi.

– Co niedobrego może z tego przyjść, ojczy? – przypochlebiał się. – Czy dobrowolna ucieczka kobiety kiedykolwiek oznaczała wojnę? Helena przybywa z własnej woli. Ona nie jest już podlotkiem! Helena ma dwadzieścia lat! Od sześciu lat zamężna, ma dzieci! Czy wyobrażasz sobie, jak straszne musiało być jej życie, skoro porzuciła swe królestwo i dzieci? Ojczy, kocham ją! A ona kocha mnie!

Głos załamał mu się patetycznie, a z oczu zaczęły płynąć łzy. Król czule pogłaskał Parysa po włosach.

– Zobacze się z nią – powiedział.

– Nie, poczekaj! – Antenor znowu wysunął się do przodu. – Panie, zanim spotkasz się z tą kobietą, nalegam, abys mnie wysłuchał! Odeślij ją do domu, Priamie, odeślij ją do domu! Odeślij ją Menelaosowi, nie patrząc nawet na nią! Odeślij ją ze szczerymi przeprosinami i całym skarbem, jaki z sobą przywiozła, oraz radą, by jej głowę zdjęto z karku! Na nic innego nie zasługuje. Miłość! Jaka to miłość kazała jej porzucić dzieci? Czy to o czymś nie świadczy? Przywozi Troi wielki skarb, ale zostawia dzieci!

Ojciec nie patrzył na niego. Wyczuł jednak, co myśli reszta, ponieważ nie wykonał żadnego wysiłku, aby powstrzymać jego tyradę. Zatem Antenor brnął dalej.

– Priamie, obawiam się arcykróla Myken, i ty też powinienes!

Z pewnością słyszałeś w zeszłym roku, jak Menelaos wypaplał, że Agamemnon jednoczy całą Grecję i chce z niej uczynić posłusznego wasala Myken. A jeśli postanowi przystąpić do wojny? Nawet jeśli go pokonamy, wojna nas zrujnuje. Od niepamiętnych czasów bogactwa Troi rosła z jednego tylko powodu – Troja wystrzegła się wojen. Wojna każdy naród doprowadzi do bankructwa. Priamie, słyszałem, jak sam to mówiłeś! Wyrocznia twierdzi, że kobieta z Grecji będzie przyczyną naszego upadku. A ty chcesz się z nią spotkać! Musisz liczyć się z bogami! Słuchać mądrości ich wyroczni! Czym są wyrocznie, jeśli nie okazją dawaną przez bogów śmiertelnikom, aby zobaczyli przyszłość? Przejąłeś politykę po swoim ojcu Laomedonie i jeszcze bardziej ją zaostrzyłeś. Podczas gdy on tylko ograniczał niektórym kupcom greckim żeglugę na Euxinusie, ty im w ogóle tego zabroniłeś. Grecy potrzebują cyny! Tak, mogą kupować miedź z zachodu – za wygórowaną cenę! – ale nie mogą dostać cyny. Mimo to jednak są bogaci i potężni.

Z twarzą spływającą łzami Parys uniósł głowę ku królowi.

– Ojczy, powiedziałem ci! Helena nie jest łupem! Przychodzi z własnej woli! Dlatego ona nie może być kobietą z wyroczni! Nie może!

Tym razem udało mi się wyprzedzić Antenora. Zszedłem na dół przed podwyższenie.

– Powiadasz, że przychodzi z własnej woli, Parysie. Ale czy to samo powiedzą w Grecji? Uważasz, że Agamemnon przyzna wobec podległych sobie królów, iż jego brat to najżałośniejszy z mężczyzn – rogiacz? Nie Agamemnon, nie ze swoją dumą! Agamemnon ogłosi, że została porwana. Ojczy, Antenor ma rację. Znaleźliśmy się na progu wojny. A wojna z Grecją nie obejmie tylko nas. Mamy sprzymierzeńców, należymy do federacji państw Azji Mniejszej. Podpisaliśmy umowy o handlu i przyjaźni ze wszystkimi morskimi krajami między Dardanią a Cylicją oraz krajami lądowymi, Asyrią i na północy Scytią. Kraje nadbrzeżne są bogate, ale niezbyt ludne,

nie starczy im ludzi, by odeprzeć grecką inwazję. Pomagają nam w blokadzie i obrastają w tłuszcz, sprzedając Grekom cynę i miedź. Sądziś, że na wypadek wojny Agamemnon ograniczy się jedynie do Troi? Nie! Wojna będzie wszędzie!

Ojciec spojrział na mnie groźnie. Odwzajemniłem mu się spojrzeniem bez lęku. Dopiero po chwili odpowiedział.

– Ty zawsze zwracasz moją uwagę na chłodne realia.

Od razu wyczułem, że tym razem od tych realiów się odżegna.

– Usłyszałem wszystko, co powinienem – stwierdził zimno. – Heroldzie, wprowadź królową Helenę.

Czekaliśmy w sali cichej jak grób. Patrzyłem na mojego brata Parysa, zastanawiając się, jak mogliśmy pozwolić, aby tak zgłupiał. Odwrócił się od podwyższenia (jedną rękę nadal trzymał na kolanie ojca) i wpatrywał się w drzwi. Uśmiechał się, zadowolony z siebie. Najwyraźniej sądził, że czeka nas niespodzianka. Przypomniałem sobie, co mówi! Menelaos, że ona jest piękną kobietą. Zawsze jednak byłem ostrożny, gdy mężczyźni nazywali królowe albo księżniczki pięknymi. Zbyt wiele z nich dziedziczyło ten epitet wraz z tytułami.

Otwarto drzwi. Nim rozpoczęła swą drogę do tronu, na chwilę stanęła w progu. Kiedy się poruszała, jej spódnica dźwięczała delikatnie, czyniąc z niej żywą melodię. Spostrzegłem, że wstrzymuję oddech. Zmusiłem się, by odetchnąć. Rzeczywiście, to była najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem. Nawet Antenor otworzył usta.

Szła wyprostowana, z uniesioną głową, z gracją i godnością, nie zawstydzona, nie zażenowana. Wysoka, jak na kobietę, miała najwspanialsze ciało, jakim Afrodyta kiedykolwiek obdarzyła kobiece stworzenie. Szczupła w pasie, wdzięcznie zaokrąglone biodra, długie nogi. Idąc, szeleściła spódnicą. Nie, nie było w niej nic, co mogłoby się nie podobać. Jej piersi! Nagie na nieskromną modłę grecką, wysokie i pełne, nie miały żadnych ozdób z wyjątkiem

pomalowanych na złoto sutków. Minęło trochę czasu, nim każdy z nas dotarł wzrokiem do jej łabędziej szyi i twarzy. Komplementy, zbyt wiele komplementów! Jak przypominam sobie ją tego dnia, była po prostu... piękna! Kaskada jasnozłotych włosów, ciemne brwi i rzęsy, oczy koloru wiosennej trawy otoczone czarnymi kreskami antymonu na sposób kretański i egipski skierowanymi ku górze.

Ile z tego jednak było prawdziwe, a ile wywołane czarem? Tego nigdy się nie dowiem. Helena to największe dzieło sztuki, jakie bogowie zesłali na Matkę Ziemię.

Dla mojego ojca była Losem. Nie aż tak posunięty w latach, nie zapomniał jeszcze o uciechach, jakie można mieć w ramionach kobiety. Spojrzał na nią i zakochał się. A raczej poczuł żądzę. Lecz ponieważ był za stary, by skraść ją synowi, postanowił zadowolić się myślą, że to jego syn ją oczarował, odebrał mężowi, dzieciom i jej ziemi. Puchnąc z dumy, zwrócił zdumiony wzrok na Parysa.

Z pewnością stanowili zniewalającą parę: on czarny jak Ganimedes, ona jasna jak Artemida w lesie. Wystarczyło, że przeszła przez salę, a całkowicie zawładnęła milczącym zgromadzeniem. Żaden mężczyzna nie mógł już winić Parysa za głupotę.

Podszedłem do króla, gdy tylko rozwiązał zgromadzenie. Rozmyślnie wkroczyłem na podwyższenie na odległym końcu, gdyż zbliżając się do tronu trzy stopnie ponad kochankami, przewyższałem wzrostem nawet tron ze złota i kości słoniowej mojego ojca. Zazwyczaj nie chwale się swoją sylwetką, jednak Helena mnie rozdrażniła. Chciałem, żeby dokładnie poznała, gdzie jest miejsce Parysa, a gdzie moje. Kiedy spojrzała na mnie, uniosła swe dziwne, niezgłębione, zielone oczy.

– Moje drogie dziecko, to jest Hektor, mój następca – przedstawił mnie ojciec.

Pochyliła głowę, poważnie i po królewsku.

– Poznać cię to zaszczyt, Hektorze. – Jej oczy zaokrągliły się

kokieteryjnie. – Ależ ty jesteś duży!

Powiedziała to prowokacyjnie, ale nie po to, żeby wzbudzić we mnie żądzę. Najwyraźniej gustowała w mięczakach podobnych do Parysa, a nie w takich mocno zbudowanych wojownikach jak ja. Bardzo dobrze. Nie byłem pewien, czy bym się jej oparł.

– Największy w Troi, pani – powiedziałem sztywno.

Zaśmiała się.

– Nie wątpię.

– Panie – odezwałem się do ojca – pozwól mi odejść.

– Czyż moi synowie nie są wspaniali, królowo Heleno? – zaskrzeczał. – Ten jest dumą mego serca, wielki człowiek! Pewnego dnia będzie wspaniałym królem.

Przyjrzała mi się z namysłem. Nie odezwała się, ale za jej uważnym spojrzeniem kryła się myśl, czy nie można by mnie wysadzić ze stanowiska, a na moje miejsce wstawić Parysa. Pozwoliłem jej spekulować. I tak czas pokaże, że Parys nie pragnie żadnych funkcji.

Byłem już przy drzwiach, kiedy król zawołał.

– Poczekaj, Hektorze, poczekaj! Przyślij do mnie Kalchasa.

Tajemnicze polecenie. Do czego potrzebny był królowi ten wstrętny człowiek, skoro nie wołał również Laokoona i Teano? W naszym mieście było wielu bogów, ale najważniejszym bóstwem był Apollo. Jego kult był szczególny w Troi, co czyniło z jego kapłanów – Kalchasa, Laokoona i Teano – najpotężniejszych dostojników w Troi.

Znalazłem Kalchasa spacerującego w cieniu ołtarza na dziedzińcu Zeusa. Nie zapytałem, dlaczego się tu znajduje. Był to człowiek, któremu nikt nie ośmielał się zadawać pytań. Przez kilka chwil obserwowałem go, próbując przeniknąć jego prawdziwą

naturę. Nosił długie, powiewne czarne szaty, haftowane srebrem w dziwne symbole i znaki. Chorobliwie biała skóra na jego zupełnie łysej czaszce połyskiwała matowo w ostatnim świetle dnia. Kiedyś, gdy byłem małym chłopcem skorym do figli, głęboko pod ziemią w pałacowej krypcie znalazłem gniazdo białych węży. Po spotkaniu z tymi ślepyimi, osłabionymi stworzeniami Kory nigdy już nie zapuszczałem się do krypty. Kalchas budził we mnie dokładnie to samo uczucie.

Powiadano, że przewędrował świat wzdłuż i wszerz, od Hyperborejów po rzekę Okeanosa, od ziem Dalekiego Wschodu przez Babilon po ziemie na południu od Etiopii. Jego sposób ubierania wziął się z Ur i Sumeru. W Egipcie był świadkiem rytów, które zostały przekazane wybitnym kapłanom na początku świata. Szeptano też o nim inne rzeczy: że potrafi spreparować ciało tak dobrze, że po stu latach wygląda świeżo, jakby pochowano je poprzedniego dnia; że uczestniczył w straszliwych rytach czarnego Seta, a nawet że pocałował fallusa Ozyrysa i tak otrzymał najwyższą intuicję. Nie mógłbym go polubić.

Wyłoniłem się zza kolumn i wszedłem na dziedziniec. Wiedział, kto się zbliża, choć nawet nie spojrzał w moją stronę.

– Szukasz mnie, książę Hektorze?

– Tak, święty kapłanie. Król pragnie cię widzieć w sali tronowej.

– Aby spotkać się z kobietą z Grecji. Już idę.

Według należnego mi prawa szedłem przed nim. Słyszałem kiedyś opowieści o kapłanach, którym wydaje się, że mają władzę ponad tronem. Nie chciałem, żeby taka nadzieja powstała w głowie Kalchasa.

Helena spojrzała na niego z niepokojem i odrazą. Ucałowawszy dłoń mojego ojca, czekał na jego słowa.

– Kalchasiu, mój syn Parys przyprowadził do domu narzeczoną.

Chcę, abyś udzielił im jutro ślubu.

– Jak rozkażesz, panie.

Następnie król odprawił Parysa i Helenę.

– Idź teraz i pokaż Helenie jej nowy dom – polecił mojemu głupiemu bratu.

– Czy wiesz, kim ona jest, kapłanie? – spytał ojciec.

– Tak, panie. To Helena. Kobieta wzięta z Grecji jako łup. Spodziewałem się jej.

Czyżby? A może to jego szpiedzy jak zwykle sprawnie mu donieśli?

– Kalchasie, mam dla ciebie misję.

– Tak, panie.

– Potrzebuję rady Pytii z Delf. Udaj się tam po ceremonii ślubnej i dowiedz, jakie znaczenie dla nas ma przyjazd Heleny.

– Tak, panie. Mam posłuchać Pytii?

– Oczywiście. Ona jest ustami Apolla.

O co właściwie w tym wszystkim chodzi? Zastanawiałem się, kto z kogo robił głupca. Ma szukać odpowiedzi w Grecji? Wydawało się, że wszystkie drogi zawsze prowadzą do Grecji. Czy wyrocznia delficka była sługą trojańskiego Apolla czy greckiego? Czyżbyśmy mieli nawet tych samych bogów?

Kapłan wyszedł. Nareszcie zostałem sam z ojcem.

– Robisz bardzo lichy interes, ojczu – powiedziałem.

– Nie, Hektorze, robię jedyną rzecz, jaką mogę. – Zamachał rękami. – Z pewnością rozumiesz, że nie mogę jej odesłać z powrotem? Szkoda już została wyrządzona, Hektorze. Stało się to w chwili, gdy Helena opuściła pałac w Amyklaju.

- Zatem nie odsyłaj jej w całości, ojczy. Odeślij tylko głowę.
- Za późno – odparł, oddalając się. – Za późno, za późno...

ROZDZIAŁ ÓSMY

OPOWIEŚĆ AGAMEMNONA

Moja żona, skąpana w słońcu, stała w wysokim oknie. Jej włosy miały kolor czerwonej miedzi, były płomienne i wspaniałe jak ona sama. Nie miała urody Heleny, nie, ale dla mnie jej urok był bardziej pociągający, a płęć silniejsza. Klitajmestra była żywym źródłem siły, a nie zwykłą ozdobą.

Widok z okna zawsze ją intrygował, może dlatego, że mówił o wysokiej pozycji, jaką posiadały Mykeny. Ponad wszystkimi innymi cytadelami. Rozpościerał się w dół Góry Lwa aż do doliny Argos, zielonej od plonów, a potem w górę, do szczytów ponad nami, gęsto zalesionych sosnami nad gajami oliwnymi.

Na zewnątrz panował harmider. Słyszałem głosy strażników obwieszczających, że król i królowa nie życzą sobie, aby im przeszkadzano. Wstałem nachmurzony, ale nie zdążyłem zrobić kroku, gdy otworzyły się drzwi i wtoczył się Menelaos. Podszedł prosto do mnie, oparł głowę o moje uda i zapłakał. Wybiegłem wzrokiem ku Klitajmestrze, patrzącej na niego w zdumieniu.

– Co się stało? – spytałem, podnosząc go z kolan i sadzając w fotelu.

On jednak tylko płakał. Miał brudne i zmierzwiłone włosy, ubranie w nieładzie i trzydniowy zarost. Klitajmestra naląła do kielicha nierozwodnionego wina i wręczyła mi, abym mu go podał. Wypiwszy wino, trochę się uspokoił, przestał tak gwałtownie szlochać.

– Menelaosie, co się stało?

– Helena odeszła!

Klitajmestra odwróciła się od okna.

– Nie żyje?

– Nie! Odeszła! Odeszła, Agamemnonie. Zostawiła mnie!

Poprawił się w fotelu, próbując wziąć się w garść.

– Powiedz wszystko powoli, Menelaosie – rzekłem.

– Trzy dni temu wróciłem z Krety. A jej nie było... Uciekła, bracie... Uciekła z Parysem do Troi.

Patrzyliśmy na niego z otwartymi ustami.

– Uciekła z Parysem do Troi – powtórzyłem, przychodząc wreszcie do siebie.

– Tak, tak! Zabrała zawartość skarbca i uciekła!

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziałem.

– A ja tak! To głupia, pożądliva harpia! – wysyczała Klitajmestra. – Czego można się było po niej spodziewać, skoro już wcześniej uciekła z Tezeuszem? Flądra! Dziwka! Niemoralna suka!

– Powstrzymaj swój język, kobieto!

Pokazała mi zęby, ale posłuchała.

– Kiedy to się stało, Menelaosie? Chyba nie pięć miesięcy temu!

– Prawie sześć. Nazajutrz po moim wyjeździe na Kretę.

– To niemożliwe! Przyznaję, że nie byłem w Amyklaju podczas twojej nieobecności, ale mam tam przyjaciół. Natychmiast przysłaliby mi wiadomość.

– Rzuciła na nich zły urok, Agamemnonie. Udała się do wyroczni Matki Kubaby i kazała jej powiedzieć, że przywłaszczyłem sobie jej prawo do tronu Lakonii. Potem wpłynęła na Matkę Kubabę, aby rzuciła klątwę na moich baronów. Nikt nie śmiał puścić pary z gęby.

Stłumiłem wściekłość.

– Zatem oni w Lakonii nadal są pod wpływem Matki i starej religii! Wkrótce się z tym rozprawię! Minęło przeszło pięć miesięcy...
– Wzdrygnąłem się. – Teraz już jej nie odzyskamy.

– Nie odzyskamy? – Menelaos podskoczył do mnie. – Nie odzyskamy? Agamemnonie, jesteś arcykrólem! Musisz ją odzyskać!

– Czy zabrała dzieci? – spytała Klitajmestra.

– Nie – odparł. – Jedynie zawartość skarbca.

– Widzisz zatem, gdzie znajdują się jej prawdziwe wartości – warknęła moja żona. – Zapomnij o niej! Bez niej będzie ci lepiej, Menelaosie.

Upadł znowu na kolana i rozplakał się.

– Chciałbym ją odzyskać! Chciałbym ją odzyskać, Agamemnonie! Daj mi wojsko! Daj mi wojsko i pozwól pożeglować do Troi!

– Wstań, bracie! Opanuj się!

– Daj-mi-woj-sko! – cedził przez zęby.

Westchnąłem.

– Menelaosie, to sprawa osobista. Nie mogę dać ci wojska tylko po to, żebyś wymierzył sprawiedliwość dziwce! Przyznaję, że wszyscy Grecy mają dobry powód, aby nienawidzić Troi i Trojan. Jednak żaden z poddanych mi królów nie uzna dobrowolnej ucieczki Heleny za wystarczający powód do wojny.

– Proszę jedynie o wojsko złożone z twoich i moich żołnierzy, Agamemnonie!

– Troja ich pożre. Podobno armia Priama liczy pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy – powiedziałem rozsądnie.

Klitajmestra szturchnęła mnie boleśnie łokciem w żebra.

– Mężu, czyżbyś zapomniał o przysiędze? – spytała. – Zbierz armię na mocy Przysięgi Poćwiartowanego Konia! Złożyło ją stu królów i książąt.

Otworzyłem usta, aby ją poinformować, że kobiety są głupie. Jednakże w porę je zamknąłem. Sala tronowa nie znajdowała się daleko. Poszedłem tam i usiadłem na tronie lwa. Uchwyciwszy się jego szponiastych oparc, pograżyłem się w myślach.

Właśnie wczoraj przyjmowałem delegacje królów z całej Grecji. Skarżyli się, że zamknięcie Hellespontu doprowadziło ich do kryzysu i nie mogą już dłużej kupować cyny i miedzi od krajów Azji Mniejszej. Nasze rezerwy tych metali – szczególnie cyny – też malały. Pługi zaczęto robić z drewna, a noże z kości. Jeśli narody Grecji mają przetrwać, nie można dopuścić, by trojańska polityka rozmyślnego odcięcia nas od Euxinusa nadal trwała. Na północy i zachodzie gromadzą się plemiona barbarzyńskie, gotowe spaść na nas, tak jak kiedyś my zalaliśmy i wyniszczyliśmy pierwotnych Greków. A skąd weźmiemy brąz, żeby wykonać setki i tysiące sztuk broni potrzebnej, by ich odeprzeć?

Wysłuchałem posłów i obiecałem znaleźć rozwiązanie. Wiedziałem, że nie ma rozwiązania innego niż wojna. Wiedziałem jednak także, iż wielu spośród królów, którzy przysłali jedynie posłów, wykręci się od niej pod byle jakim pretekstem. Dziś otrzymałem na to środek. Klitajmestra pokazała mi jaki. Byłem już mężczyzną w kwiecie wieku, a w tej wojnie zobaczyłem dla siebie szansę. Mogłem dokonać inwazji na Troję! Helena posłuży mi jako pretekst. Chytry Odyseusz przewidział to siedem lat temu, każąc nieżyjącemu dziś Tyndarejosowi odebrać przysięgę od zalotników Heleny.

Jeśli moje imię ma przetrwać po mojej śmierci, muszę zostawić po sobie wielkie czyny. A jakież może być większy czyn od podbicia Troi? Przysięga zapewni mi blisko sto tysięcy żołnierzy – wystarczy, aby załatwić całą sprawę w dziesięć dni. A jeśli runie Troja, czy coś

przeszkodzi mi w podboju nadmorskich krajów Azji Mniejszej? Zduszę je i uczynię satelitami greckiego imperium. Przed oczami ujrzałem złoto, srebro, brąz, klejnoty i ziemie, które będzie można posiadać. Które ja posiadę, jeśli odwołam się do Przysięgi Poćwiartowanego Konia. Tak, w mojej mocy leży stworzenie imperium dla mojego ludu.

Pod tronem, w dole, stali mój brat i żona. Patrzyli na mnie. Wyprostowałem się i spojrzałem surowo.

– Helenę porwano! – powiedziałem.

Menelaos pokręcił nieszczęśliwie głową.

– Chciałbym, aby tak było, Agamemnonie, ale nie. Heleny nawet nie trzeba było namawiać.

Stłumiłem silne pragnienie, aby go zdzielić kijem, jak to bywało, kiedy byliśmy chłopcami. Na Matkę, jaki z niego głupiec! Jak nasz ojciec Atreusz mógł spłodzić takiego głupca?

– Nie obchodzi mnie to, co się naprawdę stało! – warknąłem. – Będiesz mówił, że ją porwano, Menelaosie. Najmniejsza aluzja, że jej ucieczka była dobrowolna, i wszystko legnie w gruzach, chyba to rozumiesz? Jeśli będziesz słuchał moich rozkazów i poprzesz je bez spierania się, podejmę się zebrać armię na mocy przysięgi.

W jednej chwili zgaszony, w drugiej się zapalił. Menelos promieniał.

– Tak, Agamemnonie, tak!

Zerknąłem na Klitajmestrę, która uśmiechała się kwaśno. Oboje mieliśmy głupie rodzeństwo i oboje o tym wiedzieliśmy.

Sługa stał daleko, żeby nie mógł podsłuchiwać. Klasnąłem w dłonie, aby sprowadzić go bliżej.

– Przyślij do mnie Kalchasa – powiedziałem.

Kapłan wszedł kilka chwil później i padł na twarz. Popatrzyłem

z góry na jego kark, zastanawiając się znowu, co tak naprawdę sprowadziło go do Myken. Był Trojaninem, piastował wysoką godność, do niedawna był arcykapłanem Apolla w Troi. Kiedy wyruszył na pielgrzymkę do Delf, Pytia nakazała mu służyć Apollinowi w Mykenach. Rozkazała mu nie wracać do Troi ani nie służyć już trojańskiemu Apollinowi. Kiedy pojawił się u mnie, poleciłem sprawdzić jego opowieść. Pytia potwierdziła ją jednoznacznie. Kalchas miał być moim człowiekiem, ponieważ tego życzył sobie Pan Światła. Jak dotąd kapłan nie dał mi powodu, bym mógł podejrzewać go o zdradę. Obdarzony podwójnym widzeniem, kilka dni temu uprzedził mnie, że mój brat przybędzie w wielkim zmartwieniu.

Kalchas miał wielce nieprzyjemny wygląd, stanowił rzadkość wśród rzadkości, był prawdziwym albinosem. Na głowie nie miał włosów, a jego skóra była tak biała jak brzuch głębiny ryby. Skośne oczy koloru ciemnoróżowego tkwiły na dużej okrągłej twarzy, która permanentnie wyrażała głupotę. Pozory. Kalchasowi daleko było do głupoty.

Kiedy się wyprostował, próbowałem wysondować jego umysł. Lecz z jego wodnistych, beznamiętnych oczu nie można było niczego wyczytać.

- Kalchasie, kiedy dokładnie opuściłeś króla Priama?
- Pięć miesięcy temu, panie.
- Czy księżę Parys już wrócił z Salaminy?
- Nie, panie.
- Możesz odejść.

Zesztywniał, obrażony tak szybką odprawą. Widać było, że w Troi przyzwyczajono go do większego szacunku. Ale Troja czciła Apolla jako najwyższego boga, podczas gdy w Mykenach najwyższym był Zeus. Jakże musiało go palić, jego – Trojanina, to, że Apollo

kazał mu służyć tam, gdzie nie należało jego serce.

Powtórnie klasnąłem w dłonie.

– Przyślijcie mi głównego herolda.

Menelaos westchnął, co mi przypomniało, że ciągle stoi przede mną. Jednakże ani przez chwilę nie zapomniałem o Klitajmestrze.

– Otuchy, bracie. Odzyskamy ją. Przysięgi Poćwiartowanego Konia nie wolno złamać. Wiosną przyszłego roku będziesz miał swoje wojsko.

Przyszedł główny herold.

– Heroldzie, roześlesz posłańców do wszystkich królów i książąt w Grecji, którzy siedem lat temu przed królem Tyndarejosem złożyli Przysięgę Poćwiartowanego Konia. Pisarz przysięgi zna ich imiona na pamięć. Twoi posłańcy wyrecytują to, co następuje: „Królu, książę – taki a taki – Ja, twój suzeren, Agamemnon król królów, rozkazuję, byś natychmiast przybył do Myken w sprawie przysięgi, którą złożyłeś na zaślubinach królowej Heleny z królem Menelaosem”. Zapamiętałeś?

Dumny ze swej nieomyślnej pamięci, główny herold przytaknął.

– Tak, panie.

– Zatem idź i załatw to.

Klitajmestra i ja pozbyliśmy się Menelaosa, mówiąc mu, że powinien wziąć kąpiel. Wyszedł szczęśliwy. Starszy brat Agamemnon panował nad sytuacją, zatem wreszcie mógł się odprężyć.

– Arcykról Grecji to potężny tytuł – powiedziała Klitajmestra – ale arcykról Imperium Greckiego brzmi o wiele potężniej.

Uśmiechnąłem się.

– Ja też tak sędzę, żono.

– Podoba mi się pomysł, że ten tytuł odziedziczy Orestes –

marzyła głośno.

Cała Klitajmestra. W swym gwałtownym sercu była przywódczynią, moją królową, kobietą, która nie chciała kłaniać się przed nikim, nawet przede mną. Byłem świadomy jej ambicji. Jakże pragnęła zasiadać na moim miejscu, ożywić starą religię i wykorzystywać króla jedynie jako żywy symbol swej płodności. I wysłać go pod topór, kiedy ziemia jęczałaby w nieszczęściu. Kult Matki Kubaby nigdzie nie był tak silny jak na wyspie Pelopsa. Nasz syn Orestes był jeszcze bardzo młody. Przyszedł, gdy straciłem już nadzieję. Kiedy on się urodził, jego dwie siostry, Elektra i Chryzotemis, były już dojrzałe. Chłopiec stanowił cios dla Klitajmestry. Miała nadzieję, że obejmie rządy przez Elektrę. Później przeniosła swe uczucia na Chryzotemis. Elektra kochała bowiem ojca, nie matkę. Jednakże Klitajmestra była niezwykle zaradna. Teraz, gdy dziedzicem był Orestes, silne chłopię, matka miała nadzieję, że umrę, nim on dorośnie. Wtedy mogłaby rządzić przez niego. Albo przez naszą młodszą córkę Ifigenię.

Niektórzy z tych, co złożyli Przysięgę Poćwiartowanego Konia, przybyli jeszcze, nim Menelaos wrócił z Pylos z królem Nestorem. Z Myken do Pylos była długa droga, inne królestwa były znacznie bliżej. Najszybciej przybył Palamedes, syn Naupliosa. Ucieszyłem się, że go widzę. Tylko Odyseusz i Nestor przewyższali go mądrością.

Rozmawiałem właśnie z Palamedesem w sali tronowej, kiedy wśród gości powstało zamieszanie. Palamedes zdusił śmiech.

– Na Heraklesa, co to za kolos! To chyba Ajaks, syn Telamona. Po co przybywa? Był dzieckiem, kiedy składaliśmy przysięgę, a jego ojciec nigdy jej nie złożył.

Oto zbliżał się ku nam największy mężczyzna Grecji. Głową i ramionami górował nad pozostałymi w sali. Jako wyborowy wojownik pogardzał zwyczajową szatą. O każdej porze roku i przy każdej pogodzie chodził bez butów i bez koszuli. Nie mogłem oderwać wzroku od jego masywnej klatki piersiowej i napiętych

mięśni, na których nie było widać nawet odrobiny tłuszczu. Za każdym razem, gdy stawiał olbrzymią stopę na moich marmurowych kaflach, zdawało mi się, że drżą mury.

– Powiadają, że jego kuzyn Achilles jest prawie tak samo duży – poinformował mnie Palamedes. Odchrząknąłem.

– On nas nie interesuje. Panowie z północy nigdy nie okazywali szacunku Mykenom. Myślą, że Tesalia jest wystarczająco silna, by być niezależna.

– Witaj, synu Telamona – zwróciłem się do nowo przybyłego. – Co cię do nas sprowadza?

Jego dziecinne, szare oczy przyglądały mi się łagodnie.

– Przybywam, aby oddać ci usługi Salaminy, panie, w miejsce mojego ojca, który jest chory. Powiedział, że będzie to dla mnie dobre doświadczenie.

Byłem niezwykle rad. Szkoda tylko, że drugi syn Ajakosa, Peleus, był takim arogantem. Telamon znał swój obowiązek wobec arcykróla, jednak na próżno oczekiwać tego od Peleusa, Achillesa i Myrmidonów.

– Wyrażamy ci podziękowanie, synu Telamona.

W odpowiedzi Ajaks uśmiechnął się, po czym odszedł w kierunku przywołujących go szaleńczo przyjaciół. Nagle zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– Zapomniałbym, panie. Jest ze mną mój brat Teukros. On składał przysięgę.

Palamedes roześmiał się, zakrywszy usta dłonią.

– Czyżbyśmy mieli otworzyć szkołę dla dzieci, panie?

– Tak, szkoda, że ten Ajaks jest takim niezdara. Ale nie można lekceważyć żołnierzy z Salaminy.

Późnym popołudniem siedziałem przy kolacji z Palamedesem, Ajaksem, Teukrosem, drugim Ajaksem z Lokrydy, zwykle nazywanym Ajaksem Małym, Menestenesem – arcykrólem Attyki, Diomedesem z Argos, Toasem z Etolii, Eurypylosem z Ormenionu i kilkoma innymi. Byłem pod wrażeniem, wielu z nich bowiem nie składało przysięgi. Obwieściłem, że zamierzam napaść na Półwysep Trojański, zdobyć Troję i uwolnić Hellespont. Z uwagi na mojego chwilowo nieobecnego brata zatrzymałem się być może zbyt długo na szczegółach ukazujących perfidię Parysa, ale nikogo to nie zmyliło. Znali prawdziwy powód tej wojny.

– Nasi kupcy od lat domagają się otwarcia Hellespontu. Potrzeba nam cyny i miedzi. Barbarzyńcy z północy i zachodu wodzą za nami głodnym wzrokiem. Niektórzy z nas władają krajami zbyt przeludnionymi, a z tego biorą się problemy: ubóstwo, właśnie, bunty, intrygi.

Popatrzyłem na nich surowo.

– Nie myślcie, że mam zamiar przystąpić do wojny tylko po to, aby odzyskać Helenę. Wyprawa przeciw Troi i nadmorskim krajom Azji Mniejszej umożliwi nam dokonanie czegoś więcej niż tylko zgromadzenie bogactw i zdobycie nieograniczonej ilości taniego brązu. Ta wyprawa daje nam szansę skolonizowania nadwyżek naszej ludności na bogatych, nieprzeludnionych i niezbyt odległych terenach. Świat wokół Morza Egejskiego posługuje się różnymi odmianami języka greckiego. Pomyślcie jednak o świecie nad Morzem Egejskim jako o całkowicie greckim. Pomyślcie o nim jako o Greckim Imperium!

Och, jakże im się to spodobało. Każdy z nich, co do jednego, łapczywie schwycił przynętę. W końcu nie musiałem w ogóle powoływać się na przysięgę i byłem z tego rad. Chciwość jest o wiele lepszym poganiaczem niż strach. Oczywiście, Ateny były ze mną przez cały czas, nigdy nie wątpiłem w to, że Menestenes mnie poprze. Zatem, kiedy dołączy Idomeneusz z Krety, będzie trzecim

arcykrólem. Ale czwarty – Peleus – nie przybędzie. Mogłem najwyżej liczyć na niektórych podległych mu królów.

Kilka dni później wrócił Menelaos z Nestorem. Natychmiast kazałem przyprowadzić starca do siebie. Kiedy odprawiłem Menelaosa, usiedliśmy w prywatnym salonie z Palamedesem. Rozsądek nakazywał, żeby brat nadal wierzył, iż Helena jest jedynym powodem wojny. O tym, co się z nią stanie, gdy ją złapiemy, Menelaos jeszcze nie wiedział. Niestety, gdy znajdzie się z powrotem w naszych rękach, będzie musiała pożegnać się ze swoją głową.

Nie miałem pojęcia, jak stary był król Pylos. Gdy ja jeszcze byłem chłopcem, on już był stary i siwowłosy. Jego mądrość nie miała granic, jego orientacja w terenie pozostała równie ostra jak niegdyś. W jego jasnych, bystrych oczach nie było śladu zniedołężnienia, żadnego drżenia rąk.

– O co w tym wszystkim chodzi, Agamemnonie? – spytał. – Twój brat zamiast zmądrzeć, jeszcze bardziej zgłupiał! Dowiedziałem się od niego jedynie jakiejś nieprawdopodobnej opowieści o porwaniu Heleny, ha! Pierwszy raz słyszę, żeby tę młodą damę trzeba było zmuszać do podobnych spraw! I nie mów mi, że uwierzyłeś w te jego fantazje! – sarknął. – Wojna o kobietę? Naprawdę, Agamemnonie!

– Przystępujemy do wojny o cynę, miedź, szlaki handlowe, wolną żeglugę w Hellesponcie i greckie kolonie nad Morzem Egejskim w Azji Mniejszej. Ucieczka Heleny z zawartością skarbca mojego brata jest doskonałym pretekstem, i tyle.

– Hmm – wyduł wargi. – Cieszę się, że to mówisz. Na ilu ludzi możesz liczyć?

– Obecnie na prawie osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Z odpowiednim zapleczem pomocników i sług całkowita liczba przekroczy sto tysięcy. Na wiosnę powinniśmy spuścić na wodę tysiąc okrętów.

– Olbrzymia kampania. Mam nadzieję, że dobrze ją

zaplanowałeś.

– Naturalnie – powiedziałem wyniośle. – Będzie to bardzo krótka wyprawa – taka liczba ludzi rozniesie Troję w ciągu kilku dni.

Jego oczy rozszerzyły się.

– Tak myślisz, Agamemnonie? Jesteś pewien? A byłeś kiedyś w Troi?

– Nie.

– Musiałeś chyba słyszeć opowieści o trojańskich murach.

– Tak, tak, oczywiście, słyszałem! Ale, panie, żadne istniejące mury nie wytrzymają natarcia stu tysięcy ludzi.

– Może... Moja rada jest taka, żebyś poczekał, aż twoje okręty przybiją do brzegów Troi, a wtedy będziesz mógł lepiej ocenić sytuację. Powiadano mi, że Troja to nie Ateny z obwarowaną cytadelą i pojedynczym murem spadającym do morza. Troja jest całkowicie zamkniętym bastionem. Uważam, że możesz wygrać swoją kampanię. Sądzę jednak, iż będzie ona długotrwała.

– Zatem muszę się z tobą nie zgodzić, panie – powiedziałem stanowczo.

Westchnął.

– Niech będzie, jak jest. Ani ja, ani żaden z moich synów nie składaliśmy przysięgi, ale możesz na nas liczyć. Jeśli nie złamiemy potęgi Troi i krajów Azji Mniejszej, Agamemnonie, zgaśniemy, my i cała Grecja! – przyjrzał się swoim pierścieniom. – A gdzie Odyseusz?

– Posłałem do Itaki gońca.

Cmoknął językiem.

– Odyseusz nie przybędzie na takie wezwanie.

– Musi! On też złożył przysięgę.

– Co za znaczenie ma ta przysięga dla Odyseusza? Nie, żebym oskarżał go o bluźnierstwo – ale to on wymyślił tę pułapkę! Prawdopodobnie odwołał ją pod nosem. W sercu jest łagodnym człowiekiem. Podobno wiezie spokojne życie w domowych pieleszach. Zupełnie stracił dawny zapał do intryg. Szczęśliwie małżeństwo czasami tak zmienia niektórych mężczyzn. Nie, Agamemnonie, on nie będzie chciał przybyć. Ale ty musisz go mieć.

– Jestem tego świadom, panie.

– Zatem ruszaj i sam go przyprowadź – powiedział Nestor. – Weź z sobą Palamedesa. – Zachichotał. – Złodzieja najszybciej złapie złodziej.

– Czy powinienem także wziąć Menelaosa?

Zamrugnął oczami.

– Oczywiście. Dzięki temu nie nasłucha się o gospodarce zamiast o seksie.

Wędrowaliśmy łodem, po czym w małej wiosce na zachodnim wybrzeżu wyspy Pelopsa wsiedliśmy na statek, aby pożeglować z wiatrem prosto do Itaki. Kiedy przybiliśmy do brzegu, moim oczom ukazała się wyspa – mała, skalista i prawie jałowa – zupełnie nieodpowiednie królestwo dla największego umysłu naszego świata. Musiałem iść pieszo po górskiej ścieżce do jedyne go miasta, przeklinając fakt, że Odyseusz nie pomyślał nawet, by wyposażyć swój port w jakiś środek transportu. W mieście udało nam się znaleźć kilka zapchlonych osłów. Szczerze zadowolony, że żaden dworzanin nie widzi swego arcykróla sterczącego na osle, ruszyłem do pałacu.

Niewielki pałac stanowił jednak niespodziankę. Prezentował się okazale z wysokimi kolumnami, a najlepsze farby, jakimi pomalowana była fasada, zapowiadały, że jego wnętrze może być całkiem wystawne. Żona wniosła mu w posagu olbrzymie ziemie, skrzynie złota i królewski okup w klejnotach. Jakże ten Ikarios

protestował, żeby nie wydawać jej za człowieka, który nie potrafił wygrać biegu bez posłużenia się sztuczką!

Spodziewałem się ujrzeć Odyseusza czekającego na nas w portyku. Wieści o naszym przybyciu na pewno dotarły już z miasta. Kiedy jednak z ulgą zsiadliśmy z naszych lichych wierzchowców, zastaliśmy miejsce ciche i opuszczone. Nie pojawił się nawet żaden sługa. Sam znalazłem drogę do wnętrza – na Zeusa, co za freski! – wspaniale! Bardziej zaintrygowany niż obrażony, stwierdziłem, że pałac z jednego krańca po drugi był całkowicie wymarły. Nawet ten przeklęty pies Argos, którego Odyseusz wszędzie z sobą zabierał, nie powitał nas ujadaniem.

Wspaniałe drzwi z brązu podpowiedziały nam, gdzie znajduje się sala tronowa. Menelaos otworzył je. Stanęliśmy na progu, podziwiając arcydzieła sztuki i doskonałe wyważenie kolorów. U podwyższenia ujrzelśmy przykucniętą na stopniu płaczącą kobietę. Głowę miała okrytą płaszczem. Gdy jednak podniosła twarz, od razu wiedzieliśmy, kim jest. Jej lewy policzek był wytatuowany w niebieską pajęczynę ze szkarłatnym pajakiem – znak kobiet poświęconych Pallas Atenie we wcieleniu tkaczki. Penelopa.

Gwałtownie skoczyła na nogi, a potem upadła na kolana, aby ucałować kraj mej szaty.

– Panie! Nie spodziewaliśmy się ciebie! Przykro mi, że widzisz mnie w takim stanie.

Po tych słowach znowu zalała się potokiem łez.

Czułem się śmiesznie, stojąc, podczas gdy ta rozhisteryzowana kobieta trzymała mnie za kostki. Przychwyciłem wzrok Palamedesa i musiałem się uśmiechnąć. Dlaczego spodziewałem się tego, co zwyczajne, skoro miałem do czynienia z Odyseuszem?

Palamedes nachylił się do mojego ucha.

– Panie, dowiem się więcej, jeśli trochę pospieszę. Mogę? –

szepnął.

Kiwnąłem na znak zgody, a potem podniosłem Penelopę na nogi.

– Kuzynko, uspokój się. Co się stało?

– Król, panie! Król oszalał! Jest absolutnie szalony! Nie rozpoznaje nawet mnie! Jest teraz w świętym sadzie, mamrocze niczym lunatyk!

Palamedes wrócił, akurat by usłyszeć ostatnie słowa.

– Musimy się z nim zobaczyć, Penelopo! – powiedziałem.

– Tak, panie – odparła, łapiąc powietrze, i poprowadziła nas na zewnątrz.

Wyłoniliśmy się z tyłu pałacu. Przed nami w dole we wszystkie strony rozciągały się uprawne pola. Centrum Itaki było żyzniejsze niż wybrzeże. Kiedy mieliśmy już zejść po schodach, nagle znikąd wyłoniła się staruszka trzymająca niemowlę.

– Pani, księżę płacze. Minał czas jego karmienia.

Penelopa natychmiast wzięła go na ręce i zaczęła kołysać.

– Czy to syn Odyseusza? – spytałem.

– Tak. To Telemach.

Pogłaskałem go palcem po tłustym policzku, a potem ruszyłem dalej. Los jego ojca był o wiele ważniejszy. Szliśmy przez gaj oliwny tak stary, że powykręcane pnie były grubsze od karku byka. Wkrótce znaleźliśmy się na otoczonym murem terenie, na którym nie było drzew owocowych.

W chwili, gdy ujrzeliśmy Odyseusza, Menelaos mruknął coś zdławionym głosem, a ja otwarłem ze zdumienia usta. Odyseusz orał ziemię najdziwniejszym zaprzęgiem, jaki kiedykolwiek przyszło mi oglądać. Pług ciągnął wół z mułem. Zwierzęta szarpały

w przeciwnych kierunkach, a pług podskakiwał i szedł na boki. Jego praca była tak samo beznadziejna jak zajęcie Syzyfa. Na swej rudej głowie Odyseusz miał wciśniętą filcową czapkę wieśniaka i na chybił trafił rzucał coś za siebie przez lewe ramię.

– Co on robi? – spytał Menelaos.

– Sieje sól – odrzekła Penelopa bezbarwnym głosem.

Papłając do siebie bez sensu, śmiejąc się opętańczo, Odyseusz orał i siał sól. Choć musiał nas zauważyć, żadne światło rozpoznania nie zapaliło się w jego oczach. Błyszczały zupełnym szaleństwem. Człowiek, którego tak potrzebowaliśmy, znalazł się poza naszym zasięgiem.

Nie mogłem patrzeć na niego w takim stanie.

– Chodźcie, zostawmy go – powiedziałem.

Pług właśnie zbliżał się do nas. Zwierzęta w zaprzęgu coraz bardziej się wściekały i były trudniejsze do opanowania. Palamedes bez namysłu ruszył do przodu. Menelaos i ja staliśmy jak sparaliżowani. Palamedes porwał niemowlę z rąk Penelopy i położył je prawie pod kopyta wołu. Kobieta, przeraźliwie krzycząc, próbowała zabrać dziecko, ale Palamedes jej nie pozwolił. Wtedy zaprzęg zaczął się zatrzymywać. Odyseusz wybiegł przed wołu i chwycił swojego syna na ręce.

– O co chodzi? – spytał Menelaos. – Czyżby jednak był zdrowy?

– Tak zdrowy, jak tylko może być człowiek – odpowiedział Palamedes, śmiejąc się.

– Udawał szaleństwo? – spytałem.

– Oczywiście, panie. Jak inaczej mógłby uniknąć dotrzymania przysięgi?

– Ale skąd wiedziałeś? – wydusił oszołomiony Menelaos.

– Znalazłem gadatliwą sługę tuż za salą tronową. Zdradziła mi,

że Odyseusz radził się wczoraj domowej wyroczni. Powiedziała mu, że jeśli wyruszy do Troi, będzie z dala od Itaki przez dwadzieścia lat – odrzekł Palamedes, ciesząc się ze swego małego zwycięstwa.

Odyseusz oddał dziecko Penelopie, która teraz płakała zupełnie szczerze. Wszyscy wiedzieli, że Odyseusz był wielkim aktorem, ale Penelopa także potrafiła grać. Dobrana para. Objął ją ramieniem, a szare oczy utkwiał w Palamedesie. Ich wyraz nie był miły. Palamedes naraził się człowiekowi, który całe życie potrafił czekać na dogodną okazję do zemsty.

– Zostałem zdemaskowany – rzekł Odyseusz nieskruszony. – Rozumiem, że potrzebujesz moich usług, panie?

– Tak. Dlaczego z takimi oporami, Odyseuszu?

– Panie, wojna z Troją będzie długa i krwawa. Nie chcę brać w niej udziału.

Kolejny, który upierał się, że kampania będzie długa! Czy jednak Troja mimo wysokich murów potrafi oprzeć się stu tysiącom ludzi?

Wracając z Odyseuszem do Myken, zapoznawałem go w pełni z wszystkimi faktami. Nie było potrzeby wmawiać mu, że Helena została porwana. Jak zwykle był kopalnią rad i informacji. Ani razu nie odwrócił się, aby spojrzeć na blednącą za wodami Itakę. Ani razu nie dał dowodu na to, że tęskni za żoną. Ani ona za nim. Byli skryci i pełni tajemnic – Odyseusz i Penelopa ze swoją posiatkowaną twarzą.

Kiedy dotarliśmy do Pałacu Lwa, dowiedziałem się, że przybył już mój kuzyn Idomeneusz z Krety. Bardzo chciał przyłączyć się do ekspedycji przeciw Troi. Dla łupu, oczywiście. Poprosił o współdowództwo i chętnie na to przystałem. Współdowódzący czy nie, i tak musiał kłaniać się przede mną. Bardzo lubił Helenę i źle przyjął jej zdradę (jemu także musiałem powiedzieć prawdę).

Lista zamówień była prawie kompletna – pisarze co rusz wywoływali tego czy owego ze swojej pamięci – i zawierała wszystkich budowniczych statków w Grecji. Na szczęście my, Grecy, budujemy jak dotąd najlepsze statki i posiadamy rozległe lasy z wysokimi prostymi sosnami i jodłami, które nadają się na maszty oraz do wyrobu smoły z żywicy. Mamy też dość niewolników dostarczających włosy, aby je z nią mieszać, i dość bydła na skórzane żagle. Nie ma potrzeby zamawiać statków gdzie indziej. To zdradziłoby nasze plany. Całkowite liczby były nawet wyższe, niż przewidywałem: obiecano tysiąc dwieście statków i przeszło sto tysięcy ludzi.

Gdy flota była już w budowie, zwołałem sesję wewnętrznej rady. Zasiedli ze mną Nestor, Idomeneusz, Palamedes i Odyseusz. Musieliśmy razem wszystkiemu się przyjrzeć. Potem zwołałem Kalchasa, aby postawił wróżby.

– Dobre posunięcie – pochwalił Nestor. Lubił zdawać się na bogów.

– Co mówi Apollo, kapłanie? – spytałem Kalchasa. – Czy nasza wyprawa się powiedzie?

Nie wahał się.

– Tylko wtedy, panie, gdy w jej skład wejdzie Achilles, siódmy syn króla Peleusa.

– Ach, ten Achilles! Achilles! – zawołałem, zgrzytając zębami. – Gdziekolwiek się zwrócę, wszędzie słyszę jego imię!

Odyseusz wzruszył ramionami.

– To wielkie imię, Agamemnonie.

– Phi! On nie ma jeszcze dwudziestu lat!

– Mimo wszystko – rzekł Palamedes – powinniśmy dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Zwrócił się do Kalchasa.

– Gdy będziesz wychodził, kapłanie, poproś tu Ajaksa, syna Telamona.

Nie lubił, jak Grecy mu rozkazywali. Ale poszedł, albinos ze skośnymi oczami. Czy był świadom tego, że jest przez mnie obserwowany dzień i noc? Zwykła ostrożność. Krótco po wyjściu Kalchasa pojawił się Ajaks.

– Opowiedz mi o Achillesie – poleciłem.

Moja prośba wywołała cały potok komplementów. Dla mnie przetrzymanie nawet jednego było trudne. Nie powiedział nam też niczego, czego byśmy już nie wiedzieli. Podziękowałem synowi Telamona i odesłałem go. Co za niedołęga.

– No i cóż? – spytałem potem o zdanie swoją radę.

– Z pewnością to, co my myślimy, nie liczy się, Agamemnonie – powiedział Odyseusz. – Kapłan mówi, że mamy mieć Achillesa.

– Który z pewnością nie przybędzie na nasze wezwanie – powiedział Nestor.

– Dziękuję. Wiem wystarczająco, aby się tego spodziewać! – warknąłem.

– Opanuj się, panie – powiedział starzec. – Peleus nie jest młody. Przysięgi nie składał. Nic zatem nie zmusza go, by do nas dołączył. Sam też nie zaoferował pomocy. A jednak pomyśl, Agamemnonie, pomyśl! Czego mogłaby dokonać nasza armia, gdybyśmy mieli Myrmidonów?

Jego głos wzmocnił się na tym magicznym imieniu. Zapadło ciężkie milczenie, które po chwili on sam przerwał.

– Wolałbym mieć z sobą jednego Myrmidona niż pół setki innych wojowników – powiedział.

– Zatem – rzekłem, postanowiwszy, że niektórzy powinni

pocierpieć. – Sugeruję, Odyseuszu, abyś zabrał Nestora i Ajaksa do Jolkos i zwrócił się do króla Peleusa z prośbą o pomoc Achillesa i Myrmidonów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

OPOWIEŚĆ ACHILLESA

Byłem już blisko niego, czułem jego smród i wściekłość. Z dzidą w dłoni podkradałem się w zaroślach. Doszedł mnie jego sapiący oddech, odgłos darcia ziemi, kiedy grzebał w niej kopytem. Potem go ujrzałem. Był tak duży jak młody byczek. Wielki korpus toczył się na krótkich potężnych nogach, sierść połyskiwała czarno, długie okrutne wargi odsłaniały zakrzywione żółte kły. Jego oczy przypominały oczy skazanego na Tartar. Dostrzegł już oznaki Furii i przepelnił go straszliwy gniew bezrozumnej bestii. Stary, dziki ludobójca.

Wrzasnąłem głośno, by powiadomić go, że jestem. Z początku nie ruszył się, potem wolno obrócił swój olbrzymi łeb i spojrzał na mnie. Zarył kopytem tak, że uniósł się kurz. Pochylił ryj i kłami zaczął rwać kawałki darni, gromadząc siły do ataku. Wyszedłem na otwarte pole i stanąłem z przygotowaną dzidą, moim Starym Pelionem, ośmielając go, by trochę się zbliżył. Widok stojącego człowieka był dla niego czymś nowym. Przez chwilę jakby się wahał. Potem ruszył ciężkim truchtem, aż ziemia drżała. Wkrótce trucht zmienił się w ślepy galop. Zdumiewające, że tak olbrzymi stwór potrafi tak szybko biegać.

Oceniłem kierunek jego ataku i zostałem na swoim miejscu. Oburącz dzierżyłem Stary Pelion, lekko unosząc go ku górze. Dzik był coraz bliżej. Impetem swego masywnego cielska mógłby przewiercić pień drzewa na wylot. Ujrzawszy czerwony błysk w jego oku, przykucnąłem, potem wyskoczyłem i zanurzyłem Stary Pelion w jego piersi. Upadł na mnie, przygniatając mnie do ziemi. Parujący potok jego ulatującego życia lał się na moje ciało. Nogami zepchnąłem z siebie jego łeb. W konwulsjach młócił mnie po rękach

zaciśniętych na drzewcu dzidy. Próbowałem się uwolnić, lecz moje nogi ślizgały się w jego krwi. I tak zginał, zdumiony, że spotkał kogoś silniejszego od siebie. Wyciągnąłem Stary Pelion z jego piersi. Wyciąłem jego kły – rzadki łup używany do strojenia wojennego hełmu – i zostawiłem go tak leżącego, by zgnił.

Nieopodal znalazłem niewielką zatokę. Zszedłem ścieżką węży na brzeg w miejscu, gdzie strumyk wpadał do morza. Zlekceważyłem roziskrzone zaproszenie potoku i pobiegłem przez piasek na skraj chlupoczących fal.

Tam zmyłem krew dzika ze swoich stóp i nóg, z myśliwskiego stroju i Starego Peliona, a potem rozłożyłem rzeczy na piasku, by wyschły. Pływałem jakiś czas leniwie, zanim położyłem się na słońcu obok swojego rynsztunku.

Chyba zasnąłem na jakiś czas. A może to czar mną owładnął. Nie wiem. Przypominam sobie tylko, że moja świadomość odpłynęła. Kiedy oprzytomniałem, słońce opadało ku wierzchołkom drzew, a w powietrzu panował lekki chłód. Pora iść. Patrokles będzie się niepokoił.

Wstałem, by pozbierać swoje rzeczy, i była to ostatnia świadoma czynność. Jak wyjaśnić dalsze zdarzenia? Według mnie wszystko, co nastąpiło potem, było czarem. W jakiś sposób zostałem odcięty od świata. W nozdrza uderzył mnie cuchnący odór, który kojarzył mi się ze śmiercią. Plaża skurczyła się do niewielkich rozmiarów, podczas gdy świątynia na cyplu nagle poderwała się z taką gwałtownością, że zastanawiałem się, czy ma zamiar spaść mi na głowę. Ten świat był pełen przeciwieństw, coś rosło, a coś innego malało.

Słonawa piana wystąpiła mi w kącikach ust i upadłem na kolana. Byłem przerażony, niszczyła mnie otchłań łez i osamotnienia. Mimo młodości i siły nie mogłem nic zrobić, by przepędzić śmiertelny strach, który mnie opanował. Lewa ręka zaczęła mi drżeć, lewa strona twarzy wykrzywiła się, kręgosłup

zesztywniał i wygiął się. Mimo to zmagalem się, by zostać przy zmysłach. Nie chciałem pozwolić, by ten szarpiący proces posunął się dalej. Nie mam pojęcia, jak długo byłem pod wpływem tego czaru. Gdy odzyskałem siły, ujrzałem, że słońce już zaszło, a niebo było zalane różem. Powietrze stało nieruchomo, wypełnione śpiewem ptaków.

Wstałem, trzęsąc się jak człowiek złożony chorobą. W ustach czułem okropny smak. Zacząłem znowu zbierać swoje rzeczy i Stary Pelion. Pragnąłem jedynie wrócić do obozu, by umrzeć w ramionach Patroklesa.

Czekał na mnie. Usłyszał, jak nadchodziłem, i przerażony wybiegł mi naprzeciw. Położył mnie przy ognisku i okrył ciepłymi skórąmi. Kiedy napiłem się trochę wina, zacząłem odzyskiwać siły. Opuściły mnie resztki paniki i usiadłem, nasłuchując z wdzięcznością bicia swego serca.

– Co się stało? – spytał Patrokles.

– Jakiś urok – wychrypiałem. – Czar.

– Czy dzik cię zranił? Czy upadłeś?

– Nie. Dzika pokonałem bez trudu. Potem poszedłem nad morze, by obmyć się z jego krwi. Wtedy właśnie poczułem ten czar.

Przykucnął na piętach z rozszerzonymi oczami.

– Jaki czar, Achillesie?

– Jakby śmierć przyszła po mnie. Poczulem śmierć, miałem jej smak w ustach. Zatoka zmalala, a świątynia urosła i stała się gigantyczna. Świat wykrzywił się i zmienił kształty jak coś Proteuszowego. Myślałem, że umieram, Patroklesie! Nigdy nie czułem się tak samotny! Powalił mnie paraliż starości, lęk tchórza. A przecież nie jestem ani stary, ani tchórzliwy. Zatem co się stało? Co to był za czar? Czyżbym zgrzeszył przeciw któremuś z bogów? Czyżbym obraził Pana Niebios albo Pana Mórz?

Jego twarz spochmurniała. Był zmartwiony i niespokojny. Później powiedział mi, że rzeczywiście wyglądałem, jakbym otrzymał pocałunek śmierci, ponieważ nie było we mnie żadnego koloru. Trząsałem się jak krzew na wietrze, byłem nagi, cały podrapany i poraniony.

– Połóż się, Achillesie, pozwól, że okryję cię przed zimnem. Być może to nie był czar, lecz sen.

– Koszmar, nie sen.

– Zjedz trochę i napij się jeszcze wina. Wieśniacy przynieśli cztery skóry w podziękowaniu za zabicie knura.

Chwyciłem go za ramię.

– Oszalałbym, gdybym cię nie znalazł, Patroklesie. Nie mogłem znieść myśli, że umrę samotnie.

Poklepał mnie po ręce, pocałował ją.

– Jestem bardziej twoim przyjacielem, Achillesie, niż kuzynem. Zawsze będę przy tobie.

Spadła na mnie senność, ale pozbawiona lęku. Uśmiechnąłem się, zmierzwiłem ręką jego włosy.

– Ty za mnie, a ja za ciebie, zawsze tak było.

– I zawsze tak będzie.

Rankiem byłem zupełnie zdrow. Patrokles obudził się przede mną. Ognisko płonęło, królik skwierczał nad płomieniami. Był także chleb, przyniesiony przez wieśniaczki w podziękowaniu za zabicie dzika.

– Wyglądasz całkiem dobrze – powiedział Patrokles z uśmiechem i wręczył mi pieczeń z pajdą chleba.

– I tak się czuję – odpowiedziałem, biorąc jedzenie.

– Czy pamiętasz wszystko równie żywo jak wczoraj?

To przywołało dreszcze, ale chleb i królik przegoniły lęk.

– I tak, i nie. To był urok, Patroklesie. Przemówił jakiś bóg, ale nie zrozumiałem jego przesłania.

– Pora, aby rozwiązać tę tajemnicę – powiedział, krzątając się. Zawsze brał na siebie wszystkie drobne zadania, mające zapewnić mi wygodę. Choć starałem się, jak mogłem, nie potrafiłem oduczyć go nawyku usługiwania mi.

Był ode mnie starszy o pięć lat. Król Likomedes ze Skyros zaadoptował go na swego następcę, kiedy ojciec Patroklesa, Menojtes, zmarł na Skyros na skutek jakiejś choroby. To dawne czasy. Był moim kuzynem ze strony ojca, Menojtes był bowiem nieślubnym dzieckiem mojego dziada Ajakosa. Bardzo silnie odczuwaliśmy to pokrewieństwo, obaj byliśmy jedynymi synami i nie mieliśmy sióstr. Likomedes miał o nim bardzo dobre zdanie, i nic dziwnego. Patrokles był niezwykłą rzadkością – naprawdę dobrym człowiekiem.

Skończyliśmy śniadanie i zwinęliśmy obóz. Włożyłem swój kilt i sandały, przypiąłem sztylet z brązu i wziąłem inną dzidę.

– Poczekaj na mnie, Patroklesie. To nie potrwa długo. Moje ubranie i trofeum są nadal na plaży. Podobnie jak Stary Pelion.

– Pozwól mi iść z sobą – powiedział szybko, patrząc na mnie z trwogą.

– Nie. To sprawa między mną a bogiem.

Spuścił wzrok. Pokiwał głową.

– Jak sobie życzysz, Achillesie.

Tym razem łatwiej odnalazłem drogę. Zszedłem w dół szybko, jak tylko potrafi lew. Kiedy zbiegałem ścieżką węży po swoje ubrania, kły dzika i Stary Pelion zatoka wyglądała niewinnie. Nie, to nie zatoka była źródłem uroku. Wędrowałem wzrokiem po klifie. Gdy spoczął na świątyni, serce zaczęło mi bić szybciej. Moja matka była

nieoficjalnie kapłanką Nereusa, gdzieś po tej stronie wyspy – czyżby to był jej teren? Czyżbym przez pomyłkę dotarł do jej rejonów, sprofanował tajemnicę starej religii i został za to ukarany?

Wolno wspiałem się na szczyt i zbliżyłem się do świątyni. Przypomniałem sobie, jak ogromna się stała, kiedy spadł na mnie urok. O tak, to były tereny mojej matki. Czyż król Likomedes nie przestrzegał mnie, żebym się nie zapuszczał tu, gdzie moja matka wbrew niemu postanowiła zamieszkać?

Czekała w cieniu za ołtarzem. Nagle poczułem, że muszę posłużyć się Starym Pelionem jak laską. Moje nogi straciły siłę i prawie nie mogłem się wyprostować. Matka! Moja matka, której nigdy nie widziałem.

Jaka drobna! Sięgała mi ledwie do pasa. Miała błękitnobiałe włosy, ciemnoszare oczy, a skórę tak przezroczystą, że mogłem dostrzec pod nią wszystkie żyły.

– Jesteś moim synem, tym, któremu Peleus odmówił nieśmiertelności.

– Tak, to ja.

– Czy przysłał cię, żebyś mnie odnalazł?

– Nie. Przyszedłem tu przez przypadek – powiedziałem, wspierając się na Starym Pelionie.

Co powinien odczuwać mężczyzna, gdy po raz pierwszy spotyka swoją matkę? Edyp poczuł żądzę, wziął ją za żonę i królową, miał z nią potomstwo, ja jednak, zdawało się, nie miałem w sobie nic z Edypa, ponieważ nie poczułem najlżejszego ukłucia żądzы ani błysku podziwu dla jej urody czy pozornej młodości. Być może to, co odczuwałem, najlepiej da się ująć jako zdziwienie, niepokój i – tak – odrzucenie. Ta dziwna mała kobieta zabiła moich sześciu braci i zdradziła ojca, którego kochałem.

– Nienawidzisz mnie! – powiedziała jakby obrażona.

– To nie nienawiść, ale niechęć – odparłem.

– Jak Peleus cię nazwał?

– Achilles.

Przyglądała się moim ustom, kiwając z lekceważeniem głową.

– Bardzo trafnie! Nawet ryby mają wargi, ty jednak ich nie masz. Ich brak zmienia twoją twarz z pięknej w coś nie wykończonego. Worek z rozdarciem.

Miała rację. Nienawidziłem jej.

– Co robisz na Skyros? Czy Peleus jest z tobą?

– Nie. Jestem sam. Co roku spędzam tu sześć miesięcy. Jestem zięciem króla Likomedesa.

– Już żonaty? – spytała niemiło.

– Ożeniłem się, mając trzynaście lat – a teraz mam prawie dwadzieścia. Mój syn ma sześć lat.

– To błąd! A twoja żona? Czy ona też jest dzieckiem?

– Ma na imię Deidameja i jest starsza ode mnie.

– No cóż, to bardzo wygodne dla Likomedesa. Dla Peleusa także. Okiełznali cię, i to całkiem bezboleśnie.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, milczałem. Ona również. Milczenie ciągnęło się w nieskończoność. Byłem dobrze wychowany przez ojca i przez Chirona, musiałem być uprzejmy wobec starszych. Nie przerywałem milczenia, ponieważ nie potrafiłbym tego zrobić grzecznie. Być może ona naprawdę była boginią. Mój ojciec temu zawsze zaprzeczał, ilekroć wino przejmowało nad nim kontrolę.

– Powinieneś być nieśmiertelny – powiedziała w końcu.

Roześmiałem się.

– Nie chcę nieśmiertelności! Jestem wojownikiem, podobają mi

się męskie zajęcia. Oddaję cześć bogom, ale nigdy nie pragnąłem być jednym z nich.

– Zatem nigdy nie pomyślałeś o tym, co oznacza śmiertelność.

– Cóż więcej może oznaczać poza tym, że muszę umrzeć?

– Właśnie – powiedziała cicho. – Musisz umrzeć, Achillesie. Czy myśl o śmierci cię nie przeraża? Powiedziałeś, że jesteś mężczyzną, wojownikiem. Jednak wojownicy umierają młodo, przed ludźmi pokoju.

Wzruszyłem ramionami.

– Jakkolwiek się to stanie, śmierć jest moim losem. Wolałbym raczej umrzeć młodo i w chwale niż stary i zgnuśniały.

Na chwilę jej oczy stały się błękitne i zamglone, twarz przybrała wyraz smutku, uczucia, do którego, jak sądziłem, nie była zdolna. Łza spłynęła po jej przezroczystym policzku, ale otarła ją niecierpliwie i na nowo stała się stworzeniem pozbawionym litości.

– Za późno, synu, by się o to spierać. Musisz umrzeć. Mogę jednak dać ci wybór, ponieważ potrafię widzieć przyszłość. Znam twoje przeznaczenie. Wkrótce przyjdą prosić cię, byś wziął udział w wielkiej wojnie. Gdy na nią pójdziesz, umrzesz. Jeśli jednak nie pójdziesz, będziesz żył do późnej starości i cieszył się szczęściem. Młody i w chwale albo stary i gnuśny. Wybór należy do ciebie.

Zamrugalem oczami i roześmiałem się.

– Co to za wybór? Żaden! Już wcześniej postanowiłem umrzeć młodo i w chwale.

– Dlaczego najpierw nie pomyślisz trochę o śmierci? – spytała.

Jej słowa zapadały we mnie jak nasączone jadem. Popatrzyłem jej w oczy. Były wodniste i bez wyrazu na bezkształtnej twarzy. Rozmyte niebo zaczęło spływać pod jej małe stopy. Kiedy urosła na taką wysokość, że głową dotykała chmur, wiedziałem, że urok

znowu zaczyna działać – i kto go rzucił. Z kącików mych ust toczyła się piana, odór zepsucia wypełnił moje nozdrza, groza i osamotnienie powaliły mnie na kolana. Moja lewa ręka zaczęła drżeć, a lewa strona twarzy wykrzywiać się. Tym razem jednak pociągnęła swój urok dalej. Straciłem przytomność.

Kiedy się obudziłem, ona była przy mnie na ziemi. W dłoniach rozcierała delikatnie pachnące zioła.

– Wstań! – rozkazała.

Niezdolny do zebrania myśli, osłabiony na ciele i umyśle, wolno się podniosłem.

– Achillesie, posłuchaj mnie! – warknęła. – Posłuchaj mnie! Złóżysz teraz przysięgę na starą religię. Jest to o wiele potężniejsza przysięga niż jakakolwiek z nowej religii – na Nereusa, mojego ojca, Starca Morza – na Matkę, ponieważ ona nas wszystkich zrodziła – na Korę, królową grozy – na władców Tartaru, miejsca cierpień – i na mnie. Przysięgniesz teraz, ale wiedz, że nie wolno ci jej złamać. Jeśli ją złamiesz, zostaniesz szalony na wieki, a Skyros zapadnie się pod falami, tak jak Thera po wielkim świętokradztwie. – Potrząsnęła moim ramieniem, ściskając mnie mocno. – Czy mnie słyszysz, Achillesie? Słyszysz mnie?

– Tak – wymamrotałem.

– Muszę ocalić cię przed tobą samym – powiedziała, rozbijając stare skórzaste jajo z tłustą krwią, i spryskała nią ołtarz. Potem wzięła moją prawą dłoń i umoczyła ją w tej mazi, przytrzymując mocno. – A teraz przysięgaj!

Powtarzałem po niej słowa.

– Ja, Achilles, syn Peleusa, wnuk Ajakosa i prawnuk Zeusa, przysięgam, że wrócę od razu do pałacu króla Likomedesa i przyjmę przebranie kobiety. Pozostanę w pałacu przez rok, zawsze ubrany jak kobieta. Ilekroć ktoś przyjdzie pytać o Achillesa, schowam się

w haremie i nie będę się z nim kontaktował, nawet przez pośredników. Pozwolę mówić w swoim imieniu królowi Likomedesowi we wszystkich sprawach i posłucham, co mi rozkaże, bez spierania się. Wszystko to przysięgam na Nereusa, Matkę, Korę, władców Tartaru i Tetydę, która jest boginią.

W chwili, gdy te straszliwe słowa przebrzmiały, moje oszołomienie znikło. Świat wrócił do normalnych kolorów i kształtów i znowu mogłem jasno myśleć. Jednak było już za późno. Żaden człowiek nie mógł wypowiedzieć tej straszliwej przysięgi i się jej wyrzec. Moja matka związała moją dłoń i stopę ze swą wolą.

– Przeklinam cię! – zawołałem, zaczynając płakać. – Przeklinam cię! Zrobiłaś ze mnie kobietę!

– W każdym mężczyźnie tkwi kobieta – uśmiechnęła się z przymusem.

– Odarłaś mnie z honoru!

– Nie pozwoliłam, byś poniósł przedwczesną śmierć – odparła i popchnęła mnie. – Wracaj teraz do Likomedesa. Nie musisz mu niczego wyjaśniać. Zanim dotrzesz do pałacu, on już o wszystkim będzie wiedział. – Jej oczy znowu stały się błękitne. – Zrobiłam to z miłości, mój biedny bezwargi synu. Jestem twoją matką.

Nic nie powiedziałem Patroklesowi, kiedy do niego wróciłem. Po prostu zebrałem swoje sprzęty i zacząłem iść do pałacu. On jak zwykle dostosował się do mojego nastroju, o nic nie pytając. A może już o wszystkim wiedział tak, jak Likomedes, który wyszedł mi naprzeciw przed bramę na dziedziniec. Patrząc z lękiem, czekał pokonany.

– Miałem wiadomość od Tetydy – rzekł.

– Zatem wiesz, czego się od nas żąda.

– Tak.

Moja żona siedziała w oknie, kiedy wszedłem do jej pokoju. Na

dźwięk otwieranych drzwi odwróciła głowę i otworzyła ramiona, uśmiechając się sennie. Pocałowałem ją w policzek i wyjrzałem z okna w dół na port i małe miasteczko.

– Tylko takie powitanie masz dla mnie? – spytała, ale nie ze złością. Deidameja nigdy się nie denerwowała.

– Z pewnością wiesz to, co wszyscy – powiedziałem, wzdychając.

– Że masz ubierać się jak kobieta i ukrywać w haremie mojego ojca – powiedziała, kiwając głową – ale tylko wtedy, gdy będą tu obcy, a to nie będzie często.

Zmiażdżyłem w dłoni żaluzję. Owładnęła mną udreka.

– Jak mogę to zrobić, Deidamejo? Co za upokorzenie! Cóż za wspaniały sposób, żeby się zemścić! Ta krowa kpi sobie z mojej męskości!

Moja żona zadrżała, prawą ręką zrobiła znak odczyniający zły urok.

– Achillesie, nie obrażaj jej! Ona jest boginią! Mów o niej z respektem!

– Nigdy! – powiedziałem przez zęby. – Ona nie ma respektu dla mnie ani dla mojej męskości. Wszyscy będą się ze mnie śmiać!

Deidameja wzdrygnęła się – W tym nie ma powodu do śmiechu – powiedziała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

OPOWIEŚĆ ODYSEUSZA

Zdanie się na wiatry i prądy było zawsze korzystniejsze niż długa, uciążliwa droga lądowa, zatem trzymając się wybrzeża, pożeglowaliśmy do Jolkos. Kiedy wpływaliśmy do portu, stałem na pokładzie z Ajaksem. Była to moja pierwsza wizyta w ojczyźnie Myrmidonów. Uznałem Jolkos za piękne, kryształowe miasto, błyszczące w zimowym słońcu. Żadnych murów. Na tyłach pałacu wznosiła się góra Pelion, otulona czystym, białym śniegiem. Owijając się szczelniej futrem, chuchnąłem w dłonie i popatrzyłem z ukosa na Ajaksa.

– Czy zechcesz pierwszy zejść na ląd, mój kolosie? – spytałem.

Pokiwał głową spokojnie, zabawa słowami nie była w jego naturze. Swą masywną nogę przelożył nad barierką, odnalazł górny szczebel linowej drabinki i w jednej chwili cała jego reszta gwałtownie zniknęła. Był ubrany tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłem go w pałacu w Mykenach: w kilt. Jego skóra jednak nie zdradzała najmniejszych oznak zmarznięcia. Poczekalem, aż dotrze do plaży, a wtedy zawołałem do niego, by znalazł jakiś środek transportu. Był dobrze obeznany z Jolkos, zapewne wiedział, gdzie można tu coś takiego dostać.

Nestor w namiocie postawionym na rufie zajmował się pakowaniem swojego dobytku.

– Ajaks poszedł szukać dla nas wozu. Czujesz się na tyle dobrze, żeby schodzić na ląd, czy może wolisz poczekać tutaj? – spytałem złośliwie. Widok najeżonego Nestora sprawiał mi radość.

– A co każe ci myśleć, że jestem zniedołężniały? – warknął, wstając. – Oczywiście, poczekam na plaży.

Mrucząc coś pod nosem, wyszedł rześko na pokład. Niecierpliwie odtrącił pomocną rękę marynarza i zsunął się po drabinie zwinnie jak młodzieniec. Stary łajdak.

Peleus osobiście powitał nas w swoim domu. Gdy byłem młody, widywałem go często. Wtedy on był mężczyzną w kwiecie wieku. Potem jednak to się urwało. Stał wyprostowany i dumny, mimo że teraz starszy. Królewska postawa. Przystojny mężczyzna, i mądry. Szkoda, że ma tylko jednego syna, który może iść w jego ślady. Młody Achilles, chcąc mu dorównać, będzie miał niełatwe zadanie.

Usadowiony wygodnie przed dużym płonącym trójnogiem, z winem w ręce, wyłuszczyłem cel naszej wizyty. Mimo że Nestor był najstarszy, mnie wybrano rzecznikiem. W razie jakichś uchybień miał mnie delikatnie poprawić.

– Przysłał nas Agamemnon z Myken, aby prosić cię o przysługę, panie.

Spojrzał na mnie badawczo.

– Helena – powiedział.

– Wieści podróżują szybciej od ludzi.

– Spodziewałem się kuriera, ale żaden nie przybył. Moi cieśle okrętowi dawno nie widzieli tak dobrego interesu dla siebie.

– Jako że nie składałeś Przysięgi Poćwiartowanego Konia, Peleusie, Agamemnon nie mógł przysłać kuriera. Nic nie obliguje cię do pomocy w sprawie Menelaosa.

– Wszystko jedno. I tak jestem za stary na wojnę, Odyseuszu.

Nestor najwidoczniej uznał, że zaczynam się plątać.

– Właściwie, mój drogi Peleusie, to nie ciebie szukamy – powiedział. – Przybyliśmy zapytać, czy moglibyśmy liczyć na pomoc twojego syna.

Wydawało się, że arcykról Tesalii zadrżał.

– Achilles... No cóż, miałem nadzieję, że nie o niego wam chodzi. Ale nie jestem zaskoczony. Nie wątpię, że ofertę Agamemnona przyjmie z ochotą.

– Zatem wolno nam go prosić?

– Oczywiście – odparł Peleus.

Uśmiechnąłem się odprężony.

– Agamemnon dziękuje ci, Peleusie. Osobiście dziękuję ci także. Z całego serca.

Długo mi się przyglądał nieporuszony.

– A ty w ogóle masz serce, Odyseuszu? Myślałem, że posiadasz tylko umysł.

Przez moment poczułem jakieś ukłucie z tyłu głowy. Pomyślałem o Penelopie, lecz jej obraz zbladł. Odwzajemniłem mu spojrzenie.

– Nie, nie mam serca. Do czego mężczyźnie ono potrzebne? Serce to poważne obciążenie.

– Zatem to, co powiadają o tobie ludzie, jest prawdą.

Podniósł swój kielich z trójnożnego stolika, bardzo piękny egipski wyrób.

– Jeśli Achilles postanowi udać się do Troi – powiedział – poprowadzi Myrmidonów. Marnują się od czasu ostatniej kampanii, chyba ze dwadzieścia lat już albo i więcej.

Ktoś wszedł. Peleus uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Feniksie! Panowie, oto Feniks, mój przyjaciel i wieloletni towarzysz. Mamy bardzo dostojnych gości, Feniksie – oto król Nestor z Pylos i król Odyseusz z Itaki.

– Na zewnątrz widziałem Ajaksa – rzekł Feniks, składając pokłon. Wiekiem był gdzieś między Peleusem a Nestorem,

wyprostowany, o żołnierskiej postawie i wyglądzie Myrmidona, jasny, wysoki, zgrabny.

– Pójdiesz z Achillesem do Troi, Feniksie – powiedział Peleus. – Opiekuj się nim w moim imieniu, chroń go przed jego losem.

– Za cenę własnego życia, panie.

Wszystko idzie zbyt pięknie i gładko, pomyślałem, trochę się niecierpliwiąc.

– Czy możemy zobaczyć się z Achillesem? – spytałem.

Dwaj Tesalczyki spojrzeli zaskoczeni.

– Achillesa nie ma w Jolkos – odparł Peleus.

– Zatem gdzie jest? – indagował Nestor.

– Na Skyros. Zawsze spędza tam sześć zimowych miesięcy. Poślubił Deidameję, córkę Likomedesa.

Uderzyłem się po udzie z rozdrażnieniem.

– Zatem czeka nas kolejna zimowa podróż.

– Niekoniecznie – rzekł ciepło Peleus. – Poślę po niego.

W głębi duszy poczułem, że jeśli nie zobaczymy się z nim osobiście, nigdy nie ujrzymy Achillesa wciągającego swoje statki na piaski Aulidy. Pokręciłem głową.

– Nie, panie. Agamemnon mógłby uznać za stosowne, żebyśmy sami poprosili Achillesa.

Zatem wchodziliśmy do kolejnego portu i znowu torowaliśmy sobie drogę do miasta i pałacu. Różnica polegała na tym, że ten pałac był ledwie większym domem. Skyros nie było bogate. Likomedes powitał nas miło. Kiedy jednak zasiedliśmy, aby coś zjeść i wypić, poczułem, że przechodzą mnie ciarki. Coś tu było nie tak, i nie chodziło tylko o Likomedesa. Nad całym pałacem ciążyło jakieś dziwne napięcie. Słudzy – sami mężczyźni – wślizgiwali się

i podawali posiłki, nie patrząc na nas. Likomedes wyglądał, jakby zmagał się z ciężkim jarzmem lęku. Jego następca Patrokles wszedł i wyszedł tak szybko, że prawie uznałem go za wytwór swojej wyobraźni. Najbardziej niepokojące było to, że nie słyszałem żadnego kobiecego głosu. Żadnej kobiety, nawet w oddali, śmiejącej się, piszczącej czy nawołującej albo zalewającej się łzami. To dziwne! Kobiety co prawda nie uczestniczą w sprawach mężczyzn, lecz są w pełni świadome swego miejsca w obrocie spraw i cieszą się przywilejami, których żaden mężczyzna nie potrafiłby im odmówić. W czasach starej religii nawet rządziły.

Ciarki na mojej skórze zmieniły się w ostre świerzbie, a mój nos skrzywił się, wyczuwając znany, stary zapach niebezpieczeństwa. Przychwyciłem wzrok Nestora. Tak, on także to poczuł. Uniósł brwi i westchnął. Nie myliłem się zatem. Mieliśmy problem.

Wrócił Patrokles, przystojny młody mężczyzna. Przyjrzałem mu się uważniej, zastanawiając się, jaką rolę może on odgrywać w tej dziwnej sytuacji. Czuły i łagodny kompan, któremu nie brakowało odwagi i męstwa, ale prawdopodobnie jednostronny w swych uczuciach – uczuciach, które – jak mi się wydawało – nie obejmowały kobiet. No cóż, to jego prawo. Nikt nie mógł źle o nim myśleć tylko dlatego, że wolał mężczyzn. Tym razem usiadł, lecz miał nieszczęśliwą minę.

Chrzaknąłem.

– Królu Likomedesie, nasza misja jest bardzo pilna. Szukamy twego zięcia Achillesa.

Zapadło nieokreślone, podejrzanе milczenie. Likomedes prawie upuścił swój kielich, potem wstał niezgrabnie.

– Achillesa nie ma na Skyros, dostojni panowie.

– Nie ma? – spytał Ajaks skonsternowany.

– Nie. – Likomedes wydawał się zakłopotany. – On... pokłócił się ze swoją żoną... moją córką... i opuścił wyspę, przyrzekając, że jego noga nigdy tu nie postanie.

– W Jolkos go nie ma – podsunąłem delikatnie.

– Wyznaję, że nie sądziłem, aby tam się udał, Odyseuszu. Mówił coś o Tracji.

Nestor westchnął.

– Bogowie! Wydaje się, jakbyśmy nigdy nie mieli spotkać tego młodego człowieka, nieprawdaż?

Pytanie było skierowane do mnie, ale nie odpowiedziałem od razu. Poraziło mnie nagłe dziwne światło. Co za ulga. Instykt mnie nie mylił. Coś było nie tak, a powodem tego był Achilles. Wstałem.

– Jako że Achilleś tu nie ma, Nestorze, myślę, że powinniśmy od razu ruszać.

Wiedziałem, że Likomedes musi dopełnić obowiązku gościnności albo zgrzeszy w oczach Zeusa Gościnnego. Odwróciłem się tak, że tylko Nestor mógł widzieć moją twarz, a wtedy posłałem mu jadowite, ostrzegawcze spojrzenie.

Likomedes złożył wymaganą prawem propozycję.

– Zostańcie z nami przynajmniej na noc, Odyseuszu. Król Nestor powinien trochę wypocząć.

Ponownie błysnąłem na Nestora. Zamiast warknąć, wywołując wojnę na Olimpie, opadł osłabiony niczym kupka sędziwego ubóstwa. Stary łajdak.

– Dzięki ci, królu Likomedesie! – zawołałem, patrząc z ulgą. – Właśnie dziś rano Nestor mówił, jak bardzo jest zmęczony. Morskie burze zimą wywołują u niego bóle w całym ciele. – Spuściłem wzrok. – Mam nadzieję, że nasza obecność nie sprawi wam kłopotu.

W istocie sprawiała, i to wielki. Nie spodziewał się, że przyjmę

zaproszenie, skoro nasza misja okazała się niepowodzeniem. Musieliśmy przecież wracać do Myken, żeby zanieść wieści Agamemnonowi. Zrobił jednak dobrą minę do złej gry. Podobnie Patrokles.

Odszukałem Nestora w jego sypialni i siadłem na oparciu fotela. Odpoczywał w parującej kąpieli, podczas gdy sługa – mężczyzna, dziwne! – zmywał sól i brud z jego wędnącej skóry. W chwili gdy Nestor stanął na posadzce owinięty w płócienne ręczniki, mężczyzna wyszedł.

– Co o tym wszystkim myślisz? – spytałem Nestora.

– Jakiś cień okrywa ten dom – odrzekł stanowczo. – Przypuszczam, że gdyby Achilles rzeczywiście pokłócił się z żoną i wyniósł do Tracji, mogłoby to u domowników wywołać podobną reakcję. Sądzę jednak, że było inaczej. Coś tu jest nie tak, ale nie wiem co.

– Myślę, że Achilles jest w tym pałacu.

Jego oczy rozszerzyły się.

– Ukrywa się, tak, ale chyba nie tutaj.

– Tutaj – upierałem się. – Słyszeliśmy o nim dosyć i wiemy, że jest impulsywny i skory do wojaczki. Gdyby był z dala od Likomedesa i Patroklesa, nie mieliby nad nim kontroli. On jest tu, w tym pałacu.

– Ale dlaczego? Nie składał przysięgi, podobnie jak Peleus. Odmowa pójścia do Troi nie byłaby dla niego dyshonorem.

– Sądzę, że on chce iść na tę wyprawę. Nawet bardzo. To oni nie chcą go puścić. I w jakiś sposób związali mu ręce.

– Zatem, co powinniśmy zrobić.

– A jak myślisz? – skontrolowałem.

Wykrzywił twarz w grymasie.

– Że powinniśmy powałać się trochę po tym pałacu. Ja najlepiej za dnia. Będę udawał zniepełniałego. A kiedy wszyscy pójdą spać, wówczas ty możesz się rozejrzeć. Czy rzeczywiście uważasz, że trzymają go jako więźnia?

Trudno mi było w to uwierzyć.

– Nie ośmieliliby się, Nestorze. Jeśli Peleus dowiedziałby się o tym, rozdarłby tę wyspę na kawałki skuteczniej od Posejdona. Nie, związali go Przysięgą.

– Logiczne. – Zaczął się ubierać. – Ile czasu do kolacji?

– Jeszcze trochę.

– Zatem idź się zdrzemnąć, Odyseuszu, a ja się rozejrzę.

Rozdrażniony przyszedł obudzić mnie tuż przed kolacją.

– Niech ich plaga wydusi! – zaklął. – Jeśli ukryli go tutaj, nie mogę go nigdzie znaleźć. Zapaściłem się do każdego zakątka od dachu po piwnice. Żadnego śladu. Nie mogłem wejść jedynie do pokoi kobiet. Pilnuje ich strażnik.

– Zatem tam go trzymają – powiedziałem, wstając. – Hm!

Idąc na kolację, zastanawialiśmy się, czyżby Likomedes przedzierzgnął się w Asyryjczyka, żeby zabraniać swym kobietom wejścia do jadalni. Mężczyzna jako posługacz przy kąpielu? Nigdzie żadnych kobiet? Strażnik przy drzwiach do ich pokojów? Bardzo sprytnie. Likomedes nie chciał, żeby do naszych uszu dotarły jakieś plotki, zatem musiał trzymać swoje kobiety z dala od nas.

W jadalni jednak zastaliśmy kobiety. Siedziały zepchnięte w najdalszy i najciemniejszy kąt. Wiedziałem, że Likomedes będzie musiał je zawołać na główny posiłek. Rozmiary kuchni i pałacu nie pozwalały na to, by nakarmić je w ich pokojach, nie tworząc jednocześnie zbytniego chaosu.

Achilleusa jednakże nie wysledziliśmy. Żaden z tych

niewyraźnych kobiecych kształtów nie był na tyle duży, aby mógł nim być.

– Dlaczego kobiety siedzą oddzielnie? – spytał Nestor, kiedy wniesiono jedzenie i zasiedliśmy przy wysokim stole z Likomedesem i Patroklesem.

– Obraziły Posejdona – odrzekł szybko Patrokles.

– I? – drażylem.

– Nie wolno im kontaktować się z mężczyznami przez pięć lat.

Uniosłem brwi.

– Nawet seksualnie?

– To nie jest zakazane.

– Brzmi to raczej tak, jakby zażądała tego Matka, a nie Posejdon – zauważył Nestor, kołysząc kielichem z winem.

Likomedes wzruszył ramionami.

– Zakaz pochodzi od Posejdona, nie od Matki.

– Przez jego kapłankę Tetydę? – spytał król Pylos.

– Tetyda nie jest jego kapłanką – odparł Likomedes niespokojnie. – Bóg odmówił przyjęcia jej z powrotem. Służy teraz Nereusowi.

Kiedy zniknęło jedzenie (razem z kobietami), usiadłem obok Patroklesa, aby z nim porozmawiać, zostawiając Likomedesa na łasce Nestora.

– Niezwykle mi przykro, że nie zastaliśmy Achilleśa – rzekłem.

– Polubilibyście go – odparł Patrokles bezbarwnym głosem.

– Przypuszczam, że ucieszyłby się, mogąc wyruszyć do Troi.

– Tak. Achilles urodził się dla wojny.

– Hm, nie mam zamiaru przeczesywać Tracji, aby go znaleźć. Będzie żałował, gdy się spostrzeże, co go ominęło.

– Tak, z pewnością bardzo.

– Powiedz mi, jak on wygląda – zachęciłem, spostrzegłszy, że Patrokles swoją miłość oddał Achillesowi.

Jego młoda twarz rozjaśniła się.

– Jest trochę niższy od Ajaksa... Ma tyle... tyle... wdzięku, kiedy się porusza! I jest bardzo piękny.

– Słyszałem, że nie ma warg. Jak może być piękny?

– Ponieważ... ponieważ... – Patrokles szukał słów. – Musiałbyś go sam zobaczyć, żeby to zrozumieć. Jego usta wzruszają do łez – tyle w nich bólu! Achilles jest wcielonym pięknem.

– To brzmi zbyt cudownie, żeby było prawdziwe – rzekłem.

Prawie by się wydał. Już prawie mówił, że jestem głupcem i na dowód swych słów może mi go pokazać. Lecz zacisnął mocno usta i więcej się nie odezwał. Nieważne. Ja i tak miałem swoją odpowiedź.

Zanim udaliśmy się na spoczynek, odbyłem krótką naradę z Nestorem i Ajaksem, a potem poszedłem do łóżka i twardo zasnąłem. Następnego dnia, wczesnym rankiem, razem z Ajaksem poszedłem do miasta. Kwaterował tam mój kuzyn Sinon. Nie jest mądre pokazywać swój cały skarb od razu. A Sinon był takim skarbem. Beznamiętnie wysłuchał moich poleceń. Dałem mu sakiewkę złota z małego zapasu, jaki otrzymałem od Agamemnona na wydatki. To, co należało do mnie, zatrzymałem dla siebie. Pewnego dnia będzie należało do mojego syna. Agamemnon miał wystarczająco dużo pieniędzy, by opłacić Achillesa.

Kiedy wróciłem do pałacu, dwór jeszcze spał. Tym razem Ajaks mi nie towarzyszył. Miał robotę do wykonania gdzie indziej. Nestor już się obudził i pakował. Nie zamierzaliśmy trzymać Likomedesa w niepewności. Oczywiście, kiedy obwieściliśmy, że wypływamy,

wygłosił wszystkie przepisane protesty i namawiał, abyśmy zostali dłużej. Tym razem jednak grzecznie odmówiłem – ku jego olbrzymiej uldze.

– A gdzie Ajaks? – spytał Patrokles.

– Jest w mieście, pyta ludzi, czy nie wiedzą, dokąd się udał Achilles – odpowiedziałem, a potem zwróciłem się do Likomedesa. – Panie, chciałbym prosić cię o drobną uprzejmość. Czy nie zechciałbyś zgromadzić wszystkich członków swego domostwa w sali tronowej?

Spojrzał zaskoczony, a potem nieufny.

– No cóż...

– Mam rozkaz od Agamemnona, panie, inaczej nigdy bym cię nie prosił. Kazano mi – podobnie było w Jolkos! – złożyć podziękowania od arcykróla Myken każdej wolnej osobie na dworze. W rozkazie kładł nacisk na to, by obecni byli wszyscy, kobiety i mężczyźni. Być może nad twoimi kobietami ciąży zakaz, ale przecież tu mieszkają.

Niczym echo moich słów weszło paru moich żeglarzy z naręczami darów. KobiECE błyskotki: paciorki, tuniki, flakony z perfumami, gliniane dzbany, olejki i maści, piękna wełna i gazowe płótna. Poprosiłem o wniesienie stołów, by mężczyźni mogli rozłożyć swoje pakunki. Weszli kolejni żeglarze, tym razem z darami dla mężczyzn: broń z brązu, tarcze, dzidy, miecze, napierśniki, hełmy i nagołenniki. Te rozłożono na innych stołach.

W oczach króla żądza walczyła z przezornością. Patrokles położył mu ostrzegawczo rękę na ramieniu. Jednak on strząsnął ją i klasnął na rządce.

– Zbierz wszystkich. Niech kobiety staną dalej, by nie łamać zakazu Posejdona.

Pokój wypełnił się mężczyznami, potem weszły kobiety. Nestor

i ja przeszukiwaliśmy ich szeregi. Bezowocnie. Żadna nie mogła być Achillesem.

– Panie – powiedziałem, występując naprzód. – Król Agamemnon pragnie podziękować twoim domownikom za pomoc i gościnność. – Wskazałem na stosy kobiecych rzeczy. – Oto dary dla kobiet. – Zwróciłem się ku broni i zbrojom. – A to dary dla mężczyzn.

Przedstawiciele obu płci szeptali z zadowoleniem, ale nikt się nie ruszył, dopóki król nie zezwolił. Wtedy szczęśliwi stłoczyli się wokół stołów, aby wybrać coś dla siebie.

– A to, panie – powiedziałem, biorąc przedmiot zawinięty w płótna z rąk marynarza – dla ciebie.

Z rozjaśnioną twarzą odwinał płótno i jego oczom ukazał się topór z Krety, o podwójnym brązowym ostrzu. Przytrzymałem go, by mógł go odwinać. Rozjaśniony radością wyciągnął po niego ręce.

Dokładnie w tej chwili z zewnątrz dobiegł przenikliwy dźwięk alarmu. Ktoś dał w róg, a w oddali usłyszeliśmy Ajaksa wydającego wojenny okrzyk Salaminy. Do naszych uszu dotarł odgłos szczęku broni. Ajaks znowu zawył, tym razem bliżej, jakby uciekał. Kobiety zaczęły pisać i rzuciły się do ucieczki. Mężczyźni nie wiedzieli, co robić, a król Likomedes śmiertelnie blady zapomniał o swoim toporze.

– Piraci! – zawołał, zupełnie nie wiedząc, co począć.

Ajaks po raz kolejny, głośniejszy i bliżej, wydał wojenny okrzyk ze zboczy góry Pelion, którego nauczył go Chiron. W straszliwej ciszy, która nagle ogarnęła wszystkich, chwyciłem topór za trzonek i uniosłem go w górę.

Ogólny bezwład przerwało jakieś poruszenie. Ktoś wpadł do sali tronowej z takim impetem, że przerażone kobiety, stłoczone w drzwiach, odskoczyły jak szpule przędzy. To była kobieta. Łatwo było spostrzec, dlaczego Likomedes nie ośmielił się jej pokazywać!

Niecierpliwie zdarła z siebie płócienne zasłony i naszym oczom ukazała się klatka piersiowa tak dobrze umięśniona, że aż z podziwu otworzyłem usta. Postać podeszła do stołu z bronią. Achilles. Nareszcie.

Z hukiem zmiotł zawartość jednego ze stołów, chwytając tarczę i dzidę. Wyprężył się na całą swoją wysokość. Każdy jego mięsień drżał, gotowy do walki. Podeszedłem do niego z wyciągniętym toporem.

– Oto, pani, broń dla ciebie! Stosowna do twego wzrostu. – Machnąłem toporem, a moje ramiona chrupnęły pod jego ciężarem. – Czy mam zaszczyt zwracać się do księcia Achillesa?

Och, ależ on był dziwny! Niby piękny, lecz nie do końca, wbrew peanom Patroklesa. To nie usta go szpeciły. Właściwie dodawały mu odrobiny tak potrzebnego patosu. Jego skaza, zawsze tak uważałem, brała się z jego wnętrza. Żółte oczy były pełne dumy i inteligencji. To nie był ciamajda Ajaks.

– Wielkie dzięki – zawołał, śmiejąc się do mnie.

Do sali wszedł Ajaks, nadal trzymając w rękach broń, której użył do wywołania paniki. Zobaczył Achillesa stojącego przy mnie i wrzasnął. W następnej chwili obejmował go uściskiem, który połamałby mi żebra. Achilles strząsnął go z siebie bez oznak nadwerężenia i klepnął po plecach.

– Ajaksie! Ajaksie! Twój wojenny okrzyk przeszył mnie jak strzała z łuku! Musiałem zareagować, nie mogłem dłużej stać bezczynnie. Kiedy wydałeś wojenny okrzyk Chirona, to tak jakbyś mnie wzywał. Jakże mogłem pozostać obojętny? – Odnalazł wzrokiem Patroklesa i wyciągnął do niego rękę. – Chodź ze mną! Idziemy na wojnę z Troją! Moje największe pragnienie spełniło się. Ojciec Zeus odpowiedział na moje modły.

Likomedes nie mógł się opanować, szlochał, załamując ręce.

– Mój synu, mój synu, co się teraz z nami stanie? Złamałeś przysięgę, którą złożyłeś swojej matce! Ona poćwiartuje nas na kawałki!

Zapadła cisza. Achilles w jednej chwili otrzeźwiał, jego twarz zmarszczyła się. Zerknąłem na Nestora, unosząc brwi. Obaj westchnęliśmy. Teraz wszystko było jasne.

– Nie uważam, żebym złamał przysięgę, ojczy – powiedział w końcu Achilles. – Zareagowałem odruchowo, bez namysłu. Taką postawę zaszczepiono we mnie jeszcze, gdy byłem chłopcem. Usłyszałem Ajaksa i odpowiedziałem. Nie ja złamałem przysięgę. Złamał ją podstęp kogoś innego.

– Achilles mówi prawdę – powiedziałem głośno. – Oszukałem cię. Żaden bóg nie może cię winić za złamanie ślubu.

Nie uwierzyli mi, oczywiście, ale i tak się stało.

Achilles z radości wyciągnął ręce nad głowę, a potem objął Ajaksa i Patroklesa za ramiona.

– Kuzynowie, idziemy na wojnę! – zawołał, uśmiechając się dziko. Potem spojrzał na mnie z wdzięcznością. – Takie jest nasze przeznaczenie. Nawet najpodlejsze czary mojej matki nie zmuszą mnie, bym postąpił inaczej. Urodziłem się, by być wojownikiem, by walczyć razem z największymi naszej epoki, by zdobyć wieczną sławę i nieśmiertelną chwałę!

To, co powiedział, było z pewnością prawdą. Patrzyłem na nich z ukosa, na to wspaniałe trio młodych mężczyzn, przypominając sobie o żonie i synu, i o tych wszystkich nieskończonych latach, które będą musiały minąć od mojego wygnania do powrotu do domu. Achilles z pewnością osiągnie wieczną sławę i nieśmiertelną chwałę. Ja jednak z radością oddałbym ten niezwykle przechwalony towar, gdybym tylko mógł jutro wrócić do domu.

Nareszcie udało mi się na krótko wrócić do Itaki pod

pretekstem, że muszę osobiście zwerbować kontyngent do Troi. Agamemnon był bardzo niezadowolony, widząc, że opuszczam Mykeny. Gdybym był na miejscu, z moim wsparciem łatwiej mógłby grać swoją rolę.

Spędziłem trzy cenne miesiące z moją Penelopą o pajęczynowej twarzy. Nie liczyliśmy na ten czas, ale dłużej nie mogłem odwlekać wyjazdu. Kiedy moja mała flota zimowała przy sztormowych wybrzeżach wyspy Pelopsa, ja udałem się lądem w drogę do Aulidy. Szybko przewędrowałem przez Etolię, nie przerywając wędrówki ani w dzień, ani w nocy. Wreszcie dotarłem do górzystych Delf, gdzie Apollo, Pan Prorocznych Ust, miał swoją świątynię, w której jego kapłanka Pytia udzielała nieomylnych wyroczni. Zapytałem, czy moja domowa wyrocznia miała rację, twierdząc, że spędzę dwadzieścia lat z dala od ogniska domowego. Jej odpowiedź była prosta i jednoznaczna: „tak”. Potem dodała, że taka jest wola mojej opiekunki Pallas Ateny. Zapytałem dlaczego. Ale w odpowiedzi tylko zachichotała.

Z rozwianymi nadziejami ruszyłem do Teb, gdzie umówiłem się na spotkanie z Diomedesem mającym tam przybyć z Argos. Jednakże nie znalazłem go w tym zniszczonym mieście. Nie ośmielił się dłużej zwlekać. Ale mnie nie było przykro z powodu samotnej wędrówki. Prowadziłem swój zaprzęg w ostatni krótki etap, podskakując na koleinach traktu, do Zatoki Eubejskiej i na plażę Aulidy.

Miejsce, skąd miała wyruszyć ekspedycja, planowano długo i dokładnie. Aby wciągnąć na brzeg tysiące statków, potrzeba było paru mil plaży, a wody musiały być osłonięte. Do tego świetnie nadawała się Aulida. Plaża miała tu przeszło dwie mile długości i była osłonięta przed gwałtownymi wiatrami i morzem niezbyt oddaloną od lądu wyspą Eubeą.

Najwyraźniej przybywałem ostatni. Stałem na wzniesieniu nad plażą i popatrzyłem w dół. Moje konie wyczuły coś złowieszczonego

w powietrzu, ponieważ zatrzymały się, zaparły i zaczęły cofać, jak czynią, zbliżając się do trupa. Woźnica starał się je opanować, w końcu jednak sam musiałem je ujarzmić.

Przed moimi oczami malowały się nieprzeliczone szeregi! W dwóch rzędach stały czerwono–czarne statki o wysokich dziobach, każdy gotowy do przewiezienia przynajmniej stu mężczyzn – pięćdziesięciu przy wiosłach i pięćdziesięciu odpoczywających pośród załadunku – i każdy z wysokim masztem do stawiania żagli. Zastanawiałem się, ile drzew musiało runąć, aby stworzyć ten tysiąc albo więcej statków, ile potu musiało wsiąknąć w ich smołowane burty, zanim ostatni sworzeń trafił na miejsce i można je było lekko spuścić na wodę. Statki, wszędzie statki. Z miejsca, w którym stałem, wydawały się takie małe. Wystarczająca liczba, by przewieźć do Troi osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy i jeszcze tysiące ludzi z obsługi. W umyśle pochwalałem Agamemnona. Podjął ryzyko i mu się udało. Choćby te dwa rzędy okrętów nigdy nie miały wypłynąć dalej niż do Aulidy, i tak było to kolosalne osiągnięcie. Piękno ziemi przestało dla mnie istnieć. Góry skarłały, morze stało się biernym narzędziem Agamemnona, króla królów. Roześmiałem się na głos i zawołałem:

– Agamemnonie, wygrałeś!

Jechałem przez małą wioskę rybacką Aulida szybkim truchtem, lekceważąc tłumy żołnierzy przelewające się przez jedyną uliczkę. Za domami zatrzymałem się – na swoją zgubę. Tyle okrętów, ale gdzie jest kwatera wodza? Pozdrowiłem jakiegoś oficera.

– Które do namiotu Agamemnona, króla królów?

Przyjrzał mi się dokładnie, dłubiąc sobie w zębach. Oceniał moją zbroję, hełm przystrojony rzędami kłów dzika oraz potężną tarczę, która należała jeszcze do mojego ojca.

– Kto pyta? – odezwał się niegrzecznie.

– Wilk, który pożarł większe szczury od ciebie.

Cofając się, przełknął ślinę i odpowiedział urzędowo.

– Jeszcze kawałek tą drogą, panie, a potem trzeba znowu zapytać.

– Dziękuję ci. Jestem Odyseusz z Itaki.

Agamemnon postawił jedynie tymczasowe kwatery, rozbijając okazałych rozmiarów, wygodne namioty z dobrej skóry. Nie zbudował niczego trwałego ani solidnego, z wyjątkiem marmurowego ołtarza pod samotnym rachitycznym drzewkiem, biedną rośliną zmagającą się teraz z solą i wiatrem, by wypuścić wiosenne pączki. Oddałem zaprzęg i woźnicę któremuś z królewskich strażników. Zaprowadzono mnie do największego namiotu.

W środku byli wszyscy, którzy się liczyli: Idomeneusz, Diomedes, Nestor, Ajaks oraz jego imiennik Mały Ajaks, Teukros, Feniks, Achilles, Menestenes, Menelaos, Palamedes, Meriones, Filoktet, Eurypylos, Toas, Machaon i Podalios. Albinoski kapłan Kalchas siedział cicho w kącie, błyskając swoimi czerwonymi oczami od jednego mężczyzny do drugiego, i kalkulował. Jego rozbiegane oczy mnie nie zmyliły. Przez kilka chwil obserwowałem go, próbując wysondować, co w nim siedzi. Drażnił mnie nie tylko jego wygląd, ale także coś trudnego do określenia w jego charakterze, co wywoływało silne wrażenie nieufności. Wiedziałem, że Agamemnon na początku odczuwał to samo. Jednakże po miesiącach obserwacji doszedł do wniosku, że Kalchas jest lojalny. Ja nie byłem tego taki pewien. Ten człowiek nie wzbudzał zaufania, w dodatku był Trojaninem.

Achilles zawołał radośnie.

– Odyseuszu, co cię zatrzymało? Twoje okręty przyplęły pół miesiąca temu.

– Przybyłem lądem. Miałem coś do załatwienia.

– W samą porę, stary przyjacielu – odezwał się Agamemnon. –

Właśnie mamy odbyć naszą pierwszą oficjalną naradę.

– Czyżbym rzeczywiście był ostatni?

– Pośród tych, którzy się liczą.

Zajęliśmy miejsca. Kalchas wyszedł ze swego kąta, aby niedbale chwycić połączoną laskę debaty.

Była słoneczna, wiosenna pogoda, jednak w środku płonęły lampy, ponieważ światło sączyło się jedynie przez klapę namiotu. Jak wypadło na formalnej radzie wojennej, wszyscy byliśmy w pełnym uzbrojeniu. Agamemnon miał na sobie bardzo piękny komplet ze złota, wykładany ametystami i lapis-lazuli. Miałem nadzieję, że do bitwy ubierze się w coś bardziej roboczego. Biorąc laskę debaty z ręki Kalchasa, stanął przed nami dumnie.

– Zwołałem tę pierwszą naradę, aby omówić trasę żeglugi, a nie samą kampanię. Sądzę jednak, że zamiast wydawać rozkazy, lepiej jest odpowiadać na pytania. Ścisła debata nie jest konieczna. Kalchas będzie dzierżył laskę. Gdyby ktoś z was chciał dłużej przemawiać, niechaj ją przejmie.

Rozglądając się z zadowoleniem, przekazał laskę Kalchasowi.

– Kiedy planujesz wyruszać? – spytał spokojnie Nestor.

– Na początku przyszłego miesiąca. Główną, organizacyjną rolę powierzyłem Feniksowi, najbardziej wśród nas doświadczonemu żeglarzowi. Wybrał już specjalny oddział oficerów, którzy mają wyznaczyć porządek żeglugi – najszybsze kontyngenty i najwolniejsze, statki z niezbędnymi oddziałami na pokładzie i te przewożące konie i służbę. Spokój zapewniony. Nie będzie chaosu, kiedy przybijemy do brzegu.

– Kto jest głównym sternikiem? – spytał Achilles.

– Telefios. Pożegluje ze mną na okręcie flagowym. Każdy sternik ma rozkaz pozostawiania w zasięgu wzroku przynajmniej tuzina innych statków. Dzięki temu flota się nie rozproszy – oczywiście,

tylko podczas dobrej pogody. Sztormy skomplikują sprawę. Ale pora roku pracuje na naszą korzyść, a Telefos szkoli dokładnie wszystkich sterników.

– Ile masz statków zaopatrzeniowych? – spytałem.

Agamemnon spojrział lekko dotknięty. Nie spodziewał się, że będzie pytany o tak pospolite sprawy.

– Pięćdziesiąt. Tyle wystarczy, Odyseuszu, gdyż kampania będzie krótka i ostra.

– Tylko pięćdziesiąt? Dla przeszło stu tysięcy ludzi? Zjedzą wszystko w niecały miesiąc.

– Za niecały miesiąc – oświadczył arcykról Myken – będziemy się raczyć pożywieniem, które Troja ma w swoich składach.

Jego twarz mówiła więcej niż słowa. Postanowił już i nie chciał, aby coś zmieniano. Dlaczego w tej kwestii – najbardziej delikatnej i najtrudniejszej do przewidzenia? Jednak on czasami był taki, a wtedy ani Nestor, ani Palamedes, ani ja nie mieliśmy na niego żadnego wpływu.

Wstał Achilles i wziął do ręki laskę.

– To mnie martwi, królu Agamemnonie. Czy nie powinieneś poświęcić tyle samo uwagi naszym liniom zaopatrzeniowym, co zaokrętowaniu, żegludze, czy nawet taktyce bitwy? Przeszło sto tysięcy ludzi zjada przeszło sto tysięcy czerpaków ziarna dziennie, przeszło sto tysięcy kawałków mięsa, przeszło sto tysięcy jajek czy sera dziennie – i wypija przeszło sto tysięcy kubków rozwodzonego wina. Jeśli zaopatrzenie nie będzie właściwie zabezpieczone, nasza armia umrze z głodu. Pięćdziesiąt statków, jak powiedział Odyseusz, wystarczy na niecały miesiąc. A może te pięćdziesiąt statków powinno stale kursować między Grecją a Troadą? A jeśli ta kampania okaże się długotrwała?

Jeśli nawet ja, Nestor czy Palamedes nie potrafiliśmy go

przekonać, to jakie szanse miał ten młodzik Achilles? Agamemnon stał z zaciśniętymi ustami i rumieńcami na policzkach.

– Doceniam twoją troskę, Achillesie – powiedział sztywno. – Jednakże sugeruję, byś podobne kłopoty zostawił mnie.

Achilles, nieskruszony, wręczył laskę Kalchasowi i usiadł. Kiedy to zrobił, rzekł, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Mój ojciec zawsze mówi, że tylko głupiec nie troszczy się sam o swoich żołnierzy. Zatem na swoich okrętach przewiozę dla moich Myrmidonów dodatkowe zapasy. I najem statki handlowe, by mi dostarczały kolejne dostawy.

Ten komunikat trafił do innych. Widziałem, jak wielu postanowiło zrobić to samo.

Zauważył to również Agamemnon. Zwróciłem uwagę na sposób, w jaki jego zamyślane czarne oczy spoczęły na żywej, ochoczej twarzy młodzieńca, i westchnąłem. Agamemnon był zazdrosny. Co takiego zdarzyło się w Aulidzie podczas mojej nieobecności? Czyżby Achilles zyskiwał sobie zwolenników kosztem Agamemnona?

Zebraliśmy się następnego ranka i udaliśmy na inspekcję wojsk. Straszne. Potrzeba było prawie całego dnia, aby przejechać plażę. Kolana trzęsły mi się od stania w pełnym uzbrojeniu w wiklinowych strzemionach mojego wozu. Nad nami wznosiły się dwa rzędy statków. Wysokie okręty o malowanych na czerwono burtach w czarne prążki smoły zadzierały dzioby wysmarowane na niebiesko i różowo. Wielkie oczy na dziobach spoglądały na nas beznamiętnie.

Wojsko stało w cieniu, który statki rzucały na piasek. Ludzie byli w pełnym uzbrojeniu z tarczami i dzidami. Nieskończone szeregi mężczyzn oddanych sprawie, o której nie wiedzieli nic z wyjątkiem tego, że są łupy do zdobycia. Nikt się nie śmiał, nikt nie pchał do przodu, by lepiej widzieć królów.

Na samym końcu stały okręty Achilleśa oraz ludzie, o których tyle słyszeliśmy, choć nigdy ich nie widzieliśmy. Myrmidoni. Nie spodziewałem się, żeby wyglądali jakoś inaczej, ale oni byli inni. Wysocy i jaśni, z oczami jednakowo błyszczącymi spod hełmów z brązu, czy były niebieskie, szare czy zielone. Całkowicie byli pokryci brązem, a nie skórą jak większość żołnierzy. Każdy mężczyzna trzymał w garści dziesięć dzid, zamiast dwóch czy trzech. Nosili ciężkie, wysokie na wzrost człowieka tarcze, nie gorsze od mojej, wysłużonej. W rękach trzymali miecze i sztylety, a nie strzały czy proce. Tak, to byli żołnierze z pierwszej linii frontu, najlepsi, jakich mieliśmy.

Jeśli chodzi o samego Achilleśa, Peleus musiał wydać fortunę, wyposażając swego jedynaka na wojnę. Jego rydwan był pozłacany, konie jak dotąd stanowiły najlepszy zaprzęg na paradzie – białe ogiery tesalskiej krwi, ich uzdy lśniły od złota i klejnotów. Nie wiem, skąd pochodziła jego zbroja, lecz znałem tylko jedną lepszą, a ta spoczywała w mojej własnej skrzyni. Podobnie jak zbroja Agamemnona, z wierzchu była pokryta złotem, ale pod spodem wykonana z brązu i cyny, których ciężar mógł unieść jedynie on albo Ajaks. Na całej powierzchni były wykute święte symbole i wzory, na zbroi znajdowały się też ozdoby z bursztynu i kryształu. Miał tylko jedną dzidę, nieciekawą i brzydką. Rydwanem powoził jego kuzyn Patrokles. Znał niezłe sztuczki! Kiedy coś na przedzie zatrzymało na chwilę paradę królów, konie Achilleśa zaczęły mówić.

– Pozdrowienia dla Myrmidonów! – zawołał najbliższy, potrząsając głową, aż uniosła się jego długa biała grzywa.

– Będziemy go wieźć śmiało, Myrmidoni! – wydobyło się z warg środkowego konia, niezwykle silnego.

– Nie musicie się obawiać o Achilleśa, kiedy my ciągniemy wóz!
– powiedział koń z drugiego boku, głosem bardziej drżącym od pozostałych.

Myrmidoni stali uśmiechnięci, pochylając swoje dzidy

w pozdrowieniu, podczas gdy Idomeneusz w rydwanie przed Achillesem otworzył usta w zdumieniu.

Ja jednak, zbliżywszy się do połączanego rydwanu, rozpoznałem sztuczkę. To Patrokles mówił za nie, ukrywając ruch swych warg. Sprytne!

Świeciło słońce i można było wyczuć lekkie podmuchy zefiru. Wszystkie znaki na niebie zapowiadały spokojną żeglugę i łatwą przeprawę. Jednak w noc przed wyruszeniem nie mogłem zasnąć. Musiałem wstać, aby przespacerować się pod gwiazdami. Patrzyłem na profil najbliższego statku, kiedy od strony wydm ktoś się zbliżył.

– Ty też nie możesz zasnąć.

Nie musiałem zgadywać, kto to. Tylko Diomedes mógł szukać Odyseusza. Dobry przyjaciel, mój wojenny druh. Najbardziej zaprawiony w boju z wszystkich wielkich udających się do Troi. Walczył we wszystkich kampaniach, od Krety po Trację, należał do drugiej siódemki przeciw Tebom, która wzięła miasto i zburzyła je, choć nie udało się to ich ojcom. Miał w sobie bezlitosną pasję, której mi brakowało. Bo choć byłem bezlitosny, nie miałem pasji. Mój duch zawsze był skuty lodem mojego umysłu. Jak przy innych okazjach, poczułem ukłucie zazdrości, ponieważ Diomedes był człowiekiem, który przyrzekł zbudować świątynię z czaszek swoich wrogów i właśnie dotrzymał ślubu. Jego ojcem był Tydeusz, sławny król Argos, ale syn był od niego lepszy. Diomedes nie zawiedzie w Troi. Przybył z Argos do Myken z całą dziką gorliwością, jaką jego serce mogło w sobie wzbudzić, ponieważ nieprzytomnie kochał Helenę. Nie mógł uwierzyć, podobnie jak biedny Menelaos, że Helena uciekła z własnej woli. Miał dla mnie dużo szacunku. Jego uczucie było czasami bliskie czci dla bohatera. Cześć dla bohatera? Dla mnie? Dziwne.

– Jutro będzie padać – powiedział, unosząc głowę i zagładając w głąbię nieba.

– Nie ma żadnych chmur – zaproponowałem.

Wzruszył ramionami.

– Kości mnie boją, Odyseuszu. Mój ojciec zawsze powtarzał, że mężczyzna wielokrotnie ranny w bitwie, z połamanymi kośćmi, pokłuty dzidami czy strzałami, odczuwa ból przed zbliżającym się deszczem czy mrozem. Dziś ból jest tak wielki, że nie mogę spać.

Słyszałem już o tym zjawisku i wzdrygnąłem się.

– Mam nadzieję, że ze względu na nas, twoje kości tym razem się mylą. Ale dlaczego mnie szukałeś?

Uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że Lis z Itaki nie zaśnie, dopóki nie poczuje fal pod swoim okrętem. Chciałem z tobą porozmawiać.

Chwyciłem go za ramię i odwróciłem się w kierunku mojego namiotu.

– Zatem porozmawiajmy. Mam wino i ogień w trójnogu.

Rozłożyliśmy się na leżankach przy trójnogu z pełnymi kielichami w rękach. W namiocie było mroczno i ciepło, siedziska wymoszczone poduszkami. Wina nie rozwadnialiśmy, by sprowadziło senność. Nikt nam nie przeszkadzał. Chcąc mieć pewność, zaciągnąłem zasłonę przy wejściu do namiotu.

– Odyseuszu, jesteś w tej ekspedycji największym mężem – powiedział szczerze.

Musiałem się roześmiać.

– Nie, nie! A co z Agamemnonem? Albo Achillesem?

– Agamemnon? Ten sztywny uparty autokrata? Nie, nigdy! Być może cieszy się zaszczytami, ale dlatego, że jest arcykrólem, a nie największym mężem. Achilles to zaledwie młodzik. Och, zapewne ma zadatki na wielkość! Ma głowę. Prawdopodobnie doskonale sprawdzi

się w przyszłości. W tej chwili jednak jest niedoświadczony. Kto wie? Może weźmie ogon pod siebie i ucieknie na widok krwi.

Uśmiechnąłem się.

– Nie, nie Achilles.

– No dobrze, odwołuję to. Nie może być jednak największym mężem w naszym wojsku, bo ty nim jesteś, Odyseuszu. Ty! Tylko twoja praca, niczyja inna, odda Troję w nasze ręce.

– Głupstwa, Diomedesie – powiedziałem łagodnie. – Co można zdziałać inteligencją w dziesięć dni?

– Dziesięć dni? – prychnął. – Na Matkę, raczej dziesięć lat! To prawdziwa wojna, a nie polowanie. – Postawił pusty kielich na podłodze.

– Jednakże nie przyszedłem tu, by mówić o wojnie. Przyszedłem prosić cię o pomoc.

– O pomoc? Ty jesteś zawodowym wojownikiem, Diomedesie, a nie ja!

– Nie, to nie ma nic wspólnego z polem bitwy! Potrafię się po nim poruszać z zawiązanymi oczami. W innych sprawach potrzebuję twojej pomocy, Odyseuszu. Chciałbym popatrzeć, jak pracujesz. Chcę się nauczyć twojego opanowania. – Pochylił się do przodu. – Widzisz, potrzeba mi kogoś, kto potrafiłby zapanować nad moim okropnym charakterem. Naucz mnie, jak utrzymać tego demona w sobie, żeby nie doprowadził mnie do zguby. Pomyślałem, że gdybym cię odrobinę poobserwował, trochę z twojego opanowania i mnie by się udzieliło.

Jego szczerłość wzruszyła mnie.

– Zatem niech moje kwatery staną się twoimi, Diomedesie. Prowadź swoje statki obok moich, ustaw swoich żołnierzy w bitwie obok moich, chodź ze mną na wszystkie misje. Każdy potrzebuje dobrego przyjaciela. To jedyne lekarstwo na samotność i tęsknotę za

domem.

Wyciągnął rękę nad płomieniami, nie zwracając uwagi na to, że liżą jego nadgarstek. Chwyciłem go za przedramię. W ten sposób przypieczętowaliśmy pakt o naszej przyjaźni, podzieliliśmy swoją samotność i sprawiliśmy, że stała się mniej dokuczliwa.

Gdzieś w środku nocy musieliśmy się zdrzemnąć, ponieważ o świcie zbudził mnie ryk wiatru. Śpiewał w wantach wszystkich okrętów, płakał głośno i złowieszczo na dziobach. Po drugiej stronie pociemniałego, wygasłego ognia poruszył się Diomedes, zakłócając piękno przebudzenia jękami bólu.

– Dziś rano z moimi kośćmi jeszcze gorzej – odezwał się, siadając.

– Nie bez powodu. Na zewnątrz burza.

Ostrożnie wstał i podszedł do zasłoniętego wejścia namiotu, wyglądając na zewnątrz i wrócił na swoją leżankę.

– Nadleciał ojciec wszystkich sztormów z północy. Wyczuwam zapach śniegu. Dziś nie wyruszamy. Podryfowalibyśmy do Egiptu.

Wszedł niewolnik, wtaczając świeży trójnog z ogniem, posłał leże i przyniósł gorącą wodę do mycia. Nie trzeba było się śpieszyć. Agamemnon będzie tak zirytowany, że nie zwoła narady przed południem. Moja kobieta przyniosła parujące ciastka z miodem, trochę chleba, owczy ser i wino korzenne. To był dobry posiłek, zwłaszcza że zjedzony wspólnie. Ociągaliśmy się, grzejąc dłonie nad ogniem. W końcu Diomedes poszedł do swojego namiotu, aby się przebrać przed naradą. Włożyłem skórzany kilt i koszulę, wciągnąłem wysokie buty i zarzuciłem na ramiona płaszcz podbity futrem.

Twarz Agamemnona była ciemna i nachmurzona jak niebo nad nami.

Złość i smutek walczyły w jego surowych rysach, wszystkie

plany załamały się pod jego złotymi stopami. Bał się – choć na razie wyglądało to jeszcze niepoważnie – że jego wielkie przedsięwzięcie skończy się, zanim w ogóle się zaczęło.

– Wezwałem Kalchasa, by odprawił wróżby – warknął.

Wzdychając, wyszliśmy na nieprzyjazny ziąb burzy, owijając się szczelniej płaszczami. Ofiara leżała na marmurowym ołtarzu pod platanem, z czterema nogami przytroczonymi do blatu. Kalchas był ubrany w purpurę! Purpurę? Co takiego zaszło w Aulidzie przed moim przybyciem? Agamemnon musiał się do niego przekonać, skoro pozwolił mu włożyć purpurę.

To podejrzany zbieg okoliczności, pomyślałem, czekając, aż zacznie się ceremonia. Dwa miesiące doskonałej pogody, a teraz, w dniu wyruszenia, wszystkie żywioły sprzysięły się przeciw naszej wyprawie. Większość królów wolała wrócić do swoich kwater, niż cierpieć na mroźnym wietrze i deszczu ze śniegiem, będąc świadkami wróżby. Tylko najstarsi wiekiem i najbardziej poważani zostali, aby wesprzeć Agamemnona: Nestor, Diomedes, Menelaos, Palamedes, Filoktet, Idomeneusz i ja.

Nigdy dotąd nie widziałem Kalchasa przy pracy i musiałem przyznać, że był bardzo sprawny. Ręce tak mu drżały, że z ledwością utrzymywał wykładany klejnotami nóż, gdy szybkim ruchem podcinał gardło ofiary, prawie wywracając wielką złotą czarę służącą do zbierania krwi. Zdawało się, że szkarłatny strumień rozlany na zimnym marmurze dymi. Potem rozciął brzuch zwierzęcia i zaczął interpretować układy jelit, zgodnie z praktyką kapłanów szkolonych w Azji Mniejszej. Jego ruchy były gwałtowne i zdecydowane. Ilekroć na moment cichł wiatr, dawało się słyszeć jego świszczący oddech.

Nagle zwrócił się ku nam.

– Posłuchajcie tych słów, o królowie Grecji! Ujrzałem wolę Zeusa, Pana Wszystkiego! Odwrócił się od was, odmawia temu przedsięwzięciu swojego błogosławieństwa! Jego motywy są ukryte,

a na jego kolanach siedzi Artemida i błaga, by się nie ugiął! Nic więcej nie mogę zobaczyć, jego gniew przytłacza mnie!

Czego można się było spodziewać, pomyślałem. Choć wzmianka o Artemidzie była dość zręcznym pociągnięciem. Trzeba jednak mu oddać – Kalchas naprawdę wyglądał jak człowiek ścigany przez córki Kory, ograbiony ze wszystkiego z wyjątkiem życia. W jego oczach widać było autentyczne cierpienie. Zastanawiałem się nad nim, ponieważ wyraźnie wierzył w to, co powiedział, nawet jeśli wymyślił to wszystko na poczekaniu. Interesuje mnie każdy człowiek, który ma władzę wpływania na innych, ale żaden kapłan nigdy tak mnie nie zaciekawiał jak Kalchas.

O nie, nie skończyłeś jeszcze swojego przedstawienia, pomyślałem, musi nastąpić ciąg dalszy.

U stóp ołtarza Kalchas zataczał się z rozpostartymi ramionami. Jego ogromne rękawy powiewały na deszczowym wietrze, głowę odchylił mocno do tyłu, linia jej nachylenia zdradzała, że spogląda na platan. Poszedłem za jego wzrokiem do miejsca, gdzie gałęzie były prawie nagie, pączki jeszcze się nie rozwinęły. Na jednym z konarów było uwite gniazdo, w którym siedział ptak i wysiadywał jaja. Jakiś zwykły szary ptak pośledniego rodzaju.

Po gałęzi wspinał się z ołtarza wąż. W jego zimnych czarnych oczach odbijała się żądza. Kalchas złożył ręce, nadal wyciągnięte nad głową, wskazując obiema dłońmi na gniazdo. Patrzyliśmy z zapartym tchem. Wielki gad otworzył swe szczęki i połknął najpierw w całości ptaka, a później jedno po drugim jaja: sześć, siedem, osiem, dziewięć, liczyłem. Matka i wszystkie jej dziewięć jaj.

Gdy posiłek się skończył, jak wszystkie zwierzęta tego gatunku, zastygł okręcony wokół cienkiej gałęzi niczym rzeźba z kamienia. Oczy, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, utkwił w kapłanie. Żadne ludzkie mrugnięcie nie zachwiało tej zimnej penetracji.

Kalchas wykrzywił się, jakby jakiś bóg wprowadził niewidzialną

żerdź prosto w jego brzuch, i zajęczał cicho. Potem znowu przemówił.

– Wysłuchajcie mnie, o królowie Grecji! Byliście świadkami przesłania od Apolla! On przemawia, kiedy nie chce mówić Pan Wszystkiego! Święty wąż połknął ptaka i jego dziewięć nie wyklutych młodych. Ptak to obecna pora. Jego dziewięć nie narodzonych dzieci to dziewięć pór jeszcze nie zrodzonych z Matki. Wąż to Grecja! Ptak i jego jaja to lata potrzebne do podbicia Troi! Dziesięć lat, by zdobyć Troję! Dziesięć lat!

Zaległo milczenie tak głębokie, że wydawało się silniejsze od burzy. Przez dłuższą chwilę nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Ja również nie wiedziałem, co sądzić o tym dziwnym przedstawieniu. Czyżby ten obcy kapłan był naprawdę jasnowidzem? A może była to tylko wypracowana gra? Spojrzałem na Agamemnona, zastanawiając się, co zwycięży – jego pewność, że wojna zakończy się po kilku dniach, czy zaufanie do kapłana. Walka była gwałtowna, ponieważ był on z natury człowiekiem przesadnym. W końcu jednak zatryumfowała duma. Wzruszając ramionami, odwrócił się na obcasie. Odszedłem ostatni, nie zdejmując wzroku z Kalchasa. Stał nieruchomo jak pień, wpatrując się w plecy arcykróla. W jego oczach odbijała się złość i obraza. Oto pierwszy pokaz jego umiejętności został tak zlekceważony.

Dni mijały, aż nastąpiła pełnia wiosny, dręczona silnymi wiatrami i ulewami. Fale na morzu sięgały pokładu statków. Nie było nadziei na wyruszenie. Każdy z nas zabijał czas w sobie właściwy sposób. Achilles musztrował bezlitośnie Myrmidonów. Diomedes z narastającym zniecierpliwieniem chodził tam i z powrotem po moim namiocie. Idomeneusz flirtował w ramionach kochanek, które przywiózł z sobą z Krety. Feniks przysiadł jak upośledzona kura nad swoją flotą. Agamemnon gryzł brodę i nie chciał słuchać żadnych rad, podczas gdy żołnierze leniuchowali i grali w kości, klócili się i upijali. Niełatwo było także przez

zamoknięte mile lądu dostarczać odpowiednich ilości pożywienia, by wojska miały co jeść.

Niewiele mnie to obchodziło. Było mi wszystko jedno, w jaki sposób spędzę początek dwudziestu lat wygnania. Tylko kilku z nas gromadziło się codziennie w południe, by wysłuchać interpretacji wróżb. Nikt nie spodziewał się, że Kalchas wyjaśni nam, dlaczego odwrócił się od nas Wielki Bóg. Nowy miesiąc był już w pełni i zniknął po trochu wśród burz. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że w ogóle nie wyruszymy. Jeśli kolejny miesiąc minie wśród wiatrów, potrwa do końca lata i wyprawę do Troi trzeba będzie odłożyć.

Bardziej kierowany fascynacją samym Kalchaszem niż nadzieją, że bóg zdejmie welon i pozwoli nam poznać swój zamiar, nie omijałem żadnego południowego rytuału. Tego konkretnego dnia również nie spodziewałem się jakiegoś nadzwyczajnego dreszczyku. Po prostu zacząłem obserwować Kalchasa. Tylko Agamemnon, Nestor, Menelaos, Diomedes i Idomeneusz przybyli, by dotrzymać mi towarzystwa. Zauważyłem, że wąż z ołtarza porzucił swą sytą hibernację i znowu zajął miejsce w niszy.

Jednakże dzisiejszy dzień był jakiś inny. W czasie sondowania jelit ofiary Kalchas odskoczył i wskazał swym długim, kościstym i zakrwawionym palcem prosto na Agamemnona.

– Tam oto stoi ten, który przeszkadza żegludze! – powiedział przenikliwym głosem. – Agamemnonie, królu królów, odmówiłeś Łuczniczce tego, co jej się należy! Jej długo uśpiony gniew obudził się i Zeus, boski ojciec, wysłuchał jej prośby o sprawiedliwość. Dopóki nie dasz Artemidzie tego, co jej obiecałeś szesnaście lat temu, królu Agamemnonie, twoja flota nie wyruszy!

To nie były jakieś fantazje. Agamemnon pobladł i zachwiał się. Kalchas dobrze wiedział, o czym mówi.

Zszedł na dół po stopniach, usztywniony obrazą.

– Daj Artemidzie to, czego jej odmówiłeś szesnaście lat temu,

a będziesz mógł wyruszyć! Inaczej nie. Tak powiedział potężny Zeus.

Zakrywając twarz rękami, Agamemnon odwrócił się od purpurowo odzianej postaci.

– Nie mogę! – zawołał.

– Zatem odeślij wojska do domu – powiedział Kalchas.

– Nie mogę dać bogini tego, czego ona pragnie! Nie ma prawa tego ode mnie żądać! Gdybym się spodziewał, co z tego wyniknie... nigdy bym jej niczego nie obiecywał! Ona jest Artemida, czystą i świętą. Jak może żądać ode mnie czegoś takiego?

– Pragnie jedynie tego, co jej się należy, niczego więcej. Daj jej, a będziesz mógł wypłynąć – odparł Kalchas zimnym głosem. – Jeśli nie wypełnisz swojego ślubu sprzed szesnastu lat, nad Domem Atreusza zapadnie ciemność, a ty sam umrzesz jako człowiek przegrany.

Podszedłem i siłą oderwałem Agamemnonowi rękę z twarzy.

– Co takiego obiecałeś Łuczniczce, Agamemnonie?

Z oczami pełnymi łez uchwycił się moich nadgarstków jak tonący deski.

– To był głupi bezmyślny ślub, Odyseuszu! Głupi! Szesnaście lat temu Klitajmestra była tuż przed porodem z naszym ostatnim dzieckiem. Poród ciągnął się przez trzy dni bez skutku. Nie mogła urodzić. Modliłem się do wszystkich bogiń – Matki, Hery Litościwej i Hery Dusicielki, do bogiń ogniska domowego, porodu, dzieci, kobiet. Żadna mi nie odpowiedziała. Żadna!

Łzy kapały, mimo że starał się je powstrzymać.

– W desperacji zacząłem modlić się do Artemidy, choć była dziewczicą o twarzy odwróconej od płodnych kobiet. Błagałem, by pomogła mojej żonie urodzić piękne i zdrowe dziecko. W zamian obiecałem jej najpiękniejszą istotę urodzoną tego roku w moim

królestwie. W parę chwil po mojej obietnicy Klitajmestra urodziła córkę, Ifigenię. Pod koniec roku posłałem heroldów do całych Myken, aby sprowadzili mi wszelkie potomstwo, jakie uważają za piękne. Kozłeta, cielęta, jagnięta, nawet ptaki. Obejrzałem je wszystkie i wszystkie je złożyłem w ofierze, choć w sercu wiedziałem, że one nie zadowolą bogini. Odrzuciła wszystkie ofiary.

Czy zawsze musi być tak samo? Widziałem zakończenie tej strasznej historii, jakby została wymalowana na ścianie przed moimi oczami. Dlaczego bogowie byli tacy okrutni?

– Kończ, Agamemnonie – powiedziałem.

– Pewnego dnia przebywałem z żoną i dzieckiem, kiedy Klitajmestra zauważyła, że Ifigenia jest najpiękniejszym stworzeniem w całej Grecji – piękniejszym nawet od Heleny. Jeszcze nim wypowiedziała te słowa do końca, wiedziałem, że to Artemida włożyła je w jej usta. Łuczniczka pragnęła mojej córki. Nic innego jej nie zadowoliło. Lecz nie mogłem tego zrobić, Odyseuszu. Ukazujemy bogom nasze niemowlęta po narodzeniu, ale rytuał ofiary z nich nie był praktykowany w Grecji od czasu, gdy nowa religia zastąpiła starą. Zatem modliłem się do bogini i błagałem ją, by zrozumiała, dlaczego nie mogę uczynić tego, czego ona pragnie. A ponieważ czas mijał, a ona niczego nie robiła, pomyślałem, że mnie zrozumiała. Teraz widzę, że tylko czekała na właściwą porę i zgłosiła się po nią, póki Ifigenia jest jeszcze dziewczicą. Historia mojej córki zatoczyła pełny krąg. Ale ja nie mogę pozwolić na złożenie ofiary z człowieka!

Moje serce było twarde jak głaz. Mój syn był dla mnie stracony. Dlaczego on zatem miałby zatrzymać swoją córkę? Miał jeszcze dwie. Jego ambicja pozbawiła mnie wszystkiego, co było dla mnie drogie. Dlaczego on również nie miałby cierpieć? Skoro mniejsi mężowie muszą słuchać bogów, zatem także arcykról powinien, gdyż jest ich przedstawicielem przed bogami. Obiecał, a potem wstrzymywał wykonanie obietnicy przez szesnaście lat tylko dlatego, że dotykała go osobiście. Gdyby najpiękniejszym stworzeniem urodzonym

w tamtym roku było dziecko innego człowieka, z czystym sumieniem złożyłby je w ofierze. Spojrzałem mu w twarz, a moją pierś napełnił ból wygnania. Uległem demonowi, który zamieszkał we mnie tego dnia, gdy moja domowa wyrocznia ogłosiła mój los.

– Popełniłeś straszliwy grzech, Agamemnonie – powiedziałem. – Skoro Ifigenia jest ceną, jakiej żąda Artemida, musisz ją zapłacić. Złóż w ofierze swoją córkę! Jeśli tego nie zrobisz, z twojego królestwa zostaną ruiny, a wyprawa przeciw Troi po wsze czasy uczyni z ciebie przedmiot kpin.

Jakże nienawidził być przedmiotem kpin! Żaden z najdroższych członków rodziny nie znaczył dla niego tyle, co władza i duma. Widziałem, jak na jego twarzy odbija się wewnętrzna walka – rozpacz i żal, wizja nędznej śmierci w upokorzeniu i śmieszności. Odwrócił się do Nestora, szukając u niego pomocy.

– Nestorze, co powinienem zrobić?

Starzec rozdarty grozą i litością splótł ręce i zapłakał.

– To straszne, Agamemnonie, straszne! Lecz wobec bogów trzeba być posłusznym. Jeśli Wszechmocny Zeus nakazał, abyś dał Artemidzie to, czego żąda, nie masz wyboru. Bardzo mi przykro, ale muszę się zgodzić z Odyseuszem.

Teraz arcykról, płacząc, niepokieszony zwracał się do każdego z nas po kolei. Wszyscy, poważni i z bladymi twarzami, stanęli po mojej stronie.

Tymczasem ja obserwowałem Kalchasa. Zastanawiałem się, czy nie przeprowadził dyskretnych badań przeszłości Agamemnona. Trudno było zapomnieć tę nienawiść i obrazę na jego twarzy w dniu, w którym zaczęła się burza. Niepewny człowiek. I Trojanin.

To, co nastąpiło potem, było tylko kwestią logiki. Agamemnon pogodzony, przekonany – przeze mnie – że nie ma innej możliwości, jak tylko poświęcić córkę, wyjaśnił, że będzie niezwykle trudno

zabrać dziewczynę od matki.

– Klitajmestra nigdy się nie zgodzi, aby Ifigenię sprowadzono do Aulidy jako ofiarę kapłańskiego noża – powiedział. W jednej chwili zmienił się w człowieka starego i schorowanego. – Jako królowa zwróci się do ludu, a lud ją poprze.

– Są sposoby – powiedziałem.

– Zatem przedstaw je.

– Poślij mnie do Klitajmestry, Agamemnonie. Powiem jej, że z powodu burzy Achilles stał się bardzo niespokojny i mówi o zabraniu swoich Myrmidonów i odejściu do Jolkos. Powiem jej, że masz wspaniały pomysł, aby dać mu Ifigenię za żonę pod warunkiem, że on zostanie w Aulidzie. Klitajmestra nie będzie miała nic przeciwko temu. Zdradziła mi już wcześniej, że jej ambicją jest wydać Ifigenię za Achillesa.

– Ale... dla Achillesa to będzie plama na honorze – powiedział z powątpiewaniem Agamemnon. – Nigdy się nie zgodzi. Znam go i wiem, że zawsze postępuje prostolinijnie. W końcu jest synem Peleusa.

Rozdrażniony spojrzałem w niebo.

– Panie, on nigdy się nie dowie! Chyba nie zamierzasz opowiadać całemu światu o tej sprawie! Każdy z nas dziś tu obecnych chętnie złoży ślub milczenia. Ofiara z człowieka nie zjedna nam serc żołnierzy – zaczną się zastanawiać, kto będzie następny. Lecz jeśli żadna plotka o tym się nie wymknie, wtedy nic się nie stanie, a Artemida zostanie uspokojona. Achilles o niczym się nie dowie!

– Zatem dobrze. Zrób tak! – powiedział.

Kiedy odchodziliśmy, wziąłem Menelaosa na stronę.

– Menelaosie, czy chcesz mieć Helenę z powrotem? – spytałem.

Fala bólu przeszła przez jego twarz.

– Jak możesz o to pytać?

– Zatem pomóż mi, inaczej flota nigdy nie wypłynie.

– Zrobię wszystko, Odyseuszu!

– Agamemnon wysła przede mną posłańca do Klitajmestry. Człowiek ten ostrzeże ją, by nie wierzyła moim słowom, i poleci, by nie powierzyła mi opieki nad dziewczyną. Musisz go powstrzymać.

Jego usta zacisnęły się w cienką twardą linię.

– Przysięgam, Odyseuszu, że będziesz jedynym, który rozmówi się z Klitajmestrą.

Byłem zadowolony. Dla Heleny zrobi to z pewnością.

Wszystko poszło łatwo. Klitajmestra była zachwycona związkiem, jaki Agamemnon ułożył dla ukochanego, najmłodszego dziecka. Odpowiadało jej wydanie dziewczyny za mężczyznę mającego właśnie wyruszyć na daleką wojnę. Uwielbiała Ifigenię, a małżeństwo z Achillesem umożliwiało jej zatrzymanie dziewczyny w Mykenach do czasu jego powrotu z Troi. Zatem cały Pałac Lwa rozbrzmiewał śmiechem i radością. Klitajmestra własnoręcznie pakowała skrzynie ze strojami. Spędzała czas ze swoją córką, by wprowadzić ją w tajemnice kobiet i małżeństwa. Aż do Bramy Lwa szła obok lektyki, rozmawiając z Ifigenią. Towarzyszyła jej starsza córka, Chryzotemis, płaczącą z zazdrości i przygnębienia. Elektra, najstarsza z nich, chuda, ponura i nieatrakcyjna replika własnego ojca, stała na murach ze swym małym bratem Orestesem, czule trzymając go w ramionach. Między nią a matką nie było żadnej miłości, od razu to zauważyłem.

Na końcu ścieżki Klitajmestra rozsunała firanki, aby ucałować Ifigenię w szerokie, białe czoło. Wzdrygnąłem się. Arcykrólowa była kobietą zdolną do namiętnej miłości i nienawiści. Co robi, kiedy pozna prawdę, bo przecież w końcu to się stanie? Gdy ona

znienawidzi Agamemnona, ten będzie mógł słusznie obawiać się jej zemsty.

Ponaglałem niosących lektykę, chcąc jak najszybciej dotrzeć do Aulidy. Ilekroć zatrzymywaliśmy się na odpoczynek lub rozbijaliśmy obóz, Ifigenią szczebiotała do mnie o tym, jak bardzo podziwia Achilleś, jak udało się jej go ukradkiem zobaczyć w Pałacu Lwa i od razu gorąco się w nim zakochała, jak to cudownie, że może go poślubić, gdyż takie samo jest pragnienie jej ojca.

Powstrzymałem się, by nie odczuwać dla niej litości. Czasami było to trudne. Miała oczy tak niewinne, tak szczęśliwe. Jednakże Odyseusz to mężczyzna silniejszy od innych i dzięki swej hardości zwycięża zły los.

Kiedy zapadła noc, wprowadziłem lektykę z zasuniętymi firankami do obozu króla i wniosłem Ifigenię prosto do małego namiotu, niedaleko namiotu jej ojca. Zostawiłem ją w nim, z Menelaosem na straży, bojąc się, że jej widok zmieni postanowienie Agamemnona. Uważałem, że lepiej nie budzić zainteresowania jej przybyciem, dlatego nie rozstawiłem straży wokół namiotu. Menelaos sam będzie musiał pilnować, żeby z niego nie wyszła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

OPOWIEŚĆ ACHILLESA

Każdego dnia, na deszczu i zimnie, ćwiczyłem swoich ludzi, rozgrzewając ich ciężką pracą. Inni dowódcy pozwalali swoim żołnierzom gnuśnieć, ale Myrmidoni mieli o mnie lepsze mniemanie. Podobały im się zarówno warunki, w których żyli, jak i surowa dyscyplina. Mieli poczucie wyższości nad innymi żołnierzami, gdyż wiedzieli, że są profesjonalistami.

Nigdy nie traciłem czasu na chodzenie do kwatery głównej, uważając to za bezsens. A kiedy drugi księżyc, cienki pasek, wszedł na niebo, wszyscy zaczęli podejrzewać, że ekspedycji do Troi nie będzie. Czekaliśmy tylko na rozkaz rozejścia się.

Pierwszej nocy, kiedy księżyc osiągnął pełnię, Patrokles poszedł do Ajaksa. Ja też byłem zaproszony, ale postanowiłem się nie ruszać. Minał mi nastrój do zabawy, gdy wyłonił się ponury koniec tego wielkiego przedsięwzięcia. Przez jakiś czas grałem na lirze i śpiewałem, a potem popadłem w apatię.

Odgłos kogoś wchodzącego do namiotu kazał mi podnieść głowę. Ujrzałem kobietę przytrzymującą klapę namiotu, otuloną w mokry parujący płaszcz. Patrzyłem oszołomiony, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wtedy ona weszła do środka, zaciągnęła zasłonę w wejściu, zdjęła kaptur i potrząsnęła głową, by uwolnić włosy od kilku natrętnych kropli deszczu.

– Achillesie! – zawołała z błyszczącymi, jasnymi jak bursztyn oczami. – Widziałam cię w Mykenach, kiedy podglądałam gości przez otwór za tronem ojca. Och, jaka jestem szczęśliwa!

W jednej chwili stanąłem na nogi, nadal patrząc na nią oszołomiony.

Miała nie więcej jak piętnaście, szesnaście lat. Odgadłem to jeszcze, zanim zdjęła płaszcz, odsłaniając skórę jak mleczny, lekko pożyłkowany marmur i dwie zaokrąglone piersi. Miała jasnoróżowe i delikatnie wycięte usta i włosy koloru ognia. Była tak pełna wigoru, że powietrze wokół niej drżało. Na jej twarzy malował się uśmiech, a pod delikatnością młodości kryła się niezwykła siła.

– Matka nie musiała mnie nakłaniać – pośpieszyła z wyjaśnieniami, skoro ja się nie odzywałem. – Nie mogłam czekać do jutra. Musiałam ci powiedzieć, jaka jestem szczęśliwa! Ifigenia poślubi cię z radością!

Podskoczyłem. Ifigenia? Jedyna Ifigenia, jaką znałem, była córką Agamemnona i Klitajmestry! Ale o czym ona mówi? Czyżby mnie z kimś myliła? Patrzyłem na nią jak zawstydzony idiota, któremu odjęło mowę.

Moje milczenie i wyraz zdziwienia na twarzy w końcu sprawiły, że zaczęła się niepokoić.

– Co robisz w Aulidzie? – wreszcie udało mi się zapytać.

W tej chwili wszedł Patrokles, spojrzął i zatrzymał się.

– Masz gościa, Achillesie? – Mrugnął do mnie. – Już idę.

Podszedłem szybko do niego i chwyciłem go za ramię.

– Patroklesie, ona mówi, że jest Ifigenią! – wyszeptalem. – To chyba córka Agamemnona! Z tego, co mówi, wynika, że ona myśli, iż posłałem po nią do Myken i prosiłem jej matkę, by oddała mi ją za żonę!

Jego rozbawienie zniknęło.

– Na boga! Czyżby to jakaś intryga, by cię okryć niesławą? A może próba twojej lojalności?

– Nie wiem.

– Czy nie powinniśmy odstawić jej z powrotem do ojca?

Zastanowiłem się nad tym już trochę spokojniej.

– Nie. Najwyraźniej wykradła się, by mnie zobaczyć. Nikt nie wie, że jest u mnie. Ja ją tu trochę zatrzymam, a ty idź się pokręcić koło Agamemnona i dowiedz się, o co chodzi. Pośpiesz się.

Zniknął.

– Siadaj, pani – powiedziałem do swego gościa i sam opadłem na fotel. – Czy chcesz może trochę wody? Ciastko?

W następnej chwili wylądowała na moich kolanach, zarzuciła mi ramiona na szyję i położyła głowę na moim ramieniu z cichym westchnieniem. Już prawie chciałem ją zrzucić na podłogę, gdy spojrzałem na jej bujne loki i zmieniłem zamiar. To jeszcze dziecko i najwyraźniej we mnie zakochane. Byłem od niej o wiele starszy – zupełnie nowe doświadczenie. Już od pół roku nie widziałem Deidamei, ale ta dziewczyna budziła we mnie całkiem inne uczucia. Moja leniwa, samolubna żona była ode mnie starsza o siedem lat i potrafiła się do mnie mizdrzyć. Dla trzynastoletniego chłopaka, dopiero budzącego się na seksualne potrzeby ciała, było to coś wspaniałego. Teraz pomyślałem, co będę czuł do Deidamei, kiedy wrócę z Troi jako zahartowany w boju mężczyzna. Miło było trzymać Ifigenię w objęciach, wdychać nie perfumy, ale pot i słodki zapach młodości.

Uśmiechnięta i zadowolona, uniosła głowę i spojrzała na mnie, a potem z powrotem położyła ją na moim ramieniu. Poczulem, jak jej usta pieczą moją szyję. Piers przyciśnięta do mojej klatki paliła jak rozpalona pieczęć. Patroklesie, Patroklesie, pośpiesz się! Potem powiedziała coś, czego nie mogłem dosłyszeć. Włożyłem dłoń w jej gęste płomienne włosy i odciągnąłem jej głowę, żeby zajrzeć w jej zachwyconą twarz.

– O co chodzi? – spytałem.

Zarumieniła się.

– Zapytałam tylko, czy mnie pocałujesz.

Skrzywiłem się.

– Nie. Spójrz na moje usta, Ifigenio. One nie są stworzone do całowania. Zmysł całowania jest w wargach.

– Zatem pozwól, bym ja cię wszędzie całowała.

Powinienem ją odepchnąć, ale nie potrafiłem się na to zdobyć. Pozwoliłem, by jej usta, miękkie jak łabędzi puch, wędrowały po mojej twarzy, dotknęły moich opuszczonych powiek, wtuliły się w zagłębienie szyi, gdzie nerwy doprowadzają serce mężczyzny do łomotu. Pragnąłem przycisnąć ją do siebie, aż będzie dyszeć do utarty tchu, ale zmusiłem się i uwolniłem ją. Surowo zajrzałem jej w oczy.

– Wystarczy, Ifigenio. Siedz spokojnie.

Trzymałem ją na odległość, aż w końcu wrócił Patrokles.

Pozostał w drzwiach. Spojrzał na mnie drwiąco. Zabrałem ręce, którymi ją obejmowałem, i uniosłem w górę, rozdarty między śmiechem a irytacją. Drwiny ze mnie nie były w stylu Patroklesa. Potem pogłaskałem ją po policzku i przesadziłem ze swoich kolan na fotel. Drwiące spojrzenie zniknęło z jego twarzy. Patrzył ponuro i gniewnie. Nie odezwał się, dopóki nie był pewien, że ona go nie usłyszy.

– Odkryłem niezły spisek, Achillesie.

– Podejrzewałem to. Jaki?

– Miałem szczęście. Agamemnon z Kalchaszem byli sami w namiocie i rozmawiali. Udało mi się ukryć w pobliżu i wszystko podsłuchałem. – Wstrzymał oddech. – Achillesie, oni posłużyli się twoim imieniem, aby wykraść to dziecko od matki! Powiedzieli Klitajmestrze, że poprosiłeś, aby Ifigenia została twoją żoną jeszcze przed wyruszeniem na wyprawę. Chcieli zwabić dziewczynę do Aulidy. Jutro zostanie złożona w ofierze Artemidzie, by odkupić

jakaś stara krzywdę, którą Agamemnon wyrządził bogini.

Gniew to coś, czego doświadcza każdy mężczyzna, choć jedni bardziej od innych. Nigdy nie myślałem o sobie jako o człowieku skorym do gniewu. Tym razem jednak poczułem, jak gniewna pasja pozbawia mnie zmysłów, moralności, zasad i przyzwoitości. Nawet bogowie na Olimpie musieli się złęknać. Usta odsłoniły zęby, drżałem, jakby ktoś rzucił na mnie urok. Wyszedłbym natychmiast na deszcz, by ściąć Agamemnona i kapłana swoim toporem, gdyby Patrokles nie chwycił mnie za nadgarstki z siłą, której u niego nie podejrzewałem.

– Achillesie, pomyśl! – wyszeptał. – Pomyśl! Co dobrego przyjdzie z ich śmierci? Jej krew jest potrzebna, by flota mogła wypłynąć! Z tego, co mówili Agamemnon i Kalchas, zrozumiałem, że nasz arcykról został zastraszony i zmuszony do tego!

Zacisnąłem mocno pięści, uwalniając się z jego uchwytu.

– Sądzisz, że będę stał z boku i temu przyklasnę? Wykorzystali moje imię, aby dokonać zbrodni zakazanej przez nową religię! To barbarzyństwo! Plugawią powietrze, którym oddychamy! I posłużyli się moim imieniem! – Potrząsałem nim, aż zazgrzytały jego zęby. – Spójrz na nią, Patroklesie! Czy potrafisz stać z boku i patrzeć, jak ją poświęcają niczym owieczkę?

– Nie rozumiesz mnie! – powiedział z naciskiem. – Powiedziałem tylko, że powinniśmy podejść do tego z chłodnym namysłem, a nie zaślepieni wściekłością! Achillesie, myśl, myśl!

Próbowałem. Usiłowałem. Lecz demon szaleństwa gotował się we mnie tak gwałtownie, że zduszenie go prawie mnie zabiło. Poszarzały, zacząłem pomału wracać do zmysłów. Oszukać ich! Musi być jakiś sposób, by ich oszukać! Wziąłem jego ręce w swoje.

– Patroklesie, zrobisz wszystko, o co cię poproszę?

– Wszystko, Achillesie.

– Zatem idź i poszukaj Automedona i Alkimososa. Musimy im zaufać w tym przedsięwzięciu, są Myrmidonami. Powiedz Alkimosowi, żeby znalazł młodą łanię, a potem pomalował jej rogi na złoto. Musi schwytać zwierzę do rana! Ty weźmiesz z sobą Automedona. Ukryjcie się jutro za ołtarzem, zanim zacznie się ofiara. Trzymaj łanię na złotym łańcuchu. Kalchas w tym rytuale użyje wielkich ilości dymu. Kiedy Ifigenia będzie leżeć na ołtarzu, a dym podejdzie pod niego bałwanami – kapłan nie ośmieli się podciąć jej gardła na oczach ojca – uwolnij dziewczynę, a w jej miejsce połóż łanię. Kalchas oczywiście się zorientuje, ale on kocha życie. Nie powie niczego. Krzyknie, że stał się cud.

– Tak, to może się powieść... Ale jak mnie i Automedonowi uda się stamtąd uciec?

– Za ołtarzem jest szałas, gdzie trzymają ofiary. Ukryjcie ją tam do czasu, aż wszyscy odejdą. Potem przyprowadź ją do mojego namiotu. Odeślę ją z powrotem do Klitajmestry z wiadomością wyjaśniającą spisek. Możesz tego dopilnować?

– Tak, Achillesie. A co z tobą?

– Nie uczestniczyłem we wróżbach Kalchasa od wielu dni, ale jutro przejdę się do kwatery na czas ceremonii. Na razie odeślę ją do jej namiotu. Nie wiem, jak mogła się tu dostać nie zauważona, ale ważne, by również nie zauważona wróciła. Sam ją odprowadzę.

– Być może ktoś widział, jak tu wchodziła – powiedział Patrokles.

– Nie. Nigdy nie pozwoliliby jej spędzić ze mną dość czasu, bym zdążył ją pozbawić dziewictwa. Artemida lubi dziewice.

Nachmurzył się.

– Nie lepiej byłoby odesłać ją do matki od razu?

– Nie mogę, Patroklesie. To oznaczałoby oficjalne zerwanie z Agamemnonem. Jeśli jutro wszystko pójdzie po naszej myśli,

odbijemy od brzegu, zanim Klitajmestra zdąży się o wszystkim dowiedzieć.

– Zatem wierzysz, że śmierć Ifigenii jest konieczna, by zmienić pogodę? – spytał dziwnym tonem.

– Nie, myślę, że pogoda sama się zmieni za dzień lub dwa. Patroklesie, nie chcę jawnego zerwania z Agamemnonem, chyba to rozumiesz? Pragnę wyruszyć do Troi.

– Rozumiem. – Wzruszył ramionami. – No cóż, muszę już iść. Biedny Alkimos umrze ze strachu, kiedy się dowie, że ma znaleźć młodą łanię! Zostanę z Automedonem przez resztę nocy. Jeśli nie przyślę wiadomości, że plan się nie powiódł, możesz być pewien, że będziemy w południe za ołtarzem.

– Dobrze.

Wyślizgnął się na deszcz. Ifigenia obserwowała nas okrągłymi oczami.

– Kto to był? – spytała, umierając z ciekawości.

– Mój kuzyn, Patrokles. Mamy kłopoty z ludźmi.

– Och. – Zamyśliła się na chwilę, a potem rzekła: – Jest podobny do ciebie, tylko że ma niebieskie oczy i jest niższy.

– I ma wargi.

Zachichotała.

– To sprawia, że jest zwyczajny. Kocham twoje usta takie, jakie są, Achillesie.

Postawiłem ją na nogi.

– Teraz musisz już wracać do swojego namiotu, zanim ktoś odkryje, że cię tam nie ma.

– Jeszcze nie – poprosiła, głaszcząc mnie po ramieniu.

– Tak, Ifigenio.

– Jutro weźmiemy ślub. Dlaczego nie chcesz pozwolić mi zostać na noc?

– Ponieważ jesteś córką arcykróla Myken, a córka arcykróla Myken musi być dziewicą w dniu ślubu. Kapłanka sprawdzi to przedtem, a potem ja będę musiał pokazać prześcieradło na dowód, że jestem twoim mężem pod każdym względem – powiedziałem stanowczo.

Wydeła wargi.

– Nie chcę iść!

– Chcesz czy nie, i tak pójdiesz. – Ująłem jej twarz w dłonie. – Zanim odprowadzę cię do domu, żądam od ciebie obietnicy.

– Wszystko, co chcesz – powiedziała, jasna i wspaniała.

– Nie wspominaj o tej wizycie swojemu ojcu ani nikomu innemu. Jeśli to zrobisz, twoje dziewictwo może zostać podważone.

Uśmiechnęła się.

– Zatem tylko jeszcze jedna noc! Tyle mogę znieść. Odprowadź mnie, Achillesie.

Patrokles nie przesłał wiadomości, że nasze plany zawiodły. Wczesnym przedpołudniem nałożyłem na siebie zbroję, komplet, który mój ojciec dostał ze skarbca Minosa, i udałem się przed ołtarz pod platanem. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie, odetchnąłem z ulgą. Patrokles i Automedon musieli być już na miejscu.

Och, te spojrzenia na twarzach królów, kiedy mnie ujrzeni! Odyseusz natychmiast chwycił mocno Agamemnona za ramię, Nestor skurczył się między Menelaosem i Diomedesem, podczas gdy Idomeneusz patrzył zaskoczony i niespokojny. Zatem to oni wszystko uknuli. Oddając im zwyczajowy ukłon, stanąłem z boku,

jakby impuls uczestniczenia dzisiaj w ofierze był czystym przypadkiem. Za nimi, na mokrej trawie, dał się słyszeć odgłos kroków. Odyseusz wzruszył ramionami, dając im do zrozumienia, że nie ma czasu, by namówić mnie do odejścia. Dostrzegłem jednak, jak intensywnie myśli. Normalne, szczere zachowanie u Odyseusza było jedynie maską podstępny. To najbardziej niebezpieczny człowiek na świecie. Rudy i leworęczny. Atrybuty zła.

Niby lekko zaciekawiony, odwróciłem się. Ujrzałem zbliżającą się do ołtarza Ifigenię. Szła wolno i dumnie, z uniesionym podbródkiem. Jedynie drżenie warg zdradzało, że jest przerażona. Kiedy mnie zobaczyła, zachwiała się, jakbym ją uderzył. Zajrzałem w głąb jej oczu, by zobaczyć, jak ginie jej ostatnia nadzieja. Przerażenie zmieniło się w gniew. Lecz nie był on podobny do tego, który ja czułem, gdy Patrokles powiedział mi o intrydze. Ona mnie nienawidziła. Życzyła mi śmierci. Patrzyła na mnie tak samo, jak wtedy moja matka. Stałem bez ruchu, wpatrzony w ołtarz, i tęskniłem za chwilą, gdy będę mógł wszystko jej wyjaśnić.

Do Odyseusza podszedł Diomedes. Stanęli po obu stronach Agamemnona, podtrzymując go pod łokcie. Kalchas z upiorną, skurczoną twarzą pchnął Ifigenię palcem w plecy. Nie była związana. Wyobrażałem sobie, jak nimi gardzi – była córką Agamemnona i Klitajmestry, a ich duma była niezrównana.

Stając u stóp ołtarza, odwróciła się do nas. Jej oczy rozświetlała pogarda.

Potem weszła po kilku stopniach w górę, lekko wspięła się na blat ołtarza i położyła się na nim z rękoma złożonymi na piersiach. Jej profil rysował się wyraźnie na szarym, ciężkim niebie. Tego ranka nie padało, jej marmurowe łoże było suche.

Kalchas wrzucał różne proszki do ognia płonącego w trzech trójnogach, ustawionych przed ołtarzem. Dym zafalował zielenią i zgniłą żółcią, rozsiewając zapach siarki. Wymachując długim, zdobionym klejnotami nożem, Kalchas zniknął i wyłaniał się z dymu,

niczym ogromny, obsceniczny nietoperz. Kiedy jego ramię uniosło się i nóż błysnął, stałem nieporuszony tam, gdzie byłem. Byłem przerażony, a równocześnie jakoś zafascynowany. Ostrze mignęło w dół. Dym zakłębił się i zakrył kapłana. Ktoś krzyknął. Rozległ się ostry gulgoczący pisk rozpacz, który przeszedł w konwulsje. Staliśmy jak posągi. Kiedy powiew wiatru rozwiął dym, Ifigenia leżała nieruchomo. Jej krew ściekała kanałem w kamieniu do miejsca, gdzie znajdował się wielki złoty kielich trzymany przez Kalchasa.

Agamemnon zwymiotował. Odyseusz ściągnął usta. Otworzył usta w jęku cierpienia, patrzyłem z niedowierzaniem na dziewczynę. W moje żyły wstąpiło szaleństwo. Wyciągnąłem miecz i gdyby nie obecność Diomedesa i Odyseusza, którzy podtrzymywali Agamemnona, rozplątałbym go, zwisającego między nimi, z wymiocinami na brodzie. Upuścili go jak kamień, aby mnie powstrzymać. Desperacko zmagali się, by wyrwać mi miecz, podczas gdy ja odtrąciłem ich jak lalki. Idomeneusz i Menelaos podskoczyli, by im pomóc. Nawet stary Nestor. W piątkę przewrócili mnie na ziemię, upadłem twarzą na wyciągnięcie ręki od Agamemnona, przeklinając go, aż mój głos urósł do krzyku. Nagle siły mnie opuściły i zacząłem płakać. Wtedy oderwali mi palce od rękojeści miecza i podnieśli nas obu na nogi.

– Agamemnonie, posłużyłeś się moim imieniem, by popełnić taką niegodziwość! – powiedziałem przez łzy. Gniew zniknął, pozostała nienawiść. – Chcąc nakarmić swoją pychę, pozwoliłeś, by twoją najmłodszą córkę złożono w ofierze. Od tego dnia znaczysz dla mnie mniej niż najgorszy niewolnik. Nie jesteś lepszy ode mnie. Ani ja od ciebie. Gdyby nie moja ambicja... Mogłem temu zapobiec! Tyle ci tylko powiem, królu królów! Zamierzam posłać wiadomość Klitajmestrze. Powiadomię ją, co tu się dzisiaj stało. Nikogo nie pomnę, ani ciebie, ani pozostałych, ani siebie. Splamiliśmy swój honor. Jesteśmy przeklęci.

– Nie chciałem tego – zaprotestował słabo. – Posłałem Klitajmestrze wiadomość, żeby ją ostrzec. Lecz posłańca zamordowano. Próbowałem, naprawdę... Przez szesnaście lat usiłowałem odwlec ten dzień. Niech będzie przeklęty przez bogów. Jesteśmy słabi. Bo jesteśmy śmiertelni.

Dotarłem jakoś do namiotu. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, był fotel, w którym trzymałem ją w objęciach. Na drugim fotelu siedział Patrokles i płakał. Kiedy mnie usłyszał, wziął miecz leżący na dywanie u jego stóp i ukląkł przede mną z wyciągniętym ostrzem.

– Co robisz? – spytałem, nie mogąc znieść kolejnej udręki. Koniec miecza powędrował do jego gardła, podał mi rękojęść.

– Zabij mnie! Zawiodłem cię, Achillesie. Muszę odkupić swój honor.

– To ja zawiodłem, Patroklesie. Ja muszę odkupić honor.

– Zabij mnie! – błagał.

Chwyciłem miecz i odrzuciłem go.

– Nie.

– Zaslługuję na śmierć!

– Wszyscy zasługujemy na śmierć, lecz nie takie jest nasze przeznaczenie – powiedziałem, rozwiązując rzemyki napierśnika.

Zaczął mi pomagać. Nawyki rządzą nami nawet podczas bólu.

– To mnie trzeba winić, Patroklesie. Moją dumę i moją ambicję! Jak mogłem pozwolić, by jej los zawisł na tak cienkim włosku? Zacząłem ją kochać, z radością bym się z nią ożenił. Żaden wstyd rozwieść się z Deidameją – była tylko sprytną intrygą mojego ojca i Likomedesa, by utrzymać mnie z dala od kłopotów. Kazałeś mi odesłać Ifigenię prosto do matki. To była mądra rada. Nie zgodziłem się, bo nie mogłem znieść, że zagrozi to mojej pozycji w wojsku. Uległem dumie i ambicji i przegrałem.

Zbroja została zdjęta. Patrokles zaczął układać ją w skrzyni. Zawsze zachowywał się, jakby był moim sługą.

– Co więc się stało? – zapytałem, gdy nalewał dla nas wina.

– Wszystko zapowiadało się dobrze – powiedział, siadając naprzeciw mnie. – Złapaliśmy łanię. – Jego oczy pociemniały, napłynęły łzy. – Ale postanowiłem nie dzielić się chwałą z Automedonem. Zapraǳałem wszystkich pochwał dla siebie. Zatem sam poszedłem z łanią i schowałem się za ołtarzem. Wtedy stworzenie zaczęło się bać i beczeć. Zapomniałem dać mu czegoś na oszołomienie! Gdyby Automedon był ze mną, udałoby się nam je okiełzać. Ale sam – nie dałem rady. Znalazł mnie Kalchas. To wojownik, Achillesie! W jednej chwili patrzyłem na niego, a w drugiej on złapał kielich i uderzył mnie w głowę. Kiedy odzyskałem przytomność, miałem związane ręce i nogi, i knebel w ustach. Dlatego błagałem, żebyś mnie zabił. Gdybym zabrał z sobą Automedona, wszystko poszłoby zgodnie z planem.

– Zabić ciebie, Patroklesie, to tak, jakby zabić siebie. To zbyt łatwe. Tylko jako żywi możemy odkupić swoje winy. Zmarli nic nie czują, cienie nie mają radości ani bólu. Ani się nie mszczą.

Czułem smak wina na języku. On odchrząknął, pokiwał głową.

– Tak, rozumiem. Dopóki żyję, muszę pamiętać o swojej zazdrości. Dopóki ty żyjesz, musisz pamiętać o swojej ambicji. To znacznie gorsze od śmierci.

Patrokles jednak nie musiał pamiętać wyrazu jej oczu – i tej pogardy. Ileż myśli musiało przejść jej przez głowę od chwili, gdy usłyszała prawdę, do chwili, gdy nóż Kalchasa przeciął jej gardło... Co pomyślała o mnie, o mnie, który zachowywałem się jak jej ukochany, a potem porzuciłem ją bez serca? Jej cień będzie mnie ścigał do końca życia. Niech zatem będzie krótkie i chwalebne! Niech moje życie będzie krótkie i pełne chwały.

– Kiedy wracamy do Jolkos? – spytał Patrokles.

– Do Jolkos? Skądże! Płyniemy do Troi.

– Po tym wszystkim?

– Troja jest częścią mojej kary. Oznacza też, że nie będę musiał spojrzeć ojcu w twarz, ponieważ w Troi umrę. Co by o mnie pomyślał, gdyby się o tym dowiedział? Niechaj bogowie mu tego oszczędzą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

OPOWIEŚĆ AGAMEMNONA

Pochowałem swoją córkę w środku nocy, w głębokim, nie oznaczonym grobie pod stosem kamieni, nad szarym morzem. Nie mogłem jej też odpowiednio wyposażyć na śmierć, dałem jej tylko strojną suknię i nałożyłem wszystkie dziewczęce klejnoty.

Achilles postanowił posłać do mojej żony wiadomość, oskarżając nas wszystkich. Mógłbym to odwrócić, docierając do niej pierwszy. Nie potrafiłem jednak znaleźć odpowiednich słów ani posłańca. Czy mogę zaufać komuś, kto ze mną nie popłynie? I jakie słowa potrafiłyby złagodzić cios, który zadałem Klitajmestrze? Jakie słowa mogłyby zmniejszyć jej stratę? Bez względu na nieporozumienia, które rozpałały się między nami, moja żona dotąd uważała mnie za wielkiego człowieka, godnego, by być jej mężem. Lecz pochodziła z Lakonii, a tam nadal żywe były wpływy Matki Kubaby. Kiedy dowie się o śmierci Ifigenii, spróbuje przywołać na pomoc starą religię i zechce rządzić zamiast mnie jako arcykrólowa.

W pewnej chwili pomyślałem o człowieku, członku świty, bez którego mógłbym się obejść pod Troją – moim kuzynie Egistosie.

Historia naszego domu – domu Pelopsa – jest straszna. Mój ojciec, Atreusz, i ojciec Egista, Tyestes, byli braćmi. Po śmierci Eurysteusza obaj zapragnęli tronu Myken. Powinien dziedziczyć Herakles, ale został zabity. Wiele zbrodni popełniono w walce o Tron Lwa w Mykenach. Mój ojciec dokonał rzeczy niewyobrażalnej: zabił swoich bratanków – ugotował ich – i podał Tyestesowi jako królewski posiłek. Mimo że lud dowiedział się o tym, na arcykróla wybrano Atreusza, a Tyestesa wygnano. Ten miał z Pelopią syna, Egista, którego potem próbował przedstawiać jako dziecko Atreusza, gdy ten się z nią później ożenił. Na tym jednak nie koniec. Tyestes

uknuł śmierć mojego ojca i rządził jako arcykról do czasu, gdy ja sam dorosłem na tyle, by go obalić i wygnać.

Mimo to zawsze lubiłem swojego kuzyna, Egista, który był dużo młodszy ode mnie. Przystojny i uroczy kompan, z którym zgadzałem się lepiej niż z własnym bratem Menelaosem. Moja żona nie lubiła go ani mu nie ufała, ponieważ był synem Tyestesa i miał prawo domagać się tronu, na którym ona pragnęła widzieć jedynie naszego syna Orestesa.

Posłałem po niego, gdy tylko przemyślałem, co mu powiedzieć. Jego pozycja zależała wyłącznie od mojej łaski, co znaczyło, że musiał być mi posłuszny. Zatem posłałem Egista do Klitajmestry, dobrze przygotowanego i zaopatrzonego w dary. Ifigenia nie żyje, tak, ale nie z mojego rozkazu. Zaplanował to i wykonał Odyseusz. Ona w to uwierzy.

– Nie zamierzam być poza Grecją długo – powiedziałem Egistowi przed jego odjazdem – ale ważne jest, aby Klitajmestra nie zwróciła się do ludu i nie zażądała przywrócenia starej religii. Będziesz moim stróżującym psem.

– Artemida zawsze była ci wroga – powiedział, klękając, by ucałować moją dłoń. – Nie martw się, Agamemnonie. Dopilnuję, by Klitajmestra się nie zapomniała. – Chrząknął. – Oczywiście miałem nadzieję na łupy z Troi. Jestem biedakiem.

– Dostaniesz swój udział w łupach – odrzekłem. – A teraz ruszaj.

Na drugi dzień po ofierze obudziłem się ze snu, przesiąknięty winem. Dzień był jasny i pogodny. W nocy chmury odpłynęły i ustał wiatr. Jedynie woda ściekająca z namiotów świadczyła o miesiącach burz, które nas prześladowały. Zmusiłem się, aby złożyć Artemidzie podziękowania za współpracę, choć już nigdy nie przedłożyłbym jej prośby o pomoc. Moja biedna, mała córeczka odeszła. Nie upamiętniała jej nawet nagrobna stela. Nie mógłbym teraz spojrzeć

na ołtarz.

Przy wejściu do mojego namiotu stał Feniks, gotowy rozpocząć zaokrętowanie. Zarządziłem, że jeśli pogoda się utrzyma, wypływamy jutro.

– Utrzyma się – powiedział starszy mężczyzna pewnie. – Morza między Aulidą a Troją będą tak spokojne jak mleko w misce.

– W takim razie – powiedziałem, nagle przypominając sobie, jak Achilles skrytykował moje przygotowania – złożymy ofiarę Posejdonowi i podejmiemy ryzyko. Ładuj statki, Feniksie. Ładuj je po same brzegi prowiantem. Przeszukam całą okolicę, aby go zdobyć jak najwięcej.

Spojrzał zdumiony, a potem uśmiechnął się.

– Tak zrobię, panie. Tak zrobię!

Ach, ten Achilles! Jego przekleństwa dźwięczały w mojej głowie. Pogarda paliła aż do rdzenia. Nic nie zrozumiałem z tego, gdy zaczął sam siebie obwiniać. Nie mógł przecież przeciwstawić się bogom bardziej niż ja. A jednak czułem dla niego zazdrosny podziw. Posiadał dość odwagi, by przyznać się przed nami do winy. Dlaczego Odyseusz i Diomedes tak zatroszczyli się o moje bezpieczeństwo. Wolałbym raczej, by Achilles stracił moją głowę i zakończył to wszystko raz na zawsze.

Następnego ranka, kiedy świt zaczynał różowieć na bladym niebie, zepchnięto mój flagowy okręt na wodę. Stałem na dziobie, czując, jak statek zanurza się w spokojnej wodzie. Moje dłonie pewnie spoczywały na poręczy. W końcu wyruszamy! Zszedłem na rufę. Boki statku zaginały się w górę, tworząc kaptur, z którego spoglądała naprzód postać Amfitriona. Odwróciłem się tyłem do wioślarzy siedzących na górnym pokładzie, rad, że mój statek był dwupoziomowy. Na dole było dość miejsca na bagaż, sługi, skrzynie wojenne i wszelkie wygody, których potrzebował arcykról. Moje konie były w zagrodzie z tuzinem innych, niedaleko miejsca, gdzie

stałem. Morze falowało łagodnie niewiele poniżej pokładu. Byliśmy bardzo przeciążeni.

Na tyłach spychano do wody wielkie czerwono–czarne statki z błyszczącymi wiosłami, podobne do krocionogów, pływających na powierzchni nieporuszonych wiecznych głębin Posejdon. Jak obliczono, było ich razem tysiąc dwieście. Osiemdziesiąt tysięcy wojowników i dwadzieścia tysięcy wszelkiego rodzaju pomocników. Na niektórych statkach znajdowali się tylko wiosłarze i konie. Nasz lud, podobnie jak Trojanie, poruszał się na rydwanach. Nadal uważałem, że kampania będzie krótka. Rozumiałem jednak, że nie ujrzymy legendarnych trojańskich koni przed upadkiem Troi.

Zafascynowany obserwowałem całą scenę, nie dowierając, że to moja własna ręka była u steru tych wszystkich potężnych sił, że przeznaczeniem arcykróla Myken było zostać arcykrólem greckiego imperium. Żaden z okrętów nie wypłynął w morze, nim załoga nie wyprowadziła mojego statku na środek Zatoki Eubejskiej. Plaża stała się teraz dalekim, cienkim paskiem lądu. Na krótko ogarnęła mnie obawa, jak ta rozległa flota zdoła utrzymać się razem na otwartych milach przestrzeni.

W oślepiającym słońcu płynęliśmy do wylotu Zatoki Eubejskiej, po czym między Eubeą a wyspą Andros wyszliśmy w otwarte morze. Gdy góra Ocha zbladła za burzą, złapaliśmy bryzę, która zawsze wieje na Morzu Egejskim. Wiosła przytroczono do podpór, a ludzie zbiegli się wokół masztu. Pod naporem południowo–zachodniego wiatru, ciepłego i łagodnego, rozkwitł szkarłatny, skórzany żagiel królewskiego statku.

Przeszedłem się między rzędami ławek, a potem po kilku stopniach dostałem się na pokład dziobowy, gdzie zbudowano dla mnie specjalną kabinę. W ślad za nami, przez tonie, płynęło wiele statków, wywołując niewielkie fale wokół uniesionych dziobów. Wydawało się, że nadal trzymamy się razem. Na dziobie stał Telefos. Co jakiś czas odwracał głowę, by wykrzykiwać polecenia dwóm

ludziom, którzy stali przy sterujących wiosłach. Uśmiechnął się do mnie zadowolony.

– Wspaniale, panie! Jeśli pogoda się nie zmieni i dzięki wiatrowi utrzymamy tempo, będzie doskonale. Nie będziemy musieli dobijać do Chios ani Lesbos. Dotrzemy do Tenedos w dobrym czasie.

Ucieszyłem się. Telefos był najlepszym nawigatorem w całej Grecji. Ten człowiek z pewnością potrafi nas bez ryzyka zaprowadzić prosto do Troi. Był jedynym człowiekiem, któremu mogłem powierzyć los tych tysiąca dwustu statków. Heleno, pomyślałem, twoja wolność nie potrwa długo! Zanim się spostrzeżesz, wrócisz do Amyklaju, a to przysporzy mi olbrzymiej przyjemności rozkazania, by ścięto twoją śliczną główkę świętym toporem o podwójnym ostrzu.

Dni mijały dość szczęśliwie. Widzieliśmy Chios, aleje minęliśmy. Nie było potrzeby uzupełnienia zaopatrzenia. Pogoda była tak dobra, że ani ja, ani Telefos nie musieliśmy się martwić, że zniesie nas do brzegu. Wybrzeże Azji Mniejszej było teraz dość dobrze widoczne i Telefos bez trudu rozpoznawał znaki orientacyjne. Przepływał wzdłuż tego brzegu już setki razy. Śmiejąc się, pewny swego kursu, wskazał mi wielką wyspę Lesbos. Odbił od niej na zachód, by nie dostrzeżono nas z łądu. Trojanie nie powinni wiedzieć, że nadpływamy.

Jedenastego dnia po wypłynięciu z Aulidy zbliżyliśmy się od zachodu do portu na Tenedos, wyspie leżącej niedaleko ziem trojańskich. Nie było tam miejsca na wciągnięcie tyłu statków. Mogliśmy jedynie zostawić je na kotwicy możliwie najbliżej łądu i mieć nadzieję, że przychylna pogoda utrzyma się jeszcze przez kilka dni. Tenedos było żyznym miejscem, ale nie mogło chwalić się dużą populacją z uwagi na sąsiedztwo miasta uznawanego za największe na świecie. Kiedy zbliżyliśmy się do mieszkańców zgromadzonych na brzegu, ich bezradna gestykulacja zdradzała strach.

Poklepałem Telefosa po ramieniu.

– Dobra robota, pilocie! Zarobiłeś na książęcy udział w łupach!

Zadowolony z triumfu roześmiał się, potem zbiegł szybko po schodach na śródokręcie, gdzie wkrótce otoczyło go stu trzydziestu ludzi, którzy ze mną żeglowali.

Przed zapadnięciem nocy dobiły ostatnie okręty floty. Wszyscy najwięksi dowódcy przyszli do mojej tymczasowej kwatery w mieście Tenedos. Wykonałem już najważniejsze, to znaczy zgromadziłem wszystkie żyjące na wyspie dusze. Nikomu nie wolno było wydostać się, by dotrzeć na kontynent i powiadomić króla Priama o zagrożeniu z zachodu. Bogowie, pomyślałem, zjednoczyli się po stronie Grecji.

Następnego poranka dla treningu wyruszyłem pieszo na szczyt wzniesienia górującego w centrum wyspy. Szło ze mną kilku królów, którzy cieszyli się, że wreszcie znaleźli się na stałym lądzie. Przystanęliśmy, a nasze płaszcze powiewały na wietrze. Patrzyliśmy w dół przez błękitne, spokojne wody na odległy o kilka mil trojański ląd.

Miasta Troi nie można było nie zauważyć. Jego widok sprawiał, że poczułem ucisk w żołądku. Sądziłem, że jest usytuowane podobnie jak Mykeny na Górze Lwa; albo że jest to potężny port handlowy taki jak Jolkos, czy może przypomina Korynt spoczywający po dwóch stronach przesmyku; albo cudowne Ateny. Jednak Troja przyćmiła wszystkie te wspaniałości. Nie tylko wznosiła się wysoko, ale również rozszerzała ku dołowi niczym gigantyczny ziggurat, zbyt odległa, by rozpoznać szczegóły.

– Co teraz? – spytałem Odyseusza.

Zdawał się zagłębiony w myślach, a jego szare oczy wyrażały skupienie. Słyszac moje pytanie, uśmiechnął się.

– Moja rada to dziś w nocy pożeglować pod osłoną ciemności przez przesmyk. Wysadzić wojsko o świcie i uderzyć na nieświadomego Priama, zanim zdąży zamknąć bramy. Jutro

wieczorem, panie, Troja będzie twoja.

Nestor parsknął, Diomedes i Filoktet spojrzeli przerażeni. Ja sam zadowolilem się uśmiechem, podczas gdy Palamedes rozpromienił się.

– Odyseuszu – przemówił Nestor, wyręczając mnie z kłopotu. – Odyseuszu, czyżbyś nie miał żadnego pojęcia o złu i dobru? – spytał. – Wszystkim rządzą pewne prawa, włącznie z prowadzeniem wojen. Nie mam zamiaru uczestniczyć w tej awanturze, skoro nie zostaną dotrzymane formalności! A honor, Odyseuszu? Gdzie w twoich planach jest miejsce na honor? Nasze imiona będą cuchnąć na Olimpie. Nie wolno nam lekceważyć praw! – Zwrócił się do mnie. – Nie słuchaj go, panie. Prawa wojenne są nienaruszalne. Musimy ich przestrzegać.

– Uspokój się, Nestorze. Znam prawa podobnie jak ty. – Chwycilem Odyseusza za ramiona i potrząsałem nim delikatnie. – Z pewnością nie spodziewasz się, że posłucham takiej bezbożnej rady?

Roześmiał się tylko, a potem odpowiedział:

– Nie, Agamemnonie, nie! Ale zapytałeś mnie, co teraz. Czulem się więc zobligowany dać ci najsmaczniejszy kąsek mojej mądrości. Skoro odbił się od głuchych uszu, to czyż wolno mi narzekać? Nie jestem arcykrólem Myken. Jestem zaledwie lojalnym poddanym, Odyseuszem ze skalistej Itaki, gdzie człowiek musi czasami zapominać o takich rzeczach jak honor po to, by przeżyć. Powiedziałem tobie, jak dokonać dzieła w jeden dzień. Jest to jedyny sposób, w jaki można zdobyć Troję. Ostrzegam cię zatem – jeśli damy Priamowi szansę zamknięcia bram, będziesz się wałęsał pod jego murami przez te dziesięć lat, które przepowiedział Kalchas.

– Po murach można się wspiać, a bramy można wyłamać – odrzekłem.

– Czyżby? – Znowu się zaśmiał i wydawało się, że o nas

zapomniał, kierując wzrok do swego wnętrza. Jego umysł był cudowną całością, natychmiast potrafił uwięzić prawdę. W głębi serca wiedziałem, że jego rada jest słuszna. Wiedziałem także, że jeśli z niej skorzystam, nikt ze mną nie pójdzie. Oznaczało to grzech przeciw Zeusowi i nowej religii. Zawsze fascynowało mnie, jak udawało mu się unikać zemsty za takie bezbożne pomysły. Powiadano, co prawda, że kochała go Pallas Atena najbardziej z wszystkich ludzi i za każdym razem wstawiała się za nim u swego potężnego Ojca. Kochała go, powiadano, za jego umysł.

– Ktoś będzie musiał popłynąć do Troi ze znakami wojennymi i zażądać zwrotu Heleny – powiedziałem.

Wszyscy wyglądali na chętnych, ale ja już wiedziałem, kogo chcę posłać.

– Menelaosie, ty jesteś mężem Heleny. Ty musisz iść, oczywiście. Odyseuszu, ty i Palamedes także pójdziecie.

– Dlaczego nie ja? – spytał Nestor, obrażony.

– Ponieważ potrzebuję jednego z mych głównych doradców tutaj – odparłem, mając nadzieję, że to zabrzmiało przekonująco. Niech pomyśli, że go oszczędzam, a natychmiast ucieknie. Przyjrzał mi się podejrzliwie, ale jak sędzę, długa morska wędrówka musiała go wyczerpać, ponieważ więcej się nie spierał.

Odyseusz wyrwał się z zamyślenia.

– Panie, jeśli mam się udać z tą misją, proszę tylko o jedno. Niechaj poselstwo nie zdradza, że jesteśmy już tu, ukryci na Tenedos. Niechaj stary Priam ma wrażenie, że nadal znajdujemy się w domu, w Grecji, i dopiero szykujemy się do wojny. Prawo żąda tylko formalnego ostrzeżenia przed atakiem. Nie musimy robić niczego więcej. Poza tym Menelaos powinien domagać się odpowiedniej rekompensaty za kłopoty związane z porwaniem żony. Powinien zażądać, by Priam otworzył Hellespont dla naszych kupców i zniósł embargo na handel.

Pokiwałem głową.

– Dobra rada.

Ruszyliśmy z powrotem w dół zbocza ku miastu. Bardziej energiczni szli przede mną. Odyseusz i Filoktet rozmawiali i dokazywali na przedzie niczym para chłopców. Obaj byli wspaniali, ale Filoktet był lepszym wojownikiem. Sam Herakles, kiedy leżał na łożu śmierci, dał Filoktetowi łuk i strzały, choć ten był jeszcze młodzikiem.

Przeskakiwali kępy traw, a czyste powietrze dodawało im sił. Odyseusz skoczył wysoko nad kępą roślin i stuknął obcasami w powietrzu, demonstrując swoją sprawność. Filoktet chciał mu dorównać, wylądował lekko i zwinnie. W chwilę później krzyknął krótko, a jego twarz skrzywiła się. Upadł na jedno kolano, wyciągając przed sobą drugą nogę. W obawie, że ją złamał, podbiegliśmy do miejsca, gdzie przykucnął. Wyprostowaną nogę podtrzymał rękami i ciężko dyszał. Odyseusz już wyciągał nóż.

– Co się stało? – spytał Nestor.

– Nadepnałem na węża – wysapał Filoktet.

Zdrętwiałem ze strachu. Jadowite węże były rzadkością w Grecji. Nasze węże domowe i ołtarzowe były zupełnie inne, kochaliśmy je i czciliśmy ze względu na to, że polowały na szczury i myszy.

Odyseusz nożem naciął głęboko dwa ukąszenia, potem pochylił głowę i przycisnął usta do rany, wypływając krew i jad po każdym wysaniu. Potem skinął na Diomedesa.

– Weź go, Argiwie, i zanieś do Machaona. Staraj się nim nie potrząsać, aby trucizna nie dostała się bliżej jego witalnych organów. Mój przyjacielu – powiedział do Filokteta – leż spokojnie i bądź dobrej myśli. Machaon nie na darmo jest synem Asklepiosa. On będzie wiedział, co dalej robić.

Diomedes pobiegł przed nami. Niósł swój ciężar bez wysiłku, jakby Filoktet był dzieckiem. W pełnej zbroi biegł równym tempem, które – jak widziałem wcześniej – potrafił utrzymywać przez dłuższy czas.

Oczywiście my również natychmiast udaliśmy się do gabinetu Machaona. Dano mu dobry dom, który dzielił ze swym o wiele bardziej nieśmiałym bratem, Podalierosem. Ludzie chorowali zawsze, nawet podczas wojny. Filoktet leżał na tapczanie z zamkniętymi oczami i ciężko oddychał.

– Kto wyssał ukąszenie? – spytał Machaon.

– Ja – odparł Odyseusz.

– Dobra robota, Itakijczyku. Gdybyś nie zadziałał tak szybko, umarłby na miejscu. Nawet teraz jeszcze może umrzeć. Trucizna musiała być silna. Czterokrotnie miał konwulsje i czuję pod dłonią, że serce nie pracuje równo.

– Kiedy dowiemy się czegoś pewnego? – spytałem.

Jak wszyscy lekarze, niechętni stawiać śmiertelne diagnozy, pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, panie. Czy ktoś złapał węża albo przynajmniej go widział?

Pokręciliśmy przecząco głowami.

– Zatem nic nie wiadomo – odparł Machaon z westchnieniem.

Nazajutrz do Troi wyruszyła delegacja. Przedstawiciele płynęli na wielkim statku, którego pokład znajdował się w nieładzie, by myślano, że właśnie przybija po dalekiej podróży z Grecji. Reszta ludzi zadomowiła się na wyspie, czekając na ich powrót. Zachowywaliśmy się cicho i pilnowaliśmy, żeby dymy z ognisk nie płynęły ponad wzgórza i nie zdradziły naszej obecności jakiemuś przypadkowemu obserwatorowi z lądu. Mieszkańcy wyspy nie sprawiali nam kłopotu, nadal byli oszołomieni rozmiarami floty,

która spadła na nich z błękitu.

Rzadko widywałem się z młodszymi dowódcami. Wybrali na swego przywódcę Achillesa i raczej w nim niż we mnie szukali dla siebie przykładu. Od śmierci Ifigenii nie zbliżył się do mnie. Kilka razy widziałem go z daleka. Poznałem jego charakterystyczny wzrost i sylwetkę, ale on udał, że mnie nie widzi, i odszedł swoją drogą. Mimo wszystko podziwiałem jego metody pracy z Myrmidonami. Nie tracił czasu i nie pozwalał im na beczyność, jak to było w przypadku reszty żołnierzy. Codziennie ich ćwiczył i musztrował. Te siedem tysięcy żołnierzy było najzwinniejszymi i najzdolniejszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek miałem. Byłem trochę zdziwiony, stwierdziwszy, że do Aulidy przyprowadził zaledwie siedem tysięcy, ale teraz widziałem, że Peleus i jego syn stawiali raczej na jakość niż na ilość. Żaden z nich nie miał jeszcze dwudziestu lat i wszyscy byli zawodowymi żołnierzami, a nie ochotnikami bardziej nawykłymi do pługa czy hodowli winogron. Żaden z nich też, jak się dowiedziałem, nie był żonaty. Bardzo mądre. Tylko młodzi mężczyźni, bez żon i dzieci, rzucają się do walki, nie dbając o swój los.

Delegacja wróciła po siedmiu dniach. Statek przybił już po zapadnięciu ciemności. Trzej ambasadorowie natychmiast przyszli do mojej kwatery. Ich twarze powiedziały mi, że nie odnieśli sukcesu, ale czekałem, aż nadejdzie Nestor, zanim pozwoliłem im cokolwiek powiedzieć. Nie było potrzeby wzywać Idomeneusza.

– Odmówili jej wydania, Agamemnonie! – powiedział mój brat, uderzając pięścią w stół.

– Uspokój się, Menelaosie! Nigdy nie sądziłem, że ją oddadzą. Co zatem właściwie się stało? Czy widziałeś Helenę?

– Nie, trzymali ją w ukryciu. Zaprowadzono nas do cytadeli – znali mnie z mojej poprzedniej wizyty, nawet w Sigios. Priam siedział na tronie i spytał, czego tym razem sobie życzę. Powiedziałem, że Heleny, a on się roześmiał! Gdyby tylko ten jego synalek tam był! Zabiłbym go na miejscu!

Usiadł, chowając twarz w dłoniach.

– A oni ciebie. Mów dalej.

– Priam powiedział, że Helena przyszła z własnej woli, że nie życzy sobie wracać do Grecji, uważa Parysa za swego męża i woli majątek, który zabrała ze sobą, mieć tu, w Troi, chcąc mieć pewność, że nigdy nie stanie się obciążeniem dla swego nowego kraju. Insynuował też, że ja uzurpowałem sobie prawo do tronu Lakonii. Czy możesz w to uwierzyć? Powiedział, że po śmierci jej braci, Kastora i Polluksa, ona powinna być prawowitą władczynią! Ona jest córką Tyndarejosa! A ja tylko marionetką Myken!

– No, no – powiedział Nestor, chichocząc. – Brzmi to tak, jakby Helena uknuła spisek, będąc jeszcze z tobą w Amyklaju, Menelaosie.

Kiedy mój brat odwrócił się gwałtownie do starca, uderzyłem laską w podłogę.

– Mów dalej, Menelaosie.

– Zatem wręczyłem Priamowi czerwoną tabliczkę z symbolami Aresa. Popatrzył na nią, jakby nigdy czegoś podobnego przedtem nie widział. Jego ręka tak się trzęsła, że upuścił ją na podłogę. Rozbiła się. Wszyscy podskoczyli. Wtedy Hektor podniósł kawałki i schował.

– Wszystko to musiało zajść już kilka dni temu. Dlaczego nie wróciłeś od razu? – spytałem.

Spojrzał żałośnie, nie odpowiedział, a ja, podobnie jak Nestor, domyśliłem się dlaczego. Miał nadzieję zobaczyć Helenę.

– Nie powiedziałaś im, jak skończyła się ta pierwsza audyencja – podpowiedział Palamedes.

– Dokończę, jeśli mi pozwolicie! – warknął Menelaos. – Najstarszy syn Priama, Deifobos, publicznie poprosił ojca, aby nas zabił. Wtedy wystąpił Antenor i zaoferował nam mieszkanie. Powołał się na Zeusa Gościnnego i zabronił jakiemukolwiek Trojaninowi podnosić na nas rękę.

– To interesujące, on pochodzi z Dardanii. – Poklepałem Menelaosa łagodnie. – Bądź dobrej myśli, bracie! Wkrótce będziesz miał okazję się zemścić. Teraz idź i połóż się spać.

Dopiero gdy Nestor i ja zostaliśmy sami z Odyseuszem i Palamedesem, dowiedziałem się tego, co naprawdę chciałem wiedzieć. Menelaos był jedynym spośród nas, który dotąd odwiedził Troję, lecz w całym roku przygotowań do wojny nigdy nie udało mi się wydostać z niego żadnej interesującej informacji. Jak wysokie są mury? Bardzo wysokie. Ilu ludzi Priam powołuje do wojska? Wielu. Jak silne są jego związki z resztą Azji Mniejszej? Dość silne. Było to równie beznadziejne jak wydobycie czegoś z Kalchasa. Tyle że mój brat nie szukał żadnej gładkiej wymówki jak kapłan, który twierdził, iż to Apollo związał mu język.

– Panie, musimy ruszać szybko – powiedział cicho Palamedes.

– Dlaczego?

– Troja to dziwne miejsce, którym rządzi tyle samo mędrców, co głupców. Pośród doradców najwięcej szacunku mam dla Antenora i młodzieńca imieniem Polidamas. Syn, o którym wspomniał Menelaos, Deifobos, to gorąckrwista świnia. Lecz nie on jest następcą. Wydaje się, że nie zajmuje ważnej pozycji. Jest tylko jednym z królewskich dzieci Priama i jego żony, Hekabe.

– Jako najstarszy powinien być następcą.

– W swoim czasie Priam był niezłym kozłem. Spłodził pokaźną trzódkę pięćdziesięciu synów – ze swej królowej, innych żon i wielu nałożnic. A córek ma podobno więcej niż synów, chyba ze sto. Zapytałem, dlaczego nie pokaże nam żadnej z córek. Zaśmiał się i powiedział, że najpiękniejsze są dobre na żony dla jego sprzymierzeńców, podczas gdy brzydkie tkają płótna, żeby pałac wyglądał dostatnio.

– Powiedz mi coś o pałacu.

– Jest ogromny, panie. Powiedziałbym, że jest tak duży jak dawny Dom Minosa na Knossos. Każde z ożenionych dzieci Priama ma swój własny apartament i żyją w luksusie. W cytadeli znajdują się też inne pałace. Jeden z nich ma Antenor. Drugi – następca tronu.

– A kto jest następcą? Przypominam sobie, że Menelaos mówił coś o Hektorze. Sądziłem, że to on jest najstarszy.

– Hektor jest młodszym synem królowej Hekabe. Był w pałacu, kiedy przybyliśmy, ale prawie natychmiast wyruszył w jakiejś pilnej misji do Frygii. Dodam, że błagał, aby go zwolniono z tego obowiązku, ale Priam uparł się, żeby jechał. Skoro on jest dowódcą wojsk, to w tej chwili armia jest bez wodza. Wygląda na to, że ten Hektor jest mądrzejszy od ojca. Jest młody – nie ma chyba więcej jak dwadzieścia pięć lat. Bardzo wysoki. Prawie taki jak Achilles.

Odwróciłem się do Odyseusza, który wolno gładził się po twarzy.

– A ty, co powiesz, Odyseuszu?

– Na temat Hektora mogę tylko dodać, że zarówno żołnierze, jak i lud go uwielbiają.

– Rozumiem. Zatem nie ograniczyłeś się jedynie do obejrzenia pałacu.

– Nie. Palamedes przyjrzał się pałacowi, a ja miastu. Bardzo pożyteczna i pouczająca lekcja. Troja, panie, to naród żyjący wewnątrz murów. Dwóch kompletów murów. Te wokół cytadeli są wystarczająco imponujące – wyższe od murów Myken czy Tirynsu. Zewnętrzny mur jednak, otaczający całe miasto, to prawdziwy mamut. Troja to państwo–miasto w ścisłym tego słowa znaczeniu, Agamemnonie. Cała znajduje się wewnątrz zewnętrznych wałów, nie rozpościera się pod wałami jak u nas. Ludzie nie muszą uciekać do środka, gdy zagraża im wróg, ponieważ już są w środku. Jest tam wiele wąskich uliczek i niezliczone wysokie budynki, które oni

nazywają kamienicami, a w takiej jednej zamieszkuje kilka tuzinów rodzin.

– Antenor powiedział mi – przerwał Palamedes – że podczas ostatniego spisu ludności zgłosiło się sto siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Należy domyślać się, że Priam może powołać armię czterdziestu tysięcy sprawnych ludzi, nie szukając dalej jak w swoim mieście – a pięćdziesiąt tysięcy, gdyby wykorzystał też starszych mężczyzn.

Pomyślawszy o swoich osiemdziesięciu tysiącach żołnierzy, uśmiechnąłem się.

– To nie dość, by nas powstrzymać – powiedziałem.

– To aż nadto – odrzekł Odyseusz. – Miasto ma kilka mil w obwodzie, choć jest raczej owalem niż kołem. Zewnętrzne wały są fantastyczne. Zmierzyłem jeden z kamieni, a potem policzyłem rzędy. Mury mają trzydzieści łokci wysokości i co najmniej dwadzieścia łokci grubości u swej podstawy. Są tak stare, że nikt nie pamięta, kiedy i dlaczego je zbudowano. Legenda głosi, że zostały przeklęte i zapadły się z powodu ojca Priama, Laomedona. Nie sądzę jednak, żeby zapadły się z naszego powodu. Wznoszą się stromo, a kamienie zostały wygładzone. Żadnej szczeliny, żeby zahaczyć drabinę czy bosak.

Nie chcąc zdradzać przygnębienia, odchrząknąłem.

– Czy nie ma tam żadnego słabego punktu, Odyseuszu? Żadnego niższego odcinka muru? Albo bramy?

– Tak, jest taki punkt – choć nie liczyłbym specjalnie na niego, panie. Odcinek pierwotnego muru zburzony na zachodzie podczas tego samego trzęsienia ziemi, które zniszczyło Krete. Ajakos naprawił wyrwę, którą Trojanie nazywają teraz Zachodnią Kurtyną. Jest długa na prawie pięćset kroków i zbudowana z grubo ciosanych kamieni. Ma wiele krawędzi i szczelin dla bosaków. Bramy są tylko trzy: jedna – blisko Zachodniej Kurtyny, zwana Skajską, druga – po

stronie południowej, zwana Dardańska, i trzecia – na północnym wschodzie, zwana Idyjską. Pozostałe wejścia to łatwe do upilnowania przesmyki, przez które można przejść tylko pojedynczo. Bramy natomiast są masywne. Wysokie na dwadzieścia łokci, zakotwiczone do górnych ścieżek, które biegną nad całym zewnętrznymi murami. Dzięki temu możliwe jest szybkie przegrupowanie wojsk z jednego odcinka obwarowań na drugi. Bramy zbudowane są z pali, wzmocnione płytami i gwoźdźmi z brązu. Żaden taran nie jest wystarczająco duży, by je wyważyć. Jeśli te bramy nie będą otwarte, Agamemnonie, będziesz potrzebował cudu, żeby wejść do Troi.

No cóż, Odyseusz zawsze był pesymistą.

– Nie sądzę, żeby wytrzymały tak silny napór jak nasz. Naprawdę, nie sądzę.

Palamedes przyglądał się zawartości swego kielicha z winem i nie odezwał się ani słowem. Nestor był podobnie nastawiony. Odyseusz kontynuował.

– Agamemnonie – powiedział szczerze – przy zamkniętych bramach Troja ma dość ludzi, żeby nas odeprzeć. Szturm można przypuścić tylko w jednym miejscu – na Zachodnią Kurtynę. Lecz ona ma zaledwie pięćset kroków długości. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi obsiadzie ją jak muchy kawałek padliny. Uwierz mi, nie wpuszczą cię przez całe lata! Wszystko zależy od tego, czy uwierzyli, że nadal jesteście w domu, w Grecji. Wystarczy, że jakaś łódź rybacka zapuści się na tę stronę Tenedos, i jesteście zdemaskowani. Sądzę, że będziesz musiał zaplanować długą kampanię. – Jego oczy zabłyśły. – Mógłbyś oczywiście zdusić ich głodem.

Nestor sapnął z gniewu.

– Odyseuszu, Odyseuszu! Znowu zaczynasz! Zostaniemy przeklęci i porażeni natychmiastowym szaleństwem!

Zmarszczył swoje rude brwi, niepokorny jak zawsze.

– Wiem, Nestorze. O ile jednak mi wiadomo, wszystkie reguły wojny działają na korzyść wroga. Wielka szkoda. Zagłodzenie przyniosłoby rezultat.

Nagle zmęczony, wstałem.

– Biada rasie ludzkiej, Odyseuszu, gdy zapanują twoje rozkazy. Idźcie do łóżek. Rano zamierzam zwołać radę generalną. Nazajutrz o świcie ruszamy.

Kiedy wychodzili, Odyseusz odwrócił się.

– Co z Filoktetem?

– Machaon twierdzi, że nie ma dla niego nadziei.

– Przykro mi to słyszeć. Co z nim zrobimy?

– A co można zrobić? Będzie musiał tu zostać. Byłoby straszną głupotą zabierać go do obozowiska.

– Zgadza się, że nie może iść z nami, ale nie możemy go też tu zostawić. Kiedy pokażemy plecy mieszkańcom Tenedos, podetną mu gardło. Wyślij go na Lesbos. Tam żyją bardziej cywilizowani ludzie, nie zabijają chorych.

– Nie przeżyje podróży – zaprotestował Nestor.

– To najmniejsze ryzyko.

– Masz rację, Odyseuszu – rzekłem. – Niech płynie na Lesbos.

– Dziękuję. Tego człowieka warto ratować za każdą cenę. – Odyseusz spojrzał nagle raźniej. – Powiem mu o tym od razu.

– Nie zrozumie cię. Od trzech dni jest w śpiączce – rzekłem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

OPOWIEŚĆ ACHILLESA

Kalchas ogłosił kolejne proroctwo. Pod jego wpływem Agamemnon zmienił zdanie. Nie miał już ochoty być pierwszym królem, który postawi stopę na trojańskiej ziemi. Pierwszy król, który to zrobi, zginie na samym początku bitwy. Spojrzałem na Patroklesa i wzruszyłem ramionami. Skoro bogowie i tak już mnie skazali, to co za różnica? Tam znajduje się chwała.

Otrzymaliśmy rozkazy wypłynięcia i lądowania. Każdy z wodzów wiedział, w jakiej kolejności ma przybić do brzegu i wysadzić ludzi. Staliśmy z Patroklesem na dziobie mojego statku flagowego i obserwowaliśmy płynące przed nami okręty – o wiele mniej liczne niż te za nami, ponieważ my, mieszkańcy Jolkos, znajdowaliśmy się w czołówce. Po naszej lewej płynął okręt flagowy Agamemnona z jego olbrzymim mykeńskim konwojem. Po prawej mknęły statki jednego z królów podległych mojemu ojcu – Jolaosa z Filake. Potem płynąłem ja, za mną Ajaks i cała reszta.

Przed wyruszeniem Agamemnon wyjaśnił, że nie spodziewa się, aby czekali na nas uzbrojeni ludzie. Sądził, że przystąpi do oblężenia miasta, nie napotykając w porcie na opór przeciwnika.

Tego dnia jednak bogowie nie byli z nami. W chwili, gdy siedem statków Agamemnona okrążyło przylądek Tenedos, wielkie fale dymu wzniosły się nad cyplem wysuniętym przed Sigios. Wiedzieli już, że ukrywamy się nieopodal, i czekali na nas.

Mieliśmy rozkaz wziąć Sigios, a potem natychmiast zaatakować miasto. Kiedy mój okręt wpłynął do cieśniny, na plaży zobaczyłem szeregi trojańskich żołnierzy.

Nawet wiatr był przeciw nam. Musieliśmy zwinąć żagle

i chwycić za wiosła. Oznaczało to, że połowa wojsk będzie zmęczona, co utrudni potem walkę. Na dokładkę, prąd wypływający z Hellespontu sięgał w głąb otwartego morza i również był nam przeciwny. Cały ranek wiosłowaliśmy, aby przebyć krótki odcinek do lądu.

Uśmiechnąłem się kwaśno, zauważywszy, że zmieniono rozkaz o pierwszeństwie. Teraz przed Agamemnonem, na czele swych czterdziestu okrętów, płynął Jolaos z Filake. Potężna flota arcykróla zaś znalazła się po lewej. Zastanawiałem się, czy Jolaos przeklinał swój los, czy go błogosławił...

Miał przybić do brzegu pierwszy, czyli ten, który – jak przepowiedział Kalchas – musiał zginąć.

Honor dyktował, abym zmusił swoich wiosłarzy do większego wysiłku. Rozsądek jednak nakazywał, by dać Myrmidonom trochę oddechu przed bitwą.

– Nie dogonisz Jolaosa – powiedział Patrokles, czytając w mych myślach. – Co ma być, to będzie.

To nie była moja pierwsza wojenna wyprawa. Po latach spędzonych u Chirona, odkąd zszedłem z góry Pelion, walczyłem u boku swego ojca. Jednak żadna z tamtych bitew nie mogła się równać z tą, która czekała nas na plaży Sigios. Trojanie stali w niezliczonych szeregach, tysiące za tysiącami, a kilka statków, które jeszcze wczoraj znajdowały się na plaży, wciągnięto za wioskę, w głąb lądu.

Kiedy dotknąłem ramienia Patroklesa, poczułem, że drży. Sprawdziłem swoje dłonie – były spokojne.

– Patroklesie, idź na burzę i krzyknij do Automedona, żeby jego sternik trzymał okręt tuż za nami. Niech to przekażą dalej pozostałym naszym okrętom i całej reszcie. Przybijając do brzegu, będziemy musieli tak się ustawiać, by dzioby nie rozbijały sąsiednich kadłubów. Niech Automedon przeprowadzi swych ludzi

na plażę przez mój pokład. Reszta niech zrobi to samo. Inaczej nie wysadzimy na brzeg wystarczającej liczby żołnierzy, żeby uniknąć masakry.

Popędził przez śródokręcie na rufę. Zwinawszy dłonie w trąbkę, przekazał rozkaz czujnemu Automedonowi, którego zbroja błysnęła w słońcu, kiedy odkrzykiwał odpowiedź. Potem widziałem, jak zbliżając się do nas, ustawia swój okręt od strony wiosł, równoległe do naszego. Pozostałe statki robiły to samo. Zmienialiśmy się w pływający most. Moi ludzie wstali od wiosł i zaczęli zakładać zbroje. Teraz już sama siła rozpędu pchała nas do brzegu. Przedemną było dziesięć statków, a pierwszy z nich należał do Jolaosa.

Zarył dziobem w kamyki i zatrzymał się z drżeniem. Jolaos z łukiem w dłoni zawahał się, po czym wydał wojenny okrzyk Filake i popędził na śródokręcie. Po chwili był już za burta. Za nim ruszyli jego ludzie, głośno podejmując wojenną pieśń. Mimo ogromnej przewagi liczebnej wroga udało im się poczynić niewielkie spustoszenia. Nagle jakiś potężny wojownik w złotej zbroi ciał Jolaosa toporem aż po same żebra.

Na plażę dobijali już inni. Po swej lewej ręce widziałem okręty, z których ludzie, nie czekając na drabiny, zeskakiwali wprost w kotłowaninę. Zawiązałem rzemień pod hełmem, wpiąłem złote pióro, naprężyłem się, aby naciągnąć swój pozłacany pancerz, i w obie dłonie chwyciłem topór. Była to wspaniała broń – łup Minosa zdobyty w jakiejś zagranicznej kampanii – o wiele większa i cięższa od kreteńskiej. O nogi objął mi się miecz. Nie wziąłem tylko Starego Peliona. W walce wręcz nie zdałby się na nic. Tu było zadanie dla topora, a moje ramiona potrafiły wywijać nim przez cały dzień bez zmęczenia. Tylko ja i Ajaks używaliśmy takich w walce. Odpowiednio duże, były skuteczniejsze od miecza, ale zbyt ciężkie dla zwykłego mężczyzny. Nic dziwnego, że zapragnąłem zmierzyć się z gigantem w złotej zbroi, który dopiero co zabił Jolaosa.

Pragnąc dostać się na brzeg i obserwując otoczenie,

zapomniałem o wszystkim, co jeszcze niedawno przechodziło mi przez głowę. Kiedy byłem już na dole drabiny, nastąpił wstrząs, z powodu którego prawie straciłem równowagę. To statek Automedona uderzył w mój. Jego ludzie już przelewali się przez nasz pokład. Niczym rozpieszczona małpka jakiejś kreteńskiej damy, podskoczyłem do dziobu i zawisłem tam, spoglądając w dół na gmatwaninę ludzi. Z trudem potrafiłem odróżnić przyjaciół od wrogów. Konieczne jednak było, by nie stracili mnie z widoku ludzie napływający z okrętu Alkimosa, którzy już przechodzili przez pokład Automedona, oraz inni wojownicy. Mój statek coraz słabiej reagował na uderzenia kolejnych łodzi.

Wtedy machnąłem swoim toporem nad głową, wydałem przenikliwy okrzyk wojenny Myrmidonów i skoczyłem z dziobu w dół na kotłujące się mrowie głów. Szczęście było ze mną – pod moimi piętami pękła czaszka Trojanina. Spadłem na niego, nie wypuściwszy topora z dłoni. Tarcza została na górze. Za bardzo przeszkadzałaby w walce. W jednej chwili stałem już na nogach. Ze wszystkich sił wydałem okrzyk bitewny, który natychmiast podchwycili moi ludzie. Całe powietrze zadrżało od przenikliwego zawołania Myrmidonów. Trojanie na szczycie hełmów nosili purpurowe pióra, to dobrze. Purpura u Greków była zakazana, rezerwowana tylko dla arcykrólów – i Kalchasa.

Wpatrywało się we mnie tuzin par oczu, tuzin mieczy wyciągnęło się ku mnie groźnie. Ja jednak uniosłem topór i ciąłem nim z taką siłą, że rozdzieliłem jakiegoś człowieka na dwoje, od głowy po krocze. To ich zatrzymało. Dobra rada mojego ojca, dawał ją każdemu Myrmidonowi – widok okrucieństwa w walce wręcz zmusza do instynktownego cofnięcia się. Ponownie użyłem topora, tym razem ruchem kolistym niczym szprycha w kole, a ci, którzy byli na tyle głupi, aby próbować mnie dosięgnąć, poczuli, jak jego ostrze tnie ich brzuchy przez zbroje z brązu. Trojanie nie nosili skór! Mieli monopol na brąz. Jakże bogata musiała być ta Troja!

Za mną, trzymając tarczę, by osłaniać mi plecy, postępował Patrokles. Z okrętów napływało mrowie Myrmidonów. Stary zespół w akcji. Posuwałem się naprzód, łamiąc przed sobą szyki toporem niczym różdżką kapłana. Ścinałem każdego, kto nosił purpurowe pióro. Nie było lepszego sprawdzianu siły nad prawdziwą bitwę. Nie miałem czasu ani miejsca, by szukać księcia czy króla. Wrogich wojsk nie dzieliła żadna przestrzeń. Wokół kotłowali się wojownicy różnej rangi, walcząc pierś w pierś. Kiedyś złożyłem ślub, że będę liczył tych, których zabijam. Teraz jednak byłem zbyt rozochocony, by liczyć, zbyt upojony nieoczekiwanym darem miękkich ciał, gryzionych ostrzem topora z brązu.

Nic dla mnie nie istniało – prócz krwi i przerażonych twarzy. Waleczni żołnierze próbowali odparować mieczami cios mojego topora – i ginęli. Tchórze przyjmowali swój los z głupim strachem. Byli gorsi od tych, którzy pokazywali tył i próbowali uciekać. Czuję się niepokonany. Wiedziałem, że nikt na tym polu nie jest w stanie mnie zwyciężyć. I czerpałem radość z widoku szerokich ran na twarzach spływających krwią. Żądza krwi przeniknęła mnie do samego rdzenia. Opanowało mnie szaleństwo, gdy zbierałem plon z piersi, brzuchów i głów. Topór ociekał krwią – krew spływała po trzonku i wsiąkała w szorstkie włókna sznura, którym był obwiązany, by nie wyslizgiwał się z ręki. Zapomniałem o wszystkim. Pragnąłem jedynie widzieć purpurowe pióra zabarwiające się na czerwono. Gdyby ktoś włożył trojański hełm na moją głowę i zwrócił mnie przeciw moim własnym ludziom, zabijałbym ich tak samo. Dobro i zło przestało istnieć, pozostała jedynie żądza mordy. Do tego celu wychowywano mnie przez całe życie. Jako śmiertelnik mogłem być tylko tym, kim właśnie byłem – doskonałą maszyną do zabijania.

Przybiliśmy na ziemię Sigios, aby pod obcasem naszego buta zamieniła się w proch, a ona uniosła się wysoko ponad nasze głowy, aż po samo sklepienie nieba. Choć w późniejszych bitwach zachowywałem się bardziej rozsądnie i starałem się nie zapominać

o swoich ludziach, teraz w ogóle nie przejmowałem się ich losem. Nie dbałem nawet o to, kto zwycięża, a kto przegrywa, dopóki sam wygrywałem. Gdyby obok mnie walczył Agamemnon, nie zauważyłbym go. Nawet Patrokles nie przeniknął przez mój zapał, choć tylko dzięki niemu przeżyłem, ponieważ nie dopuszczał Trojan do moich pleców.

Nagle na mojej drodze ktoś postawił tarczę. Uderzyłem w nią z całej siły, by dotrzeć do twarzy, która się za nią kryła. Przeciwnik niczym strzała uskoczył w bok, a jego miecz minął o włos moją prawą rękę. Sapnąłem, jakbym wpadł do lodowatej wody. Ale już po chwili zadrzałem z radości. Wróg obniżył tarczę, by mi się przyjrzeć. Nareszcie książę! Cały wystrojony w złoto. Topór, którego użył, zabijając Jolaosa, zniknął, zastąpił go długi miecz. Mruknawszy z zadowolenia, z ochotą przyjąłem jego wyzwanie.

Niezwykle potężny mężczyzna. Wyglądał na takiego, który w bitwie się wyróżnia. I był pierwszym, który ośmielił się stawić mi czoło. Zaczęliśmy okrażać się ostrożnie. Ciągnąłem topór po ziemi za ramię, czekając, aż przeciwnik się odkryje. Skoczyłem, obracając się. Dał nura w bok, jednak ja również byłem szybki. Uniknąłem ciosu jego miecza równie łatwo, jak on mojego topora. Zrozumiawszy, że obaj trafiliśmy na godnego przeciwnika, przygotowaliśmy się do pojedynku powoli i cierpliwie. Topór dzwonił o pozłacaną tarczę. Każdy cios został odparowany. Żaden z nas nie mógł zranić drugiego. Obaj spostrzegliśmy, że żołnierze, Trojanie i Grecy, cofnęli się, robiąc nam miejsce.

Ilekcroć nie trafiałem do celu, śmiał się, choć w czterech miejscach jego pozłacana tarcza zarysowała się, odsłaniając brąz oraz wewnętrzną warstwę cyny. Musiałem zdusić w sobie narastającą furję. Jak śmiał żartować sobie ze mnie?! Pojedynki były święte, nie wolno było ich profanować śmiechem. Wściekało mnie, że on nie potrafił tego uszanować. Raz za razem wykonałem dwa potężne cięcia, ale chybiłem. Wtedy on przemówił.

– Jak masz na imię, niezdaro? – spytał ze śmiechem.

– Achilles – rzuciłem przez zęby.

Roześmiał się jeszcze głośniej.

– Nigdy o tobie nie słyszałem, niezdaro! Ja jestem Kyknos, syn Posejdona z Głębin.

– Wszyscy martwi ludzie tak samo cuchną, synu Posejdona, czy są dziećmi bogów czy ludzi! – zawołałem.

Te słowa wzbudziły tylko dalszy śmiech.

Ogarnął mnie ten sam szal jak wtedy, gdy zobaczyłem na ołtarzu martwą Ifigenię. Zapomniałem o wszystkich zasadach walki, których nauczył mnie Chiron i mój ojciec. Rzuciłem się na niego z wrzaskiem. Mój topór wzniósł się nad jego miecz. Skoczył do tyłu i zachwiał się. Miecz wypadł mu z ręki. Połamałem go na sto kawałków. Teraz przyszła kolej na tarczę, węższą pośrodku, wielkości człowieka, która zakrywała jego plecy. Odwrócił się i zaczął uciekać, przepychając się przez żołnierzy trojańskich w dzikiej desperacji. Zawołał o włócznię. Ktoś włożył mu broń do ręki, ale ja byłem zbyt blisko, by mógł jej użyć. Uciekał więc dalej.

Zanurkowałem za nim między szeregi Trojan. Żaden z nich nie śmiał zadać mi ciosu. Czy to dlatego, że byli zbyt przerażeni, czy może respektowali reguły pojedynku – nie wiem. Tłum kurczył się, aż pole bitwy znalazło się za nami. W końcu wyłoniła się skalna ściana, zmuszając Kyknosa, syna Posejdona, by się zatrzymał. Włócznia kreśliła leniwe kręgi. Odwrócił się do mnie. Ja również się zatrzymałem, czekając, aż nią rzuci, ale on wolał posługiwać się nią jak lancą. Mądre, ponieważ ja miałem topór i miecz.

Kiedy skoczył do przodu, zrobiłem unik. Co jakiś czas pchał dzidą w moją pierś, ale byłem młody i szybki, jakbym w istocie był o wiele lżejszy. Nagle dostrzegłem swoją szansę. Skoczyłem i przełamałem dzidę na pół. Pozostał mu już tylko sztylet. Nie

zrezygnował i sięgnął po niego.

Nigdy tak bardzo nie pragnąłem niczyjej śmierci jak śmierci tego bufona. Lecz chciałem zadać mu ją czysto. Odrzuciłem topór i odpiąłem ciężką pochwę z mieczem. Wyciągnąłem sztylet. Rozbawienie zniknęło z jego twarzy. Wreszcie poczuł do mnie szacunek, który przysiągłem sobie z niego wycisnąć. Nadal jednak pozwalał sobie na rozmowy!

– Jak masz na imię, niezdaro? Achilles?

Skreślił mnie wewnętrzny ból. Nie zdobyłem się na odpowiedź. Nie był zbyt blisko z bogami, skoro nie rozumiał, że pojedynek dwóch mężczyzn, królewskich krewniaków, powinien być święty i przebiegać w milczeniu.

Skoczyłem na niego i powaliłem go silnym ciosem, nim zdążył wyciągnąć sztylet. Starał się podnieść i zaczął się cofać, aż natrafił piętami na skalisty klif. Doskonale. Jedną ręką chwyciłem go pod brodę, a drugą uderzyłem w twarz niczym młotem, rozgniatając mu ją na miazgę. Połamałem mu kości, nie zważając na to, że sobie też robię krzywdę. Jego hełm odpiął się. Chwyciłem za długie, zwisające rzemyki i zacząłem je zaciskać mu pod szczęką. Owinałem je wokół szyi, napierałem kolanem na brzuch. Zaciskałem rzemyki tak długo, aż twarz mu pociemniała, a oczy wyszły z orbit, zmieniając się w przerażone kule czerwieni.

Gdy go wreszcie puściłem, nie żył już chyba od dłuższej chwili. Spojrzałem na coś, co teraz przypominało raczej przedmiot niż człowieka. Gdy pojałem, jak ogromna jest we mnie żądza zabijania, zrobiło mi się niedobrze. Zdusiłem jednak tę słabość i wsadziłem sobie Kyknosa na ramiona. Zamocowałem jego tarczę na własnych plecach, by mnie chroniła w powrotnej drodze przez szeregi Trojan. Chciałem, by moi Myrmidoni i reszta Greków ujrzeli, że go nie zgubiłem ani nie przegrałem walki.

Naprzeciw mnie wyszedł mały oddział prowadzony przez

Patroklesa. Wróciliśmy na pozycje bez przeszkód. Zatrzymałem się na chwilę, aby rzucić Kyknosa pod stopy jego ludziom. Jego napuchnięty język był nadal wywalony z sinych warg pod wytrzeszczonymi oczami.

– Nazywam się Achilles – wrzasnąłem.

Trojanie uciekli. Kyknos, człowiek, którego uważali za nieśmiertelnego, niczym nie różnił się od nich.

Nastąpił teraz zwykły rytuał zakończenia pojedynku między członkami królewskich rodów. Zdarłem z niego zbroję jako łup. Zwłoki rzuciłem do szybu na śmieci w Sigios, gdzie zjedzą je bezdomne psy. Przedtem jednak odciąłem głowę i zatknąłem na włóczni – dziwną zjawę z upiorną twarzą i pięknymi, złotymi warkoczami włosów. Dałem ją Patroklesowi, który drzewce wkopał w ziemię niczym sztandar.

Nagle cała trojańska siła załamała się. Ponieważ wiedzieli, któredy uciekać, bez trudu nas wyprzedzili. Ich odwrót był dość zdyscyplinowany. Pole i Sigios należały do nas.

Agamemnon zarządził przerwanie pościgu. Nie chciałem usłuchać tego rozkazu. Jednak Odyseusz, gdy go mijałem, chwycił mnie za ramię i szorstko zawrócił. Był silny! O wiele silniejszy, niżby się zdawało.

– Zostaw ich, Achillesie – powiedział. – I tak zamkną bramy. Siły i ludzi oszczędzaj na wypadek, gdyby jutro zaatakowali nas Trojanie. Mamy jeszcze sporo do zrobienia przed zapadnięciem zmroku.

Dostrzegłszy sens w tym, co mówił, zawróciłem z nim na plażę. Jak zawsze u mego boku był Patrokles, a za nami podążali Myrmidoni, śpiewając pieśń zwycięstwa. Zignorowaliśmy domy. Nawet gdyby były w nich kobiety, nie interesowały nas. Na skraju plaży zatrzymaliśmy się ze zgrozą. Wszędzie leżały rozciągnięte ciała ludzkie. Z wszystkich stron słychać było krzyki, wrzaski, jęki,

blągania o pomoc. Niektóre ciała się poruszały, inne leżały nieruchomo, a ich cienie uciekły w mroczne pustkowia Królestwa Ciemności, królestwa Hadesa.

Odyseusz i Agamemnon stanęli z boku. Żołnierze wsiadali z powrotem na statki, uwalniali te, które dziobami zaryły w bok albo rufę innych. Plaża pustoszała, ludzie przenosili się na pokłady. Zewnętrzne szeregi okrętów pomału ruszały. Spojrzałem w górę i spostrzegłem, że słońce jest już nisko. Pozostało nam niewiele dnia. Wydawało mi się, że ze zmęczenia ciężą mi kości, nie mogłem podnieść ręki, a topór ciągnąłem za ramię po ziemi. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to podejść do Agamemnona. Spojrzał na mnie zmęczony. Widać było, że on też nie unikał walki. Jego napierśnik i twarz były usmarowane krwią i brudem. Po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłem, że Odyseusz przedstawiał dziwny widok. Jego pancerz rozszczepił się na dwoje. Przez szczelinę widać było nagą pierś, ale na skórze nie było śladu zadrapania.

– Czyżbyś kąpał się we krwi, Achillesie? – spytał arcykról. – Jesteś ranny?

Pokręciłem niemo głową. Zaczynała się reakcja na wcześniejszą burzę emocji. To, czego się o sobie dowiedziałem, groziło, że córki Kory na stałe zamieszkają w mym umyśle. Czy można żyć z takim brzemieniem i nie oszaleć? Potem pomyślałem o Ifigenii i zrozumiałem – dalsze życie będzie częścią mojej pokuty.

– Zatem ten człowiek z toporem to byłeś ty! – mówił Agamemnon. – Myślałem, że to Ajaks. Należą ci się podziękowania. Kiedy przyniosłeś ciało mężczyzny, który zabił Jolaosa, Trojanie zupełnie stracili ducha.

– Wątpię, żebym to ja sprawił – zmusiłem się do odpowiedzi. – Trojanie mieli już dość, a my bez końca posyłaliśmy na ląd nowych ludzi. Kyknos był dla mnie sprawą osobistą. Kpił z mojego honoru.

Odyseusz ponownie chwycił mnie za ramię, tym razem jednak

łagodnie.

– Tam czeka twój statek, Achillesie. Wejdź na pokład, zanim odpłynie.

– Dokąd? – spytałem bezbarwnie.

– Nie wiem. Wiem tylko, że tu nie możemy zostać. Niechaj Troja sama sobie radzi z trupami. Telefos mówi, że nieopodal, za załamaniem brzegu Hellespontu, jest plaża w lagunie. Zamierzamy się jej przyjrzeć.

W końcu większość królów popłynęła na okręcie Agamemnona. Kierując się na północ wzdłuż wybrzeża, dopłynęliśmy do ujścia Hellespontu. Pierwsze greckie okręty ze zbuntowanego pokolenia miały teraz wkroczyć na jego wody. Zaledwie o milę czy dwie za wzgórzami, które opadały ku wodzie, znajdowała się plaża o wiele dłuższa i szersza od tej w Sigios. Miała przeszło milę. Na każdym jej końcu do morza wpływała rzeka. Ich piaszczyste brzegi tworzyły prawie zamkniętą lagunę. Jedyńm wejściem do słonego jeziora był pośrodku wąski przesmyk. Woda w lagunie była spokojna i martwa. Przeciwległe brzegi każdej z rzek tworzyły wysokie cyple. Na szczycie cypla większej i brudniejszej rzeki znajdowała się forteca, obecnie opuszczona, której garnizon bez wątpienia uciekł do Troi. Nikt z niej nie wyszedł, by obserwować, jak okręt flagowy Agamemnona wpływa do laguny. Wszystkie statki służące do pobierania cła były wciągnięte na brzeg.

Staliśmy przy balustradzie, gdy Agamemnon zwrócił się do Nestora.

– Czy to dobre miejsce? – spytał.

– Dla mojego nie wyćwiczonego oka wygląda wspaniale, ale zapytaj Feniksa.

– To bardzo dobre miejsce, panie – wtrąciłem się nieśmiało. – Gdyby próbowali nas tutaj najechać, będą mieli bardzo trudne

zadanie. Rzeki sprawiają, że nie będą mogli nas otoczyć. Ale ci, którzy rozbijają się nad ich brzegiem, będą najbardziej narażeni na atak.

– Zatem, kto na ochotnika wprowadzi swoje statki w dół rzek? – spytał arcykról. A potem dodał odrobinę zawstydzony: – Moje powinny być pośrodku zatoki, żeby był do nich łatwy dostęp, chyba rozumiecie.

– Ja biorę większą rzekę – powiedziałem szybko – i otoczę swój obóz palisadą na wypadek ataku. Twierdza wewnątrz twierdzy.

Arcykról zmarszczył brwi.

– Brzmi to tak, jakbyś uważał, że przyjdzie nam tu spędzić trochę czasu, synu Peleusa.

Zajrzałem mu w oczy.

– Bo tak będzie, panie. Pogódź się z tym.

On jednak nie miał takiego zamiaru. Zaczął wydawać rozkazy dotyczące tego, kto i gdzie ma umieścić swoje okręty, podkreślając tymczasowość sytuacji.

Okręt flagowy pozostał pośrodku laguny. Resztę statków, jeden po drugim, ustawiano wolno w szeregi. Przed zapadnięciem zmroku nawet jednej trzeciej nie osadzono na brzegu. Moje okręty nadal pozostawały na otwartym Hellesponcie, podobnie jak te, które należały do Ajaksa, Małego Ajaksa, Odyseusza i Diomedesa. Mieliśmy być ostatni z wszystkich. Na szczęście utrzymywała się dobra pogoda i na Hellesponcie nie było fal.

Kiedy słońce umarło w morzu za moimi plecami, jeszcze raz na chłodno przyjrzałem się temu miejscu. Byłem zadowolony. Obóz wyposażony w solidny, dobry wał obronny za rzędami statków, mógł być prawie tak samo nie do zdobycia jak Troja. Twierdza wznosiła się teraz wysoko niczym góra na wschodzie, bliżej nas niż z Sigios. Wał obronny będzie niezbędny. Agamemnon się mylił. Troja nie

padnie jednego dnia, podobnie jak jednego dnia jej nie zbudowano.

Kiedy już wszystkie statki znalazły się na plaży – ustawiono je w czterech rzędach – a pod kadłuby wbito kliny i zdjęto maszty, pochowaliśmy króla Jolaosa z Filake. Ciało przeniesiono z jego okrętu i położono na wysokim katafalku, na szczycie trawiastego pagórka. Następnie przeszli przed nim w procesji wszyscy Grecy. Kapłani śpiewali pieśni, a królowie złożyli libacje. Moim obowiązkiem jako zwycięzcy jego zabójcy było wygłoszenie mowy pogrzebowej. Opowiedziałem milczącym zastępom, jak spokojnie przyjął swój los, jak dzielnie walczył przed śmiercią. Obwieściłem, że zabił go syn Posejdona. Potem zaproponowałem, aby jego odwagę opisano w peanie pochwalnym i poprosiłem Agamemnona, aby nadał mu nowe imię. Protesilaos, to znaczy „pierwszy spośród ludu”.

Wyrażono uroczystą zgodę i od tej chwili ludzie z Filake nazywali go Protesilaosem. Kapłani nałożyli na jego uśpioną twarz pośmiertną maskę ze złota i zerwali z niego całun, ukazując jego ciało całe zakute w złoto. Potem złożyli go na barce, którą przeciągnęli na drugi brzeg większej rzeki. Od wczoraj pracowali tam kamieniarze, drążąc dla niego grób w skale. Śmiertelny pojazd wtoczono do środka, grób zamknięto i zasypano go głazami i ziemią. Za rok czy dwa żadne, nawet najbardziej bystre oko nie wyśledzi, gdzie pochowano króla Protesilaosa.

Wypełnił prorocstwo, a jego lud był z niego dumny.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

OPOWIEŚĆ ODYSEUSZA

Osadzanie na plaży prawie tysiąca stu statków pochłaniało mój czas i siły przez kilka następnych dni. Liczba okrętów trochę zmalała, ponieważ niektórych z najuboższych zalotników Heleny nie było stać na tak dobre statki jak Agamemnona. Kilka ich tuzinów zatonoło, podziurawionych w szaleńczym pośpiechu wysadzania ludzi na plażę w Sigios. Nie straciliśmy jednak żadnego ze statków zaopatrzeniowych ani tych z końmi i rydwanami.

Ku memu zdziwieniu Trojanie nie zapuścili się pod nasze rosnące jak grzyby po deszczu obozowisko. Fakt ten Agamemnon zinterpretował jako niechybną oznakę tego, że ich opór się skończył. Kiedy wciągnięto na brzeg całą flotę i zabezpieczono kadłuby, by nie popękały, nasz arcykról zwołał naradę. Dumny ze swego sukcesu w Sigios, postępował w sposób, który według mnie wkrótce miał odsłonić jego małość. Nie przeszkadzałem mu, zastanawiając się jednocześnie, kto zakwestionuje jego butne decyzje. Zgodnie ze swym przywilejem, przemawiał wśród milczenia, ale laszkę debaty oddał Nestorowi (Kalchasa nie było, nie wiem dlaczego), dopiero gdy zażądał tego Achilles.

No tak, oczywiście Achilles. Uśmiechnąłem się. Król Lew przełknął duży kawałek chłopaka z Jolkos, lecz z chmur zbierających się na jego czole domyśliłem się, że odczuwa ostrą niestrawność. Czy przedsięwzięcie tak odważne i śmiałe mogło mieć gorszy początek od naszego? Burze i ludzkie cierpienie, zazdrość i żądza, żadnej miłości wśród tych, którzy wkrótce będą się nawzajem potrzebować. I co takiego napadło Agamemnona, by jako strażnika Klitajmestry posyłać do Myken swego kuzyna Egista? Postępek ten uznałem za równie beztroski jak wypłynięcie

Menelaosa na Krete, podczas gdy Parys został w jego domu. Egist przecież miał pełne prawo ubiegać się o tron! Problem polegał chyba na tym, że synowie Atreusza zapomnieli, co ich ojciec uczynił z synami Tyestesosa. Ugotował ich i podał Tyestesosowi podczas uczyty do zjedzenia. Najmłodszy, Egist, uniknął losu starszych braci. No cóż, to nie mój problem. Najgorsze, że ryna między Agamemnonem a Achillesem coraz bardziej się pogłębiała.

Gdyby Achilles był tylko maszyną do zabijania, jak jego kuzyn Ajaks, ryna ta nigdy by się nie pojawiła. Ale Achilles był myślicielem, który także wyróżniał się w walce. Uśmiech zniknął z moich ust, kiedy uświadomiłem sobie, że gdybym się urodził z warunkami fizycznymi tego młodzieńca i jego majątkiem, a przy tym zachował swój rozum, mógłbym podbić cały świat.

Choć ja miałem przynajmniej silniejszą nić życia. I prawdopodobnie dożyję chwili, gdy bezustą twarz Achillesa przykryją bezustą maską ze złota. Jednakże z nim była sława, która nigdy do mnie należeć nie będzie. Poczulem coś podobnego do żalu, zrozumiawszy, że Achilles posiadał klucz do sensu życia, który mi zawsze wymykał się z ręki. Czy to dobrze być takim obojętnym, takim chłodnym? Och, żeby choć raz się rozpalić! Zapragnałem tego równie silnie, jak Diomedes tęsknił za tym, by ochłonać.

– Wątpię, panie – powiedział syn Peleusa opanowanym głosem – aby udało nam się wziąć Troję, jeśli Trojanie nie wyjdą do walki na zewnątrz. Widzę na odległość lepiej niż inni i przyjrzałem się tym murom, które ty uważasz za przechwalone. Myślę, że ich nie doceniamy. Jedynym sposobem, abyśmy mogli zgnieść Troję, jest wywabienie Trojan i pokonanie ich na otwartym polu. A to nie będzie łatwe. Musielibyśmy także ich otoczyć, aby nie pozwolić im wrócić do środka, gdyż z pewnością następnego dnia by już nie wyszli. Nie sądzisz, że rozsądnie byłoby o tym porozmawiać? Może moglibyśmy wymyślić jakąś sztuczkę, by ich wywabić.

Zaśmiałem się.

– Achillesie, gdybyś siedział wewnątrz murów tak grubych i wysokich jak trojańskie, wychodziłbyś na zewnątrz, by walczyć? Ich najlepszą szansą był atak w Sigios, gdy my dopiero lądowaliśmy. A jednak nie zdołali nas pokonać. Gdybym był Priamem, trzymałbym wojsko w murach i pozwalał im grać nam na nosie.

Nie zdenerwował się.

– Odyseuszu, wiem, że to nikła nadzieja. Lecz nie widzę sposobu, w jaki moglibyśmy sforsować te mury lub wyważyć bramy. A ty widzisz?

Zrobiłem minę.

– Och, ja milczę! Już o tym wspominałem. Więcej powiem o tym znowu, gdy znajdą się uszy skłonne mnie wysłuchać. Ale nie wcześniej.

– Moje uszy są gotowe cię wysłuchać – odparł szybko.

– Twoje uszy, Achillesie, nie są dość znakomite.

Nawet taki mały żart nie spodobał się Agamemnonowi. Pochylił się do przodu.

– Troja nam się nie oprze! – zawołał.

– Zatem, panie – nalegał Achilles – jeśli jutro nie będzie wojsk trojańskich na polu, czy moglibyśmy udać się do podnóża murów, aby im się bliżej przyjrzeć?

– Oczywiście – odparł arcykról wyniośle.

Spotkanie skończyło się bez dalszych ustaleń, z wyjątkiem planu wyruszenia pod mury. Kiwnąłem głową na Diomedesa. Krótco potem przyszedł do mojego namiotu. Dopiero gdy nalano wina i słudzy zniknęli, dał wyraz ciekawości. Diomedes uczył się opanowania.

– O co chodzi? – spytał niecierpliwie.

– Czy musi o coś chodzić? Cieszę się twoim towarzystwem.

– Nie pytam o naszą przyjaźń. Pytam o spojrzenie na twojej twarzy, kiedy dawałeś mi znak. Co się dzieje?

– Och, zaczynasz poznawać moje drobne zwyczaje.

– Być może mój umysł jest zbyt nawykły do wojny, ale nadal potrafi odróżnić zapachy żonkila i zwłok.

– Zatem nazwij to prywatną naradą, Diomedesie. Z nas wszystkich ty znasz się na wojnie najlepiej. Powinieneś wiedzieć, jak wziąć tę fortecę. Podbiłeś Teby i zbudowałeś świątynię z czaszek swoich wrogów – na bogów, jaka pasja musiała cię do tego pchnąć!

– Troja to nie Teby – odparł ponuro. – Teby są greckie, należą do naszych zjednoczonych narodów. A tu mamy do czynienia z federacją Azji Mniejszej, do której należy Troja. Babilon i Niniwa niezbyt martwią się o to, co dzieje się nad Morzem Egejskim, a Egipt jest tak daleko, że Ramzesa w ogóle to nie obchodzi. – Przerwał na chwilę. Spojrzał zakłopotany. – Kimże jestem, żeby prawić ci takie wykłady?

– Nie ceń się zbyt nisko. To było cudowne wystąpienie. Chciałbym, by choć kilka na naszej dzisiejszej naradzie było w połowie tak logicznych.

Wziął potężny łyk wina, aby zamaskować rumieniec zadowolenia.

– Wziąłem Teby, tak, ale dopiero po rozstrzygającej bitwie za murami. Wkroczyłem do Teb po ciałach ich ludzi. Achilles miał bardzo podobny pomysł, kiedy mówił o wywabieniu Trojan na zewnątrz. Troja! Garstka kobiet i dzieci może trzymać nas ujadających pod jej bramami przez wieki.

– Wziąć ich głodem – powiedziałem.

Tylko się roześmiał.

– Odyseuszu, jesteś niepoprawny! Wiesz doskonale, że prawo Zeusa Gościnnego tego zabrania. Czy potrafiłbyś stawić czoło Furiom, gdybyś zmusił miasto do uległości głodem?

– Córki Kory nie przerażają mnie. Wiele lat temu stanąłem z nimi oko w oko.

„Czyż to nie kolejny dowód na twoją bezbożność?”, najwyraźniej pytał w duchu. Ale na głos zapytał o coś innego.

– Powiedz więc, do jakiego wniosku doszedłeś?

– Do jednego, jak dotąd. Że ta kampania będzie bardzo długa – potrwa wiele lat. Zatem mając to na uwadze, poczynię pewne przygotowania. Moja wyrocznia przepowiedziała, że nie będzie mnie w domu przez dwadzieścia lat.

– Jak możesz tak bez zastrzeżeń wierzyć zwykłej domowej wyroczni, równocześnie będąc rzecznikiem zagłodzenia?

– Domowa wyrocznia – powiedziałem cierpliwie – należy do Matki. Matki Ziemi. Jest nam bardzo bliska we wszystkich sprawach. Wypycha nas na ten świat i gdy przychodzi nasza kolej, przyzywa nas z powrotem do swojej piersi. Lecz wojna jest domeną mężczyzn. Decyzja, jak prowadzić wojnę, powinna należeć jedynie do mężczyzny. Każde najlichsze prawo, które nią rządzi, według mnie ochrania zawsze drugą stronę. Pewnego dnia mężczyzna tak bardzo zapragnie wygrać wojnę, że podepcze te prawa i potem już wszystko będzie wyglądało inaczej. Zagłodź jedno miasto, aby je podbić, a rozpoczniesz lawinę głodu. Pragnę, Diomedesie, być właśnie takim pierwszym człowiekiem! Nie, nie jestem bezbożnikiem! Po prostu jestem zniecierpliwiony ograniczeniami. Bez wątpienia świat będzie mówił o Achillesie aż do czasów, gdy Kronos powtórnie poślubi Matkę i dni ludzi skończą się. Czy to z mej strony pycha, że chcę, aby świat śpiewał też o Odyseuszu? Nie mam zalet Achillesa – nie jestem potężny fizycznie ani nie jestem synem arcykróla. Muszę pracować za pomocą tego, co mam: sprytu, przebiegłości i podstępu.

To nie są złe narzędzia.

Diomedes przeciągnął się.

– Nie, w istocie. Jakie są twoje plany na tę długą kampanię?

– Zaczynam jutro po naszym powrocie z inspekcji trojańskich murów. Zamierzam z szeregów wielkiej armii wybrać sobie własną, małą.

– Swoją własną armię?

– Tak, tylko moją. Nie zwyczajne wojsko, nie zwykłych żołnierzy. Mam zamiar zarekrutować najgorszych zabijaków, tych, którzy sprawiają kłopoty, i malkontentów.

Popatrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Chyba żartujesz? Kłopotliwych? Malkontentów? Zabijaków? Co to za żołnierze?

– Diomedesie, odłóżmy na moment kwestię tego, czy moja wyrocznia domowa ma rację, mówiąc o dwudziestu latach, czy może rację ma Kalchas, mówiąc o dziesięciu. To i tak bardzo długo. – Odstawiłem kielich z winem i wyprostowałem się. – Podczas krótkiej kampanii oficer potrafi utrzymać kłopotliwych ludzi w ryzach, zabijaków pilnie obserwuje, tak że nie mogą zrobić żadnej krzywdy pozostałym ludziom, a malkontentów oddziela, by nie mieli na nikogo wpływu. W trakcie długiej kampanii często dochodzi do konfliktów. W ciągu dwudziestu czy dziesięciu lat nie będziemy staczać walk codziennie, ani nawet co miesiąc. Nastaną miesiące bezczynności, szczególnie w zimie. Podczas takich okresów ciszy języki narobią tylu szkód, że pomruki niezadowolenia stopniowo zamienią się we wrzaski.

Diomedes popatrzył rozbawiony.

– A co z tchórzami?

– Och, muszę zostawić oficerom trochę niezadowolonych ludzi,

by miał kto kopać latryny.

To go rozśmieszyło.

– Dobrze, zatem będziesz miał swoją małą armię. Co z nią zrobisz?

– Przez cały czas będę utrzymywał ją w ruchu. Będę dawał jej członkom coś do wykonania, w czym zrealizują się ich wątpliwe talenty. Ten gatunek ludzi, o których myślę, to nie tchórze. To ludzie trudni do okiełzania. Kłopotliwi żyją po to, by sprawiać kłopoty. Zabijacy są nieszczęśliwi, jeśli nie narażają czyjś albo swojego życia. Malkontenci mogliby nawet narzekać przed Zeusem na jakość nektaru i ambrozji na Olimpie. Jutro pójdę do wszystkich dowodzących oficerów i poproszę o trzech ich najgorszych ludzi, z wyjątkiem tchórzy. Naturalnie będą zadowoleni, mogąc się ich pozbyć. Kiedy skończę nabór, zagonię ich do pracy.

Choć wiedział, że rozmyślnie go drażnię, Diomedes nie potrafił się opanować i złapał przynętę.

– Jakiej pracy? – spytał.

Nie przestawałem go drażnić.

– Na obrzeżach plaży, na której stoją moje statki, jest naturalna jama. Znajduje się poza zasięgiem wzroku, a jednak dość blisko obozu, by szybko wrócić za wały, gdyby Agamemnon musiał bronić statków i ludzi przed Trojanami. To całkiem głęboka jama, na tyle duża, aby pomieścić kilkadziesiąt domów i trzystu ludzi w całkiem wygodnych warunkach. Moja armia będzie mieszkać w tej dziurze. Tam, w całkowitym odosobnieniu, przygotuję ich do specjalnego zadania. Po wybraniu nie będą mieli żadnego kontaktu ze swymi dawnymi oddziałami ani resztą armii.

– Do jakiego zadania?

– Mam zamiar stworzyć kolonię szpiegów.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewał. Patrzył oszołomiony.

– Kolonię szpiegów? Co to takiego? Co mogą robić szpiedzy? Jaki z nich pożytek?

Wielki – odparłem, nabierając ochoty do wyjaśnień. – Zastanów się, Diomedesie! Dziesięć lat to bardzo długi okres w życiu człowieka, może siódma czy ósma część życia, a może trzecia albo jego połowa. Spośród moich trzystu ludzi niektórzy zostaną przyuczeni do tego, by wejść na pałace, i to zrobią. W przyszłym roku kilku wpuszczę do trojańskiej cytadeli. Tych, którzy kochają żyć w kłamstwie, rozproszę w środkowym i niższym mieście jako niewolników, handlarzy czy kupców. Chcę znać każdy ruch, jaki uczyni Priam.

– Na Gromowładnego! – powiedział wolno Diomedes. A potem spojrzał sceptycznie. – Od razu zostaną złapani.

– Dlaczego? Nie pójdą do Troi nie przygotowani, no wiesz. Wydaje mi się, że nie zrozumiałeś, iż moich trzystu ludzi będzie miało najwyższą inteligencję – wszyscy kłopotliwi ludzie, zabijaki i malkontenci są zazwyczaj bystrzy. Tępi nie budzą zamieszania w szeregach. Będąc w Troi, zapamiętałem trojańską wersję greki – akcent, gramatykę, słownictwo. Jestem bardzo dobry w językach.

– Wiem – odparł Diomedes, uśmiechając się szczerze.

– Dowiedziałem się tam o wiele więcej niż to, co przekazałem naszemu drogiemu przyjacielowi Agamemnonowi. Zanim jeden z moich szpiegów postawi stopę w Troi, będzie wiedział wszystko, co potrzeba. Niektórych – tych, którzy nie mają ucha do języków – pouczę, aby mówili, że są niewolnikami zbiegłymi z naszego obozu. Dzięki temu nie będą musieli ukrywać swojego pochodzenia i będą szczególnie cenni. Innych, którzy mają trochę zdolności językowych, przerobię na mieszkańców Licji i Karii. A to – kończyłem radośnie, zakładając ręce za głowę – dopiero początek!

Diomedes gwizdnał.

– Dzięki bogom, że jesteś po mojej stronie, Odyseuszu. Nie

chciałbym mieć w tobie wroga.

Cała Troja wyległa na wały, by obserwować, jak arcykról Myken prowadzi pod nimi swoich królewskich krewniaków. Zauważyłem rosnący rumieniec na policzkach Agamemnona, kiedy dotarły do niego szyderstwa i grubiańskie odgłosy, przynoszone przez nieustający trojański wiatr. Byłem niezwykle rad, że nie przyprowadził ze sobą wojska.

Szyja mnie bolała od ciągłego zadzierania głowy w górę. Kiedy dotarliśmy do Zachodniej Kurtyny, przyjrzałem się jej bardzo dokładnie, gdyż podczas mojej ostatniej wizyty w Troi nie widziałem jej z zewnątrz. Jedynie w tym miejscu można było sforsować mury. Choć nawet Agamemnon porzucił ten pomysł, jeszcze nim zostawiliśmy je za sobą. Zbyt krótki odcinek. Czterdzieści tysięcy obrońców będzie mogło wylewać wrzący olej na nasze głowy, zrzucać gorące kamienie, węgle, a nawet ekskrementy.

Kiedy zarządził powrót do obozu, był bardzo zamyślony.

Nie zwołał żadnej narady. Dni mijały jeden za drugim bez żadnych działań czy decyzji. Zostawiłem go w spokoju, niech sam się gotuje. Ja w tym czasie miałem lepsze rzeczy do roboty niż kłótnie z nim. Zacząłem zbierać ludzi potrzebnych do mojej kolonii.

Dowódcy nie robili mi trudności. Byli zadowoleni, widząc kres swych kłopotów. Kamieniarze i stolarze zwijali się z robotą w jamie, wznosząc trzydzieści solidnych domów z kamienia oraz większe budynki na jadalnie, rekreację i szkolenia. Kiedy zjawili się moi rekruci, oni także zostali wciągnięci do pracy. Od chwili naboru byli trzymani w odosobnieniu. Pilnowali ich żołnierze z Itaki. Oficerów natomiast powiadomiłem, że buduję więzienie, gdzie zamierzam trzymać wszystkich przestępców.

Do jesieni wszystko było gotowe. Zebrałem swoich rekrutów w głównej sali największego budynku, aby do nich przemówić. Gdy szedłem na podwyższenie, śledziło mnie trzysta par oczu –

ostrożnych albo ciekawych, nie dowierzających albo zaniepokojonych. Przebywali w jamie dość długo, by dokonać strasznego odkrycia, iż pozbawiono ich ofiar, nad którymi mogliby się znęcać. Wszyscy są ludźmi jednego pokroju.

Usiadłem na królewskim tronie, na którego nogach były wyrzeźbione pazury. Diomedes stanął po mojej prawej ręce. Kiedy zapadła cisza, położyłem dłonie na oparciach fotela i wysunąłem jedną stopę w królewskiej pozie.

– Zastanawiacie się, dlaczego was tutaj sprowadziłem i co się z wami stanie. Do tej pory wszystko było tylko domysłem. Od tej chwili będziecie już wiedzieć, ponieważ właśnie zamierzam wam wszystko wyjaśnić. Po pierwsze, każdy z was ma pewną cechę charakteru, która sprawiała kłopot waszym dowódcom. Żaden ze stojących w tej sali nie był dobrym żołnierzem, czy to dlatego, że stanowił zagrożenie dla życia innych, czy dlatego, że przyprawiał ich o ból brzucha ciągłym narzekaniem albo psotami. Nie chciałbym, żebyście źle rozumieli moje intencje. Zostaliście wybrani właśnie dlatego, że jesteście całkowicie nie lubiani.

Przerwałem i czekałem. Nie zwracałem uwagi na oszołomienie, gniew, oburzenie. Na kilku twarzach jednak zauważyłem ostrożne zaskoczenie i tym przyjrzałem się bliżej. Byli to ludzie o szczególnych zdolnościach i inteligencji.

Wszystko było przygotowane. Moi strażnicy z Itaki byli rozstawieni wokół budynku. Ich dowódcy, Hakiosowi, można było zupełnie zaufać. Miał rozkaz zabicia każdego, kto wyjdzie przede mną. Ci, którzy uznają, że moje warunki są nie do przyjęcia, nie mogą wrócić do zwykłych szeregów wojska. Będą musieli umrzeć.

– Czy zdajecie sobie sprawę z wagi tego zarzutu? – spytałem. – Nalegam, abyście sobie to uświadomili! Te cechy, do których mają odrazę przyzwoici ludzie, ja przemienię w najlepsze zalety. Za służbę u mnie otrzymacie nagrodę – zamieszkacie w kwaterach godnych książąt, nie będziecie wykonywać prac fizycznych, a pierwsze

kobiety, które arcykról rozdzieli z łupów, wam się dostaną. Między okresami służby będziecie mieli czas na odpoczynek. Utworzycie elitę pod moim jedynym dowództwem. Nie odpowiadacie już przed waszymi królami ani przed arcykrólem Myken. Odpowiadacie jedynie przede mną, Odyseuszem z Itaki.

Kontynuowałem, wyjaśniając, że praca, której od nich żądam, jest niebezpieczna i niezwykła, a ten fragment przemowy zakończyłem słowami:

– Pewnego dnia staniecie się sławni. To, co teraz macie wykonać, kiedyś będzie rozstrzygać o zwycięstwie lub porażce wojny. Każdy z was jest wart dla mnie tysiąca pieszych, zatem powinniście rozumieć, że wybór do mojej służby jest wyróżnieniem. Zanim podam wam nieco szczegółów, chcę, żebyście przedyskutowali to między sobą.

Przez jakiś czas trwała cisza. Byli tak zdziwieni, że zaniemówili. Kiedy wreszcie zaczęły się rozmowy, bacznie przyglądałem się twarzom. Około tuzina ludzi stwierdziło, że nie chce mieć nic wspólnego z moją propozycją. Jeden wstał i wyszedł, a za nim ruszyło jeszcze kilku. Lecz za otwartymi drzwiami czaił się Hakios. Z zewnątrz nie doszedł żaden odgłos. Wyszło jeszcze ośmiu. Hakios wykonał mój rozkaz. Gdy nie wrócą do oddziałów, wszyscy będą myśleli, że są ze mną. U nas będą myśleli, że wrócili do swoich kompanii. Prawdę będzie znał tylko Hakios i jego ludzie. Lecz oni pochodzą z Itaki i dobrze wiedzą, kim jest ich król.

Szczególnie zainteresowało mnie dwóch ludzi. Jeden był kuzynem Diomedesa i najdotkliwszym cierniem w boku dowódcy, na którego natrafiłem podczas naboru. Miał na imię Tersytes. Oprócz jego zdolności pociągało mnie w nim coś jeszcze. Plotkowano, że spłodził go z ciotką Diomedesa Syzyf. To samo mówiono o mnie – podobno nie Laertes był moim ojcem, a Syzyf. Ta plama na moim pochodzeniu nie budziła we mnie najmniejszego niepokoju. Krew tego wspaniałego kobieciarza prawdopodobnie była dla mężczyzny

znacznie lepsza niż krew króla Laertesza.

Drugiego z nich znałem bardzo dobrze. Jako jedyny spośród tych trzystu doskonale wiedział, dlaczego się tu znalazł. Był to mój własny kuzyn, Sinon, który przybył tu ze mną w orszaku. Cudownie pożyteczny człowiek nie mogący się doczekać swego nowego zajęcia.

Obaj, Tersytes i Sinon, siedzieli nieporuszeni. Ciemne oczy utkwili we mnie, lecz co jakiś czas odwracali głowę to tu, to tam, badając otaczających ludzi.

Nagle Tersytes chrząknął.

– Kontynuuj, panie, powiedz nam całą resztę – poprosił.

I tak zrobiłem.

– Zatem rozumiecie, dlaczego uważam was za najwartościowszych ludzi w całym wojsku – oznajmiłem na koniec. – Czy wasza rola będzie polegać na przekazywaniu informacji, czy na wywoływaniu sporów wśród tych, którzy rządzą Troją, i tak będziecie najważniejsi w całym układzie. Powołamy bezpieczny system komunikacji, ustalimy kontakty i miejsca spotkań między tymi, którzy w sposób bardziej lub mniej stały będą rezydować w Troi, a tymi, którzy będą składać tam tylko przelotne wizyty. Praca ta jest bardzo niebezpieczna, lecz nim ją rozpoczniecie, zostanieie dobrze przygotowani. To zmniejszy ryzyko. – Uśmiechnąłem się. – Poza tym z pewnością uznacie ją za ciekawą. – Wstałem. – Przemyślcie wszystko, zanim wrócę.

Diomedes i ja wycofaliśmy się do przedpokoju, gdzie usiedliśmy, rozmawiając i pijąc wino, podczas gdy odgłosy rozmów po drugiej stronie kurtyny wzniosły się i opadły.

– Przypuszczam – powiedział Diomedes – że my również co jakiś czas będziemy odwiedzać Troję?

– O tak. Aby zapanować nad ludźmi takimi jak ci, trzeba pokazać, że sami potrafimy podjąć większe ryzyko niż to, którego od

nich żądamy – jesteście królami, a nasze twarze są rozpoznawalne.

– Helena – powiedział.

– Właśnie.

– Kiedy pierwsze odwiedziny?

– Dziś w nocy – oznajmiłem spokojnie. – Znalazłem dobry kanał w północno-zachodnim odcinku wałów, na tyle duży, by mógł przejść przez niego człowiek. Jego wyjście po wewnętrznej stronie wałów jest bardziej ukryte od innych i nie jest strzeżone. Przebierzemy się za biedaków, zbadamy ulice, porozmawiamy z ludźmi i uciekniemy jutro w nocy tą samą drogą, którą przyszliśmy. Nie martw się, będziemy bezpieczni.

Zaśmiał się.

– Nie wątpię w to, Odyseuszu.

– Czas wyjść do pozostałych – powiedziałem.

Tersytesa wybrano na rzecznika całej grupy. Stał, czekając na nas.

– Mów, kuzynie króla Diomedesa – rozkazałem.

– Panie, jesteście z wami. Z tych, którzy zostali na sali po waszym wyjściu, jedynie dwóch było przeciwnych waszej propozycji.

– Oni się nie liczą – rzekłem.

Jego wzrok szydził. Znał ich los.

– Życie, jakie dla nas wybrałeś – kontynuował – jest o wiele lepsze niż nuda w obozie oblężniczym. Jesteśmy z tobą.

– W takim razie żądam od każdego z was przysięgi.

– Złożymy ją – odpowiedział bezbarwnym głosem. Wiedział, że przysięga będzie zbyt straszna, żeby ją złamać, nawet dla niego.

Kiedy złożył ją ostatni człowiek, poinformowałem ich, że będą

żyć w dziesięcioosobowych oddziałach, na czele których będą stali dowódcy. Sam ich wybiorę, kiedy już lepiej ich poznam. Dwóch ludzi jednak poznałem wystarczająco dobrze. Na współdowódców całej szpiegowskiej kolonii wybrałem Tersytesa i Sinona.

Tej nocy weszliśmy do Troi stosunkowo łatwo. Ja pierwszy, Diomedes tuż za mną. Kanał miał akurat szerokość jego ramion. Będąc już w obrębie murów, wślizgnęliśmy się w jakiś wąski zaułek i przespaliśmy tam do rana. Potem wmieszaliśmy się w tłum. Na dużym rynku wewnątrz Bramy Skajskiej kupiliśmy trochę miodowych ciasteczek i chleba jęczmiennego oraz dwa kubki owczego mleka. Słuchaliśmy. Lud w ogóle nie martwił się Grekami zajmującymi plażę nad Hellespontem. Powszechnie panował radosny nastrój. Rozkochanym wzrokiem spoglądali na wysokie bastiony i śmiali się z pomysłu Greków, którzy całą swą siłą rozłożyli się o milę stąd. Ten i ów twierdził, że Agamemnon zrezygnował i odpłynął. Pożywienia i pieniędzy było pod dostatkiem. Bramy Dardańska i Idyjska nadal stały otworem i przepływał przez nie zwykły ruch. Tylko skomplikowany system obserwatorów i strażników na szczycie wałów wskazywał na to, że miasto było gotowe zamknąć je w każdej chwili.

Miasto, jak zauważyliśmy, było zaopatrzone w wiele studni ze słodką wodą i posiadało dużo spichlerzy i składów, w których przechowywano nie psującą się żywność.

Nikt nie komentował bitwy na zewnątrz murów. Żołnierze, których widzieliśmy, próżnowali i zabawiali się z dziewczynami, zostawiwszy swoją broń i zbroje w domu. Otwarcie śmiano się z Agamemnona i jego wielkiej armii.

Diomedes i ja po powrocie do obozu od razu zabraliśmy się do pracy w naszej kolonii. A pracowaliśmy ciężko. Znajdowali się tam ludzie, w których było wiele entuzjazmu i zdolności, ale także i tacy, których nic nie obchodziło i chodzili ze znudzonymi minami. Zawarłem z Tersytesem i Sinonem cichą umowę, że nieudacznicy

powinni zniknąć. Z trzystu początkowych rekrutów zatrzymałem dwustu pięćdziesięciu czterech i uważałem, że mam wyjątkowe szczęście.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

OPOWIEŚĆ DIOMEDESA

Niezwykły człowiek z tego Odyseusza. Nawet obserwowanie, jak sobie radzi z niewolnikiem, jest pouczające. Pod koniec miesiąca miał tych swoich dwustu pięćdziesięciu czterech ludzi dokładnie tak, jak zaplanował, choć nie byli jeszcze gotowi do akcji. Spędzałem z nim prawie tyle samo czasu, co z moimi ludźmi z Argos. To, czego się od niego nauczyłem, umożliwiało mi lepsze kierowanie ludźmi i w czasie o połowę krótszym niż dotychczas. Podczas mojej nieobecności w kontyngencie nie pojawiała się niezadowolenie, ustały kłótnie między oficerami. Wykorzystywałem metody Odyseusza z dobrym efektem. Oczywiście podsłuchałem kilka żartów, podchwyciłem dwuznaczne spojrzenia, które wymieniali między sobą moi baronowie, ilekroć widzieli mnie z Odyseuszem. Nawet inni królowie zaczęli podważać naturę naszej przyjaźni. To mnie nie denerwowało. Nawet gdyby to, co myśleli, było prawdą, też by mnie to nie obchodziło – nie zamierzałem żądać od nich satysfakcji. W tych spojrzeniach nie było zresztą dezaprobaty. Mężczyźni mieli całkowitą wolność zaspokajania seksualnej żądzy, z kim chcieli. Zazwyczaj robili to z kobietami, ale długa kampania poza granicami kraju oznaczała, że kobiety były mniej osiągalne. Obce kobiety nie mogły zastąpić miejsca żon czy ukochanych kobiet z własnego kraju. W takich okolicznościach lepiej było szukać czułości u przyjaciela, który walczył u twego boku w bitwie

i odpędał wroga swoim mieczem, kiedy ty upuściłeś własny.

Jesień królowała już w pełni, gdy Odyseusz powiedział, bym poszedł i złożył uszanowanie Agamemnonowi. Udałem się, ciekawy, co w trawie piszczy. Odyseusz ostatnio ciągle spiskował ze starym Nestorem, ale nie powiedział mi, o czym rozmawiają.

Przez pięć miesięcy nie widzieliśmy znaku trojańskich wojsk. W obozie panował ponury nastrój. Zaprowiantowanie nie stanowiło problemu, ponieważ doskonałego pożywienia dostarczało wybrzeże na północy Troady i po drugiej stronie Hellespontu. Żyjące w tamtych okolicach plemiona przyjrzały się naszym myszkującym oddziałom i znikły. Wszystko to nie zmieniało faktu, że znajdowaliśmy się tak daleko od domu, iż w ogóle nie było mowy o wyjeździe na urlop. Od arcykróla nie nadchodziły żadne rozkazy do odwrotu ani do ataku, ani jakiegokolwiek inne.

Wszedłem do namiotu Agamemnona. Odyseusz już tam był.

– Powinienem wiedzieć, że jesteś niedaleko, skoro wpadł tu Odyseusz – skomentował Agamemnon.

Uśmiechnąłem się, ale nie odpowiedziałem.

– Czego chcesz, Odyseuszu?

– Zwołania rady, panie. Jest wiele zaległych spraw do omówienia.

– Całkowicie się zgadzam! Na przykład nie wiadomo, co dzieje się w pewnej jamie i dlaczego nigdy nie mogłem znaleźć ciebie ani Diomedesa po zmroku. Zamierzałem zwołać naradę już wczoraj

wieczorem.

Odyseusz wyplątywał się z królewskiej niełaski ze swym zwykłym wdziękiem. Zaczął od uśmiechu, który zjednałby mu nawet wroga. Uśmiechu, który mógł oczarować człowieka o wiele chłodniejszego od Agamemnona.

– Panie, powiem wszystko, ale na naradzie.

– Bardzo dobrze. Zostańcie tu, aż nadejdzie reszta. Gdybym pozwolił wam odejść, moglibyście nie wrócić.

Pierwszy wszedł Menelaos, onieśmielony jak zawsze. Skinąwszy nam nieśmiało, zapadł się w fotelu w najdalszym i najciemniejszym kącie pokoju. Biedny, tyranizowany Menelaos. Może zdał sobie sprawę, że Helena była drugorzędnym czynnikiem planów jego bardziej władczego brata, a może zaczynał tracić nadzieję, że kiedykolwiek ją odzyska. Naszło mnie wspomnienie o niej sprzed prawie dziewięciu lat. Jakże małą kobietą się okazała! Zainteresowana jedynie własną satysfakcją, obojętna na to, czego pragnął mężczyzna. Taka piękna! I taka samolubna! O, do ładnego tańca musiała poprowadzić swego Menelaosa! Nie mogłem go nienawidzić. Zbyt mało znaczył, godny raczej litości niż szyderstwa. I kochał ją tak, jak ja nie potrafiłem pokochać żadnej kobiety.

Wkroczył Achilles z Patroklosem. W ślad za nimi wszedł Feniks, zupełnie jak pies Odyseusza, Argos, który chodził za nim na Itace. Jeden wierny, drugi dzielny. Kiwnęli na powitanie, Achilles sztywno i z widoczną niechęcią. To dziwak. Odyseusz, jak zauważyłem, nie przejmował się nim zbyt. Lecz ja postanowiłem go ostrzec.

Powinien być miłszy dla Agamemnona. Stał na czele Myrmidonów, lecz tak jawne okazywanie niechęci mogło być niebezpieczne. Podczas bitwy łatwo kogoś zostawić na jednym skrzydle bez pomocy, a potem zrzucić to na błąd w dowodzeniu. Kiedy zobaczyłem wyraz oczu Patroklesa, musiałem się uśmiechnąć. To ci dopiero czuła przyjaźń! Przynajmniej z jednej strony. Achilles brał ją za coś oczywistego. Poza tym palił się bardziej do walki niż do uciech cielesnych.

Machaon przyszedł sam i usiadł cicho. On i jego brat Podalieros byli najlepszymi medykami w Grecji, wartymi więcej w armii niż skrzydło konnicy. Podalieros był odludkiem, który wolał swój gabinet od wojennych narad. Machaon natomiast był energicznym, niespokojnym duchem, obdarowany talentem do dowodzenia potrafił walczyć jak Myrmidon. Przez drzwi z wdziękiem wsunął się Idomeneusz, holując za sobą Merionesa. Wykorzystując pozycję kreteńskiej korony i współdowodzącego, złożył Agamemnonowi tylko ukłon bez przyklęknięcia na jedno kolano. Oczy Agamemnona lekko błysnęły. Czyżby bał się, że Kreta staje się za duża dla jego buta? Ale twarz arcykróla nie zdradziła niczego. Idomeneusz to fircyk, choć mocno zbudowany, i dość dobry dowódca. Meriones, jego kuzyn i następca, był prawdopodobnie lepszy od niego, nigdy z nim nie walczyłem ani nie ucztowałem. Obu otaczała ta sama kreteńska aura liberalizmu.

Nestor wkroczył rześko i skierował się na swoje szczególne miejsce, kiwając w przelocie Agamemnonowi, który nie dostrzegł w tym żadnej obrazy. Nestor niańczył nas wszystkich, gdy jeszcze

byliśmy dziećmi. Trudne jedynie do zaakceptowania było to, że miał skłonność do wspominek na temat „starych czasów”. I uważał obecne pokolenie królów za mięczaków. Jednakże wszyscy go bardzo kochali, a Odyseusz wprost uwielbiał. Nestor przyprowadził z sobą najstarszego syna.

Ajaks zjawił się ze swymi nieodłącznymi kompanami, przyrodnim bratem Teukrosem i kuzynem z Lokrydy, Małym Ajaksem, synem Ojleusa. Usiedli cicho pod przeciwległą ścianą. Tęskniłem za dniem, kiedy zobaczę Ajaksa na polu (nie znajdował się blisko mnie w Sigios) i na własne oczy ujrzę te ogromne ramiona wywijające słynnym toporem.

Zaraz za nimi wszedł Menestenes. Był dobrym arcykrólem Attyki. Miał na szczęście tyle rozumu, żeby nie odgrywać drugiego Tezeusza. Nie był nawet w jednej dziesiątej mężczyzną takim jak Tezeusz – ale czy ktoś mógł się z nim równać? Ostatni przyszedł Palamedes. Usiadł między mną a Odyseuszem. Odyseusz tak go nienawidził, że mimo swej dyplomacji nie potrafił udawać do niego sympatii. Dlaczego, nie wiem. Domyślałam się jednak, że Palamedes zranił go w jakiś sposób, kiedy z Agamemnonem udał się na Itakę, by go ściągnąć na wojnę. Odyseusz był cierpliwy i potrafił długo czekać na właściwy moment. Byłem pewny, że kiedyś będzie chciał się zemścić. Choć może nie krwawo i na pewno nie z gorącą głową, Odyseusz zawsze bowiem pożerał na zimno. Dziwne przeoczenie, ale nie było kapłana Kalchasa.

Agamemnon zaczął wyniośle.

– Jest to pierwsza narada, jaką zwołałem, odkąd znaleźliśmy się pod Troją. Ponieważ wszyscy jesteście świadomi sytuacji, nie zamierzam jej omawiać. Sprawę przedstawi wam Odyseusz, nie ja. Choć jestem waszym suzerenem i z ochotą daliście mi swoich żołnierzy, uszanuję wasze prawo do wycofania wsparcia, skoro uznacie to za konieczne. Lecz pamiętajcie, że Przysięga Poćwiartowanego Konia obowiązuje. Patroklesie, będziesz dzierzył łaskę, ale teraz przekaz ją Odyseuszowi.

Stanął pośrodku posadzki (Agamemnon nie lubił zimna, zbudował więc dom z kamienia, mimo że sugerowało to dłuższą obecność). Ruda grzywa spływała na jego ładną twarz masą fal. Wielkie szare oczy przenikały do rdzenia, sondując nasz prawdziwy wymiar. Byliśmy królami, ale przede wszystkim ludźmi. My Grecy zawsze ceniliśmy dar jasnowidzenia, a Odyseusz posiadał go w pełnej mierze.

– Patroklesie, nalej wina – powiedział na początek i odczekał, aż młody człowiek obejdzie wszystkich. – Minęło pięć miesięcy, odkąd wylądowaliśmy. W tym czasie wszędzie był spokój, z wyjątkiem pewnej jamy niedaleko moich okrętów.

Po tym stwierdzeniu nastąpiło wyjaśnienie, że wziął na siebie uwięzienie najgorszych żołnierzy armii w miejscu, gdzie nie będą mogli wyrządzić żadnej szkody. Wiedziałem, dlaczego nie wyjawiał prawdziwego celu tej jamy – nie ufał Kalchasowi ani niektórym wodom, choć związanym przysięgą.

– Nie mieliśmy dotąd oficjalnej narady – kontynuował

łagodnym i miłym głosem – nietrudno jednak rozpoznać panujące nastroje. Nikt nie chce oblegać Troi. Szanuję wasze pragnienia. Swoje powody mógłby też podać Machaon – obleżenie jest siedliskiem plag i innych śmiertelnych chorób. Choć w walce także ginieśmy. Dziś jednak nie zamierzam omawiać kwestii obleżenia.

Przerwał i przyjrzał się nam badawczo.

– Wraz z Diomedesem wielokrotnie wchodziliśmy nocą do Troi. Dowiedzieliśmy się, że jeśli zostaniemy tu do wiosny, nasza sytuacja zmieni się radykalnie. Priam zwrócił się do wszystkich sprzymierzeńców na wybrzeżu Azji Mniejszej, a oni obiecali mu przysłać wojska. Kiedy ze zboczy gór zniknie śnieg, Priam będzie miał do dyspozycji dwieście tysięcy żołnierzy. A my zostaniemy wypędzeni.

Wtrącił się Achilles.

– Malujesz czarny obraz, Odyseuszu. Czyżbyśmy opuścili swe domy tylko po to, żeby przyjąć taką hańbę z rąk wroga, z którym spotkaliśmy się zaledwie raz? Powiadasz, że wybraliśmy się na bezowocną krucjatę, niezwykle kosztowną i bez perspektywy spłacenia jej z łupów. Gdzie te bogactwa, które nam obiecałeś, Agamemnonie? Co z twoją dziesięciodniową kampanią? Co z twoim łatwym zwycięstwem? Bez względu na to, w którą obrócimy się stronę, czeka nas klęska. I to dla takiej sprawy niektórzy z nas dopuścili się zbrodni, składając w ofierze człowieka? Istnieją gorsze porażki niż śmierć w bitwie. Najgorszą z wszystkich jest ewakuacja z tej plaży i powrót do domu.

Odyseusz zaśmiał się cicho.

– Czy reszta myśli tak samo pesymistycznie jak Achilles? Zatem żal mi was. Jednak nie mogę zaprzeczyć, że syn Peleusa powiedział prawdę. Mogę jeszcze dodać, że jeśli zostaniemy tu na zimę, coraz trudniej będzie nam zdobywać zapasy. W tej chwili wszystko, co chcemy, możemy dostać z Bitynii i Tracji, ale zimy tutaj, jak powiadają, są mroźne i śnieżne.

Achilles zerwał się na nogi, warcząc na Agamemnona.

– O tym właśnie mówiłem ci przed wyruszeniem w Aulidzie! Zlekceważyłeś problem wyżywienia tak ogromnej armii! Wybór? Zostać albo wracać do domu – czy to jest wybór? Nie sędzę. Jedyna możliwość to skorzystać z pierwszych zimowych wiatrów, pożegłować do Grecji i nigdy tu nie wracać. Jesteś głupcem, królu Agamemnonie! Zarozumiałym głupcem!

Agamemnon siedział spokojnie, ale z trudem nad sobą panował.

– Achilles ma rację – odezwał się Idomeneusz. – Wszystko było od początku źle zaplanowane. – Nabrał powietrza i zerknął na swego współwódcę. – Pytam cię, Odyseuszu – możemy czy nie możemy zburzyć trojańskich murów?

– Nie ma sposobu ich zburzyć, Idomeneuszu.

Na sali zaczęło narastać wrzenie, rozniecone przez Achillesa i podsycane faktem, że Agamemnon postanowił się nie odzywać. Oni już uciekli od niego, wiedział o tym. Siedział, gryząc wargi, napięty

od wysiłku powściągnięcia gniewu.

– Dlaczego nie przyznasz się, że nie byłeś zdolny zaplanować ekspedycji tak wielkiej jak ta? – zapytał Achilles. – Czyżbyś był mniejszy, niż jesteś? Czyżbyś nie był tym, kim zostałeś z łaski bogów? Mam ochotę cię uderzyć. Przyprowadziłeś nas do Troi, nie myśląc o niczym poza własną chwałą. Wykorzystałeś przysięgę, aby zebrać armię. A potem zlekceważyłeś uczucia swojego brata. Nawet nie pomyślałeś o Menelaosie! Czy z całą szczerością możesz powiedzieć, że uczyniłeś to wszystko z uwagi na niego? Oczywiście, że nie! Nigdy nawet tego nie udawałeś. Od samego początku twoim celem były bogactwa ze skarbcza Troi i zbudowanie własnego imperium w Azji Mniejszej! Wszyscy byśmy na tym skorzystali, przyznaję, lecz nie tak jak ty!

Menelaos płakał, łzy spływały mu po policzkach, w jego oczach widać było straszne rozczarowanie. Łkającego z bólu jak dziecko Achilles przytulił i głaskał. Atmosfera groziła wybuchem. Jedno słowo i wszyscy dopadliby Agamemnonowi do gardła. Czując, że świerzbił mu ręka na mieczu, spojrzałem na Odyseusza. Stał bez ruchu, trzymając laskę debaty. Agamemnon wpatrzył się w swoje dłonie, które nerwowo zaciskał na podołku. W końcu zainterweniował Nestor. Gwałtownie zwrócił się do Achillesa.

– Młody człowieku, twój brak szacunku zasługuje na cięgi! Jak masz prawo krytykować arcykróla, skoro nie robią tego nawet tacy ludzie jak ja? Odyseusz nie wysunął żadnych oskarżeń. Jak śmiesz zakładać, że wolno to czynić tobie? Powściągnij język!

Achilles przyjął nagane bez szemrania. Ukląkł na jedno kolano przed Agamemnonem, wyrażając tym przeprosiny. Potem usiadł. Z natury nie miał gorącej głowy, ale odkąd Ifigenia zginęła w Aulidzie, między nim a Agamemnonem była zła krew. Zrozumiałe. To jego imię wykorzystano do wyrwania dziewczyny z rąk Klitajmestry. Agamemnon nie prosił go o zgodę. Achilles nie mógł wybaczyć tego żadnemu z nas, a najmniej Agamemnonowi.

– Odyseuszu – powiedział Nestor – widzę, że nie masz dość autorytetu, by poradzić sobie z taką kolekcją szacownych autokratów. Zatem oddaj mi łaskę i pozwól mi przemówić. – Popatrzył na nas. – To spotkanie to hańba! W czasach mojej młodości nikt nie ośmieliłby się wypowiedzieć rzeczy, które tu dziś usłyszałem! Kiedy byłem młody i Herakles chodził jeszcze po tej ziemi, wszystko wyglądało inaczej.

Rozsiedliśmy się i poddaliśmy jednej ze słynnych przemów Nestora. Ja jednak zacząłem nabierać pewności, że starzec rozmyślnie przedłużał i przeskakiwał z tematu na temat. Słuchając go, musieliśmy się uspokoić.

– Weźmy Heraklesa – ciągnął Nestor. – niesprawiedliwie związany z królem, który nie był godzien nosić świętej purpury swego urzędu, musiał wykonać szereg zadań w sposób wyrachowany wybranych, by sprowadzić na niego śmierć i upokorzenie. Lecz z ust Heraklesa nie padło słowo protestu. Rozkaz króla był dla niego święty. Miał równie wspaniały umysł, jak potężne było jego ramię. Być może spłodził go bóg, lecz sam był człowiekiem! O wiele

dzielniejszym, niż ty kiedykolwiek będziesz, Achillesie. I ty, Ajaksie. Król to król. Herakles nigdy o tym nie zapomniiał – ani w chwili, gdy brodził w odchodach po kolana, ani gdy znalazł się na krawędzi rozpacz i szaleństwa. Jego męstwo stawiało go ponad Eurysteuszem – człowiekiem, któremu służył. Właśnie za to tak bardzo go podziwiano i szanowano. Wiedział, co należy się bogom, a co królowi. Oddawał im to skrupulatnie. Moje serce cieszyłoby się, gdybym mógł traktować go jak brata. Lecz on nigdy o to nie prosił, choć wiedział o moim przyjacielskim nastawieniu. Ja przecież byłem dziedzicem Neleusa, a jego uważano za wybryk natury. Miał świadomość swej pozycji niewolnika, jego poddanie i cierpliwość zapewniały mu nieśmiertelną miłość i status herosa. Aj, aj! Świat nigdy już nie ujrzy takiego człowieka jak on!

Dobrze! Skończył, teraz odda łaskę Odyseuszowi i rada będzie mogła posunąć się dalej. Ale nie, zamiast tego rozpoczął kolejne kazanie.

– Tezeusz! – zawołał. – Weźmy kolejny przykład, Tezeusz! Ogarnęło go szaleństwo, ale nigdy nie pozwolił sobie na brak szacunku albo niedbalstwo wobec tego, co był winien królowi. Sam – arcykról, ale zawsze zachowywał się jak człowiek. Albo weźmy twojego ojca, Diomedesie. Tydeusz – w swoich czasach najpotężniejszy wojownik. Zmarł nie splamiony hańbą pod tymi samymi murami, które ty, Diomedesie, wzięłaś pokolenie później. Gdybym wiedział, jacy ludzie zwą siebie tu, na tej trojańskiej plaży, królami albo następcami tronu, nigdy nie opuszczałbym piaszczystego Pylos, nigdy nie żeglował po czarnym morzu.

Patroklesie, nalej jeszcze wina. Chciałbym mówić dalej, ale w gardle mi zaschło.

Patrokles podniósł się wolno, najbardziej z nas wszystkich zirytowany. Widać zabolął go widok karconego Achillesa. Stary król z Pylos wypił nierozwodnione wino chciwie i bez mrugnięcia okiem. Oblizął wargi i usiadł na pustym miejscu obok Agamemnona.

– Odyseuszu, zamierzam cię zastąpić. Mam nadzieję, że to cię nie obrazi, ale najwyraźniej widać, że potrzeba starca, by osadzić tych aroganckich młodzieńców na miejscu.

Odyseusz uśmiechnął się.

– Kontynuuj, panie! Przedłożysz sprawę równie sprawnie jak ja sam, jeśli nie lepiej.

W tym momencie zacząłem coś podejrzewać. Przecież ci dwaj spotykali się już od kilku dni. Czyżby wcześniej wszystko ukartowali?

– Wątpię – rzekł Nestor, mrugając błękitnymi oczami. – Mimo żeś tak młody, masz głowę na karku. Siadę tutaj, nie bacząc na tytuły, i przystąpię do faktów. Musimy podejść do tej sprawy bez emocji, zrozumieć ją bez zawikłań czy pomyłek. Po pierwsze – i najważniejsze – co się stało, to się nie odstanie. Trzeba pamiętać o przeszłości, ale nie po to, by wyciągać ją do podsycania wrzawy.

Pochylił się do przodu w swoim fotelu.

– Zastanówcie się. Mamy wojsko w sile przeszło stu tysięcy ludzi, wojowników i pomocników, siedzących trzy mile od murów

Troi. Wśród służb pomocniczych są kucharze, niewolnicy, marynarze, płatnerze, stajenni, cieśle, kamieniarze i inżynierowie. Wydaje się, że gdyby ekspedycja była tak źle zaplanowana, jak próbował to przedstawić książę Achilles, nie mielibyśmy tutaj tych zręcznych rzemieślników. Bardzo dobrze. To nie wymaga dyskusji. Trzeba teraz zastanowić się nad czynnikiem czasu. Nasz szanowny Kalchas powiedział: dziesięć lat. Jeśli o mnie chodzi, jestem skłonny mu wierzyć. Jesteśmy tutaj nie po to, by zdobyć jedno miasto!

Jesteśmy tutaj po to, by podbić wszystkie narody. Narody, które rozciągają się od Troi po Cylicję. Zadania o takich rozmiarach nie da się wykonać w mgnieniu oka. Nawet gdybyśmy potrafili zburzyć mury Troi, nie zrobimy tego. Czy my jesteśmy jakimiś piratami? Bandytami? Rabusiami? Gdybyśmy nimi byli, wtedy moglibyśmy napaść na jedno miasto i wrócić do domu z łupami. Ale jak powiedziałem, nie my jesteśmy piratami. Nie wolno nam poprzestać na Troi! Musimy pójść dalej, podbić Dardanię, Myzję, Lidię, Karię, Licję i Cylicję!

Achilles siedział zauroczony. Patrzył na Nestora, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Podobnie też, zauważyłem, patrzył Agamemnon.

– Co by się stało – mówił Nestor niemalże marzycielskim tonem – gdyby udało nam się rozdzielić nasze wojsko? Jedna połowa zostałaby tu, pod Troją, a druga miałaby wolną rękę do działania. Miasta pilnowałyby siły na tyle duże, by odeprzeć wojsko Priama. Druga armia ruszyłaby wzdłuż wybrzeża i opanowała Azję Mniejszą,

atakując, łupiąc i paląc wszystkie osady między Andramyttios a Cylicją. Niszczyłaby, pustoszyła, brała niewolników, grabiła miasta, zostawiała za sobą ziemię jałową, zjawiając się zawsze tam, gdzie nikt nie będzie się jej spodziewał. W ten sposób dokonalibyśmy dwóch rzeczy. Nasze wojsko miałoby świeże dostawy żywności i innych niezbędnych rzeczy – a może i luksusów. Jednocześnie trzymalibyśmy trojańskich sprzymierzeńców w ciągłym lęku i Priam nie mógłby otrzymać od nich żadnej pomocy. Na całym wybrzeżu nie ma wystarczająco dużych skupisk ludzkich, które mogłyby się oprzeć tak wielkiej i dobrze dowodzonej armii jak nasza. Nie sądzę też, by któryś z miejscowych królów był na tyle przewidujący, by rzucić swoją ziemię i udać się pod Troję.

Oczywiście, że musieli przygotować to wcześniej! Słowa z ust Nestora lały się jak syrop na ciasto. Odyseusz siedział uśmiechnięty, zadowolony i pełen aprobaty. A Nestor był w swoim żywiole.

– Połowa armii tu zostawiona nie dopuszczałaby Trojan do obozu czy statków – kontynuował Nestor. – A także stopniowo niszczyłaby morale w mieście. W umysłach mieszkańców musimy te mury zmienić z obronnych w więzienne. Nie chciałbym wdawać się w szczegóły. Istnieją jednak sposoby, dzięki którym będziemy mogli wpływać na myślenie Trojan, począwszy od mieszkańców cytadeli po najuboższą norę. Daję wam na to słowo. Najistotniejsza jest przebiegłość, a dzięki Odyseuszowi mamy jej pod dostatkiem.

Westchnął, przeciągnął się i zażądał więcej wina. Tym razem jednak Patrokles, obchodząc wszystkich, uczynił to z większym

szacunkiem dla starego króla z Pylos.

– Postanowiłem nie wycofywać się z tej wojny – rzekł Nestor. – Są tu całe kiście łupów, dojrzewające do zerwania. Troja jest bogatsza, niż możemy to sobie wyobrazić. Łupy wzbogacą nas i całe nasze narody. Achilles miał rację. Chciałbym wam przypomnieć, że Agamemnon zawsze widział korzyść w skruszeniu sprzymierzeńców Azji Mniejszej. Jeśli nam się to uda, będziemy mogli swobodnie zakładać kolonie, w dobrobycie i wygodzie osiedlać ludzi, którzy teraz tłoczą się w Grecji. Poza tym... – kontynuował, obniżając ton, ale wzmacniając głos – najważniejsze jest to, że do nas należeć będą Hellespont i Euxinus. Także nad Euxinusem założymy kolonie. Będziemy mieć cynę i miedź, potrzebne do wyrobu brązu. Będziemy mieć scytyjskie złoto. Szmaragdy. Szafiry. Rubiny. Srebro. Wełnę. Pszenicę. Jęczmień. Elektrum. Inne metale. Wszelką żywność. Cenne towary. Podniecająca perspektywa, nie uważacie?

Zawrzało, zaczęliśmy się uśmiechać jeden do drugiego, a Agamemnon wyraźnie odżył.

– Mury Troi trzeba zostawić w spokoju – powiedział stanowczo starzec. – Połowa armii, która tu zostanie, musi spełniać funkcję czysto niepokojącą – trzymać Trojan w niewygodzie i zadowalać się mniejszymi wypadami. Mamy tutaj wspaniałe miejsce na obóz, nie widzę potrzeby ruszać się gdzie indziej. Odyseuszu, jak nazywają się te dwie rzeki?

Odyseusz odpowiedział żwawo.

– Większy strumień z żółtą wodą to Skamander. Jest

zanieczyszczony ściekami z Troi, dlatego też nie można się w nim kąpać ani pić jego wody. Mniejszy strumień o czystej wodzie to Simois.

– Dziękuję. Naszym pierwszym zadaniem zatem jest zbudowanie wału obronnego od Skamandra po Simois, około pół mili od brzegu laguny w głąb lądu. Będzie musiał mieć przynajmniej piętnaście łokci wysokości. Na zewnątrz niego ustawimy palisadę z zaostrzonych słupów i wykopimy rów głęboki na piętnaście łokci, z bardziej ostrymi palami na dnie. Dzięki temu połowa wojsk, która zostanie pod Troją, będzie miała zajęcie w czasie nadchodzącej zimy, a praca rozgrzeje ludzi.

Nagle przerwał i pomachał do Odyseusza.

– Mam dosyć. Odyseuszu, kontynuuj.

Oczywiście, wszystko ułożyli razem! Odyseusz podjął wątek tak, jakby przez cały czas to on mówił.

– Żołnierze nie mogą być ciągle bierni, zatem obie połowy wojsk muszą się wymieniać – pół roku pod Troją, pół roku wypadów na wybrzeże. To sprawi, że nikt nie będzie się nudzić. Podkreślam raz jeszcze – musimy sprawiać wrażenie, że gdyby była taka konieczność, to zostaniemy po tej stronie Morza Egejskiego na zawsze! Trojanie, mieszkańcy Licji, wszystkie ludy Azji Mniejszej powinni wpaść w rozpacz, usychać, z każdym mijającym rokiem tracić nadzieję. Ruchoma część naszych wojsk wykrwawi sojuszników Priama na śmierć. Ich złoto wylądaje w naszych skrzyniach. Zakładam, że będzie trzeba na to dwóch lat, ale tak się

stanie. Na pewno.

– Przypuszczam więc – odezwał się Achilles głosem niezwykle grzecznym – że ruchoma połowa wojsk nie będzie mieszkać tutaj?

– Nie, będzie miała własne kwatery – odparł Odyseusz, zadowolony z uprzejmości Achillesa. – Bardziej na południe, może tam, gdzie Dardania styka się z Myzją. Jest tam port zwany Assos. Nie widziałem go, ale Telefos twierdzi, że do tego celu jest odpowiedni. Łupy z wybrzeża, podobnie jak cała żywność i inne towary, będą dostarczane tutaj. Między Assos i naszą plażą musi istnieć stała linia zaopatrzeniowa, kursująca podczas każdej pogody, dla bezpieczeństwa blisko brzegu. Jedynym prawdziwym marynarzem wśród nas jest Feniks. Sugeruję zatem, by to on objął nad nią dowództwo. Wiem, że złożył przysięgę Peleusowi, iż nie opuści Achillesa, ale sądzę, że to zadanie mu w tym nie przeszkodzi.

Przerwał na chwilę. Jego szare oczy zaglądały w oczy wszystkich, którzy na niego patrzyli.

– Chciałbym zakończyć przypomnieniem, że Kalchas przepowiedział, iż wojna potrwa dziesięć lat. Myślę, że mogłaby zakończyć się wcześniej. I o tym powinniście wszyscy pomyśleć. Dziesięć lat z dala od domu. W ciągu tych dziesięciu lat nasze dzieci podrosną. A nasze żony będą musiały rządzić za nas. Dom jest zbyt daleko, a zadanie tutaj zbyt wymagające, byśmy mogli sobie pozwolić na wizyty w Grecji. Dziesięć lat to bardzo dużo. – Złożył ukłon przed Agamemnonem. – Plan, który Nestor i ja tu zakreśliliśmy, jest ważny jedynie z twoją aprobatą. Jeśli go nie

poprzesz, przyjmujemy to. Jak zawsze pozostajemy twoimi sługami.

Dziesięć lat z dala od domu. Dziesięć lat wygnania. Czy podbój Azji Mniejszej był wart takiego wyrzeczenia? Nie byłem pewien. Gdyby nie Odyseusz, jak sędzę, już nazajutrz pożeglowałbym do domu. Lecz skoro on wyraźnie postanowił zostać, nigdy nie wypowiedziałem na głos pragnienia mego serca.

Agamemnon westchnął głośno.

– Niech zatem tak będzie. Dziesięć lat. Sędzę, że cena jest tego warta. Mamy wiele do zyskania. Jednakże chciałbym poddać tę decyzję pod głosowanie. Trzeba, byście pragnęli tego tak samo gorąco jak ja.

Wstał.

– Przypominam wam, że większość z was jest królami albo następcami tronu. W Grecji królewska władza podlega łasce bogów. Odrzuciliśmy matriarchat, zastępując starą religię nową. Mężczyźni jednak, rządząc, muszą spoglądać w niebo i tam szukać wsparcia. Nie mamy dowodu na swoją płodność ani żadnego związku z dziećmi czy sprawami Matki Ziemi. Odpowiadamy za swój lud inaczej, niż to było za czasów starej religii. Kiedy nie udawały się zbiory, przegrywaliśmy wojnę albo dotykały nas straszliwe plagi, królowa składała nas w ofierze, by przebłagać Matkę. Nowa religia zdjęła z nas ten los i wyniosła do właściwej pozycji. Odpowiadamy za swój lud. Dlatego jestem za tym potężnym przedsięwzięciem. Będzie ono wybawieniem dla naszego ludu i przeniesie na inne ziemie nasze zwyczaje i tradycje. Gdybym teraz wrócił do domu, musiałbym

przyznać się do klęski i znosić upokorzenie przed ludem. Czy miałbym prawo protestować, gdyby lud postanowił wrócić do starej religii i złożyć mnie w ofierze, a na tron wynieść moją żonę?

Usiadł i położył swoje białe, kształtne dłonie na udrapowanych w purpurę kolanach.

– Przystępujemy do głosowania. Jeśli ktoś chce się wycofać i wrócić do Grecji, niech się ujawni.

Nikt nie podniósł ramienia. Sala trwała w milczeniu.

– Zatem ustalone. Zostajemy. Odyseuszu, Nestorze, czy macie jakieś dalsze propozycje?

– Nie, panie – odrzekł Odyseusz.

– Nie, panie – powtórzył Nestor.

– Idomeneuszu?

– Jestem bardzo zadowolony, Agamemnonie.

– Zatem przejdźmy do szczegółów. Patroklesie, skoro zostałeś wyznaczony podczaszym, idź i zawołaj o jedzenie.

– Jak zamierzasz podzielić armię, panie? – spytał Meriones.

– Jak sugerowano wcześniej, ma być rotacja kontyngentów. Jednakże dodałbym mały warunek. Uważam, że w Drugiej Armii powinien się znajdować stały człon ludzi, pozostający w niej przez cały czas trwania wojny. Są na tej sali ludzie młodzi i wielce obiecujący. Rozjątrzyłbym ich tylko, gdybym chciał zatrzymać pod Troją. Sam muszę zostać tutaj, podobnie jak Idomeneusz, Odyseusz,

Nestor, Diomedes, Menestenes i Palamedes. Ty, Achillesie, jeden i drugi Ajaks, Teukros i Meriones, jesteście młodzi. Wam powierzę Drugą Armię. Główne dowództwo zlecam Achillesowi. Będziesz odpowiadał przede mną lub przed Odyseuszem. Wszystkie decyzje dotyczące czynnej walki albo spraw wewnątrz Assos – bez względu na rangę ludzi przybywających na półroczną służbę z Troi – będą należały do ciebie. Czy to jasne? Czy chcesz zostać głównym dowódcą?

Achilles skoczył na równe nogi, cały drżał. Z jego oczu – żółtych płonących jak u syna Heliosa – bił blask, który wprost oślepił.

– Panie, przysięgam na wszystkich bogów, że nigdy nie dam ci powodu, żebyś pożałował zaufania, jakim mnie obdarzyłeś.

– Zatem przyjmij ode mnie najwyższe dowództwo, synu Peleusa, i wybierz sobie zastępców – rzekł Agamemnon.

Spojrzałem na Odyseusza i pokręciłem z niedowierzaniem głową. Uniósł jedną rudą brew, jego szare oczy błyszczały. Poczekaj, już ja cię dopadnę! Niezła intryga, a niech cię.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

OPOWIEŚĆ HELENY

W cieniu murów Troi Agamemnon kamień po kamieniu wznosił nowe miasto. Codziennie, stojąc na balkonie, patrzyłam w dół na greckie siedziby, które rozsiadły się na brzegu Hellespontu. Trudzili się jak mrówki, tocząc głązy i układając w stosy ścięte pnie potężnych drzew. Budowali wały rozciągające się od połyskującego Simois po mętny Skamander. Za nimi mnożyły się budynki, wysokie baraki na zimowe kwatery dla żołnierzy, składy do przechowywania pszenicy i jęczmienia chroniące przed szczurami i wilgocią.

Odkąd przybyła tu grecka flota, moje życie stało się o wiele trudniejsze, choć nigdy nie było takie, jakim je sobie wyobrażałam, zanim dotarłam do Troi. Dlaczego nigdy na krosnach czasu nie widzimy swej przyszłości, choć jest ona tam przedstawiona i jawna? Powinnam wiedzieć. Powinnam to przewidzieć. Ale Parys był dla mnie wszystkim. Poza nim nie istniało dla mnie nic.

W Amyklaju byłam królową. To moja krew dawała Menelaosowi prawo do tronu. Lud Lakonii widział we mnie, córce Tyndarejosa, źródło swego dobrobytu i więzi z bogami. To było ważne. Lud oddawał mi pokłon, gdy jechałam ulicami Amyklaju na swym królewskim rydwanie. Składano mi hołd. Podziwiano. Byłam królową Heleną, jedyną z boskich czworaczków Ledy, która została w domu. Spoglądając wstecz, wspominałam, jak upływało tam moje życie – polowania, sporty, święta, uczyty, różnego rodzaju rozrywki. Wmawiałam sobie wtedy, że czas w Amyklaju wolno przecieka mi przez palce. Teraz jednak wiem, że dotąd nie miałam pojęcia, czym naprawdę jest nuda.

Po przybyciu do Troi na temat nudy dowiedziałam się wszystkiego. Tu nie jestem królową. Tutaj nie liczę się w żadnym układzie. Jestem żoną mniej ważnego królewskiego syna. Jestem wstrętną cudzoziemką. Tutaj jestem zmuszona przestrzegać reguł i przepisów, których nie wolno mi łamać, bo nie mam dość władzy ani autorytetu. I tutaj nie mam nic do roboty, nie mogę nigdzie pójść! Mogę pstryknąć w palce i przywołać rydwan, przejechać się po okolicy albo popatrzeć, jak bawią się mężczyźni lub musztrują żołnierzy. Nie mogę uciec z cytadeli. Ilekroć próbowałam wypuścić się do dolnego miasta, wszyscy protestowali, począwszy od Hekabe, a skończywszy na Antenorze. Twierdzili, że jestem rozpustna, niemoralna i kapryśna i chcę zabawiać się w podejrzanym dzielnicach. Czyż nie rozumiem, że gdy otoczą mnie mężczyźni w tawernie i zobaczą moje nagie piersi, będą chcieli mnie zgwałcić? Choć przyrzekłam je zakryć, Priam i tak się nie zgodził.

Moje apartamenty (Priam, jeśli chodzi o tę sprawę, był hojny – dostaliśmy z Parysem wygodne i piękne pokoje) oraz sale, w których gromadzą się dobrze urodzone kobiety z cytadeli, nagle stały się granicami mojego świata. Wtedy Parys, ten mój wspaniały Parys okazał się typowym, zwykłym mężczyzną. Postanowił chodzić – i chodził! – własnymi drogami. Nie zamierzał dotrzymywać żonie towarzystwa. Jestem tu dla miłości, a miłość bywa bardzo krótka, gdy kochankowie nie mogą się już o sobie dowiedzieć niczego nowego.

Grecy, wkroczywszy w moje życie – choć nadal się nudziłam – wszystko jeszcze pogorszyli. Ludzie widzieli we mnie zwiastunkę katastrofy i winili za najazd Agamemnona. Głupcy! Na początku próbowałam przekonywać dwór, że Agamemnon, choć byłam jego szwagierką, nie wyruszył na wojnę z powodu kobiety. O wojnie z Troją mówił już tej nocy, gdy kapłani poćwiartowali białego konia i oddano mnie Menelaosowi. Nikt mnie jednak nie słuchał. Nikt nie chciał mnie słuchać. To ja byłam przyczyną tego, że Grecy znaleźli się na brzegu Hellespontu. Ja byłam przyczyną, że za potężnymi

wałami wznosili miasto między połyskującym Simois a mętym Skamandrem. Wszystko to była moja wina!

Priam bardzo się martwił, biedny starzec. Siedział na skraju swojego tronu z kości słoniowej i złota, zamiast – jak miał w zwyczaju – zatopić się w nim wygodnie. Rwał sobie włosy z brody i co chwila posyłał człowieka do zachodniej wieży, aby przynosił mu raporty o tym, co robią Grecy. Od dnia, kiedy wkroczyłam do sali tronowej, jego emocje przeszły prawdziwą ewolucję – od radości, że dał prztyczka Agamemnonowi, po zwykle oszołomienie. Śmiał się, gdy nie widział oznak, że Grecy planują zostać. Był szczęśliwy, gdy nadeszła obietnica pomocy od sprzymierzeńców. Gdy jednak Grecy zaczęli wznosić wały obronne, jego twarz nachmurzyła się, a ramiona opadły.

Nawet go trochę lubiłam, choć brakowało mu siły i determinacji greckich królów. W Grecji mężczyzna musiał być bardzo silny, jeśli chciał utrzymać to, co do niego należało – albo mieć silnego brata. Od niepamiętnych czasów Troją rządzą przodkowie Priama. Jego lud kochał go tak, jak żaden lud w Grecji nie kochał swego króla. On jednak swoich obowiązków nie traktował poważnie, wiedząc, że i tak zachowa tron. Słowo bogów nie było dla niego tak cenne.

Stary Antenor, królewski szwagier, nigdy nie przestał na mnie narzekać. Nienawidziłam go nawet bardziej niż Priam, a to o czymś świadczy. Ilekroć Antenor zwracał na mnie swoje wodniste oczy, widziałam, jak płoną z nienawiści. Wtedy otwierały się jego usta i zaczynał gadać, gadać i gadać. Dlaczego nie chcę zakrywać swych piersi? Dlaczego uderzyłam służącą? Dlaczego nie zajmuję się kobiecymi pracami, jak tkanie czy hafciarstwo? Dlaczego wolno mi zostawać i słuchać narad mężczyzn? Dlaczego jawnie wygłaszam swoje zdanie, podczas gdy inne kobiety w ogóle nie mają nic do powiedzenia? Zawsze znalazło się coś do skrytykowania. Antenor dobrze się starał.

Kiedy skończono wały nad brzegiem Hellespontu, skończyła się także cierpliwość Priama.

– Bądź cicho, stary głupcze! – wyszczał. – Agamemnon nie przyszedł tu, by odzyskać Helenę. Myślisz, że on i podlegli mu królowie wydawaliby tyle pieniędzy tylko po to, żeby odebrać kobietę, która z własnej woli uciekła z Grecji? To Troi i Azji Mniejszej pragną, nie Heleny. Chcą na naszej ziemi założyć kolonie – chcą napęłnić swe skrzynie naszym złotem – chcą przez Hellespont puszcząć swoje statki do Euxinusa. Żona mojego syna jest tylko wymówką, niczym więcej. Zwrócenie jej Agamemnonowi jedynie by go rozbawiło. Zatem nie chcę więcej słyszeć o Helenie! Czy to jasne, Antenorze?

Antenor spuścił wzrok i złożony ukłon, pożegnał się.

Kraje Azji Mniejszej zaczęły przysyłać ambasadorów do Troi. Na kolejnym zebraniu, w którym uczestniczyłam, wprost się od nich roiło. Nie mogłam zapamiętać wszystkich nazw, takich jak Paflagonia, Cylicja, Frygia. Niektórzy przedstawiciele znaczyli dla Priama więcej, inni mniej, lecz żadnego nie zlekceważono. Jednak najgoręcej ze wszystkich Priam powitał delegację z Licji. Rządził nią Glaukos wraz ze swym kuzynem Sarpedonem. Parys, któremu kazano uczestniczyć w zebraniu, poinformował mnie szeptem, że Glaukos i Sarpedon są nierozłączni jak bliźniacy, a na dodatek są kochankami. Głupota wśród królów. Nie będą mieli żon, ale i następców.

– Bądź pewien, królu Glaukosie, że kiedy wypędzimy Greków z naszego wybrzeża, Licja dostanie wielki udział w łupach – powiedział Priam ze łzami w oczach.

Glaukos, stosunkowo młody mężczyzna (i bardzo przystojny), uśmiechnął się.

– Licja nie jest tutaj z uwagi na podział łupów, wuju Priamie. Król Sarpedon i ja pragniemy tylko jednego – zgnieść Greków

i odesłać z hukiem na ich stronę Morza Egejskiego. Handel jest dla nas ważną sprawą, ponieważ zajmujemy południowy kraniec tego półwyspu. Przez nasz kraj wiedzie trakt handlowy z północy na południe: na Rodos, Cypr, do Syrii i Egiptu. Licja jest osią. Uważamy, że powinniśmy trzymać się razem z konieczności, a nie z chciwości. Bądź pewien, że będziesz miał naszych żołnierzy oraz wszelką inną pomoc na wiosnę. Dwadzieścia tysięcy ludzi, wszyscy z pełnym ekwipunkiem i zaopatrzeniem.

Łzy spływały po policzkach Priama. Starzy ludzie łatwo się wzruszają.

– Najdroższy siostrzeńcze, z serca dziękuję tobie i Sarpedonowi.

Podchodzili teraz inni, niektórzy równie hojni jak Licja, inni targujący się o pieniądze czy przywileje. Priam obiecywał wszystkim to, czego chcieli, zatem lista sojuszników rosła. Pod koniec zastanawiałam się, jak Agamemnonowi uda się dotrzymać im pola. Kiedy wiosną przyszłego roku na topniejącym śniegu zakwitną krokusy, Priam miał wystawić na równinie dwieście tysięcy ludzi. Jeśli mój były szwagier nie będzie miał czegoś w zanadru, zostanie pokonany. Dlaczego zatem ciągle się martwię? Ponieważ znam swoich ludzi. Daj Grekowi kawałek sznura, a powiesi wszystkich znajdujących się w zasięgu wzroku. Nigdy sam siebie. Znałam doradców Agamemnona. A żyłam już w Troi wystarczająco długo, by wiedzieć, że król Priam nie posiadał doradców równych Nestorowi, Palamedesowi czy Odyseuszowi.

Och, jakże te spotkania były nudne! Uczestniczyłam w nich jedynie dlatego, że reszta mojego życia była jeszcze nudniejsza. Nikomu nie wolno było siedzieć z wyjątkiem króla, a z pewnością nie żadnej kobiecie. Bolały mnie nogi. Gdy przemówił w swoim dialekcie jakiś młodzik z Paflagonii, ubrany w coś, co wyglądało jak wyszywane skóry, nic nie zrozumiałam. Wędrowałam więc leniwie wzrokiem po tłumie, aż z tyłu sali trafiłam na człowieka, który najwyraźniej dopiero wszedł. Och, jaki miły! Bardzo miły!

Z łatwością torował sobie drogę przez tłum, wyższy od innych mężczyzn w sali, nie licząc Hektora, stojącego jak zwykle obok tronu. Przybysz odznaczał się władczością właściwą królom – i miał o sobie wysokie mniemanie. Przypominał mi nieodparcie Diomedesa. Szedł z takim samym wdziękiem i roztaczał wokół siebie surową aurę wojownika. Ciemne włosy i ciemne oczy, bogato odziany. Jego płaszcz niedbale zarzucony na ramiona, był podbity najpiękniejszym futrem, jakie kiedykolwiek widziałam, długim, miękkim i brązowo nakrapianym. U stóp tronu pokłonił się nieznacznie i sztywno, jak robi to król przed kimś, komu z trudnością oddaje pierwszeństwo.

– Eneasz! – powiedział Priam, z dziwnym tonem w głosie. – Szukałem cię od wielu dni.

– Oto jestem, panie! – odparł człowiek nazwany Eneaszem.

– Widziałeś Greków?

– Jeszcze nie, panie. Przybyłem przez Bramę Dardańską.

Nacisk na nazwę bramy z pewnością nie był pozbawiony znaczenia. Teraz sobie przypomniałam, gdzie słyszałam to imię. Eneasz był dziedzicem Dardanii. Jego ojciec, król Anchizes, władał południową częścią tej ziemi w mieście zwanym Lyrnessos. Priam zawsze szydził, gdy mówił o Dardanii, Anchizesie czy Eneaszu. Przypuszczam, że w Troi uważano ich za parweniuszki, choć jak powiedział mi Parys, Anchizes był kuzynem Priama, a oba królewskie domy – w Troi i w Lyrnessos – założył Dardanos.

– Sugeruję zatem, abys wyszedł na balkon i spojrzal na Hellespont – rzekł Priam z sarkazmem w głosie.

– Jak sobie życzysz.

Eneasz zniknął na kilka dobrych chwil i wrócił, wzruszając ramionami.

– Wygląda, jakby mieli zamiar zostać, prawda?

– Trafne spostrzeżenie.

Eneasza zignorował drwinę.

– Dlaczego mnie wezwałeś? – spytał.

– Czyż to nie oczywiste? Kiedy Agamemnon zatopi swój kiel w Troi, następna będzie Dardania z Lyrnessos. Pragnąłbym, żeby na wiosnę wasi żołnierze pomogli nam zmiażdżyć Greków.

– To nie Dardania ma zwadę z Grecją.

– Grecja już nie potrzebuje pretekstu. Szuka ziem, brązu i złota.

– No cóż, panie, widząc tu dziś ten wspaniały wieniec sojuszników, nie mogę zrozumieć, po co ci jeszcze ludzie z Dardanii. Jeśli twoja potrzeba będzie autentyczna, przyprowadzę armię. Ale nie na wiosnę.

– Moja potrzeba będzie autentyczna... na wiosnę!

– Wątpię.

Priam uderzył w posadzkę swoją laską z kości słoniowej. Szmaragd z jej główki błysnął na niebiesko.

– Chcę twoich ludzi!

– Nie mogę o niczym zapewnić bez wyraźnego pozwolenia mojego królewskiego ojca, panie, a takiego nie otrzymałem.

Wytracony z równowagi, Priam odwrócił od niego głowę. Kiedy tylko znaleźliśmy się sami, zżerana ciekawością, wypytałam Parysa o tę dziwną kłótnię.

– Co leży między twoim ojcem a księciem Eneaszem?

Parys pociągnął mnie leniwie za włosy.

– Rywalizacja.

– Rywalizacja? Przecież jeden rządzi Dardanią, a drugi Troją!

– Tak, ale istnieje przepowiednia, która mówi, że pewnego dnia

Eneasza będzie rządził Troją. Mój ojciec boi się słowa bogów. Eneasza również zna tę przepowiednię, zatem zawsze oczekuje, aby traktowano go jak następcę. Ale zważywszy na to, że mój ojciec ma pięćdziesięciu synów, postawa Eneasza jest śmieszna. Według mnie przepowiednia odnosi się do innego Eneasza, który zjawi się za jakiś czas, w przyszłości.

– Wygląda na prawdziwego mężczyznę – powiedziałam zamyślona. – Bardzo atrakcyjny.

Spojrzał na mnie swoimi jasnymi oczami.

– Nie zapominaj, Heleno, czyją jesteś żoną. Trzymaj się od Eneasza z daleka.

Uczucie między mną a Parysem zaczynało słabnąć. Jak mogło do tego dojść? Przecież zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. A jednak stało się. Chyba dlatego, iż wkrótce odkryłam, że mimo namiętności do mnie Parys nie mógł się powstrzymać od flirtowania. Każdego lata swawolił w okolicach góry Idy. Latem po moim przybyciu do Troi, a przed wyprawą Greków, zniknął na pełne sześć miesięcy. Kiedy w końcu wrócił, nawet nie przeprosił! Czyżby nie wiedział, co musiałam przecierpieć w czasie jego nieobecności?

Niektóre z kobiet na dworze robiły wszystko, co mogły, by uczynić moją egzystencję przykrą i nie do zniesienia. Królowa Hekabe brzydziła się mną, uważając za przyczynę nieszczęścia jej ukochanego syna. Żona Hektora, Andromacha, nienawidziła mnie, ponieważ zabrałam jej tytuł najpiękniejszej – i ponieważ przerażało ją to, że Hektor mógłby ulec moim wdziękom. Jakbym w ogóle o to zabiegała! Hektor był zarozumiałcem i nudziarzem, tak wyniosłym i sztywnym, że wkrótce uznałam go za najnudniejszego z nudnych na dworze.

Przerażała mnie natomiast księżniczka Kasandra. Przesuwała się po korytarzach i sieniach ze swymi czarnymi włosami zawsze dziko rozwianymi, z oszalałym wzrokiem i zmizerniałą, bladą twarzą.

Za każdym razem, gdy mnie widziała, wybuchała piskliwym potokiem obelżywych nonsensów. Jej słowa były tak poplątane, że nikt nie potrafił w nich dostrzec żadnej logiki. Byłam demonem. Byłam koniem. Byłam przyczyną złych rządów. Byłam w zмовie z Dardanią. Byłam w zмовie z Agamemnonem. Byłam upadkiem Troi. I tak dalej, i tym podobne. Denerwowała mnie, co wkrótce odkryły Hekabe i Andromacha. Zaczęły namawiać Kasandrę, aby na mnie czatowała. Miały nadzieję, oczywiście, że zamknę się w swych pokojach. Ale Helena jest zrobiona z mocniejszego niż one materiału. Zamiast chować się w swoim pokoju, nabrałam denerwującego zwyczaju chodzenia do sali rekreacyjnej, w której siadywały Hekabe, Andromacha i inne wysoko urodzone. Tam doprowadzałam je do szaleństwa, głaszcząc się po piersiach (są naprawdę wspaniałe) na ich pełnych oburzenia oczach (żadna z nich nie odsłoniłaby swych obwisłych woreczków). Kiedy to przestało działać, policzkowałam służące, rozlewałam mleko na ich okropne dywany i długie szaty, rozpoczynałam monolog o gwałtach, pożarach i grabieżach. Pewnego pamiętnego ranka tak bardzo rozwścieczyłam Andromachę, że rzuciła się na mnie z zębami i pazurami. Niestety, nie wiedziała, że Helena w młodości uprawiała zapasy i z łatwością potrafi poradzić sobie z taką dobrze odkarmioną panią. Podstawiłam jej nogę i trzasnęłam w oko, które przez prawie miesiąc było spuchnięte, zamknięte i czarne. Potem udając przerażenie, rozповідаłam wokoło, że zrobił to Hektor.

Parysowi bezustannie gderano, żeby mnie nauczył rozumu. Szczególnie dręczyła go matka. Ilekroć jednak chciał mnie napominać albo błagał, żebym była miłsza, śmiałam się z niego i przedstawiałam mu całą litanię obelg, którymi karmiły mnie tamte kobiety. Wszystko to sprawiało, że widywałam Parysa coraz rzadziej i rzadziej.

Pierwsze oznaki niepokoju pojawiły się na trojańskim dworze na początku zimy. Poszły plotki, że Grecy zniknęli z plaży i najeżdżają całe wybrzeże Azji Mniejszej, uderzają na miasta i osady

nawet bardzo od siebie oddalone. Gdy wysłano uzbrojone oddziały, aby zbadały plażę, znalazły Greków jak najbardziej obecnych, gotowych do wyjścia w pole i na potyczki. Mimo to w środku zimy plotka o najazdach potwierdziła się. Sojusznicy Priama po kolei powiadamiali, że nie mogą już dotrzymać obietnicy przysłania wojsk na wiosnę. Zagrożone były ich własne ziemie. Spłonął Tars w Cylicji. Jego mieszkańcy nie żyli albo zostali sprzedani w niewolę. Spalone zostały pola i pastwiska na pięćdziesiąt mil wokół, ziarno zabrano i załadowano na greckie statki, bydło zabito i uwędzono w cylickich wędzarniach dla greckich brzuchów. Świątynie ograbiono ze skarbów, pałac króla Eetiona splądrowano. Następna była Myzja. Lesbos posłało jej pomoc i po Myzji ono z kolei zostało zaatakowane. Mytilene starto z powierzchni ziemi. Lesbijczycy lizali swe rany. Zastanawiali się, czy nie polityczniej byłoby przypomnieć sobie, że połowa ich przodków była grecka, i opowiedzieć się za Agamemnonem. Gdy padły Priene i Milet w Karii, panika wzrosła. Nawet Sarpedon i Glaukos, podwójni królowie, zostali zmuszeni do pozostania w domu, w Licji. O kolejnych napadach dowiadaliśmy się w zupełnie nowy sposób. Wiadomość przynosił grecki herold, który stawał pod Bramą Skajską. Wykrzykiwał swoje wieści dla Priama kapitanowi zachodniej wieży. Wyliczał, co zostało zabrane z miasta, liczbę zabitych mieszkańców, liczbę kobiet i dzieci sprzedanych do niewoli, wartość łupów, liczbę korców ziarna. I zawsze swoją wiadomość kończył tymi samymi słowami:

– Powiedz Priamowi, królowi Troi, że przysłał mnie Achilles, syn Peleusa!

Trojanie czuli strach już na samo wspomnienie jego imienia. Na wiosnę Priam musiał pokornie znosić obecność greckiego obozu. Żadne sojusznicze wojska nie przybyły, by zasilić jego szeregi, nie było też pieniędzy na kupno najemników od Hetytów, Asyrii czy Babilonu. Zaczęto uważnie liczyć trojańskie złoto, gdyż to Grecy teraz pobierali myto na Hellesponcie.

Do trojańskich serc i domów wniknęła jakaś szarość. A jako że byłam jedyną Greczynką w cytadeli, wszyscy, począwszy od Priama, a skończywszy na Hekabe, pytali mnie, kim jest Achilles. Powiedziałam im tyle, ile mogłam sobie przypomnieć. Kiedy wyjaśniałam, że to dopiero młodzik – choć wspaniałej postury – nie wierzyli mi.

Z biegiem czasu strach przed Achillosem jeszcze wzrósł i samo wspomnienie jego imienia sprawiało, że Priam bladł. Tylko Hektor nie okazywał lęku. Palił się, by spotkać Achillesea. Oczy mu płonęły, a ręka szukała sztyletu, ilekroć grecki herold przybywał do Bramy Skajskiej. W istocie spotkanie z Achillosem stało się jego obsesją i składał ofiary na każdym ołtarzu, modląc się o szansę zabicia go. Pewnego dnia zaczął mnie o niego wypytywać, ale nie uwierzył w moją odpowiedź.

Jesienią następnego roku Hektor stracił cierpliwość i błagał ojca, aby pozwolił mu wyprowadzić trojańską armię na zewnątrz.

Priam popatrzył na niego, jakby jego dziedzic oszalał.

– Nie, Hektorze.

– Panie, nasi zwiadowcy ustalili, że Grecy, którzy pozostali na plaży, to połowa sił! Możemy ich pobić! A kiedy to nam się uda, wojsko Achillesea będzie musiało wrócić do Troi! Wtedy ich pokonam!

– Albo oni pokonają ciebie.

– Panie, przewyższamy ich liczebnie! – zawołał Hektor.

– Nie wierzę w to.

Zaciskając dłonie, Hektor próbował znajdować wciąż nowe argumenty, by przekonać przerażonego starca o swojej racji.

– Zatem, panie, pozwól mi iść do Eneasza do Lyrnessos – Dardanie plus nasze siły przewyższą liczebnie Agamemnona!

– Eneasze nie ma zamiaru mieszać się w nasze problemy.

- Eneasza mnie wysłucha, ojczy.

Priam wyprostował się rozwścieczony.

- Mam pozwolić, by mój syn i następca błagał Dardan o pomoc? Czyżbyś oszalał, Hektorze? Raczej wolałbym umrzeć, niż kłaniać się i podlizywać Eneasziowi!

W tym momencie spostrzegłam Eneasza. Dopiero wszedł do sali tronowej, ale usłyszał wystarczająco dużo z rozmowy na podwyższeniu. Miał ściągnięte usta, jego wzrok wędrował od Priama do Hektora, ale nie można było rozpoznać jego myśli. Zanim dostrzegł go ktoś ważny - ja nie byłam ważna - odwrócił się i wyszedł.

- Pani - powiedział Hektor z rozpaczą - nie możesz oczekiwać, że na zawsze zostaniemy w tych murach! Grecy zamierzają obrócić naszych sojuszników w popiół! Nasz majątek wisi na włosku, dochody zmalowały, a zaopatrzenie kosztuje coraz więcej. Jeśli nie chcesz pozwolić mi wyprowadzić całej armii na zewnątrz, to przynajmniej pozwól mi poprowadzić nasze oddziały zwiadowcze i skończyć z tymi wypadami pod nasze mury. To nas znieważa!

Priam zachwiał się. Oparł brodę na ręce i przez dłuższy czas myślał. Potem westchnął i powiedział:

- Bardzo dobrze. Zabierz się do musztrowania ludzi. Jeśli przekonasz mnie, że to niegłupi plan, możesz prosić, o co zechcesz.

Twarz Hektora rozjaśniła się.

- Pani, nie rozczarujemy cię.

- Mam nadzieję - powiedział Priam zmęczonym głosem.

Nagle w sali tronowej ktoś się roześmiał. Obejrzałam się i zdumiałam. Myślałam, że Parysa znowu nie ma. Ale był - stał, śmiejąc się beznadziejnie. Twarz Hektora pociemniała, zszedł z podium i przepychał się przez tłum.

– Co w tym takiego zabawnego, Parysie?

Mój mąż nieco spoważniał, zarzucił rękę na plecy Hektora.

– Oj, Hektorze! Palisz się do wojaczki, podczas gdy masz tak piękną żonę w domu. Jak można woleć wojnę od kobiety?

– Ponieważ – odpowiedział Hektor z namysłem – jestem mężczyzną, Parysie, a nie fircykiem.

Skamieniałam. Mój mąż był nie tylko głupcem, ale i tchórzem. Och, co za upokorzenie! Czując wszystkie te pogardliwe spojrzenia na sobie, wyszłam.

Dwaj piękni głupcy – ja i Parys. Poświęciłam swój tron, wolność i dzieci – dlaczego w ogóle mi ich nie brakuje? – by żyć w więzieniu z pięknym głupcem, który był na dodatek tchórzem. Dlaczego mi ich nie brakuje? Odpowiedź jest prosta. One należą do Menelaosa, i gdzieś w mojej głowie musiałam teraz umieścić Menelaosa, moje dzieci i Parysa w tym samym towarzystwie. Czy istnieje gorszy los dla kobiety od tego, że nikt w jej życiu nie jest jej wart?

Brakowało mi świeżego powietrza, wyszłam więc na dziedziniec znajdujący się pod moimi apartamentami. Chodziłam tam i z powrotem, aż mój ból zmalął. Odwróciwszy się gwałtownie, zderzyłam się z mężczyzną idącym w przeciwną stronę. Instynktownie wyciągnęliśmy przed siebie ręce. Trzymał mnie przez chwilę na wyciągnięcie ramion, ciekawie przyglądając się mojej twarzy. Ostatnie ślady jego gniewu zamierały w ciemnych oczach.

– Ty musisz być Helena – powiedział.

– A ty Eneasz.

– Tak.

– Nie bywasz w Troi zbyt często – powiedziałam, czerpiąc radość z patrzenia na niego.

– Czy widzisz choć jeden powód, dla którego powinienem to

robić?

Nie było sensu udawać. Uśmiechnęłam się.

– Tak.

– Podoba mi się twój uśmiech, ale jesteś rozgniewana – powiedział. – Dlaczego?

– To moja sprawa.

– Jakaś kłótnia z Parysem?

– Wcale nie – odpowiedziałam, kręcąc głową. – Klócić się z Parysem jest tak samo trudno, jak złapać rtęć.

– To prawda.

Zaczął gładzić moją lewą pierś.

– Interesująca moda, obnażanie ich. One rozpalają mężczyzn, Heleno.

Spuściłam powieki, a moje usta uniosły się w kącikach.

– Dobrze to wiedzieć – powiedziałam niskim głosem. Spodiewając się pocałunku, przysunęłam się do niego z oczami ciągle zamkniętymi. Kiedy jednak niczego nie poczułam, otworzyłam je i stwierdziłam, że odszedł.

Oho, nuda należała do przeszłości. Nazajutrz poszłam na kolejne zebranie, zamierzając uwieść Eneasza. Ale go nie było. Kiedy zapytałam Hektora, bardzo ostrożnie, co stało się z kuzynem z Dardanii, powiedział, że Eneasza objuczył w nocy swoje konie i wrócił do domu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

OPOWIEŚĆ PATROKLESA

Kraje Azji Mniejszej opatrywały swoje rany. Posępnie kulily się pod rozległymi górami, które należały do Hetytów. Bały się ruszać do Troi i bały się zebrać w jakimkolwiek innym miejscu, ponieważ nie miały pojęcia, gdzie my, Grecy, uderzymy następnym razem. Właściwie pokonaliśmy je, wypływając na pierwszą kampanię. Mieliśmy wszystkie możliwe korzyści, żeglując wzdłuż wybrzeża na tyle daleko, żeby nie zostać wyśledzonym z lądu. Byliśmy ruchliwi, podczas gdy oni poruszali się z trudem, gdyż na tych ziemiach nie było dróg między osadami, leżącymi w dolinach rzek między wyboistymi pasmami. Państwa Azji Mniejszej komunikowały się drogą morską, a morzem władaliśmy my.

Podczas pierwszego roku przechwyciliśmy wiele statków wiozących broń i żywność dla Troi, ale konwoje te ustały, gdy uświadomiono sobie, że to nie Trojanie, tylko Grecy z nich korzystają. Byliśmy dla nich zbyt liczni. Żadne z miast rozsianych wzdłuż bardzo długiego wybrzeża nie było na tyle silne, by pokonać nas w bitwie, a ich mury nie były dość mocne, by nas powstrzymać. W ten sposób w ciągu dwóch lat zawładnęliśmy dziesięcioma miastami, tak dalekimi jak Tars w Cylicji i tak bliskimi jak miasta Myzji i Lesbos.

Kiedy wypływaliśmy w morze, Feniks zawsze oddawał dowództwo linii zaopatrzeniowej między Assos a Troją swemu zastępcy i żeglował z nami na czele dwustu pustych statków, przeznaczonych na łupy. Ich brzuchy płynęły nisko w wodzie, kiedy uwalnialiśmy nasze żagle od dymu płonącego miasta, a statki z naszymi żołnierzami skrzypiały pod ciężarem łupów. Achilles był bezwzględny. Nie zostawiał za sobą nikogo, kto mógłby spłodzić przyszły opór. Ci, których nie mogliśmy wziąć do niewoli czy

sprzedać do Egiptu i Babilonu, byli zabijani – staruchy i wyschnięci mężczyźni, tacy, z których nie mogło być żadnego pożytku. Całe wybrzeże nienawidziło jego imienia, a ja w głębi serca rozumiałem tę ich nienawiść.

Rozpoczął się nasz trzeci rok. Assos leniwie wracało po zimie do życia. Śnieg zaczynał topnieć, a na drzewach pojawiły się pączki. Nie było między nami kłótni czy różnic zdań, ponieważ dawno zapomnieliśmy o wszelkich lojalnościach z wyjątkiem jednej – należymy do Achillesa i Drugiej Armii.

W Assos swe kwatery miało sześćdziesiąt pięć tysięcy mężczyzn. Wśród nich był rdzeń dwudziestu tysięcy weteranów, którzy nigdy nie wracali do Troi, trzydzieści tysięcy, którzy zostawali z nami na czas jednej kampanii, oraz piętnaście tysięcy wszelkiego rodzaju kupców i rzemieślników, spośród których część pozostawała w Assos przez okrągły rok. Kiedy flota wypływała, w Assos stacjonował jeden ze stałych dowódców na wypadek ataku z Dardanii. Nawet Ajaks musiał przesiedzieć swoją kolejkę, jedynie Achilles zawsze wypływał. A ja z nim, ponieważ nie chciałem się z nim rozstawać. Był gwałtownym dowódcą, który nigdy nie darował życia w walce ani nie słuchał próśb o poddanie się. Kiedy zakładał zbroję, stawał się nieprzejednany i zimny jak północny wiatr. Celem naszego istnienia, jak nam powiadał, było zapewnienie greckiego panowania. Nie wolno nam było zostawiać żadnej opozycji, mogącej zagrozić greckiemu ludowi, który pewnego dnia przyśle tu ludzi, by skolonizować Azję Mniejszą.

Kiedy wpływaliśmy do portu Assos po późnozimowej kampanii w Licji (wydawało się, że Achilles ma jakiś pakt z bogami morza, ponieważ pływaliśmy bezpiecznie zarówno zimą, jak i latem), na plaży czekał na nas Ajaks. Na powitanie radośnie zamachał, by zasygnalizować, że w trakcie naszej nieobecności nic złego się nie stało. Widać palił się, by wrócić do wojaczki. Wiosna trwała na dobre, trawa była wysoka do kostek, na łąkach kwitły wiosenne

kwiaty. Konie skakały i swawoliły na pastwiskach. Powietrze było łagodne i uderzało do głowy jak nie rozcieńczone wino. Nabierając w płuca pachnącego domem powietrza, gramoliliśmy się na burty i skakaliśmy na kamyki plaży.

Rozdzieliliśmy się, by spotkać się później. Ajaks oddalił się z Małym Ajaksem i Teukrosem, zarzuciwszy im na plecy swoje potężne ramiona. Przed nimi kroczył Meriones ze swoją kreteńską wyniosłością. Ja szedłem z Achillesem zadowolony, że jestem znowu w Assos. Kobiety w czasie naszej nieobecności nie próżnowały, blade kielki na ich ogrodowych grządkach zapowiadały zioła i jarzyny do garnków i girlandy z kwiatów na nasze głowy. Piękne miejsce to Assos, zupełnie inne od ponurego wojennego obozu, który zbudował Agamemnon pod Troją. Baraki były rozrzucone przypadkowo wśród drzew, a ulice nie były podobne do ulic zwykłego miasta. Oczywiście byliśmy bezpieczni. Otaczał nas mur, palisada i rowy, wysokie na dwadzieścia łokci, zawsze strzeżone, nawet w najchłodniejszych miesiącach zimy. Nie dlatego, żebyśmy interesowali naszego najbliższego wroga, Dardanę. Doszły nas plotki, że jej król, Anchizes, nigdy nie zgadzał się z Priamem.

Wszędzie, w całym obozie, było pełno kobiet, niektóre w ciąży. Przez zimę przybyła spora gromadka dzieci. Lubilem je oglądać z matkami, gdyż ich widok rozpraszał ból wojny i pustkę zabijania. Wśród tych dzieci nie było moich ani Achilleśsa. Uważam kobiety za interesujące stworzenia, tylko nie czuję do nich pociągu. Wszystkie one były wojennymi brankami. Kiedy jednak mijał pierwszy szok i dezorientacja, potrafiły zapomnieć o życiu, jakie wiodły w przeszłości, czy o mężczyznach, których wtedy kochały. Zadomawiały się i zaczynały znowu kochać, zakładać nowe rodziny i być małżonkami Greków. No cóż, one nie są wojownikami. Są nagrodą wojowników. Śmiem twierdzić, że tego kobiecego realizmu uczyły je matki, gdy były jeszcze małymi dziewczynkami. Kobiety zakładają gniazda, zatem gniazda są dla nich najważniejsze. Oczywiście, zawsze było kilka, które nie mogły zapomnieć,

opłakiwały i nosiły żałobę. Ale one nie zostawały w Assos, wysyłano je do pracy na tłustych, błotnistych polach, gdzie Eufrat prawie styka się z Tygrysem, i tam, jak sędzę, umierały, nie przestając płakać.

W naszym domu największym pomieszczeniem była sień, która służyła jako salon i pokój narad. Weszliśmy z Achillem jednocześnie, a nasze ramiona zetknęły się, ocierając się z drugiej strony o framugi drzwi. Wywołało to we mnie dreszcz przyjemności – oto dowód tego, kim się staliśmy. Przywódcami, panami.

Zawsze sam zdejmowałem zbroję, podczas gdy Achilles pozwalał się rozbierać kobietom. Stał niczym wieża, a tuzin kobiet rozwiązywało rzemyki i sprzączki. Ilekroć zauważały nową, czarną wstęgę na pół zagojonej rany, cmokały. Nigdy nie mogłem się zmusić, by niewolnice mnie rozbierały. Widziałem ich twarze, kiedy wybieraliśmy z łupów część naszego udziału. Ale Achillesa to nie obchodziło. Pozwalał im brać swój miecz i sztylet, nie zdając sobie sprawy, że któraś z nich mogłaby kiedyś go zwrócić przeciw niemu, gdy tak stał bezbronny. Patrzyłem na nie z przesadną ostrożnością, ale musiałem przyznać, że niebezpieczeństwo takiego wypadku było mało prawdopodobne. Od najmłodszej po najstarszą, wszystkie się w nim kochały. Nasze wanny były już napełnione ciepłą wodą, a obok leżały świeże bluzy i kilty.

Po kąpieli, kiedy nalano nam wina i usunięto resztki posiłku, Achilles zwolnił kobiety i położył się z westchnieniem. Obaj byliśmy zmęczeni, jednak nie było sensu spać, przez okna wpadało bowiem światło dnia i najprawdopodobniej za chwilę przyjdą przyjaciele.

Achilles był cichy przez cały dzień. Nie było to niczym niezwykłym – tylko że dzisiejsze leżenie oznaczało, że mi się oddalał. Nie lubiłem u niego tych nastrojów. To tak, jakby udawał się gdzieś, dokąd ja nie mogłem za nim pójść. Odchodząc do świata samotności, zostawiał mnie płaczącego na próżno pod drzwiami. Przysunąłem się, by dotknąć jego ramienia, bliżej niż zamierzałem.

– Achillesie, nie pijesz wina?

– Nie mam ochoty.

– Źle się czujesz?

Pytanie go zaskoczyło.

– Nie. Czyżby to była oznaka choroby, kiedy człowiek nie chce pić wina?

– Nie. Raczej złego nastroju, jak sądzę.

Westchnął głęboko, przyglądając się pomieszczeniu.

– Podoba mi się ten pokój bardziej niż inne, które znałem. Jest naprawdę mój. Ponieważ wszystkie znajdujące się w nim rzeczy zdobyłem swoim mieczem. On mi mówi, że jestem Achillesem, a nie synem Peleusa.

– Tak, to piękny pokój – powiedziałem.

Nachmurzył się.

– Piękno to pobłażanie zmysłom, gardzę nim jako czymś słabym. Nie, lubię ten pokój, ponieważ jest moim trofeum.

– Wspaniałym trofeum – strzelełem.

Zignorował ten banał, wycofując się głębiej. Spróbowałem znowu go przywołać.

– Mimo że znamy się tyle lat, mówisz rzeczy, których nie rozumiem. Chyba lubisz piękno w niektórych jego przejawach? Żyć i uważać to za słabość, to nie życie, Achillesie.

Chrząknął.

– Nie ma dla mnie znaczenia, jak żyję albo jak długo będę żyć, jeśli tylko zapewnię sobie sławę. Ja będę w grobie, lecz ludzie nigdy o mnie nie zapomną. – Jego nastrój znowu się zmienił. – Czy sądzisz, że staram się zyskać sławę w niewłaściwy sposób?

– To sprawa między tobą a bogami – odparłem. – Nie zgrzeszyłeś przeciw nim – nie zabijałeś płodnych kobiet ani dzieci zbyt małych, by mogły nosić broń. To nie grzech oddawać je w niewolę. Nie morzyłeś też nikogo głodem. Choć masz ciężką rękę, nigdy nie popełniła zbrodni. Jestem bardziej miękki od ciebie, i tyle.

Pojawił się uśmiech.

– Nie doceniasz się, Patroklesie. Kiedy wkładasz miecz w swoją dłoń, jesteś tak samo twardy jak każdy z nas.

– Bitwa to co innego. W bitwie mogę zabijać bez litości. Ale potem czasami mam czarne i ciężkie sny.

– Podobnie jak ja. Ifigenia przed śmiercią mnie przekleła.

Niezdolny podtrzymać rozmowę, odpłynął. Patrzyłem na niego, gdyż niczego bardziej nie lubiłem robić. Wiele jego cech przekraczało moje zrozumienie, choć znałem go jak nikt inny. Posiadał zdolność rozkochiwania w sobie ludzi, czy to Myrmidonów, czy wziętych do niewoli kobiet – czy wreszcie mnie. Przyczyna nie leżała w jego atrakcyjności fizycznej. U niego wygląd był fasadą ducha, przestrzeni, której innym mężczyznom zawsze jakby brakowało.

Od czasu, gdy trzy lata temu wypłynęliśmy do Aulidy, stał się skrajnie zamknięty w sobie. Zastanawiałem się, czy jego żona rozpozna go, gdy się spotkają. Oczywiście jego kłopoty swe korzenie miały w śmierci Ifigenii. Rozumiałem to i sam podobnie czułem. Ale nie wiedziałem, dokąd uciekają jego myśli, ani nie znałem najgłębszych pokładów jego rozumu.

Nagły powiew zimnego wiatru poruszył draperiami po obu stronach okna. Zadrzałem. Achilles nadal leżał na boku, z głową wspartą na ręce, ale wyraz jego twarzy zmienił się. Zawołałem go ostro po imieniu. Nie odpowiedział.

Nagle zaalarmowany zeskoczyłem ze swojego tapczanu, by

przysiąc obok niego. Położyłem rękę na jego nagim ramieniu, ale tego nie poczuł. Moje serce śpiewało. Spojrzałem na skórę pod moją dłoń i pochyliłem głowę, aż moje wargi dotknęły jego ręki. Łzy spływały z moich powiek w takiej obfitości, że jedna spadła na jego ramię. Przerażony, cofnąłem usta, a on wzdrygnął się i odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. Sprawiał wrażenie, jakby w tej chwili po raz pierwszy zobaczył Patroklesa.

Otworzył tę biedną bezwargą szczelinę, chcąc coś powiedzieć, ale żadne słowo nie padło. Wzrokiem powędrował do otwartych drzwi i powiedział:

– Matka.

Przerażony zobaczyłem, że toczy pianę, jego lewa ręka drżała, a lewa strona twarzy wykrzywiła się. Potem spadł z kanapy na podłogę i zeszywniał. Jego plecy wygięły się w łuk, oczy miał ślepe i białe. Myślałem, że zaraz umrze. Skoczyłem na podłogę, by go przytrzymać. Poczekalem, aż szerniała twarz stała się szara i znikły drgawki. Kiedy wszystko się skończyło, otarłem ślinę z jego ust, kołysałem go delikatnie i gładziłem po mokrych od potu włosach.

– Co to było, Achillesie?

Patrzył na mnie chmurnie, z wolna wracała mu świadomość. Potem westchnął jak wyczerpane dziecko.

– Matka przyszła i przyniosła swój czar. Myślę, że przez cały dzień przeczuwałem jej nadejście.

Czar! To był ten czar? Według mnie wyglądało to na atak padaczki. Znani mi ludzie, którzy na nią cierpieli, zawsze stopniowo tracili sprawność umysłową, aż w końcu popadali w szaleństwo i wkrótce umierali. To, co dotykało Achillesa, nie atakowało jego mózgu, nie zdarzało się też często. Sądzę, że był to pierwszy atak od czasu Skyros.

– Po co przyszła, Achillesie?

– Aby mi przypomnieć, że umrę.

– Nie wolno ci tak mówić! Skąd możesz wiedzieć? – Pomogłem mu się podnieść, położyłem go na tapczanie i usiadłem obok. – Widziałem cię, kiedy byłeś pod wpływem tego czaru, Achillesie, wyglądało to na atak epilepsji.

– Może to i epilepsja. Jeśli tak, to zesłała mi ją matka, by mi przypomnieć o mojej śmiertelności. I ma rację. Muszę zginąć, zanim Troja upadnie. Ten czar jest przedsmakiem śmierci, życia pod postacią cienia, który o nic nie dba i jest nieczuły. – Ściągnął usta. – Długie i gnuśne albo krótkie i pełne chwały. To żaden wybór, ale ona widać tego nie rozumie. Jej nawiedzenia i czary niczego nie mogą zmienić. Wyboru dokonałem już na Skyros.

Odwróciłem się i zakryłem twarz ramieniem.

– Nie oplakuj mnie, Patroklesie. Wybrałem taki los, jakiego chciałem.

Otarłem oczy dłonią.

– Nie płaczę nad tobą, ale nad sobą.

Choć nie patrzyłem na niego, wyczułem w nim zmianę.

– Płynie w nas ta sama krew – powiedział. – Zanim spadł na mnie czar, zobaczyłem w tobie coś, czego przedtem nigdy nie widziałem.

– Moją miłość do ciebie – rzekłem ze ściśniętym gardłem.

– Tak. Przykro mi. Musiałem cię wiele razy zranić, o niczym nie wiedząc. Dlaczego jednak płaczesz?

– Płaczemy zawsze, ilekroć nasza miłość nie jest odwzajemniona.

Wstał z tapczanu i wyciągnął do mnie obie ręce.

– Odwzajemniam twoją miłość, Patroklesie – powiedział. –

Zawsze odwzajemniałem.

– Jednak nie jest to miłość mężczyzny do mężczyzny, a takiej właśnie pragnę.

– Może tak by się stało, gdybyśmy wybrali długie, gnuśne życie. Ale nawet teraz nie jestem przeciwny, by cię kochać. Obaj jesteście na wygnaniu, i cieszę się bardzo, że możemy dzielić to wygnanie duchem i ciałem – rzeki Achilles.

I tak oto staliśmy się kochankami, choć nie znalazłem w tym ekstazy, o jakiej marzyłem. Czy było to w ogóle możliwe? Achilles palił się do wielu rzeczy, ale zaspokojenie cielesnych potrzeb nigdy do nich nie należało. Nieważne. Miałem go bardziej niż jakakolwiek kobieta i w końcu znalazłem pewien rodzaj zadowolenia. Miłość tak naprawdę nie jest cielesna. Miłość to wolność, dzięki której możemy wędrować po sercu i duchu ukochanego.

W piątym roku mieliśmy wreszcie odwiedzić Troję i Agamemnona. Oczywiście płynąłem z Achillesem, zabrał też Ajaksa i Merionesa. Byłem świadom, że zbyt długo odkładał tę wizytę, ale, jak sądzę, i teraz do niej by nie doszło, gdyby nie musiał naradzić się z Odyseuszem. Kraje Azji Mniejszej stały się bardziej ostrożne, wymyśliły strategie, przewidujące nasz atak.

Długa, połyskująca plaża między Simois i Skamandrem nie przypominała w ogóle miejsca, które opuszczaliśmy cztery lata temu. Zniknęła jej prowizoryczna, tymczasowa aura, wszędzie było widać trwałość i celowość. Fortyfikacje były praktyczne i dobrze zaprojektowane. Do obozu wiodły dwa wejścia, jedno przy Skamandrze, a drugie przy Simois. Przez fosę przerzucono dwa kamienne mosty prowadzące do dwóch wielkich bram.

Ajaks i Meriones swój okręt wciągnęli na plażę bliżej Simois, a my z Achillesem wpłynęliśmy w górę Skamandra. Tam znaleźliśmy baraki, które zbudowano dla Myrmidonów na wypadek ich powrotu. Szliśmy główną drogą, przecinającą cały obóz, w poszukiwaniu

nowego domu Agamemnona, który, jak nas poinformowano, był bardzo duży.

Mężczyźni opatrywali rany, wygrzewając się na słońcu, inni radośnie gwizdali, konserwując skórzane zbroje olejem albo polerując brązy, niektórzy zdzierali purpurowe pióra z trojańskich hełmów, których chcieli używać podczas bitwy. Ruchliwe, szczęśliwe miejsce mówiące nam, że żołnierze, którzy zostali w Troi, nie próżnowali.

W chwili, kiedy przybyliśmy, z domu Agamemnona wyłonił się Odyseusz. Kiedy nas ujrzał, oparł swoją włócznię o portyk i uśmiechnięty otworzył szeroko ramiona. Na jego krzepkim ciele przybyły dwie albo trzy świeże blizny – otrzymał je w otwartej walce czy podczas jednej ze swych nocnych eskapad? Był jedynym przebiegłym człowiekiem, jakiego znałem, który nie bał się ryzykować życia czy zdrowia w bitwie. Może dlatego, że był rudy, a może dlatego, że sądził, iż dzięki Pallas Atenie nic mu się nie stanie.

– Akurat na czas! – wykrzyknął, ściskając nas. A do Achillesa zawołał: – Witaj, niezwyciężony bohaterze!

– Niezbyt trafne. Kraje nadmorskie nauczyły się przewidywać moje nadejścia.

– Porozmawiamy o tym później. – Odwrócił się, by nam towarzyszyć do środka. – Muszę ci podziękować za twoje względy, Achillesie. Przysyłałeś nam hojne dary i kilka pięknych kobiet.

– My w Assos nie jesteśmy chciwi. Wygląda jednak, że tutaj też nie próżnowaliście. Dużo walki?

– Dość, by utrzymać wszystkich w formie. Hektor prowadzi nieprzyjemne ataki.

Achilles spojrzał nagle czujny.

– Hektor?

– Następca Priama i przywódca Trojan.

Agamemnon łaskawie okazał zadowolenie, mogąc nas powitać przed połową swego wojska, ale nie zachęcał nas do spędzenia z nim poranka. Achilles również nie miał na to ochoty. Odkąd usłyszał imię Hektora, paliło go, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Przepuszczał, że Agamemnon nie jest właściwą osobą, którą można by o niego wypytać.

Żaden z nich się nie zmienił ani nie postarzał, nie licząc kilku świeżych blizn. Nestor wyglądał jakby młodszy. Był w swoim żywiole, ciągle zajęty i podekscytowany. Idomeneusz stał się mniej leniwy, co poprawiło mu figurę. Tylko Menelaos chyba nie skorzystał na obozowym życiu. Nadal tęsknił za Heleną, biedaczek.

Gościliśmy u Odyseusza i Diomedesa, którzy także zostali kochankami. Częściowo dla wygody, częściowo z wzajemnej sympatii. Kobiety stanowią komplikację, kiedy mężczyźni prowadzą wojenny tryb życia. Poza tym dla Odyseusza, jak sędzę, nie istniała inna kobieta oprócz Penelopy. Co prawda, z jego opowiadań wynikało, że uwiódł kilka trojańskich kobiet dla uzyskania informacji. Opowiedział nam też o życiu w szpiegowskiej kolonii. Zdumiewające. Żadna plotka o niej nigdy do nas nie dotarła.

– Na bogów – rzekł Achilles – gdyby oni wiedzieli! Jednak nawet ja o niczym nie wiedziałem ani nikt, z kim miałem styczność.

– Nawet Agamemnon nic nie wie – rzekł Odyseusz.

– Z powodu Kalchasa? – spytałem.

– Sprytnie to odgadłeś, Patroklesie. Nie ufam temu człowiekowi.

– Ani on, ani Agamemnon niczego się od nas nie dowiedzą – rzekł Achilles.

Zostaliśmy w Troi miesiąc. Przez ten czas Achilles myślał tylko o jednym: jak spotkać Hektora.

– Lepiej o tym zapomnij, chłopcze – rzekł Nestor pod koniec

kolacji, którą Agamemnon wydawał na naszą cześć. – Możesz stracić całe lato i go nie zobaczysz. Jego wypadki są rzadkie. Trudno je przewidzieć mimo tajemniczej wiedzy Odyseusza na temat tego, co się dzieje w Troi. W tej chwili my również nie planujemy żadnych wypadków.

– Wypadków? – Achilles popatrzył zaalarmowany. – Macie zamiar wziąć miasto pod moją nieobecność?

– Nie, nie! – zawołał Nestor. – Nie mogliśmy zaatakować Troi, nawet gdyby jutro zawałiła się Zachodnia Kurtyna. Masz lepszą część wojsk w Assos, i dobrze o tym wiesz. Wracaj do siebie! Czekanie tu na Hektora jest bezowocne.

– Nie ma nadziei, aby Troja padła podczas twojej nieobecności, książę Achillesie – odezwał się cichy głos za nami. Kapłan Kalchas.

– Co masz na myśli? – spytał Achilles, najwyraźniej wytrącony z równowagi przez jego skośne różowe oczy.

– Żeby Troja padła, konieczna jest twoja obecność. Tak mówi wyrocznia.

Odszedł, jego purpurowa szata zaszeleściła złotem i kamieniami. Odyseusz miał rację, utrzymując niektóre swoje działania w sekrecie. Nasz arcykról nadzwyczaj cenił sobie tego człowieka. Kapłan miał wspaniałą rezydencję w sąsiedztwie i wybierał wszystkie najlepsze kobiety, jakie przysyłaliśmy z Assos. Diomedes mówił mi, że Idomeneusz strasznie się wściekł, gdy Kalchas zażądał kobiety, która mu się podobała. Przedstawił swoją sprawę na radzie i zmusił Agamemnona, by odebrał ją Kalchasowi i dał swemu współdowódcy.

Achilles opuszczał Troję rozczarowany. Podobnie było z Ajaksem. Obaj waleśali się po wietrznej równinie pod Troją, mając nadzieję, że skuszą Hektora do wyjścia. Ale nie było śladu po nim ani po jego trojańskich żołnierzach.

Lata toczyły się niezmiennie, zawsze takie same. Państwa Azji Mniejszej waliły się wolno w gruzy, podczas gdy rynki niewolników były przepelnione Licyjczykami, Karianami, Cylicyjczykami i tuzinem innych narodowości. Nabuchodonozor brał wszystko, co mu dostarczaliśmy, do Babilonu, a Tiglatpilesar z Asyrii zapomniał o swym trojańsko-hetyckim pochodzeniu na tyle, by brać pozostałe tysiące. Żaden kraj, jak stwierdziłem, nie miał nigdy dość niewolników, a już od dawna wojna nie dostarczała ich tylu jak ta, którą teraz prowadził Achilles.

Między wypadami nasze życie też nie zawsze było spokojne. Były okresy, kiedy dzień po dniu Achillea nawiedzała matka ze swym złym czarem. Potem zostawiała go w spokoju na kilka miesięcy. Nauczyłem się jednak ułatwiać mu przeżycie tych chwil. Zaczynał we wszystkich swoich potrzebach być coraz bardziej ode mnie zależny. Czy jest coś bardziej pocieszającego, jak świadomość, że ukochana osoba od nas zależy?

Pewnego razu przybył okręt z Jolkos, przynosząc wieści od Peleusa, Likomedesa i Deidamei. Dzięki stałemu dopływowi przez Morze Egejskie naszych łupów, brązu i innych dóbr, nasze domy prosperowały znakomicie. Azja Mniejsza wykrawiała się na śmierć, a Grecja obrastała w tłuszcz. Jak donosił Peleus, w Atenach i Koryncie wybierano już pierwszych kolonistów.

Dla Achillea najważniejszą sprawą były wieści o jego synu, Neoptolemosie. Szybko osiągał wiek męski! Gdzie się podziały te wszystkie lata?

Deidameja donosiła, że chłopak jest prawie tak wysoki jak jego ojciec i wykazuje podobne zdolności do walki i władania bronią. Miał jednak gwałtowniejszą naturę i skłonność do włóczenia się. Podbił już tysiące kobiecych serc. Niestety, był porywczy i pił zbyt dużo nierozcieńczonego wina. Wkrótce, powiadamiała Deidameja, skończy szesnaście lat.

– Polecę Deidamei i Likomedesowi, by posłali chłopaka do

mojego ojca – rzekł Achilles, kiedy odprawił posłańca. – Potrzeba mu męskiej ręki. – Jego twarz skrzywiła się. – Och, Patroklesie, cóż za syna mogliśmy mieć, ja i Ifigenia!

To gryzie go bardziej, pomyślałem, niż matka i jej czary.

Aby opanować Azję Mniejszą, potrzeba nam było dziewięciu lat. Pod koniec dziewiątego roku, latem, nie zostało już nic do zrobienia. Okręty wylądowane greckimi kolonistami przybywały do Kolophon i Appassas. Wszyscy palili się, by rozpocząć nowe życie w nowym miejscu. Niektórzy będą uprawiać ziemię, inni handlować, inni z pewnością powędrują na wschód albo północ. To bez znaczenia dla nas, którzy tworzyliśmy jądro Drugiej Armii w Assos. Nasze zadanie skończyło się. Pozostał nam tylko jesienny atak na Lyrnessos, stolicę królestwa Dardanii.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

OPOWIEŚĆ ACHILLESA

Dardania leżała niedaleko Assos, bliżej niż inne ludy Azji Mniejszej, ale z rozmysłem zostawiałem ją w spokoju przez te dziewięć lat naszej kampanii, która obróciła wybrzeże Azji Mniejszej w ruinę. Jednym z powodów było to, że jej terytorium leżało w głębi lądu i graniczyło z Troją. Drugi był subtelniejszy – chciałem uśpić Dardan fałszywym przekonaniem o bezpieczeństwie. Pragnąłem, by uwierzyli, że ich oddalenie od morza czyni ich nietykalnymi. Poza tym Dardania nie ufała Troi. Kiedy zostawiałem ich w spokoju, stary król Anchizes i jego syn Eneasza trzymali się od Troi z daleka.

Teraz wszystko to miało się zmienić. Nastąpiła pora inwazji na Dardanię. Zamiast zwykłej długiej podróży morskiej wybrałem dla swoich żołnierzy forsowną wędrówkę pieszo. Jeśli Eneasza spodziewał się w ogóle jakiegoś ataku, będzie sądził, że opłyniemy przylądek i przybijemy do wybrzeża na wysokości wyspy Lesbos. Stąd do Lyrnessos było tylko piętnaście mil marszu. Ja natomiast zamierzałem pomaszerować w głąb lądu prosto z Assos, prawie sto mil po pustyni, pokonać zbocza góry Idy, a potem w dół do żyznej doliny Lyrnessos.

Odyseusz dał mi wyszkolonych żołnierzy, mających przygotować marszrutę. Donieśli mi, że trasa jest gęsto zalesiona, po drodze leży kilka gospodarstw, a pora roku jest zbyt późna na to, by przebywali tam pasterze. Wyciągnęliśmy ze skrzyń futra i mocne buty, ponieważ Ida od połowy zboczy była już biała i istniało prawdopodobieństwo, że spotka nas śnieżycą. Założyłem, że będziemy pokonywać cztery mile dziennie. Za dwadzieścia dni cel powinien znaleźć się w zasięgu naszego wzroku. Piętnastego dnia po wymarszu stary Feniks, mój admirał, miał przyprowadzić flotę do

opuszczonego portu Andramyttios, najbliższego na wybrzeżu. Nie było obaw, że napotka opór. Rok temu zrównałem Andramyttios z ziemią – po raz drugi.

Poruszaliśmy się w ciszy i dni przemarszu mijały bez incydentów. Na ośnieżonych wzgórzach nie było żadnego pasterza, który by mógł pobiec do Lyrnessos z wiadomością o naszym nadejściu. Spokojny krajobraz należał wyłącznie do nas. Wędrówka okazała się łatwiejsza, niż przypuszczałem. W konsekwencji znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od miasta już szesnastego dnia. Zarządziłem postój i nie pozwoliłem rozpalać ognisk, aż się nie upewnię, czy nie zostaliśmy odkryci.

Miałem zwyczaj osobiście wykonywać końcowe rozpoznanie, zatem wyruszyłem pieszo sam, lekceważąc protesty Patroklesa, który czasami przypominał mi gdaczącą starą kwokę. Dlaczego miłość musi zawsze rodzić chęć władzy i drastycznie ogranicza wolność?

Po trzech milach wspiałem się na wzgórze i ujrzałem pod sobą Lyrnessos, rozciągające się na okazałym kawałku lądu, z dobrymi, mocnymi murami i wysoką cytadelą. Przez jakiś czas studiowałem je, zestawiając to, co widziałem, z tym, co przekazali mi agenci Odyseusza. Nie, to nie będzie łatwy atak, z drugiej strony, nie będzie nawet w połowie tak trudny, jak atak na Smyrnę czy Teby.

Nie mogąc się oprzeć pokusie, zszedłem kawałek w dół zbocza, ciesząc się faktem, że była to osłonięta strona wzgórza, na której nie było prawie śniegu, a grunt nadal zadziwiająco ciepły. Błąd, Achillesie! Choć to sobie powiedziałem, nie przestałem schodzić. Nagle prawie nadepnałem na jakiegoś człowieka. Lekko przetoczył się na bok i skoczył na nogi jednym zwinnym ruchem. Kiedy uciekł na odległość rzutu włócznią, zatrzymał się, aby mi się przyjrzeć. Na myśl przyszedł mi Diomedes. Ten człowiek miał taki sam koci wygląd, a z jego ubrania i sposobu bycia wywnioskowałem, że to ktoś szlachetnie urodzony. Przypomniałem sobie całą listę Trojan

i ich sprzymierzeńców, którą Odyseusz dla mnie wykonał, i stwierdziłem, że może to być jedynie Eneasz.

– Jestem Eneasz i nie mam broni! – zawołał.

– Niedobrze, Dardańczyku! Jestem Achilles i mam broń!

Nie przestraszony, uniósł brwi.

– Istnieją chwile w życiu ostrożnego mężczyzny, kiedy roztropność jest lepszą stroną męstwa! Spotkamy się w Lyrnessos!

Uważając się za szybszego od innych, zacząłem biec za nim lekkim krokiem. Zamierzałem go zmęczyć. On był też bardzo szybki i znał okolicę, a ja nie. Zatem prowadził mnie przez cierniste zarośla, grunty porośnięte jamami lisów i królików, aż w końcu znaleźliśmy się u szerokiego brodu, który on pokonał z łatwością po ukrytych w wodzie kamieniach. Ja natomiast musiałem się zatrzymywać na każdym kamieniu, by szukać następnego. I tak go straciłem. Stałem, przeklinając własną głupotę. Lyrnessos zostanie ostrzeżone na dzień przed atakiem.

Wyruszyliśmy, kiedy nastał świt. Byłem w kwaśnym nastroju. Trzydzieści tysięcy ludzi rozlało się po dolinie Lyrnessos, oblepiając mury miasta niczym syrop. Spotkał ich deszcz dzid i strzał, ale ludzie byli na to przygotowani i schowali się pod tarczami, jak ich nauczono. Zatem nie spotkał nas żaden wypadek. Poraziło mnie, że za murami nie było dużych sił. Czyżby Dardanie byli narodem słabeuszy? Jednak Eneasz nie wyglądał na przywódcę degeneratów.

Postawiono drabiny. Na czele Myrmidonów zdobyłem małą ścieżkę na szczycie murów, nie natrafiwszy na ani jeden kamień czy wiadro gorącej oliwy. Kiedy ukazała się niewielka grupka obrońców, powaliłem ich swoim toporem, nie wzywając nawet wsparcia. Wzdłuż całej linii zwyciężaliśmy ze śmieszną łatwością i wkrótce zrozumiałem dlaczego. Naszymi przeciwnikami byli sami starcy i młodzi chłopcy.

Eneasza, jak się wywiedziałem, wrócił do miasta poprzedniego dnia i natychmiast wezwał swych żołnierzy pod broń. Ale nie w zamiarze walki ze mną. Wziąwszy wojsko, ruszył do Troi.

– Zdaje się, że Dardanie mają między sobą drugiego Odyseusza – powiedziałem do Patroklesa i Ajaksa. – Co za lis! Priam będzie miał dwadzieścia tysięcy dodatkowych ludzi prowadzonych przez spryciarza. Miejmy nadzieję, że uprzedzenie do Eneasza zaślepi starca na tyle, że nie spostrzeże się, kim naprawdę on jest.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

BRYZEJDA

Lyrnessos, składając skrzydła i gubiąc swe pióra wśród ruin, umiera z krzykiem, który dobywa się z ust kobiet wszystkich miast. Oddaliśmy Eneasza opiece Afrodyty, jego nieśmiertelnej matki, zadowoleni, że ma sposobność ratowania wojska. Wszyscy mieszkańcy byli zgodni, że tylko to można zrobić, by przynajmniej część Dardanii przeżyła i zadała cios Grekom.

Powykręcane dłonie wynosiły ze skrzyń stare zbroje, trzęsąc się z wysiłku. Chłopcy z bladymi twarzami nakładali swe zbroje, które były przeznaczone raczej do zabawy niż do przyjmowania ciosów mieczy z brązu. Oczywiście umierali. Szacowne, siwe brody nasiąkały dardańską krwią, wojenne krzyki młodych żołnierzy zmieniały się w przerażone łkania chłopców. Ojciec zabrał mi nawet mój sztylet. Ze łzami w oczach wyjaśniał, że nie może zostawić mi narzędzia nadającego się do walki. Było potrzebne, podobnie jak noże innych kobiet.

Stałam w oknie, patrząc bezsilnie, jak umiera Lyrnessos. Modliłam się do Artemidy, litościwej córki Leto, aby posłała jedną ze strzał w moje serce, zanim jakiś Grek złapie mnie i pośle w niewolę do Hattusas albo Niniwy. Nasza żalosna obrona została pobita i tylko mury cytadeli dzieliły mnie od napierającej masy wojowników odzianych w brąz, wyższych i jaśniejszych od Dardańczyków. Od tej chwili wyobrażałam sobie córki Kory tak samo wysokie i jasne. Jedynym pocieszeniem było to, że Eneasza i wojsko byli bezpieczni. Podobnie jak nasz stary król Anchizes. W młodości był tak piękny, że bogini Afrodyta pokochała go i urodziła mu Eneasza. Jako dobry syn nie chciał porzucić ojca. Ani nie zostawił swej żony Kreuzy i ich

małego synka Askaniusza.

Nie mogłam oderwać się od okna. W sąsiednich pokojach słyszałam odgłosy przygotowań do walki – człapanie starych stóp, chrapliwe głosy szepczące ponagłajaco. Wśród nich był mój ojciec. Tylko kapłani zostali przy ołtarzach, żeby się modlić. Ale mój wuj Chryzes, arcykapłan Apolla, postanowił zrzucić swój święty płaszcz i włożyć zbroję. Może walczyć, powiedział, by bronić azjatyckiego Apolla, który nie był tym samym bogiem, co Apollo Greków.

Przynieśli tarany, by wyważyć bramy cytadeli. Pałac zatrzęsł się w posadach, a poprzez łomot usłyszałam spod spodu płacz Ziemiotrząscy. Posejdon sercem był z nami, nie z nimi. Lecz musieliśmy paść ofiarą pychy i nieposłuszeństwa Troi. Nie mógł nam dać niczego więcej ponad współczucie, udzielając jednocześnie siły ich taranom. Drewno rozłupywało się w drzazgi, chrupnęły zawiasy i bramy ustąpiły z hukiem. Pojawiły się wyciągnięte dzidy i miecze. Grecy zalali dziedziniec. Żadnej litości dla naszej patetycznej obrony, tylko gniew, że Eneasza wywiódł ich w pole.

Na czele stał mężczyzna–olbrzym, zakuty w zbroję z brązu zdobioną złotem. Wywijając olbrzymim toporem, odrzucał starców na boki, jakby byli komarami. Pogardliwie rozłupywał ich ciała. Potem wpadł do wielkiej sali, a jego ludzie za nim. Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć rzezi. Modliłam się do Artemidy, żeby zesłała im myśl zabicia mnie. Śmierć jest lepsza od gwałtu i niewoli. Pod powiekami czerwona mgła, niespokojnie uwięzione światło dnia. Moje uszy nie chciały być głuche na zduszone krzyki i płaczliwe prośby o łaskę. Dla starców życie staje się cenne. Rozumieją, jak ciężko je zachować. Nie doszło mnie jednak wołanie mego ojca. Czułam, że umarł tak samo dumnie, jak żył.

Kiedy usłyszałam ciężkie, ostrożne kroki, otworzyłam oczy. Odwróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, górującym w drzwiach po drugiej stronie wąskiego pokoju. Zasłonił sobą cały otwór, a jego topór zwisał u boku. Ubrudzona twarz pod brązowym

hełmem ze złotymi piórami miała tak okrutny wyraz, że bogowie, którzy go stworzyli, nie chcieli dać mu warg. Wiedziałam, że ten bezwargi mężczyzna nie zna litości ani współczucia. Przez chwilę patrzył na mnie, jakbym wyrosła spod ziemi, potem wszedł do pokoju z pochyloną głową jak atakujący pies. Wyprostowałam się i postanowiłam, że nie usłyszy ode mnie płaczu ni jęku, bez względu na to, co zrobi. Nie dowie się ode mnie, że Dardanom brakuje odwagi.

Cały pokój przemierzył jednym krokiem. Chwycił mnie za nadgarstki i uniósł, aż moje stopy zawisły w powietrzu.

– Rzeźnik! Rzeźnik starców i chłopców! Zwierzę! – wydyszałam, kopiąc go.

Moje nadgarstki nagle zostały ściągnięte razem tak mocno, że kości chrupnęły. Chciało mi się wyc z bólu, ale tego nie zrobiłam – i nie zrobię! W jego żółtych jak u lwa oczach pojawiła się wściekłość. Zraniłam go we wrażliwe miejsce, gdzie pozostała mu resztką godności. Nie chciał, by nazywano go rzeźnikiem starców i chłopców.

– Powściągnij swój język, dziewczyno! Na rynku niewolników wytrzebią twoją dumę kolczastym batem.

– Oszpecenie będzie darem!

– Ale w twoim przypadku i szkodą – powiedział, stawiając mnie i puszczając nadgarstki. Swój uchwyt przeniósł na moje włosy i pociągnął mnie za nie do drzwi, podczas gdy ja kopałam i biłam jego metalową postać, aż potłukłam sobie stopy i pięści.

– Pozwól mi iść! – wołałam. – Nie odbieraj mi tej resztki godności! Nie będę uciekać przed gwałtem i niewolą jak służąca!

Stanął, odwrócił się, zaglądając mi w twarz zdumiony.

– Masz jej odwagę – powiedział wolno – nie jesteś do niej podobna, ale masz jej spojrzenie... A więc sądzisz, że twoim losem stanie się gwałt i niewola?

– A co innego czeka porwaną kobietę?

Uśmiech upodobił go trochę do innych mężczyzn, ponieważ uśmiech zwięża wargi. Puścił moje włosy. Dotknęłam ręką głowy, sprawdzając, czy nie oderwał mi skalpu, a potem ruszyłam przed nim. Jego ręka wystrzeliła, łapiąc mnie za posiniaczony nadgarstek, uchwytem, który z pewnością musiał go złamać.

– Godność nie wystarczy, moja dziewczyno, nie jestem głupcem. Nie uciekniesz mi przez zwykłą niedbałość.

– Tak jak twój dowódca pozwolił uciec Eneaszowi na wzgórzu?
– dociełam mu.

Jego twarz nie zmieniła wyrazu.

– Właśnie – odparł beznamiętnie.

Prowadził mnie przez pokoje, których prawie nie poznawałam. Ściany były zbryzgane krwią, meble już załadowane na wozy. Kiedy wkroczyliśmy do wielkiej sali, kopnął nogą stos ciał zwalonych jedne na drugie bez szacunku dla wieku czy pozycji. Zatrzymałam się, szukając czegoś w tym anonimowym stosie, co pomogłoby mi zidentyfikować ojca. Mój zdobywca próbował mnie beznamiętnie odciągnąć na bok, ale opierałam się.

– Tu może być mój ojciec! Pozwól mi zobaczyć! – poprosiłam.

– Który to? – zapytał obojętnie.

– Gdybym wiedziała, nie musiałabym szukać!

Choć mi nie pomagał, pozwalał się ciągnąć, gdzie chciałam, kiedy przeszukiwałam ubrania i buty. W końcu znalazłam stopę mojego ojca. Z pewnością należała do niego, obuta w sandał z metalową klamrą. Jak większość mężczyzn przechowywał zbroję, ale nie buty do walki. Nie mogłam go jednak wyciągnąć. Zbyt wiele ciał.

– Ajaksie! – zawołał mój zdobywca. – Choć i pomóż damie.

Oslabiona grozą dnia, czekałam, aż wtoczył się kolejny olbrzym, większy jeszcze od mojego zdobywcy.

– Nie możesz sam jej pomóc? – spytał przybysz.

– I pozwolić jej uciec? Ajaksie, Ajaksie! Ta jedna ma ducha, nie mogę jej ufać.

– Spodobała ci się, kuzynku? No, najwyższy czas, by spodobał ci się ktoś inny od Patroklesa.

Ajaks odstawił mnie na bok, jakbym była piórkiem, a potem ciągle trzymając swój topór, odrzucał ciała, aż ukazał się mój ojciec. Patrzył na mnie martwymi oczami, jego broda zniknęła w szerokim rozcięciu, które rozdzieliło go po pierś. To była rana od topora.

– Ach, to ten staruszek, który walczył jak kogut – rzekł Ajaks z podziwem. – Zawzięty starzec!

– Jaki ojciec, taka córka – powiedział ten, który mnie trzymał. Szarpnął mnie za ramię. – Chodź, dziewczyno, nie ma czasu na żalobę.

Wstałam z trudem, potargawszy włosy, żegnając mojego ojca. Lepiej jednak wiedzieć, że nie żyje, niż zastanawiać się, czy przeżył, i mieć nadzieję. Głupią nadzieję. Ajaks odszedł, mówiąc, że idzie sprawdzić, czy nie został nikt żywy, choć raczej w to wątpił.

Zatrzymaliśmy się w drzwiach na dziedzińcu, by mój zdobywca mógł zedrzeć pas z ciała leżącego na schodach. Zaciągnął mocno skórę wokół mego nadgarstka, a potem drugi koniec przywiązał do własnego ramienia, zmuszając mnie, bym szła tuż za nim. Dwa stopnie wyżej zobaczyłam, jak kończy coś z dokładnością, która, jak sądziłam, była dla niego typowa.

– To nie ty zabiłeś mojego ojca – powiedziałam.

– Zabiłem – odparł. – Jestem dowódcą, którego przechytrzył twój Eneasze. A to oznacza, że jestem odpowiedzialny za każdą śmierć.

– Jak masz na imię?

– Achilles – odparł krótko, sprawdzając efekt swej pracy, i pociągnął mnie za sobą na dziedziniec. Musiałam biec, żeby dotrzymać mu kroku. Achilles. Powinnam wiedzieć. Eneasz mówił o nim ostatnio, a zresztą słyszałam o nim już od lat.

Opuszczaliśmy Lyrnessos przez główną bramę, podczas gdy Grecy włóczyli się tam i z powrotem, grabiąc i plądrując, jedni z pochodniami w rękach, inni z bukłakami z winem. Achilles nie zadał sobie trudu, żeby ich za to zganić.

Na szczycie drogi odwróciłam się, by spojrzeć w dół na Dolinę Lyrnessos.

– Spaliłeś mój dom. Mieszkałam tam przez dwadzieścia lat, i tam miałam mieszkać aż do zamażpójścia. Nie spodziewałam się, że przeżyję coś takiego.

Wzruszył ramionami.

– Wojenne losy, dziewczyno.

Wskazałam na drobne postacie plądrujących żołnierzy.

– Czy możesz nakazać im, by nie zachowywali się jak zwierzęta? Przecież to nie ma sensu. Słyszałam, jak krzyczą kobiety. Widziałam!

Zmrużył cynicznie powieki.

– Co możesz wiedzieć o wygnanych Grekach, o ich uczuciach? Nienawidzisz nas, rozumiem to. Ale nie nienawidzisz nas tak, jak ci ludzie nienawidzą Troi i sprzymierzeńców Troi! Priam skazał ich na dziesięć lat wygnania. Cieszą się, że mogą mu za to odpłacić. Nie mógłbym ich powstrzymać, gdybym nawet próbował. Choć szczerze mówiąc, dziewczyno, nie mam ochoty ich powstrzymywać.

– Od dziesięciu lat słuchałam o wojnie, ale nie wiedziałam, czym ona jest – wyszeptałam.

– To teraz już wiesz – odparł.

Jego obóz znajdował się w odległości trzech mil. Kiedy tam dotarliśmy, poszukał oficera bagażowego.

– Polidesie, to mój osobisty łup. Weź pas i przykuj ją do kowadła, aż znajdziesz lepsze łańcuchy. Nie spuszczaaj jej z oka nawet na chwilę. Jeśli będzie chciała iść na stronę, niech służące pójdą z nią. Kiedy ją zakujesz, daj jej wszystko, co potrzeba, nawet nocnik, dobre jedzenie i łóżko. Jutro wyruszysz na okręt w Andromyttios i przekażesz ją Feniksowi. Powiedz mu, że jej nie ufam i że nie wolno jej uwalniać. – Chwycił mnie pod brodę i lekko uszczyptał. – Do zobaczenia, dziewczyno.

Polides znalazł lekkie kajdany na moje kostki, podłożył miękkie mankiety i zabrał na wybrzeże na grzbiecie osła. Tam przekazał mnie Feniksowi, wyprostowanemu starcowi o niebieskich oczach otoczonych zmarszczkami i posuwistym kroku żeglarza. Kiedy zobaczył moje kajdany, cmoknął, ale nie zdjął ich, dopóki nie znalazłam się na pokładzie flagowego okrętu. Dworskim gestem skinął, bym usiadła, ale ja wolałam stać.

– Przykro mi z powodu tych łańcuchów – powiedział z bólem w oczach. Ale nie mnie mu było żal, jak zrozumiałam. – Biedny Achilles!

Sprawiło mi przykrość to, że starszy mężczyzna w ogóle nie pomyślał o mnie.

– Ten Achilles ma lepsze wyobrażenie o mojej odwadze niż ty, panie! Niech tylko dostanę sztylet w swoje ręce, a znajdę sposób, żeby wydostać się z tych łańcuchów, albo umrę!

Jego smutek zniknął, zaśmiał się.

– Aj, aj! Ale z ciebie dzielny wojownik! Nie licz jednak na to, dziewczyno. To, co Achilles zwiąże, Feniks nie wypuści.

– Czyżby jego słowo było świętym prawem?

– Tak. Jest księciem Myrmidonów.

– Książę mrówek? Bardzo trafne określenie.

W odpowiedzi zaśmiał się znowu, przysuwając mi krzesło. Spojrzałam na niego z pogardą, ale plecy bolały mnie od jazdy na ośle, a nogi drżały, ponieważ odmawiałam jedzenia i picia od czasu mego porwania. Feniks pchnął mnie na krzesło twardą ręką i otworzył flakon ze złotym winem.

– Pij, dziewczyno. Jeśli chcesz wytrwać w obronie, potrzeba ci sił. Nie bądź głupia.

Rozsądna rada. Wzięłam wino i stwierdziłam, że moja krew jest cienka, a wino mocne. Uderzyło mi do głowy. Dłużej nie mogłam walczyć. Oparłam głowę na ręce i zasnęłam na krześle. Gdy obudziłam się jakiś czas później, stwierdziłam, że położono mnie do łóżka. Przykuta do belki.

Następnego dnia zabrano mnie na pokład, a łańcuchy przykuto do poręczy. Mogłam stać w słabym, zimowym słońcu i obserwować ruch na plaży. Kiedy jednak na horyzoncie ukazały się cztery statki, zauważyłam olbrzymie zamieszanie i niepokój wśród pracujących mężczyzn, a szczególnie wśród ich nadzorców. Nagle Feniks odczepił mnie od poręczy i pociągnął, nie do poprzedniego więzienia, ale do zagrody na rufie, cuchnącego końmi. Wsadził mnie do środka i zamknął zasuwę.

– Co się dzieje? – zapytałam zaciekawiona.

– Przybył Agamemnon, król królów – powiedział Feniks.

– Dlaczego mnie tu zamknąłeś? Czy jestem zbyt nisko urodzona, aby spotkać się z królem królów?

Westchnął.

– Czy w twoim domu w Dardanii nie miałaś lustra, dziewczyno? Jedno spojrzenie i pójdziesz do Agamemnona, zamiast do Achillesa.

– Mogę krzyknąć – powiedziałam z groźbą.

Popatrzył na mnie, jakbym oszalała.

– Jeśli tak zrobisz, pożałujesz, obiecuję ci! Z tej zmiany pana nie wyniknie nic dobrego. Uwierz mi, okaże się, że będziesz wołała Achillesa.

Coś w jego tonie przekonało mnie. Zatem kiedy usłyszałam głosy za drzwiami stajni, przykucnęłam za korytem, przysłuchując się czystej, płynnej, poprawnej grece, w której odzywał się jeden z głosów.

– Czyżby Achilles jeszcze nie wrócił? – zapytał głos władczo.

– Nie, panie, ale powinien być przed zapadnięciem nocy. Musi nadzorować załadunek. Bogaty połów. Ładują na wozy.

– Wspaniale! Poczekam w jego kabinie.

– Lepiej poczekać w namiocie na plaży, panie. Znasz Achillesa. Nie dba o wygodę.

– Jak sobie życzysz, Feniksie.

Ich głosy osłabły. Wyszłam ze swojego ukrycia. Dźwięk tego zimnego, dumnego głosu przeraził mnie. Achilles także był potworem. Lepszy jednak potwór, którego znasz, jak powiadała moja niania, kiedy byłam mała.

Nikt nie przychodził do mnie przez całe popołudnie. Najpierw siedziałam na łóżku, jak przypuszczam należącym do Achillesa, i z ciekawością przyglądałam się wnętrzu pustej i bez wyrazu kabiny. Przy słupie oparto kilka włóczni, ściany z surowych desek otaczały niewielkie pomieszczenie. Znajdowały się tam jedynie dwie ciekawe rzeczy: wspaniałe białe futro na łóżku oraz masywny złoty kielich z czterema uchwyty, na którego bokach znajdował się Niebieski Ojciec na tronie, a każdy uchwyt zwieńczał koń w pełnym galopie.

W pewnym momencie dałam upust swemu żalowi i zalałam się

potokiem łez. Może stało się tak dlatego, że po raz pierwszy, odkąd wzięto mnie do niewoli, nie musiałam zmagać się z poważnymi przeciwnościami. Ja siedziałam tutaj, a mój ojciec został rzucony w Lyrnessos na pożarcie wiecznie głodnych psów. Taki był zwyczajowy los szlachetnie urodzonych wojowników poległych w walce. Łzy płynęły po mojej twarzy, rzuciłam się na białe futro i rozplakałam na dobre. Nie mogłam przestać. Białe futro zrobiło się wilgotne pod moim policzkiem, a ja ciągle płakałam, zawodząc i jęcząc.

Nie słyszałam, kiedy drzwi się otworzyły. Zatem gdy jakaś ręka spoczęła na moim ramieniu, serce prawie wyskoczyło mi z piersi. Wszystkie moje silne postanowienia oporu odpłynęły. Pomyślałam, że znalazł mnie arcykról Agamemnon, i skuliłam się.

– Należę do Achillesa, należę do Achillesa! – zajęczałam.

– Wiem o tym. A jak myślisz, kto przybył?

Dokładnie usunęłam oznaki ulgi z twarzy, zanim ją uniosłam. Otarłam łzy wierzchem dłoni.

– Arcykról Grecji.

– Agamemnon?

Pokiwałam głową.

– Gdzie on jest?

– Na plaży w namiocie.

Achilles podszedł do skrzyni, stojącej pod ścianą, otworzył ją, zajrzał do środka i rzucił mi kawałek pięknego płótna.

– Masz, wytrzymaj nos i osusz twarz. Rozchorujesz się.

Zrobiłam, co kazał. Podszedł do mnie z boku i popatrzył zmartwiony na futro.

– Mam nadzieję, że wyschnie bez śladu. To dar mojej matki. –

Przyjrzał mi się krytycznie. – Czyżby Feniks nie potrafił zorganizować ci kąpieli i dać czystej szaty?

– Chciał, ale odmówiłam.

– Ale mnie nie odmówisz. Kiedy służące przyniosą wannę i świeże odzienie, wykorzystaj je. Inaczej rozkażę, aby wykąpano cię siłą – i to nie kobietom. Zrozumiano?

– Tak.

– Dobrze. – Jego ręka była już na klamce, kiedy się zatrzymał. – Jak masz na imię, dziewczyno?

– Bryzejda.

Uśmiechnął się z podziwem.

– Bryzejda. Ta, która zwycięża. Jesteś pewna, że tego nie zmyśliłaś?

– Mój ojciec nazywał się Bryzes. Był kuzynem króla Anchizesa i kanclerzem Dardanii. Jego brat Chryzes był arcykapłanem Apolla. Należymy do królewskiego rodu.

Wieczorem przyszedł oficer myrmidoński, odczepił łańcuchy od belki i zaprowadził mnie na burłę statku. Z poręczy zwisała sznurkowa drabinka. Milcząco wskazał, że mam po niej zejść. Dał mi pierwszeństwo, zatem nie mógł zaglądać pod moje spódnice. Okręt był wciągnięty na kamienistą plażę, kamyki raniły moje stopy.

Na brzegu znajdował się ogromny skórzany namiot, choć nie pamiętałam, żeby tam stał, kiedy przyjechałam na ośle. Myrmidon wepchnął mnie do środka. Tłoczyło się tam około stu kobiet z Lyrnessos, ale żadnej nie rozpoznawałam. Ja jedna miałam łańcuchy. Wiele par oczu przyglądało mi się z ciekawością, kiedy lustrowałam tłum w poszukiwaniu znajomej twarzy. Tam, w narożniku! Głowa o wspaniałych złotych włosach, których nie można było pomylić. Mój strażnik trzymał mnie za łańcuchy, ale kiedy ruszyłam do narożnika, puścił je i mogłam robić, co chciałam.

Moja kuzynka Chryzejda zakryła twarz dłońmi. Kiedy jej dotknęłam, podskoczyła przerażona, załamując ręce. Spojrzała na mnie zdumiona, a potem rzuciła mi się na szyję, płacząc.

– Co ty tutaj robisz? – zapytałam. – Jako córka arcykapłana Apolla jesteś nietykalna.

W odpowiedzi wybuchnęła płaczem. Potrząsnęłam nią.

– Och, przestań, ale już! – warknęłam.

Już od dziecka ją tyranizowałam, zatem mnie usłuchała.

– I tak mnie zabrali – odparła.

– Przecież to świętokradztwo!

– Powiedzieli, że nie. Mój ojciec włożył zbroję i walczył. Kapłani nie walczą. Zatem zaklasyfikowali go jako wojownika i wzięli mnie.

– Wzięli cię? Czyżby cię zgwałcili? – wydyszałam.

– Nie, nie! Według kobiet, które mnie ubierały, tylko zwykłe kobiety rzuca się żołnierzom. Te z tego pomieszczenia są przeznaczone do specjalnych celów. – Spojrzała w dół i zobaczyła moje kajdany. – Och, Bryzejdo! Zakuli cię!

– Przynajmniej noszę widoczny znak swojej postawy. Nikt nie uzna mnie za stronnickę obozu, kiedy mam je na sobie.

– Bryzejdo! – zdusiła głos, a na twarzy ukazał się znajomy wyraz. Zawsze udawało mi się zaszokować biedną, uległą Chryzejdę.

– Co z wujem Bryzesem? – spytała.

– Nie żyje, jak cała reszta.

– Nie oplakujesz go?

– Oplakuję! – warknęłam. – Lecz jestem w rękach Greków na tyle długo, żeby się nauczyć, iż kobietom wziętym do niewoli nie może brakować rozumu.

Popatrzyła smutno.

– Dlaczego tu jesteśmy?

Odwróciłam się do Myrmidona.

– Hej, ty! Dlaczego tu jesteśmy?

Choć ton mojego głosu go rozśmieszył, udało mu się odpowiedzieć z szacunkiem.

– Gościem Drugiej Armii jest arcykról Myken. Dziela łupy. Kobiety z tego pokoju zostaną rozdzielone wśród królów.

Wydawało nam się, że czekamy całe wieki. Zbyt zmęczone, by chodzić, razem z Chryzejdą usiadłyśmy na ziemi. Od czasu do czasu wchodził strażnik i zabierał grupę kobiet według koloru ich opasek na nadgarstkach. Wszystkie były bardzo ładne. Żadnych staruch, prostytutek ani końskich twarzy czy szkieletów. Lecz ani Chryzejdą, ani ja nie miałyśmy opasek. Tłum malał, a nas ignorowano. W końcu w pomieszczeniu zostałyśmy tylko my dwie.

Wszedł strażnik i zasłonił nam twarze welonami, a potem zaprowadził do następnego pomieszczenia. Przez oka tkaniny zobaczyłam olbrzymi blask światła pochodzący chyba z tysiąca lamp, w górze baldachim z płótna, a wokoło morze mężczyzn. Siedzieli na ławach przy stołach, z kielichami wina w rękach, a służby uwijali się tam i z powrotem. Chryzejdę i mnie zaprowadzono przed wysokie podwyższenie, na którym stał długi stół.

Siedziało przy nim około dwudziestu mężczyzn. Miejsca zajmowali twarzą do biesiadników. Pośrodku, na fotelu z wysokim oparciem, siedział mężczyzna, który wyglądał tak, jak zawsze wyobrażałam sobie Ojca Zeusa. Miał nachmurzoną szlachetną twarz. Na połyskujące odzienie spływały czarne, pracowicie ułożone w loki włosy. Czarna broda była zapleciona w warkoczyki złotymi nićmi. Główniki niewidocznych szpilek połyskiwały klejnotami.

Przypatrywał się nam parą swych czarnych oczu, podczas gdy białą arystokratyczną dłonią gładził swój wąs. Cesarski Agamemnon, arcykról Myken i Grecji, król królów. Anchizes nawet w jednej dziesiątej nie wyglądał tak królewsko.

Oderwałam od niego wzrok, by przypatrzeć się pozostałym siedzącym niedbale na krzesłach. Achilles siedział po lewej ręce Agamemnona, choć trudno go było rozpoznać. Widziałam go w zbroi, ponurego i twardego. Teraz znajdował się w towarzystwie królów. Jego naga pierś połyskiwała pod masywnym naszyjnikiem ze złota i klejnotów. Ramię błyszczało od bransolet, a palce od pierścieni. Twarz miał gładko ogoloną. Jasne, złote włosy były luźno zaczesane do tyłu, z uszu zwisały złote ozdoby. Jego żółte oczy były jasne i spokojne, a ich niezwykły kolor porażał pod silnie podkreślonymi brwiami i rzęsami, pomalowanymi według kreteńskiej mody. Zamrugłam, potem odwróciłam wzrok zmieszana. Zdenerwowana.

Obok niego siedział mężczyzna o prawdziwie szlachetnym wyglądzie, wysoki, z masą rudych kręconych włosów wokół szerokiego wysokiego czoła, o cerze białej i delikatnej. Pod zdumiewająco ciemnymi brwiami jego piękne oczy świeciły szaro i przenikliwie, najbardziej fascynujące oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Kiedy spuściłam wzrok na jego nagą pierś, zobaczyłam, jak bardzo była poblizniona. Twarz zdawała się jedyną jego częścią, która uniknęła ran.

Po prawej stronie Agamemnona siedział drugi rudowłosy mężczyzna, wpatrzony w blat stołu. Kiedy uniósł kielich do ust, zauważyłam, że trzęsie mu się ręka. Jego sąsiad był najbardziej królewskim starcem, wysoki i wyprostowany, o srebrzystej białej brodzie i szerokich, błękitnych oczach. Choć miał na sobie proste ubranie, białą płócienną szatę, jego ręce były pokryte pierścieniami od czubków po kłykcie. Obok niego siedział olbrzym Ajaks. Znowu musiałam zamrużyć, ledwie można było w nim rozpoznać mężczyznę, który odszukał ciało mego ojca.

Mój wzrok zmęczył się od patrzenia na te różne twarze, wszystkie tak zwodniczo szlachetne. Strażnik pociągnął naprzód Chryzejdę, ściągając z niej welon. Ścisnęło mnie w żołądku. Była taka piękna w tych obcych szatach, które służba dała jej z jakichś greckich skrzyń. Ubrania te w ogóle nie przypominały prostych tunik, które nosiły kobiety w Lyrnessos, długich od szyi po kostki. W Lyrnessos ukrywamy się przed wzrokiem wszystkich z wyjątkiem męża. Greckie kobiety widocznie ubierały się jak prostytutki. Szkarłatna ze wstydu Chryzejda przykryła dłońmi nagie piersi, ale strażnik opuścił je siłą, aby stół milczących mężczyzn mógł zobaczyć, jak szczupła jest w pasie i jak doskonałe są jej piersi. Agamemnon przestał wyglądać jak Ojciec Zeus i stał się bożkiem Panem. Zwrócił się do Achillesa.

– Na Matkę! Ona jest wyborna!

Achilles uśmiechnął się.

– Miło nam, że ci się podoba, panie. Jest twoja – wyraz szacunku Drugiej Armii dla ciebie. Ma na imię Chryzejda.

– Podejź tu, Chryzejdo. – Skinął elegancką, białą dłonią. Nie śmiała nie posłuchać. – Podejź i spójrz na mnie! Nie musisz się bać, dziewczyno, nie zrobię ci krzywdy. – Błysnęły białe zęby, uśmiechnął się do niej, potem pogładził po ramieniu, zdając się nie zauważać, że ona się wzdrygnęła. – Zabierzcie ją od razu na mój okręt.

Odprowadzono ją. Przyszła kolej na mnie. Strażnik zerwał także mój welon, by pokazać mnie w moim nieskromnym odzieniu. Stałam wyprostowana z rękami wzdłuż boków i nieruchomą twarzą. To oni powinni się wstydzić, nie ja. Patrzyłam prosto w pożądlive oczy arcykróla i zmusiłam go do odwrócenia wzroku. Achilles nie odezwał się. Poruszyłam lekko nogami, by zadzwoniły moje kajdany. Agamemnon uniósł brwi.

– Łańcuchy? Kto wydał taki rozkaz?

– Ja, panie. Nie ufam jej.

– Och? – W tym jednym słowie mieści się cały świat znaczeń. – A do kogo ona należy?

– Do mnie. Sam ją pojmałem – odparł Achilles.

– Powinieneś zaproponować mi wybór spośród tych dwóch dziewcząt – powiedział Agamemnon niezadowolony.

– Powiedziałem ci, panie, że sam ją złapałem, co sprawia, że należy do mnie. Poza tym nie ufam jej. Nasz grecki świat przeżyje beze mnie, ale nie bez ciebie. Mam wystarczające dowody, że ta dziewczyna jest niebezpieczna.

– Phi! – rzekł arcykról nie całkiem uspokojony. Potem westchnął. – Nigdy nie widziałem włosów o takim kolorze, ni rude, ni złote, ani oczu tak błękitnych. – Znowu westchnął. – Piękniejsza od Heleny.

Nerwowy mężczyzna po prawej stronie arcykróla, ten z rudymi włosami, trzasnął pięścią w stół tak mocno, że podskoczyły kielichy z winem.

– Helena nie ma sobie równej! – zawołał.

– Tak, bracie, wiemy o tym – powiedział Agamemnon cierpliwie. – Uspokój się.

Achilles skinął na swojego oficera Myrmidona.

– Zabierz ją.

Czekałam w fotelu w jego kabinie. Zamknęłam oczy, choć bałam się zasnąć. Żadna kobieta nie jest bardziej bezbronna od śpiącej.

Minęło dużo czasu, zanim przyszedł. Kiedy zasuwa się podniosła, drzemałam mimo swego postanowienia. Podskoczyłam przerażona, ściskając mocno ręce. Nadeszła chwila spłaty rachunku. Ale Achilles nie wydawał się trawiony żądzą. Zignorował mnie,

podszedł do skrzyni i otworzył ją. Zdjął naszyjnik, pierścienie, bransolety i wysadzany klejnotami pas. Ale nie swój kilt.

– Nigdy nie mogę się doczekać, kiedy pozbędę się tych rupieci – powiedział, patrząc na mnie. Ja również patrzyłam na niego. Czy tak zaczyna się gwałt?

Otworzyły się drzwi i wszedł drugi mężczyzna o bardzo podobnym do Achillesa kolorze cery i rysach, ale mniejszy i o łagodniejszej twarzy. Miał piękne wargi. Oczyma błękitnymi, nie żółtymi, przyglądał mi się z niepokojem.

– Patroklesie, to jest Bryzejda.

– Agamemnon miał rację. Jest piękniejsza od Heleny. – Spojrzenie, które posłał Achillesowi, było pełne znaczenia i wypełnione bólem. – Zostawiam was. Chciałem tylko zobaczyć, czy czegoś nie potrzebujesz.

– Poczekaj na zewnątrz, nie będę tu długo – powiedział obojętnie Achilles.

Idąc do drzwi, Patrokles wyprostował się i posłał Achillesowi spojrzenie, które nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Absolutna radość i absolutne posiadanie.

– Jest moim kochankiem – rzekł Achilles, kiedy tamten wyszedł.

– Domyśliłam się.

Usiadł na skraju wąskiego łóżka z westchnieniem zmęczenia i wskazał mi fotel.

– Usiądź jeszcze.

Usiadłam, śmiało spoglądając mu w oczy, podczas gdy on patrzył na mnie nieobecny wzrokiem. Zaczynałam się domyślać, że on mnie w ogóle nie pragnie. Dlaczego zatem chciał mnie mieć?

– Uważałem kobiety z Lyrnessos za domatorki – powiedział

w końcu – a ty wydajesz się obeznana z prawami świata.

– Niektórymi. Tymi, które są uniwersalne. Nie rozumiemy jedynie waszej mody. – Dotknęłam swoich nagich piersi. – Gwałt musi być powszechną praktyką w Grecji.

– Nie bardziej niż gdzie indziej. Te sprawy tracą posmak skandalu, gdy stają się... powszednie.

– Co zamierzasz ze mną zrobić, księżę Achillesie?

– Nie mam pojęcia.

– Nie mam łatwego charakteru.

– Wiem. – Jego uśmiech był krzywy. – Właściwie zadałaś istotne pytanie. Naprawdę nie wiem, co z tobą zrobić. – Rzucił mi żółte spojrzenie.

– Grasz na lirze? Potrafisz śpiewać?

– Bardzo dobrze.

Wstał.

– Zatem zatrzymam cię, abyś dla mnie grała i śpiewała – powiedział, po czym rzucił: – Usiądź na podłodze.

Usiadłam. Szarpnął moją ciężką spódnicę, podnosząc ją do ud, a potem wyszedł z pokoju. Wrócił z młotem i przecinakiem. W następnej chwili zostałam uwolniona z łańcuchów.

– Zniszczyłeś podłogę – powiedziałam, wskazując głębokie rysy w miejscu, gdzie narzędzie zostawiło ślady.

– To tylko zwykła kabina na pokładzie statku – odparł, wstając z kolan i podnosząc mnie na nogi. Miał pewne i suche ręce. – Idź spać – powiedział i wyszedł.

Zanim jednak wczółgałam się do łóżka, odmówiłam dziękczynne modły do Artemidy. Dziewicza bogini wysłuchiwała mnie. Mężczyzna, który wziął mnie jako swój łup, nie był stworzony dla

kobiet. Byłam bezpieczna. Skąd zatem wzięła się ta odrobina smutku, która nie była częścią żałoby po moim ukochanym ojcu?

Rankiem zaczęli spuszczać okręt flagowy na wodę. Żeglarze i wojownicy uwijali się na pokładzie między rzędami ławek, napełniając powietrze śmiechem i wymyślnymi przekleństwami. Widać było, że cieszą się z opuszczenia czarnego, wyludnionego Andramyttios. Być może słyszeli, jak cienie tysięcy niewinnych czynią im wyrzuty.

Patrokles, ten delikatny mężczyzna, z wdziękiem torował sobie drogę wśród stłoczonych marynarzy i wspiał się po kilku stopniach na dziób, gdzie stałam, wszystko obserwując.

– Dobrze się dziś czujesz, pani?

– Dziękuję, tak.

Odwróciłam się, ale on został przy moim boku, najwyraźniej zadowolony z mojego chłodnego towarzystwa.

– Przyzwyczaisz się w swoim czasie – powiedział.

Spojrzałam na niego.

– Najgłupsza uwaga, jaką można wymyślić – powiedziałam. – Czy przyzwyczaiłbyś się do życia w domu mężczyzny odpowiedzialnego za śmierć twego ojca i zniszczenie domu?

– Prawdopodobnie nie – odparł, rumieniając się – ale jest wojna, a ty jesteś kobietą.

– Wojna – odparłam gorzko – to zajęcie dla mężczyzn. Kobiety są jej ofiarami, tak jak są ofiarami mężczyzn.

– Wojna – odparował rozbawiony – była tak samo na porządku dziennym w czasach, gdy władały kobiety pod przewodnictwem Matki. Arcykrólowe były równie chciwe i ambitne jak arcykrólowie. Wojna nie zależy od płci. Jest cechą wrodzoną całej naszej rasy.

Ponieważ trudno było to podważyć, zmieniłam temat.

– Dlaczego człowiek tak wrażliwy i spostrzegawczy kocha mężczyznę tak twardego i okrutnego jak Achilles?

Popatrzył na mnie swymi błękitnymi oczami.

– Ależ Achilles nie jest ani okrutny, ani twardy! – powiedział zaskoczony.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Achilles nie jest taki, jak się wydaje – odparł jego wierny pies.

– Zatem jaki?

Pokręcił głową.

– O tym, Bryzejdo, będziesz musiała przekonać się sama.

– Czy jest żonaty? – Dlaczego kobiety zawsze muszą zadawać to pytanie?

– Tak. Z jedyłą córką króla Likomedesa ze Skyros. Ma szesnastoletniego syna Neoptolemosa. I jako jedyny syn Peleusa jest dziedzicem arcykrólestwa Tesalii.

– To nie zmienia mojej opinii o nim.

Ku memu zdziwieniu Patrokles chwycił moją rękę i pocałował ją. A potem odszedł.

Stałam na rufie tak długo, jak długo było widać choć smugę łądu na horyzoncie. Pode mną morze, nigdy już nie będę mogła tu wrócić. Nie uniknę teraz swego losu. Miałam być kobietą do grania i śpiewania, ja, która mogłam być żoną króla. Już powinnam nią być, gdyby nie przybyli Grecy, i mężczyźni, którzy w innych okolicznościach staraliby się o moją rękę, nagle musieli zająć się sprawami nie mającymi nic wspólnego z małżeństwem.

Woda szumiała pod burta, łamiąc się w białą pianę pod uderzeniami wiosel – stały, uspokajający dźwięk, który wypełniał moją głowę tak niezauważalnie, że minęły długie chwile, zanim

zdałam sobie sprawę, że postanowiłam już, co zrobię. Poręcz nie była wysoka, z łatwością udało mi się na nią wejść i przygotowywałam się do skoku.

Nagle ktoś mocno szarpnął mnie do tyłu. Patrokles.

– Pozwól mi to zrobić! Udaj, że nie widziałeś! Pozwól mi! Pozwól!

– Nie. Twój los liczy się dla niego. Żadnej śmierci więcej.

Co takiego? Czyżby ktoś już umarł? Tajemnica...

Potrzeba było siedmiu pełnych dni, by dotrzeć do Assos. Kiedy otoczyliśmy przylądek półwyspu, na wysokości Lesbos wiosła okazały się niepotrzebne. Wiatr wiał zmiennie, to popychając nas w kierunku brzegu, to znowu odpychając od niego. Przez większość czasu siedziałam sama w kabinie na rufie. Ilekroć z niej wychodziłam, natychmiast zjawiał się Patrokles, rzucając to, co robił. Achillesa nie widziałam. W końcu dowiedziałam się, że był na pokładzie statku człowieka, którego nazywano Automedonem.

Rankiem ósmego dnia dobiliśmy do brzegu. Przed ostrym wiatrem owinęłam się szczelnie płaszczem i zafascynowana obserwowałam, jak wciąga się statek na plażę. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałam. Nasz statek był wciągany drugi, poprzedzał go statek Agamemnona. Kiedy tylko spuszczone drabinki, pozwolono mi zejść na brzeg. Zobaczyłam Achillesa mijającego mnie o kilka łokci. Już zadarłam podbródek i przygotowywałam się do ataku, ale on w ogóle mnie nie zauważył.

Wtedy zjawiała się gospodyni, tęga i rześka staruszka o imieniu Laodikia, i zaprowadziła mnie do domu Achillesa.

– Masz rzadki przywilej, moja gołąbeczko – zaskrzeczała. – Własny pokój w domu pana, czyli więcej niż ja, nie wspominając o reszcie.

– Czyż nie posiada on setek kobiet?

– Tak, ale one z nim nie żyją.

– On żyje z Patroklesem – powiedziałam, ruszając długim krokiem.

– Z Patroklesem? – Uśmiechnęła się. – Kiedyś mieszkali razem, lecz po kilku miesiącach, jak zostali kochankami, Achilles kazał mu zbudować własny dom.

– Dlaczego? To nie ma sensu.

– Och, ma, jeśli się zna naszego pana. On lubi niezależność.

Hm. No cóż, może nie znam Achillesa, ale szybko się uczę. Lubi niezależność. Czyżby? Przede mną leżały kawałki układanki gotowe do złożenia jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Problem polegał na tym, żeby je właściwie dopasować.

To zapewniło mi zajęcie na całą dłużącą się zimę. Achilles był zawsze poza domem, często jadał gdzie indziej – a czasami nawet gdzie indziej sypiał. Przypuszczam, że u Patroklesa. Biedaczek. Zdawało się, że z powodu swej miłości więcej cierpiał, niż doznawał szczęścia. Pozostałe kobiety zaczynały mnie już nienawidzić, ponieważ mieszkalam w domu pana, a one nie. Potrafię jednak radzić sobie z kobietami. Zatem wkrótce byliśmy w całkiem dobrej komitywie. Przynosiły mi wszystkie plotki o Achillesie.

Co jakiś czas cierpiał na pewną chorobę, jakby ktoś rzucał na niego czar (słyszały, jak tak to nazywał). Potrafił być dziwnie nieobecny. Jego matka podobno była boginią, morskim stworzeniem o imieniu Tetyda. Umiała zmieniać kształty równie szybko, jak słońce ginie za chmurami, by po chwili się zza nich wyłonić. Stawała się mątwą, wielorybem, piskorzem, krabem, rozgwiazdą, jeżem morskim, rekinem. Sam Zeus był dziadem jego ojca. Nauki pobierał u centaury, niezwykłego stworzenia, które miało głowę, ramiona i tors człowieka, a całą resztę konia. Jego kuzynem i wielkim przyjacielem był Ajaks. Żył dla bitwy, nie dla miłości. Nie, nie uważały, żeby gustował w mężczyznach, nie licząc kuzyna Patroklesa. Ale nie gustował też w kobietach.

Od czasu do czasu wzywał mnie, żebym mu grała i śpiewała, co chętnie czyniłam. Siadał wtedy, zatapiając się w fotelu. Słuchał połową umysłu, podczas gdy druga połowa odpływała gdzieś z dala ode mnie i mojej muzyki. Żadnego przebłysku pożądania, nigdy. Żadnej wskazówki, dlaczego w ogóle mnie trzyma. Nigdy też nie udało mi się dowiedzieć, co kryje się za słowami Patroklesa, które wyrwały mu się, gdy próbowałam skoczyć do morza. „Nigdy więcej!” Co takiego się zdarzyło, co zabiło w Achillesie namiętność?

Ze smutkiem stwierdziłam, że Lyrnessos i mój ojciec stopniowo przestali zajmować pierwsze miejsce w moich myślach. Bardziej interesowało mnie to, co działo się teraz w Assos, niż dawne życie w Dardanii. Zdarzyło się, że trzykrotnie Achilles jadł kolację sam w domu, i za każdym razem kazał mi na siebie czekać. Innych kobiet nie miało być. Głupia Laodikia stroiła mnie i perfumowała, przekonana, że w końcu będę należeć do niego, ale on niczego nie powiedział ani nie zrobił.

Pod koniec zimy przeprowadziliśmy się z Assos do Troi. Feniks pływał tam i z powrotem niezliczoną ilość razy, aż opustoszały wszystkie baraki, składy i spichlerze. W końcu na północ popłynęło całe wojsko.

Troja. Rządziła nawet w Lyrnessos. Dla nas była pępkiem świata. Nie tego chciał król Anchizes czy Eneasze, ale taka była prawda. Teraz po raz pierwszy moje oczy ją ujrzały. Po bezśnieżnych równinach hulał wiatr. W słońcu błyszcząły jej wieże i wieżyczki ozdobione soplami lodu. Wznosiła się niczym pałac na Olimpie, odległa, chłodna i piękna. Teraz za jej murami chronił się Eneasze ze swoim ojcem, żoną i synkiem.

Przeprowadzka pod Troję przygnębiła mnie, choć nie rozumiałam dlaczego. Męczyła mnie depresja, dostawałam bez przyczyny napadów płaczu i złego nastroju.

Rozpoczął się dziesiąty rok wojny i wszystkie przepowiednie mówiły o jej zakończeniu. Czy właśnie to tak mnie przygnębiało?

Świadomość, że gdy wszystko się skończy, Achilles zabierze mnie do Jolkos? Albo strach przed tym, że sprzeda mnie jako niezłą pieśniarkę? Wydawało się, że nic innego mu się we mnie nie podoba.

Wczesną wiosną z miasta zaczęły wychodzić oddziały zwiadowcze.

Wszyscy Grecy znaleźli się teraz w jednym olbrzymim obozie. Musieli więc szukać prowiantu, aby uzupełniać zapasy w spichlerzach. Właśnie na te zaopatrzeniowe oddziały czatował Hektor. Na niego zaś polowali Grecy z Achillosem i Ajaksem. Wiedziałam, że Achilles szaleńczo pragnie spotkać się z Hektorem w walce. Pożerało go pragnienie zabicia trojańskiego dziedzica, powiadały kobiety. Prawie codziennie do północy dom rozbrzmiewał męskimi głosami. Zaczęłam rozpoznawać imiona poszczególnych dowódców.

Wiosna napełniła powietrze wilgotnymi, oszałamiającymi zapachami. Ziemia rozkwitła drobnymi białymi kwiatkami, a wody Hellespontu stały się bardziej błękitne. Prawie codziennie dochodziło do drobnych potyczek. Achilles był coraz bardziej zgłodniały Hektora. Jednakże prześladował go pech. Nigdy nie udało mu się spotkać nieuchwytnego dziedzica. Podobnie jak Ajaksowi.

Laodikia uważała, że jako wysoko urodzona nie mogę wykonywać żadnych prac fizycznych. Lecz ilekroć ona zniknęła, ja zabierałam się do pracy. To było lepsze od bezmyślnego haftowania.

Jedną z najbardziej intrygujących opowieści o Achillose dotyczyła tego, jak po latach przyjaźni wziął sobie Patroklesa na kochanka. Według Laodikii doszło do tego, gdy opanował go czar Tetydy. W takich razach, mówiła, nasz pan bywa szczególnie wrażliwy na pragnienia i uczucia innych. Patrokles wykorzystał okazję. Uważałam to wyjaśnienie za nieprzekonujące. Nie dostrzegłam w Patroklesie niczego, co wskazywałoby na taki brak skrupułów. Drogi bogini miłości bywały nieodgadnione. Czy ktoś mógł przewidzieć, że ja także dostanę się w zasięg tego czaru? Może

prawda była taka, że w innych okolicznościach Achilles bronił się skutecznie i nie zostawiał odsłoniętej nawet szczeliny.

Stało się to w dniu, gdy zakradłam się do zbrojowni, by wykonać pracę, którą najbardziej lubiłam – polerowanie zbroi. I zostałam na tym przyłapana. Do sali wszedł Achilles. Jego krok był wolniejszy niż zwykle. Nie zauważył mnie, choć stałam na środku ze szmatką w ręce. Właśnie zamierzałam się wytłumaczyć. Miał zmęczoną, pochmurną twarz, na ramieniu widać było krew. Ale nie jego! Odetchnęłam. Zdjęty hełm upadł na podłogę. Chwycił się obiema dłońmi za głowę, jakby go bolała. Przerazona, zaczęłam drżeć. Szarpał rzemyki swego napierśnika, w końcu udało mu się go zdjąć, jak i resztę rynsztunku. Gdzie jest Patrokles?

Odziany tylko w bieliznę, jaką nosił pod metalem, z trudem ruszył do krzesła, odwrócił się martwą twarzą ku mnie. Zamiast usiąść na krześle, upadł, zaczął podrygiwać, wykręcać się, toczyć pianę i mamrotać. Potem jego oczy wywróciły się białkami na wierzch, zeszywniał z wyciągniętymi kończynami i ogarnęły go drgawki. Piana toczyła się coraz obficie, a jego twarz stała się czarna.

Nie mogłam nic zrobić, gdy poruszał się tak gwałtownie. Po chwili wszystko ustało. Uklękłam obok niego.

– Achillesie! Achillesie!

Nie słyszał mnie, leżał z szarą twarzą na podłodze, poruszając bezwiednie rękami. Po omacku trafił na moje ramię, przeniósł rękę ku mojej głowie i zaczął nią łagodnie kiwać w tył i przód.

– Matko, zostaw mnie w spokoju!

Miał tak zmieniony i niewyraźny głos, że ledwo go poznawałam. Przestraszyłam się i zaczęłam płakać.

– Achillesie, to ja, Bryzejda! Bryzejda!

– Dlaczego mnie dręczysz? – pytał, ale kogoś innego. – Dlaczego

ciągle przypominasz mi, że idę ku śmierci? Mam dość zmartwień bez ciebie. Czyżbyś nie zadowolili się Ifigenią? Zostaw mnie w spokoju, zostaw mnie!

Potem zapadł w odrętwienie. Uciekłam z pokoju, by odszukać Laodikę.

– Czy kąpiel dla pana jest gotowa? – spytałam bez tchu.

Mój stan podniecenia i niepokoju zrozumiała opacznie, zaczęła chichotać i uszczypnęła mnie.

– No wreszcie, głupia dziewczyno! Tak, gotowa. Możesz go wykapać, ja jestem zajęta. Ho ho!

Zaprowadziłam go do kąpieli i zaczęłam myć. Wziął mnie za Laodikę. Mogłam więc mu się swobodnie przyglądać. I przekonałam się o tym, w co dotąd nie chciałam uwierzyć. Był piękny i bardzo go pragnęłam. Pokój wypełniała para, spociłam się i suknia przylgnęła do mojego ciała. Sztywna z własnej głupoty. Bryzejda dołączyła do reszty. Jak wszystkie kobiety, Bryzejda zakochała się. Zakochała się w człowieku, który nie był ani dla mężczyzn, ani dla kobiet. W człowieku, który był stworzony tylko do jednej rzeczy – zabijania.

Zamoczyłam płótno w zimnej wodzie, wykręciłam je i weszłam na stół koło wanny, by przetrzeć mu twarz. Zaczął wracać do przytomności. Podniósł rękę i położył na moim ramieniu.

– Laodikia? – spytał.

– Tak, panie. Chodź, tu jest twoje łóżko. Chwyć mnie za rękę.

Jego palce zacisnęły się. Wiedziałam, nie patrząc, że rozpoznał mnie po głosie. Wyślizgnęłam się z jego uchwytu i chwyciłam ze stołu dzbanek z oliwą. Rzuciłam mu szybkie spojrzenie i dostrzegłam, że się uśmiecha. Uśmiech nadał jego ustom prawie normalnego wyglądu i był niespodziewanie słodki.

– Dziękuję – rzekł.

– To nic takiego... – odpowiedziałam, z ledwością zdolna dosłyszeć, co mówię, tak biło mi serce.

– Od dawna tu jesteś?

Nie mogłam go okłamywać.

– Od początku.

– Zatem widziałaś...

– Nie mamy teraz tajemnic.

– Mamy, tę samą – odparłam.

I nagle, nie wiem jak, znalazłam się w jego ramionach. Wiem tylko, że mnie nie całował. Potem wyjaśnił mi, że z braku warg całowanie nie dawało mu przyjemności. Och, ale ciało tak. Jego i moje razem. Dłońmi wprawił wszystkie włókna mojego ciała w drżenie, niczym struny liry. Zawisłam w nieświadomości, czując oślepiającą intensywność, którą był Achilles. Ja, która pragnęłam przez tyle księżyców, nie wiedząc, że pragnę, w końcu poznałam moc bogini. Nie rozdzielaliśmy się, nie czując zmęczenia. Przez chwilę miałam wrażenie, że porusza się w nim bogini, że porusza się we mnie.

Potem powiedział, że mnie kocha. Kochał mnie od samego początku. Choć nie byłam do niej podobna, zobaczył we mnie Ifigenię. Opowiedział mi całą tę straszliwą historię i jak przypuszczam, po raz pierwszy od jej śmierci poczuł ulgę. A ja zastanawiałam się, jak zdobędę się na odwagę, by spojrzeć w twarz Patroklesowi, który z czystej miłości pragnął uczynić lekarstwo, ale mu się nie udało. Wszystkie kawałki układanki znalazły się nagle na swoich miejscach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

OPOWIEŚĆ ENEASZA

Do Troi zabrałem tysiąc rydwanów i piętnaście tysięcy piechoty. Priam przełknął swoją niechęć, wiele na mnie zyskiwał. Wziął mojego biednego starego ojca w objęcia i ciepło powitał Kreuzę, moją żonę (która była jego własną córką z Hekabe). Kiedy zobaczył naszego synka, Askaniusza, rozpromienił się i przyrównał go do Hektora. To mi się spodobało. Nie chciałem, by porównywano go do Parysa, którego w istocie bardzo przypominał.

Moi żołnierze zostali zakwaterowani w mieście, a ja i moja rodzina dostaliśmy własny mały pałac w cytadeli. Kiedy nikt nie widział, uśmiechałem się kwaśno. Odmawiając pomocy przez tak długi czas, nie popełniłem błędu. Priam był tak zdesperowany pozbyć się greckiej pijawki, która wysysała krew Troi, że postanowił udawać, że Dardania jest darem zesłanym przez bogów.

Miasto zmieniło się. Jego ulice były szare i gorzej utrzymane niż kiedyś. Aura bogactwa i siły odpłynęła. Zauważyłem też, że zniknęły złote gwoździe z bram cytadeli. Antenor, zadowolony, że mnie widzi, wyjaśnił, iż większa część trojańskiego złota poszła na zakup najemników od Hetytów i Asyrii. Jak dotąd jednak żaden najemnik nie przybył. Ani nie zwrócono złota.

Zimą, na przełomie dziewiątego i dziesiątego roku konfliktu, z wybrzeża zaczęły dochodzić wieści od sojuszników, zapowiadające, że gromadzą pomoc. Tym razem byliśmy skłonni wierzyć, że nadejdą. Władcy Karii, Lidii, Licji i cała reszta. Ludy wybrzeża wymordowano i teraz napływali tam greccy osadnicy. W domach nie zostało nic, czego można by bronić. Ostatnią nadzieją Azji Mniejszej było zjednoczenie się z Troją i wraz z nią pokonanie Greków.

Zwycięstwo umożliwiłoby powrót do domów i wyrzucenie intruzów.

Wieści przysłali nam wszyscy, choć co do niektórych straciliśmy już nadzieję. Król Glaukos przybył z wiadomością od swego współrządcy, króla Sarpedona, by poinformować Priama, że działają jako marszałkowie sił, które pozostały. Z niegdyś tak zaludnionych okolic, od Myzji po Cylicję, zebrali dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Kiedy Glaukos opowiadał całą historię, Priam płakał.

Królowa Amazonek, Penthesilea, obiecała dziesięć tysięcy konnicy. Król Hetytów, Memnon, krewny Priama, który siedział u stóp Hattusilis, miał przyjść z pięcioma tysiącami pieszych i pięciuset rydwanami. Czterdzieści tysięcy trojańskich żołnierzy już mieliśmy. Gdyby ktokolwiek z tych, którzy obiecali nadejść, rzeczywiście przybył, do lata bez trudu przewyższylibyśmy Greków liczebnie.

Pierwszy przybył Sarpedon. Jego wojsko było dobrze wyposażone. Gdy jednak rzuciłem okiem na szeregi, od razu zauważyłem, jak głęboki cios zadał Achilles wybrzeżu. Sarpedon musiał wcielić niedojrzałych młodzieńców i siwiejących mężczyzn, nieokrzesanych chłopaków wiejskich i pasterzy z gór, którzy nie mieli pojęcia o wojaczce. Lecz był w nich entuzjazm, a Sarpedon nie był głupcem. Potrafił ich wyszkolić.

Siedzieliśmy z Hektorem nad winem w jego pałacu i dyskutowaliśmy o sytuacji.

– Twoich piętnaście tysięcy pieszych, dwadzieścia tysięcy żołnierzy z wybrzeża, pięć tysięcy Hetytów, dziesięć tysięcy amazońskiej konnicy i czterdzieści tysięcy trojańskich pieszych – plus dziesięć tysięcy rydwanów – Eneaszu, uda nam się! – powiedział Hektor.

– Sto tysięcy... Jak sądzisz, ilu Greków zostało, żeby przeciw nam stanąć? – spytałem.

– Trudno to ocenić. Wszystko, co mamy, to pogłoski od

niewolników, którzy w ciągu lat uciekali z obozu Greków – rzekł Hektor. – Lubię szczególnie jednego, człowieka imieniem Demetrios. Egipcjanin z urodzenia. Od niego i od innych dowiedziałem się, że Agamemnon ma około pięćdziesięciu tysięcy ludzi. I zaledwie tysiąc rydwanów.

Nachmurzyłem się.

– Pięćdziesiąt tysięcy? To niemożliwe.

– Niezupełnie. Kiedy tu przybyli, było ich osiemdziesiąt tysięcy. Demetrios powiedział mi, że dziesięć tysięcy Greków jest już za starych na noszenie broni. Agamemnon nigdy nie wzywał dodatkowych ludzi z Grecji. Starszych wiekiem posłał na kolonizowanie wybrzeży. Dwa lata temu zmarło na zarazę pięć tysięcy. W Drugiej Armii albo zginęło, albo jest niezdolnych do walki dziesięć tysięcy. Pięć tysięcy pożeglowało z powrotem do Grecji ze zwykłej tęsknoty za domem. Taka jest moja ocena. Nie ma ich więcej jak pięćdziesiąt tysięcy, Eneaszu.

– Zatem powinniśmy zrobić z nich siekaninę – powiedziałem.

– Zgadza się – rzekł Hektor zapalony. – Wesprzesz mnie na zebraniu, kiedy poproszę ojca, by pozwolił mi wyprowadzić armię?

– Bez Hetytów i Amazonek?

– Nie są nam potrzebni.

– Powinieneś wziąć pod uwagę ich doświadczenie, którego nam brak, Hektorze. Grecy są zaprawieni w boju, my – nie. Ich żołnierze wiedzą, że mają świetnych dowódców.

– Zgadzam się z brakiem doświadczenia, ale nie mogę się zgodzić co do dowódców. My również mamy dzielnych wojowników, na przykład ciebie. Jest jeszcze Sarpedon, syn Zeusa! Żołnierze uwielbiają go. – Chrząknął. – I jest Hektor.

– To nie to samo – odparłem. – Czy Dardanie wiedzą coś o Hektorze, a Trojanie o Eneaszu? A kto poza Licją zna imię

Sarpedona, czy jest synem Zeusa czy nie. Pomyśl o sławnych Grekach! Agamemnon, Idomeneusz, Nestor, Achilles, Ajaks, Teukros, Diomedes, Odyseusz, Meriones – i tak dalej, i tak dalej! Nawet ich główny chirurg, Machaon, jest świetnym wojownikiem. Każdy grecki żołnierz zna ich nazwiska. Przypuszczalnie potrafiłby nawet powiedzieć, co poszczególny dowódca jada na śniadanie albo jaki jest jego ulubiony kolor. Nie, Hektorze, Grecy to jeden naród walczący pod królem królów, Agamemnonem. Podczas gdy my jesteśmy tylko zbieraniną, rywalizującą i zazdrosną.

Hektor przyglądał mi się dłuższą chwilę, potem westchnął.

– Masz oczywiście rację. Ale w jednym jesteśmy lepsi. Nasza różnojęzyczna armia myśli jedynie o tym, by wyrzucić Greków z Azji Mniejszej. Oni walczą dla zysku. My walczymy o życie.

Roześmiałem się.

– Hektorze, jesteś niepoprawnym idealistą! Kiedy żołnierz przyłoży ci włócznię do gardła, będziesz się zastanawiał, czy on walczy dla zysku? Oni tak jak my walczą o życie.

Nie siląc się na komentarz, nalał wina do kielichów.

– Zatem zamierzasz prosić o pozwolenie wyprowadzenia armii?

– Tak – potwierdził Hektor. – Dzisiaj. Kiedy patrzę na nasze mury, widzę w nich przeszkodę i dom staje się dla mnie więzieniem!

– Czasami to, co najsilniej kochamy, najbardziej nas niszczy – rzekłem.

Uśmiechnął się, choć nie było mu wesoło.

– Dziwny z ciebie człowiek, Eneasz! Czy ty w ogóle w coś wierzysz? Coś kochasz?

– Wierzę w siebie i kocham siebie – odparłem.

Priam wahał się. Zdrowy rozsądek walczył w nim z przytłaczającym pragnieniem wygnania Greków. W końcu jednak

posłuchał Antenora, nie Hektora.

– Nie rób tego, panie! – błagał Antenor. – Przedwczesna walka z Grekami będzie oznaczała śmierć wszelkich nadziei! Poczekaj na Memnona, Hetytów i królową Amazonek! Gdyby Agamemnon nie miał Achillesa i Myrmidonów, to co innego. Ale tak nie jest, a ja bardzo się ich obawiam. Od dnia swych narodzin Myrmidon żyje dla walki. Jego ciało jest ukształtowane z brązu, serce z kamienia, a duch zawzięty jak u mrówki, od której wzięli swe imię! Bez wojowniczek amazońskich, które jako jedyne mogą sobie poradzić z Myrmidonami, twoja przednia straż zostanie pocięta na kawałki! Poczekaj, panie!

Priam postanowił więc czekać. Hektor zaakceptował werdykt ojca z filozoficznym spokojem, ale ja dobrze znałem dziedzica. Tęsknił za tym, żeby spotkać się z Achillesem, mimo że ojciec obawiał się najbardziej właśnie tego człowieka.

Achilles... Przypomniałem sobie, jak spotkałem go pod Lyrnessos. Zastanawiałem się, który z nich jest lepszy – Achilles czy Hektor. Byli tego samego wzrostu i tak samo żądni walki. Jednak gdzieś w kościach czułem, że los Hektora został już przesądzony. Uważałem prawość za towar nadmiernie ceniony, a Hektor był taki prawy. Ja natomiast paliłem się do czegoś zupełnie innego.

Kiedy opuszczałem salę tronową, panował w niej ogólny nastrój niepokoju. Priam był zrażony do mnie i mojego ludu z powodu starej przepowiedni, że pewnego dnia będę rządził Troją. Mimo całej uprzejmości nadal czuło się ukrytą niechęć. Tylko moi żołnierze byli powodem, że dobrze mnie przyjęto. Jak mógłbym przeżyć jego pięćdziesięciu synów? Chyba że Troja przegra wojnę. W takim wypadku być może Agamemnon będzie wolał posadzić na tronie mnie. Miła propozycja dla kogoś, w kim płynęła ta sama krew co Priama.

Wyszedłem na wielki dziedziniec i chodziłem tam i z powrotem, nienawidząc Priama i pragnąc Troi. Nagle zorientowałem się, że

obserwuje mnie ktoś ukryty w cieniu. Poczulem zimno na karku. Priam mnie nienawidził. Czy dopuści się mordu na krewnym?

Stwierdziwszy, że byłby do tego zdolny, wyciągnąłem sztylet i zacząłem się za zdobionym w kwiaty ołtarzem Zeusa z Dziedzińca. Kiedy byłem na wyciągnięcie ramienia od obserwatora, skoczyłem. Zakrywając mu usta dłonią, przyłożyłem sztylet do gardła. Miękkie usta pod moją dłonią ani nagie piersi pod moim sztyletem nie należały do mężczyzny. Puściłem ją.

– Czyżbyś wziął mnie za zabójcę? – spytała, dysząc.

– Niemądrze postąpiłaś, ukrywając się, Heleno.

Na stopniu ołtarza znalazłem latarnię i zapaliłem ją od wiecznego ognia. Potem uniosłem światło i długo się jej przyglądałem. Odkąd spotkałem ją po raz pierwszy, minęło osiem lat. Niesamowite! Musiała mieć chyba trzydzieści dwa lata. Lamy jednak są przychylne kobietom. Później w lepszym świetle dostrzegłem drobne zmarszczki wokół oczu i lekką obwisłość piersi.

Bogowie, była piękna! Helena, Helena z Troi i Amyklaju. Helena Pijawka. Z jej postawy emanował wdzięk Artemidy Łowczyni, twarz jaśniała delikatnością rysów. Czuło się swawolny wigor Afrodyty. Helena, Helena, Helena... Dopiero teraz, kiedy na nią patrzyłem, w pełni uświadomiłem sobie, ile to razy jej obraz nawiedzał moje sny, ile razy rozwiązywała swoją wyszywaną klejnotami spódnicę i pozwalała jej opaść u stóp z kości słoniowej. Helena była Afrodytą zrodzoną w śmiertelnych kształtach. W Helenie rozpoznałem kształt i rysy bogini, mojej matki, której nigdy nie widziałem. Często słyszałem o niej w majaczeniach ojca, który po spotkaniu z Boginią Miłości oszalał.

Helena była wcieleniem wszystkich zmysłów, Pandora, która się uśmiechała i zachowywała swą tajemnicę, zniewoloną i zniewalającą; była ziemią i miłością; wilgocią i powietrzem, ogniem zmieszany z lodem, zdolnym rozpalić krew w żyłach mężczyzny.

Igrała ze śmiercią, szydziła z tajemnicy.

Kiedy położyła dłoń na moim ramieniu, jej wypolerowane paznokcie błyszcząły jak wnętrze muszli.

– Jesteś w Troi od czterech miesięcy, a jednak widzę cię po raz pierwszy, Eneaszu.

Wzburzony i doprowadzony do szaleństwa, strząsałem jej rękę.

– Po co miałbym cię szukać? Niczego dobrego nie zyskałbym w oczach Priama, gdyby widziano, jak tańczę wokół Wielkiej Kurtyzany.

Wysłuchiwała tego nieporuszona, ze spuszczonego wzrokiem. Nagle czarne rzęsy uniosły się, a zielone oczy spojrzały na mnie z powagą.

– Zgadza się – powiedziała, siadając i potrząsając frędzlami i falbanami, które delikatnie zadźwięczały. – W oczach mężczyzny – ciągnęła ze spokojem – kobieta jest tylko towarem. Kawałkiem własności, którą posiada. Może ją zwymyślać, kiedy mu się podoba, bez lęku o odwet. Kobiety są stworzeniami biernymi. Nasz głos się nie liczy, ponieważ nie uważa się nas za zdolne do logicznego myślenia. Rodzimy mężczyzn, ale o tym się nie pamięta.

Ziewnąłem.

– Użalanie się nad sobą nie pasuje do ciebie – powiedziałem.

– Lubię cię – odparła, uśmiechając się – ponieważ jesteś tak ambitny. I tak podobny do mnie.

– Podobny do ciebie?

– O, tak. Jestem zabawką Afrodyty. A ty jesteś jej synem.

Poszła w moje objęcia z żarliwością i oszalamiającymi pieszczotami.

Wziąłem ją na ręce i zaniósłem przez ciche korytarze do mojego prywatnego pokoju. Nikt nas nie widział. Przypuszczam, że zadbała o to moja matka, lisica.

Mimo że głębia jej namiętności wstrząsnęła mną do rdzenia, w niej pozostała jakaś część obojętna, zdystansowana i sekretna. Poznałem ją w spazmie rozkoszy. Choć obnażyła moją duszę, jej własna pozostała zamknięta w jakimś tajemniczym schowku, i nie miałem żadnej nadziei, że kiedykolwiek znajdę do niej klucz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

OPOWIEŚĆ AGAMEMNONA

Wojska od dawna były gotowe do bitwy, ale Priam nadal pozostawał wewnątrz murów. Nawet oddziały zwiadowcze przestały nas nękać. Moich żołnierzy dręczyła niepewność i nuda. Nie mając nic do omawiania, nie zwoływałem żadnej narady. Aż pojawił się Odyseusz.

– Panie, czy mógłbyś dziś w południe zwołać naradę? – spytał.

– Po co? Nie ma nic do przekazania.

– Nie chcesz się dowiedzieć, jak wywabić Priama na zewnątrz?

– Co takiego wymyśliłeś, Odyseuszu?

Rzucił mi promienne, rozbawione spojrzenie.

– Panie! Jak możesz prosić, bym teraz wyjawiał ci mój sekret? Równie dobrze mógłbyś prosić mnie o nieśmiertelność!

– Zatem dobrze. Narada w południe.

– Czy mogę prosić o przysługę?

– Jaka? – spytałem ostrożnie. Zawsze wykorzystywał ten swój niesamowity uśmiech, by dostać to, co chciał. Kiedy Odyseusz się tak uśmiechał, byłem bezradny. Nie można go nie kochać.

– Aby to nie była narada ogólna, a tylko w gronie pewnych ludzi.

– To twoja narada. Zaproś, kogo chcesz. Podaj mi imiona.

– Nestor, Idomeneusz, Menelaos, Diomedes i Achilles.

– Bez Kalchasa?

– Szczególnie bez niego.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak bardzo nie lubisz tego człowieka. Gdyby był szpiegiem, z pewnością już byśmy o tym wiedzieli. Ty jednak wciąż nalegasz, by go wyłączać z każdej istotnej narady. Bogowie świadkiem, że miał wiele okazji, by donieść o naszych sekretach Trojanom. Lecz nigdy tego nie zrobił.

– O niektórych sekretach wie równie mało co ty. Myślę, że czeka na coś, co będzie warte zdradzenia, do kogo należy jego serce.

Zagryzłem wargi, obrażony.

– Dobrze. Zatem bez Kalchasa.

– Nie wspominaj mu o tej naradzie. Co więcej, chciałbym, żeby – kiedy już się zbierzemy – drzwi i okna zostały zabite deskami. Wokół niech staną strażnicy gęstym kordonem.

– Odyseuszu! Czy to nie przesada?

Uśmiechnął się przebiegle.

– Nie chciałbym zrobić z Kalchasa głupca, panie. Musimy zatem skończyć ten interes w dziesiątym roku.

Wkrótce zebrała się garstka mężczyzn, których zaprosił Odyseusz. Sądzieli, że będzie to zwykła narada, zatem zdziwili się, widząc, że jest ich tak mało.

– Dlaczego bez Merionesa? – spytał Idomeneusz trochę rozdrażniony.

– I dlaczego bez Ajaksa? – spytał Achilles wojowniczo.

Odchrząknąłem. Usiedli.

– Odyseusz prosił mnie, bym was zebrał – odezwałem się. – Tylko was pięciu, on i ja. Hałas, jaki słyszycie, to strażnicy zabijający deskami okna i drzwi. To z pewnością przekona was, jak

niezwykle tajna jest to sprawa. Żądam od was indywidualnej przysięgi, cokolwiek zostanie tu powiedziane, nie wolno powtórzyć tego poza tymi ścianami, nawet we śnie.

Jeden po drugim klękali i składali przysięgę.

Kiedy Odyseusz zaczął, głos miał przyciszony – jego zwykła sztuczka. Zawsze rozpoczynał cicho, żeby wszyscy musieli nateżać uszu, by go dosłyszeć. Wraz z rozwijaniem swoich pomysłów, jego głos rósł, aż pod koniec rezonował pod sufitem niczym odgłos bębnów.

– Zanim wyłuszczę właściwą przyczynę tej narady w wąskim gronie – powiedział prawie niedosłyszalnie – muszę powiadomić was o tym, co niektórzy już wiedzą. Mianowicie, na czym polega właściwa funkcja więzienia znajdującego się w mojej jamie.

Słuchałem z rosnącym gniewem i zdumieniem. Oczywiście Nestor i Diomedes o wszystkim wiedzieli przede mną. Dlaczego nikomu z nas nie przyszło do głowy, by sprawdzić, co dzieje się w tej jamie? Może dlatego – przyznałem mimo obrazy – że było nam wygodniej nie pytać. Odyseusz wybawił nas od największych problemów, które potem nigdy nas nie dręczyły. Sam wiedziałem, jak męczyło mnie wydawanie wyroków. A więc, to jego szpiedzy tam mieszkali.

– Dobrze – rzekłem w końcu ze ściągniętymi wargami – przynajmniej teraz wiemy, dlaczego tak celnie udawało ci się przewidywać zamiary Troi. Po co jednak ta tajemniczość? Jestem królem królów, Odyseuszu! Powinienem wiedzieć o wszystkim od początku!

– Nie – rzekł Odyseusz – skoro tak faworyzowałeś Kalchasa.

– Nadal go faworyzuję.

– Ale nie tak jak kiedyś.

– Może. Może. Kontynuuj. Co twoi szpiedzy mają wspólnego

z tym spotkaniem?

– Oni nie byli tak beczynni jak nasze wojsko – powiedział. – Wszyscy na pewno słyszeliście plotkę o tym, dlaczego Priam nie chce wyjść na zewnątrz. Podobno obiecane wsparcie nie spełniło jego oczekiwań i jego wojska nie dorównują nam liczebnie. Lecz ta plotka to zupełna nieprawda. Już w tej chwili Priam ma siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy i dziesięć tysięcy rydwanów. Kiedy nadejdą Penteseila z Amazonkami i Memnon z Hetytami, liczba jego wojska drastycznie nas przewyższy. Na dodatek jest przekonany, że nam się uda wystawić zaledwie czterdzieści tysięcy ludzi. Liczby te są dokładne. Mam u Priama i Hektora zaufanych ludzi.

Przechadzał się swobodnie po prawie pustym pokoju.

– Zanim przejdę dalej, muszę wam opowiedzieć o królu Troi. Priam jest stary i skory do zwątpienia, wahań, lęków i uprzedzeń, charakterystycznych dla prawdziwych starców. Krótko mówiąc, nie jest Nestorem. Rządzi Troją autokratyczną ręką. Jest dosłownie królem wszystkich i rządzi wszystkimi. Nawet jego synowi i dziedzicowi nie wolno mówić, co król powinien robić. Agamemnon zwołuje rady. Priam zwołuje zebrania. Agamemnon słucha tego, co mamy do powiedzenia, i bierze to pod uwagę. Priam słucha tylko siebie oraz tych, którzy podzielają jego zdanie.

Przerwał, stając twarzą do nas.

– Takiego właśnie człowieka musimy przechytrzyć. Musimy nagiąć go do naszej woli, by się w tym nie zorientował. Hektor, chodząc po wałach, płacze. Liczy swoich ludzi i widzi, jak siedzimy nad brzegiem Hellespontu niczym owoc dojrzający do zerwania. Eneasz irytuje się i spala. Tylko Antenor nic nie robi, a Priam robi to, co każe mu Antenor, czyli – nic.

Kolejna runda wokół krzesel, wszystkie głowy obracają się za nim.

– Dlaczego zatem Priam nie chce walczyć, skoro jest świadom,

że już teraz ma przewagę i może nas wypędzić z Troady? Czyżby rzeczywiście czekał na Pentesileę i Memnona?

Nestor pokiwał głową i powiedział:

– Bez wątpienia tak. Właśnie tak postąpiłby starzec.

Odyseusz nabrał powietrza, jego głos nabrzmiął.

– My jednak nie możemy pozwolić mu czekać! Trzeba go wyciągnąć z miasta, zanim będzie mógł tracić ludzi tysiącami. Moje źródła informacji są lepsze niż Priama i mogę wam powiedzieć, że Pentesilea i Memnon przybędą tu, zanim zima odetnie przejścia z głębi ładu. Amazonki to konnica.

Z nimi Troja będzie miała przeszło dwadzieścia tysięcy jeźdźców. Będą tu za niecałe dwa księzyce, a Memnon depcze im po piętach. Przełknąłem ślinę.

– Odyseuszu... nie wiedziałem... nie mogłeś mi tego wcześniej powiedzieć?

– Moje informacje dopiero teraz są kompletne, Agamemnonie.

– Rozumiem. Kontynuuj.

– Czy Priam wstrzymuje się tylko z ostrożności, czy może jest jeszcze coś? – Odyseusz nikogo nie pytał. – Odpowiedzią wcale nie jest przezorność. Dawno już dałby Hektorowi pozwolenie na wyjście za mury. To, co naprawdę mu przeszkadza, to obecność Achillesa i Myrmidonów. Boi się Achillesa i Myrmidonów bardziej niż reszty naszych żołnierzy razem wziętych i wszystkich dowódców. Skąd ten lęk? Bierze się przede wszystkim z pewnej przepowiedni o Achillesie, która głosi, że sprowadzi on zniszczenie na dziedzica Troi. Wśród Trojan panuje przekonanie, że Myrmidoni są niepokonani. Podobno Zeus wyczarował ich z armii mrówek, aby dać Peleusowi najlepszych żołnierzy na świecie. Wszyscy wiemy, jak przesądni potrafią być ludzie i jak łatwo ich nabrać. Zatem Priam uważa, że potrzeba mu przeciw Achillesowi i Myrmidonom kogoś szczególnego.

– Penteseilei czy Memnona? – spytał Achilles z ponurą miną.

– Penteseilei. Ja i jej konne wojowniczkę otacza aura tajemnicy. Przynoszą z sobą kobiecą magię. Rozumiecie, Priam nie chce dopuścić do tego, aby Hektor walczył z Achillesem. Nie pozwoli mu stanąć przeciw człowiekowi, który zgodnie z przepowiednią ma zniszczyć dziedzica Troi, mimo że zwycięstwo Troi gwarantuje sam Apollo.

Na twarzy Achillesa nie było radości, ale się nie odezwał.

– Achilles ma niezwykle talenty – ciągnął Odyseusz. – Potrafi prowadzić wojsko jak sam Ares. I stoi na czele Myrmidonów.

Nestor westchnął.

– To prawda.

– Nie ma powodu do rozpacz, Nestorze! – rzucił wesoło Odyseusz. – I ja mam swoje talenty.

Diomedes uśmiechnął się, oczywiście był już od dawna z wszystkim zaznajomiony. Achilles spoglądał to na mnie, to na Odyseusza. Ten zaś patrzył na nas obu. Potem uderzył końcem laski o podłogę z dźwiękiem, który sprawił, że wszyscy podskoczyliśmy. Kiedy w końcu przemówił, jego głos grzmiał niczym piorun.

– Musi dojść do kłótni!

Patrzyliśmy, nic nie rozumiejąc.

Trojanom nieobcy jest system szpiegowania – kontynuował Odyseusz już bardziej normalnym tonem. – Mają szpiegów w naszym obozie tak samo jak my w Troi. Znam każdego z nich i karmię wybranymi kąskami, aby zanosili je Polidamasowi, który ich zwerbował. Ten Polidamas to bardzo interesujący człowiek, choć niedoceniany. Za co musimy być wdzięczni bogom. Nie trzeba mówić, że jego szpiegowie zanoszą mu tylko to, co chcę, żeby mu donieśli. Na przykład zaniżony stan liczebny naszego wojska. W minionym miesiącu natomiast podrzuciłem Polidamasowi

szczególny kasek: pewną plotkę.

– Plotkę? – nachmurzył się Achilles.

– Tak, plotkę. Ludzie uwielbiają plotki.

– Jaka to plotka? – spytałem.

– Że między tobą, Agamemnonie, a Achillesem nie ma zgody.

Myślę, że wstrzymałem oddech dłużej, niż powinienem, ponieważ musiałem głośno nabrać powietrza.

– Między mną a Achillesem nie ma zgody? – powtórzyłem wolno.

– Tak jest – rzekł Odyseusz zadowolony z siebie. – Przecież wiecie, że prości żołnierze plotkują o wyższych stopniem. Wśród nich powszechnie wiadomo, że między wami od czasu do czasu zdarzają się różnice zdań. Ostatnio rozsiewałem plotkę, że jest coraz gorzej.

Achilles wstał z białą twarzą.

– Nie podoba mi się ta plotka, Itakijczyku! – rzekł gniewnie.

– Nie powiedziałem, że ma ci się podobać, Achillesie. Proszę, siadaj! – Odyseusz spojrział zamyślony. – Zdarzyło się to w Andramyttios pod koniec jesieni, kiedy dzielono łupy z Lyrnessos. – Westchnął. – Niezwykle smutny to widok, kiedy tak wielcy ludzie spierają się o kobietę!

Zacisnąłem ręce na oparciach fotela. Już miałem wstać, lecz spojrzałem na Achillesea. Jego oczy były zupełnie czarne.

– Nieuniknione, że nienawiść zawsze uderza do głów – kontynuował niefrasobliwie Odyseusz. – I nikt się nie zdziwi, gdy w końcu wy dwaj się pokłóćcie na dobre.

– Ale o co? – spytałem. – Ale o co?

– Cierpliwości, Agamemnonie, cierpliwości! Najpierw muszę zatrzymać się trochę na wydarzeniach w Andramyttios. Otrzymałeś

wtedy szczególny łup jako wyraz szacunku od Drugiej Armii. Dziewczyne imieniem Chryzejda, której ojciec był arcykapłanem Apolla w Lyrnessos. Włożył zbroję, chwycił za miecz i zginął w walce. Teraz jednak Kalchas rozpowiada, że tej dziewczynie towarzyszą niekorzystne znaki. Powinna zostać zwrócona kapłanom Apolla w Troi. Jeśli tego nie zrobimy, czeka nas gniew bogów.

– Wszystko to prawda, Odyseuszu – rzekłem, wzruszając ramionami.

– Jednakże powiedziałem Kalchasowi, że Apollo i tak nam nie sprzyja, jest całkowicie po stronie Troi. Chryzejda podoba mi się, zatem nie mam zamiaru jej oddawać.

Odyseusz cmoknął.

– Zauważyłem. Jednakże twój sprzeciw zaniepokoił Kalchasa. Przypuszczam, że będzie chciał ponowić żądanie, by dziewczynę odesłać do Troi. Zatem, aby mu pomóc, powinniśmy w naszym obozie wywołać plagę. Posiadam zioło, po zażyciu którego człowiek przez niemal osiem dni bardzo choruje. Potem jednak wraca całkowicie do zdrowia. Mówię wam, to robi wrażenie! Kiedy wybuchnie plaga, Kalchas ponowi żądanie, byś oddał Chryzejdę. A ty, panie, stojąc w obliczu potężnego gniewu bogów, którzy zesłali chorobę, zgodzisz się.

– Kiedy to ma być? – spytał niecierpliwie Menelaos.

– Już wkrótce, obiecuję. – Odyseusz skupił teraz swoją uwagę na mnie.

– Jednakże ty, panie, nie jesteś małym książętkiem, które łatwo godzi się odebrać sobie łup. Jesteś królem królów. Dlatego zażadasz rekompensaty. Powiesz, że Druga Armia dała ci tę dziewczynę i Druga Armia musi ci za nią zadośćuczynić. Z tych samych łupów pochodzi inna dziewczyna, którą Achilles bez pytania wybrał dla siebie. Ma na imię Bryzejda. Wszyscy królowie i dwustu starszych oficerów widzieli, jak bardzo król królów sam chciał ją

mieć – właściwie bardziej niż Chryzejdę. Plotki już poszły, Agamemnonie. Obecnie cała armia wie, że wolałeś Bryzejdę od Chryzejdy. Jednakże powszechnie wiadomo też, że Achilles darzy ją dużymi względami i nie będzie chciał się z nią rozstać. Patrokles z tego powodu chodzi bardzo nachmurzony.

– Odyseuszu, przedziesz bardzo cienką nić – powiedziałem, zanim Achilles zdążył się odezwać. Zignorował mnie gestem dłoni.

– Agamemnonie, ty i Achilles pokłócicie się o kobietę. Zauważyłem, że kłótnie o kobietę wszyscy przyjmują bez zastrzeżeń. W końcu, przynajmy to, są niezwykle powszechne i przyczyniają się do śmierci wielu mężczyzn. Jeśli pozwolisz, mój drogi Menelaosie, podobnie było z Heleną.

– Nie pozwalam! – wrzasnął mój brat.

Odyseusz zamrugał. Ale z niego łajdak! Kiedy raz coś zaczął, nikt nie był w stanie go powstrzymać.

– Ja sam – powiedział, jak zwykle zadowolony z siebie – podejmuję się podetknąć pod nos naszego czcigodnego kapłana Kalchasa kilka znaków i rozpętać zarazę. Obiecuję wam, że nabiorą się na nią nawet Podalieros i Machaon! Nazajutrz po wybuchu choroby w naszym obozie zapanuje popłoch. Kiedy zostaniesz poinformowany o powadze sytuacji, Agamemnonie, natychmiast udasz się do Kalchasa i zapytasz, co rozgniewało bogów. To mu się spodoba. Ale jeszcze bardziej twoja prośba o publiczną wyrocznię. Zażąda wobec wszystkich oficerów, byś odesłał Chryzejdę do Troi. Nie będziesz miał, panie, wyboru. Będziesz musiał się zgodzić. Jestem jednak pewien, że nikt nie będzie miał ci za złe, że wpadniesz w gniew, gdy Achilles cię wyśmieje. Podczas publicznej wyroczni? To niedopuszczalne!

Nie mogliśmy doczekać się, co będzie dalej. Sądzę jednak, że Odyseusz nie przerwałby, nawet gdyby Zeus rzucił piorun pod jego stopy.

– Naturalnie, Agamemnonie, będziesz bardzo wściekły. Odwrócisz się do Achillesa i zażadasz, by dał ci Bryzejdę. Potem odwołasz się do zgromadzonych oficerów – zabrano ci łup, dlatego Achilles musi ci zadośćuczynić, oddając swój łup tobie. Achilles odmówi, ale jego pozycja będzie tak samo nie do obrony jak wcześniej twoja. Będzie musiał oddać ci Bryzejdę, i zrobi to od razu. Przyprowadziwszy ją, przypomni ci, że ani on, ani jego ojciec nie składali Przysięgi Poćwiartowanego Konia. Przed całym zgromadzeniem obwieści, że wycofuje się z wojny i zabiera swoich Myrmidonów. – Odyseusz ryczał ze śmiechu, potrząsając pięściami ku sufitowi. – Znam pewnego gadatliwego Trojanina. Nie minie dzień, gdy Troja dowie się o tej kłótni.

Siedzieliśmy, jakby Meduza zamieniła nas w kamień. Mogłem tylko zgadywać, jaką burzę emocji przeżywali inni. Ja sam przeżywałem piekło. Kątem oka zauważyłem, że Achilles się porusza. Całą uwagę skupiłem na nim, pragnąc poznać jego reakcję. Odyseusz, jak nikt inny, potrafił z tajemniczych grobów wykopywać szkielety i nimi potrząsać. Na Matkę! Był wspaniały!

Achilles nie był rozgniewany. To mnie zdumiało. Jego oczy wyrażały jedynie podziw.

– Co z ciebie za człowiek, Odyseuszu? Wymyślić taką intrygę! To diabelski plan. Trochę jednak kuleje! Musisz przyznać, że niezbyt pochlebia Agamemnonowi i mnie. Jeśli zrobimy to, czego sobie życzysz, obu nas czeka śmieszność i pogarda. A ja od razu ci mówię, że nawet gdybym miał zginać, nie oddam Bryzejdy.

Nestor kaszlnął cicho.

– Nie będziesz musiał niczego oddawać, Achillesie. Obie młode kobiety zostaną powierzone mojej opiece i zostaną u mnie, aż sprawy zakończą się zgodnie z planem Odyseusza. Umieszczę je w sekretnym miejscu, którego nikt nie będzie znał. Szczególnie Kalchas.

Achilles nadal nie był przekonany.

– Uczciwa oferta, Nestorze, i mogę jej zaufać. Ale z pewnością rozumiesz, dlaczego ten plan mi się nie podoba. Co, jeśli rzeczywiście uda nam się oszukać Priama? Bez Myrmidonów jako przedniej straży poniesiemy straty, na które nas nie stać. Nie przesadzam. Zadaniem moich wojsk jest odpieranie pierwszego ataku. Nie mogę zaakceptować planu, który naraża tyle istnień. – Zamyślił się. – Poza tym, co z Hektorem? Ślubowałem, że go zabiję. A jeśli zginie, gdy mnie nie będzie w bitwie? I jak długo mam się trzymać z dala?

Odyseusz pośpieszył z odpowiedzią.

– Tak, stracimy ludzi, którzy nie zginęliby, gdyby Myrmidoni byli z nami. Ale Grecy nie są złymi wojownikami. Jestem pewien, że sobie poradzimy. Na razie nie chciałbym odpowiadać na najważniejsze pytanie: jak długo masz się trzymać z dala od bitwy. Raczej wolałbym pomówić o wyciągnięciu Priama zza murów. Postawmy sobie pytanie – co będzie, gdy wojna potrwa jeszcze parę lat? Nasi ludzie zestarzeją się i nigdy nie zobaczą swych domów. A co będzie, gdy Priam zaatakuje nas z Pentesileą i Memnonem? Z Myrmidonami czy bez, rozniosą nas na kawałki. – Uśmiechnął się. – Jeśli chodzi o Hektora, przeżyje, aby stawić ci czoło, Achillesie. Czuję to w kościach.

Przemówił Nestor.

– Kiedy Trojanie raz wyjdą zza swoich murów – powiedział – już się nie cofną. Nawet gdyby ponieśli ciężkie straty, Priam otrzyma informację, że nasze straty są jeszcze większe. Kiedy już ich wywabimy, tama zostanie zerwana. Nie spoczna, aż nie wypędzą nas z Troi. Będą walczyć tak długo, dopóki będzie żył choć jeden z nich.

Achilles rozłożył szeroko swe ramiona, wielkie mięśnie zagrały pod skórą.

– Wątpię, abym miał dość silnej woli i trzymał się z dala od

walki, gdy inni będą w bitwie, Odyseuszu. Wszystkie te lata czekałem na tę chwilę. Są także inne zastrzeżenia. Co powie wojsko o człowieku, który ich opuszcza w potrzebie z powodu kobiety? Co pomyślą sobie o mnie Myrmidoni?

– Nikt nie będzie wyrażał się o tobie uprzejmie, Achillesie, to pewne – powiedział poważnie Odyseusz. – Wykonanie tego, o co proszę, mój przyjacielu, wymaga odwagi szczególnego rodzaju. Więcej odwagi, niż potrzeba, by zburzyć jutro Zachodnią Kurtynę. Nie zrozumcie mnie źle! Achilles nie przedstawił sprawy bardziej czarno, niż wygląda w rzeczywistości. Wielu będzie ci urażyło, Achillesie. Wielu będzie urażyło Agamemnonowi. Niektórzy was przeklną. Inni oplują.

Uśmiechnąwszy się krzywo, Achilles spojrział na mnie nie bez sympatii. Odyseusz zbliżył nas bardziej, niż było to dotąd możliwe po wypadkach w Aulidzie. Moja córka! Moja biedna córeczka! Siedziałem bez ruchu, chłodno przymierzając się do niesmacznej roli, którą miałem odegrać. Achilles będzie wyglądał na niepohamowanego głupca. A za kogo mnie będą uważać? Czy głupiec to właściwe słowo? Lepsze byłoby chyba idiota.

Wtedy Achilles klepnął się mocno po udzie.

– Obarczasz nas poważną odpowiedzialnością, Odyseuszu. Jeśli jednak Agamemnon się upokorzy i weźmie na siebie ten ciężar, czy ja mógłbym odmówić?

– Jaka jest twoja decyzja, panie? – spytał Idomeneusz, a jego ton obwieszczał, że on nigdy by się na to nie zgodził.

Potrząsnąłem głową, oparłem brodę na dłoniach i myślałem. Reszta nie spuszczała ze mnie wzroku. Achilles przerwał moje zamyślenie, odzywając się do Odyseusza.

– Odpowiedz na najważniejsze pytanie, Odyseuszu. Jak długo to będzie trwało?

– Aby wyciągnąć Trojan, potrzeba dwóch albo trzech dni.

– To żadna odpowiedź. Jak długo będę musiał trzymać się z dala od bitwy?

– Najpierw poczekajmy na decyzję arcykróla. Panie, jak będzie?

Opuściłem ręce.

– Zrobię to pod jednym warunkiem. Że każdy z was w tym pokoju złoży uroczystą przysięgę, iż doprowadzi dzieło do końca bez względu na to, jaki on będzie. Jedynie Odyseusz mógł nas wprowadzić w ten labirynt, takich planów nigdy nie wymyślano dla arcykrólów Myken. Podobny los bywał udziałem jedynie królów z wysp. Czy wszyscy godzicie się złożyć przysięgę?

Pokiwali głowami.

Bez kapłana przysięgliśmy na głowy naszych męskich potomków, ich zdolność do rozmnażania się i przetrwanie naszych rodów. Była to przysięga poważniejsza od Przysięgi Poćwiartowanego Konia.

– Zatem, Odyseuszu – rzekł Achilles – kończ.

– Zostawcie Kalchasa mnie. Zapewniam, że zrobi to, czego się spodziewamy, nie podejrzewając nawet, że właśnie tego od niego oczekujemy. Odegra swoją rolę z wiarą, jak biedny pasterz wyrwany z tłumu, mający grać Dionizosa na święcie Menad. Achillesie, kiedy oddasz Bryzejdę i wygłosisz swoją mowę, zabierzesz oficerów myrmidońskich i wrócisz natychmiast do swojego obozowiska. Dobrze, że nalegałeś, by zbudować palisadę wewnątrz naszego obozu! Łatwo będzie można zauważyć, że się odciąłeś. Zabronisz Myrmidonom wychodzić za palisadę, sam też nie będziesz wychodził. Od tej pory będziesz przyjmował wizyty, ale sam nigdzie się nie ruszał. Wszyscy będą myśleli, że ci, którzy cię odwiedzają, przychodzą, by cię przebłagać. Zawsze, nawet wobec najbliższych przyjaciół, musisz udawać bardzo zagniewanego, człowieka głęboko

zranionego i zupełnie rozczarowanego, który przekonał się, że popełnił olbrzymi błąd i wolałby raczej umrzeć, niż naprawić swoje relacje z Agamemnonem. Nawet Patrokles musi cię tak odbierać. Czy to jasne?

Achilles pokiwał poważnie głową. Teraz, gdy sprawa została do końca wyjaśniona i przypieczętowana przysięgą, wyglądał na zrezygnowanego.

– Nie zamierzasz mi odpowiedzieć? – spytał. – Jak długo?

– Aż do ostatniej chwili – powiedział Odyseusz. – Hektor musi być zupełnie przekonany, że wygra, podobnie jego ojciec. Zwlekaj, Achillesie, zwlekaj, aż sami wejdą ci w ręce! Myrmidoni wrócą do akcji przed tobą. – Przerwał. – Nikt nie może przewidzieć, co stanie się podczas bitwy, nawet ja, ale niektóre rzeczy są wysoce prawdopodobne. Na przykład, że bez ciebie i Myrmidonów zostaniemy zapędzeni do własnego obozu. Hektor przedrze się przez nasz mur obronny i wejdzie między statki. Mogę trochę pomóc wydarzeniom, rozpraszając pewnych ludzi z mojej jamy wśród naszych żołnierzy. Wzbudzą panikę i spowodują odwrót. Do ciebie będzie należeć decyzja, kiedy dokładnie nastanie pora na interwencję, ale sam nie idź do bitwy. Niech Patrokles poprowadzi Myrmidonów. W ten sposób przekonasz ich, że jesteś zawzięty. Oni znają wyrocznie, Achillesie. Wiedzą, że nie możemy wygrać, jeśli ciebie nie będzie z nami. Zatem, czekaj! Nie wracaj na pole aż do ostatniej chwili.

Po tych słowach nie zostało już nic do dodania. Idomeneusz wstał, tocząc ku mnie dziko oczami. Nikt tak dobrze jak on nie rozumiał, jak ciężko będzie Mykenom znieść podobną hańbę. Nestor obdarzył nas swoim uprzejmym uśmiechem – oczywiście, już od dawna o wszystkim wiedział. Podobnie Diomedes, szeroko uśmiechnięty na myśl, że nie on, ale ktoś inny będzie robił z siebie głupca.

Przemówił jedynie Menelaos.

– Czy mogę zaoferować drobną radę?

– Oczywiście! – rzekł serdecznie Odyseusz. – Radź, proszę!

– Dopuszczcie do sekretu Kalchasa. Jeśli on będzie wiedział o wszystkim, zaoszczędzicie sobie połowy kłopotów.

Odyseusz uderzył pięścią w drugą dłoń.

– O nie! Ten człowiek to Trojanin. Nie wolno ufać człowiekowi zrodzonemu z obcej kobiety w obcym kraju, kiedy walczy się na jego ziemi i chce się wygrać.

– Masz całkowitą rację, Odyseuszu – poparł go Achilles.

Nie skomentowałem tego, ale zacząłem się zastanawiać. Przez lata faworyzowałem Kalchasa. Lecz tego ranka coś we mnie, w środku, pękło. Co, tego dokładnie nie wiedziałem. Kapłan był zawsze zamieszany w sprawy, które przynosiły najwięcej szkód. To on zmusił mnie do poświęcenia córki i w ten sposób doprowadził do niezgody z Achillesem. No cóż, jeśli to prawda, że jest zdrajcą, wyjdzie to na jaw w dniu, gdy pokłóczę się z Achillesem. Na jego twarzy, mimo jej trupiej bladości, z pewnością odbije się choć przebłysk wewnętrznego zadowolenia. Po tylu latach wreszcie go poznam.

– Agamemnonie – dał się słyszeć niezadowolony głos Menelaosa od drzwi – jesteście zabici deskami! Czy zechciałbyś łaskawie wydać rozkaz, żeby nas wypuszczono?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

OPOWIEŚĆ ACHILLESA

Wraciałem do obozowiska Myrmidonów niespiesznym krokiem, wiedząc, że będę musiał stanąć wobec tych, których kocham i nie będę mógł się ich poradzić. Patrokles i Feniks siedzieli przy stole na słońcu i grali w kości wśród śmiechu wojowników.

– Co się stało? Coś ważnego? – zapytał Patrokles. Wstał, żeby objąć mnie ramieniem. Niestety, był do tego bardziej skory, odkąd Bryzejda wkroczyła do mojego życia. W jego sytuacji publiczne demonstrowanie praw do mnie nie mogło pomóc. W dodatku bardzo mnie to irytowało. Jakby chciał zrzucić na mnie ciężar winy, jestem twoim kuzynem i kochankiem i nie możesz mnie tak po prostu zostawić z powodu nowej zabawki.

Odrąciłem jego rękę.

– Nic się nie stało. Agamemnon chciał wiedzieć, czy nie mamy kłopotów z utrzymaniem wojska w ryzach.

Feniks spojrzał zdziwiony.

– Nie mógł tego sprawdzić osobiście podczas inspekcji?

– Znasz naszego królewskiego pana. Nie zwoływał narady od miesiąca, a chce mieć pewność, że panuje nad sytuacją.

– Dlaczego jednak wezwał tylko ciebie, Achillesie? Zawsze na każdej naradzie rozlewałem wino i dbałem o inne wygody – rzekł Patrokles, patrząc zranionym wzrokiem.

– To była bardzo mała grupa.

– Kalchas też był? – spytał Feniks.

– Obecnie Kalchas wypadł z łask.

– Z powodu tej dziewczyny Chryzejdy? Lepiej trzymałby język za zębami w tej sprawie – rzekł Patrokles.

– Może myśli, że jeśli będzie mocno napierał, w końcu postawi na swoim – odpowiedziałem zdawkowo.

Patrokles zamrugał.

– Naprawdę tak myślisz? Ja nie.

– Czy nie potraficie znaleźć sobie czegoś pożyteczniejszego niż gra w kości? – spytałem, aby zmienić temat.

– Co może być przyjemniejszego w taki słoneczny dzień, skoro nie widać Trojan? – spytał Feniks. Spojrzał na mnie porozumiewawczo. – Nie było cię cały ranek. To długo, jak na tak trywialne spotkanie.

– Odyseusz był w doskonałej formie.

– Chodź i usiądź – rzekł Patrokles, głaszcząc mnie po ramieniu.

– Nie teraz. Czy Bryzejda jest w domu?

Nigdy nie widziałem u Patroklesa wściekłości, jednak teraz nagle pojawiła się w jego oczach. Jego usta zadrżały, więc przygryzł je.

– A gdzie mogłaby być? – warknął, odwrócił się plecami i usiadł przy stole. – Zagrajmy – powiedział do Feniksa, który wywrócił oczami.

Wchodząc do środka, zawołałem jej imię. Wybiegła przez wewnętrzne drzwi i po chwili była już w mych ramionach.

– Tęskniłaś za mną? – spytałem głupio.

– Wydawało mi się, że nie ma cię całe dnie.

– Raczej pół roku – westchnąłem, myśląc o tym, co zaszło w tej

zabitej deskami sali.

– Bez wątpienia wypileś więcej wina, niż powinienes. Ale czy masz ochotę na jeszcze?

Spojrzałem na nią zdumiony.

– Wyobraź sobie, że nie piliśmy w ogóle wina.

– Ciekawe.

– Powiedziałbym raczej, że nudne.

– Biedactwo! Czy Agamemnon cię nakarmił?

– Nie. Bądź dobrym dzieckiem i znajdź mi coś do jedzenia.

Sama zajęła się przygotowaniem dla mnie posiłku, świergocząc niczym ptak na gałęzi. Siedziałem, patrząc na nią. Podziwiałem jej piękny uśmiech, wdzięk, z jakim się porusza, i łabędzią szyję. Wojna bezustannie niesie zagrożenie śmierci, ale ona zdawała się nieświadoma nadciągającego losu. Nigdy nie rozmawiałem z nią o walce.

– Widziałeś Patroklesa wygrzewającego się na słońcu?

– Tak.

– Ale wolałeś mnie od niego – stwierdziła z zadowoleniem, dając dowód, że ta rywalizacja nie była jednostronna. Wręczyła mi chleb oraz naczynie z oliwą, bym mógł go w niej zanurzać. – Proszę, ciepły, prosto z pieca.

– Sama piekłaś? – spytałem.

– Wiesz dobrze, Achillesie, że tego nie potrafię.

– Prawda. Brak ci kobiecych umiejętności.

– Powiedz mi to dziś wieczorem, kiedy zaciągniesz zasłonę w drzwiach swojej sypialni, a ja będę z tobą w łóżku – powiedziała niezrażona.

– Zgoda, masz jedną kobiecą umiejętność.

Gdy tylko to powiedziałem, rzuciła mi się na szyję. Chwyciła moją wolną rękę i włożyła ją sobie pod luźną koszulę, na nagą pierś.

– Tak cię kocham, Achillesie.

– A ja ciebie – odparłem. Włożyłem dłoń w jej włosy i pociągnąłem głowę do tyłu, że musiała spojrzeć mi w oczy. – Bryzejdo, obiecasz mi coś?

Jej duże oczy nie zdradzały żadnego niepokoju.

– Wszystko, co chcesz.

– A gdyby kazano mi odprawić cię i oddać innemu mężczyźnie?

Jej usta zadrżały.

– Gdyby ci kazano, poszłabym.

– Co byś sobie o mnie pomyślała?

– Nic innego niż to, co teraz o tobie myślę. Musiałbyś mieć poważny powód. Inaczej oznaczałoby to, że jesteś mną zmęczony.

– Nigdy nie będę tobą zmęczony. Nigdy. Aż do końca czasu, jaki mi pozostał. Pewne rzeczy nie mogą się zmienić.

Rumieniec napłynął jej z powrotem na twarz.

– Zatem ja też tak uważam. – Zaśmiała się bez tchu. – Poproś mnie o coś tak łatwego, jak śmierć dla ciebie.

– Przed pójściem do łóżka?

– No dobrze, zatem jutro.

– Nadal żądam od ciebie obietnicy, Bryzejdo.

– Jakiej?

Owinałem wokół palca lok jej zdumiewających włosów.

– Abyś, gdy przyjdzie chwila, że będę wydawał ci się głupcem

lub kimś bezdusznym, nie przestała we mnie wierzyć.

– Zawsze będę w ciebie wierzyć. – Trochę mocniej docisnęła moją dłoń do swej piersi. – Ja również nie jestem głupia, Achillesie. Coś cię martwi.

– Jeśli nawet, to nie mógłbym ci tego powiedzieć.

Na tych słowach zakończyła temat i nigdy nie próbowała do niego wracać.

Nie wiedzieliśmy, jak Odyseusz zabrał się do zadań, które sam sobie wyznaczył. Czuliśmy, że we wszystkim jest jego ręka, ale nie mogliśmy dostrzec jej znaku. Jakoś całe wojsko zaczęło szemrać, że złe stosunki między mną a Agamemnonem osiągnęły szczyt. Kalchas coraz bardziej napierał na sprawę Chryzejdy, a w Agamemnonie wszystko się gotowało.

Trzy dni po spotkaniu rady zapomniano o tych interesujących tematach. Rozszalała się choroba. Z początku oficerowie próbowali trzymać to w tajemnicy, ale wkrótce chorowało już zbyt wielu ludzi, żeby to ukrywać. Z ust do ust podawano sobie straszne słowo: zaraza. W ciągu jednego dnia zapadło na nią cztery tysiące ludzi, a następnego – kolejne cztery. Wyszedłem, aby zobaczyć swych chorych. Ich widok kazał mi zanieść modły do Leto i Artemidy. Miałem nadzieję, że Odyseusz wie, co robi. Mieli dreszcze, delirium, sączące się wrzody i narzekali na okropny ból głowy. Rozmawiałem z Machaonem i Podalierosem, którzy zapewniali mnie, że bez wątpienia mamy do czynienia z jakąś odmianą zarazy.

Kilka chwil później spotkałem Odyseusza. Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Musisz przyznać, Achillesie, że dokonałem prawdziwego cudu, skoro potrafiłem oszukać synów Asklepiosa!

– Mam nadzieję, że nie posunąłeś się za daleko – odrzekłem kwaśno.

– Uspokój się. Nie będzie żadnych powikłań. Wszyscy wstana z łoża boleści zupełnie zdrowi.

Pokręciłem głową, rozzłoszczony jego zadowoleniem z siebie.

– Przypuszczam, że już niedługo Agamemnon posłucha Kalchasa i oddali Chryzejdę. Potem nastąpi wspaniałe, cudowne ozdrowienie z rąk bogów. Tylko że tym razem im trochę pomożemy.

– Nie mów tego zbyt głośno – powiedział, odpływając, aby osobiście usługiwać chorym, i dzięki temu zdobyć niezasłużoną reputację dzielnego.

Kiedy Agamemnon poszedł do Kalchasa i poprosił o publiczną wróżbę, wojsko odetchnęło z ulgą. Nie było wątpliwości, że kapłan będzie nalegał na oddalenie Chryzejdy. Wszystkim zrobiło się lżej na sercu, gdy dostrzegli szansę na koniec zarazy.

Publiczna wróżba wymagała osobistego uczestnictwa wszystkich oficerów starszych stopniem, począwszy od dowódców szwadronów. Stanęli na placu przeznaczonym na takie uroczystości – tysiące ustawionych w szeregi za swoimi królami, twarzą do ołtarza. Większość z nich oczywiście była spokrewniona z królami, niektórzy bardzo blisko.

Tylko Agamemnon siedział. Przechodząc przed jego tronem, nie wysiliłem się nawet, żeby przykleknąć i gniewnie zmarszczyłem czoło. Zostało to zauważone. Na twarzach pojawiło się zatroskanie. Patrokles nawet posunął się do tego, że ostrzegawczo dotknął mojego ramienia, ale odtrąciłem jego rękę ze złością. Doszedłem do swego miejsca, słuchając, jak Kalchas mówi, że zaraza nie osłabnie, jeśli nie zostanie zwrócone Apollinowi to, co mu się należy, czyli dziewczyna imieniem Chryzejda. Agamemnon musi oddać ją Troi.

Ani ja, ani on nie musieliśmy zbyt wiele wysilać. Poruszaliśmy się w sieci utkanej przez Odyseusza i nienawidziliśmy tej sytuacji. Roześmiałem się i rzuciłem mu jakieś szyderstwo, a on odwzajemnił mi się, żądając ode mnie Bryzejdy. Odpychając oszalałego z lęku

Patroklesa, opuściłem zgromadzenie, aby udać się do obozowiska Myrmidonów. Bryzejda tylko spojrzała na mnie i nie odezwała się, choć jej oczy napęłniły się łzami. Wracaliśmy w milczeniu. Wtedy przed całą tą wielką kompanią włożyłem jej dłoń w dłoń Agamemnona. Nestor zaofiarował się zająć obiema dziewczynami i pokierować ich losami. Bryzejda, odchodząc z nim, odwróciła się, by spojrzeć na mnie po raz ostatni.

Kiedy powiedziałem Agamemnonowi, że wycofuję się z wojny i zabieram swoich żołnierzy, mój głos brzmiał bardzo zdecydowanie. Ani Patrokles, ani Feniks przez chwilę nie wątpili w szczerść tego stwierdzenia. Pomaszzerowałem do obozowiska Myrmidonów, a im nie pozostało nic innego, jak podążyć za mną.

Po odejściu Bryzejdy dom dudnił pustym echem. Nie chcąc spotkać Patroklesa, pozostałem w środku przez cały dzień, samotny w swoim smutku i wstydzie. W porze kolacji Patrokles wszedł, by zjeść ze mną. Ale nie było żadnej rozmowy. To on nie chciał rozmawiać.

W końcu przemówiłem.

– Kuzynie, czy nie rozumiesz?

Spojrzał na mnie oczami wilgotnymi od łez.

– Nie, Achillesie, nie mogę. Od kiedy ta dziewczyna wkroczyła do twojego życia, stałeś się kimś, kogo nie znałem. Dziś w imieniu wszystkich powiedziałeś coś, do czego nie miałeś prawa. Wymówiłeś służbę bez poradzenia się nas. Tak może postąpić jedynie arcykról. Jednak Peleus nigdy tego nie zrobił. Nie jesteś wart swego ojca.

Och, jak boli.

– Skoro nie rozumiesz, czy możesz wybaczyć?

– Pod warunkiem, że pójdziesz do Agamemnona i odwołasz to, co powiedziałeś.

Wycofałem się.

– Odwołać? Oszalałeś? Agamemnon śmiertelnie mnie obraził!

– Tę obrazę sam na siebie sprowadziłeś, Achillesie! Gdybyś się z niego nie śmiał i nie szydził, nigdy by cię nie zauważył! Bądź szczery! Postąpiłeś tak, bo miałeś złamane serce po rozłące z Bryzejdą. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że być może także Agamemnonowi krwawi serce z powodu rozłąki z Chryzejdą?

– Ten tyran o świńskiej twarzy nie ma serca!

– Achillesie, dlaczego jesteś taki zawzięty?

– Nie jestem zawzięty.

Klasnął w dłonie.

– Nie wierzę w to! To jej sprawka! Jakiż ona musi mieć na ciebie wpływ!

– Nie rozumiem, dlaczego tak uważasz. Wybacz mi, Patroklesie, proszę.

– Nie mogę ci wybaczyć – powiedział i odwrócił się do mnie tyłem. W końcu idol Achilles spadł ze swego piedestału. Odyseusz miał rację. Mężczyźni wierzą w kłopoty wywołane przez kobiety.

Następnego wieczoru bardzo cicho wślizgnął się Odyseusz. Byłem tak zadowolony, widząc przyjazną twarz, że przywitałem go prawie gorączkowo.

– Opuszczony nawet przez najbliższych? – spytał.

– Tak. Nawet Patrokles umył ręce.

– No cóż, można się było tego spodziewać, prawda? Nie trać ducha. Za kilka dni znajdziesz się na polu, ponownie oczyszczony.

– Oczyszczony. Ciekawe słowo. Przyszło mi teraz do głowy coś, co powinno pojawić się już na radzie. Lecz się nie pojawiło. Gdyby to wtedy wyszło, nigdy nie zgodziłbym się na twój plan.

Spojrzał na mnie, jakby wiedział, co jeszcze chcę powiedzieć.

– Co stanie się z nami wszystkimi? – spytałem. – Uznaliśmy za oczywiste, że jeśli plan się powiedzie – jeśli się powiedzie! – będzie nam wolno wszystko wyjaśnić. Teraz jednak widzę, że nigdy nie będziemy mogli tego zdradzić. Żaden oficer ani żołnierz nie wybaczy nam tego wybiegu, planu przeprowadzonego od początku do końca z zimną krwią. Przed oczami będą mieć twarze ludzi, którzy musieli umrzeć, żeby ten plan się powiódł. Mam rację?

Potań nos ze smutkiem.

– Zastanawiałem się, kto pierwszy z was to dostrzeże. Postawiłem na ciebie, i znowu wygrałem.

– Czy potrafisz w ogóle przegrywać? Odpowiedz mi jednak, czy doszedłem do właściwego wniosku. A może opracowałeś rozwiązanie, które wszystkich uszczęśliwi?

– Takiego rozwiązania nie ma, Achillesie. Dostrzegłeś wreszcie to, na co powinieneś wpaść już tam, na sali obrad. Gdyby nie pasja rozpierająca tę twoją wielką klatkę piersiową, z pewnością już wtedy byś o tym pomyślał. Żadnej intrygi nie wolno ujawniać. Musi zostać tajemnicą do grobu. Wszyscy związaliśmy się przysięgą, którą przewidująco zaproponował Agamemnon. Zaoszczędził mi kłopotu, nie wspominając o paru kwestiach, na które trudno byłoby mi odpowiedzieć – stwierdził ze spokojem.

Zamknąłem oczy.

– Zatem aż do grobu i poza grób Achilles będzie wydawał się samolubnym pyszałkiem, tak nadętym, że aby nakarmić swą dumę, pozwolił, by zginęło tylu ludzi.

– Tak.

– Występny intrygancie, powinienem poderżnąć ci gardło! Obciążylesz mnie brzemieniem wstydu i hańby, która na zawsze rzuci cień na moje imię. Kiedy w przyszłości będą mówić o Achillesie, powiedzą, że poświęcił wszystko dla zranionej dumy. Mam nadzieję,

że trafisz do Tartaru!

– Bez wątpienia tam trafię – powiedział niezmartwiony i nieporuszony. – Nie jesteś pierwszy, który mnie przeklina, ani nie będziesz ostatni. Skutki tej narady odczujemy my wszyscy, Achillesie. Ludzie nigdy się nie dowiedzą, co naprawdę zaszło, ale z pewnością będą podejrzewać, że w tym wszystkim była ręka Odyseusza. A co z Agamemnonem? Jeśli ciebie będą uważać za ofiarę bezmiernej pychy, za kogo będą uważać jego? Ty jedynie byłeś w błędzie, a on ten błąd zrealizował.

Nagle uświadomiłem sobie, jak głupia jest ta rozmowa, jak niewiele człowiek nawet tak sprytny jak Odyseusz, mógł zmienić w planach bogów.

– No cóż, to rodzaj sprawiedliwości – powiedziałem. – Zasłużyliśmy na utratę reputacji. Aby rozpocząć to chore przedsięwzięcie, złożyliśmy w ofierze człowieka. Musimy za to zapłacić. Właśnie z tego powodu chcę kontynuować ten idiotyzm. Przyczyną mojej zguby była zawsze ambicja.

– Jaka ambicja?

– Chciałem przeżyć w sercach ludzi jako doskonały wojownik. Lecz nie mnie się to uda, a Hektorowi.

– Nie możesz o tym mówić z taką pewnością, Achillesie. Będą to mogli stwierdzić dopiero twoi prawnukowie. Potomność osądza inaczej.

Spojrzałem na niego zaciekawiony.

– Czy nie pragniesz być zapamiętany przez wiele pokoleń ludzi, Odyseuszu?

Roześmiał się serdecznie.

– Nie! Nie obchodzi mnie to, co powie potomność o Odyseuszu! Ani nawet, czy potomność będzie знаła moje imię. Kiedy umrę, będę wtaczał głaz pod jakieś wzgórze w Tartarze albo sięgał po flakon

z wodą, który zawsze będzie poza moim zasięgiem.

– Ze mną u twego boku. Jest zbyt późno na rozmowę na ten temat.

– Masz rację, Achillesie.

Zapadliśmy w milczenie. Zaslona była zaciągnięta przeciw intruzom, którzy i tak nie przyjdą, aby uzalać się nad swoim pyszałkowatym przywódcą. Na stole stał dzban z winem. Napelniłem nasze kielichy aż po same brzegi i piliśmy, rozmyślając. Żaden z nas nie chciał się podzielić swymi osobistymi myślami. Bez wątpienia zaduma Odyseusza nie była tak czarna, ponieważ on nie spodziewał się nagrody od potomności. Choć wydawało się, że nie wierzy w nic poza wieczną karą, uznałem, że to cudowne, iż potrafi rozważać swój los z taką pewnością.

– Po co właściwie do mnie przyszedłeś? – spytałem.

– Aby poinformować cię, zanim zrobi to ktoś inny, o pewnym dziwnym wydarzeniu – odparł.

– O dziwnym wydarzeniu?

– Tego ranka kilku żołnierzy poszło nad brzeg Simois, by łowić ryby. Kiedy wzeszło słońce, ujrzeli coś dryfującego pod wodą. Ciało mężczyzny. Pobiegli zawiadomić oficera straży, który wyłowił ciało. To był Kalchas. Zmarł, jak sądzą, niedługo po zapadnięciu zmroku.

Zadrzałem.

– Jak to się stało?

– Straszliwa rana głowy. Któryś z oficerów Ajaksa widział człowieka spacerującego na szczycie klifu na drugim brzegu Simois o zachodzie słońca. Oficer przysięga, że to był Kalchas. Jedynie on w obozie nosi długą, luźną szatę. Musiał się potknąć i spaść na głowę.

Popatrzyłem na niego. W jego pięknych szarych oczach igrały

złote światełka. Czy to możliwe? Czyżby on to zrobił? Z przerażeniem przyłapałem się na tym, że rozważam, czy Odyseusz dołożył nowy grzech do długiej listy, która już go obciążała. Morderstwo kapłana dodane do świętokradztwa, profanacji, bluźnierstwa, ateizmu i rytualnego zabójstwa – i mamy listę, która przewyższa postęпки Syzyfa i Dedala razem wzięte. Bezbożny Odyseusz, który mimo to był ulubieńcem bogów. Straszliwy paradoks – nikczemnik i król w jednej osobie.

Odczytał moje myśli i uśmiechnął się skromnie.

– Ależ, Achillesie! Jak mogłeś pomyśleć o mnie coś podobnego?
– Zachichotał. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to stawiam na Agamemnona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

OPOWIEŚĆ HEKTORA

Żadne wieści od Pentesilei nie nadeszły. Królowa Amazonek zawieruszyła się gdzieś na scytyjskiej pustyni, podczas gdy Troja zamarła w agonii. Los miasta zależał od kaprysu kobiety. Przekląłem ją i przekląłem bogów za to, że pozwolili kobiecie zostać na tronie po upadku starej religii. Rządy absolutne Matki Kubaby przeminęły, jednak królowa Pentesilea władała nadal. Demetrios, mój cenny grecki niewolnik–uciekinier, poinformował mnie, że jeszcze nawet nie zaczęła zwoływać kobiet ze swych licznych plemion. Nie dotrze przed nastaniem zimy.

Wszystkie znaki mówiły, że wojna ma się skończyć w dziesiątym roku, jednak mój ojciec ciągle się wahał i upokarzał siebie i Troję, czekając na tę kobietę. Zgrzytałem zębami z powodu tej niesprawiedliwości, szydziłem z niego na zebraniach. Jednak on powziął postanowienie i nie chciał ustąpić. Bezustannie zapewniałem go, że nie zagraża mi żadne osobiste niebezpieczeństwo ze strony Achillesa, że nasi wyborowi żołnierze mogą zatrzymać Myrmidonów w zatoce, że możemy wygrać bez Memnona i Pentesilei. Nawet wtedy, gdy powiedziałem ojcu to, co Demetrios zeznał o ociąganiu się Amazonek, pozostał niewzruszony. Powiedział, że jeśli Pentesilea nie dotrze przed zimą, wtedy on jest gotów czekać jeszcze do jedenastego roku.

Teraz, gdy cała armia grecka była na plaży, znowu wychodziliśmy na wały, obserwując dziwne sztandary powiewające nad domami. Nad brzegiem Skamandra, w miejscu, gdzie wewnętrzny mur oddzielał jakieś baraki, powiewała flaga, której wcześniej nigdy nie widziałem – biała mrówka na czarnym tle, trzymająca w szczękach grot czerwonej błyskawicy. Proporzec

Achillesa i jego Myrmidonów. Twarz Meduzy nie mogłaby wywołać większej grozy w sercach Trojan.

Zmuszony słuchać o błahych sprawach, kiedy lędźwie paliły mi się do bitwy, uczestniczyłem w każdym zebraniu. Ktoś musiał protestować, kiedy mówiono, że armia jest przemęczona i przetrenowana. Ktoś musiał obserwować, ku czemu król nakłania swe stare ucho, i pilnować uśmiechającego się Antenora, wroga wszelkiej inicjatywy w działaniu.

W dniu, który miał zmienić nasze życie, idąc z ponurą miną na zebranie, nie przeczuwałem niczego. Dwór jak zwykle paplał bezładnie, nie zwracając uwagi na podwyższenie z tronem, u stóp którego jakiś oskarżyciel wyłuszczał swoją sprawę. W istocie, wstrząsający proces! Dotyczył kanałów zanoszących burzowe wody Troi i ekskrementy do zanieczyszczonego Skamandra. Odmówiono nowej kamienicy podłączenia do kanalizacji i on, jej właściciel, był bardzo niezadowolony.

– Wolałbym zająć się swoimi sprawami, a nie stać tutaj, roztrząsając, czy bezmózgowi biurokraci mają prawo udaremniać wysiłki uczciwych płatników podatków! – krzyczał do Antenora, który jako kanclerz bronił władz miejskiej kanalizacji.

– Zwróciłeś się do niewłaściwej osoby! – warknął Antenor.

– Kim my jesteśmy? Egipcjanami? – pytał właściciel, wymachując rękami. – Rozmawiałem z tym człowiekiem, co zawsze, i on wyraził zgodę! Potem, zanim zdążyłem wykonać przyłącze, zjawił się oddział straży, który mi tego zabronił! Lepiej by mi było w Niniwie albo Karkemiszu! Gdziekolwiek – wszędzie! – tam, gdzie biurokratom nie udaje się paraliżować wszystkiego głupimi zarządzeniami! Powiem wam, Troja jest tak samo opieszła jak Egipt! Mam zamiar stąd wyemigrować!

Usta Antenora już się otwierały, by wygłosić obronę ukochanych biurokratów, kiedy do sali wpadł jakiś człowiek. Nie

rozpoznałem go, ale Polidamas tak.

– Co się stało? – spytał Polidamas.

Człowiek dyszał, brakowało mu tchu i oblizywał wargi. Próbował coś powiedzieć, ale tylko wskazał dziko na mojego ojca, który pochylił się do przodu, zapominając o kanałach. Polidamas pomógł wejść człowiekowi na podwyższenie i posadził go na ostatnim stopniu, wołając o wodę. Nawet zirytowany właściciel kamienicy wyczuł coś ważniejszego niż odpływ nieczystości i trochę się odsunął – choć niezbyt daleko, by móc słyszeć wszystko, co zostanie powiedziane.

Woda i krótki odpoczynek przywróciły człowiekowi mowę.

– Mój panie, wielkie wieści!

Ojciec spojrzał sceptycznie.

– Jakie? – spytał.

– Panowie, o świcie, w obozie Greków przeprowadzono publiczną wróżbę zarządzoną przez Agamemnona. Chciał poznać przyczynę plagi, która zabiła u nich dziesięć tysięcy mężczyzn!

Dziesięć tysięcy mężczyzn zmarło na skutek choroby w greckim obozie! Prawie podbiegłem bliżej tronu. Dziesięć tysięcy mężczyzn! Jeśli mój ojciec nie pojmuje wagi tego faktu, to znaczy, że jest ślepy na wszelkie racje i Troja musi upaść. Dziesięć tysięcy Greków mniej to dziesięć tysięcy więcej Trojan. Ojcze, pozwól mi wyprowadzić nasze wojsko! Miałem to właśnie powiedzieć, gdy uświadomiłem sobie, że człowiek ten jeszcze nie skończył. Nie powiedział jeszcze wszystkiego. Zachowałem więc spokój.

– W obozie doszło do okropnej kłótni między Agamemnonem a Achillem, panie. Wojsko podzieliło się. Achilles wycofał się z wojny wraz ze swymi Myrmidonami i resztą Tesalii. Panie, Achilles nie będzie walczył dla Agamemnona! Nareszcie nadszedł nasz dzień!

Chwyciłem się oparcia tronu, żeby nie upaść. Właściciel

kamienicy krzyknął, ojciec zbladł, Polidamas patrzył na swego człowieka niedowierzająco. Antenor opierał się słabo o kolumnę, a reszta na sali jakby zmieniła się w kamień.

Nagle rozległ się głośny szyderczy śmiech.

– Oto, jak nisko upadają potężni! – rżał mój brat Deifobos. – Jakże nisko upadają potężni!

– Cisza! – warknął mój ojciec, a potem spojrzał na człowieka. – Z jakiego powodu? Z jakiego powodu doszło do tej kłótni?

– Panie, z powodu kobiety – odparł człowiek, już bardziej opanowany. – Kalchas zażądał, by kobieta o imieniu Chryzejda, ofiarowana Agamemnonowi z łupów Lyrnessos, została odesłana do Troi. Apollo tak rozzłościł się z powodu wzięcia jej do niewoli, że wywołał plagę, która nie miała ustać, dopóki Agamemnon nie odda łupu. Agamemnon musiał się zgodzić. Achilles go wyśmiał. Szydził z niego. Zatem Agamemnon zażądał, by Achilles oddał mu swój łup z Lyrnessos, kobietę Bryzejdę, jako rekompensatę. Achilles oddał Bryzejdę, lecz wycofał swoje wojsko z wojny.

Deifobos uznał to za jeszcze zabawniejsze.

– Kobieta! Połowa wojsk odeszła z powodu kobiety!

– Niezupełnie połowa – rzekł ostro Antenor. – Tych, którzy się wycofali, nie może być więcej jak piętnaście tysięcy. A co do wpływu kobiety, która podzieliła wojsko, to nie zapominajcie, że to właśnie kobieta sprowadziła tę pyszną armię tutaj!

Ojciec trzasnął swym berłem o posadzkę.

– Antenorze, powściągnij język! Deifobosie, jesteś pijany! – Skupił całą uwagę na posłańcu. – Czy jesteś pewien swoich wiadomości, mój człowieku?

– O tak. Byłem tam, panie. Wszystko widziałem i słyszałem.

Sala odetchnęła, atmosfera natychmiast zelżała. Gdzie jeszcze

przed chwilą rządziły smutek i apatia, teraz rozległy się śmiechy. Klaskano w dłonie, przeszedł pomruk zadowolenia. Tylko ja żałowałem. Wydało mi się, że nigdy już nie spotkam w polu Achilleasa.

Do tronu przytruchtał Parys.

– Drogi ojcze, kiedy byłem w Grecji, słyszałem, że matka Achilleasa – bogini – zanurzyła wszystkich swych synów w wodach Styksu, aby uczynić ich nieśmiertelnymi. Kiedy jednak trzymała Achilleasa za prawą piętę, coś ją przestraszyło i zapomniała zmienić uchwyt na piętę lewą. Dlatego Achilles jest śmiertelny. Lecz nie przypuszczałem, że jego słabą piętą będzie kobieta! Bryzejda. Przypominam ją sobie. Cudowna.

Oczy króla błyszcząły.

– Powiedziałem, dosyć! Kiedy napominam jednego syna, napomnienie odnosi się do was wszystkich! Parysie, tu nie miejsce na żarty. To sprawa najwyższej wagi.

Parys stracił ducha. Spojrzałem na niego i zrobiło mi się go żal. Postarzał się przez ostatnie dwa lata. Czterdziestka pomarszczyła ma skórę, wysuszyła jego młode kwiecie. Choć kiedyś tak fascynował Helenę, teraz ją nudził. Cały dwór o tym wiedział. Jak i o tym, że ona ma romans z Eneaszem. Jednak Helena z tego romansu nie będzie miała wiele satysfakcji. Eneasz kocha tylko Eneasza.

Z jej twarzy nie można było nigdy nic wyczytać. Po ostrych słowach ojca do Parysa strąciła ze swego ramienia jego rękę i stanęła trochę z boku. W jej oczach nie ukazał się przebłysk żadnych emocji. Potem zauważyłem, że jednak nie była całkiem obojętna – w kącikach jej ust pokazał się ślad zadowolenia. Dlaczego? Znała ich, tych greckich królów. Zatem dlaczego?

Ukląknę przed tronem.

– Ojcze – rzekłem silnym głosem – jeśli mamy kiedykolwiek

wypędzić Greków z naszych brzegów, to nadszedł właściwy czas. Skoro to rzeczywiście Achilles i jego Myrmidoni dotąd cię wstrzymywali, teraz powód twojego oporu zniknął. Poza tym na skutek plagi mają dziesięć tysięcy żołnierzy mniej. Nawet bez Penteseilei i Memnona mamy realne szansę ich pokonać. Panie, daj mi rozkaz do boju!

Naprzód wystąpił Antenor. Antenor, zawsze ten Antenor!

– Zanim nam wydasz rozkaz, panie, uczyni mi prośbę przysługę. Pozwól mi posłać jednego z moich ludzi do greckiego obozu, by sprawdził, czy to, co mówi człowiek Polidamasa, jest prawdą.

Polidamas pokiwał ochoczo głową.

– Dobry pomysł, panie – rzekł. – Powinniśmy to potwierdzić.

– Zatem, Hektorze – rzekł król Priam do mnie – musisz poczekać trochę na odpowiedź. Antenorze, poszukaj swojego człowieka i wyślij go zaraz. Wieczorem zwołam kolejne zebranie.

Czekając, zabrałem Andromache na wały, na szczyt najwyższej północno-zachodniej wieży, która stała dokładnie naprzeciw greckiej plaży. Mała plamka sztandaru nadal powiewała nad obozowiskiem Myrmidonów, lecz można było wyraźnie dostrzec, że między ich obozowiskiem a sąsiadami nie ma żadnego ruchu. Niezdolni do myślenia o jedzeniu, przez całe popołudnie obserwowaliśmy grecki obóz – widzialny dowód rozbicia był jedynym pokarmem, jakiego nam było trzeba.

O zmierzchu wróciliśmy do cytadeli, mając nadzieję, że wysłannik Antenora potwierdzi dotychczasowe wieści. Przyszedł, zanim zdążyliśmy się zaniepokoić. W kilku krótkich zdaniach przekazał to, co wcześniej mówił człowiek Polidamasa. Doszło do strasznej kłótni, Agamemnon i Achilles nie chcą się pogodzić.

Helena stała pod przeciwległą ścianą, z dala od Parysa, i jawnie kiwała na Eneasza. Czuła się teraz bezpieczniejsza, wiedząc, że na

razie wszystkie plotki o niej i Dardańczyku zostaną wyparte przez tę kłótnię. Kiedy Eneasza podszedł do niej, położyła mu dłoń na ramieniu, a jej skośne oczy wyrażały zaproszenie. Nie pomyliłem się co do niego. Wyraźnie ją lekceważył. Biedna Helena. Wiedziałem, po co sięgnie Eneasza, gdy dojdzie do wyboru między jej wdziękami a urokami Troi. Wspaniała mężczyzna, tak, ale mierzył za wysoko.

Nie zaniepokoiła się jego nagłym odejściem. Znowu zacząłem się zastanawiać, co naprawdę myślała o swoich rodakach. Znała Agamemnona bardzo dobrze. Przez moment rozważałem nawet, czy jej nie wypytać. Była jednak ze mną Andromacha, a ona gardziła Heleną. Zresztą, czego mógłbym się od niej dowiedzieć? Z pewnością nie było to warte wymówek, jakie czekały mnie od żony, gdyby się o tym dowiedziała.

– Hektorze!

Podszedłem do tronu i ukląknąłem przed ojcem.

– Przyjmij rozkaz wymarszu wojsk, mój synu. Poślij heroldów, aby zarządzili mobilizację. Termin bitwy – za dwa dni o świcie. Przekaż strażnikowi Bramy Skajskiej, by naoliwił głąz w służbie i zaprzągnął woły. Byliśmy więźniami przez dziesięć lat. I oto nareszcie ruszamy, by wypędzić Greków z Troi!

Kiedy ucałowałem jego dłoń, sala wybuchnęła ogłuszającymi owacjami. Ja sam jednak nie wiwatowałem. Achillesa nie będzie na polu. Cóż to więc będzie za zwycięstwo?

Te dwa dni minęły z szybkością, z jaką cień chmury przesuwają się po zboczu wzgórza. Przez cały czas byłem zajęty spotkaniami z ludźmi i wydawaniem rozkazów płatnerzom, inżynierom, woźnicom rydwanów i oficerom piechoty. Nie mogłem myśleć o odpoczynku, dopóki wszystko nie zostanie ustalone. Znaczyło to, że z Andromacha spotkałem się dopiero ostatniej nocy przed bitwą.

– Boję się o nas – powiedziała chrapliwie, kiedy wszedłem do sypialni.

– Andromacho, nie bądź niemądra.

Niecierpliwie starła łzę.

– To już jutro?

– O świcie.

– Nie mogłeś dla mnie znaleźć odrobiny czasu?

– Mam go teraz.

– Jedna noc i ciebie nie będzie. – Niespokojnie chwyciła mnie za koszulę. – To wszystko mi się nie podoba, Hektorze. Coś jest nie tak.

– Nie tak? – Uniosłem palcem jej podbródek. – Co jest nie tak? To, że mamy walczyć z Grekami?

– Zbyt łatwo nam idzie. – Chwyciła swoją prawą rękę, zaciśniętą w pięść z wystawionymi dwoma palcami w obronie przed złym urokiem. A potem drżąc, powiedziała: – Kasandra nie przestaje o tym mówić, odkąd przyszedł człowiek Polidamasa z wieściami o kłótni.

Zaśmiałem się.

– Kasandra! Na Apolla, żono, co ci jest? Moja siostra Kasandra jest szalona. Nikt nie słucha jej krakania.

– Może i jest szalona – odparła Andromacha, zdeterminowana powiedzieć mi wszystko do końca – ale czy nigdy nie zauważyłeś, jak dokładne są jej przepowiednie? Mówię ci, Hektorze, bezustannie jęczy, że Grecy zastawili na nas pułapkę. Upiera się, że namówił ich do tego Odyseusz i że oni chcą nas oszukać!

– Zaczynasz mnie niepokoić – powiedziałem i potrząsałem nią, po raz pierwszy w życiu. – Nie przyszedłem tu, by dyskutować o wojnie czy Kasandrze. Przyszedłem, aby z tobą być, moja żono.

Zraniona, spojrzała swymi czarnymi oczami na łóżko.

Wzruszyła ramionami. Potem odkryła pościelę i zsunęła koszulę. Zaczęła zdmuchiwać lampy. Jej smukłe ciało było tak samo silne i piękne jak w czasie naszej nocy poślubnej. Macierzyństwo nie zostawiło na nim śladu. Jej ciepła skóra błyszczała w świetle ostatniej samotnej lampki. Położyłem się i wyciągnąłem ramiona. Przez chwilę zapomniałem o jutrze. Po wszystkim drzemałem, powoli zapadając w głęboki sen, z usatysfakcjonowanym ciałem i odprężonym umysłem. Ale w ostatniej chwili, nim zdażyłem zapaść w nieświadomość, usłyszałem, jak Andromacha płacze.

– O co znowu chodzi? – spytałem, podniósłszy się na łokciu. – Czy nadal myślisz o Kasandrze?

– Nie, myślę o naszym synu. Modlę się, by pojutrze mógł się cieszyć żyjącym ojcem.

Jak też się to kobietom udaje? Zawsze potrafią znaleźć tę jedną rzecz, której mężczyzna nie chce albo nie potrzebuje słyszeć.

– Przestań się mazać i śpij wreszcie! – warknąłem.

Pogłaskała mnie po czole, czując, że posunęła się za daleko.

– No cóż, może patrzę zbyt pesymistycznie. Achillesa nie będzie na polu, zatem powinieneś być bezpieczny.

Odsunąłem się gwałtownie, uderzając pięścią w poduszkę.

– Powściągnij język, kobieto! Nie potrzeba mi przypominać, że człowieka, z którym pragnałem się zmierzyć, tam nie będzie!

Prychnęła.

– Hektorze, czyżbyś postradał rozum? Czy spotkanie z Achillesem znaczy dla ciebie więcej niż Troja? Niż ja? Niż nasz syn?

– Pewne rzeczy przeznaczone są tylko dla męskiego serca. Astyanaks zrozumie to lepiej.

– Astyanaks to mały chłopiec. Od czasu narodzin jego oczy i uszy wypełnia wojna. Widzi musztrowanych żołnierzy, jeździ ze

swym ojcem na wspaniałym wojennym rydwanie podczas wszystkich wojskowych parad – jest urzeczony! Jednak nigdy nie widział pola po prawdziwej bitwie!

– Nasz syn zna wszystkie etapy wojny!

– Nasz syn ma dziewięć lat! Nigdy nie pozwolę, by stał się jednym z tych twardogłowych, zimnokrwistych wojowników, jakich Troja zrobiła z naszego pokolenia!

– Posuwasz się za daleko, pani – powiedziałem lodowatym tonem. – Nie masz nic do powiedzenia w sprawach przyszłej edukacji naszego syna. Gdy tylko wrócę zwycięski z pola, mam zamiar zabrać go tobie i oddać pod opiekę mężczyznom.

– Zrób to, a sama cię zabiję! – warknęła.

– Spróbuj, a będziesz martwa!

W odpowiedzi tylko wybuchła głośniejszym płaczem.

Byłem zbyt rozgniewany, żeby jej dotykać albo szukać pojednania w inny sposób, zatem resztę nocy spędziłem, słuchając jej oszalałego płaczu, który jednak nie mógł zmiękczyć mi serca. Matka mojego syna twierdziła, że zamiast wojownika urodziła lalusia.

O szarym świcie podniosłem się z łoża. Spojrzałem na nią. Leżała twarzą odwrócona do ściany i udawała, że śpi. Moja zbroja była przygotowana. Poczulem bitewne podniecenie i zapomniałem o Andromasze. Klasnąłem w dłonie. Wszedł niewolnik, ubrał mnie w bieliznę, zasznurował buty, nałożył nagołenniki i zapiął je na sprzączki. Przelykałem duszącą niecierpliwość, jaką zawsze czułem przed walką. Niewolnicy ubierali mnie sprawnie we wzmocniony skórzany kilt, pancerz, naramienniki, osłony przedramion i skórzane opaski do ocierania potu na nadgarstkach i czole. Włożono mi do ręki hełm, nad lewym ramieniem zapięto pas, biegnący na skos przez klatkę piersiową, do którego był przytroczony miecz na

prawym biodrze. W końcu zawieszono mi na plecach olbrzymią tarczę, węższą pośrodku, i przymocowano rzemieniem biegnącym od prawego ramienia do lewego boku. Jeden ze sług podał mi dzidę, a drugi wsadził hełm pod prawe przedramię. Byłem gotów.

– Andromacho, idę – rzekłem twardo.

Leżała nadal bez ruchu, twarzą zwrócona do ściany.

Korytarze drżały, marmurowe posadzki odbijały echem brzęk brązu i stuk nabijanych ćwiekami butów. Hałas mojego nadejścia poprzedzał mnie niczym fala. Ci, którzy nie szli do walki, wychodzili, by mnie pozdrowić. Z każdych drzwi wyłaniali się mężczyźni, by podążyć za mną. Nasze buty dudniły, iskry szły od brązowych ćwieków w obcasach. Z oddali dochodził dźwięk bębnów i rogów. Przed nami znajdował się olbrzymi dziedziniec, za nim brama cytadeli.

W portyku czekała Helena. Zatrzymałem się, dając znak, by inni poszli beze mnie.

– Powodzenia, szwagrze – powiedziała.

– Jak możesz życzyć mi szczęścia, skoro idę walczyć z ludźmi twojego kraju?

– Ja nie mam kraju, Hektorze.

– Dom jest zawsze domem.

– Hektorze, nigdy nie lekceważ Greka! – Cofnęła się, jakby trochę zdziwiona swoimi słowami. – To rada lepsza, niż na to zasługujesz.

– Grecy są tacy jak wszyscy.

– Czyżby? – Jej zielone oczy błyszczały niczym klejnoty. – Nie mogę się z tym zgodzić. Wolałabym raczej mieć za wroga Trojanina niż Greka.

– To prosta, otwarta walka. A my mamy zamiar ją wygrać.

– Może. Ale czy zadałeś sobie trud, by zastanowić się, dlaczego Agamemnon zrobił tyle zamieszania z powodu jednej kobiety, skoro może mieć ich setki?

– Najważniejsze dla mnie jest to, że doszło do tego zamieszania. A dlaczego, to rzecz nieważna.

– A ja myślę, że w odpowiedzi na pytanie „dlaczego” kryje się wszystko. Nigdy nie lekceważ przebiegłości Greka. A przede wszystkim nie lekceważ Odyseusza.

– Phi! On jest tylko tworem wyobraźni!

– Chce, żebyś tak myślał. Ale ja znam go lepiej.

Odwróciła się na obcasie i weszła do środka. Po Parysie nie było śladu. No cóż, on zawsze tylko patrzył, nigdy nie uczestniczył.

Czekało na mnie siedemdziesiąt pięć tysięcy piechoty i dziesięć tysięcy rydwanów, szereg za szeregiem na bocznych ulicach i mniejszych placach prowadzących do Bramy Skajskiej. W samej bramie czekał pierwszy oddział konny, moi woźnice. Kiedy się pojawiłem, ich okrzyk rozległ się niczym piorun. Uniosłem swój kij wysoko w pozdrowieniu. Wsiadłem do rydwanu i dokładnie umocowałem stopy w wiklinowych strzemionach, które łagodziły wstrząsy jazdy, szczególnie galopu. Kiedy to robiłem, spod hełmów o purpurowych piórach patrzyło na mnie tysiące oczu. Błysk brązu był jak krew i potężniał w promieniach wschodzącego słońca. Przedemną wznosiła się brama.

Trzasnęły bicze. Woły zaprzężone do wielkiego głazu zapierającego Bramę Skajską porykiwały niespokojnie, pochylając głowy, gotowe do wykonania zadania. Śluza była już naoliwiona i tłusta. Zwierzęta prawie ryły nosami po ziemi. Brama otwierała się niezwykle wolno, skrzypiąc i dudniąc. Kamień tarł z oporami po dnie śluzy. Drzwi stawały się coraz mniejsze, a niebo i równina za nimi rosły i poszerzały się. Potem hałas bramy, otwieranej po raz pierwszy od dziesięciu lat, utonął w krzyku radości tysiąca

trojańskich gardeł.

Koła mojego rydwanu zaczęły się toczyć, podczas gdy żołnierze napływali na plac. Przejechałem przez bramę i znalazłem się na równinie, a za mną moje rydwany. Wiatr chłostał mnie po twarzy. Ptaki wystrzeliły w blade sklepienie nieba. Konie strzygły uszami i wyciągały swe smukłe nogi w galopie. Mój woźnica, Kebriones, owinał sobie lejce wokół pasa i zaczął sprawdzać lonże, którymi posługiwał się w kierowaniu zaprzęgiem. Ruszaliśmy do bitwy! Oto prawdziwa wolność!

Pół mili od Bramy Skajskiej zatrzymałem się i zawróciłem, aby przyjrzeć się obcym wałom wznoszącym się w poprzek równiny, od rzeki do rzeki, broniącym dostępu do greckiej plaży. Groble po obu końcach wałów błyszczały milionem ognistych punkcików. Wróg wychodził na równinę. Podałem swoją dzidę Kebrionesowi i umocowałem hełm na głowie, strząsając w tył pióropusz ze szkarłatnego końskiego włosia. Mój wzrok napotkał wzrok Deifobosa, następnego obok mnie w szeregu. Jak okiem sięgnąć, dowódcy jeden po drugim zajmowali swoje pozycje. Mój kuzyn Eneasza dowodził lewą flanką, król Sarpedon – prawą. Ja prowadziłem straż przednią.

Grecy zblizali się coraz bardziej, słońce w ich zbrojach odbijało się coraz jaśniej. Wyteżałem wzrok, by zobaczyć, kto stanie naprzeciw mnie. Zastanawiałem się, czy będzie to sam Agamemnon czy Ajaks, a może jeszcze kto inny. Moje serce jednak nie biło szybko, bo nie miał to być Achilles. Spojrzałem znowu na nasze szyki i podskoczyłem zdumiony. Parys! Stał ze swym wspaniałym łukiem i kołczanem na czele oddziału Królewskiej Straży, który przydzielono mu kiedyś, dawno temu. Zastanawiałem się, jakiej to sztuczki użyła Helena, by wywabić go z bezpiecznych apartamentów...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

OPOWIEŚĆ NESTORA

Odmówiłem modły do Chmurozbiorcy. Choć widziałem więcej wojen niż ktokolwiek żyjący na świecie, nigdy nie stałem wobec armii takiej jak trojańska. Ani Grecja nie wystawiła nigdy tak potężnej armii jak Agamemnon. Wzniosłem oczy do ukrytych w chmurach szczytów Idy, zastanawiając się, ilu bogów porzuciło Olimp, by na niej zasiąść i obserwować walkę. Bitwy zawsze bardzo ich interesowały, a tu mieli wojnę, o jakiej nie śniło się zwykłym śmiertelnikom. Ani bogom, którzy staczali tylko drobne, osobiste potyczki w swych mało licznych szeregach. Im także (jeśli zebrali się na Idzie, by obserwować) nie zależało na pojednaniu. Było powszechnie wiadomo, że Apollo, Afrodyta, Artemida i ich ekipa są za Troją, podczas gdy Zeus, Posejdon, Hera i Pallas Atena – za Grecją. Nikt nie wiedział, za kim stał Ares, pan wojny, bo choć to Grecy wszędzie rozpowszechniali jego kult, Afrodyta, jego potajemna kochanka, była za Troją. Hefajstos, jej mąż, był (w sposób zupełnie naturalny) za Grecją. Dla nas to było wygodne, gdyż doglądał wytopu metali i tym podobnych rzeczy. Nasi rzemieślnicy zatem mieli boskie kierownictwo.

Jeśli tego dnia był jakiś szczęśliwy człowiek, to byłem nim ja. Jedna tylko rzecz tłumiała moją radość. Chłopak obok mnie w rydwanie irytował się i niepokoił, gdyż wolał być we własnym rydwanie wojownikiem niż u mnie woźnicą. Patrzyłem na niego z ukosa – mój syn, Antilochos. Ulubieniec, najmłodszy i najbardziej ukochany, dziecko mojego jesiennego wieku. Kiedy opuszczałem Pylos, miał dwanaście lat. Na wszystkie błagania, by pozwolono mu przybyć do Troi, odpowiadałem negatywnie. Zatem sam się zaokrętował i w ten sposób tu dotarł, łobuziak. Po przybyciu udał

się nie do mnie, tylko do Achillesa i razem udało im się mnie namówić, by został. Miała to być jego pierwsza bitwa. Wolałbym jednak zdecydowanie, by znajdował się daleko stąd, na piaszczystym Pylos, i układał listy towarów.

Ustawialiśmy się naprzeciw Trojan. Nasze szeregi, od krańca do krańca, rozciągały się na milę. Zauważyłem ze zdumieniem, że Odyseusz miał rację. Ich było znacznie więcej niż nas, nawet gdybyśmy mieli całą Tesalię. Przyglądałem się ich szeregom, szukając dowódców, i od razu pośrodku przedniej straży dostrzegłem Hektora. Moi żołnierze z Pylos tworzyli część czoła, razem z wojskami obu Ajaksów i osiemnastu mniejszych królów. Naprzeciw Hektora stał Agamemnon, główny dowódca naszej straży. Lewą flanką dowodzili Idomeneusz i Menelaos, prawą – Odyseusz i Diomedes, nierozłączni, choć tak różni. Jeden gorący, drugi zimny. Razem – doskonali. Hektor jechał wspaniałym zaprzęgiem smolistoczarnych koni. Stał na rydwaniu niczym sam Ares–Enylionos. Tak samo wysoki i silny jak Achilles. Nie dostrzegłem wśród Trojan białych bród. Priam i jemu podobni zostali w pałacu. Byłem najstarszym mężczyzną na tym polu.

Bębny waliły, rogi grzmiały, cymbały dźwięczały, dając hasło do boju. Rozpoczęła się bitwa. Dzielilo nas jeszcze jakieś sto kroków. Włócznie latały niczym liście na porywistym wietrze, strzały szybowały jak orły, rydwany mknęły naprzód i zawracały, a piechota wykonywała ataki i odwroty. Naszym czołem kierował Agamemnon z żywotnością i czujnością, jakich się po nim nie spodziewałem. Wielu z nas nie miało dotąd okazji widzieć się w walce. Byłem zatem uradowany, że Agamemnon jest na tyle kompetentny, by dobrze sobie radzić z Hektorem. Ten z kolei nie zrobił niczego, by zaangażować naszego arcykróla w pojedynek.

Hektor klął i szalał, co jakiś czas posyłając swe rydwany, ale nie mógł przełamać naszej frontowej linii. Ja również przeprowadziłem kilka ataków w czasie całego ranka. Antiloch

wydawał wojenny okrzyk z Pylos, ja oszczędzałem oddech na walkę. Niejeden Trojanin padł pod kołami mojego rydwanu, gdyż Antiloch był dobrym woźnicą. Trzymał mnie z dala od kłopotów i wiedział, kiedy się wycofać. Nikt nie mógłby mu zarzucić, że naraża starego ojca, żeby sam dostać się w wir walki.

Miałem coraz bardziej sucho w gardle, a moja zbroja pokryła się kurzem. Kiwnąłem na syna i wycofaliśmy się na tyły, by wziąć kilka łyków wody i nabrać oddechu. Kiedy spojrzałem na słońce, zdumiałem się, widząc, że zbliża się do zenitu. Natychmiast wróciliśmy na frontową linię i z przyływem nowej odwagi poprowadziłem ludzi na trojańskie szyki. Dokonaliśmy trochę spustoszenia, gdy Hektor nie patrzył, po czym dałem sygnał do odwrotu. Wróciliśmy na pozycje, nie straciwszy żadnego człowieka. Hektor stracił ponad tuzin. Wzdychając z zadowolenia, uśmiechnąłem się w milczeniu do Antilocha.

W południe Agamemnon posłał herolda na otwartą przestrzeń, by odtrąbił zawieszenie broni. Oba wojska jęknęły i odłożyły broń. Głód i pragnienie, lęk i zmęczenie stały się realne po raz pierwszy od świtu. Kiedy dostrzegłem, że wszyscy wodzowie zbierają się wokół Agamemnona, kazałem Antilochowi, by także tam podjechał. Razem ze mną na miejsce przybyli Odyseusz i Diomedes. Cała reszta już była. Niewolnicy uwijali się z rozwodnionym winem, chlebem i ciastem.

– Co teraz, panie? – spytałem.

– Ludziom potrzeba odpoczynku. To pierwszy dzień intensywnej walki od wielu miesięcy, zatem posłałem herolda do Hektora, prosząc, by on i jego dowódcy spotkali się z nami pośrodku w celu podjęcia pertraktacji.

– Wspaniale – rzekł Odyseusz. – Z odrobiną szczęścia możemy zyskać dość czasu, by ludzie mogli odpocząć, nabrać tchu i się posilić.

Na twarzy Agamemnona pojawił się uśmiech.

– Jako że zależy na tym obu stronom, Hektor z pewnością nie odmówi.

Służba usuwała ciała z pola, przedzielonego pasem na pół. Ustawiono taborety i stoły i dowódcy obu stron zasiedli do dyskusji. Stałem za Agamemnonem wraz z Ajaksem, Odyseuszem, Diomedesem, Menelaosem i Idomeneuszem. Przyglądaliśmy się z wielkim zainteresowaniem pierwszemu spotkaniu arcykróla z następcą króla Troi. Tak, Hektor to przyszedł król. Bardzo ciemny. Czarne włosy wystawały spod hełmu i splecione w warkocz spadały na plecy. Oczy, które przyglądały się nam bystro, były również czarne.

Przedstawił swych towarzyszy: Eneasza z Dardanii, Sarpedona z Licji, Akmasa, syna Antenora, Polidamasa, syna Agenora, Pandarosa – kapitana królewskiej straży, oraz swoich braci, Parysa i Deifobosa.

Menelaos pomrukiwał i patrzył krzywo na Parysa, ale wszyscy bali się jego imperialnego brata tak bardzo, że udawali, iż tego nie widzą. Uznałem Trojan za grupę wspaniałych mężczyzn. Wszyscy byli wojownikami z krwi i kości, z wyjątkiem Parysa, który do nich nie pasował – ładny, nadęty i zepsuty. Kiedy Agamemnon przedstawiał swoich ludzi, obserwowałem uważnie Hektora, chcąc odczytać jego reakcje na nazwiska ludzi. Kiedy doszło do Odyseusza, przyjrzał się naszemu mądrali uważnie, lecz z lekkim politowaniem. Mnie także ogarnęła litość. Ludzie, którzy nie znali Odyseusza, Itakijskiego Lisa, zazwyczaj go lekceważyli, z powodu jego dziwnie nieproporcjonalnego ciała i niepozornego, prawie niskiego wzrostu. Spójrz mu w oczy, Hektorze, spójrz w jego oczy! Mówiłem sobie po cichu – spójrz mu w oczy, poznaj, kim naprawdę jest ten człowiek, i złęknij się go! Ale Hektor obok Odyseusza dostrzegł już Ajaksa, który zainteresował go o wiele bardziej. W ten sposób przegapił wielkość Odyseusza.

Hektor ze zdumieniem przyglądał się potężnym muskułom naszego drugiego największego wojownika. Chyba po raz pierwszy w życiu musiał zadzierać głowę, żeby spojrzeć komuś w twarz.

– Synu Priama, przez dziesięć lat nie doszło do żadnych rozmów – rzekł Agamemnon. – Najwyższy czas, byśmy to nadrobili.

– Co chcesz omawiać?

– Sprawę Heleny.

– Ten temat jest zamknięty.

– Ależ skąd! Czyżbyś zaprzeczał, że Parys, syn Priama, a twój rodzony brat, porwał żonę mego rodzzonego brata Menelaosa, króla Lakonii, i sprowadził ją tutaj do Troi, czyniąc afront całemu narodowi Grecji?

– Tak, zaprzeczam.

– Pani prosiła, bym ją zabrał – dodał Parys.

– Naturalnie nie przyznajecie się, że użyliście siły.

– Naturalnie, gdyż nie było potrzeby jej używać. – Hektor prychnął nozdrzami jak byk. – Co chcesz powiedzieć przez tę urzędową mowę, arcykrólu?

– Abyś zwrócił Helenę i całe jej dobro prawowitemu małżonkowi i zadośćuczynił nam za stracony czas i kłopoty, otwierając Hellespont dla greckich kupców, i abyś nie sprzeciwiał się napływowi greckich osadników do Azji Mniejszej.

– Twoje warunki są nie do przyjęcia.

– Dlaczego? Prosimy jedynie o prawo do spokojnego współistnienia. Nigdy bym nie walczył, Hektorze, gdybym w pokoju mógł osiągnąć swoje cele.

– Zgoda na twoje żądania zrujnowałaby Troję, Agamemnonie.

– Wojna zrujnuje ją bardziej. Bronisz, Hektorze, pozycji

straconej pod każdym względem. I tak od dziesięciu lat to my zbieramy zyski Troi i Azji Mniejszej.

Rozmowa toczyła się dalej. Z jednej i drugiej strony padały nic nie znaczące słowa, podczas gdy żołnierze leżeli na plecach na stratowanej trawie, z zamkniętymi przed słońcem oczami.

– Zatem, książę Hektorze, czy zgodzisz się na pewną propozycję? – spytał Agamemnon po jakimś czasie. – Między nami są dwie strony zainteresowane wszystkim od samego początku. Menelaos i Parys. Niechaj odbędą pojedynek na otwartym polu, zwycięzca dyktuje warunki umowy pokojowej.

Parys nie wyglądał na wspaniałego wojownika, ale Menelaos prezentował się jeszcze gorzej. Nie potrzebował Hektorowi długiego namysłu, by dostrzec w Parysie łatwego zwycięzcę.

– Zgoda – powiedział. – Mój brat Parys będzie się pojedynkował z twoim bratem Menelaosem, zwycięzca dyktuje warunki traktatu.

Zerknąłem na Odyseusza, który siedział obok mnie.

– Przez wzgląd na przyszłą reputację Agamemnona, Nestorze, miejmy nadzieję, że to Trojanin przerwie pojedynek – wyszeptał.

Wycofaliśmy się za nasze linie, zostawiając sto kroków wolnej przestrzeni dla obu mężczyźni. Menelaos sprawdzał tarczę i włócznię, a Parys beztrąsko poprawiał sobie ubranie. Okrażali się wolno. Menelaos co jakiś czas zadawał cios włócznią, ale Parys uskakiwał. Ktoś w szeregach za mną rzucił jakąś szyderczą uwagę. Zawyło tysiąc trojańskich gardeł, ale Parys zignorował obrazę i nadal robił eleganckie uniki. Nigdy nie miałem wielkiego zaufania do Menelaosa, ale Agamemnon najwyraźniej wiedział, co robi, proponując ten pojedynek. Uznałem Parysa za łatwego zwycięzcę, ale myliłem się. Choć Menelaosowi zawsze brakowało stanowczości i wyczucia, które uczyniłyby z niego dobrego dowódcę, poznał jednak sztukę pojedynkowania się tak sumiennie, jak dokładnie uczył się wszystkiego. Brakowało mu sprytu, nie odwagi, a to znaczyło, że

miał dużą przewagę w walce wręcz. Pchnął włócznią w tarczę Parysa, odrzucając ją na bok. Znalazłszy się wobec wyciągniętego miecza, Parys postanowił raczej uciec, niż wyciągnąć swój. Wziął nogi za pas, a Menelaos ruszył za nim.

Teraz już wszyscy widzieli, kto będzie zwycięzcą. Trojanie zamilkli, a nasi ludzie głośno dodawali Menelaosowi otuchy. Moje oczy spoczęły na Hektorze, który mylnie osądził, ale był człowiekiem zasad. Jeśli Menelaos zabije Parysa, następca będzie musiał pójść na ugodę. Och! Nie otrzymawszy sygnału od Hektora, Pandaros, kapitan Królewskiej Straży szybko nałożył strzałę. Krzyknąłem do Menelaosa, który przerwał pościg i uskoczył w bok. Pośród ryku zastępów, który dochodził zza moich pleców, Menelaos stał ze strzałą tkwiącą w boku. Jęk ze strony Trojan oznajmił niezadowolenie, że to Trojanin przerwał rozejm. Hektor miał teraz plamę na honorze.

Wojska rzuciły się do walki z furją, której brakowało im rano. Jedna strona broniła splamionego honoru, a druga pragnęła pomścić zniewagę. Obie cięły i rąbały, wrzeszcząc jak oszalałe. Trup kładł się gęsto. Sto kroków, które dzieliło nasze szyki, zniknęło w mgnieniu oka. W końcu wszyscy zbili się w jedną masę. Kurz pod stopami wzniósł się do chmur, oślepiając nas i dusząc. Hektor, czując się winny, był teraz wszędzie, kursował tam i z powrotem na swoim wozie i zawzięcie ciskał włócznią. Żaden z nas nie mógł zbliżyć się do niego na tyle, by zaryzykować celny rzut. Ludzie ginęli pod kopytami jego trzech czarnych koni. Nie mogłem zrozumieć, jak udaje mu się prowadzić swój wóz wśród przerażonego ludzkiego tłoku. Wkrótce stało się to tak normalne, że sam to robiłem, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Widziałem Eneasza z grupą Dardańczyków idących za nim i zastanawiałem się wśród tej kotłowaniny, jak udało mu się tu przedostać ze swego skrzydła. Porzuciłem włócznię na rzecz miecza. Zebrałem swych ludzi i poprowadziłem w gęstwinę, tnąc ciała z mojego wozu, rąbiąc na oślep po spoconych twarzach. Nie tracąc z widoku Eneasza,

jednocześnie zawołałem o wsparcie.

Agamemnon przysłał mi posiłki prowadzone przez Ajaksa. Eneasza ujrzawszy, że tamten nadchodzi, odwołał swoich wojowników, ale dopiero wtedy, gdy zobaczył stosy ciał, padających niczym słoma pod niestrudzonym ramieniem Ajaksa. Dzisiaj olbrzym nie miał topora, wołał na początku bitwy używać miecza – dwa i pół łokcia brązu o podwójnym ostrzu. Choć jak mi się zdawało, i tak używał go jak topora, wywijając nim nad głową i wrzeszcząc dziko z radości. Nosił swoją olbrzymią, zwężoną tarczę lepiej niż jakikolwiek żyjący mężczyzna. Nigdy się nie kołysała. Ciężar z brązu i cyny chronił go od głowy po palce stóp. Za jego plecami szło sześciu potężnych kapitanów Salaminy. Pod osłoną jego tarczy ukrywał się Teukros ze swym łukiem. Nie obciążony, zakładał strzały jedną po drugiej ruchem niezwykle płynnym, nieprzerwanym i rytmicznym. Widziałem, jak Grecy, zbyt oddaleni, by dostrzec uśmiech Ajaksa, nabierali ducha, słysząc słynne zawołanie domu Ajakosa.

– Aj! Aj! Biada! Biada! – wrzeszczał, nawiązując do swego imienia, i śmiał się szyderczo w twarze tysiącom Trojan.

Otoczony przez moment własnymi ludźmi, uniosłem do niego rękę, a on ruszył ku mnie. Antilochos stał, patrząc z podziwem, prawie wypuszczając z dłoni cugle naszego zaprzęgu.

– Zniknęli, staruszkę – zagrzmiał Ajaks.

– Nawet Eneasza nie został, żeby stawić ci czoło.

– Zeus zmieni ich w cienie! Dlaczego nie zostali i nie chcieli walczyć? Ale ja i tak złapię tego Eneasza.

– Gdzie Hektor?

– Szukam go przez całe popołudnie. Ten człowiek jest nieuchwytny, zawsze zostawia mnie w tyle. Ale zmęcę go. Prędzej czy później się spotkamy.

Rozległy się krzyki ostrzeżenia. Ustawiliśmy się w szyku. Wracał Eneasza, prowadząc z sobą Hektora oraz część Straży Królewskiej. Spojrzałem na Ajaksa.

– Oto twoja szansa, synu Telamona.

– Aresowi niech będą dzięki. – Wstrząsnął swoimi potężnymi ramionami, by poprawić swój napierśnik, i dotknął lekko końcem buta Teukrosa. – Wychodź, bracie. Ten należy tylko do mnie. Strzeż Nestora i trzymaj Eneasza z dala ode mnie.

Teukros wy dostał się spod jego tarczy. Gdy wchodził na rydwan obok mnie i Antiochosa, jego jasne, oddane oczy nie zdradzały niepokoju. Nikt nie kwestionował jego lojalności, choć urodziła go rodzona siostra Priama, Hezjone.

– Chłopcze – odezwał się do mojego syna – podprowadź nas przez te trupy bliżej Eneasza. Muszę się z nim rozprawić. Królu Nestorze, możesz mnie osłaniać, kiedy będę używał swego łuku?

– Z radością, synu Telamona – odparłem.

– Ojczy, dlaczego Eneasza znalazł się tutaj? – spytał Antiochos, ruszając. – Myślałem, że dowodzi skrzydłem.

– Podobnie jak ja – odparł za mnie Teukros.

Moi ludzie oraz część ludzi Ajaksa ruszyła za nami, aby trzymać Eneasza z dala od Ajaksa, gdy Hektor będzie się z nim pojedynkować. Gdy doszło do starcia, oddziały po obu stronach zaprzestały walki. Obserwowaliśmy Hektora i Ajaksa dużo uważniej niż to, gdzie padają nasze raży.

Ajaks w bitwie nigdy nie używał rydwanu, prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie zbudowano takiego, który by wytrzymał jego ciężar, Teukrosa i woźnicy. Zamiast tego, stojąc na ziemi, udawał, że sam jest rydwanem.

Braż dzwonił o braż, naramiennik rozparty nagłym napięciem mięśni upadł i został zdeptany pod stopami. Pasowali do siebie –

Ajaks i Hektor. Odparowywali ciosy, stojąc twarzą w twarz. Wszelka walka wokół nich z wolna zamierała. Eneasz przenikliwie gwizdnał, chcąc zwrócić na siebie moją uwagę.

– To jest zbyt dobre, żeby przegapić, mój białowłosy przyjacielu! Wolałbym raczej patrzeć, niż walczyć, a ty? Eneasz z Dardanii prosi o zawieszenie broni!

– Zgadzam się na zawieszenie na czas trwania pojedynku. Potem, gdyby to Ajaks padł, będę bronił jego ciała i zbroi swoim życiem! Gdyby jednak padł Hektor, pomogę Ajaksowi wykraść ciało i zbroję! Nestor z Pylos zgadza się na zawieszenie broni!

– Niech tak będzie!

W otaczającym kręgu wszyscy opuścili broń. Poza naszym terytorium walka wrzała z nie słabnącą pasją. Tu jednak nikt się nie ruszał ani nie rozmawiał. Gdy patrzyłem na Ajaksa, serce mi mocno biło. Nie opuszczał gardy ani nie wystawiał kawałka swego ciała zza olbrzymiej tarczy. Hektor tańczył jak żywy płomień, odhupując wielkie płyty metalu z tarczy przeciwnika. Obaj wydawali się zgubić poczucie czasu, nie istniało dla nich zmęczenie. Raz za razem ogromne ramiona wznosiły się i opadały z nie słabnącą siłą. Dwukrotnie Hektor prawie stracił tarczę, jednak przyjął ostrze Ajaksa na miecz i odparował cios. Była to długa i zacięta walka. Gdy jeden z nich dostrzegł, że drugi się odkrył, natychmiast uderzał. Lecz napotykał tylko na ostrze przeciwnika i walczył dalej niezrażony.

Poczułem, jak ktoś klepie mnie po ramieniu. Herold od Agamemnona.

– Królu Nestorze, arcykról pragnie wiedzieć, dlaczego walka tu ustała.

– Zgodziłem się na czasowe zawieszenie broni. Sam popatrz, mój człowieku! Walczyłbyś, gdyby coś takiego zdarzyło się na twoim odcinku?

Popatrzył.

– Rozpoznaję księcia Ajaksa, ale kto stoi naprzeciw niego?

– Idź i powiedz arcykrólowi, że Ajaks i Hektor walczą tu na śmierć i życie.

Posłaniec zniknął, umożliwiając mi dalszą obserwację pojedynku. Obaj mężczyźni nadal wściekle atakowali – ile to już czasu trwało? Nie musiałem osłaniać oczu, kiedy spojrzałem na zamgloną żółtą kulę słońca, schowaną za tumanami kurzu. Skłaniała się już dobrze ku zachodowi, prawie wisząc nad horyzontem. Na Aresa, co za wytrzymałość!

Agamemnon podprowadził swój rydwan do mojego.

– Co z dowodzeniem, panie? – spytałem.

– Tymczasem Odyseusz rządzi za mnie. Bogowie! Jak to już długo trwa, Nestorze?

– Chyba ósmą część popołudnia.

– Będą musieli wkrótce skończyć. Słońce zachodzi.

– Niesamowite, prawda?

– Ty prosiłeś o zawieszenie?

– Ludzie nie chcieli walczyć. Nie, nie ja. Jak idzie gdzie indziej?

– Nie poddajemy się, choć mają znaczną przewagę liczebną. Diomedes był tytanem przez cały dzień. Zabił Pandarosa, który złamał zawieszenie broni, i uciekł z jego zbroją Hektorowi przed nosa. O! Tam jest Eneasze, jak widzę. Nic dziwnego, że zażądał zawieszenia broni. Diomedes trafił go włócznią w ramię i podejrzewa, że go zranił.

– Zatem, to dlatego zawędrował tu ze skrzydła.

– Dardańczyk to najbystrzejszy człowiek, jakiego posiada Priam. Wieść jednak głosi, on zawsze dba tylko o siebie.

- Co z Menelaosem? Czy strzała poważnie go zraniła?
- Nie. Machaon opatrzył go i posłał z powrotem do walki.
- Dał całkiem niezły pokaz.
- Zdziwił cię, nieprawdaż?

Róg obwieścił nastanie ciemności długim ponurym dźwiękiem wznoszącym się ponad kurz i wrzawę pola. Ludzie odkładali broń i łapali oddech. Wypuszczali tarcze i niezgrabnie wkładali miecze do pochew. Ale Hektor i Ajaks walczyli dalej. W końcu pokonała ich noc. Z ledwością widzieli broń przed sobą. Wsiadłem z rydwanu, żeby ich rozdzielić.

- Moje lwy, jest zbyt ciemno. Ogłaszam remis. Odlóżcie zatem swe miecze.

Hektor zdjął hełm drżącą ze zmęczenia ręką.

- Wyznam, że nie żałuję. Jestem prawie wykończony.

Ajaks oddał swoją tarczę Teukrosowi, pod którym ugięły się kolana z powodu jej ciężaru.

- Ja także jestem wykończony.

- Jesteś wielkim człowiekiem, Ajaksie - rzekł Hektor, wyciągając prawą rękę.

Ajaks, uśmiechając się, oplótł palcami nadgarstek Trojanina.

- To samo mogę powiedzieć o tobie, Hektorze.

- Nie rozumiem, dlaczego uważają Achilleśa za lepszego od ciebie. Proszę, oto mój miecz!

Wyciągnął go przed siebie impulsywnie.

Ajaks z nieudawanym zadowoleniem spojrział na miecz, a potem wziął go do ręki.

- Odtąd zawsze będę go używał w bitwie. W zamian ofiarowuję

ci mój pas. Ojciec mówił, że jego ojciec dostał go od swojego ojca, którym był sam nieśmiertelny Zeus.

Przechylił głowę i zdjął cenną relikwię – wspaniałą purpurowy skórzany pas, zdobiony złotymi wzorami. Był to rzadki okaz.

– Będę go nosił zamiast własnego – rzekł Hektor zadowolony.

Patrzyłem na wzajemne obdarowanie się, sympatię i szacunek, który sobie zaskarbili w takich okolicznościach, i nagle lodowate skrzydła przecucia zmroziły mi umysł. Ta wymiana – to zły omen.

Rozbiliśmy tej nocy obóz tam, gdzie staliśmy, pod murami Troi. Armia Hektora zagrażała nam dostęp do otwartej Bramy Skajskiej. Rozpalono ogniska, nad nimi powieszono na kijach kotły. Niewolnicy roznosili wielkie tace z chlebem jęczmiennym i mięsem, płynęło wino z wodą. Przez jakiś czas obserwowałem tysiące migotliwych pochodni płynących tam i z powrotem przez Bramę Skajską. To trojańscy niewolnicy kręcili się, usługując Hektorowi i jego wojsku. Potem poszedłem zjeść z Agamemnonem i resztą przy ognisku pośrodku naszych ludzi. Kiedy wszedłem w krąg światła, na powitanie zwróciły się do mnie wszystkie twarze, i zauważyłem na nich pustkę, która zawsze kładzie się po ciężkiej walce.

– Nie posunęliśmy się naprzód nawet o palec – rzekłem do Odyseusza.

– Oni też nie – odparł spokojnie, przeżuwając kawałek gotowanej wieprzowiny.

– Ilu ludzi straciliśmy? – spytał Idomeneusz.

– Tyle samo, co Hektor, może trochę mniej – rzekł Odyseusz. – Ale nie zrównaliśmy się liczebnie.

– Zatem wszystko rozstrzygnie się jutro – rzekł Meriones, ziewając.

Agamemnon ziewnął również.

– Tak, jutro.

Nie było zbyt wiele rozmów. Ciało bolało, powieki piekły i opadały, brzuchy były syte. Czas wsunąć się pod skóry wokół ogniska. Spojrzałem przez płomień na wiele setek małych świateł rozsianych po równinie. Każde było źródłem wygody i otuchy wśród otaczających nas ciemności. Ku gwiazdom wznosił się dym – dym z dziesięciu tysięcy ognisk rozpalonych pod murami Troi. Położyłem się i obserwowałem, jak gwiazdy giną za mgłą będącą dziełem ludzi, aż zupełnie zniknęły we Śnie, Dawcy Ciemności.

Drugi dzień różnił się od pierwszego. Żadne zawieszenie broni nie przerwało rzezi, żaden pojedynek nie przykuł uwagi, żadne wspaniałe heroiczne wyczyny nie wyniosły zmagania ponad ludzki poziom. Walka była zawzięta i trudna. Moje kości wołały o odpoczynek, oczy oślepiały łzy, które nawet mężczyzna musi ocierać, gdy widzi, jak umiera jego syn. Antilochos opłakał swego brata, a potem stwierdził, że chce zająć jego miejsce w szeregu. Zatem inny mieszkaniec Pylos musiał prowadzić mój wóz.

Hektor, nieuchwytny, groźny jak sam Ares, był w swoim żywiole. Błyskawicznie przenosił się z miejsca na miejsce. Nawoływał żołnierzy dźwięcznym głosem. Nie dawał nikomu przebaczenia i sam o nie nie prosił. Ajaks nie miał czasu, żeby go ścigać. Hektor całą siłę Straży Królewskiej rzucił na niego i Diomedesa, utrudniając walkę dwóm najpotężniejszym przeciwnikom dzięki liczebnej przewadze. Ilekroć Hektor ciskał włócznią, zawsze ginął człowiek. Był równie dobry jak Achilles. Gdy w naszych szeregach pojawiała się wyrwa, natychmiast posyłał tam swoich żołnierzy. Kiedy ich już tam miał, dosyłał posiłki, niczym drwal zanurzający cienkie ostrze siekiery coraz głębiej w pień leśnego olbrzyma.

Och, co za ból! Tyle okrucieństwa, tyle cierpienia! Łzy oślepiły mnie ponownie, gdy padł drugi mój syn. Jego brzuch przeszła lanca Eneasza. W chwilę później z ledwością uniknął miecza Antilochos – nie, tylko nie on! Proszę, litościwa Hero, potężny

Zeusie, oszczędźcie mi Antilocha!

Co jakiś czas heroldowie przynosili mi wieści o tym, co dzieje się na innych odcinkach. Dziękowałem bogom, że przynajmniej nasi dowódcy nie byli ranni. Lecz może dlatego, że nasi ludzie byli zmęczeni, a może dlatego, że brakowało nam piętnastu tysięcy Tesalczyków Achillesa, albo z innych, bardziej tajemniczych powodów zaczęliśmy ustępować pola. Wolno i niezauważenie bitwa przenosiła się coraz dalej od murów Troi i zaczęła zbliżać się do naszych umocnień. Znalazłem się na samym czele szyku. Mój woźnica płakał z wściekłości, gdy nasz zaprzęg nadepnął na splątane lejce i zaczął się cofać.

Spadł na nas Hektor. Zawołałem szaleńczo o wsparcie, widząc, jak jego rydwan wydarł się z ciżby. Szczęście mnie nie opuszczało. Odyseuszowi i Diomedesowi udało się przedostać na czoło, a ich ludzie stanęli obok moich. Diomedes nie usiłował walczyć z Hektorem. Skoncentrował się natomiast na woźnicy, innym niż ten, co zwykle, nie tak doświadczonym. Cisnął włócznią i zwałił go z nóg. Ten, padając do tyłu, ściągnął lejce. Konie, czując uzdy, zaczęły stawać dęba. Z pomocą Odyseusza udało się nam bezpiecznie uciec, podczas gdy Hektor pluł przekleństwami, nożem uwalniając się z lejc.

Usiłowałem zebrać oddział na moim odcinku, ale było to prawie niemożliwe. W powietrzu pojawił się strach i zaczęto szemrać o złych znakach. Trudno było się dłużej oszukiwać – znajdowaliśmy się w całkowitym odwrocie. Uświadomiwszy to sobie, Hektor z okrzykiem tryumfu pchnął naprzód resztę swych rezerw.

Dzień uratował Odyseusz. Wskoczył na jakiś pusty rydwan – a gdzie był jego? – i zawrócił uciekających mieszkańców Beocji. Ustawił ich twarzą do wroga i zmusił, by opuszczali pole w spokoju i porządku. Agamemnon natychmiast poszedł za jego przykładem.

Odwrót, który groził całkowitą klęską, przeprowadzono z minimalnymi stratami i bez ryzyka rozsypki. Diomedes skierował

swych Argonautów przeciw nadciągającym Trojanom, a ja z Idomeneuszem, Eurypylosem, Ajaksem i ich ludźmi podążyłem za jego przykładem.

Zbliżyliśmy flanki do czoła. Wojsko zbiło się w ciasną, kroplowatą formację, węższym końcem zwróconą ku Hektorowi. Za nami masa ludzka wycofywała się w ustalonym porządku.

Teukros trzymał się w swoim zakamarku tarczy brata, jego strzały latały nieprzerwanie, zawsze celne. Hektor zachwiał się. Teukros, dostrzegłszy to, uśmiechnął się i założył kolejną strzałę. Hektor był jednak zbyt przebiegły na to, by paść od strzały. Poza tym wiedział, że w pobliżu znajduje się Ajaks. Jedna po drugiej strzały odbijały się od tarczy Hektora, co tak rozwścieczyło Teukrosa, że popełnił błąd i wyszedł zza tarczy brata. Hektor tylko na to czekał. Dawno już skończyły mu się włócznie, ale znalazł kamień i rzucił nim niezwykle silnie. Trafił Teukrosa w prawie ramię, a ten padł niczym ofiarny byk. Ajaks zbyt osaczony, żeby to zauważyć, walczył dalej. Och! Mój krzyk ulgi powtórzyło tuzin gardeł, kiedy głowa Teukrosa uniosła się nad ciałami i on sam zaczął pełznąć po ziemi między zmarłymi i rannymi, by dotrzeć do Ajaksa. Teraz jednak stanowił tylko dodatkowy bagaż, który musiał dźwigać jego brat. Trojanie atakowali.

Rozpaczliwie oglądałem się za siebie, by sprawdzić, jak daleko znajdujemy się od swych wałów, i odetchnąłem. Tylne szeregi już przepływały przez groble.

Odyseusz i Agamemnon utrzymywali wojska w spokoju. Zakończono odwrót bez większych strat w ludziach. Weszliśmy za wały i znaleźliśmy schronienie w kamiennym miasteczku. Było już zbyt ciemno, by Hektor odważył się ruszyć za nami. Szydząc i urągając nam, został po drugiej stronie rowu i palisady.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

OPOWIEŚĆ ODYSEUSZA

Tego wieczoru spotkanie u Agamemnona nie było radosne. Siedzieliśmy, zbierając siły na jutro. Bolała mnie głowa, gardło paliło od wykrzykiwania rozkazów. Miałem otarte boki tam, gdzie uwierał mnie pancerz. Każdy z nas doznał jakichś kontuzji – siniaków, cięć, stłuczeń – i każdemu chciało się spać.

– Straszna klęska – rzekł Agamemnon do milczących, zmęczonych wodzów. – Straszna, Odyseuszu.

Diomedes pospieszył mi z obroną.

– Tak jak Odyseusz przewidział!

Nestor, wspierając mnie, pokiwał głową. Biedny staruszek. Dzisiaj po raz pierwszy w życiu wyglądał na swój wiek. Nic dziwnego. Stracił na polu dwóch synów.

– Nie popadaj w rozpacz, Agamemnonie – rzekł ochrypłym głosem. – Nadejdzie nasz czas. I będzie słodszy przez wzgląd na dzisiejszą klęskę.

– Wiem! Wiem! – zawołał Agamemnon.

– Niech ktoś pójdzie i złoży raport Achillesowi – rzekł Nestor cicho do tych z nas, którzy byli wtajemniczeni w intrygę. – Jeśli nie zostanie poinformowany, może ruszyć przedwcześnie.

Agamemnon popatrzył na mnie oskarżycielsko.

– Odyseuszu, to był twój pomysł. Ty idź do niego.

Podniosłem się ciężko. Wysłanie mnie na drugi kraniec obozu

było ze strony Agamemnona formą odwetu. Gdy jednak tam szedłem, w spokoju i przez nikogo nie zaczepiany, poczułem napływ nowych sił. Ten mały, dodatkowy trening odprężył bardziej niż całonocny wypoczynek. Ci, którzy mnie widzieli, z pewnością przypuszczali, że po dniu klęski Agamemnon wysłał mnie do Achillesa z prośbą o pomoc. Miałem bramę. Tuż za nią ujrzałem smutnych Myrmidonów i innych Tesalian. Palili się do walki, a byli skazani na bezczynność.

Achilles był w domu i grzał ręce nad trójnogiem. Wyglądał na tak samo zmęczonego i niespokojnego jak wszyscy, którzy walczyli przez dwa dni. Naprzeciw niego z kamienną twarzą siedział Patrokles. Jego postawa nie dziwiła mnie. Nie potrafił darować przyjacielowi przygody z Bryzejdą. Mój związek z Diomedesem był intymny, ale przede wszystkim przyjacielski. Obu nam dawał przyjemność. Gdyby jednak któremuś z nas spodobala się kobieta, drugi nie miałby nic przeciwko temu. Żadna katastrofa, żadna zdrada. Patrokles natomiast kochał i sądził, że jest niezagrożony i nie ma rywali. Achilles zaś, jak wszyscy, którzy od cielesnych przyjemności wolą co innego, nie zaangażował się naprawdę. Patroklesowi podobali się tylko mężczyźni, zatem poczuł się okrutnie oszukany. Biedaczek, on kochał.

– Co cię sprowadza? – spytał kwaśno Achilles. – Patroklesie, znajdź jakieś jedzenie i wino dla króla.

Wzdychając z wdzięcznością, usiadłem w wielkim fotelu i czekałem, aż Patrokles wyjdzie.

– Słyszałem, że sprawy mają się źle – rzekł Achilles.

– Tak jak przewidziałem, nie zapominaj o tym – odparłem. – Hektor trzymał swych ludzi twardą ręką. Agamemnonowi nie mogło się to udać. Odwrót zaczął się w tej samej chwili co szemranie, że znaki są nam przeciwne: niebo ciemne od orłów latających po naszej lewej stronie, złote światło padające na cytadelę Trojan i tak dalej. Rozmowy o znakach są zawsze fatalne. Zatem załamaliśmy się

i Agamemnon wycofał wojska na noc w obręb umocnień.

– Słyszałem, że Ajaks spotkał się wczoraj z Hektorem.

– Tak, pojedynkowali się przez jedną ósmą popołudnia, bez rezultatu. Nie masz się o co martwić, mój przyjacielu. Hektor należy do ciebie.

– Ale ludzie niepotrzebnie giną, Odyseuszu! Pozwól mi wyjść jutro, proszę!

– Nie – odparłem ostro. – Chyba że zaistnieje groźba wybicia wszystkich naszych żołnierzy. Albo Hektor dostanie się w obręb obozu i zacznie palić statki. Lecz nawet wtedy nie wolno ci stanąć na czele żołnierzy. Poślij z nimi Patroklesa. – Popatrzyłem na niego surowo. – Agamemnon ma twoją przysięgę, Achillesie.

– Bądź pewien, Odyseuszu, że jej nie złamię.

Pochylił głowę i zamilkł. Kiedy wrócił Patrokles, tak właśnie nas zastał – Achillesa pochylonego, a mnie wpatzonego w jego głowę o złotych włosach. Patrokles rozkazał sługom postawić jedzenie i wino na stole, a sam stanął z boku jak kolumna z lodu. Achilles rzucił mu krótkie spojrzenie, potem przeniósł wzrok na mnie.

– Powiedz Agamemnonowi, że nie cofnę swojego słowa – rzekł do mnie oficjalnym tonem. – Powiedz, żeby znalazł sobie kogoś innego, kto wyciągnie go z tego bałaganu. Albo niech mi zwróci Bryzejdę.

Klepnąłem się po udzie, jakbym był rozzłoszczony.

– Jak sobie życzysz.

– Zostań i zjedz, Odyseuszu. A ty, Patroklesie, idź spać.

Wściekły, pośpiesznie opuścił dom.

Wracałem tak ożywiony, że mogłem zostać mylnie zrozumiany. Poszedłem więc do swojej jamy, gdzie nadal znajdowały się kwatery

mojej kolonii szpiegowskiej. Większość tych agentów, którzy nie mieszkali w Troi, siedziała nad resztkami kolacji. Tersytes i Sinon powitali mnie ciepło.

– Jakież wieści? – spytałem, siadając.

– Jedna – odparł Tersytes. – Miałem właśnie cię szukać.

– Więc oświeć mnie.

– Dziś wieczorem, tuż po zakończeniu bitwy przybył nowy sojusznik, daleki kuzyn króla Priama imieniem Rezos.

– Ilu żołnierzy przyprowadził?

Sinon zaśmiał się cicho.

– Żadnego. Rezos to pyszałek. Nazywa siebie sojusznikiem, ale właściwie jest uciekinierem. Własny lud go wyrzucił.

– No, no! – rzekłem i czekałem.

– Rezos przyprowadził zaprzęg: trzy wspaniałe, białe konie, o których mówi trojańska przepowiednia – rzekł Tersytes. – Powiada się, że są nieśmiertelnymi dziećmi skrzydlatego Pegaza, szybkie jak Boreasz i dzikie jak Persefona, zanim wziął ją Hades. Jeśli napiją się wody ze Skamandra i najedzą trojańskiej trawy, Troja nigdy nie upadnie. Przepowiednia głosi, że obietnicę tę złożył Posejdon, który podobno miał być po naszej stronie.

– Z pewnością jest po naszej stronie. Zatem, czy już zjadły trojańską trawę i napiły się wody ze Skamandra?

– Jadły trawę, ale nie piły wody.

Uśmiechnąłem się.

– Nie dziwię im się. Ja też bym jej nie pił.

– Priam posłał po wiadro czy dwa w górę rzeki – rzekł Sinon, także się uśmiechając. – Jutro o świcie postanowił przeprowadzić publiczną ceremonię. Do tego czasu konie poczują pragnienie.

– Ciekawe – wstałem, przeciągając się. – Muszę osobiście zobaczyć te fantastyczne stworzenia. Taki zaprzęg dodałby mi pewnej... no... elegancji, gdybym nim powoził.

– Przydałoby ci się trochę elegancji – wtrącił Sinon.

– Nawet więcej niż trochę – dodał Tersytes.

– Dzięki wam za to, panowie! Gdzież mogę znaleźć ten nieśmiertelny zaprzęg?

– Tego nie udało nam się ustalić – rzekł Tersytes, marszcząc brwi. – Wiemy tylko, że kwatery mają na równinie razem z trojańskim wojskiem.

Przed moim domem czekali Diomedes, Agamemnon i Menelaos. Podszedłem do nich, jakbym właśnie wrócił ze spaceru dla zdrowia, i uśmiechnąłem się do Diomedesa. Poznał to spojrzenie i w jego oczach zapaliły się iskry.

– Achilles ma się dobrze – rzekłem do Agamemnona.

– Dzięki bogom za to! Teraz będę mógł spokojnie zasnąć.

Gdy on i Menelaos odeszli, wszedłem do domu z Diomedesem i klasnąłem na sługę.

– Przynieś mi lekką skórzaną zbroję i dwa sztylety – rzekłem.

– Chyba pójdę i ubiorę się podobnie – rzekł Diomedes.

– Czekaj na mnie przy grobli Simois.

– Czy tej nocy choć trochę odpoczniemy?

– Później, później!

Ubrany w miękką, czarną skórę z dwoma sztyletami przy pasie, Diomedes dołączył do mnie przy grobli Simois. Przemykaliśmy cicho, kryjąc się w cieniu, aż znaleźliśmy się po drugiej stronie mostu, gdzie rowy zbiegały się z palisadą.

– Co dalej? – wyszeptał.

– Mam ochotę poprowadzić zaprzęg nieśmiertelnych białych koni.

– To ci z pewnością poprawi wizerunek.

Rzuciłem mu podejrzliwe spojrzenie.

– Rozmawiałeś z Sinonem i Tersytesem?

– Ależ skąd! – odrzekł z niewinną miną. – Gdzie ten zaprzęg?

– Nie mam pojęcia. Gdzieś tam, w ciemnościach.

– Zatem szukamy pchły w futrze niedźwiedzia.

Ścisnąłem go za ramię.

– Cśś! Ktoś tu idzie.

W myślach poprosiłem o opiekę samą Panią Sowę. Moja ukochana Pallas Atena troszczyła się, by nie zabrakło mi szczęścia. Znikliśmy w rowie wykopanym przy grobli i czekaliśmy.

Z mroku wyłonił się jakiś człowiek. Z daleka słyhać było brzęk jego zbroi. Co za amator! Kto widział, żeby skradać się w zbroi. Nie był też na tyle sprytny, by unikać miejsc oświetlonych księżycem. Przez moment w jego promieniach ukazał się niski, otyły człowiek w kosztownej zbroi, z purpurowym piórem na hełmie. Pozwoliliśmy mu podejść bliżej, a potem nagle skoczyliśmy. Ja z prawej, Diomedes z lewej. Złapaliśmy go między siebie. Ręką zakryłem mu usta, tłumiąc krzyk. Diomedes wykręcił mu ramiona do tyłu i powaliliśmy go brutalnie na trawę. Wytrzeszczył na nas oczy. Czuliśmy, jak trzęsie się niczym meduza. Żaden z ludzi Polidamasa. Raczej jakiś kupiec.

– Kim jesteś? – warknąłem cicho, ale groźnie.

– Dolon – wydusił z siebie.

– Co tu robisz, Dolonie?

– Książę Hektor zachęcał ochotników, by dowiedzieli się w waszym obozie, co Agamemnon szykuje na jutro.

Głupi Hektor! Dlaczego nie zostawił szpiegowania profesjonalistom, takim jak Polidamas.

– Dziś wieczór przybył człowiek imieniem Rezos. Gdzie jest jego obóz? – spytałem, lekko przesuwając palcem po ostrzu swego sztyletu.

Przełknął ślinę i zadrżał.

– Nie wiem! – wymamrotał.

Diomedes przypadł do niego i odciął mu ucho. Pomachał mu nim przed oczami, podczas gdy ja kneblowałem mu usta ręką. Zrozumiał i wpadł w przerażenie.

– Mów, wężu! – wysyczałem.

Powiedział nam wszystko. A potem przetrąciliśmy mu kark.

– Spójrz tylko na te klejnoty, Odyseuszu!

– Bogacz, pewnie kupiec. Człowiek niewart uwagi Hektora. Zedrzyj z niego te ładne zabawki, stary przyjacielu, zakop je i weź sobie w drodze powrotnej. To twój udział, gdyż ja muszę zatrzymać zaprzęg.

Podrzucił w dłoni olbrzymi szmaragd.

– Mój stary zaprzęg mi wystarczy. Za to kupię pół setki bydła Heliosa i zapełnię nim równiny Argos.

Znaleźliśmy obóz Rezosa dokładnie tam, gdzie wskazał Dolon, i położyliśmy się na pobliskim pagórku, aby obmyśleć strategię.

– Głupiec! – wymamrotał Diomedes. – Dlaczego tak się odseparował?

– Mania wyższości. Ilu widzisz?

– Dwunastu, choć gdzie jest Rezos, tego ci nie powiem.

– Naliczyłem tyle samo. Najpierw wytniemy ludzi, a potem weźmiemy zaprzęg. Żadnych hałasów.

Chwyciliśmy noże między zęby i podczołgaliśmy się, on z jednej, ja z drugiej strony. W takich sprawach praktyka jest niezastąpiona. Zmarli cicho we śnie. Konie, niewyraźne białe kształty w tle, nawet się nie przestraszyły.

Nietrudno było odnaleźć Rezosa. On także był kolekcjonerem klejnotów. Drzemiąc najbliżej ogniska, cały błyszczał od nich w świetle.

– Popatrz na tę perłę! – wyszeptał Diomedes, uniósł ją i obejrzał w promieniach księżyca.

– Tysiąc sztuk bydła Heliosa – rzekłem cicho. Nigdy nie można być pewnym, czy nieoczekiwanie ktoś się nie zjawi.

Konie miały na głowach kaptury, by nie zerwały się z pęt i nie pobiegly zaspokoić pragnienia w Simois. Punkt dla nas, nie zacząć rzeć. Kiedy szukałem uzd i witałem się ze swoim nowym zaprzęgiem, Diomedes zbierał w obozie wszystko, co cenne, i ładował na muła. Wtedy skierowaliśmy się z powrotem ku grobli przez miejsce, gdzie mój argiwski przyjaciel schował zbroję Dolona.

Agamemnon nie był zadowolony, że go budzę przed świtem. Dopiero gdy opowiedziałem mu historię Rezosa i jego koni, roześmiał się.

– Odyseusz zatrzymał sobie synów skrzydlatego Pegaza, ale co z tobą, Diomedesie?

– Nie narzekam – rzekł wymijająco Diomedes, udając wielkodusznego.

Tak, to była polityczna odpowiedź. Nie warto mówić człowiekowi, który ma skrzynię wojenną do napełnienia, że w tak krótkim czasie zbiliśmy całkiem niezłą fortunę.

Opowieść o koniach Rezosa dotarła do naszych żołnierzy jeszcze przed świtem, nim zdążyli zjeść śniadanie. Byli zachwyceni i pozdrawiali mnie, gdy jechałem swoim nowym zaprzęgiem przez groblę Simois. Agamemnon puścił mnie przed sobą, żeby Troja zobaczyła łup.

Troja zobaczyła i nie było jej do śmiechu.

Bitwa była zacięta i krwawa. Agamemnon wykorzystał szansę i wbił się głębokim klinem w szyki Trojan, zmuszając ich do odwrotu. Nasi ludzie dokończyli dzieła i popędzili ich aż pod mury miasta. Tam jednak Trojanie, którzy ciągle przewyższali nas liczebnie, wzięli się w garść i szczęście się od nas odwróciło. Zaczęli padać królowie.

Pierwszy oberwał Agamemnon. Jadąc w dół szyków w naszym kierunku, przebił włócznią jakiegoś człowieka, który próbował go zatrzymać. Nie zauważył jednak drugiego, który biegł za nim. Włócznia utkwiała głęboko w udzie Agamemnona. Grot był kolczasty, rana krwawiła obficie. Nasz arcykról musiał opuścić pole.

Potem przyszła kolej na Diomedesa. Trafił Hektora oszczepem w głowę i na chwilę go ogłuszył. Z wrzaskiem ruszył naprzód, żeby go dobić. Tymczasem ja skupiony na woźnicy i koniach Hektora, zamierzałem zatrzymać wóz. Żaden z nas jednak nie zauważył postaci czającej się z tyłu, aż podniosła się z naciągniętą na łuku strzałą. Kiedy ją wypuszczał, jego białe zęby błysnęły w uśmiechu. Celował z daleka i strzala ugodziła Argiwa w stopę. Przypięty do ziemi Diomedes stał, przeklinając i potrząsając pięścią. W tym czasie Parys zniknął. A więc Troja miała swego Teukrosa.

– Pochyl się i wyciągnij ją! – zawołałem do Diomedesa, nadchodząc ze sporą liczbą swoich Itakijczyków.

Zrobił, co mu kazałem, podczas gdy ja złapałem topór jakiegoś nieboszczyka, któremu nie był już potrzebny. Normalnie nie walczyłem tą bronią, zbyt niezgrabną i ciężką, ale do obrony przed

wrogiem atakującym w kręgu była niezrównana. Czekając, aż Diomedes znajdzie się w bezpiecznym miejscu, wywijalem dziko tym strasznym przedmiotem. Wreszcie wycofał się, kulejąc. Rana była zbyt poważna, by mógł dalej walczyć.

W tym momencie mnie również się dostało. Czyjaś szczęśliwie rzucona włócznia utkwiała w mojej łydce trochę poniżej ścięgien. Moi ludzie otoczyli mnie, bym mógł ją wyjąć, ale grot był kolczasty i wyrwał spory kawał ciała. Szybko traciłem krew i potrzeba mi było czasu, aby ją zatamować paskiem zdartym z innego nieboszczyka.

Na pomoc pośpieszył nam Menelaos ze Spartanami. Gdy udało mi się do niego dotrzeć, pojawił się Ajaks. Obaj chwycili mnie pod ramiona i zaprowadzili za rydwan Menelaosa. Cudowny wojownik, ten Ajaks! Krew w nim wrzała, zadawał ciosy we wszystkie strony, z siłą, której ja nigdy nie miałem. Zmusił Trojan do odwrotu. Za nim szli ludzie z Salaminy, jak zawsze dumni ze swego wodza. Jakiś dowódca trojański posłał więcej ludzi, którzy pchani od tyłu ginęli pod toporem olbrzyma. Gdy tylko Ajaks i nasi walczący żołnierze zdołali ich powalić, pojawiali się już następni, niczym żołnierze z zębów Dragona.

Zadowolony, że Hektor zniknął, zdobyłem się na wysiłek, by zawołać o wsparcie. Najbliżej był Eurypylos, który nadchodząc, został ugodzony w ramię strzałą Parysa. Drugi był Machaon i spotkał go ten sam los. Parys. Co za glista. Nie marnował strzał na szeregowych żołnierzy. Czatował w bezpiecznym miejscu i wygodnie czekał na znakomitości. Tym różnił się od Teukrosa, który strzelał do wszystkich.

W końcu jakoś udało mi się przedostać na tyły. Znalazłem Podalierosa, który opatrywał Agamemnona. Diomedes, niepokieszony, czekał na swoją kolejkę. Przerażeni, dostrzegli teraz zbliżających się Machaona, Eurypylosa i mnie.

– Koniecznie musisz walczyć, bracie? – spytał Podalieros przez zęby, kładąc Machaona na ziemi.

– Zajmij się najpierw Odyseuszem – wysapał Machaon. Jego ramię, w którym tkwił kawałek strzały, nadal krwawiło.

Zatem Podalieros najpierw opatrzył moją ranę, potem podszedł do Eurypylosa. Zdecydował, że lepiej przepchnąć strzałę, niż próbować ją wyciągać. W ten sposób ramię będzie mniej poszarpane.

– Gdzie Teukros? – spytałem, opadając na ziemię obok Diomedesa.

– Chwilę temu odwołałem go z pola – rzekł Machaon, nadal czekając na swoją kolej. – Cios, który zadał mu wczoraj Hektor, spowodował obrzęk rozmiarów kamienia, którym oberwał. Musiałem nakłuć opuchliznę i odprowadzić płyn. Ramię było zupełnie sparaliżowane, ale teraz znowu może nim ruszać.

– Nasze szeregi topnieją – rzekłem.

– Zastraszająco szybko – rzekł Agamemnon ponuro. – Żołnierze już to wyczuwają. Zauważyłeś to?

– Tak – odparłem, wstając i sprawdzając nogę. – Sugeruję, abyśmy wycofali się do obozu, zanim w szeregach wybuchnie panika. Myślę, że wkrótce wojsko znajdzie się na plaży.

Odwrót, choć byłem za niego odpowiedzialny, odebrałem jako cios. Wielu królów było rannych i nie mogli pilnować porządku wśród ludzi. Ze znaczących dowódców zostali jedynie Ajaks, Menelaos i Idomeneusz. Jeden odcinek naszej linii załamał się. Panika rozprzestrzeniła się ze zdumiewającą szybkością. Wkrótce cała armia pokazała tyły i uciekała do obozu. Na ten widok Hektor wrzasnął tak głośno, że słyhać go było aż na wałach, gdzie stałem. Trojanie rzucili się za nami w pogoń jak zgłodniałe psy. Nasi ludzie przechodzili jeszcze przez groblę Simois, gdy zostali dopadnięci. Agamemnon z białą twarzą wydał rozkaz. Zamknięto bramę, nim ostatni – ci najwspanialsii! – mogli dostać się do środka. Zatkalem uszy i zamknąłem oczy. To twoja wina, Odyseuszu! Wszystko twoja wina.

Było za wcześnie, żeby przerwać walkę. Hektor z pewnością spróbuje jeszcze dziś forsować wały. Wtoczywszy się bezładnie do obozu, nasze wojska potrzebowały trochę czasu, żeby zebrać się i podjąć nowe zadanie – obronę fortyfikacji. Niewolnicy pobiegli po kotły z wrzącą wodą do wylewania na głowy atakujących. Baliśmy się użyć oleju, żeby nie spłonęła palisada. Na szczycie wałów znajdowały się sterty kamieni, zebrane tam na wszelki wypadek kilka lat temu.

Trojanie zatrzymali się przed rowem. Dowódcy jeździli na rydwanach tam i z powrotem, nakłaniając ludzi, by ustawiali się w szyki. Hektor poruszał się na złotym rydwanie z woźnicą Kebrionesem przy cuglach. Po paru dniach zaciętej walki nadal stał prosto i pewnie. Miał powody. Oparłem brodę na dłoniach. Nasi ludzie zaczęli wypełniać przestrzeń na wałach. Wszyscy pragnęli odgadnąć, w jaki sposób Hektor zamierza zaatakować. Poświęci wielu ludzi? Czy może znajdzie coś lepszego niż zwykły, agresywny napór?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

OPOWIEŚĆ HEKTORA

Zapędziłem ich do własnych fortyfikacji jak owce. Zwycięstwo leżało w zasięgu mej ręki. Ja, który żyłem w murach od dnia swych narodzin, najlepiej wiedziałem, jak je atakować. Żadne wały, z wyjątkiem murów Troi, nie były niezniszczalne. Wreszcie nadeszła moja chwila. Cieszyłem się z odwrotu Agamemnona i ślubowałem, że zmuszę tego dumnego człowieka do rozpaczki, która owładnęła nami, gdy jego tysiąc statków wyłoniło się zza Tenedos. Widziałem ich głowy nad wałami, jadąc z Polidamasem w rydwanie. Kebriones zniknął, żeby znaleźć wodę dla koni. Dobry człowiek.

– Co o tym myślisz? – spytałem Polidamasa.

– No cóż, to nie są mury Troi, ale mają parę chytrych pułapek. Sprytne są te dwie groble, tak bardzo od siebie oddalone. Podobnie jak rów i palisada. Czy widzisz w nich jakąś usterkę?

– Owszem. Przestrzeń między wałami a rowem jest za szeroka – odparłem. – Wykorzystamy ich groble, ale nie po to, żeby zaatakować bramy. Przejdziemy po nich nad palisadą i rowem, a potem puścimy ludzi wzdłuż wałów. Niełatwo tu znaleźć kamieniolomy, zatem nie licząc wież strażniczych i podpór, musieli zbudować je z drewna.

Polidamas pokiwał głową.

– Zgoda, myślę tak samo, Hektorze. Czy mogę posłać do Troi po podpałkę?

– Natychmiast. Sprowadź wszystko, co się pali, nawet zwykły tłuszcz kuchenny. Gdy będziesz się tym zajmował, ja zwołam dowódców – rzekłem.

Kiedy przyszedł Parys – jak zwykle ostatni – przekazałem grupie, co zamierzam zrobić.

– Dwie trzecie moich wojsk przejdzie przez groble od strony Simois, jedna trzecia – od strony Skamandra. Mam zamiar podzielić żołnierzy na pięć regimentów. Ja z Polidamasem poprowadzę pierwszy. Parysie, ty weźmiesz drugi. Helenosie, ty z Deifobosem – trzeci. My trzej pójdziemy tędy, od Simois. Eneaszu, ty weźmiesz czwarty regiment i przejdiesz od Skamandra. Sarpedon z Glaukosem także pójdą z tamtej strony.

Helenos promieniał, ponieważ dałem mu dowództwo nad Deifobosem, który nie mógł się zdecydować, czy bardziej się złościć z tego powodu, czy może dlatego, że samodzielne dowództwo dostał Parys. Eneaszu też nie był za szczęśliwy, że został zakwalifikowany z Glaukosem i Sarpedonem jako obcy.

– Kiedy ludzie przejdą groble, niech skrecają i zaczną iść ku sobie, od Simonis do Skamandra, i odwrotnie, aż wypełnią całą przestrzeń między fosą a wałami. W tym czasie pomocnicy niech rozbierają palisadę i robią z niej drabiny i ogniska. Naszym najlepszym narzędziem będzie ogień. Ogień zniszczy wały. Zatem podstawowym zadaniem jest rozpalić ogniska i nie pozwolić im zgasnąć.

Wśród wszystkich dowódców prawdziwym cierniem w boku był mój kuzyn Azjos, ponieważ nigdy nie słuchał rozkazów.

– Hektorze – rzekł za głośno – czyżbyś nie zamierzał użyć koni?

– Nie – odparłem bez wahania. – Jaki tu z nich pożytek? Ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, są rydwany i konie na zamkniętej przestrzeni.

– A co z atakiem na bramy?

– Zbyt łatwo je obronić, Azjosie.

Sarknął.

– Bzdury! Dalej, pokażę ci!

I zanim zdążyłem go powstrzymać, pobiegł do swoich ludzi, krzycząc, by wsiadali na wozy. Pędząc na ich czele, skierował się na groblę przy Simois. Była dość szeroka, ale zaprzęg z trzech koni też nie jest wąski. Zwierzęta znajdujące się po bokach wywracały dziko oczami, widząc z obu stron sterczące ostrza palisady. Ich panika udzieliła się środkowemu zwierzęciu. W następnej chwili cała trójka rżała i stawała dęba. Reszta wozów została z tyłu w całkowitym nieładzie. Gdy woźnica Azjosa usiłował zapanować nad końmi, brama na przeciwnym końcu grobli uchyliła się. W szczelinie ukazali się dwaj ludzie, za nimi cała kompania. Z ich stroju wynikało, że to Lapitowie. Wzdrygnąłem się. Już po Azjosie. Jeden z dowódców rzucił włócznią, która przebiła pierś mego pyszałkowego kuzyna. Spadł z rydwanu prosto na ostrza sterczące z fosy. Podobny los spotkał jego woźnicę. Lapitowie weszli na groblę i schowali się za rydwan. Czekali na kolejnych, którzy się pokażą. Nie mogłem im w żaden sposób pomóc. Lapitowie wybili wszystkich i cofnęli się za bramę Simois, którą od razu zamknięto.

Drogę, którą mieli przejść moi ludzie, trzeba było teraz uprzętnąć z ciał zabitych. Jednakże przed Eneaszem, Sarpedonem i Glaukosem był długi marsz do grobli przy Skamandrze. Z zadowoleniem stwierdziłem, że nie napotkają tam żadnych obrońców. W tym miejscu obozował Achilles, który wymówił służbę Agamemnonowi. Głupia dziewczyna była dla niego ważniejsza od rodaków. Co za hańba.

Moi ludzie przelewali się przez groblę, kierując się wzdłuż wałów, witani przez obrońców burzą dzid, strzał i kamieni. Te pociski jednak nie robiły im szkody. Trzymając tarcze nad głowami, maszerowali szybko ku Skamandrowi. To samo, tylko w odwrotnym kierunku, robiły oddziały sojuszników. Pomocnicy już rozbierali drewnianą palisadę, dłuższe kawałki przerabiali na drabiny, a krótsze cięli na podpałkę. Z Troi zaczęła napływać oliwa, smoła

i olej kuchenny. Wydałem ludziom rozkaz zbudowania konstrukcji, na których będą mogli położyć swe tarcze jako dach i w ten sposób walczyć pod osłoną.

Zapalono ogniska. Obserwowałem, jak dym zaczyna płynąć ku przerażonym twarzom na górze wałów. W dół popłynęła woda, jednak moje szałasosy osłaniały ogień aż do chwili, gdy był już zbyt wielki, by go ugasić. Czarny dym powstały z zalewania płonącej oliwy uznałem za kolejną korzyść dla nas.

Próbowaliśmy wspinać się po drabinach, ale Grecy nie pozwalali na to. Wzdłuż odcinka, gdzie stałem, rycząc groźnie i spychając drabiny swoją nogą, panoszył się Ajaks. Nasz wysiłek nie przynosił efektów. Zarządziłem przerwę.

– Trzeba najpierw zająć się ogniskami – powiedziałem do Sarpedona, którego ludzie spotkali się z moimi.

Ogniska na naszym odcinku, rozpalone najpierw, teraz płonęły dziko. Łucznicy licyjscy nie pozwalali, by na górze zza parapetów mogła wychylić się jakaś głowa. Pozostali Licyjczycy i moi Trojanie podsycali ogień oliwą.

– Pozwól mi iść na wały – rzucił Sarpedon.

Między ogniskami, pod osłoną dymu, ustawiano drabiny. Wróg ich nie ruszał, gdyż łucznicy Sarpedona zalewali obrońców potokiem strzał. Nagle wydało mi się, że widzę trojańskie pióro na szczycie wałów. Podjęto walkę. Słyszałem słabo, jak jakiś kapitan grecki wołał o wsparcie, ale nie przypuszczałem, że zjawi się Ajaks i jego ludzie z Salaminy. W jednej chwili wielkie zwycięstwo zmieniło się w klęskę. Pod nasze stopy zaczęły spadać ciała. Okrzyki wojenne Licyjczyków zmieniły się w jęki. Za tarczą brata krył się Teukros. Kierował swoje strzały nie na wojowników na szczycie, ale na nas, w dole.

Usłyszałem czyjś zduszony jęk, a po chwili osunęło się na mnie ciało. Glaukos. Położyłem go na ziemi. Strzała trafiła go w ramię.

Weszła zbyt głęboko. Spojrzałem na Sarpedona i potrzęsnałem głową. Z ust Glaukosa toczyła się różowa piana, znak rychłego zgonu.

Byli sobie bliscy jak bliźnięta, razem rządzili i kochali się nawzajem od lat. Śmierć jednego z pewnością oznaczała śmierć drugiego.

Sarpedon wydał krótki okrzyk bólu, potem chwycił końską derkę, osłonił nią twarz i ramiona i ruszył przed siebie w płomienie. Z bosaka zwisała lina przeoczona przez obrońców, zajętych spychaniem Licyjczyków z parapetu. Sarpedon uchwycił się jej i zaczął wspinać z niezwykłą siłą, której dodawał mu ból po śmierci Glaukosa. Drewno jęczało i trzeszczało, czarne kloce zaczęły się łamać i rozszczepiać. Nagle runął na nas duży odcinek muru, gniotąc pod sobą Trojan i grzebiąc Greków, którzy stali na jego szczycie. W jednej chwili środek moich szyków zmienił się w krwawą miazgę. Przez otwór dostrzegłem wysokie kamienne domy i baraki, za nimi szeregi statków i szare wody Hellespontu. Po chwili widok ten zasłoniła mi postać Sarpedona. Odrzucił koc, podniósł miecz i tarczę i żądnym krwią, uszedł do obozu Greków.

Grecy załamali się pod naszym naporem. Coraz więcej naszych ludzi przepływało przez otwór. Grecy w końcu uformowali się i stanęli przed nami. Był tam Ajaks, który zachęcał do walki, jednak w takim tłoku żaden z nas nie mógł liczyć na pojedynek. Szyki nie przesuwały się w żadną stronę ani o kawałek. Idomeneusz i Meriones przyprowadzili swych Kreteńczyków. Padł mój brat Alkathoos. Otarłem łzy z oczu i przekląłem swoją słabość, choć było w niej więcej furii niż smutku. Walczyłem za to jeszcze lepiej.

Twarze pojawiały się i znikaly – Eneasze, Idomeneusz, Meriones, Menestenes, Ajaks, Sarpedon. Pośród Licyjczyków i Dardan było teraz dużo Trojan. Spojrzałem za siebie i stwierdziłem, że otwór jest teraz o wiele większy. Tylko purpurowe pióra nie pozwalały nam zabijać się nawzajem, tak wielki był tłok, a ziemia tak zawzięcie

wydzierana. Ludzie ginęli dzielnie, ale niepotrzebnie. Moje obcasy ślizgały się po ciałach. Miejscami ścisk był tak duży, że trupy nie przewracały się. I tak stercząc, buchały krwią z otwartych ran. Moje ramiona i pierś spryskane były krwią innych ludzi. Ociekałem nią.

U mego boku pojawił się Polidamas.

– Hektorze, potrzebują cię. Przełamujemy się na plażę, ale Grecy są nadal silni. Do Simois, najszybciej jak możesz!

Wycofywałem się powoli, nie chcąc budzić paniki u tych, którzy zostawali. W końcu mogłem się wyślizgnąć i znalazłem drogę wzdłuż greckiego muru. Mijając swoich ludzi, pozdrawiałem ich i dodawałem ducha. Przypominałem, że ostateczne zwycięstwo nastąpi, gdy spalimy statki i nie zostawimy wrogowi nadziei na ucieczkę.

Ktoś podłożył mi nogę. Prawie rozstałby się za to ze swoją głową, gdybym przed zadaniem ciosu nie spostrzegł, kto tam siedzi i chichocze.

– Uważaj, jak chodzisz – powiedział Parys.

Spojrzałem na niego oszołomiony.

– Parysie, ciągle mnie zadziwiasz. Ludzie giną, a ty siedzisz sobie bezpieczny i zdrowy. W dodatku masz ochotę na żarty i podkładasz mi nogę.

Moje słowa nie zrobiły na nim wrażenia.

– No cóż, jeśli myślisz, że cię przeproszę, Hektorze, to najpierw pomyśl! Czy to nie dzięki mnie jesteś tutaj? Kto wyłapuje jedną po drugiej wszystkie znakomitości greckie swoimi strzałami, co? Kto zmusił Diomedesa, by opuścił pole, co?

Chwyciłem go za jego długie loki i postawiłem na nogi.

– Zatem wyłap jeszcze kogoś – warknąłem. – Może Ajaksa, co?

Parys, rzuciwszy mi obrażone spojrzenie, wyślizgnął się,

zostawiając mnie samego. Zauważyłem, że część naszych szyków, która znalazła się w kłopotcie, jest atakowana przez Ajaksa i jego Salaminian.

Bitwa teraz przeniosła się w inne miejsce. Walczyliśmy wśród domów. Trudne i niebezpieczne zadanie. Każdy budynek krył czatujących za nim Greków. Ci jednak, którzy byli na polu, cofali się ciągle ku plaży i statkom. Ajaks usłyszał mój wojenny okrzyk i odpowiedział swym słynnym „Aj! Aj! Biada! Biada!” Przepychaliśmy się przez stosy ciał, by zbliżyć się do siebie. Wycelowałem włócznią. Wtedy on, gdy już prawie go miałem, nagle się pochylił i chwycił obiema rękami kloc, który służył za podpórkę statku. Moja włócznia stała się bezużyteczna. Odrzuciłem ją i wyciągnąłem miecz, licząc ze względu na swoją szybkość, że dopadnę go pierwszy. On jednak, nie celując, z całej siły rzucił kamień. Poczułem rozdzierający ból w piersi, a potem upadłem.

Z dudniącej ciemności wyłoniłem się w świetle strasznego bólu. Poczułem w ustach smak krwi i wymiotowałem. Otworzyłem oczy i zobaczyłem na ziemi obok siebie czarną krew. A potem znowu straciłem przytomność. Drugi raz, kiedy odzyskałem świadomość, ból nie był już tak straszny. Klęczał przy mnie jeden z chirurgów. Zdobyłem się na wysiłek, by usiąść. Pomógł mi.

– Masz stłuczone kilka żeber i kilka zmiażdżonych żył, książę Hektorze, ale nic poważniejszego – rzekł.

– Bogowie są dziś z nami! – wysapałem, wspierając się na nim, kiedy pomagał mi wstać na nogi.

Im więcej się ruszałem, tym mniej bolało. Nie ustawałem więc. Jacyś moi ludzie przenieśli mnie przez groblę Simois i położyli obok mojego rydwanu. Kebriones uśmiechał się do mnie.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz, Hektorze.

– Zawieź mnie z powrotem – rzekłem, wchodząc na wóz.

Droga minęła dobrze, gdyż nie musiałem chodzić. Na końcu jednak był ścisk i musiałem wysiąść. Myśląc, że nie żyję, ludzie zaczęli się cofać. Zobaczywszy mnie zdrowego, wzięli się w garść i wrócili do walki. To musiał być dla Greków gorzki cios. Załamali się i uciekli między domy. Wreszcie jakiś nie znany mi dowódca zatrzymał ich przed burtą samotnego statku, stojącego na czele nie kończącego się rzędu okrętów. Powaliliśmy Greków na kolana. Tylko Ajaks, Meriones i Kreteńczycy nas odpierali.

Dziób samotnego statku majaczył nad moją głową. Zwycięstwo było w zasięgu ręki. Nagle na mojej drodze stanął Ajaks i uniósł miecz – mój miecz! – dany mu w podarunku. Pchnąłem, a on odparował cios zgrabnie. Wznowiliśmy pojedynek. Tym razem jednak żadne oko nas nie obserwowało, wokół walczono z równą zaciętością.

- Czyj to statek? – wydyszałem.
- Należał... do... Protesilaosa – wysapał.
- Spalę... go!
- Najpierw... sam... spłoniesz...

Coraz więcej Greków broniło okrętu, który najwyraźniej był ich talizmanem. Nagły napływ ludzi rozdzielił mnie i Ajaksa. Teraz przy mnie byli ludzie ze Straży Królewskiej, a Grecy stojący przed nami nie pochodzili z Salaminy. Napieraliśmy, wet za wet. Ajaks znowu zamajaczył mi przed oczami, tym razem jednak nie próbował mnie zatrzymać. Podciągnął się kilkoma ruchami i znalazł na pokładzie statku Protesilaosa, szybko i zwinnie jak akrobata. Tam chwycił długi drąg i powolnym ruchem zaczął nim zataczać koła, strącając moich ludzi z pokładu w chwili, gdy tam docierali.

Kiedy ostatni Grek przede mną padł martwy, wdrapałem się na ramiona jakiegoś Trojanina i podciągnąłem, chwyciwszy się za dziób statku Protesilaosa. Stąd na pokład był jeden skok. Przede mną, ciągle niezwyknięty, stał, kołysząc się na nogach, Ajaks.

Przyjrzeliliśmy się sobie nawzajem. Obaj odczuwaliśmy zmęczenie po długiej walce. Potrząsając wolno olbrzymią głową, jakby nie dowierzał, że istnieję, zakręcił swym dragiem. Uniosłem miecz i ostrze przecięło drag na pół. Nagła strata równowagi prawie go przewróciła. Wyprostował się, szukając miecza. Rzuciłem się naprzód pewien, że go mam, ale on znowu pokazał mi, jak wielkim jest wojownikiem. Zamiast ruszyć mi na spotkanie, pobiegł na rufę. Napiął mięśnie i przeskoczył ze statku Protesilaosa na inny, stojący tuż za nim, pośrodku pierwszego rzędu.

Nie ścigałem go dalej. Jakaś częśćka we mnie kochała tego człowieka, tak jak on z pewnością kochał mnie. Wzajemna sympatia rosła. Przyjaciele czy wrogowie? Wiedziałem, że bogowie nie chcą, by jeden z nas zginął z ręki drugiego. Wymieniliśmy przecież podarunki.

Przechyliłem się nad poręczą i spojrzałem w dół na morze purpurowych piór.

– Dajcie mi pochodnię!

Ktoś rzucił. Złapałem ją i podszedłem do pustego masztu wśród lin. Pozwoliłem, by ogień lizał zwoje lin i ogarnął suche drewno. Z drugiego statku obserwował mnie Ajaks. Zwiesił bezsilnie ramiona, łzy ciekły mu po policzkach. Płomienie rosły, maszt płonął aż po saling. Pokład zaczął przepuszczać smugi dymu od innych pochodni wrzucanych przez otwory do wiosł. Pobiegłem z powrotem na dziób.

– Zwycięstwo! – zawołałem. – Okręty płoną!

Moi ludzie podjęli okrzyk, nie mogąc się doczekać walki z Grekami, którzy tłoczyli się przed okrętami, formując szyki za samotnym talizmanem Protesilaosa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

OPOWIEŚĆ ACHILLESA

Większość czasu spędzałem na dachu najwyższego baraku Myrmidonów. Z tej wysokości obserwowałem przez wały równinę. Widziałem, jak wojsko załamało się i zaczęło uciekać. Widziałem, jak Sarpedon zrobił wyłom w naszych umocnieniach. Widziałem, jak ludzie Hektora dostali się między nasze domy. Ale nic więcej. Co innego zgodzić się na plan Odyseusza, a co innego patrzeć, jak jest wykonywany. To było ponad moje siły. Wycofałem się do domu.

Przed drzwiami na ławce siedział Patrokles z mokrą od łez twarzą. Zobaczywszy mnie, odwrócił się tyłem.

– Idź i poszukaj Nestora – rzuciłem. – Widziałem, jak chwilę temu sprowadzał Machaona. Zapytaj, jakie są wieści od Agamemnona.

Było to bezcelowe działanie, gdyż dobrze wiedziałem, jakie te wieści będą. Ale przynajmniej nie musiałem patrzeć na Patroklesa ani słuchać, jak błaga, bym zmienił zdanie. Hałas walki szalejącej po drugiej stronie palisady tutaj był trochę mniejszy, gdyż najbardziej atakowany był kraniec obozu od strony Simois. Usiadłem na ławce i czekałem, aż wróci Patrokles.

– Co powiedział Nestor?

Jego twarz wykrzywiała pogarda.

– Nasza sprawa jest przegrana. Po dziesięciu długich latach wysiłku i bólu, nasza sprawa... jest... przegrana! I to tylko twoja wina! Z Nestorem i Machaonem był Eurypylos. Co chwila ktoś jest ranny. Hektor walczy jak w amoku. Nawet Ajaks nie ma sił, by

powstrzymać jego napór. Okręty spłoną.

Nabrał powietrza.

– Gdybyś nie pokłócił się z Agamemnonem, nic takiego by się nie stało! Poświęciłeś Grecję, aby nakarmić swoją namiętność dla zwykłej dziewczyny!

– Patroklesie, dlaczego mi nie wierzysz? – spytałem. – Dlaczego odwróciłeś się ode mnie? Czy to zazdrość o Bryzejdę?

– Nie. To rozczarowanie, Achillesie. Nie jesteś tym człowiekiem, za jakiego cię uważałem. Tu nie chodzi o miłość. Tu chodzi o dumę.

Nie odpowiedziałem, gdyż nagle rozległ się wielki krzyk. Obaj pobiegliśmy do palisady i weszliśmy po stopniach, aby zobaczyć, co się za nią dzieje. W niebo bił słup dymu. Płonął okręt Protesilaosa. Wszystko, co się miało stać, wypełniło się. Mogłem ruszać. Jak jednak powiedzieć Patroklesowi, że to on, a nie ja, musi poprowadzić lud Tesalii? Myrmidonów? Kiedy zeszedliśmy, Patrokles upadł na kolana w kurz.

– Achillesie, okręty spłoną! Jeśli ty nie chcesz, pozwól, bym ja poprowadził żołnierzy! Na pewno widziałeś, jak męczą się, siedząc tutaj, gdy cała Grecja ginie! Chcesz tronu Myken? Czy o to chodzi? Chcesz tam wrócić i podbić bezbronną ziemię?

Twarz mi się ściągnęła, ale odparłem spokojnie.

– Nie mam planów wobec tronu Agamemnona.

– Zatem pozwól mi poprowadzić ludzi! Pozwól, bym dotarł do okrętów, zanim Hektor je spali!

Zmusiłem się, by sztywno pokiwać głową.

– Dobrze zatem, weź ich. Rozumiem cię, Patroklesie. Obejmij dowództwo.

Gdy wypowiadałem te słowa, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Podniosłem Patroklesa na nogi.

– Pod jednym warunkiem. Włożysz moją zbroję, by Trojanie myśleli, że to Achilles nadciąga.

– Sam ją włoż i chodź z nami!

– Tego nie mogę – odparłem.

Zabrałem go do zbrojowni i ubrałem w złotą zbroję, którą dał mi ojciec ze skrzyni króla Minosa. Była dla niego o wiele za duża, ale postarałem się, by pasowała, mocniej ją ściągając. Przednia i tylna część pancerza zachodziły na siebie. Hełm wyścieliłem w środku. Nagolenniki dosięgały ud, co dawało mu więcej ochrony niż normalnie. Tak, mógł uchodzić za Achillesa, pod warunkiem że ktoś nie podejdzie za blisko. A jeśli Odyseusz uzna, że złamałem przysięgę? Albo Agamemnon? No cóż, jeśli tak, to trudno. Zrobiłem, co mogłem. Nie mogłem dopuścić, by najdroższemu przyjacielowi – mojemu kochankowi – coś się stało.

Zabrzmiały rogi. Myrmidoni i Tesalczyccy zebrali się tak szybko, że było oczywiste, iż od dawna byli przygotowani do boju. Poszedłem z Patroklesem na miejsce zbiórki, podczas gdy Automedon zaprzęgał mój rydwan. Nie będzie z niego pożytku w obozie, ale przynajmniej wszyscy zobaczą, że przybywa Achilles. W złotej zbroi, którą rzadko nosiłem, wszyscy rozpoznają Achillesa.

Czy to możliwe? Moi ludzie pozdrawiali mnie ogłuszającym krzykiem. Patrzyli na mnie z tą samą miłością, którą okazywali mi zawsze. Czy to możliwe, skoro nawet Patrokles odwrócił się ode mnie? Osłoniłem oczy i spojrzałem na słońce. Stwierdziłem, że wisi nisko nad horyzontem. Wkrótce koniec dnia. To dobrze. Oszustwo nie zdąży się wydać. Patroklesowi nic się nie stanie.

Automedon był gotów. Patrokles wszedł na rydwan.

– Najdroższy kuzynie – powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu – zadowol się wyprowadzeniem Hektora z obozu. Jeśli ci się to uda, pod żadnym pozorem nie wychodź za nim na równinę. Czy to jasne?

– Doskonale – odrzekł, strącając swoją dłoń.

Automedon cmoknął i zaprzęg ruszył ku bramie do głównego obozu, podczas gdy ja wszedłem na dach baraku, by obserwować bitwę.

Walka toczyła się teraz przed pierwszym szeregiem statków. Hektor zdawał się niepokonany. Sytuacja ta zmieni się w jednej chwili, kiedy piętnaście tysięcy wypoczętych żołnierzy spadnie na Trojan od strony Skamandra, prowadzonych przez postać w złotej zbroi na złotym rydwanie, ciągniętym przez białe konie.

– Achilles! Achilles!

Słyszałem, jak obie strony krzyczały moje imię. Ogarnęło mnie wrażenie tyle dziwne, ile niewygodne. W chwili, gdy trojańscy żołnierze zobaczyli postać na rydwanie i usłyszeli imię, zmienili się ze zwycięzców w pokonanych. Uciekali. Moi Myrmidoni byli żądni krwi i zawzięcie spadli na walczących. Wycinali ich bezlitośnie, podczas gdy „ja” wydawałem swój wojenny okrzyk i zachęcałem do walki.

Wojsko Hektora płynęło przez groblę Simois na równinę. Nigdy więcej, przyrzekałem sobie, trojańska stopa nie stanie w naszym obozie. Żaden najbardziej chytry podstęp Odyseusza już mnie nie przekona. Stwierdziłem, że płaczę – i wiedziałam nad kim – nad sobą, Patroklesem i wszystkimi poległymi żołnierzami greckimi. Odyseuszowi udało się oszukać Hektora, ale cena była upiorna. Mogłem jedynie modlić się o to, by Hektor stracił przynajmniej tyle samo ludzi.

Aj, aj! Patrokles ścigał Trojan. Wyjechał na równinę. Kiedy to zobaczyłem, poczułem, jak serce we mnie zamiera. Wewnątrz obozu ścisk nie pozwolił nikomu podejść do niego za blisko i oszustwo nie wyszło na jaw, ale na równinie... Och, tam wszystko było możliwe! Hektor sformuje się, poza tym Eneasz nadal jest w boju. Eneasz mnie zna. Mnie, a nie moją zbroję.

Nagle lepiej było nie wiedzieć. Zszedłem z dachu i usiadłem na ławce przed drzwiami domu, czekając, aż ktoś przyjdzie. Słońce właśnie zachodziło. Za chwilę ustaną działania wojenne. Tak, nic mu nie będzie. Przeżyje. Musi przeżyć.

Rozległy się kroki. To najmłodszy syn Nestora, Antilochos. Płakał i załamywał ręce. Próbowałem przemówić i stwierdziłem, że język przykleił mi się do podniebienia. Musiałem się wysilić, żeby sformułować pytanie.

– Czy Patrokles nie żyje?

Antilochos płakał głośno.

– Achillesie, jego biedne nagie ciało leży tam, wśród Trojan. Hektor nałożył twoją zbroję i przechwala się nią na naszych oczach! Myrmidoni są załamani, ale nie dopuszczają Hektora do ciała, choć on krzyczy, że jego ciałem nakarmi psy Troi.

Wstałem, ale kolana ugięły się pode mną. Upadłem w ten sam kurz, w którym klęczał niedawno Patrokles, by mnie przebłagać. To nieprawda, nieprawda! A jednak stało się. Wiedziałem, że tak musi się stać. Przez chwilę poczułem moc mojej matki w sobie i usłyszałem chłopot morskich fal. Po raz kolejny z nienawiścią wykrzyknąłem jej imię.

Antilochos położył moją głowę sobie na kolanach, jego ciepłe łzy spadały na moje nagie ramię, palcami pocierał mój kark.

– On nie rozumiał – mamrotałem. – Nie chciał zrozumieć. O tym nie pomyślałem. On jeden ze wszystkich ludzi myślał, że opuściłem swoich. Przecież oni mają moją przysięgę. Umarł, uważając mnie za dumniejszego od Zeusa. Umarł, gardząc mną. A teraz nie będę mógł mu tego wyjaśnić. Odyseuszu! Odyseuszu!

Antilochos przestał płakać.

– Co Odyseusz ma z tym wspólnego?

Opanowałem się, potrząsnąłem głową i stanąłem na nogi.

Razem poszliśmy ku bramie w palisadzie.

– Sądziłeś, że mogę się zabić? – spytałem.

– Przez moment.

– Kto to zrobił? Hektor?

– Hektor ma jego zbroję, ale dokładnie nie wiadomo, kto go zabił. Kiedy Trojanie zawrócili i ustawili się przed nami na równinie, Patrokles wysiadł z rydwanu. Potem się potknął.

– To zbroja go zabiła. Była za duża – stwierdziłem otepiały.

– Nie wiadomo. Atakowało go trzech ludzi. Hektor zadał ostatni cios, ale on mógł już wtedy nie żyć. Nie zginął bezkrwawo. Zabił Sarpedona. Kiedy Eneasz przybył na pomoc, rozpoznał uzurpatora. Trojanie wściekli się z powodu tej sztuczki. Plotka rozeszła się i natychmiast wzięli się w garść. Wtedy Patrokles zabił Kebrionesa, woźnicę Hektora. Zaraz potem zszedł z wozu i potknął się. Spadli na niego jak szakale, zanim zdążył wstać – nie miał szansy się obronić. Hektor zdarł z niego zbroję, ale nie zdążył wziąć ciała, bo nadeszli Myrmidoni. Ajaks i Menelaos ciągle walczą, by go bezpiecznie tu przynieść.

– Muszę im pomóc.

– Achillesie, to bez sensu! Słońce zachodzi. Zanim tam dotrzesz, będzie po wszystkim.

– Muszę pomóc!

– Zostaw to Ajaksowi i Menelaosowi. – Położył rękę na moim ramieniu. – Muszę prosić cię o wybaczenie.

– Dlaczego?

– – Zważyłem w ciebie. Powinienem wiedzieć, że to sprawka Odyseusza.

Przekląłem swój język.

– Nawet wpływ czaru nie zwalniał mnie z przysięgi Antilochosie, nie wolno ci o tym nikomu mówić, słyszysz?

– Tak – odparł.

Weszliśmy na dach baraku i patrzyliśmy na równinę, która była wypełniona ludźmi. Łatwo odszukałem Ajaksa i zauważyłem, że kieruje oddziałami Tesalian, podczas gdy Menelaos i ktoś drugi, chyba Meriones wynosili z pola bitwy, wysoko na ramionach, nagie ciało na tarczy. Przynieśli Patroklesa do obozu. Psy trojańskie nie nakarmią się nim.

– Patroklesie! – krzychałem. – Patroklesie!

Ktoś mnie usłyszał, spojrział w moim kierunku i wskazał. Krzychałem jego imię bez ustanku. Cały zastęp stał, milcząc. Potem róg swoim długim, ostrym wołaniem obwieścił zapadnięcie nocy. Hektor, błyskając moją złotą zbroją w ostatnich promieniach słońca, zawracał, prowadząc swe wojsko ku Troi.

Położyli Patroklesa na prowizorycznym katafalku, pośrodku głównego miejsca zbiórek, przed domem Agamemnona. Menelaos i Meriones, pokryci brudem i krwią, byli tak wyczerpani, że z trudem trzymali się na nogach. Wtedy dotarł Ajaks. Kiedy wypadł mu hełm z bezwładnej ręki, nie miał siły się pochylić, by go podnieść. Zatem ja to zrobiłem, dałem go Antilochosowi i wziąłem swego kuzyna w ramiona, by tak go podtrzymać, nie odbierając mu honoru. Byłem mu wdzięczny za to, co zrobił.

Królowie zbierali się w kręgu i patrzyli na martwego Patroklesa. Jego rany były pchnięciami nieczemników, jedna poniżej ramienia, gdzie była szczelina pancerza, druga w plecy i trzecia w brzuch. Włócznia zanurzyła się tak głęboko, że wypadły mu jelita. Wiedziałem, że ten cios należał do Hektora. Po oględzinach uznałem, że zabił go ten, kto zadał cios w plecy.

Jedna ręka zwisała z katafalku. Chwyciłem ją i ułożyłem wzdłuż ciała.

– Achillesie, chodźmy stąd – rzekł Automedon.

– Nie, moje miejsce jest tutaj. Zajmij się Ajaksem. I poślij po kobiety, aby umyły Patroklesa i ubrały go w całun. Zostanie tutaj, dopóki nie zabiję Hektora. Przysięgam, że złożę ciało Hektora i dwunastu młodych, szlachetnie urodzonych Trojan u jego stóp. Ich krew będzie zapłatą dla Strażnika Rzeki, kiedy Patrokles poprosi o przewóz.

Niedługo potem przyszły kobiety, aby umyć Patroklesa. Uczesały mu włosy, zamknęły rany balsamami i pachnącymi maściami. Zmyły gąbką czerwone ślady wokół oczu. Za jedno byłem wdzięczny, że jego powieki były już zamknięte, kiedy go przyniesiono.

Przez całą noc czuwałem przy nim, trzymając go za rękę. Przepęlniała mnie rozpacz, że jego ostatnie wspomnienie o ukochanym było wypełnione nienawiścią. Teraz już dwa cienie pragnęły mojej krwi: Ifigenia i Patrokles.

Wraz ze wschodzącym słońcem przyszedł Odyseusz, przyniósł dwa kielichy rozcieńczonego wina i talerz jęczmiennego chleba.

– Jedz i pij, Achillesie.

– Nie, dopóki nie wypełnię swego ślubu wobec Patroklesa.

– On ani nie wie, ani nie interesuje się tym, co robisz. Jeśli ślubowałeś zabić Hektora, będziesz do tego potrzebował wszystkich swych sił.

– Wytrzymam. – Zamrugalem oczami, dopiero w tej chwili uświadamiając sobie, że w obozie nie ma oznak żadnej aktywności. – Co się dzieje? Dlaczego wszyscy jeszcze śpią?

– Hektor także miał wczoraj ciężki dzień. O świcie przybył z Troi herold i prosił o dzień rozejmu, by opłakać i pochować zmarłych. Bitwa nie zostanie podjęta aż do jutra.

– Doskonale! – warknąłem. – Jeśli Hektor wróci do miasta,

nigdy z niego nie wyjdzie.

– Mylisz się – rzekł Odyseusz z błyszczącymi oczami. – Hektor myśli, że już nas ma. Priam uwierzył, że nie weźmiesz udziału w wojnie. Podstęp z Patroklosem zadziałał. Hektor i jego wojsko są nadal na równinie, nie w Troi.

– Zatem jutro go zabiję.

– Jutro. – Popatrzył na mnie uważnie. – Agamemnon zwołał radę. Ma się odbyć dziś w południe. Żołnierze są zbyt zmęczeni, by przejmować się twoimi sprawami z Agamemnonem. Zatem przyjdiesz?

Zacisnąłem palce na zimnej ręce.

– Tak.

Agamemnon zajął moje miejsce, gdy poszedłem na radę ubrany w skórzany kilt i pokryty kurzem. Usiadłem obok Nestora, patrząc na niego z niemym pytaniem w oczach. Był z nami Antilochos. Był też Meriones.

– Antilochos odgadł wszystko. Podobno wczoraj nieopatrznie powiedziałeś coś przy nim – wyszeptał starzec. – Meriones domyślił się, słysząc, jak Idomeneusz przeklina podczas bitwy. Postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jak dopuścimy ich do spisku i zwiążemy przysięgą.

– A Ajaks? Czy i on się domyślił?

– Nie.

Agamemnon był zmartwiony.

– Nasze straty są przerażające – rzekł ponuro. – O ile mogłem się dowiedzieć, odkąd przystąpiliśmy do bitwy z Hektorem, straciliśmy piętnaście tysięcy ludzi. Są martwi bądź ranni.

Nestor potrząsnął swoją białą głową, jego siwa gładka broda spadała mu na rękę.

– Przeróżające to słabe określenie! Gdybyśmy mieli Heraklesa, Tezeusza, Peleusa i Telamona, Tydeusza, Atreusza i Kadmosa! Powiadam wam, ludzie dziś nie są tacy jak dawniej. Z Myrmidonami czy bez, Herakles i Tezeusz roznieśli by wszystko, co by napotkali.

Otarł oczy swymi żylastymi palcami. Biedny starzec. Stracił dwóch synów na polu.

Tym razem Odyseusz się rozżłościł. Skoczył na równe nogi.

– Mówiłem wam! – powiedział gwałtownie. – Mówiłem wam wyraźnie, że będziemy musieli ponieść straty, zanim ujrzymy sukces! Nestorze, Agamemnonie, dlaczego narzekacie? Nasze straty to piętnaście tysięcy, a Hektora – dwadzieścia jeden! Przestańcie wreszcie fantazjować! Nikt z tych legendarnych bohaterów nie dokonał tego, co udało się Ajaksowi – czego dokonali wszyscy tu obecni! Tak, Trojanie dobrze walczą! Czy spodziewaliście się czegoś innego? To Hektor trzyma ich w garści. Jeśli Hektor zginie, duch w nich osłabnie. A gdzie ich wsparcie? Gdzie Pentesilea? Gdzie Memnon? Hektor nie ma wypoczętych żołnierzy, aby ich jutro wprowadzić na pole, podczas gdy my mamy prawie piętnaście tysięcy Tesalian, a wśród nich siedem tysięcy Myrmidonów. Jutro pokonamy Trojan. Może nie uda nam się dostać do miasta, ale jego lud ogarnie rozpacz. Jutro Hektor stanie na polu i Achilles dostanie swoją szansę. – Spojrzał na mnie spokojnie. – Stawiam na ciebie, Achillesie.

– Nie wątpię – rzekł złośliwie Antilochos. – Dobrze przejrzałem twój plan, może dlatego, że nie poznałem go od ciebie, tylko z drugiej ręki, od ojca.

Odyseusz nagle stał się czujny, zmrużył oczy.

– Założeniem twojego planu – ciągnął Antiloch – było to, żeby Patrokles zginął. Dlaczego tak silnie podkreślałeś, żeby Achilles trzymał się z dala od walki, nawet gdy Myrmidoni do niej przystępują? Chodziło o to, żeby Priam utwierdził się w przekonaniu,

że Achilles nie zmieni zdania. A może o to, żeby Hektor doznał obrazy, że nie spotkał się z sobie równym, lecz gorszym, Patroklesem? W chwili gdy Patrokles objął dowództwo, już nie żył. Hektor miał go dopaść, to pewne. I Hektor go dopadł. Patrokles zginął. Tak jak zakładałeś, Odyseuszu.

Wstałem. Moja gruba czaszka pękała od słów Antilocha. Ręce powędrowały ku Odyseuszowi. Pragnąłem skrócić mu kark. Lecz po chwili zrezygnowałem. Usiadłem ciężko na krzesło. To nie był pomysł Odyseusza, by ubrać Patroklesa w moją zbroję. To był mój pomysł. Kto mógł przewidzieć, że Patrokles nie zaniecha walki i wyjedzie w pole? Czy mogłem za to winić Odyseusza? Wina była moja.

– Masz rację i mylisz się jednocześnie, Antilochu – rzekł Odyseusz, udając, jakbym w ogóle się nie poruszył. – Skąd mogłem wiedzieć, że Patrokles zginie? Los człowieka w walce nie leży w naszych rękach. Jest w rękach bogów. Dlaczego się potknął? Może to jeden z boskich sprzymierzeńców Trojan podstawił mu nogę? Jestem zwykłym śmiertelnikiem, Antilochu. Nie potrafię przewidywać przyszłości.

Wstał Agamemnon.

– Chciałbym przypomnieć wam wszystkim, że złożyliście przysięgę, by trzymać się planu Odyseusza. Achilles wiedział, co robi, kiedy się na to godził. Podobnie jak ja. Nikt nas do niego nie zmuszał, nie zwodził ani nie oszukiwał. Postanowiliśmy wykonać plan Odyseusza, ponieważ nie mieliśmy lepszej alternatywy. Czyżbyście zapomnieli, jak złościł nas widok Hektora siedzącego bezpiecznie za murami Troi? Zapomnieliście, że Troją rządzi Priam, a nie Hektor? Wszystko to zostało wymyślone, by poradzić sobie raczej z Priamem niż Hektorem. Zналиśmy cenę. Zgodziliśmy się ją zapłacić. Nic więcej nie ma do dodania.

Spojrzał na mnie surowo.

– Weź się w garść i bądź gotów do walki o świcie. Jutro zwołam publiczne zebranie i przed naszymi oficerami zwrócę ci Bryzejdę, Achillesie. Przysięgnę także, że się z nią nie widziałem. Czy to jasne?

Jakże staro wyglądał, jak bardzo był zmęczony. Włosy, które dziesięć lat temu ledwo były przyprószone siwizną, teraz wśród czerni miały szerokie białe wstęgi. Białe pasy szły w dół po obu stronach brody. Moje ręce nadal drżały. Wstałem ciężko i wróciłem do Patroklesa.

Usiadłem w kurzu przed katafalkiem i wziąłem jego sztywną rękę z dłoni Automedona. Popołudnie minęło jak kapiąca woda, kropla po kropli, do studni czasu. Mój żal odpływał, ale nie poczucie winy. Żal to coś naturalnego. Winę sobie narzucamy. Przyszłość leczy żal, ale tylko śmierć może zmazać winę. O tych właśnie sprawach rozmyślałem.

Słońce, różowe, lekko płynne, zachodziło za przeciwległym brzegiem Hellespontu. Do tego czasu nikt mnie nie niepokoił. Wraz z zapadającym zmrokiem zjawiał się Odyseusz. Jego twarz była zamazana przez cienie. Miał zapadnięte oczy, ręce zwisały bezsilnie wzdłuż boków. Z wielkim westchnieniem opadł obok mnie w kurz. Przysiadł na piętach i położył dłonie na kolanach. Przez dłuższą chwilę nie rozmawialiśmy. Jego włosy płonęły w ostatnich promieniach słońca, profil otaczała bursztynowa czystość na tle zmierzchu. Pomyślałem, że wygląda niczym bóg.

– Jaką zbroję jutro założysz, Achillesie?

– Brązową ze złotymi ozdobami.

– Bardzo dobra, ale mogę dać ci lepszą. – Odwrócił ku mnie głowę i spojrzał poważnie. – Co o mnie myślisz? Chciałeś skrócić mi kark po tym, co chłopak powiedział na naradzie. Ale potem zmieniłeś zdanie.

– Myślę to, co zawsze. Tylko przyszłe pokolenia będą zdolne osądzić, kim jesteś, Odyseuszu. Nie należysz do naszych czasów.

Pochylił głowę, bawił się piaskiem.

– Przeze mnie straciłeś piękną zbroję. Hektor będzie ją nosił w nadziei, że w ten sposób cię przyćmi. Ale ja mam inną zbroję. Też złotą. Będzie na ciebie pasować. Należała do Minosa. Przyjmiesz ją?

Spojrzałem na niego zaciekawiony.

– Jak ona do ciebie trafiła?

Kreślił na piasku jakieś znaki. Nad jednym narysował dom, nad drugim konia, a nad trzecim człowieka.

– To lista towarów. Nestor ułożył symbole dla każdego towaru. – Nachmurzył się i zmazał to, co naszkicował. – Te symbole nie wystarczają. Potrzeba nam czegoś więcej, czegoś, co wyrazi idee, myśli nie mające kształtów, skrzydła wewnątrz umysłu... Czy słyszałeś plotki, które roznoszą o mnie ludzie? Że nie jestem prawdziwym synem Laertesza? Że spłodził mnie z jego żoną, a moja matka, Syzyf?

– Tak, słyszałem.

– To prawda, Achillesie. I dobrze! Gdyby to Laertes był moim ojcem, Grecja byłaby o wiele uboższa. Nie przyznaję się otwarcie do tego ojcostwa, ponieważ moi baronowie przepędziliby mnie z Itaki. Ale to tylko dygresja. Chcę, żebyś wiedział, że ta zbroja została zdobyta nieuczciwie. Syzyf ukradł ją Deukalionowi z Krety i dał ją mej matce na dowód swej miłości. Czy będziesz nosił coś, co zostało zdobyte nieuczciwie?

– Z przyjemnością.

– Zatem przyniosę ją o świcie. Jeszcze jedno.

– Co takiego?

– Nie mów, że ci ją dałem. Powiedz, że to dar od bogów. Że twoja matka uprosiła Hefajstosa, by ją wykuł w nocy w swych wiecznych paleniskach. Że chciała, byś przystąpił do walki, jak

przystało na syna bogini.

– Dobrze, jeśli tak sobie życzysz.

Opadłszy na kolana przy katafalku, spałem trochę niespokojnym, pełnym koszmarów snem. Odyseusz obudził mnie, zanim zaczęło świtać, i zabrał do swego domu, gdzie na stole leżał wielki, owinięty w płótna toból. Odwijałem go z radością, wyobrażając sobie, że będzie to dobry, wykonany po mistrzowsku pancerz – złoty, na pewno, ale zupełnie nie przypominający tego, który nosił teraz Hektor. Ojciec i ja zawsze uważaliśmy, że nasza zbroja jest najlepsza z wszystkich, które posiadał Minos.

Lecz pancerz, który dał mi Odyseusz, był niedościgły. Postukałem w jego nieskazitelne złoto i stwierdziłem, że wydaje głuchy, silny dźwięk zupełnie niepodobny do tego, który wydaje kilka warstw. Dziwne. Odwróciłem niezwykle ciężką tarczę i zobaczyłem, że nie została wykonana z wielu warstw. Miała tylko dwie – zewnętrzną złotą i wewnętrzną z ciemnego szarego materiału, który nie błyszczał w świetle lamp.

Słyszałem o nim, ale nigdy wcześniej go nie widziałem, nie licząc mojej dzidy. Stary Pelion miał z niego grot. Ludzie nazywali to hartowanym żelazem. Nigdy jednak nie sądziłem, że występuje ono w ilości wystarczającej do wykonania pełnej zbroi tego rozmiaru. Każda część była zrobiona z tego samego metalu i każda pokryta złotem.

– Wykonał ją Dedal trzysta lat temu – rzekł Odyseusz. – Był jedynym człowiekiem w historii, który potrafił hartować żelazo. Topił w tyglu rudę z piaskiem. Wychodził z tego metal twardszy od brązu. Zbierał kawałki rudy, aż miał ich tyle, by odlać ten komplet. Potem na wierzchu oklepał go złotem. Jeśli włócznia przetnie powierzchnię, złoto można wyrównać, widzisz? Kształty zostały odlane w żelazie, a nie w złocie.

– Należała do Minosa?

– Tak, tego samego Minosa, który ze swym bratem Radamantyssem i twoim dziadem Ajakosem siedzi w Hadesie, aby sądzić zmarłych, gdy zbierają się na brzegu Acheronu.

– Nie wiem, jak ci dziękować. Kiedy moje dni się skończą i stanę przed tymi sędziami, zabierz tę zbroję z powrotem i daj swemu synowi.

Odyseusz roześmiał się.

– Telemachowi? Nie, ona na niego nie będzie pasować. To twój syn powinien ją dostać.

– Będą chcieli mnie w niej pochować. Dopilnuj, by dali ją Neoptolemosowi. Pochowaj mnie w szacie.

– Jak sobie życzysz, Achillesie.

Automedon pomagał mi ubierać się do walki, podczas gdy kobiety z mojego domu, stojąc pod ścianą, szeptały modły i odczyniały uroki, by ochronić mnie przed złem i napełnić zbroję mocą. Przy każdym ruchu błyszczałem równie jasno jak sam Helios.

Agamemnon przemówił przed zgromadzonymi dowódcami, którzy stali z drewnianymi twarzami. Potem przysłała kolej na mnie. Przyjąłem królewskie przeprosiny, po czym Nestor przyprowadził Bryzejdę. Po Chryzejdzie nie było śladu, ale jak sądziłem, nie wysłano jej do Troi. Po wszystkim rozproszyliśmy się, by coś zjeść: strata cennego czasu.

Bryzejda szła obok mnie z uniesioną głową i w milczeniu. Wyglądała na chorą i zmartwioną, bardziej niespokojną niż wtedy, gdy wychodziła ze mną z płonących ruin Lyrnessos. Za palisadą Myrmidonów minęliśmy katafalk Patroklesa. Przeniesiono go tu z powodu zwołanego zgromadzenia. Wzdrygnęła się.

– Chodźmy stąd, Bryzejdo.

– Walczył zamiast ciebie?

– Tak. Hektor go zabił.

Szukając śladów czułości, zajrzałem jej w twarz. Uśmiechnęła się, zobaczyłem czystą miłość.

– Najdroższy Achillesie, jesteś taki zmęczony! Wiem, ile on dla ciebie znaczył, ale za bardzo się martwisz.

– Umarł, gardząc mną. Odrzucił naszą przyjaźń.

– Zatem nie znał cię tak naprawdę.

– Tobie też nie mogę niczego wyjaśnić.

– Nie musisz. Wszystko, co robisz, Achillesie, jest słuszne.

Przemaszerowaliśmy przez groblę i sformowaliśmy się na równinie, skąpani w blasku słońca. Powietrze było łagodne. Wiała delikatna bryza niczym pieszczota nie uprzedzonej wełny. Ustawiali się przed nami, szereg za szeregiem. Nie mogliśmy się doczekać. Podniecenie jak pięść ścisnęło mnie za gardło. Kłykcie zaciśnięte na zniszczonym, ciemnym drzewcu Starego Peliona były białe. Dałem Patroklesowi swoją zbroję, ale nie Stary Pelion.

Nagle z prawego skrzydła zajechał z łomotem Hektor na rydwanie ciągniętym przez trzy czarne ogiery. Chwiał się lekko od wstrząsów wozu. Moja zbroja pasowała na niego wspaniale. Zauważyłem, że do złotych piór na hełmie dodał szkarłatne. Stał naprzeciw mnie. Patrzyliśmy na siebie chciwie. Wyzwanie było wyraźne. Odyseusz wygrał zakład. Tylko jeden z nas mógł opuścić pole żywy, obaj o tym wiedzieliśmy.

Zapadło niezwykle milczenie. Żaden żołnierz nie wydał głosu, żaden koń nie zarżał ani tarcza nie zabrzęczała. Staliśmy, czekając, aż zabrzmiały rogi i bębny, dając sygnał do rozpoczęcia bitwy. Stwierdziłem, że ta nowa zbroja jest bardzo ciężka. Będę potrzebował trochę czasu, żeby się do niej przyzwyczaić, poznać, jak najlepiej się w niej poruszać. Hektor będzie musiał poczekać.

Bębny grzmiały, rogi ryczały, a Córka Losu podrzucała swoje

nożyce na pasku nagiej ziemi między Hektorem a mną. W chwili gdy wydałem wojenny okrzyk, Automedon popędził mój zaprzęg naprzód. Nim zdążyliśmy się spotkać, Hektor gwałtownie skręcił w bok i ruszył wzdłuż swych linii. Zablokowany przez masę piechoty wiedziałem, że nawet gdybym chciał, nie mam szans go dogonić. Moja włócznia wznosiła się i opadała, ociekając krwią Trojan. Nie czułem niczego. Ogarnął mnie szal zabijania. Nie liczył się nawet mój ślub wobec Patroklesa.

Usłyszałem znajomy okrzyk wojenny i zobaczyłem inny rydwan przebijający się przez tłok. Eneasza zadawał ciosy zimno, opanowując swój temperament, zgrabnie unikając moich ludzi. Wydałem okrzyk Myrmidonów. Usłyszał mnie, pozdrowił i od razu skoczył do pojedynku. Jego pierwszy cios przyjąłem na tarczę, wibracja przeniknęła mnie do rdzenia, ale magiczny metal zupełnie zniszczył jego lancę. Upadła na ziemię ze zniekształconym ostrzem. Stary Pelion pofrunął pięknym łukiem nad głowami ludzi walczących między nami, wysoko i celnie. Eneasza zobaczył, jak koniec zmierza do jego gardła, szarpnął tarczą i przechylił się na bok. Moja ukochana dzida przeszła czysto przez skórę i metal tuż nad jego głową, przebiła tarczę i przypięła pod nią Eneasza. Wyciągnąłem miecz i przepychałem się wśród swoich ludzi, zamierzając dosięgnąć go, zanim zdąży się uwolnić. Jego Dardanie cofali się pod naszym atakiem. Na mojej twarzy pojawił się już uśmiech tryumfu, gdy nagle poczułem napór fali. Przygnębiające, irytujące zjawisko, które zdarza się co jakiś czas, kiedy napiera olbrzymia ciżba. Jakby nagle potężna fala na morzu zebrała się z drobnych zmarszczek, zalewając szyki od końca do końca. Ludzie padali na siebie jak rzędy przewracających się cegieł.

Prawie ścięty z nóg, unoszony niczym wrak na fali żywych ludzi, zawyłem z rozpacz. Straciłem Eneasza. Kiedy wreszcie udało mi się uwolnić, on zdążył uciec, a ja znalazłem się o sto kroków dalej. Zwołując Myrmidonów do ponownego sformowania się, cofałem się na swoją pozycję. Kiedy tam dotarłem, znalazłem Stary

Pelion, nie uszkodzony, ciągle przyszpilający jego tarczę do ziemi. Wyciągnąłem włócznię, a tarczę rzuciłem pomocnikowi noszącemu moje bagaże.

Wkrótce potem wycofałem Automedona z rydwanem na tyły, oddając Stary Pelion jego opiece. Tu mógł sprawdzić się tylko topór. Ach, co to za broń w takim tłoku! Myrmidoni trzymali się mnie i byli niepokonani. Bez względu jednak na to, jak dzika była walka, nie przestawałem ciągle szukać Hektora. Dostrzegłem go w chwili, gdy zabiłem człowieka noszącego insygnia syna Priama. Stał nieopodal, krzywiąc twarz na los, jaki spotkał jego brata. Nasze oczy spotkały się. Pole przestało istnieć. W jego ponurym wzroku wyczytałem gwałtowną satysfakcję. Zbliżaliśmy się coraz bardziej, powalając swoich wrogów z jedną tylko myślą: spotkać się, zbliżyć się na odległość ciosu. Wtedy napłynęła kolejna fala. Coś zgmiotło mi bok i prawie straciłem ziemię pod nogami. Ponownie wyniosło mnie na tyły. Ludzie padali i byli rozdeptywani na miazgę. Płakałem, bo znowu straciłem z widoku Hektora. Mój żal zmienił się w gniew i szaleńczą chęć mordy.

Krwawe szaleństwo osiągnęło swój szczyt. Przed nami była już tylko garstka purpurowych piór. Pod stopami zaczęła prześwitywać zielona, zdeptana trawa. Trojanie znikali. Uporałem się z maruderami. Cofali się w sposób zorganizowany, ich dowódcy wsiedli znowu na rydwany. Agamemnon pozwolił im się oddalić, zadowolony, że ma czas na ponowne sformowanie szyków. Mój rydwan wyrósł jakby znikąd, wszedłem na niego i stanąłem obok Automedona.

– Znajdź Agamemnona – wydyszałem, opuszczając tarczę na podłogę z westchnieniem ulgi. Cudowna osłona, ale bardzo ciężka.

Zebraли się wszyscy dowódcy. Podjechałem między Diomedesa a Idomeneusza. Smakując zwycięstwo, Agamemnon był znowu królem królów. Kawalek płótna obwiązany wokół jego rany na przedramieniu z wolna nasiąkał czerwienią kapiącą na ziemię. On

jednak zdawał się tego nie zauważać.

– Są w pełnym odwrocie – mówił Odyseusz. – Jednak nie ma oznak, by chcieli wycofać się do miasta, przynajmniej na razie. Hektor myśli, że nadal ma szansę wygrać. Nie musimy się śpieszyć. – Zerknął na Agamemnona. Spojrzenie to mówiło, że właśnie przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł. – Panie, a może zrobilibyśmy to, co robiliśmy przez dziewięć lat? Podzielmy naszą armię na połowy i spróbujmy wbić klin w ich szranki. O jedną trzecią mili stąd ku miastu Skamander zatacza dużą pętlę. Hektor już tam się kieruje. Może uda nam się zmusić ich, by na wysokości pętli rozciągnęli się. Wtedy moglibyśmy użyć Drugiej Armii, aby połowę wojsk zepchnęła do pętli, podczas gdy reszta drugą połowę zagnałaby pod Troję. Z tymi, którzy uciekną do Troi, niewiele zdziałamy, ale być może uda nam się wyciąć ludzi zamkniętych w ramionach Skamandra.

To był bardzo dobry plan i Agamemnon nie sprzeciwiał się, żeby go zrealizować.

– Zgoda. Achilles i Ajaks, bierzcie oddziały Drugiej Armii. Rozprawcie się z Trojanami, których uda wam się złapać w pułapkę Skamandra.

Spojrzałem buńczucznie.

– Pod warunkiem, że dopilnujecie, by Hektor nie uciekł do miasta.

– Zgoda – odparł natychmiast Agamemnon.

Wpadali w pułapkę jak ryby w sieć. Zrównaliśmy się z Trojanami, kiedy właśnie znaleźli się na wysokości zakola rzeki. Tam Agamemnon poprowadził swoją piechotę prosto przez środek ich szeregów. Nie było szans, by kontynuowali uporządkowany odwrót, zmuszeni walczyć z tak ogromną masą ludzi. Ajaks i ja skierowaliśmy swoje oddziały na lewo. Trojanie uciekający w tę stronę wkrótce uświadomili sobie, że bieżą w ślepa uliczkę. Wtedy

skoczyliśmy za nimi, odcinając jedyną drogę ucieczki. Zorganizowałem piechotę i poprowadziłem ich w pętlę. Po mojej prawej ręce Ajaks wrzeszczał do swych ludzi, by robili to samo. Trojanie wpadli w panikę. Kręcili się bezładnie, wciąż się cofając, aż ich tylne szeregi stanęły nad brzegiem rzeki. Napór ludzi wycofujących się przed nami spychał stojących na brzegu do wody. Żołnierze niczym bezradne owce zaczęli spadać z urwiska do brudnej rzeki.

Resztę wykonał za nas stary bóg Skamander. Topił ich setkami, podczas gdy ja z Ajaksem cieliśmy ich od przodu, głusi na prośby o łaskę. Ze swego rydwanu dostrzegłem, że rzeka była czystsza i silniejsza niż zwykle. Skamander znajdował się w pełnym przyplywie. Ci, którzy na brzegu tracili grunt pod nogami, obciążeni zbroją, przegrywali w walce z prądem. Dlaczego jednak Skamander tak wezbrał? Przecież ostatnio nie padało. Znalazłem chwilę, by spojrzeć na górę Idę. Niebo nad nią kłębiło się od burzowych chmur. U podnóża Idy, za Troją, wisiała nieprzenikniona ściana deszczu tnącego niczym ostrze siekiery.

Dałem Stary Pelion Automedonowi i zsiadłem z wozu z toporem w rękę. Zostawiłem również tarczę, gdyż za bardzo mi ciążyła. Będę musiał obyc się bez niej. Nie było już Patroklesa, który by bronił mych tyłów. Ale zanim rzuciłem się w wir walki, wezwałem jednego z pomocników noszących bagaż. Byłem winien Patroklesowi dwunastu młodzieńców trojańskich. Łatwo było ich zbierać podczas odwrotu. Znowu ogarnęła mnie ta okropna, bezrozumna żądza krwi. Nie miałem dość Trojan, by ją zaspokoić. Brzeg rzeki nie zatrzymał mnie, rzuciłem się do wody w pościgu za kilkoma przerażonymi ludźmi. Ciężka żelazna zbroja niczym kotwica nie pozwoliła, by porwał mnie prąd. Ciąłem, a wody Skamandra stawały się coraz bardziej czerwone.

Jeden z Trojan próbował nawiązać ze mną pojedynek. Nazwał siebie Asteropajosem, wysoko urodzony Trojańczyk, miał na sobie

zbroję z brązu. Stał na brzegu rzeki, podczas gdy ja po pas w wodzie. Miałem jedynie topór, a on pęk włóczni. Nigdy jednak Achilles nie był bardziej sprytny! Kiedy przeciwnik przygotowywał się, by cisnąć pierwszą włócznię, chwyciłem topór za koniec rączki i rzuciłem nim niczym sztyletem. Topór kręcił się w powietrzu, błyszcząc w słońcu. Potem trafił go w pierś i utknał głęboko w ciele. W jednej chwili Asteropajos nie żył. Pochylił się do przodu i twarzą w dół wpadł do wody jak kamień.

Zamierzając wyjąć topór, odwróciłem go twarzą do góry. Ostrze zatopiło się po trzonek, a strzaskany brąz napierśnika unieruchomił moją broń. Byłem tak zajęty, że prawie nie zauważyłem głuchego pomruku w uszach ani nie poczułem, że woda skacze jak świeżo wypuszczony ogier. Nagle sięgnęła mi po pachy. Asteropajos podskakiwał na falach lekko jak kawałek kory. Chwyciłem go za ramię i przyciągnąłem do siebie w szyderym uścisku. Użyłem całego ciała, by go unieruchomić, z wszystkich sił próbując wyciągnąć topór. Ryk zmienił się teraz w potężny grzmot i musiałem zмагаć się, żeby nie stracić gruntu pod nogami. Wreszcie uwolniłem topór. Przywiązałem trzonek do nadgarstka, bojąc się, że go zgubię. Bóg Rzeki ryczał na mnie gniewnie. Wydawało się, że wolał, by brudził go jego własny lud odpadkami niż ja ich krwią.

Ściana wody zwała się na mnie niczym lawina. Nawet Ajaks czy Herakles nie wytrzymałoby takiego naporu. Tam! Zwisająca gałąź wiązu. Podskoczyłem. Palce trafiły na liście, trzeba było sięgnąć wyżej, żeby trafić na solidny konar. Gałąź ugięła się pode mną i wpadłem z powrotem w nurt.

Przez chwilę ściana wody przewalała się nade mną niczym wodniste ramię zrodzone przez boga. Trzasnęło mnie w głowę z całą furją, jaką zdołało w sobie zebrać. Nabrałem powietrza, zanim świat wokół zniknął. Siła znacznie większa od mojej szarpnęła mną i pociągnęła na dno. Pierś pękała mi z wysiłku. Obie ręce wyciągnąłem ku gałęzi wiązu. Pomyślałem o słońcu i niebie

i zapłakałem w sercu nad gorzką ironią losu, że w końcu pokona mnie rzeka. Zbyt wiele sił zużyłem na opłakiwanie Patroklesa i zabijanie Trojan, a moja żelazna zbroja była teraz śmiertelną pułapką.

Modliłem się do driad mieszkających na wiązie, ale niepokonana woda nie przestała przetaczać się nad moją głową. Nareszcie jakaś driada czy inne bóstwo usłyszało mnie. Udało mi się wystawić głowę na powierzchnię. Szaleńczo nabrałem powietrza i strząsając Skamander z oczu, rozpaczliwie rozejrzałem się wokół. Brzeg, który przed chwilą był na wyciągnięcie ręki, zniknął. Poprawiłem uchwyt na gałęzi wiazu, ale driada opuściła mnie. Ostatni wał ziemi odpłynął i teraz potężne korzenie drzewa sterczały odsłonięte i nagie. Moje ciało wraz z żelaznym pancerzem stanowiło potężny ciężar. Masa liści i gałęzi nachylała się stopniowo, aż wiąz ugiął się ku wodzie i bez jęku żalu zanurzył w ryczącej powodzi.

Trzymałem się gałęzi, zastanawiając się, czy Skamander będzie dość silny, by unieść wszystko z prądem. Jednak wiąz nadal stał na miejscu. Jego korona w wodzie utworzyła tamę, która zatrzymywała wszystko, co przesuwało się ku naszemu obozowi i palisadzie Myrmidonów. Na gałęziach zatrzymywały się ciała zakute w brąz ze szkarłatnymi gardłami. Purpurowe pióra mieszały się z zielenią liści, pływające ręce były białe i odpychająco bezużyteczne.

Puściłem gałąź i zacząłem brnąć do brzegu. Poziom wody opadł, gdy zerwał się wał brzegowy. Rzeka nadal nie była wystarczająco płytka. Co chwila rwący potop wsysał moje stopy w muliste dno. Co chwila moja głowa znajdowała się pod wodą. Ciągłe jednak udawało mi się wydostawać na powierzchnię i z każdym krokiem zbliżałem się do celu. Już prawie złapałem się trawiastego brzegu, gdy nagle oderwał się od rozmokłego gruntu. Zrozpaczony zjeżdżałem w dół. Walczyłem, by nie stracić równowagi. Ziemia z rozmywającego się brzegu Skamandra przeciekała czarnymi smużkami między moimi palcami. W ostatniej nadziei

wzniosłem ręce do nieba, modląc się do Pana Wszystkiego.

– Ojcze, Ojcze, pozwól mi żyć, dopóki nie zabiję Hektora!

Usłyszał mnie. Odpowiedział. Jego groźna głowa wychyliła się nagle z bezbrzeżnej dali niebios. Przez kilka chwil kochał mnie wystarczająco, by wybaczyć mi grzech i pychę. Może przypomniał sobie, że jestem wnukiem jego syna Ajakosa. Poczułem jego obecność w swoim ciele i wydało mi się, że widzę, jak cień jego monstrualnej ręki kładzie się czarno na rzece. Skamander uznał swą niższość wobec Mocy, która rządzi bogami i ludźmi. W jednej chwili miałem umrzeć, w następnej – woda chlupała niegroźnie wokół moich kostek. Musiałem uskoczyć w bok, gdyż wielki wiaz runął wreszcie w błoto.

Zniosło przeciwległy wyższy brzeg. Skamander rozproszył swoją moc płytką warstwą po równinie – srebrne błogosławieństwo, które zlakniona gleba pochłonęła jednym haustem.

Wydostałem się z koryta rzeki i usiadłem wyczerpany na mokrej trawie. Nade mną stał rydwan Febusa, był trochę poniżej zenitu. Walczyliśmy przez pół jego drogi po nieboskłonie. Zastanawiając się, gdzie jest reszta wojsk, wracałem do rzeczywistości. Poczułem wstyd, że zupełnie zapomniałem o swoich ludziach. Czy kiedyś się nauczę? A może żądza krwi we mnie jest częścią szaleństwa, które z pewnością odziedziczyłem po matce?

Rozległy się wołania. Maszerowali ku mnie Myrmidoni, podczas gdy Ajaks w oddali formował szyki. Wszędzie pełno było Greków, lecz żadnego Trojanina. Wszedłem na rydwan, uśmiechając się do Automedona.

– Zabierz mnie do Ajaksa, stary przyjacielu.

Ajaks stał z włócznią w masywnej ręce, patrząc pogodnie. Zszedłem z rydwanu. Nadal ściekała ze mnie woda.

– Co ci się stało? – spytał.

– Odbylem zapasy z bogiem Skamandrem.

– No cóż, wygrałeś, a on pokonany.

– Ilu Trojan przeżyło naszą zasadzkę?

– Niewielu – rzekł pogodnie. – W zakolu udało się nam zabić piętnaście tysięcy. Być może tyle samo wróciło do Hektora. Wykonałeś dobrą robotę, Achillesie. Jest w tobie żądza krwi, której moja nie może dorównać.

– Wolałbym raczej twoją miłość niż swoją żądzę.

– Czas wracać do Agamemnona – odpowiedział, nie rozumiejąc.

– Sprowadziłem dziś swój wóz.

Jechałem obok niego na tym jego, hm... wozie. Fura byłaby lepszym określeniem, ponieważ miał cztery koła. W moim rydwanie podróżował Teukros z Automedonem.

– Coś mi mówi, że Priam nakazał otwarcie Bramy Skajskiej – rzekłem, wskazując na mury.

Ajaks wydał pomruk niezadowolenia. Kiedy się zbliżyliśmy, okazało się, że miałem rację. Brama Skajska stała otworem, a wojsko Hektora płynęło do środka przed nosem Agamemnonowi, zablokowanemu tłumem Trojan tłoczących się w wejściu. Obnażając zęby, spojrzałem z ukosa na Ajaksa.

– Niech ich Hades! Hektor nam umknie! – warknął.

– Hektor należy do mnie, Ajaksie. Ty miałeś już swoją szansę.

– Wiem o tym, kuzynku.

Wtoczyliśmy się w środek wojsk Agamemnona, chcąc go poszukać. Stał jak zwykle z Odyseuszem i Nestorem. Nachmurzony.

– Zamykają bramę – rzekł.

– Hektor spakował ich tak ciasno, że nie ma nadziei, by zawrócili – ani szansy ich zaatakować. Większość jest już w środku.

Wybrano dwa oddziały rozmyślnie, by zostały. Diomedes robi z nimi porządek – rzekł Agamemnon.

– A co z Hektorem?

– Myślę, że uciekł do środka. Nikt go nie widział.

– Kundel! Wiedział, że go chcę!

Nadchodzili pozostali: Idomeneusz, Menelaos, Menestenes i Machaon. Razem obserwowaliśmy, jak Diomedes kończy z tymi, którzy zgodzili się zostać na zewnątrz – mądrzy ludzie, ponieważ kiedy poczuli, że są bez wyjścia, poddali się. Urzeczony ich odwagą i zdyscyplinowaniem Diomedes wziął ich do niewoli. Dołączył do nas rozradowany.

– Piętnaście tysięcy zginęło w Skamandrze – rzekł Ajaks.

– Podczas gdy my nie straciliśmy nawet tysiąca – rzekł Odyseusz.

Od strony odpoczywających za nami żołnierzy doszedł pomruk zdumienia, a ze szczytu wieży obserwacyjnej krzyk tak straszego cierpienia, że śmiech zamarł nam na ustach.

– Popatrzcie – wskazał Nestor kościstym palcem.

Odwróciliśmy się wolno. Pod bramą, oparty o brązowe guzy, stał Hektor z dwoma włóczniami w ręce. Tarcza była oparta o bramę. Miał na sobie moją złotą zbroję z obcym purpurowym piórem na hełmie, a na zbroi błyszczał ametystami purpurowy pas, który dał mu Ajaks. Nigdy nie widziałem się w tym pancerzu. Teraz zobaczyłem, jak wspaniale wyglądał człowiek, który go nosił, jak dobrze był dopasowany. W chwili, gdy cofnąłem się, by przyjrzeć się Patroklesowi, powinienem wiedzieć, że nieuchronnie skazuję go na los, który go spotkał.

Hektor chwycił tarczę i zrobił kilka kroków do przodu.

– Achillesie! – zawołał. – Zostałem, żeby z tobą walczyć.

Spojrzałem na Ajaksa, który skinał głową. Wziąłem tarczę i Stary Pelion od Automedona, równocześnie oddając mu topór. Hektor nie był człowiekiem, którego można by znieważać toporem.

Gardło ścisnęła mi drżąca radość. Wystąpiłem z szeregu królów i szedłem mu naprzeciw odmierzoną krokiem, jak człowiek idący na ofiarę. Nie uniosłem włóczni, on też tego nie zrobił. Zatrzymaliśmy się o trzy kroki od siebie. Obaj chcieliśmy poznać, jakim człowiekiem jest ten drugi, my, którzy nie widzieliśmy się nigdy bliżej niż na odległość rzutu włócznią. Przed pojedynkiem musieliśmy porozmawiać. Podeszliśmy tak blisko, że mogliśmy się dotknąć. Zajrzałem w głęboką czerń jego oczu i poznałem, że był to człowiek podobny do mnie. Z wyjątkiem jednego, Achillesie – jego duch był nieskażony. To wojownik doskonały.

Kochałem go o wiele bardziej niż siebie, bardziej niż Patroklesa, Bryzejdę czy mojego ojca, ponieważ był mną, tylko w innym ciele. Hektor – zwiastun śmierci. Miałem umrzeć, bez względu na to, czy on zada mi śmiertelny cios, czy otrzymam go kilka dni później od kogoś innego. Jeden z nas musiał umrzeć w tym pojedynku, a drugi wkrótce potem, ponieważ tak postanowiono kiedyś, gdy spleciono razem nici naszego przeznaczenia.

– Tyle lat, Achillesie... – zaczął, ale przerwał, jakby tego, co czuł, nie potrafił wyrazić słowami.

– Hektorze, synu Priama, wolałbym, abyśmy mogli nazywać siebie przyjaciółmi. Ale nie da się wymazać krwi między nami.

– Lepiej zginąć z ręki wroga niż przyjaciela – rzekł. – Ilu zginęło w Skamandrze?

– Piętnaście tysięcy. Troja upadnie.

– Dopiero po mojej śmierci. Nie chcę na to patrzeć.

– Ani ja.

– Urodziliśmy się dla wojny. Lecz jej wynik nas nie obchodzi.

Cieszę się, że tak jest.

– Czy twój syn, Hektorze, jest w wieku odpowiednim, by cię pomścić?

– Nie.

– Zatem mam nad tobą przewagę. Mój syn przybędzie do Troi, by mnie pomścić. Odyseusz z pewnością dopilnuje, by twój syn nie zdążył oplakać swojego młodego wieku.

Jego twarz skrzywiła się.

– Helena ostrzegła mnie przed Odyseuszem. Czy on jest synem boga?

– Nie. Jest synem łajdaka. Nazwałbym go duchem Grecji.

– Muszę ostrzec przed nim ojca.

– Już nie zdążysz.

– Mogę cię pobić, Achillesie.

– Jeśli tak będzie, Agamemnon nakaze cię ściąć.

Pomyślał przez chwilę.

– Zostawiasz kobietę, która cię będzie oplakiwać? Ojca?

– Nie umrę nie oplakany.

W tej chwili nasza miłość rozpałała się silniej od nienawiści. Wyciągnąłem szybko rękę, zanim czar żarliwości zdążył we mnie umrzeć. Chwycił mój nadgarstek.

– Dlaczego zostałeś, by ze mną walczyć? – spytałem, nie puszczając uścisku.

Jego palce zacisnęły się mocniej, ból położył się cieniem na jego twarzy.

– Jak mógłbym tam wejść? Jak mógłbym spojrzeć w twarz ojcu, wiedząc, że to moja nierozwaga i głupota przyczyniły się do

śmierci tylu ludzi? Powiniennem wycofać się do Troi w dniu, gdy zabiłem twego przyjaciela, tego, który nosił twoją zbroję. Polidamas ostrzegał mnie, ale ja go nie posłuchałem. Chciałem się spotkać z tobą. Oto prawdziwa przyczyna, dlaczego zostawiłem wojsko na równinie. – Cofnął się, uwalniając moje przedramię. Jego twarz zmieniła się znowu w twarz wroga. – Obserwowałem cię, Achillesie, w tej pięknej złotej zbroi. Chyba jest z litego złota. Jej ciężar cię przygniata. Mój pancerz jest o wiele lżejszy. Zatem nim skrzyżujemy nasze miecze, ścigajmy się.

Ruszył z ostatnim słowem, zanim ja zdążyłem wystartować. Sprytne, ale to błąd, Hektorze! Po co miałbym cię ścigać? I tak będziesz musiał zawrócić i stanąć przede mną. Ćwierć mili od Bramy Skajskiej w kierunku naszego obozu – w kierunku, w którym biegł – w murze Troi na południowy zachód znajdowała się olbrzymia przypora i tam grecka armia odetnie mu drogę.

Oddychało mi się łatwo. Może zapasy ze starym Skamandrem dodały mi sił. Zawrócił, zatrzymał się.

– Achillesie! – zawołał. – Jeśli cię zabiję, dam ci słowo, że zwrócę twoje ciało twoim ludziom niezbrukane! Daj mi słowo, że to samo zrobisz dla mnie!

– Nie mogę! Ślubowałem dać twoje ciało Patroklesowi!

Zerwał się wiatr i sypnął mi piaskiem w oczy. Hektor uniósł ramię. Stary Pelion wymknął się niezgrabnie z mojej ręki. Jego rzut był celny, trzonek odbił się od środka mojej tarczy, podczas gdy Stary Pelion upadł u moich stóp. Hektor rzucił drugi pocisk, zanim zdążyłem się pochylić, by podnieść włócznię. Jednak kapryśny wiatr znowu zawirował. Nie podniosłem jej. Hektor wyciągnął miecz zza purpurowego pasa Ajaksa i ruszył ku mnie. Miałem problem, czy zatrzymać tarczę jako ochronę przed wspaniałym przeciwnikiem, czy odrzucić ją i walczyć bez obciążenia. Ze zbroją radziłem sobie, ale tarcza była o wiele za ciężka. Zatem odrzuciłem ją i stanąłem wobec niego z nagim mieczem. Zatrzymał się, mimo że był już w pełnym

biegu. On też odrzucił tarczę.

Kiedy spotkaliśmy się, odkryliśmy, ile radości sprawia nam to, że pasujemy do siebie jako wojownicy. Odparowałem jego cios z góry swoim ostrzem. Nasze ramiona zatrzymały się sztywno i żaden z nas nie ustępował. W tej samej chwili uskoczyliśmy w tył i zatoczyliśmy koło. Obaj szukaliśmy słabego punktu. Miecze, tnąc powietrze, śpiewały śmiertelną pieśń. W chwili, gdy on zadawał swój cios, ja pchnąłem błyskawicznie w lewe ramię. W zwarciu zauważył skórę na moim udzie i ciał przez nią aż do ciała. Teraz obaj ociekaliśmy krwią, ale żaden nie popatrzył nawet na ranę. Za bardzo chcieliśmy skończyć pojedynek. Raz za razem ostrza błyskały, spadały, napotykały na opór i spadały ponownie.

Szukając słabego punktu, zmieniałem ostrożnie teren. Hektor był odrobinę niższy ode mnie, dlatego moja zbroja musiała mu gdzieś nie pasować. Musiało być w niej miejsce, w którym niedostatecznie go chroniła. Ale gdzie? Prawie dosięgnąłem jego piersi, ale uskoczył szybko w bok. Wtedy uniósł ramię i zauważyłem, że pancerz odstaje z boku na szyi, tam, gdzie hełm nie schodził dostatecznie w dół. Cofnąłem się, chcąc, by posuwał się za mną. Zamierzałem uzyskać lepszą pozycję. I wtedy to się stało, ta przykra słabość ścięgien z tyłu nogi nad prawą piętą. Wykrzywiła mi stopę i potknąłem się. Sapnąłem z przerażenia, ale jakoś odzyskałem równowagę i stanąłem prosto. Ten moment wystawił mnie na cios Hektora.

Natychmiast dostrzegł szansę i spadł na mnie z szybkością atakującego węża. Jego ostrze wzniosło się wysoko, aby wymierzyć mi śmiertelny cios. Usta rozwarły się w dzikim krzyku radości. Jego pancerz – mój pancerz – odchylił się z lewej strony szyi. Pchnąłem w tej samej chwili. Jakoś wytrzymałem potężną siłę jego ramienia i spadającego miecza, który spotkał się z moim i z brzękiem odskoczył. Ale moje ostrze nie zmieniło kierunku. Poszło dalej i zatopilo się z lewej strony w szyi, między pancerzem a hełmem.

Upadał tak szybko, że zabrał mój miecz z sobą. Nie zdążyłem go nim przybić do ziemi. Puściłem rękojeść jarzącą się od czerwieni. Patrzyłem na niego leżącego u mych stóp. Jeszcze żył, choć rana była śmiertelna. Czarne oczy były przytomne i wyrażały pogodzenie się z losem. Ostrze musiało uszkodzić wszystkie naczynia krwionośne i zatrzymało się na kości. Ponieważ jednak nadal tkwiło w ranie, nie mógł umrzeć. Poruszał wolno rękami, konwulsyjnie, aż zdołał zacisnąć je mocno na zdradliwie ostrym mieczu. Przerażony, że zamierza je wyciągnąć, zanim będę gotowy – czy w ogóle będę gotowy? – upadłem przy nim na kolana. Leżał teraz bez ruchu, dysząc ciężko, z białymi kłykciami na mieczu, jego przecięte palce ociekały krwią.

– Walczyłeś dzielnie – rzekłem.

Poruszył wargami. Przechylił głowę trochę na jedną stronę, usiłując coś powiedzieć. Krew trysnęła gwałtownie. Zakryłem ranę ręką, chwyciłem jego twarz w dłonie. Hełm stoczył się z jego głowy i zwinięty warkocz czarnych włosów upadł w kurz. Jego koniec nadciągał.

– Wolałbym walczyć obok ciebie, a nie z tobą – powiedziałem, żałując, że nie wiem, co chciałby ode mnie usłyszeć. Nic. Albo wszystko.

Jego oczy były przytomne i nie zamglone. Cienki strumyczek krwi płynął z jednego kącika ust. Czas kurczył się gwałtownie, jednak nie mogłem znieść myśli o jego śmierci.

– Achillesie?

Z ledwością dosłyszałem swe imię. Pochyliłem się nisko, tak że moje ucho prawie dotykało jego warg.

– O co chodzi?

– Oddaj moje ciało... ojcu...

Wszystko, tylko nie to.

– Nie mogę, Hektorze. Przysiągłem cię Patroklesowi.

– Oddaj je... Jeśli pójdę do Patroklesa... twoje ciało nakarmi psy Troi...

– Co ma być, to będzie. Złożyłem przysięgę.

– Zatem... to koniec.

Wykręcił się z siłą daną przez bogów i zacisnął ręce na mieczu. Ostatkiem sił wyciągnął ostrze. Jego oczy natychmiast przygasły, z gardła dobył się charkot, różowa piana poszła mu z nozdrzy i skonał.

Kłęczałem bez ruchu z jego głową w dłoniach. Cały świat poraziła cisza. Mury nade mną zamarły, nieruchome jak martwy Hektor. Żaden szmer nie dochodził od wojsk Agamemnona zza moich pleców. Jakże był piękny ten mój trojański bliźniak, moja lepsza połowa. Jakże cierpiałem z powodu jego odejścia. Co za ból! Żal!

„Dlaczego go kochasz, Achillesie, skoro on mnie zabił?”

Skoczyłem na nogi z bijącym sercem. Głos Patroklesa przemówił w moim wnętrzu! Hektor nie żył. Złożyłem ślub, że go zabiję, a teraz zamiast się cieszyć, płakałem. Płakałem! Podczas gdy Patrokles leżał bez okupu za przewóz przez Rzekę.

Mój ruch przerwał zakłętą ciszę. Z wieży rozległ się przeraźliwy krzyk rozpacz. Priam nie zgadzał się na śmierć swego najukochańszego syna. Krzyk podjęli inni. Powietrze wypełniło się kobiecym zawodzeniem. Mężczyźni wołali do swych bogów, rozległ się głuchy odgłos walenia pięści o pancerze, niczym pogrzebowe bębny. A za mną wojsko Agamemnona radowało się, radowało, radowało.

Zacząłem dziko zdzierać zbroję z ciała Hektora, pozbywając się niechcianego smutku z mojego serca. Pragnąłem z każdym zdzieranym kawałkiem wydrzeć instynkt oplakiwania z serca

i zastąpić go przekleństwem. Kiedy skończyłem, przybyli królowie, by sformować krąg wokół nagiego ciała. Agamemnon patrzył na jego martwą twarz z szyderstwem. Uniósł włócznię, którą miał z sobą, i zanurzył w jego boku. Pozostali poszli za jego przykładem, zadając biednemu, bezbronnemu wojownikowi ciosy, których nie mogli mu zadać, gdy żył.

Odwróciłem się, zrobiło mi się niedobrze – czas na pozbycie się gniewu i otarcie łez. Kiedy znowu zwróciłem się ku nim, zobaczyłem, że tylko Ajaks nie skaził ciała Hektora. Jak ludzie mogą uważać go za tępego, skoro tylko on jeden zrozumiał? Odepchnąłem grubiańsko Agamemnona i pozostałych.

– Hektor należy do mnie. Zabierzcie swoją broń i idźcie stąd!

Nagle zawstydzeni cofnęli się. Wyglądali jak sfora psów złajana za skradziony posiłek.

Odpiąłem purpurowy pas od pancerza i wyciągnąłem swój sztylet. Z tyłu jego pięt zrobiłem nacięcia, przez które przewlokłem farbowaną, inkrustowaną skórę, podczas gdy Ajaks patrzył beznamiętnie do czego w końcu posłużył jego podarunek. Automedon przyprowadził mój rydwan. Przymocowałem pas z tyłu wozu.

– Zejdz – powiedziałem do Automedona. – Sam poprowadzę.

Moje trzy białe konie, czując krew, zaczęły stawać dęba, ale kiedy owinałem sobie cugle wokół pasa, uciszyły się.

Tam i z powrotem prowadziłem rydwan pod wieżą przy akompaniamencie jęków żalu ze szczytu trojańskich murów oraz okrzyków radości armii Agamemnona.

Włosy Hektora rozplotły się i ciągnęły luźno po stratowanej ziemi, aż stały się matowe i szare. Jego ramiona podskakiwały bezwładnie za głową. Dwanaście razy przegoniłem konie między wieżą a Bramą Skajską. Zniszczyłem nadzieję Troi pod jej własnymi

murami, obwieszczając, że nasze zwycięstwo jest nieuchronne. Potem pojechałem na plażę.

Patrokles leżał na marach nieruchomo, owinięty całunem. Trzykrotnie objechałem plac wokół, potem wysiadłem z rydwanu i odciąłem pas. Łatwo było wziąć bezwładne ciało Hektora na ręce, jednak rzucić je i pozwolić leżeć niezdarnie u stóp katafalku, było czymś ogromnie trudnym. Mimo to tak zrobiłem. Bryzejda uciekła przerażona. Usiadłem na jej miejscu, z głową spuszczoną na kolana i zacząłem znowu płakać.

– Achillesie, chodź do domu – powiedziała.

Uniosłem głowę, zamierzając odmówić. Ona także cierpiała. Nie mogłem pozwolić, by cierpiała jeszcze bardziej. Zatem wstałem, nadal płacząc, i poszedłem z nią do domu. Posadziła mnie na krześle, podała chustę do otarcia twarzy, miskę do zmycia krwi z rąk, wino, żebym przyszedł do siebie. Jakoś udało jej się zdjąć ze mnie tę żelazną zbroję, potem obwiązała mi ranę na udzie.

Kiedy zaczęła zdejmować mi bieliznę, powstrzymałem ją.

– Zostaw mnie – powiedziałem.

– Pozwól, bym cię wykapała.

– Nie mogę, dopóki Patrokles jest nie pochowany.

– Patrokles stał się twoim złym duchem – rzekła cicho. – Zupełnie kimś innym był za życia.

Spojrzałem na nią z naganą w oczach i wyszedłem z domu. Poszedłem nie tam, gdzie leżał Patrokles, ale w dół, na kamienistą plażę. Tam upadłem jak jeden z wielu kamieni.

Mój sen był transem zupełnego spokoju, aż po bezkształtną otchłań, w której zamieszkałem. W niej zjawiała się biała nić, błyszcząca nieziemskim światłem, którą czerń otchłani zwijała w delikatny motek. Z oddali coraz bardziej zbliżał się do środka mojego umysłu, nabierając równocześnie kształtu i barwy, aż

w końcu stanął przed rdzeniem mojego ducha w ostatecznej formie. Na moją nagość patrzyły nieruchome błękitne oczy Patroklesa. Jego miękkie usta krzywiły się, tak jak zapamiętałem je po raz ostatni. Jego jasne włosy były w czerwonych strąkach.

– Achillesie, Achillesie – szeptał głosem, swoim i jakby nie swoim. Żalonym i zimnym. – Jak możesz spać, kiedy ja leżę ciągle nie pochowany i nie mogę przekroczyć Rzeki? Uwolnij mnie! Pozwól mi wyzwolić się z mojej gliny! Jak możesz spać, kiedy ja leżę nie pochowany?

Wyciągnąłem do niego ramiona, by błagać go o wybaczenie. Próbowałem wyjaśnić mu, dlaczego pozwoliłem mu walczyć zamiast siebie. Mamrotałem usprawiedliwienia jedno po drugim. Wziąłem go w ramiona, ale moje palce zamknęły się na pustce. Skurczył się i odpłynął w ciemność. Aż ostatni pisk jego głosu ucichł, aż ostatnia zawieruszona nić jego fluorescencji zbladła, i stał się niczym. Niczym! Niczym!

Krzyknąłem. I obudziłem się, ciągle krzycząc. Dwunastu moich Myrmidonów przyciskało mnie do ziemi. Odtrąciłem ich niecierpliwie i poczłapałem między statki, słysząc, jak ludzie pytają się nawzajem, co to był za straszliwy wrzask. Szare światło poranka wskazywało mi drogę.

Nocny wiatr zrzucił całun na ziemię. Myrmidoni, którzy pełnili straż honorową, nie śmieli się zbliżyć, aby go podnieść. Zatem, kiedy przywlokłem się na plac, zobaczyłem znowu Patroklesa. Śpiącego. Marzącego. Tak spokojnego, tak łagodnego. Kopia. Dopiero co widziałem prawdziwego Patroklesa i z jego ust wyczytałem, że on mi nigdy nie wybaczy. Że serce, którym tak hojnie obdarzał mnie w latach naszej młodości, było zimne i twarde jak marmur. Dlaczego zatem ta twarz była tak czuła, tak łagodna? Czy mogła należeć do cienia prześladowającego mnie w snach? Czy człowiek naprawdę tak bardzo zmienia się po śmierci?

Moje stopy dotknęły czegoś zimnego. Wzdrygnąłem się

mimowolnie. Spojrzałem w dół na Hektora rozciągniętego tam, gdzie go zostawiłem poprzedniego wieczora. Z wykręconymi nogami, jakby były połamane, z szeroko otwartymi ustami i oczami, jego puste białe ciało pokazywało różowe wargi tuzina ran, z jedną na szyi ziejącą niczym skrzydle.

Odwróciłem się. Z wszystkich stron nadchodzili Myrmidoni, zbudzeni głosem dowódcy, krzyczącego jak szaleniec. Prowadził ich Automedon.

– Achillesie, pora go pochować.

– Najwyższa.

Przewieźliśmy Patroklesa przez wody Skamandra na tratwie, a potem ruszyliśmy ubrani jak na wojnę, z jego ciałem na tarczy wysoko uniesionej na naszych ramionach. Szedłem tuż za tarczą, jego głowa spoczywała na mojej dłoni, głównego żałobnika. Wszędzie, na skałach i plaży, na dwie mile wokół, stali żołnierze, chcąc być świadkami tego, jak Myrmidoni składają go do grobu.

Wnieśliśmy Patroklesa do podpartej stemplami jaskini i położyliśmy delikatnie na śmiertelnym wozie z kości słoniowej. Był ubrany w zbroję, którą zawsze nosił, ciało pokrywały pukle naszych włosów. Jego włócznie i wszystkie osobiste rzeczy spoczywały na złotych trójnogach pod pomalowanymi ścianami. Spojrzałem na sufit, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim ja także tu spocznę. Niewiele, tak powiedziała wyrocznia.

Kapłan nałożył mu złotą maskę na twarz i zawiązał rzemyki pod głową, na udach zaś ułożył jego dłonie przykryte złotymi rękawicami, tak że palce stykały się na mieczu. Odśpiewano pieśni, złożono libacje. Potem kolejno przyprowadzono dwunastu trojańskich młodzieńców do ogromnego złotego kielicha, stojącego na trójnogu u podnóża śmiertelnego wozu i podcięto im gardła. Zapieczętowaliśmy wejście do grobu i pomaszerowaliśmy z powrotem do obozu, na miejsce zbiórek przed domem Agamemnona, gdzie

zawsze odbywały się igrzyska pogrzebowe. Przyniosłem nagrody i przebrnąłem jakoś przez trudne chwile wręczenia ich zwycięzcom. Gdy reszta została na ucztach, sam wróciłem do domu.

Hektor leżał teraz w kurzu przed moimi drzwiami, przeniesiony tu, gdy zabieraliśmy Patroklesa z jego mar. Duch z mojego snu zmuszał mnie, bym pogrzebał go z Patroklesem, niczym kundla u stóp bohatera. Ale nie mogłem się na to zdobyć. Złamałem swój ślub wobec najstarszego i najdroższego przyjaciela – mojego kochanka! – aby zatrzymać Hektora przy sobie. Patrokles miał okup za przewóz – dwunastu szlachetnie urodzonych młodzieńców trojańskich. To wystarczy, aż nadto.

Klasnąłem w dłonie. Nadbiegły służące.

– Zgrzejdźcie wodę, przynieście olejki i maści, poślijcie po głównego balsamista. Chcę przygotować księcia Hektora do pogrzebu.

Zaniosłem go do małego składu nieopodal i położyłem na kamiennej płycie, na odpowiedniej wysokości, by kobiety mogły mu usłużyć. Ale to ja wyprostowałem jego członki i ja położyłem dłoń na jego oczach, by je zamknąć. Otworzyły się z wolna, ponownie, niewidzące. Straszna rzeczą było patrzeć na pustą łupinę Hektora. Myśleć o swojej własnej.

Bryzejda czekała, siedząc skulona w fotelu. Spojrzała na mnie, ale nie odezwała się. Po chwili rzekła bezbarwnym głosem:

– Przygotowałam dla ciebie wodę na kąpiel. Mam też wino i jedzenie. Muszę zapalić lampy, już zmrok.

Och, gdyby woda mogła zmyć plamy z mojej duszy! Moje ciało było znowu czyste. Ale dusza nie.

Bryzejda siedziała na tapczanie naprzeciw mnie, podczas gdy ja zajmowałem się jedzeniem i gasiłem pragnienie. Poczułem się, jakbym był przez te wszystkie lata szaleńcem.

Ona też użyła tego słowa. Szaleniec. Powiedziała:

– Achillesie, dlaczego zachowujesz się jak szaleniec? Świat nie skończył się dlatego, że umarł Patrokles. Żyją jeszcze inni, którzy cię kochają tak samo, jak on cię niegdyś kochał. Automedon. Myrmidoni. Ja.

– Odejdź – powiedziałem zmęczonym głosem.

– Kiedy skończę. Achillesie, jest tylko jeden sposób, abyś się uzdrowił. Przestań dręczyć się Patroklesem i oddaj Hektora ojcu. Nie jestem zazdrosna, nigdy nie byłam. To, że ty i Patrokles byliście kochankami, nigdy mnie nie dotykało. On jednak był zazdrosny, i to go wypaczyło. Mówisz, że był przekonany, iż zdradziłeś jego ideały. Lecz dla Patroklesa prawdziwą zdradą była twoja miłość do mnie. Od tego wszystko się zaczęło. Nic, co robiłeś po tym, nie było dla niego słuszne. Nie potępiam go – po prostu mówię prawdę. Czuł, że zdradziłeś jego miłość, kochając mnie. Skoro byłeś do tego zdolny, nie mogłeś być tym, za kogo cię uważał. Musiał znaleźć jakąś skazę. Musiał nakarmić swoje poczucie krzywdy.

– Nie wiesz, o czym mówisz – powiedziałem.

– Dobrze wiem. Ale nie o Patroklesie chciałam mówić. Chciałam mówić o Hektorze. Jak mogłeś coś podobnego uczynić człowiekowi, który walczył z tobą tak dzielnie i zginął tak pięknie? Oddaj go ojcu! To nie prawdziwy Patrokles cię prześladowa, to Patrokles, którego wymyśliłeś, aby doprowadzać się do szaleństwa. Zapomnij o Patroklesie. Pod koniec nie był już prawdziwym przyjacielem.

Uderzyłem ją. Jej głowa wystrzeliła do tyłu. Dziewczyna spadła z tapczanu na podłogę. Przerażony podniosłem ją i położyłem z powrotem. Poruszyła się i zajęczała. Opadłem na krzesło i chwyciłem się za głowę. Nawet Bryzejda stawała się ofiarą tego szaleństwa. Bo to było szaleństwo. Ale jak je uzdrowić? Jak wypędzić moją matkę?

Nagle poczułem, jak coś mi się owija wokół nóg i ciągnie słabo

za koniec kiltu. Uniosłem głowę przerażony, chcąc zobaczyć, jaki nowy duch mnie nawiedza. I zajrzałem zmieszany w blade i pomarszczone oblicze starca. Priam. To mógł być tylko Priam. Kiedy zdjąłem łokcie z kolan, on chwycił moje ręce i zaczął je całować. Jego łzy spadały na tę samą skórę, którą opryskała krew Hektora.

– Oddaj mi go! Oddaj mi go! Nie dawaj go na pożarcie swym psom! Nie zostawiaj go samego, nie pochowanego! Nie pozbawiaj go należytą żałoby! Oddaj mi go!

Spojrzałem przez stół na Bryzejdę, która siedziała wyprostowana, z nie otartymi łzami.

– Panie, usiądź – rzekłem, podnosząc go i sadzając na swoim krześle. – Król nie powinien błagać. Siadaj.

W drzwiach stanął Automedon.

– Jak on się tu dostał? – zapytałem, idąc ku niemu.

– W wozie ciągniętym przez muła. Powoził nim niedorozwinięty chłopak. Biedak, wydawał jakieś nieartykułowane dźwięki. Wojsko ucztuje, a strażnik na grobli to Myrmidon. Starzec powiedział, że ma sprawę do ciebie. Wóz był pusty i żaden z nich nie miał broni, zatem strażnik ich wpuścił.

– Przynies ogień, Automedonie. Nie mów nikomu, że on tu jest. Przekaż to samo strażnikowi i podziękuj mu w moim imieniu.

Czekając na ogień – było zimno – przysunąłem sobie krzesło do tego, na którym siedział. Chwyciłem jego żylaste dłonie w swoje, ogrzewając je. Były takie zimne.

– Potrzeba odwagi, panie, żeby tu przybyć.

– Nie, żadnej. – Spojrzał na mnie swymi wodnistymi, ciemnymi oczami. – Kiedyś władałem szczęśliwym i bogatym królestwem. Ale potem postąpiłem źle. Zło było we mnie. We mnie... Wy, Grecy, zostaliście wysłani, by ukarać mnie za pychę. Za moją ślepotę. –

Jego wargi drżały, wilgoć w oczach nadała im blasku. – Nie. Aby tu przyjść, nie potrzeba było ani odrobiny odwagi. Hektor był ostatnią ceną.

– Ostatnią ceną – nie mogłem się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć – będzie upadek Troi.

– Upadek mojej dynastii, może, ale nie miasta. Troja jest większa niż to wszystko, nawet teraz.

– Miasto Troja upadnie.

– No cóż, co do tego się różnimy. Mam jednak nadzieję, że nie, jeśli chodzi o powód mojego przybycia. Książę Achillesie, błagam, oddaj mi ciało mojego syna. Zapłacę ci odpowiedni okup.

– Nie żądam żadnego okupu, królu Priamie. Możesz zabrać go do domu.

Po raz drugi upadł na kolana, by ucałować moje dłonie. Cofnąłem się.

Skinąłem na Bryzejdę.

– Usiądź, panie, i przełam się ze mną chlebem. Tymczasem ja przygotuję Hektora. Bryzejdo, zaopiekuj się gościem.

Kiedy już na zewnątrz rozmawiałem z Automedonem, przyszło mi coś do głowy.

– Zbroja nie, ale pas Ajaksa należał do Hektora. Znajdź go, Automedonie, i włóż z nim do wozu.

Kiedy wróciłem, znalazłem Priama uspokojonego. Gwarzył beztrąsko z Bryzejdą w przyływie dziwnej zmiany nastroju, tak charakterystycznej dla starczego wieku. Pytał ją, jak jej się podoba życie ze mną, skoro urodziła się w domu Dardanosa.

– Jestem zadowolona, panie – odpowiedziała. – Achilles jest dobrym człowiekiem, nie jest podły. – Pochyliła się. – Panie, dlaczego on myśli, że wkrótce umrze?

– Ich losy, jego i Hektora, są z sobą związane – rzekł stary król.
– Tak powiedziały wyrocźnie.

Kiedy mnie zauważyli, zmienili temat. Zjedliśmy razem posiłek, a ja stwierdziłem, że jestem bardzo głodny. Zmuszałem się jednak, by jak Priam jeść mało i nie pić wina.

Potem odprowadziłem go do wozu zaprzęzonego w muła, w którym leżało przykryte ciało Hektora. Priam nie zajrzał pod prześcieradło. Usiadł obok głupawego woźnicy i odjechał wyprostowany, jakby poruszał się na wozie z litego złota.

Bryzejda czekała na mnie z rozwiązanymi włosami i w luźnej tunice. Wszedłem do pokoju i od razu skierowałem się do łóżka. Zaczęła gasić lampy.

– Zbyt zmęczony, żeby zdjąć ubranie? – spytała.

Odpięła mi naszyjnik i pas, zdjęła kilt i zostawiła wszystko na podłodze, tam, gdzie spadło. Wyczerpany położyłem się na plecach, podkładając sobie ręce pod głowę. Usiadła obok mnie. Pochyliła się, wkładając pięści w moje pachy. Uśmiechnąłem się nagle tak lekko i szczęśliwie jak małe dziecko.

– Nie mam nawet siły, żeby cię pociągnąć za włosy – zażartowałem.

– Zatem leż spokojnie i śpij. Jestem przy tobie.

– Jestem zbyt zmęczony, by zasnąć.

– To odpoczywaj. Jestem przy tobie.

– Bryzejdo, obiecaj mi, że nie zostawisz mnie. Aż do końca.

– Do końca?

Jej uśmiech zniknął z pochylonej nade mną twarzy. Nie widziałem jej oczu, gdyż znajdowały się w cieniu. W pokoju paliła się tylko jedna lampa, i to w odległym kącie. Olbrzymim wysiłkiem uniosłem się na łokcie i wziąłem jej twarz w dłonie. Trzymając ją tak

samo jak głowę Hektora, przysunąłem bliżej.

– Słyszałam, o co pytałaś Priama, i słyszałem jego odpowiedź. Wiesz, o czym myślę, Bryzejdo.

– Nie chcę tego wiedzieć! – zawołała.

– Pewne rzeczy są człowiekowi przeznaczone już w dniu jego narodzin. Ojciec mi o tym nie powiedział, ale zrobiła to matka. Wiedziałem, że przybywając do Troi, muszę tu umrzeć. Teraz, gdy Hektor nie żyje, Troja upadnie. A ceną tego jest moja śmierć.

– Achillesie, nie zostawiaj mnie!

– Wszystko bym za to dał, ale nie mogę nic zrobić.

Przez dłuższą chwilę milczała, podczas gdy jej oczy zapatrzyły się w drobny płomyk, migocący w kloszu lampki. Oddychała spokojnie i rytmicznie. Potem powiedziała:

– Polecieś przygotować Hektora na pogrzeb, zanim jeszcze spotkałeś się ze mną tego wieczora.

– Tak.

– Nie mogłeś mnie uprzedzić? Wtedy pewne rzeczy nigdy nie zostałyby powiedziane.

– Może trzeba było je powiedzieć, Bryzejdo. Uderzyłem cię, choć mężczyźni nie wolno bić kobiet ani dzieci, nikogo słabszego od siebie. Mężczyźni, odrzucając starą religię, zgodzili się na to w zamian za prawo do władzy.

Uśmiechnęła się.

– Nie mnie uderzyłeś, ale swojego demona, a uderzając go, wypędziłeś. Reszta twojego życia należy do ciebie, nie do Patroklesa, i dlatego się cieszę.

Wyczerpanie odpłynęło i uniosłem się na łokciu, żeby na nią popatrzeć. Małe lampki były zawsze przychylnie dla kobiet. Ona

jednak nie miała żadnej skazy, dlatego światło nadawało jej aurę bogini. Błada skóra nabrała koloru jasnego złota, we włosach igrały iskiereki miedzi, a oczy nabrały odcienia płynnego bursztynu. Z wahaniem położyłem palec na jej policzku i nakreśliłem linię w dół, do ust, tam, gdzie spuchły od mojego ciosu. Jej szyja ginęła w cieniu, piersi doprowadzały mnie do szału, a drobne stopy stały się końcem mojego świata.

I ponieważ w końcu uzmysłowiłem sobie, jak bardzo jej potrzebuję, znalazłem w niej rzeczy przekraczające moje marzenia. W przeszłości starałem się świadomie ją zadowalać, teraz jednak myślałem o niej tylko jako o przedłużeniu mego własnego ciała. Spostrzegłem, że płacze, jej włosy były mokre pod moją twarzą, jej ręce rozluźniły się i trzepotały w moich, uwiecznione w bolesnej otusze... jej dłonie w moich... ponad naszymi głowami... na wspólnej poduszce.

Tak oto Hektor zamieszkał raz jeszcze w pałacu swych przodków, choć tym razem stało się to bez jego woli i świadomości. Przez Odyseusza dowiedzieliśmy się, że Priam pominął starszych synów i na nowego dziedzica wybrał najmłodszego – Troilosa. Niektórzy Trojanie twierdzili, że jeszcze nie osiągnął „wieku przyzwolenia”. Nie znaleźmy tego określenia, ale (jak powiedział Odyseusz) prawdopodobnie oznaczał on trojańskie pojęcie dojrzałości.

Decyzja spotkała się z powszechnym sprzeciwem. Nawet Troilos błagał króla, aby dał dziedzictwo Eneaszowi. Z tego powodu doszło do kłótni Priama z Dardanami, która skończyła się wyjściem Eneasza z sali tronowej. Również Deifobos był wściekły, podobnie jak młodszy syn – kapłan Helenos. Przypomniał Priamowi wyrocznie, że Troilos uratuje miasto tylko pod warunkiem, że dożyje „wieku przyzwolenia”. To potwierdzało sens, jaki temu wyrażeniu przypisywał Odyseusz. Helenos błagał Priama, żeby zmienił zdanie, ale król nie chciał. Troilos został namaszczony na następcę tronu.

A my na plaży zaczęliśmy ostrzyć miecze.

Oplakiwanie Hektora zajęło Trojanom dwanaście dni. W tym czasie przybyła Pentesilea z dziesięcioma tysiącami wojowniczek na koniach. Kolejny powód do ostrzenia mieczy.

Nasze oselki oliwiła ciekawość, ponieważ te dziwne stworzenia były całkowicie oddane Artemidzie Dziewicy i azjatyckiemu Aresowi. Zamieszkiwały kryjówki Scytii u podnóża krystalicznych gór podtrzymujących dach świata. Jeździły na ogromnych koniach, polując w lasach i plądrując w imię Dziewicy. Żyły pod panowaniem Bogini Ziemi w jej pierwotnej potrójnej jedności – Dziewicy, Matki i Staruchy. Władowały mężczyznami jak kobiety w naszej części świata, zanim nastąpiła nowa religia. Mężczyźni odkryli potem jeden istotny fakt – choć to kobieta nosiła owoc, do prokreacji było konieczne nasienie mężczyzny. Kiedy to odkryto, mężczyzna został uznany za drogi luksus.

Sukcesja Amazonek leżała całkowicie po kądzieli, ich mężczyźni byli niewolnikami, którzy nie chodzili nawet na wojny. Pierwsze piętnaście lat życia kobiety po osiągnięciu dojrzałości było poświęcone wyłącznie Bogini Dziewicy. Potem występowały z wojska, brały sobie męża i rodziły dzieci. Tylko królowa nigdy nie wychodziła za mąż. Ustępowała z tronu po tym samym czasie, po którym pozostałe kobiety opuszczały służbę u Artemidy Dziewicy. Jednak zamiast wziąć sobie męża, szła pod topór w ofierze za lud.

To, czego jeszcze nie wiedzieliśmy o Amazonkach, opowiedział nam Odyseusz. Wydawało się, że ma swych szpiegów wszędzie, nawet u podnóża krystalicznych gór Scytii. Oczywiście, najbardziej ciekawiło nas, w jaki sposób Amazonki dosiadają koni. Żaden lud tego nie potrafił, nawet odległy Egipt. Utrzymać się na koniu było niezwykle trudno. Skóra zwierzęcia była gładka i koc z niej się zsuwał. Jedynie w pysk wkładano wędzidło złączone z uzdą na głowie i cugłami. Dlatego świat posługiwał się końmi do ciągnięcia rydwanów. Do ciągnięcia wozów się nie nadawały, ponieważ dusiło

je jarzmo. Jak Amazonkom udawało się jeździć na koniach do boju?

Podczas gdy Trojanie opłakiwali Hektora, my odpoczywaliśmy, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczymy ich na polu. Odyseusz był pewien, że wyjdą, lecz reszta nie była przekonana.

Trzynastego dnia włożyłem zbroję, którą dostałem od Odyseusza. Stwierdziłem, że nie jest tak ciężka, jak mi się zdawało za pierwszym razem. Przekraczaliśmy groble mrocznym świtem – nie kończąca się nic ludzi wijąca się na pokrytej rosą równinie, z kilkoma rydwanami na czele.

Agamemnon postanowił ustawić szyki pół mili od trojańskiego muru naprzeciw Bramy Skajskiej.

Czekali na nas nie tak licznie jak wcześniej, ale nadal było ich więcej niż nas. Brama Skajska była już zamknięta.

Zastępy Amazonek znajdowały się pośrodku przedniej straży Trojan. Przyglądałem się im, siedząc i czekając, aż szyki rozwiną się na skrzydłach. Kobiety dosiadały dużych kosmatych koni. Nie znalazłem tej rasy – brzydkie orle głowy, obcięte grzywy i ogony, owłosione kopyta. Wszystkie były kasztanowe albo brązowe, z wyjątkiem jednej białej piękności pośrodku. Ta musiała należeć do królowej Pentesilei. Odkryłem, jak wojowniczkki utrzymywały się na koniach – sprytne! Każda siedziała na czymś w rodzaju skórzanego siedziska przypiętego pod brzuchem konia pasami, dzięki którym trzymało się pewnie na miejscu.

Na głowach miały hełmy z brązu, ale ubrane były w utwardzaną skórę. Od pasa po stopy zakrywały je skórzane spodnie obwiązane od kostek po kolana rzemykami. Na nogach miały miękkie, krótkie boty. Oczywiście główną ich bronią były łuki i strzały, choć kilka miało też pasy z mieczami.

W tej chwili rozległ się dźwięk rogów i wojennych bębnow. Stałem w rydwanie ze Starym Pelionem w dłoni i żelazną tarczą przypiętą wygodnie na lewym ramieniu. Agamemnon skoncentrował

wszystkie swoje rydwany, żałośnie nieliczne, naprzeciw Amazonek.

Kobiety orały wśród nich jak harpie, wrzeszcząc i krzyząc. Strzały świszczwały z ich krótkich łuków, przelatowały nad naszymi głowami i spadały na ziemię za nami. Nieustający deszcz śmierci wstrząsnął nawet moimi Myrmidonami. Nie byli przyzwyczajeni do walki z przeciwnikiem, który trzymał się na dystans i nie pozwalał na zwanie. Pchnąłem swój niewielki oddział wozów wojennych naprzód i zmusiłem Amazonki do cofnięcia się. Używając Starego Peliona jak lancy, broniłem się przed strzałami tarczą, Krzyknąłem, aby inni zrobili to samo. To nadzwyczajne! Te dziwne kobiety nie celowały w konie!

Zerknąłem na Automedona, który ponuro wykrzywił twarz, zmagając się z moim zaprzęgiem. Nasze oczy spotkały się.

– Reszta wojsk musi sobie radzić dziś z Trojanami sama – rzuciłem. – My skupiamy się na tych kobietach.

Pokiwał głową. Skreślił wozem, by ominąć wojowniczkę, która szarżowała swym rumakiem prosto na nas. Przednie nogi konia, grube i silne, młóciły parą potężnych kopyt zdolnych rozetrzeć mózg na miazgę. Chwyciłem zapasowy oszczep i rzuciłem nim. Gwizdnąłem z zadowolenia, gdy spadła z konia, tuż pod tratujące kopyta. Potem odłożyłem Stary Pelion i chwyciłem topór.

– Trzymaj się blisko mnie, schodzę.

– Nie rób tego, Achillesie! Rozgniotą cię na miazgę!

Zaśmiałem się.

Na ziemi szło mi o wiele łatwiej. Przekazałem to Myrmidonom.

– Nie bójcie się tych koni. Wchodźcie im pod nogi. Amazonki nie zabijają naszych zwierząt, ale my mamy inne zasady. Powalony koń jest tak samo dobry jak powalony jeździec.

Myrmidoni poszli za moim przykładem bez wahania. Niektórzy zostali ranni albo stratowani. Większość jednak cięła wśród potopu

strzał włochate brzuchy, nogi w spodniach i końskie gardła. Byli dokładni i szybcy. Ojciec i ja zawsze zachęcaliśmy ich do inicjatywy i wszechstronności. Robili więc, co mogli, zmuszając Amazonki do pośpiesznego odwrotu. Kosztowne zwycięstwo. Pole było usiane trupami Myrmidonów. W tej chwili jednak szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. W uniesieniu gotowi byli zabijać więcej Amazonek, więcej ich koni.

Wszedłem na rydwan obok Automedona i zacząłem szukać Pentesilei. Tam! Pośrodku kobiet! Próbowała je na nowo ustawić w szyki. Kiwnąłem na Automedona.

– Naprzód, na królową!

Przeprowadziłem atak na linie Amazonek, zanim zdążyły się przygotować. Mimo to na spotkanie wyszły nam strzały. Automedon miał na ramieniu tarczę, aby się osłaniać. Nie mogliśmy jednak podejść na tyle blisko, by dosięgnąć królową. Trzykrotnie wyprowadziła nas w pole, przez cały czas zmagając się z ponownym ustawieniem szyków. Automedon dyszał i płakał, nie radził sobie z moimi ogierami tak jak Patrokles.

– Daj mi cugle.

Ogierzy miały na imię Ksantos, Balios i Podagros. Zawołałem każdego po imieniu, dodając im ducha. Usłyszały mnie, choć nie było Patroklesa, żeby za nie odpowiedzieć. Och, to była udana sztuczka! Nadal nie mogłem myśleć o moim kuzynie bez poczucia winy.

Ruszyły nie popędzane batem. Były wystarczająco duże, by zepchnąć amazońskie zwierzęta. Oddałem Automedonowi cugle i z wojennym okrzykiem chwyciłem Stry Pelion. Królowa Pentesilea nareszcie znalazła się w jego zasięgu i zbliżała się coraz bardziej. Jej wojowniczkę kręciły się w nieładzie. Biedaczka, nie miała daru dowodzenia. Bliżej, jeszcze bliżej... Musiała skrócić swoją białą klaczą w bok, by uniknąć zmiżdżenia przez mój zaprzęg. Jej jasne

oczy płonęły. Jej lewy bok był wystawiony na Stary Pelion. Lecz nie zdobyłem się na to, by rzucić. Zasalutowałem jej i nakazałem odwrót.

Jakaś amazońska klacz bez jeźdźca – wszystkie chyba były klaczami – zaplątała się we własne cugle. Gdy Automedon przejeżdżał koło niej, sięgnąłem ręką i wyciągnąłem lejce spod kopyt klaczy. Zmusiłem ją, by szła za nami.

Znalazłszy się poza kotłowaniną, zeskoczyłem z wozu. Zacząłem badać amazońskiego konia. Jak zareaguje na zapach mężczyzny? Czy zmieszczę się na skórzanym siedzisku?

Automedon zbladł.

– Achillesie, co robisz?

– Nie bała się umrzeć. Zasługuje na honorową śmierć. Pokonam ją jak równy z równym – jej topór przeciwko mojemu, z grzbietu konia.

– Oszalałeś? My nie umiemy jeździć konno!

– Jeszcze nie, ale widzieliśmy jeżdżące Amazonki. Czy nie sądzisz, że możemy się nauczyć?

Wdrapałem się na grzbiet klaczy, używając koła mojego rydwanu jako stopnia. Rogi siedziska były mocno wypukłe i miałem wielki kłopot z wtłoczeniem się w nie, ponieważ było dla mnie za małe. Kiedy jednak już mi się to udało, zdumiałem się. Niezwykle łatwo było w nim siedzieć i utrzymywać równowagę! Jediną przeszkodę stanowiły moje nogi zwisające bez podpórek. Moja klacz drżała, ale na szczęście chyba wybrałem spokojne zwierzę. Kiedy klepnałem ją po łopatce i szarpnąłem lejce, by zawrócić, posłuchała mnie. Dosiadałem konia! Byłem chyba pierwszym mężczyzną na świecie, któremu się to udało.

Automedon wręczył mi topór, ale wielka tarcza nie wchodziła w rachubę. Jeden z Myrmidonów podbiegł do mnie z uśmiechem

i wręczył mi małą, okrągłą tarczę Amazonek.

Myrmidoni podążyli za mną, wyjąc z radości. Szarżowałem w środek wojowniczek, kierując się ku królowej. W tłoku mój wierzchowiec nie mógł się i tak poruszać szybciej od ślimaka, poza tym przyzwyczał się do mnie. Może przestraszył go mój ciężar.

Kiedy dostrzegłem królową, wydałem wojenny okrzyk.

Odpowiedziała swoim dziwnym wibrującym zawodzeniem. Zwróciła się twarzą ku mnie, zmuszając białą klacz do przebicia się przez tłum. Zrobiła to, ściskając ją kolanami – poznałem nową sztuczkę. Przewiesiwszy łuk przez plecy, prawą ręką sięgnęła po złoty topór. Wydała ostry rozkaz, który kazał jej wojowniczkom cofnąć się i utworzyć półokrąg. Moi Myrmidoni bezzwłocznie zrobili to samo. Wieść o pojedynku musiała roznieść się po całym polu, ponieważ wśród obserwujących Myrmidonów zobaczyłem żołnierzy należących do Diomedesa oraz ciemną, niemłą twarz jego kuzyna Tersytyesa. Co Tersytes tu robił? Był współdowódcą szpiegów Odyseusza.

– Ty jesteś Achilles? – zawołała królowa, okropnie kalecząc grecki.

– To ja!

Podjechała bliżej, jej topór leżał na łopacie konia, w drugiej ręce trzymała tarczę. Wiedząc, że jestem zielony w tego typu pojedynku, postanowiłem najpierw zmusić ją, by pokazała mi kilka swoich sztuczek. Miałem nadzieję, że nie spotka mnie żadna niemła niespodzianka, dopóki nie poczuję się pewniej. Odkoczyła swoją klaczą w bok i zakręciła się jak błyskawica, jednak ja też szarpnąłem w bok i przyjąłem cios na tarczę obciążoną skórą byka. Żałowałem, że nie mam takiej samej, tylko z żelaza. Ostrze cięło głęboko i przeszło przez skórę łatwo, jak nóż kraje ser. Nie była dobrym dowódcą, ale potrafiła walczyć. Podobnie jak moja brązowa klacz, która wyczuwała, kiedy zawracać, nim ja sam to wiedziałem.

Ucząc się, zakreśliłem toporem i trafiłem prawie o ułamek. Potem wypróbowałem jej sztuczki, spadając na jej białą klacz. Oczy jej się rozszerzyły, roześmiała się nad brzegiem swej tarczy. Badając się nawzajem, wymienialiśmy ciosy z narastającą szybkością. Topory rezonowały i rzucały iskry. Czulem siłę jej ramienia i doceniałem jej umiejętności. Jej topór był o wiele mniejszy od mojego, przeznaczony do używania jedną ręką, co czyniło z niej bardzo niebezpiecznego przeciwnika. Najlepsze, co mogłem zrobić, to uchwycić swoją broń bliżej główki niż zwykle i używać jedynie prawej ręki. Trzymałem się z jej prawej strony i zmuszałem ją do napinania mięśni, odparowując każdy z jej ciosów z siłą, która przenikała ją do rdzenia.

Mógłbym ją przetrzymać, gdyż byłem o wiele silniejszy, ale nie chciałem dłużej patrzeć na jej upokorzenie. Lepiej skończyć szybko i z honorem. Kiedy zrozumiała, że jej czas się skończył, spojrzała na mnie, dając milczące przyzwolenie. Potem spróbowała ostatniej desperackiej sztuczki. Białe konie stanęły dęba, a schodząc w dół, skręciły. Grzmotnął w bok mojego wierzchowca z takim impetem, że biedak potknął się i poślizgnął. Kiedy próbowałem opanować go głosem, lewą ręką i piętami, błysnął nade mną topór. Podniosłem swój, aby odparować cios, i nie zawahałem się. Bok królowej był odkryty i przyjął moje ostrze jak nie wypalona glina. Nadal siedziała prosto. Nie ufałem jej, więc wyszarpnąłem go szybko. Ręka sięgająca po sztylet nie była już dość silna. Szkarłatne strumienie spłynęły po białym boku klaczy. Zachwiała się. Ześlizgnąłem się ze swego konia, by złapać ją, nim runie na ziemię.

Jej ciężar przygnoił mnie do ziemi. Klęczałem, trzymając jej głowę i ramiona na rękach, czulem jej puls. Jeszcze żyła, ale jej cień został już wezwany. Spojrzała na mnie oczami tak błękitnymi i jasnymi jak rozświetlona słońcem woda.

– Modliłam się, żebyś to był ty – powiedziała.

– Król powinien ginąć z rąk najlepszego przeciwnika – rzekłem

– a ty jesteś królem w Scytii.

– Dziękuję, że skończyłeś szybciej, zanim okazało się, że brak mi twojej siły. Rozgrzeszam cię z mojej śmierci... w imię Łuczniczki Dziewicy.

Nastąpiły przedśmiertne konwulsje, ale jej usta ciągle się poruszały. Pochyliłem się nad nią, żeby usłyszeć.

– Kiedy królowa umiera od topora, ostatnie tchnienie musi oddać w usta zabójcy, który będzie rządzić po niej. – Kasznięcie. Zmusiła się, by dokończyć. – Weź mój oddech... Weź mego ducha... aż sam staniesz się cieniem, a wtedy poproszę cię, byś mi go oddał.

W jej ustach nie było krwi. Resztką swych sił tchnęła na mnie i tak umarła. Położyłem ją delikatnie na ziemi i wstałem. Wrzeszcząc z rozpacz i żalu, jej wojowniczkami ruszyły na mnie. Osłonili mnie Myrmidoni, dzięki czemu mogłem wyprowadzić swoją brązową klacz z pola. Chciałem znaleźć Automedona. To siedzisko z drewna i skóry było łupem wartym więcej niż rubiny.

Nagle usłyszałem czyjś głos.

– Cóż za przedstawienie dałeś tłumowi, Achillesie. Chyba niewielu mężczyzn i kobiet widziało, jak ktoś kocha się z trupem.

Odwróciliśmy się z Automedonem, ledwie wierząc własnym uszom. Tersytes – stał, uśmiechając się szyderczo. Czyżby wojownicy gardzili mną do tego stopnia, że ktoś taki jak on pozwalał sobie szydzić mi w twarz i czuł się bezpiecznie?

– Co za szkoda, że one zaatakowały i nie mogłeś dokończyć – drwił. – Miałem nadzieję, że zobaczę twoją najpotężniejszą broń.

Trzęsąc się z lodowatego gniewu, podniosłem rękę.

– Odejdź, Tersytesie! Idź i schowaj się za swoim kuzynem Diomedesem albo zjadliwym Odyseuszem!

Odwrócił się na pięcie.

– Prawda w oczy kole, czyż nie?

Uderzyłem go bez zastanowienia, czując kłujący ból aż po same ramię, gdy moja pięść trafiła w kark pod hełmem. Upadł jak kamień, zwijając się na ziemi niczym wąż. Automedon dyszał z gniewu.

– A to pies! – powiedział, klękając. – Złamałeś mu kark, Achillesie, nie żyje. Jednego szydery mniej!

Pobiliśmy Amazonki bez trudu, gdyż serce umarło w nich wraz z Pentesileą. Walczyły tylko po to, by zginąć w tej pierwszej wyprawie w świat mężczyzn. Po walce szukałem wszędzie ciała królowej, ale nie mogłem go znaleźć. Kiedy dzień zgasł, przyszedł do mnie jeden z moich Myrmidonów.

– Panie, widziałem, jak ciało królowej zabierano z pola.

– Gdzie? I kto to zrobił?

– Król Diomedes. Przybył z Argiwami, odarli jej ciało z odzienia, potem przywiązali za pięty do rydwanu i odjechali z nią i jej zbroją.

Diomedes? Nie mogłem prawie w to uwierzyć, ale kiedy ludzie zaczęli porządkować pole, poszedłem do niego.

– Diomedesie, czyżbyś zabrał mój łup, królową Amazonek?

– Tak! – warknął, z błyszczącymi oczami. – Wrzuciłem ją do Skamandra.

– Dlaczego? – spytałem spokojnie.

– A dlaczego nie? Zabiłeś mojego kuzyna Tersytesa. Jeden z moich ludzi widział, jak uderzyłeś go, gdy był odwrócony plecami. Zasłużyłeś na to, by stracić królową i jej broń!

Zacisnąłem pięści.

– Działasz zbyt pośpiesznie, mój przyjacielu. Znajdź Automedona i zapytaj go, co powiedział mi Tersytes.

Wziąłem kilku Myrmidonów i poszedłem szukać królowej, choć

nie sądziłem, że ją znajdę. W Skamandrze był silny prąd, a poziom rzeki znowu się podniósł. W ciągu dwunastu dni oplakiwania Hektora naprawiliśmy wały rzeczne, aby powódź nie zalała nam obozu. Poza tym na Idzie ciągle padało.

Zapadła ciemność. Zapaliliśmy pochodnie i błądziliśmy w dół i w górę brzegu, szukając ciała pod krzakami i wierzbami. Wtedy ktoś krzyknął. Pobiegłem w stronę głosu, wyteżając wzrok. Leżała w strumieniu, podskakując na falach. Jeden z jej długich, jasnych warkoczy zaczepił się o gałąź tego samego wiązu, który uratował mi życie. Wyciągnąłem ją i zawinałem w koc. Potem położyłem ją na białej klaczy, którą Automedon znalazł, przemierzając puste pole.

Kiedy wróciłem do domu, Bryzejda czekała na mnie.

– Kochany, był tu Diomedes i zostawił dla ciebie pakunek. Powiedział, że przyszedł ze szczerymi przeprosinami i że on zrobiłby z Tersytesem to samo.

Przysłał mi rzeczy Pentesilei. Pochowałem ją potem w tym samym grobie, co Patroklesa, kładąc w pozycji Króla Wojownika, w zbroi, z bronią i złotą maską zakrywającą twarz. Białą klacz złożyłem u jej stóp, by nie musiała iść pieszo do królestwa zmarłych.

Rankiem nie było śladu Trojan na równinie, następnego dnia też nie. Poszedłem do Agamemnona, zastanawiając się, co teraz zrobi. Był u niego Odyseusz, radosny i pewny siebie jak zawsze.

– Nie bój się, Achillesie, oni znowu wyjdą. Priam czeka na Memnona, który nadchodzi z wieloma wyborowymi regimentami Hetytów, nabytymi od króla Hattusilisa. Jednakże moi agenci donoszą, że Hetyci są jeszcze o pół księżyca stąd. Tymczasem mamy inny problem. Panie, czy mógłbyś wyjaśnić? – zwrócił się do Agamemnona. Zręczne. Zawsze wiedział, kiedy dyplomatyczniej jest odwołać się do arcykróla.

– Oczywiście – rzekł nasz arcykról wyniośle. – Achillesie, minęło osiem dni, odkąd widzieliśmy ostatni statek zaopatrzeniowy z Assos.

Podejrzewam atak Dardan. Czy zechciałbyś wziąć wojsko i zobaczyć, co tam się dzieje? Nie możemy pozwolić sobie na walkę z Memnonem i jego Hetytami o pustych brzuchach, ale nie możemy też walczyć z nim osłabieni liczebnie. Zatem musisz wyprostować sprawę w Assos i wrócić tu jak najszybciej.

Kiwnąłem głową.

– Dobrze, panie. Wezmę dziesięć tysięcy ludzi, ale nie Myrmidonów. Czy mam pozwolenie werbowania gdzie indziej?

– Oczywiście, oczywiście! – Był w bardzo dobrym nastroju.

Sprawy w Assos miały się tak, jak przewidywał Agamemnon. Dardanie oblegali naszą bazę. Stoczyliśmy ciężką walkę, zanim przedarliśmy się pod mury obronne i stamtąd wygnaliśmy ich na otwarte pole. Była to armia oberwańców, różnobarwna i różnojęzyczna. Ten, kto władał teraz w Lyrnessos, zebrał znikąd, prawdopodobnie z całego wybrzeża, piętnaście tysięcy ludzi. Przypuszczalnie szli do Troi, ale nie mogli się oprzeć pokusie, jaką stanowiło po drodze Assos. Zatrzymały ich wały obronne, a ja zdążyłem przybyć, nim zdołali się wedrzeć do środka. Zatem niczego nie dostali, nie dotrą też do Troi.

Skończyliśmy z nimi w cztery dni, a piątego wsiedliśmy na statki. Przez całą drogę były przeciwne wiatry i prądy. Zatem dopiero szóstego dnia, gdy było już bardzo ciemno, dotarliśmy na plażę pod Troją. Udałem się prosto do domu Agamemnona, zauważając po drodze, że wojsko nie próżnowało w czasie mojej nieobecności.

Spotkałem Ajaksa w portyku i pozdrowiłem go. Chciałem jak najszybciej poznać szczegóły.

– Co się stało?

Kąciki jego ust opadły.

– Memnon przybył wcześniej, niż się spodziewaliśmy, z dziesięcioma tysiącami Hetytów. Potrafią walczyć, Achillesie! A my

jesteśmy zmęczeni. Chociaż mieliśmy przewagę liczebną i Myrmidoni byli z nami, tuż przed zapadnięciem ciemności zepchnęli nas za wały.

Kiwnąłem głową w kierunku zamkniętych drzwi.

– Czy król królów przyjmuje?

Ajaks uśmiechnął się.

– Porzuć ironię, kuzynku! Nie czuje się najlepiej, jak zwykle po niepowodzeniu. Ale przyjmuje.

– Idź spać, Ajaksie. Jutro ich pokonamy.

Agamemnon wyglądał na bardzo zmęczonego. Siedział jeszcze przy stole, przy którym jadł kolację. Tylko Nestor i Odyseusz dotrzymywali mu towarzystwa. Głowę opuścił na ręce, ale podniósł ją, gdy wszedłem i usiadłem.

– W Assos skończone? – spytał.

– Tak, panie. Statki z dostawami przybędą jutro, a piętnaście tysięcy żołnierzy zwervowanych przez Troję nigdy tu nie dotrze.

– Wspaniale! – rzekł Odyseusz.

Nestor milczał – to do niego niepodobne. Spojrzałem na niego przez stół i zdumiałem się. Miał potargane włosy i brodę, podkrążone oczy. Kiedy zauważył, że na niego patrzę, poruszył ręką bez wyraźnego celu, a po jego policzkach popłynęły łzy.

– Co się stało, Nestorze? – spytałem łagodnie. Choć chyba już się domyślałem.

Brakowało mu tchu i głos drżał od płaczu.

– Och, Achillesie! Antiloch nie żyje.

Zakryłem oczy dłonią.

– Kiedy?

– Dziś, na polu. To moja wina, moja wina... Ruszył, żeby wybawić mnie z kłopotu, w tym momencie Memnon przeszył go włócznią. Nie mogę nawet oglądać jego twarzy! Włócznia przeszła przez potylicę i rozbiła mu głowę, wychodząc przez usta. A był taki piękny. Taki piękny!

Zgrzytnąłem zębami.

– Memnon będzie za to cierpieć, Nestorze. Przysięgam na rzekę Spercheus.

Starzec potrząsnął głową.

– Och, Achillesie, czy to ma znaczenie? Antilochos nie żyje. Ciało Memnona mi go nie zwróci. Straciłem pięciu synów na tej przeklętej równinie – pięciu z moich siedmiu synów. Antilochos był mi z nich najdroższy. Zmarł, mając dwadzieścia lat, a ja zbliżam się do dziewięćdziesiątki. Nie ma sprawiedliwości w decyzjach bogów.

– Skończymy to jutro? – spytałem Agamemnona.

– Tak, jutro – odparł. – Mam już dość tej Troi! Nie zniosę kolejnej zimy tutaj. Nie mam żadnych wieści z domu. Żona nie przysyła posłańców ani Egist. Kiedy posyłam swoich, wracają, żeby mnie poinformować, że w Mykenach wszystko dobrze. Ale ja tęsknię za domem! Chciałbym spotkać się z Klitajmestrą. Moim synem. Moimi dwoma pozostałymi córkami. – Spojrzał na Odyseusza. – Jeśli do jesieni Troja nie upadnie, wracam do domu.

– Troja zostanie wzięta do jesieni, panie. – W szarych oczach tego zimnego, żelaznego człowieka odbiło się zmęczenie. Westchnął ciężko. – Ja także mam dość Troi. Skoro mam spędzić dwadzieścia lat z dala od Itaki, to te drugie dziesięć lat wolę przeżyć wszędzie, byle nie tu. Wolę już raczej syreny, harpie i czarownice razem wzięte od tych nudnych Trojan.

Uśmiechnąłem się.

– Syreny, harpie i czarownice razem wzięte nawet nie przeczu-

wają, na kogo trafią i z kim przyjdzie się im zmierzyć, Odyseuszu. Dla mnie jednak to wszystko nie ma już znaczenia. Końcem mojego świata jest Troja.

Znając wyrocznie, Odyseusz nie odezwał się. Patrzył tylko w swój kielich z winem.

– Obiecaj mi jedną rzecz, Agamemnonie – rzekłem.

Znowu położył głowę na rękach.

– Wszystko, co chcesz.

– Pochowaj mnie w grobie z Patroklesem i Pentesileą i dopilnuj, by Bryzejda wyszła za mojego syna.

Odyseusz zeszywniał.

– Zostałeś wezwany, Achillesie?

– Nie. Ale to musi nastąpić już wkrótce. – Wyciągnąłem do niego rękę. – Obiecaj, że mój syn dostanie zbroję.

– Już ci to obiecałem. Dostanie ją.

Nestor otarł oczy i wytarł nos w rękaw.

– Wszystko będzie, jak chcesz, Achillesie. – Szarpnął potargane włosy drżącymi palcami. – Gdyby tylko bogowie zechcieli mnie wezwać! Modłę się i modłę, ale oni nie słyszą. Jak mam wrócić do Pylos bez synów? Co powiem ich matkom?

– Wrócisz, Nestorze – rzekłem. – Masz ich jeszcze dwóch. Kiedy staniesz na swoich bastionach i spojrzysz w dół na piaszczystą plażę, Troja odpłynie w sen. Nie zapominaj jednak o tych, którzy padli, i składaj libacje.

Ściąłem głowę Memnona i rzuciłem jego ciało do stóp Nestorowi. Tego dnia nabraliśmy świeżego ducha. Skończyła się krótka przewaga Trojan. Wolno cofali się przez równinę, podczas gdy ja – z obcym mi cierpieniem we wnętrzu – zabijałem i zabijałem.

Moje ramię zdawało się jakby wolniejsze, choć topór bił tak samo często i zawzięcie jak przedtem. Kiedy jednak wycinałem najlepszych wojowników króla Hattusilisa, złożonych na zakrwawionym ołtarzu Troi, rzeź brzydła mi coraz bardziej. Gdzieś w zakątku umysłu usłyszałem wzdychający głos, chyba mojej matki, zamazany łzami.

Pod koniec dnia oddałem szacunek Nestorowi, uczestnicząc w rytualnym pożegnaniu Antilocha. Złożyliśmy chłopaka obok jego czterech braci w pieczarze wykutej w skale, przeznaczonej dla domu Neleusa, i rzuciliśmy Memnona u jego stóp jak psa. Myśl o igrzyskach pogrzebowych i uczcie była dla mnie nie do zniesienia. Wymknąłem się.

Bryzejda czekała. Czy kiedyś nie czekała?

Wziąłem jej twarz w dłonie i powiedziałem:

– Ty zawsze oddalasz ode mnie żal.

– Usiądź i dotrzyмай mi towarzystwa – powiedziała.

Usiadłem, ale nie mogłem rozmawiać, wokół mego serca zbierał się straszliwy chłód. Gwarzyła radośnie, dopóki nie spojrzała na mnie. Wtedy jej ożywienie odpłynęło.

– O co chodzi, Achillesie?

Potrząsałem niemo głową i wstałem, aby wyjść na zewnątrz. Stanałem z głową uniesioną ku bezkresnym dalom nieba.

– O co chodzi, Achillesie?

– Och, Bryzejdo! Moja dusza jest rozdarta! Nigdy aż do tej pory nie czułem wiatru tak przenikliwie, nie czułem życia tak silnie w swoich nozdrzach, nie widziałem gwiazd tak nieruchomych, tak jasnych!

Pociągnęła mnie gwałtownie.

– Chodź do środka.

Pozwoliłem się zaprowadzić i usiadłem na krześle. Ona opadła u moich stóp i położyła ręce na moich kolanach, zaglądając mi w twarz.

– Achillesie, czy to twoja matka?

Chwyciłem jej brodę w palce, uśmiechając się.

– Nie, moja matka opuściła mnie na dobre. Słyszałem, jak płacze, żegnając mnie na polu. Zostałem wezwany, Bryzejdo. W końcu bóg mnie wezwał. Zawsze zastanawiałem się, jak to będzie. Nigdy jednak ani przez chwilę nie sądziłem, że będzie to tak dojmująca świadomość życia. Myślałem, że wszystko będzie chwałą i uniesieniem, czymś, co mnie poniesie fizycznie do ostatniej walki. A to, co czuję, jest spokojne i pełne litości. Jestem spokojny. Żadnych demonów minionych lat, żadnego lęku o przyszłość. Jutro wszystko się skończy. Jutro przestanę istnieć. Bóg przemówił. On mnie już nie puści.

Zaczęła protestować. Zakryłem jej usta dłonią.

– Człowiek musi odejść z honorem, Bryzejdo. Bóg tego żąda, nie ja. Nie jestem Heraklesem ani Prometeuszem, by mu się opierać. Jestem śmiertelnikiem. Żyłem trzydzieści jeden lat, widziałem i czułem więcej niż większość ludzi, którzy byli świadkami, jak liście żółkną na drzewach sto razy. Nie chcę żyć dłużej od murów Troi. Wszyscy wielcy wojownicy tu zginą. Ajaks! Ajaks! Nie byłoby dobrze, gdybym przeżył. Spojrzę w twarze Ifigenii i Patroklesa za rzeką bez żadnych uczuć. Nasze nienawiści i miłości należą do świata żyjących – żadna rzecz nie jest dość silna, żeby przetrwać w świecie umarłych. Staralem się. Niczego więcej nie mogę zrobić. Modliłem się, by przyszłe pokolenia śpiewały o mnie pieśni. Tylko na taką nieśmiertelność może liczyć człowiek. Świat umarłych nie daje żadnej radości, ale nie przynosi też smutku. Jeśli pokonam Hektora milion razy na ustach żyjących ludzi, nigdy tak naprawdę nie umrę.

Płakała i płakała. Jej kobiece serce nie mogło pojąć zawilości

tej osnowy w przedzy czasu. Nie potrafiła się cieszyć ze mną. Ból po pewnym czasie osiąga taką głębię, że nawet łyzy obsychają. Leżała teraz cicho i spokojnie.

– Jeśli umrzesz, i ja umrę – powiedziała.

– Nie, Bryzejdo. Idź do mojego syna, Neoptolemosa, i zostań jego żoną. Daj mu synów, których ja z ciebie nie miałem. Nestor i Agamemnon ślubowali, że tego dopilnują.

– Nie mogę tego obiecać nawet tobie. Przeniosłeś mnie z jednego życia do drugiego. Nie może być trzeciego. Muszę umrzeć z tobą, Achillesie.

Podniosłem ją, uśmiechając się.

– Kiedy twoje oczy spoczną na moim synu, zmienisz zdanie. Rolą kobiety jest nas przeżyć. Jesteś mi winna tylko jeszcze tę jedną noc. A potem oddam cię Neoptolemosowi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

OPOWIEŚĆ AUTOMEDONA

Szliśmy przez groble z lekkim sercem. Mieliśmy stawić czoło wojsku tak okrojonemu, że ledwie istniejącemu. Achilles obok mnie był niezwykle milczący, jednak nie pytałem go o powód tego nastroju. Stał niczym latarnia morska, w tej swojej złotej zbroi. Gdy wyjechaliśmy na otwarty teren, piękne złote pióra na hełmie powiewały na wietrze, uderzając go po ramionach. Oczekując na jego zwyczajowy, przyjacielski uśmiech, odwróciłem się bokiem i uśmiechnąłem. Tego dnia jednak on zapomniał o naszym małym rytuale. Patrzył przed siebie, nie wiem na co. Na jego pochmurnej twarzy malował się surowy spokój i skupienie. Nagle poczułem, jakbym wiózł kogoś obcego. Ani razu nie przemówił do mnie podczas jazdy na plac boju i w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Powinno to mnie przygnębić, ale jakoś w niewytłumaczalny sposób tak się nie stało. Czułem się raczej podtrzymany na duchu, jakby coś w nim mnie umacniało.

Walczył lepiej niż w całym swoim życiu, jakby chciał zasłużyć na chwałę tym jednym dniem. Nie pogrążył się w swoim zwykłym zapale zabijania, lecz starał się dbać o Myrmidonów. Walczył mieczem, nie toporem, w całkowitym milczeniu, tak jak postępuje król, gdy składa doroczną ofiarę bogu. Ta myśl zrodziła inną – nagle zrozumiałem różnicę, która w nim nastąpiła. Zawsze był księciem, nigdy królem. Tego dnia zachowywał się jak król. Zastanawiałem się, czy miał jakieś przeczucie, że Peleus nie żyje.

Kiedy manewrowałem rydwanem po polu, spoglądałem od czasu do czasu w niebo, niezadowolony z pogody. Po świcie było nadal ponuro i mroczno. Zapowiadało się nie tyle ochłodzenie, ile burza. Niebo miało teraz dziwnie miedziany kolor, na wschodzie

i północy zbierały się czarne chmury. Nad Idą, gdzie, jak byliśmy pewni, zebrali się bogowie obserwujący walkę, co jakiś czas pojawiały się błyskawice.

To był zupełny pogrom. Trojanie nie mogli wytrzymać naszego naporu. Wszyscy dowódcy w naszym wojsku mieli w sobie coś z ogromnej postaci i dostojęstwa Achilleśa, którego głowę otaczały jakby promienie Heliosa. Pomyślałem, że ich siła z niego promieniuje. Stał się najwyższym z królów.

Niedługo potem Trojanie załamali się i zaczęli uciekać. Szukałem Eneasza, zastanawiając się, czy będzie usiłował ich zatrzymać. Ale chyba miał pechowy dzień, ponieważ nigdzie nie było go widać. Później dowiedziałem się, że się ukrywał i nie chciał posłać swoich ludzi ze wsparciem. Słyszeliśmy, że był nowy następca o imieniu Troilos. Potem przypomniałem sobie, że Achilles mówił mi, iż Priam obraził Eneasza w czasie, gdy wyznaczał Troilosa na następcę. No cóż, dziś Eneasza udowodnił, że obrażenie księcia Dardanów było głupim posunięciem.

Już wcześniej widzieliśmy Troilosa na polu, w dniach, gdy walczyła Penthesilea i Memnon. Miał szczęście, bo nigdy nie podchodził za blisko Achilleśa czy Ajaksa. Dziś to się zmieniło. Achilles ścigał go bezwzględnie, jadąc za nim, gdziekolwiek się ruszył i coraz bardziej się do niego zbliżał. Kiedy Troilos zobaczył, że nie ma odwrotu, zawołał o wsparcie. Jego ludzie byli mocno atakowani. Widziałem, że pchnął posłańca do Eneasza, który stał niedaleko. Widziałem, jak ten człowiek z nim rozmawia. Eneasza pochylił się ze swego rydwanu, co znaczyło, że wieści go zainteresowały. Widziałem, że posłaniec odchodzi. Ale nie zauważyłem, żeby Eneasza kiwnął choćby palcem, by pomóc. Zamiast tego przeniósł swój rydwan i ludzi w inne miejsce.

Troilos był dość odważny. Był bratem Hektora. Za parę lat mógłby stać się drugim Hektorem. Lecz w swoim wieku nie miał szans. Kiedy podjechałem bliżej, uniósł włócznię, woźnica trzymał

rydwan w równowadze do rzutu, jednego, który mógł oddać, zanim podjechaliśmy bliżej. Poczułem, jak ramię Achillesa szoruje po moim, i wiedziałem, że podnosi Stary Pelion. Wielka włócznia pofrunęła wspaniałym lotem, torując sobie drogę prosto jak drzewce rzucone przez Apolla. Żelazny grot zagłębił się w gardle chłopaka, odbierając mu głos. Ponad głowami zrozpaczonych żołnierzy trojańskich zobaczyłem, jak Eneasz przygląda się temu z lodowatą twarzą. Wzięliśmy zbroję Troilosa i jego zaprzęg i wycięliśmy resztkę jego ludzi w pień.

Po śmierci Troilosa Eneasz powrócił do życia. Pozbył się apatii i wgryzał się resztkami trojańskiej armii wszędzie, gdzie mógł, ale zawsze uważał, żeby nie dostać się w zasięg włóczni Achillesa. Nędzny Dardańczyk. Rozpaczliwie pragnął żyć. Zastanawiałem się, jaka pasja nim kierowała, ponieważ nie był tchórzem.

Słońce znikło za chmurami, szybko nadciągała burza. Potężne moce zbierały się w niebie i żołnierze zaczęli mamrotać na głos o złych znakach. Chmury opadały coraz niżej, błyskawice waliły coraz bliżej, ponad rykiem bitwy słyszeliśmy grzmoty. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego nieba ani tak nie czułem w kościach Ojca Niebios. Ciarki mnie przechodziły. Było coraz mroczniej, światło nabrało jakby fosforyzującego blasku. Chmury były tak czarne jak broda Hadesa i tak kłębiaste jak ogromny dym ze spalonego tłuszczu. W świetle błyskawicy niebo rozpalało się żywym błękitem. Słyszałem, jak Myrmidoni mówią za nami, że Ojciec Zeus posyła nam znaki o całkowitym zwycięstwie. Z tego, jak zachowywali się Trojanie, wyczytałem, że i oni tak to odbierają.

Przed nami pojawił się słup białego ognia. Zaprzęg stanął dęba i musiałem zakryć oczy, bojąc się, że oślepnę. Kiedy znowu zacząłem widzieć, spojrzałem na Achillesa.

– Lepiej zsiądźmy – powiedziałem. – Bezpieczniej będzie na ziemi.

Po raz pierwszy tego dnia jego wzrok spotkał się z moim.

Patrzyłem na niego oszołomiony. Pioruny jakby igrały wokół jego głowy. Jego złote oczy błyszczały radośnie. Roześmiał się, lekceważąc moje obawy.

– Widzisz, Automedonie? Widzisz to? Mój prapradziad przygotowuje się do żałoby po mnie! Uznał mnie za godnego potomka swego nasienia!

Otworzyłem usta.

– Do żałoby? Achillesie, o czym ty mówisz?

W odpowiedzi ścisnął mnie mocno za nadgarstki.

– Zostałem wezwany. Dzisiaj umrę, Automedonie. Myrmidoni należą do ciebie, dopóki nie pošlesz po mojego syna. Ojciec Zeus przygotowuje się na moją śmierć.

Nie mogłem w to uwierzyć. Nie chciałem w to wierzyć! Jak człowiek ogarnięty koszmarem pogoniłem zaprzęg do przodu. Kiedy mój wstrząs trochę minął, zacząłem myśleć, co powinienem zrobić. Nieznacznie przysuwałem rydwan do Ajaksa i Odyseusza, których ludzie walczyli obok nas.

Nawet jeśli Achilles zauważył, co robię, zlekceważył to. Spojrzałem w niebo i modliłem się, błagałem Ojca, by wziął moje życie, a jego oszczędził. Bóg jednak tylko zaryczał pogardliwie i wprawił mnie w drżenie. Trojanie rzucili się gwałtownie ku swoim murom. Podążyliśmy za nimi na łeb na szyję, aby im odciąć odwrót. Ajaks był coraz bliżej nich. Nie przestawałem kierować rydwanu ku niemu. Chciałem mu przekazać, że Achillesowi wydaje się, iż został wezwany. Jeśli ktokolwiek mógł go wyprowadzić z błędu, to tylko Ajaks.

Znaleźliśmy się w cieniu Zachodniej Kurtyny, zbyt blisko Bramy Skajskiej, żeby Priam zgodził się ją otworzyć. Achilles, Ajaks i Odyseusz starali się za wszelką cenę odciąć Eneasza od bramy. Achilles był zdeterminowany go dostać. Czułem to nawet w jego

milczeniu, gdy modliłem się, by nie miał okazji podejść do tego najniebezpieczniejszego z wszystkich przeciwników.

Usłyszałem pomruk zadowolenia. Zobaczyłem, że Dardańczyk znalazł się w zasięgu rzutu, a był zbyt osaczony, by obronić się przed wszystkimi.

Stanowił doskonały cel. Achilles uniósł Stary Pelion, napiął muskuły, zbierając siłę do rzutu. Ukazała się jego naga pacha pokryta złotymi włosami. Zafascynowany ocenilem wzrokiem tor włóczy ku Eneaszowi. Wiedziałem, że życie Dardańczyka skończyło się. Że ostatnia wielka groźba przestanie istnieć.

Wszystko zdarzyło się jakby w tej samej chwili. Przysięgam, że to nie ruch rydwanu wybił Achillesa z równowagi. Przeniósł ciężar na prawą stopę i zachwiał się, choć był dobrze zaczepiony w strzemieniu. Gdy usiłował odzyskać równowagę, jego prawe ramię powędrowało wyżej. Usłyszałem świst i zobaczyłem, jak w nagiej pasze prawie po jasnobłękitne lotki zagłębia się strzała. Stary Pelion nie rzucony upadł na ziemię. Achilles zaryczał jak tytan, a potem wydał wojenny okrzyk Chirona głosem przepelnionym tryumfem, jakby pokonał samą śmiertelność. Jego ramię opadło, wbijając strzałę po sam koniec. Trzymałem zaprzęg obiema rękami. Ksantos stawał dęba, Balios zwiesił głowę, a Podagros bił kopytami. Jednak nie było Patroklesa, który by za nie wyraził ludzkim głosem żal i przerażenie.

Wszyscy, którzy usłyszeli wojenny okrzyk, odwrócili się, by spojrzeć. Ajaks wrzeszczał, jakby on także został trafiony. Krzyczał z wściekłości i bezsilności, wskazując wyciągniętą ręką. Bezpieczny za skałą stał Parys ze swym łukiem i uśmiechał się.

Po chwili Achilles runął przez poręcz rydwanu w ramiona Ajaksa. Kuzyn położył go na ziemi z przenikającym nasze serca brzękiem zbroi, którego nigdy nie zapomnimy. W jednej chwili znalazłem się obok nich. Ajaks klęczał, trzymając go z w ramionach. Zdjął mu hełm i patrzył niemo w jego nabiegającą szkarłatem twarz.

Achilles widział, kto mu pomaga, ale widok śmierci był potężniejszy, bliższy. Na próżno próbował przemówić. Słowa nie wydobyły się. Przez moment w jego oczach pojawiło się pożegnanie, potem źrenice rozszerzyły się i żółte tęczęwki pochłonęła matowa czerń. Trzy potężne szarpnięcia, zduszone przez Ajaksa, i było po wszystkim. Nie żył. Achilles nie żył. Patrzyliśmy w przezroczyście, puste okna jego oczu i nic za nimi nie widzieliśmy. Ajaks położył olbrzymią niezgrabną dłoń, by opuścić powieki. Potem nałożył mu z powrotem hełm i ciasno zawiązał. Łzy spadały mu coraz szybciej i szybciej, a usta wykrzywił grymas.

Nie żył. Achilles nie żył. Jak mogliśmy to znieść?

Szok poraził obie armie. Nagle Trojanie spadli na nas jak psy zlizujące ludzką krew. Chcieli dostać ciało i zbroję. Odyseusz skoczył na nogi, nie ukrywając, że płacze. Myrmidoni stali w milczeniu, nie godząc się z tym, co zaszło. Pochyliwszy się, Odyseusz chwycił Stary Pelion i zamachał nim w ich twarze.

– Macie zamiar pozwolić im go zabrać? – wrzasnął, spluwając. – Widzieliście, jaka psia sztuczka go zabrała! Macie zamiar tak stać i pozwolić im zabrać jego ciało? W imię samego Achillea, nie opuszczajcie go teraz!

Wyrwał ich z szoku i ustawił w szyku. Teraz, póki żył choć jeden z nich, żaden Trojanin nie mógł zbliżyć się do Achillea. Formując się przed nami, zaatakowali z dzikim i posępnym żalem. Odyseusz pomógł płaczącemu Ajaksowi wstać na nogi. Razem z nim wziął bezwładne, ciężkie ciało na ręce.

– Zanieś go na tyły, Ajaksie. Dopilnuję, aby nikt się tam nie przedarł.

Jakby po namyśle włożył Ajaksowi Stary Pelion w prawą rękę i pchnął go w drogę. Zawsze odnosiłem się z rezerwą do Odyseusza, ale on był królem. Z mieczem w ręce odwrócił się i szeroko rozstawił stopy, nadal parując krwią Achillea. Przyjeliśmy atak Trojan

i odbiliśmy go. Eneasz wył jak szakał, widząc, jak Ajaks wymyka się. Spojrzałem na Odyseusza.

– Ajaks jest silny, ale nie da rady zanieść Achillesa daleko. Pozwól mi go dogonić i położyć Achillesa na wozie.

Skinał przyzwalająco.

Zatem zawróciłem zaprzęg, by dogonić Ajaksa, który wyłonił się na tyłach, za liniami, i szedł dalej ku plaży. W chwili, gdy byłem jeszcze za daleko, żeby mu pomóc, minął mnie rydwan, którego woźnica kierował się ku Ajaksowi. Był w nim jeden z synów Priama, ponieważ nosił purpurowe insygnia Domu Dardanosa na swoim pancerzu. Próbując popędzić trochę swój zaprzęg, krzyknąłem ostrzegawczo do Ajaksa. Ale on zdawał się nie słyszeć.

Książę trojański zszedł, uśmiechając się, z mieczem w dłoni, ze swojej grzędy. Znaczyło to, że nie zna Ajaksa, który nigdy nie chybiał, nawet w trakcie marszu. Olbrzym podrzucił Achillesa wyżej na ramiona i plunął na Trojańczyka Starym Pelionem, który Odyseusz włożył mu wcześniej do ręki.

– Ajaksie, połóż go w moim wozie – zawołałem, kiedy się z nim zrównałem.

– Zaniosę go do domu.

– To za daleko, zabijesz się.

– Zaniosę go!

– W takim razie – rzekłem zrozpaczony – zdejmijmy z niego zbroję i włóżmy do wozu. Będzie ci lżej.

– A ja poczuje jego ciało, a nie skorupę. Zgoda, zrobmy tak.

W chwili gdy Achilles został uwolniony z ogromnego ciężaru, Ajaks ruszył dalej z kuzynem w ramionach, całując jego brudną twarz, mówiąc do niego i nucąc mu cicho.

Wojsko powoli szło za nami przez równinę. Jechałem

rydwanem tuż za Ajaksem, który szedł zdecydowanym, równym krokiem, jakby miał z Achillesem przejść sto mil.

Bóg długo powstrzymywał swój ból. Wreszcie uwolnił go na nasze głowy i cały nieboskłon wybuchnął białymi grotami błyskawic. Zaprzęg zadrżał i zatrzymał się, konie zeszywniały ze strachu. Nawet Ajaks musiał się zatrzymać, kiedy trzasnął piorun i przetoczył się nad jego głową. Błyskawica kreśliła wspaniałą koronkę w chmurach. W końcu zaczął padać deszcz, ogromne, ciężkie krople spadały rzadko, jak gdyby bóg nie potrafił swobodnie zapłakać. Tempo deszczu narastało. Wkrótce brnęliśmy w morzu błota. Wojsko zrównało się z nami, wszystkie konflikty musiały ustąpić wobec potęgi Gromowładnego i razem wprowadziliśmy Achillea przez groblę przy Skamandrze – Ajaks na czele, a królowie za nim. W deszczu położyliśmy go na marach, podczas gdy Ojciec obmywał jego krew niebieskimi łzami.

Poszedłem z Odyseuszem poszukać Bryzejdy. Stała w drzwiach, jakby na nas czekała.

- Achilles nie żyje – powiedział Odyseusz.
- Gdzie jest? – spytała mocnym głosem.
- Przed domem Agamemnona.

Odyseusz płakał. Bryzejda pogłaskała go po ramieniu i uśmiechnęła się.

- Nie trzeba płakać, Odyseuszu. On będzie nieśmiertelny.

Nad marami rozciągnięto przed deszczem baldachim. Bryzejda pochyliła się pod jego krawędzią i stanęła, patrząc na szczątki tego wspaniałego człowieka. Woda i krew pobrudziła jego jasne włosy i pustą, nieruchomą twarz. Zastanawiałem się, czy ona widzi to samo co ja – jego bezwargie usta po śmierci wyglądały normalnie, tak jak nigdy za życia. Z nimi jego twarz stała się twarzą prawdziwego wojownika.

Jednak tego, co sobie pomyślała, nie wypowiedziała na głos, wtedy ani nigdy. Z czułością pochyliła się i ucałowała jego powieki, wzięła jego dłonie i ułożyła mu na piersi. Poprawiała i naciągała ubranie, aż uznała, że leży tak, jak powinno.

Nie żył. Achilles nie żył. Jak mogliśmy to znieść?

Oplakiwaliśmy go przez siedem pełnych dni. Ostatniego wieczora, kiedy słońce zachodziło, złożyliśmy jego ciało na złotym śmiertelnym rydwanie i zawieźliśmy przez Skamander do grobu w skale. Bryzejda szła za nami, gdyż nikt nie miał serca jej przepędzić. Szła na końcu długiego konduktu ze złożonymi rękami i pochyłoną głową. Głównym żałobnikiem był Ajaks, trzymał głowę Achillesa na swej dłoni, kiedy wnoszono go do jaskini. Ciało było ubrane w złoto, ale nie w złotą zbroję. Tę Agamemnon wziął pod opiekę.

Kapłani odśpiewali pieśni, nałożyli mu złotą maskę na twarz i dokonali libacji. Wolno wyszliśmy z grobu, który dzielił z Patroklesem, Pentesileą i dwunastoma młodymi szlachcicami z Troi. Z wszystkich dziwnych wydarzeń i znaków najdziwniejsza była atmosfera wewnątrz grobu – słodka, czysta, niewysłowiona. Krew dwunastu młodzieńców w kielichu była nadal płynna i purpurowa.

Odwróciłem się, by sprawdzić, czy Bryzejda idzie za nami, i zobaczyłem, że klęczy obok wozu pogrzebowego. Choć nie miałem nadziei, że zdązę, podbiegłem do niej z Nestorem. Zaniemówiliśmy, gdy ostatkiem sił odłożyła nóż i opadła na ziemię. Tak, to było słuszne! Jak mógł ktoś, kto znał Achillesa, stawić czoło światłu dnia? Pochyliłem się, by podnieść nóż, ale Nestor powstrzymał mnie.

– Odejdźmy stąd, Automedonie. Oni nie chcą tu obcych.

Uczta żałobna odbyła się następnego dnia, ale Agamemnon obwieścił, że nie będzie igrzysk.

– Wątpię, by ktokolwiek miał ducha i chciał brać udział

w zawodach. Ale nie to jest powodem. Powód leży w tym, że Achilles nie chciał być pochowany w zbroi, którą jego matka – bogini! – zamówiła u Hefajstosa. Chciał, by pancerz był nagrodą dla najlepszego mężczyzny, który zostanie żywy pod Troją. A nie nagrodą w igrzyskach pogrzebowych.

Nie, żebym mu nie uwierzył, ale Achilles nigdy mi o tym nie mówił.

– Panie, na jakiej podstawie będziesz o tym decydować? Wyczynu ramion? Czasami jednak nie one są dowodem autentycznej wielkości.

– Właśnie – rzekł arcykról. – Z tego powodu mam zamiar zarządzić zawody słów. Każdy, kto uważa się za najlepszego wśród żyjących wojowników, niech wystąpi i słowami dowiedzie dlaczego.

Naprzód wystąpiło tylko dwóch zawodników: Ajaks i Odyseusz. Dziwne! Obaj przedstawiali dwa bieguny wielkości: jeden wojownik o silnych ramionach, a drugi dzielny umysłem.

– Dobrze – rzekł Agamemnon. – Ty, Ajaksie, przyniosłeś jego ciało. A ty, Odyseuszu, sprawiłeś, że to stało się możliwe. Niech pierwszy wyjaśni Ajaks, dlaczego uważa, że zasługuje na zbroję.

Wszyscy siedzieliśmy na krzesłach po obu stronach Agamemnona, ja z królem Nestorem i reszta, ponieważ teraz dowodziłem Myrmidonami. Poza nami nie było nikogo.

Ajaks zdawał się zakłopotany i brakowało mu słów. Stał tam, największy człowiek, jakiego znałem, i nie wiedział, co powiedzieć. Nie wyglądał dobrze. Coś stało się z jego prawą stroną, od twarzy po nogę. Kiedy występował naprzód, ciągnął tę nogę za sobą, nie poruszał też normalnie prawą ręką. Lekki wylew, pomyślałem. Ma niewielki wylew. Niosąc kuzyna, nadwreżył swój najsłabszy organ – mózg. Kiedy w końcu przemówił, ciągle się jąkał, szukając słów.

– Wasza Wysokość, arcykrólu, królowie i książęta... Jestem

najbliższym kuzynem Achillesa. Jego ojciec Peleus i mój ojciec Telamon byli braćmi. Ich ojciec Ajakos był synem Zeusa. Mamy wielki rodowód. Mamy wielkie imię. Żądam dla siebie tej zbroi, ponieważ moje imię pochodzi z tego samego rodu. Nie można jej wręczyć temu, kto jest bękartem zwykłego złodzieja.

Rząd dwudziestu mężczyzn poruszył się i nachmurzył. Co ten Ajaks robi, zniesławia Odyseusza? Odyseusz nie protestował. Patrzył w ziemię, jakby był głuchy.

– Przyszedłem pod Troję na ochotnika, podobnie jak Achilles. Żadna przysięga nas nie wiązała. Mnie nie trzeba było demaskować, gdyż nie udawałem szaleńca. Jak Odyseusz. Tylko dwaj mężczyźni w tym wielkim zastępie walczyli z Hektorem wręcz – Achilles i ja. Nie potrzebowałem Diomedesa, aby za mnie wykonywał brudną robotę. Jaki pożytek z tej zbroi przyjdzie Odyseuszowi? Jego słaba prawa dłoń nie jest w stanie rzucać Starym Pelionem. Jego ruda głowa ugięłaby się pod ciężarem hełmu. Skoro wątpicie w moje prawo do własności mojego kuzyna, to rzućcie ją bandzie Trojan i sprawdźcie, kto z nas dwu ją odbierze!

Pokuśtykał do swego krzesła i opadł na nie ciężko.

Agamemnon patrzył zażenowany, ale było oczywiste, że większość z nas zgadzała się z tym, co powiedział Ajaks. Przyglądałem się Odyseuszowi. Dlaczego w ogóle zażądał tej zbroi?

Wystąpił naprzód i stanął swobodnie w rozkroku. Jego rude włosy błyszczały w słońcu. Rudowłosy i leworęki. Żadnej boskiej krwi, to pewne.

– To prawda, że próbowałem się wykręcić od pójścia pod Troję – rzekł Odyseusz. – Wiedziałem, jak długo będzie trwać ta wojna. Ilu z was dobrowolnie przyłączyłoby się do tej wyprawy, wiedząc, jak długo nie będzie was w domu? Jeśli chodzi o Achillesa, to tylko dzięki mnie poszedł pod Troję – tylko ja, nikt inny, przejrzałem intrygę, która miała go zatrzymać na Skyros. Ajaks też tam był, ale

w niczym się nie zorientował. Spytajcie Nestora, on to potwierdzi. Jeśli chodzi o przodków, lekceważę podłą insynuację Ajaksa. Ja także jestem prawnukiem potężnego Zeusa. Jeśli chodzi o odwagę fizyczną, czy ktokolwiek z was wątpi we mnie? Moje ciało nie wygląda imponująco, ale dobrze sobie radzę w bitwie. Jeśli w to wątpicie, policzcie moje blizny. Król Diomedes jest moim przyjacielem i kochankiem, a nie sługą.

Przerwał, słowa przychodziły mu równie łatwo, jak Ajaksowi trudno.

– Ubiegam się o tę zbroję tylko z jednego powodu – ponieważ pragnę zobaczyć ją tam, gdzie sam Achilles chciał ją widzieć. Nie mogę jej nosić, ale czy Ajaks może? Dla mnie jest za duża, a dla niego z pewnością za mała. Dajcie ją mi, zasługuję na nią.

Rozłożył szeroko ramiona, jakby powiedzenie tego nie należało do zawodów, a potem wrócił na swoje krzesło. Wielu teraz się zawahało, ale to się nie liczyło. Wyrok miał i tak wydać Agamemnon.

Arcykról spojrzał na Nestora.

– Co o tym myślisz?

Nestor westchnął.

– Że to Odyseusz zasługuje na zbroję.

– Zatem niech tak będzie. Odyseuszu, weź swoją nagrodę.

Ajaks wrzasnął. Wyciągnął miecz, ale cokolwiek zamierzał zrobić, nie zdążył. Porwał się z krzesła i padł jak długi na ziemię. I tam pozostał. Nie mogliśmy go docucić. W końcu Agamemnon nakazał przynieść nosze i wyniosło go ośmiu żołnierzy. Odyseusz wkładał zbroję do ręcznego wózka, podczas gdy królowie rozpierzchli się, smutni i bez ducha. Poszedłem poszukać wina, by pozbyć się kwasu w ustach. Zanim Odyseusz skończył mówić, wiedzieliśmy już, co zamierza zrobić ze zbroją – oddać ją Neoptolemosowi. Być może w Troi można by ją przekazać bezpośrednio w darze, ale w naszej

części świata zbroja należała do zmarłego i albo chowano ją z nim, albo wystawiano jako nagrodę w pogrzebowych igrzyskach. Szkoda. Tak, później okazało się, że wielka szkoda.

Noc była już w pełni, gdy zrezygnowałem z próby upicia się. Szedłem po opuszczonych ulicach między wysokimi budynkami, szukając światła, jakiegoś miejsca, które dałoby mi pocieszenie. I w końcu znalazłem ogień! Palił się w domu Odyseusza. Zastona była jeszcze nie zaciągnięta w drzwiach, zatem wtoczyłem się do środka.

Siedział z Diomedesem zamyślony, wpatrzony w gasnące węgle. Jego ręka spoczywała na plecach Argiwa, palce wolno pieściły jego nagie ramię. Patrząc na tę solidarność, ja, bezpański pies, poczułem znowu ogarniającą mnie samotność. Achilles nie żyje. Ja prowadziłem Myrmidonów, ja, który nie urodziłem się do tego, by piastować takie stanowisko. Przeróżające. Wszedłem w krąg światła i usiadłem ciężko.

– Nie przeszkadzam? – spytałem poniewczasie.

Odyseusz uśmiechnął się.

– Nie. Napij się wina.

Żołądek mi się wywracał.

– Nie, dzięki. Cały wieczór usiłowałem się upić, ale bez skutku.

– Taki samotny, Automedonie? – spytał Diomedes.

– Bardziej samotny, niż kiedykolwiek bym tego pragnął. Jak mogę zająć jego miejsce? Nie jestem Achillesem!

– Uspokój się – wyszeptał Odyseusz. – Posłałem po Neoptolemosa dziesięć dni temu, kiedy dostrzegłem na jego twarzy cień śmierci. Jeśli wiatry będą pomyślne, Neoptolemos powinien wkrótce przybyć.

Ulga była olbrzymia, prawie go ucałowałem.

– Odyseuszu, dzięki ci za to, z całego serca! Myrmidonów musi

prowadzić krew Peleusa.

– Nie dziękuj mi za to, że rozsądnie postąpiłem.

Noc mijała, a my siedzieliśmy, rozmawiając o tym i o owym, czerpiąc pocieszenie z wzajemnej obecności. W pewnej chwili wydało mi się, że słyszę w oddali jakiś hałas, ale kiedy ustał, skupiłem uwagę ponownie na tym, co mówił Diomedes. Po chwili doszedł nas potężniejszy krzyk. Tym razem wszyscy go usłyszeliśmy. Diomedes, sięgając po miecz, wstał zwinnie jak pantera. Odyseusz siedział niepewny z odchyłoną głową. Hałas narastał, wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy w jego kierunku.

Dochodził od strony Skamandra. Stanęliśmy na jego brzegu, w miejscu, gdzie znajdowała się zagroda z owcami przeznaczonymi na ofiary. Każde ze zwierząt było osobno wybierane, błogosławione i znaczone świętym znakiem. Przed nami przyszło tam już kilku królów. Rozstawiono strażę, by utrzymać ciekawskich z daleka. Oczywiście nas od razu wpuszczono i dołączyliśmy do Agamemnona i Menelaosa, stojących przy ogrodzeniu i patrzących na coś w ciemnościach. Naszych uszu doszedł szaleńczy śmiech, niezdrowy chichot wznosił się coraz wyżej. Głos wykrzykiwał w niebo jakieś imiona, wrzeszczał z wściekłością szyderstwa.

– Bierz to, Odyseuszu, ty pomocie złodzieja! Umieraj, Menelaosie, ty pełzający pochlebco!

I tak to trwało, podczas gdy my beznadziejnie próbowaliśmy przeniknąć ciemności. W końcu ktoś wręczył Agamemnonowi pochodnię, którą uniósł nad głową, oświetlając okolicę. Sapnąłem z przerażenia. Wino i pusty brzuch zbuntowały się. Odszedłem na bok i z wymiotowałem. Wszędzie, gdzie dochodziło światło, ziemia pokryta była krwią. W kałużach krwi leżały owce i ofiarne kozły z utkwionymi w nicości oczami, bezwładnymi członkami i podciętymi gardłami. Na ich skórze były tuziny ran. W tle z zakrwawionym mieczem w dłoni podskakiwał Ajaks. Z jego ust dobywał się przenikający do szpiku kości śmiech. Z jego dłoni

zwisało przerażone małe ciele, które biło kopytami o jego pierś, podczas gdy on zadawał mu ciosy. Za każdym razem, kiedy uderzał, nazywał cielaka Agamemnonem, po czym wybuchał kolejnym atakiem śmiechu.

– To straszne, oglądać go w takim stanie! – wyszeptał Odyseusz.

Udało mi się zapanować nad nudnościami.

– Co mu jest? – spytałem.

– Oszalał, Automedonie. Złożyły się na to różne rzeczy. Zbyt wiele ciosów w głowę w ciągu ostatnich lat – zbyt wiele bólu – może ma jakiś atak. Ale żeby doszło aż do tego! Modlę się, by nie odzyskał świadomości i nie zrozumiał, co zrobił.

– Musimy go powstrzymać! – rzekłem.

– Spróbuj, Automedonie. Ja nie mam ambicji powstrzymać Ajaksa w napadzie szału.

– Ani ja – powiedział Agamemnon.

Zatem staliśmy tylko i patrzyliśmy. O świcie uspokoił się. Odzyskał świadomość, stojąc po kostki we krwi. Patrzył – jak człowiek przebudzony z koszmaru – na otaczające go tuziny martwych zwierząt oraz krew, która pokrywała go od stóp do głów, na miecz w swojej dłoni, na milczących królów obserwujących go zza ogrodzenia. Trzymał jeszcze nieżywego kozła w dłoni, okrutnie okaleczonego. Z krzykiem przerażenia upuścił go, zrozumiałwszy w końcu, co robił w nocy. Wtedy podbiegł do ogrodzenia, przeskoczył je i uciekł. Ale Furie już go ścigały. Teukros odłączył się od nas i pobiegł za nim. My się nie ruszyliśmy, porażeni do rdzenia.

Pierwszy mowę odzyskał Menelaos.

– Masz zamiar pozwolić mu odejść, bracie?

– Czego chcesz, Menelaosie?

– Jego życia! Pozabijał poświęcone zwierzęta, jego życie jest stracone! Bogowie go żądają!

Odyseusz westchnął.

– Kogo bogowie najbardziej kochają, tego najpierw doprowadzają do szaleństwa – powiedział. – Zostawmy go, Menelaosie.

– Musi umrzeć! – nalegał Menelaos. – Straćmy go i niech żaden człowiek nie wykopie mu grobu!

– To jest kara – wymruczał Agamemnon.

Odyseusz złożył ręce.

– Nie, nie, nie! Zostawcie go! Czy nie wystarczy ci, Menelaosie, że Ajaks sam się już skazał? Jego cień jest skazany na Tartar po tym, co zrobił dziś w nocy! Zostawmy go w spokoju! Nie kładźmy więcej na jego biedną, szaloną głowę!

Agamemnon odwrócił się od rzezi.

– Odyseusz ma rację. On jest szalony, bracie. Zostawmy go. To najlepsze, co możemy zrobić.

Odyseusz, Diomedes i ja udaliśmy się do domu, gdzie mieszkał Ajaks ze swoją nałożnicą Tekmessą i synem Eurysakesem. Kiedy Odyseusz zapukał do zaryglowanych drzwi, Tekmessą wyjrzała lękliwie przez zamknięte okno, potem otworzyła drzwi z synem u boku.

– Gdzie Ajaks? – spytał Diomedes.

Otarła łzy.

– Odszedł, panie. Nie wiem, gdzie jest. Powiedział tylko, że ma zamiar szukać wybaczenia u Pallas Ateny, kąpiąc się w morzu. – Wybuchnęła płaczem, ale udało się jej mówić dalej. – Dał Eurysakesowi swoją tarczę. Powiedział, że to jedyna broń, której nie splamiło świętokradztwo, i że wszystkie pozostałe rzeczy mamy

pochować razem z nim. Potem oddał nas w opiekę Teukrosowi. Panie, co się stało? Co on takiego zrobił?

– Trudno to zrozumieć, Tekmesso. Zostań tu, znajdziemy go.

Był na brzegu, gdzie drobne fale łagodnie uderzały o brzeg laguny, a kilka kamieni znaczyło miękki piasek. Przy nim klęczał Teukros z pochyloną głową. Biedny Teukros, nigdy nie mówił za wiele, ale zawsze był przy Ajaksie, kiedy ten go potrzebował. Nawet teraz, na końcu.

To, co zrobił, przemawiało niemo samo za siebie. Nad piaskiem wystawał na kilka palców płaski kamień, którego powierzchnia była pęknięta od ciosu trójzęba Posejdona. W szczelinę rękojeścią do dołu został włożony miecz. Bez zbroi, wykąpany w morzu, nakreśliwszy na piasku wizerunek sowy jako Ateny i oka jako Matki Kubaby, stanął nad mieczem i upadł na niego całym swoim ciężarem. Miecz przebił jego klatkę piersiową i trafił w kręgosłup. Sterczał z pleców na dwa łokcie. Ajaks leżał twarzą zanurzony we własnej krwi. Miał zamknięte oczy, a w rysach nadal malowały się ślady szaleństwa. Jego wielkie dłonie spoczywały bezwładnie z lekko zagiętymi palcami.

Teukros podniósł głowę. Spojrzał na nas z goryczą. Jego wzrok spoczął na Odyseuszu, milcząco wskazując, kogo winić za tę śmierć. Nie potrafiłem odgadnąć, co pomyślał sobie Odyseusz, ale nie zawahał się.

– Co możemy zrobić? – spytał.

– Nic – odparł Teukros. – Sam go pochowam.

– Tutaj? – spytał Diomedes z osłupieniem. – Nie, on zasługuje na coś lepszego!

– Wiesz, że to nieprawda. On to wiedział. Ja też. Dostanie to, na co zasługuje według prawa bogów – grób samobójcy. Tylko tyle mogę dla niego zrobić. Tylko tyle nam zostało. Musi zapłacić

śmiercią, jak Achilles zapłacił życiem. Tak powiedział, zanim umarł.

Zatem odeszliśmy i zostawiliśmy ich samych – braci, którzy już nigdy nie będą walczyć razem, mały pod tarczą dużego. W ciągu ośmiu dni odeszli Achilles i Ajaks, duch i serce naszego wojska.

– Aj! Aj! Biada! Biada! – zawołał Odyseusz. Łzy ściekały z jego twarzy. – Jakże dziwne są ścieżki bogów! Achilles ciągnął Hektora na pasie, który dał mu Ajaks. Teraz Ajaks padł od miecza, który dał mu Hektor. – Zwinął się boleśnie. – Na Matkę, mam dość śmierci w Troi! Nienawidzę nawet zapachu trojańskiego powietrza!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

OPOWIEŚĆ AGAMEMNONA

Dni otwartej walki minęły. Priam zamknął Bramę Skajską i patrzył na nas ze swych wież. Została ich garstka, z Eneaszem, który przeżył jako jedyny z wielkich. Najlepsi synowie Priama nie żyli, zostali mniej wartościowi, żeby go pocieszać. Nastął czas oczekiwania, w którym goiły się nasze rany, a duch z wolna ożywał. Zdarzyła się dziwna rzecz, dar niebios, o którym nikt z nas nie marzył: Achilles i Ajaks zdawali się przeniknąć do rdzenia każdego greckiego żołnierza. Wszyscy, do ostatniego, byli zdeterminowani podbić mury Troi. Wspomniałem o tym zjawisku Odyseuszowi, ciekawy, co on o tym myśli.

– Nie ma w tym nic tajemniczego, panie. Achilles i Ajaks stali się herosami, a herosi nigdy nie umierają. Zatem nasi ludzie tylko przejęli ich piętno. Poza tym pragną wrócić do domu. Ale nie pokonani. Jedynym rozwiązaniem wydarzeń tych dziesięciu lat wygnania jest upadek Troi. Drogo zapłaciliśmy za tę kampanię – krwią, siwymi włosami, rozdartymi sercami, tęsknotą za twarzami, których nie widzieliśmy już od tak dawna, że prawie nie pamiętamy ukochanych rysów, łzami i gorzką pustką. Troja wgrzyła się nam w kości. Nie możemy wrócić do domu, nie rozbijając jej w pył, inaczej sprofanowalibyśmy tajemnicę Matki Ziemi.

– Zatem – powiedziałem – muszę poradzić się Apolla.

– On jest bardziej po stronie Trojan niż Greków, panie.

– Nawet jeśli tak, to jest ustami wyroczni. Musimy go zapytać, co robić, żeby wejść do Troi. Jemu nie wolno udzielić przedstawicielom ludu – jakiegokolwiek ludu! – nieprawdziwej

odpowiedzi.

Arcykapłan Taltybios, patrząc w płonące wnętrze świętego ognia, westchnął. Różnił się od Kalchasa. Jako Grek był nawykły do kultu wody i ognia, a zwierzęta zachowywał do świętych ofiar. Nie ogłaszał też swych odkryć podczas publicznych wyroczni. Czekał, aż zgromadzi się rada.

– Co zobaczyłeś? – zapytałem wtedy.

– Wiele rzeczy, panie. Niektórych w ogóle nie rozumiem, ale dwie rzeczy zostały objawione wprost.

– Powiedz nam.

– Nie możemy teraz wziąć miasta. Najpierw musimy zdobyć coś, co jest cenne dla bogów. Jeśli nam się powiedzie, będzie to znak od bogów, że zgadzają się, abyśmy wzięli Troję. Jeśli nie, to znaczy, że Olimp jest przeciw nam.

– Co mamy zdobyć, Taltybiosie?

– Po pierwsze, łuk i strzały Heraklesa. Po drugie, syna Achilleasa, Neoptolemosa.

– Dziękujemy ci. Możesz odejść.

Przyjrzałem się ich twarzom. Idomeneusz i Meriones siedzieli sztywni i smutni. Mój biedny brat Menelaos wydawał się nie zmieniony. Nestor tak się postarzał, że zaczęliśmy się o niego obawiać. Menestenes służył dalej, nie narzekając. Teukros dotąd nam nie wybaczył. Automedon był ciągle niepokieszony, dowodząc Myrmidonami. A Odyseusz? Odyseusz! Nikt tak naprawdę nie wiedział, co dzieje się za tymi błyszczącymi, pięknymi oczami.

– No cóż, Odyseuszu. Wiesz, gdzie jest łuk i strzały Heraklesa. Jak oceniasz nasze szanse?

Wstał wolno.

– Od prawie dziesięciu lat nie mieliśmy żadnych wieści

z Lesbos.

– Słyszałem, że on nie żyje – wtrącił ponuro Idomeneusz.

Odyseusz zaśmiał się.

– Filoktet nie żyje? Nie, nawet gdyby tuzin żmij zapuściło w niego truciznę! Sądzę, że do tej pory jest na Lesbos. Z pewnością musimy spróbować, panie. Kto ma płynąć?

– Ty i Diomedes – odparłem. – Byliście jego przyjaciółmi. Jeśli wspomina nas dobrze, to tylko przez wzgląd na was. Natychmiast weźcie okręt i płyncie na Lesbos. Znajdźcie go i poproście o łuk i strzały, które odziedziczył po Heraklesie. Powiedzcie mu, że przechowujemy jego część łupów i że nigdy o nim nie zapomnieliśmy.

Diomedes przeciągnął się.

– Dzień lub dwa na morzu! Wspaniały pomysł.

– Nadal jednak pozostaje sprawa Neoptolemosa – rzekłem. – Minie cały księżyc, zanim będzie mógł tu dotrzeć. Jeśli oczywiście Peleus pozwoli mu wyruszyć.

Odyseusz spojrzał na mnie od drzwi.

– Bądź spokojny, panie. To już załatwione. Posłałem po Neoptolemosa przeszło pół księżyca temu. A jeśli chodzi o Peleusa, złóż za niego ofiarę Ojcu Zeusowi.

Po ośmiu dniach okręt o szafranowych żaglach, który wybrał Odyseusz, pojawił się z powrotem na horyzoncie. Serce skoczyło mi do gardła. Stałem na plaży obok czekającego na niego pustego miejsca. Filoktet przebywał na Lesbos od dziesięciu lat i w tym czasie nie przysłał żadnej wiadomości. Nasi posłańcy nie mogli go znaleźć. Jeśli nawet żyje, to kto wie, co choroba zrobiła z jego umysłem? Weźmy choćby Ajaksa.

Odyseusz stał wysoko na dziobie i radośnie machał ręką.

Odetchnąłem z ulgą. Był przebiegły, ale nigdy się tak nie uśmiechał, gdy mu się nie powiodło. Dołączyli teraz do mnie Idomeneusz i Menelaos. Żaden z nas nie wiedział dokładnie, czego się spodziewać. Dawno straciliśmy nadzieję co do Filokteta. Jeśli jednak przeżył, musiałby mieć niesprawną nogę. Stałem zatem, wyobrażając sobie kalekę, wraka człowieka. Nie spodziewałem się ujrzeć mężczyzny, który przekroczył poręcz i skoczył kilka łokci w dół, na plażę, lekko jak chłopiec. Zupełnie się nie zmienił. Prawie się nie postarzał. Zapуścił piękną złotą brodę i miał na sobie tylko kilt. Przez ramię przewiesił potężny łuk i zniszczony kołczan napakowany strzałami. Wiedziałem, że musi mieć ze czterdzieści pięć lat, ale jego prężne, opalone ciało wyglądało o dziesięć lat młodziej. Jego obie nogi były silne i doskonałe. Patrzyłem z otwartymi ustami.

– Dlaczego, Filoktecie, dlaczego? – Tylko tyle potrafiłem wydusić z siebie, kiedy usadowił się na krześle w moim domu z kielichem wina w ręce.

– Wszystko jest proste, Agamemnonie, gdy poznasz całą historię.

– Zatem opowiadaj! – nakazałem, czując się szczęśliwy po raz pierwszy od śmierci Ajaksa i Achillesa. Taki wpływ miał na nas wszystkich Filoktet. Do moich stęchłych komnat wniósł powiew życia i radości.

– Potrzeba było roku, żebym odzyskał rozum i władzę w nodze – zaczął Filoktet. – Obawiając się, że miejscowi ludzie nie będą mili dla Greka, moi słudzy zanieśli mnie wysoko w góry i umieścili w jaskini. Na zachód od Mityleny i Antissy, całe mile od jakiegokolwiek wioski czy gospodarstwa. Moi słudzy okazali się wierni i lojalni, zatem nikt się nie dowiedział, kim jestem i gdzie przebywam. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy Odyseusz powiedział mi, że Achilles w czasie tych dziesięciu lat grabił Lesbos czterokrotnie! Nic o tym nie wiedziałem!

– No cóż, grabi się miasta – powiedział Meriones.

– To prawda.

– Ale z pewnością ruszyłeś się, gdy wyzdrowiałeś – zaproponował Menelaos.

– Ależ skąd! – odparł Filoktet. – We śnie przemówił do mnie Apollo. Nakazał mi zostać tam, gdzie byłem. Szczerze mówiąc, nie stanowiło to dla mnie wyrzeczenia. Polowałem i biegałem, strzelając do jeleni i dzików. Do najbliższej wioski posyłałem sługi, by wymieniali mięso na wino, figi i oliwki. Prowadziłem życie idylliczne! Żadnych trosk, żadnej władzy ani obowiązków. Lata mijały, byłem szczęśliwy i nigdy bym się nie spodziewał, że nadal trwa wojna. Myślałem, że już dawno wszyscy wróciliście do domu.

– Aż weszliśmy na twoją górę i odszukaliśmy cię – rzekł Odyseusz.

– Czy Apollo pozwolił ci iść? – spytał Nestor.

– Tak. I jestem bardzo zadowolony, że tu się znalazłem.

Przyszedł posłaniec i szeptem przekazał coś Odyseuszowi do ucha.

Odyseusz wstał i wyprowadził człowieka na zewnątrz. Kiedy wrócił, na jego twarzy malowało się zabawne zdumienie.

– Panie – rzekł do mnie – jeden z moich agentów donosi, że Priam planuje jutro bitwę. Wojsko trojańskie ma stanąć pod naszym progiem jeszcze przed świtem. Mają rozkaz zaatakować nas, kiedy będziemy spali. Ciekawe, prawda? To jawne pogwałcenie praw rządzących wojną. Załóżę się, że wymyślił to Eneasze.

– Ależ, Odyseuszu! – rzekł nagle Menestenes, cmokając szyderczo.

– Czym dla ciebie jest pogwałcenie praw wojennych? Czyż nie robisz tego od lat?

Skrzywił usta.

– Ja tak, ale nie oni.

– Menestenesie, to nieważne, czy robili to wcześniej – powiedziałem – ale teraz zamierzają. Odyseuszu, masz moje pozwolenie, by użyć wszelkich środków, jakie zdołasz wymyślić, by dostać się za mury Troi.

– Zdusić ich głodem – rzekł szybko.

– Z wyjątkiem tego – dodałem.

Przyczailiśmy się w cieniu na długo, zanim ciemność mogła się rozproszyć. Eneasze więc przybył za późno. Sam poprowadziłem atak i roznieśliśmy ich w pył, udowadniając, że potrafimy sobie radzić bez Achillesa i Ajaksa. Trojanie, czując niepokój z powodu sztuczki Eneasza, kiedy na nich spadliśmy, spanikowali. Wystarczyło ich ścigać i wylapywać setkami.

Filoktet używał łuku Heraklesa z doskonałym skutkiem. Opracował pewną metodę – jego ludzie biegli do ofiar, wyciągali z nich cenne strzały, czyścili je i wkładali z powrotem do zniszczonego kołczana.

Trojanie, którym udało się uciec, ruszyli do miasta, lecz zamknięto im Bramę Skajską przed nosem. Walka była krótka. Niedługo po wschodzie słońca byliśmy już zwycięzcami. Wszędzie leżeli martwi Trojanie. Ostatni kwiat Troi spoczywał w kurzu.

Nadjechali Idomeneusz i Meriones, a za nimi Menelaos i inni. Ustawili swoje rydwany w kręgu, by ocenić pole i porozmawiać o bitwie.

– Strzały Heraklesa z pewnością posiadają magiczną moc, kiedy ty je wypuszczasz, Filoktecie – powiedziałem.

Uśmiechnął się.

– Przyznaję, że to zajęcie bardziej mi się podoba niż polowanie

na jelenie, Agamemnonie. Gdy moi ludzie policzyli strzały, okazało się, że brakuje trzech. – Jego wzrok pobiegł ku Automedonowi, który dobrze się spisał, prowadząc Myrmidonów. – Mam dla ciebie dobre wieści, Automedonie. Możesz je przekazać swoim ludziom.

To zaciekawiło nas wszystkich.

– Dobre wieści? – spytał Automedon.

– W istocie! Zmusiłem Parysa do pojedynku. Pokazał mi go jeden z żołnierzy. Szedłem za nim, aż trafiłem na moment, gdy miał tylko jedną strzałę. Wtedy zacząłem się przechwalać swoimi umiejętnościami i wyśmiewać jego mały łuk. Ponieważ uznał mnie za asyryjskiego najemnika, złapał przynętę i przyjął wyzwanie. Wypuściłem pierwszą strzałę za daleko, aby zaostrzyć jego apetyt. Muszę przyznać, że ma dobre oko. Gdybym nie był dość szybki, jego strzała zamiast w tarczę, trafiłaby mnie prosto w przeponę. Wtedy już go miałem. Pierwsza strzała poszła w rękę, druga w prawą piętę – odpowiednia zapłata za Achilleśa – trzecia prosto w prawe oko. Żadne z trafień nie było na tyle śmiertelne, by go powalić od razu, ale to więcej niż pewne, że prędzej czy później umrze. Prosiłem boga, by prowadził moją rękę i kazał mu ginać powoli. – Klepiąc Menelaosa po ramieniu, roześmiał się. – Menelaos zaczął go ścigać, ale był zbyt śliski i budził raczej odrazę.

Teraz roześmialiśmy się wszyscy. Posłałem heroldów, aby przekazali żołnierzom wieść, że zabójca Achilleśa nie żyje. I taki oto był koniec uwodzicielskiego Parysa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

OPOWIEŚĆ HELENY

Większość czasu siedziałam u siebie. Jakże śmiałyby się moja kuzynka Penelopa! Czas tak wolno płynął, że postanowiłam zabrać się do tkania. Zajęcie, jak zrozumiałam to teraz, w sam raz dla lekceważonych żon. Parys w ogóle nie zbliżał się do mnie. Ani Eneasza.

Od śmierci Hektora atmosfera w pałacu zmieniła się jeszcze na gorsze. Hekabe tak się pomieszało w głowie, że ciągle robiła Priamowi wymówki, iż nie jest jego pierwszą żoną. Oszołomiony i przygnębiony protestował, że przecież uczynił ją najważniejszą żoną, swoją królową! Na co ona siadała w kucki i zaczynała wyć jak stara suka. Zupełna wariatka! Teraz przynajmniej wiem, w kogo wdała się Kasandra.

Rozpaczliwe, nieszczęsne miejsce. Andromacha, wdowa po Hektorze, odsunięta ze swej dawnej pozycji, snuje się niczym cień. Słyszałam plotki, że ona i Hektor strasznie się pokłócili, zanim on opuścił Troję, aby stoczyć swoją ostatnią walkę. Podobno kłótnia wynikła z jej winy. Błagał, żeby spojrzała na niego i pożegnała się, ale ona wolała leżeć twarzą odwrócona do ściany. Wierzę w tę historię. Andromacha wygląda jak upiór. Jej wzrok jest tak przepelniony winą i wyrzutami sumienia, jak u kochającej kobiety, która zawiniła. Przestała się też interesować ich synem, Astyanaksem, którego oddała mężczyznom na naukę, kiedy Hektor znalazł się w grobie.

Świat Priama rozpadł się, gdy z ręki Achillesa zginął Troilos. Nawet śmierć Achillesa nie wyciągnęła króla z depresji i lęku. Po

cytadeli krąży plotka, że Eneasza rozmyślnie wstrzymał wsparcie dla Troilosa, ponieważ Priam obraził go na zebraniu, na którym wyznaczył Troilosa następcą. Jeśli chodzi o Andromachę, wierzę w to. Ale Eneasza nie da się obrazić.

Potem Eneasza poprosił o pozwolenie poprowadzenia nocnego ataku na obóz grecki i Priam, ten nędznik, zgodził się.

Nic nie mogło powstrzymać szyderczych języków, ale nic też nie można było zrobić. Eneasza był wszystkim, co nam zostało. Priam jednak do końca się nie poddał. Na dziedzica namaścił teraz tego wieprza, Deifobosa. Nie zrobiło to żadnego wrażenia na naszym drogim Eneaszu. W tych dniach stał się bardzo pewny siebie.

Długo patrzyłam w ciemną twarz Dardanina. Wiem bowiem, jaki ogień płonie pod jego chłodną powierzchownością. Wiem, do czego może doprowadzić jego niezaspokojona ambicja. Niczym wolno płynąca lawa, Eneasza nieodparcie posuwa się naprzód, po drodze zmiatając wszystkich swych wrogów.

Kiedy Eneasza zwrócił się o pozwolenie najazdu na grecki obóz, wiedział, o co prosi króla. Chciał, by ten sprzeniewierzył się boskim prawom. Tylko ja dostrzegłam tryumf Eneasza, gdy Priam się zgodził. Wreszcie Dardaninowi udało się sprowadzić Troję do własnego poziomu.

W dniu ataku zamknęłam się w swoich pokojach. W uszy włożyłam kawałek przędzy, by nie słyszeć wrzawy i krzyków. Używając wielu kolorów, tkalam z wełny piękną tkaninę o skomplikowanym wzorze. Skoncentrowana na pracy, zapominałam o bitwie. Przypomniła mi się Penelopa, kobieta z pajęczyną na twarzy. Żona rudzielca o krzywych nogach, bez honoru i skrupułów. Idę o zakład, że ona nigdy nie utkała czegoś nawet w połowie tak pięknego jak ja. O ile ją znam, najprawdopodobniej tka tylko całuny.

– Świątoszkowata, marudna krowa! – powiedziałam do siebie

gwałtownie. Nagle poczułam, że jeżą mi się włosy na rękach, jakby patrzył na mnie ktoś zza grobu. Czyżby Penelopa z pajęczyną na twarzy nie żyła? Chyba nie mam aż tyle szczęścia.

Kiedy uniosłam głowę, ujrzałam Parysa. Stał oparty o framugę drzwi, otwierał i zamykał usta w bezsilnym milczeniu. Parys? Parys skąpany we krwi. Parys z trzonkiem strzały sterczącym z oka.

Kiedy wyciągnęłam watę z uszu, poraził mnie hałas niczym wrzask Menad szarżujących po zboczu z morderczym zamiarem. Jedno oko Parysa gapiło się na mnie z płomieniem szaleństwa, z ust nie mógł wydobyć słowa.

Moje przerażenie z wolna minęło. Zaczęłam się śmiać, musiałam opaść na tapczan i zwijałam się ze śmiechu. Upadł na kolana! Zaczął się czołgać, ciągnąc prawą rękę za sobą i zostawiając szkarłatny ślad na białej podłodze. Stercząca z prawego oka strzała podskakiwała zabawnie, że wybuchnęłam jeszcze głośniejszym śmiechem. Dotarłszy do moich stóp, objął mnie zdrową ręką za kolana i krwawił na moją suknię. Zbuntowana wstałam i odkopnęłam go. Potem pobiegłam do drzwi.

Znalazłam Helenosa i Deifobosa stojących na wielkim dziedzińcu, obaj byli nadal w zbrojach. Kiedy żaden z nich nie zauważył mojego przybycia, dotknęłam ramienia Helenosa. Za żadne skarby świata nie dotknęłabym Deifobosa.

– Przegraliśmy – rzekł Helenos zmęczonym głosem. – Czekali na nas w ukryciu. – W jego oczach stały łzy. – Złamaliśmy prawo! Jesteśmy przeklęci.

Wzruszyłam ramionami.

– Co mnie to obchodzi? Nie przyszłam po wieści o waszej głupiej bitwie. Wszyscy mówili wam, że przegracie. Przyszłam prosić o pomoc.

– Wszystko, co chcesz, Heleno – rzekł Deifobos, łypiąc okiem.

– W moim pokoju jest Parys, chyba umiera.

Helenos wzdrygnął się.

– Parys umiera? Parys?

Ruszyłam pierwsza.

– Chcę, aby go zabrano – rzekłam.

W pokoju pochylili się, żeby ułożyć Parysa na łóżku.

– Zabierzcie go! Nie kładźcie go tutaj!

Helenos spojrzał oburzony.

– Heleno! Nie możesz go wyrzucić!

– Spójrz na mnie! Czy zawdzięczam mu coś oprócz ruiny? Od lat mnie lekceważył! Wystawiał na pośmiewisko wszystkich wrogich mi starych macior w tym pałacu! Kiedy teraz wreszcie mnie potrzebuje, myśli, że nadal jestem tą samą sentymentalną idiotką, którą zabrał z Amyklaju! No cóż, nie jestem! Niech umiera gdzie indziej. Niech umiera w ramionach tej, która teraz jest jego kochanką!

Parys ucichł. Jednym okiem, które mu zostało, patrzył na mnie z przerażeniem.

– Heleno! Heleno! – zajęczał.

– Nie odzywaj się do mnie!

Helenos pogładził się po siwiejących lokach.

– Co się stało, Parysie?

– Coś dziwnego, Helenosie! Jakiś człowiek wyzwał mnie na pojedynek. Tylko ja i Teukros potrafimy celnie strzelać na tak dużą odległość. Wielki, dziki mężczyzna o złotej brodzie. Wyglądał jak król buszu z Idy. Nie znałem go. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Zatem przyjąłem wyzwanie, sądząc, że wygram. Lecz on mnie pokonał.

Potem stał i śmiał się ze mnie. Tak jak teraz Helena!

Większą uwagę zwróciłam na strzałę niż na jego żalną opowieść. Z pewnością już kiedyś taką widziałam. Albo słyszałam o niej w jakiejś pieśni harfiarza z Amyklaju. Bardzo długi trzonek z wierzby zabarwiony na purpurowo sokiem z jagód, z białymi gęsimi piórami w takie same purpurowe cętki.

– Człowiek, który do ciebie strzelał, to Filoktet – powiedziałam.
– Zostałeś potraktowany lepiej, niż na to zasługujesz, Parysie. W swojej głowie nosisz jedną ze strzał Heraklesa. Przed śmiercią swój łuk i strzały oddał Filoktetowi. Słyszałam, że Filoktet nie żyje od jadu węża, ale najwyraźniej była to tylko plotka. Ta strzała należała kiedyś do Heraklesa.

Helenos patrzył na mnie, błyskając oczami.

– Zamknij się, bezduszna harpio! Musisz dobijać umierającego?

– No wiesz, Helenosie – powiedziałam spokojnie – jesteś jeszcze gorszy od tej swojej szalonej siostrzyczki. Przynajmniej ona nie udaje, że jest zdrowa. A teraz, proszę, moglibyście już go zabrać?

– Helenosie – poprosił Parys, lekko ciągnąc go za kilt. – Zabierzcie mnie na górę Idę, do mojej drogiej Oinone. Ona mnie uzdrowi... ma dar od Artemidy. Zabierzcie mnie do Oinone!

Przyskoczyłam do nich rozpalona gniewem.

– Nie obchodzi mnie, gdzie go zabierzecie! Po prostu weźcie go stąd! Zabierzcie go do Oinone – ha! Czyż on nie rozumie, że już jest martwy? Wyciągnij strzałę, Helenosie! Pozwól mu umrzeć! Bo na to właśnie zasługuje!

Podciągnęli go na brzeg łóżka i posadzili. Silniejszy Deifobos pochylił się, żeby go dźwignąć, ale Parys nie chciał mu pomóc. Przerażony łkał ze strachu przed śmiercią. Kiedy w końcu Deifobosowi udało się wstać, trzymając Parysa pod ramiona, ten zawisł na nim bezwładnie całym ciężarem.

Helenos szedł z tyłu, asekurując ich. Kiedy wyciągnął rękę, przypadkiem dotknął trzonka strzały. Parys wrzasnął i spanikował, zamachał gwałtownie rękami i wygiął ciało. Deifobos stracił równowagę i w trójkę bezładnie upadli na podłogę. Usłyszałam zduszony charkot. Najpierw podniósł się Helenos, potem pomógł wstać Deifobosowi. A ja zobaczyłam to, czego oni jeszcze nie mogli zobaczyć.

Parys leżał częściowo na plecach, częściowo na lewym boku, z powykręcانymi nogami, z odrzuconą okaleczoną ręką. Palce zacisnęły się, a szyja i plecy wygięły w łuk. Musiał upaść na twarz, Deifobos na niego, a Helenos na nich obu. Strzała była teraz w dwu kawałkach. Kawałek trzonka z lotką o nakrapianych piórach leżał obok niego. Drugi kawałek na długość palca sterczał z przebitego oka. Cienka strużka czarnej krwi biegła z oczodołu w kałużę na marmurowych kaflach.

Musiałam krzyknąć, bo obaj spojrzeli.

Helenos westchnął.

– On nie żyje, Deifobosie.

Deifobos potrząsnął milcząco głową.

– Parys? Parys, nie żyje?

Wtedy go zabrali. Jedyne pamiątki po moim mężu, jakie mi zostały, to ślady jego dłoni na spódnicy i czerwone smugi na czystej, białej podłodze. Stałam przez chwilę nieruchomo, potem podeszłam do okna i wyjrzałam przez nie niewidzącymi oczami. Trwałam tak aż do zmroku. Nie mogłam jednak sobie potem przypomnieć, o czym myślałam przez cały ten czas.

Nieustający, nienawistny wiatr trojański zajęczał w wieżach, kiedy ktoś zastukał do moich drzwi. Herold złożył ukłon.

– Księżno, król wzywa cię do sali tronowej.

– Dziękuję. Powiedz, że przyjdę najszybciej, jak to możliwe.

Wielka sala znajdowała się w półcieniu. Tylko wokół podwyższenia paliły się lampy, rzucając wokół króla, który siedział na tronie, smugi miękkiego, żółtego światła. Po jego obu bokach stali Deifobos i Helenos, spoglądając na siebie ponad kryształowymi włosami króla.

Podeszłam do podwyższenia i stanęłam u jego podnóża.

– Tak, panie?

Nachmurzony pochylił się naprzód. Niezadowolenie nałożyło się na inne cierpienia wyryte w jego rysach: żal, rozpacz, zwykłą bezradność.

– Córko, straciłaś męża, a ja kolejnego syna. Zaczynam już gubić rachunek którego... – Zachwiał się. W jego głosie słychać było smutek.

– Wszyscy dobrzy zostali mi zabrani. Teraz zostało mi tych dwóch, którzy przychodzą i warczą na mnie. Klóca się nad jeszcze ciepłym ciałem brata. Żądają tego samego, choć każdy na swój sposób.

– Czego żądają? – spytałam, a wściekłość walczyła z uprzejmością. – Cóż obchodzi mnie ta niezgoda między braćmi?

– Dotyczy właśnie ciebie! – rzekł chrapliwie starzec. – Obaj pragną cię poślubić. Zarówno Deifobos, jak i Helenos. Powiedz więc, którego wolisz.

– Żadnego! – wydyszałam rozwścieczona.

– Niestety, któregoś musisz wybrać – rzekł król tonem, jakby nagle uznał sytuację za pikantną, nową i interesującą. – Podaj imię, pani! Wyjdiesz za niego po sześciu księżycach!

– Sześć księżyców! – zawołał Deifobos. – Dlaczego mam czekać aż sześć księżyców? Chcę jej teraz, ojcze. Teraz!

Priam wyprostował się.

– Twój brat jeszcze nie ostygł – rzekł.

– Nie ma powodu do niepokoju, panie – powiedziałam, zanim Deifobos mógł wybuchnąć jednym z tych swoich napadów. – Byłam mężatką dwa razy. Nie chcę wychodzić za mąż po raz trzeci. Zamierzam oddać się Matce i służyć przy jej ołtarzu do końca życia. Zatem wesela nie będzie.

Helenos i Deifobos wybuchli lawiną protestów, ale uniesiona ręka Priama uspokoiła ich.

– Bądźcie cicho i posłuchajcie! Deifobosie, jesteś najstarszym królewskim synem i dziedzicem. Możesz ożenić się z Heleną po sześciu księżycach, ale nie wcześniej. Jeśli chodzi o ciebie, Helenosie, należysz do Apolla. Powinien być ci bliższy niż wszystkie kobiety, nawet Helena.

Deifobos gwizdnął. Helenos wyglądał na oszołomionego. Gdy jednak mu się przyjrzałam, ku memu zdumieniu dostrzegłam, że zaczął się zmieniać, rosnąć, mięknąć jakby w jednych częściach ciała, a twardnieć w innych. To było bardzo dziwne.

Potem spojrział hardo na swego ojca i powiedział:

– Ojczy, przez całe życie patrzyłem, jak inni zaspokajają swoje potrzeby, podczas gdy ja chodziłem głodny i spragniony. Nikt mnie nie pytał, czy chcę służyć bogu – zostałem mu poświęcony w dniu urodzin. Kiedy zginął Hektor, mnie powinieneś uczynić następcą, ale w drogę wszedł Apollo. Kiedy zginął Troilos, znowu mnie ominałeś! Teraz, gdy proszę cię o taki drobiazg, odmawiasz mi ponownie! – Wyprostował się dumnie. – No cóż, nastał czas, kiedy nawet ostatni z ludzi się buntują. Na mnie pora. Opuszczam Troję. Udaję się na dobrowolne wygnanie. Lepiej być włóczęgą, niż zostać tu i patrzeć, jak Deifobos niszczy wszystko, co zostało z Troi. Mówię to z niechęcią, ojczy, ale jesteś... głupcem.

Wykorzystałam moment, gdy Priam usiłował przełknąć zniewagę.

– Panie, zaklinam cię, nie zmuszaj mnie do ślubu! – zawołałam.
– Pozwól mi poświęcić się Bogini!

Potrząsnął głową.

– Poślubisz Deifobosa.

Nie mogłam dłużej wytrzymać z nimi w jednym pokoju. Uciekłam, jakby ścigały mnie córki Kory. Co się stało z Helenosem, tego nie wiem. I w ogóle mnie to nie obchodzi.

Posłałam wiadomość do Eneasza, zapraszając go do swoich pokoi. Tylko on mi pozostał, tylko jego mogłam wzruszyć i prosić o pomoc. Zgnębiona wątpliwościami czekałam, chodząc tam i z powrotem. Choć nasz romans dawno się skończył, wyobrażałam sobie, że nadal ma dla mnie odrobinę uczucia. A może nie ma? Gdzie on się podziewa? Czas mijał, a każda chwila wydawała mi się coraz dłuższa, bardziej ponura i bardziej pusta. Na próżno nasłuchiwałam jego mocnych kroków na korytarzu. Od śmierci Hektora były to jedyne kroki, które budziły zaufanie.

– Czego chcesz, Heleno? – spytał, wchodząc do pokoju tak cicho, że go nie usłyszałam. Ostrożnie zaciągnął zasłonę w drzwiach.

Śmiejąc się i płacząc, podbiegłam, by go uściskać.

– Już myślałam, że nie przyjdiesz! – powiedziałam, unosząc twarz do pocałunku.

Ale on cofnął się.

– Czego chcesz?

Przyjrzałam mu się. Kiedy wreszcie się odezwałam, głos mnie zawiódł.

– Eneaszu, pomóż mi! Parys nie żyje!

– Wiem o tym.

– Zatem chyba rozumiesz, co to dla mnie oznacza! Parys nie

żyje! Jestem na ich łasce! Nakazano mi poślubić Deifobosa! Tego psa! Och, bogowie! W Lakonii nie byłby godzien dotykać rąbka mojej sukni. A Priam kazał mi go poślubić! Jeśli masz dla mnie jakieś względy, Eneasz, błagam, byś spotkał się z Priamem i powiedział mu, że nie zamierzam go poślubić! Jak zresztą nikogo!

Spojrzał jak mężczyzna, który miał do wykonania nieciekawe zadanie.

– Prosisz o niemożliwe, Heleno.

– O niemożliwe? – spytałam oszołomiona. – Eneasz, dla ciebie nie ma nic niemożliwego! Ty jesteś najpotężniejszy w Troi!

– Moja rada: wyjdź za Deifobosa i pogódź się z tym.

– Ale ja myślałam... myślałam... myślałam, że nawet jeśli nie chcesz mnie dla siebie, to masz dla mnie choć trochę uczucia, by walczyć w mojej sprawie.

Trzymając rękę na zasłonie, roześmiał się.

– Heleno, nie pomogę ci. Zrozum to, proszę. Każdy dzień tworzy nową lukę w szeregach synów Priama, każdy dzień zbliża mnie do tronu Troi. Awansuję i swej pozycji nie będę ryzykował dla ciebie. Czy to dość jasne?

– Nie zapominaj, co czeka na mężczyzn o takiej ambicji, Eneasz.

Znowu się roześmiał.

– Tron, Heleno! Tron!

– Kupię przekleństwo dla ciebie – powiedziałam spokojnie. – Wydam na nie wszystko, co posiadam. Poproszę, abyś nigdy nie zasiadł na tronie, abyś nigdy nie zaznał spokoju, abyś musiał włóczyć się po całym świecie, abyś zakończył swoje dni wśród biednych dzikusów mieszkających w wiklinowych chatkach.

Myśle, że to go przerażyło. Zasłona spadła i zniknęła.

Po wyjściu Eneasza rozpatrzyłam dokładnie wszystko, na co mogłam liczyć. Czekало mnie małżeństwo z mężczyzną, którego się brzydzę, którego dotyk przyprawia mnie o mdłości. Potem wyraźnie uświadomiłam sobie, że do końca życia będę już skazana tylko na siebie. Że jeśli chcę uciec z tego strasznego pałacu, muszę poradzić sobie sama.

Menelaos nie był daleko, dwie z trzech bram Troi zawsze były otwarte. Ale kobiety z pałacu nie są przyzwyczajone do chodzenia pieszo, nie mają nawet mocnych butów. Dotarcie na grecką plażę przez Bramę Dardańską, z ominięciem Skajskiej, nie mogło się powieść. Chyba że pojedę wierzchem! Kobiety jeździły na osłach. Po prostu siadały im na grzbiecie z nogami spuszczoneymi po jednej stronie. Tak. Uda mi się! Ukradnę osła i pojedę na plażę, kiedy noc będzie jeszcze leżeć nad miastem i równiną.

Kradzież osła nie okazała się trudna. Ani jazda na jego grzbiecie. Kiedy jednak dotarłam do Bramy Dardańskiej – bardziej oddalonej od cytadeli niż Skajska – mój środek transportu odmówił posłuszeństwa. Zwierzę miejskie poczuło otwartą przestrzeń wsi i nie spodobały mu się zapachy, jakie przyniósł wiatr. Posmak nadchodzącej jesieni, powiew morza. Kiedy uderzyłam je batem, zaryczało żałościwie, i to był dla mnie koniec. Strażnicy bramy podeszli, by sprawdzić, co się dzieje. Zostałam rozpoznana i aresztowana.

– Chcę się dostać do mojego męża! – płakałam. – Puśćcie mnie do męża, proszę!

Ale oni oczywiście mnie nie puścili, choć ten podły osioł teraz zdecydował, że podoba mu się to, co poczuł. Wierzgnął tylnymi nogami i uciekł na wolność, a ja wróciłam do pałacu. Jednak nie Priama obudzono. Ale Deifobosa.

Czekałam biernie, aż wyjdzie z łóżka. Kiedy się ukazał, spojrzałam na niego spokojnie. Podziękował strażnikom dość grzecznie i dał im nagrodę. Kiedy oddalili się, kłaniając, on rozsunał

zasłone do swojej sypialni.

– Wejdz, prosze – powiedzial.

Nie ruszylam sie.

– Chcialas isc do meza. Oto jestem.

– Nie jesteśmy poślubieni, a ty masz zone.

– Juz nie. Rozwiodlem sie z nia.

– Zadnego malzenstwa przez sześć księżyców, powiedzial Priam.

– Alez moja droga, tak bylo, zanim usilowalas zbiec do Greków i Menelaosa. Kiedy ojciec o tym uslyszy, nie bedzie mi stawal na drodze. Szczegolnie, gdy poinformuje go, ze juz skonsumowalismy związek.

– Nie osmielisz sie! – warknelam.

W odpowiedzi, jedna ręką chwycił mnie za ucho, a druga za nos i pociagnął do sypialni. Oszalała z bólu, niezdolna się wyrwać, upadłam na łóżko. Od gwałtu gorsza jest tylko śmierć. Ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślałam, zanim oddałam umysł opiece Matki, było to, że pewnego dnia uczynię Deifobosowi tę najgorszą rzecz z wszystkich – zabije go.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

OPOWIEŚĆ DIOMEDESA

Wkrótce po nieudanym wypadzie Trojan, mimo że Neoptolemos jeszcze nie dotarł, Agamemnon zwołał radę. Na plaży powszechnie panowała atmosfera optymizmu. Powstrzymywały nas jedynie mury. Być może Odyseusz coś wymyśli i je również pokonamy. Śmialiśmy się i żartowaliśmy między sobą. Agamemnon rozmawiał o czymś z Nestorem, rozbawiony tym, co tamten mu powiedział po cichu. Potem podniósł berło i stuknął laską o podłogę.

– Odyseuszu, podobno masz dla nas jakieś wieści.

– Tak, panie. Przede wszystkim chyba udało mi się opracować plan, jak dostać się za trojańskie mury, choć jeszcze nie jestem gotów, żeby o tym mówić. Ale mam inne interesujące wiadomości.

Spojrzał na Menelaosa, potem podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Słyszałem pałacową plotkę, dotyczącą różnicy poglądów między Priamem, Helenosem i Deifobosem. Chodziło o kobietę. Dokładnie, o Helenę. Biedactwo! Po śmierci Parysa poprosiła, by mogła się oddać na służbę Matce Kubabie, ale zarówno Deifobos, jak i Helenos zażądali jej ręki. Priam rozstrzygnął spór na korzyść Deifobosa, który poślubił ją potem siłą. To skłóciło cały dwór, ale Priam nie chciał anulować związku. Najwyraźniej Helenę przyłapano na próbie ucieczki do ciebie, Menelaosie.

Menelaos nie odezwał się, spuścił tylko głowę na ręce. Nie mogłem wyobrazić sobie pięknej, królewskiej Heleny, sprowadzonej do poziomu nałożnicy z haremu.

– Cała sprawa przepęłniła Helenosa, syna–kapłana, taką odrazą – kontynuował Odyseusz – że postanowił udać się na dobrowolne wygnanie. Przechwyciłem go pod murami miasta, mając nadzieję, że jego rozczarowanie jest na tyle duże, iż zdradzi mi wyroczone Troi. Kiedy go znalazłem, znajdował się przy ołtarzu poświęconym Apollinowi, który, jak mnie poinformował, polecił mi powiedzieć wszystko, czego zażądam. Poprosiłem, aby przekazał mi wyroczone Troi w całości – było to bardzo męczące. Helenos wyrecytował ich tysiące! Jednakże dowiedziałem się, czego mi było trzeba.

– Co za szczęście – rzekł Agamemnon.

Odyseusz wydał wargę.

– Szczęście, panie – powiedział spokojnie – jest przecenionym towarem. Nie szczęście prowadzi do sukcesu, ale wyteżona praca. Szczęście to jest to, co się zdarza, gdy rzuca się kośćmi. Dzięki wyteżonej pracy nagroda wpada nam w ręce, ponieważ ciężko na nią zapracowaliśmy.

– Tak, tak, tak! – rzekł arcykról, żałując, że nieopatrznie wybrał ten zwrot. – Przepraszam, Odyseuszu! Praca, zawsze wyteżona praca! Wiem, przyznaję. Co z tą wyrocznią?

– Tylko trzy z tego tysiąca mają dla nas znaczenie. Żadna z nich – na szczęście – nie jest przeszkodą nie do pokonania. Brzmiały one mniej więcej tak: Troja upadnie w tym roku pod trzema warunkami – przywódcy greccy będą posiadać łopatkę z ramienia Pelopsa, Neoptolemos przystąpi do walki i Troja utraci palladion Pallas Ateny.

Podskoczyłem podekscytowany.

– Odyseuszu, ja mam łopatkę Pelopsa. Król Pitteus dał mi ją po śmierci Hippolita. Starzec mnie lubił, a to była dla niego najcenniejsza relikwia. Powiedział, że woli, bym ją miał, a nie Tezeusz. Zabrałem ją z sobą do Troi... na szczęście.

Odyseusz uśmiechnął się.

– Mamy szczęście, prawda? – spytał Agamemnona. – Jeśli zaś chodzi o Neoptolemosa, mamy wielkie nadzieje na jego przybycie, o które sami zadbaliśmy. Zostaje tylko palladion Pallas Ateny, która – na szczęście – jest moją opiekunką. No, no!

– Zaczynam się niecierpliwić, Odyseuszu – rzekł arcykról.

– O, na czym to ja to skończyłem? Aha, palladion. Musimy zdobyć ten święty wizerunek. Jest chroniony bardziej niż cokolwiek w mieście. Jego utrata bardzo by osłabiła Priama. O ile wiem, wizerunek został umieszczony gdzieś w krypcie cytadeli. Ścisłe tajne miejsce. Ale jestem pewien, że potrafię odkryć ten sekret. Najtrudniejszą częścią przedsięwzięcia będzie przeniesienie go. Powiadają, że jest duży i ciężki. Diomedesie, czy udasz się ze mną do Troi?

– Z radością!

Ponieważ nic ważnego nie było już do omówienia, rada się rozeszła. Menelaos złapał Odyseusza w drzwiach i przytrzymał za ramię.

– Będziesz ją widział? – spytał smutno.

– Pewnie tak – odrzekł łagodnie.

– Powiedz jej, że chcę, by jej się udało dostać do mnie.

– Powiem.

Gdy jednak szliśmy do mojego domu, dodał tylko dla mnie:

– Nigdy! Helena trafi pod topór! A nie na dawne miejsce w jego łożu.

Zacząłem się śmiać.

– Chcesz się założyć? – spytałem.

– Wejdziemy przez kanał? – Takie było moje pierwsze pytanie,

gdy zasiedliśmy do wymyślania planu.

– Ty tak, ale ja nie. Muszę dostać się do Heleny. Ale nie mogę wyglądać jak Odyseusz.

Wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił, niosąc krótki bat z czterema rzemieniami, z których każdy był zakończony ostrą kulką z brązu. Patrzyłem oszołomiony, a on odwrócił się do mnie plecami i zaczął zdejmować koszulę.

– Wychłostaj mnie, Diomedesie.

Skoczyłem przerażony.

– Postradałeś zmysły? Mam wychłostać ciebie? Nie potrafię!

Zacisnął usta.

– Zatem zamknij oczy i wyobraź sobie, że jestem Deifobosem. Muszę być wychłostany, i to porządnie.

Objąłem ręką jego nagie ramiona.

– Proś, o co chcesz, ale nie to. Wychłostać ciebie – króla! – jakbyś był zbuntowanym niewolnikiem?

Śmiejąc się cicho, położył policzek na mojej ręce.

– Czymże będzie te kilka blizn więcej na moim poszczerbionym ciele? Muszę wyglądać jak zbuntowany niewolnik, Diomedesie. Cóż bardziej wiarygodnego nad zakrwawione plecy zbiegłego greckiego niewolnika? Użyj bata.

Potrząsnąłem głową.

– Nie.

Spoważniał.

– Użyj go, Diomedesie!

Chwyliłem bat niechętnie. Pochylił się. Owiąłem rzemienie wokół dłoni, zebrałem się w sobie i spuściłem je na jego ciało.

Pokazały się purpurowe pręgi. Patrzyłem, jak puchną, jednocześnie z fascynacją i odrazą.

– Włóż w to trochę jadu! – rzekł niecierpliwie. – Nie wytoczyłeś krwi!

Zamknąłem oczy i zrobiłem, co kazał. Zadałem mu tym podłym narzędziem dziesięć ciosów. Za każdym razem, gdy spadał bat, tryskała krew, znacząc go na całe życie jako zbuntowanego niewolnika.

Po wszystkim pocałował mnie.

– Nie rozpaczaj, Diomedesie. Na co mi piękna skóra? – Skrzywił się. – Boli niezłe. Czy wygląda tak samo?

Skinąłem bez słów.

Zdjął kilt i ruszył przez pokój, owijając lędźwie brudnymi płótnami. Potargał sobie włosy i poczernił twarz sadzą z trójnoga. Przysięgam, że w jego oczach błyszczała czysta radość. Potem wyciągnął parę kajdan.

– Zakuj mnie teraz, tyrański Argiwie!

Po raz drugi wykonałem, co mi kazał, świadom, że krwawie od biczowania w sposób, który był mu zupełnie obcy. Dla Odyseusza to wszystko stanowiło tylko środek do celu. Ukląknę, by założyć mu kajdany na kostki.

– Kiedy dostanę się do miasta – mówił – muszę dotrzeć do cytadeli. Do kępy drzew niedaleko małej wieży strażniczej na końcu Zachodniej Kurtyny pojedziemy razem wozem Ajaksa – jest mocny, stabilny i cichy. Tam się rozdzielimy. Ja pokuśtykam przez małe drzwi w Bramie Skajskiej i dalej przez bramę do cytadeli. Będę mówił, że chcę się pilnie widzieć z Polidamasem. Przekonałem się, że to imię ma największą moc.

– Ale – powiedziałem, prostując się – tak naprawdę nie zamierzasz się z nim widzieć.

– Nie. Zamierzam zobaczyć się z Heleną. Podejrzewam, że po siłą zawartym małżeństwie pomoże mi z radością. Na pewno wie coś na temat krypty. Być może wie nawet, gdzie jest świątynia z palladionem.

Potrząsnął kajdanami na próbę.

– A ja co mam robić? – spytałem.

– Poczekasz w krzakach, aż minie połowa nocy. Potem wejdiesz naszym kanałem i zlikwidujesz strażników z małej wieży. Jakoś dowlokę posąg do murów. Kiedy usłyszysz nocny śpiew skowronka mniej więcej taki... – zagwizdał trzykrotnie – zejdziesz i pomożesz mi przenieść ją przez kanał.

Wysadziłem Odyseusza wśród drzew, tak by nas nikt nie zobaczył, i usadowiłem się z powrotem na wozie. Kulejąc i potykając się, pobiegł jak człowiek niespełna rozumu w kierunku Bramy Skajskiej. Krzyczał, zawodził i tarzał się w kurzu. Najbardziej godna pożałowania istota ludzka, jaką kiedykolwiek widziałem. Zawsze lubił udawać tego, kim nie był, ale chyba tożsamość niewolnika z wszystkich jego wcieleń podobała mu się najbardziej.

Kiedy minęło pół nocy, znalazłem nasz kanał i wolno, bez hałasu przeczołgałem się przez jego wąskie zakręty. Na końcu zatrzymałem się, przyzwyczajając oczy do światła księżyca. Nadstawiłem uszu, łowiąc dźwięki, które dochodziły od ścieżki na szczycie murów. Znajdowałem się niedaleko mniejszej wieży strażniczej. Odyseusz wyznaczył ją na miejsce spotkania, ponieważ była oddalona od innych punktów strażniczych.

Na służbie było pięciu żołnierzy. Nie spali. Wszyscy znajdowali się w wieży. Kto dowodził tymi ludźmi, że pozwalał im siedzieć wygodnie w środku, podczas gdy bastiony stały puste? W obozie Greków nie pozwolono by na to!

Miałem na sobie lekki, ciemny skórzany kilt i bluzę. Między zęby włożyłem sztylet, a w prawej ręce trzymałem krótki miecz.

Zbliżywszy się do okna stróżówki, cicho zakasłałem.

– Zobacz, kto tam jest na zewnątrz, Majosie – powiedział ktoś.

Wytoczył się Majos. Dobry, nie skrywany kaszel nie budzi podejrzeń, nawet gdy słyszy się go na szczycie najbardziej zawzięcie bronionych murów na świecie. Nie dostrzegłszy nikogo, spał się, ale jako głupiec nie zawołał o pomoc. Najwyraźniej wmówił sobie, że coś mu się zdawało, i ruszył naprzód z wyciągniętą dzidą. Pozwoliłem, by mnie minął, po czym cicho wstałem, jedną ręką kneblując mu usta, drugą użyłem miecza. Opuściłem go cicho na ścieżkę i zaciągnąłem w ciemny kąt.

Kilka chwil później wyłonił się następny, wysłany, by poszukać Majosa. Bezgłośnie podciąłem mu gardło. Dwóch leży, trzech zostało. Potem, zanim ci, którzy zostali w środku, zdążyli się zaniepokoić, zbliżyłem się znowu do okna, udając pijacką czkawkę. Ktoś w środku podniósł się i westchnął rozeźlony. Z niecierpliwością wyszedł przez drzwi. Zarzuciłem mu rękę na ramiona, jak ktoś bardzo pijany. Kiedy brał wślizgiwał się między jego żebra ku sercu, żołnierz jedynie chrząknął. Utrzymując go w pionie, odstawiłem taniec, zataczając się i naśladując głos Trojanina. To wywołało na zewnątrz czwartego. Z chrapliwym pijackim śmiechem pchnąłem nieboszczyka prosto na niego. Gdy usiłował wyswobodzić się i odepchnąć kolegę, ja zagłębiłem w nim miecz po rękojeść. Położyłem obu na ziemi, naśladując cichnący brzęk, jakby odchodzili w ciemność. Potem zajrzałem przez okno.

Został tylko dowódca wieży. Siedząc za stołem, mruzczał coś gniewnie do siebie. Wyraźnie zaniepokojony patrzył w otwór zapadni w podłodze. Spodziewał się kogoś czy co? Wślizgnąłem się do pokoju i skoczyłem na niego od tyłu, tłumiąc jego krzyk dłonią. Umarł równie szybko jak reszta i dołączył do nich w ciemnym kącie między ścieżką a ścianą wieży. Potem usiadłem na zewnątrz i czekałem. Uznałem, że jeśli rzeczywiście pojawi się jakiś gość, to lepiej, żeby nie zastał nikogo w stróżówce.

Niedługo potem Odyseusz zagwizdał jak skowronek. Zdolna bestia! Pomyślał, by zmienić zwykły trel na wypadek, gdyby prawdziwy ptak znajdował się w pobliżu wieży. Jednak prawdziwego skowronka nie było. Miałem tylko nadzieję, że również żadnego gościa, ponieważ nie mogłem ostrzec Odyseusza.

Otworzyłem klapę zapadni w stróżówce i ześlizgnąłem się w dół po drabinie. Na dole czekał Odyseusz.

– Poczekaj! – wyszeptalem. Wszedłem na zewnątrz, by rozejrzeć się po okolicy. Ulice jednak były ciche i ciemne.

– Mam ją, Diomedesie, ale waży tyle co Ajaks! – powiedział Odyseusz, kiedy wróciłem. – Trudno będzie ją wciągnąć po dwudziestopięciolokciowej drabinie.

Pallas siedziała niepewnie na grzbiecie osła. Wnieśliśmy ją do dolnego pomieszczenia wieży, najpierw puściwszy wolno zwierzę. Porażony gapiłem się na nią w świetle lampy. Ależ była stara! Ledwie rozpoznawalny kobiecy kształt wyrzeźbiony w jakimś ciemnym drewnie, zbyt zniszczona upływem wieków, żeby być piękna, a piękna nie była w ogóle. Miała drobne, złączone razem, spiczaste stopy, ogromne uda, obsceniczny srom, spuchnięty brzuch, dwie bulwiaste piersi, ręce spuszczone wzdłuż boków, okrągłą głowę i wydęte wargi. Była niesłychanie gruba. Wyższa ode mnie i cięższa. Spiczaste stopy być może pozwoliłyby jej kręcić się jak tancerce, ale nie mogła na nich ustać. Musieliśmy ją podpierać.

– Odyseuszu, czy przejdzie przez nasz kanał? – spytałem.

– Tak. Nie jest szersza od twoich ramion i jest okrągła, tak jak kanał.

Wpadłem na świetny pomysł. Przeszukałem pomieszczenie i znalazłem w skrzyni kawałek liny. Zawiązałem ją pod piersiami posągu, zostawiając zwisający kawałek jako uchwyt. Wszedłem na drabinę pierwszy, ciągnąc Pallas za linę, podczas gdy Odyseusz jedną ręką chwycił ją pod wielkie pośladki, a drugą za srom i pchał

od dołu.

– Jak sądzisz – wydyszałem, kiedy dotarliśmy do stróżówki – czy wybaczy nam taką poufałość?

– Na pewno – odrzekł, kładąc się obok niej na podłodze. – Przede wszystkim to Pallas Atena, a ja do niej należę.

Przepchnięcie jej przez kanał było łatwiejsze. Odyseusz miał rację. Jej krągłości pasowały do niego lepiej niż szerokie, męskie barki. Nie odwiązaliśmy liny, która przydała się po raz drugi, kiedy znaleźliśmy się na równinie. Zaciągnęliśmy ją do kępy drzew i położyliśmy przy czterokołowym wozie Ajaksa. Tam, jęcząc z wysiłku, wciągnęliśmy na wóz i padliśmy obok niej. Księżyc zaczynał zachodzić, co znaczyło, że mieliśmy dość czasu, aby dostać się do domu.

– Udało ci się, Odyseuszu! – zapiałem.

– Nie dałbym rady bez ciebie, stary druhu. Ilu strażników musiałeś zabić?

– Pięciu. – Ziewnąłem. – Jestem zmęczony.

– A jak sądzisz, jak ja się czuję? Przynajmniej twoje plecy są całe.

– Nie wspominaj mi o tym! Powiedz lepiej, co się działo w cytadeli. Widziałeś Helenę?

– W pięknym stylu oszukałem strażników i bez problemu wpuścili mnie do miasta. Strażnik przy bramie cytadeli spał. Chwyciłem kajdany, by nie brzęczały, i przeszedłem obok niego, elegancko, jak się patrzy. Znalazłem Helenę, samą – Deifobosa nie było. Cofnęła się, widząc brudnego zakrwawionego niewolnika, rzucającego się do jej stóp, ale potem spojrzała mi w oczy i poznała mnie. Kiedy poprosiłem, by zaprowadziła mnie do krypty, wstała, nie zwlekając. Sądzę, że spodziewała się Deifobosa. Ale udało się nam uciec i wkrótce znaleźliśmy spokojne miejsce, gdzie pomogła mi

pozbyć się kajdan. Potem zeszliśmy do krypty. – Zachichotał. – Znała ją jak własną dłoń, podejrzewam, że tam spotykała się z Eneaszem. Kiedy znaleźliśmy się na dole, zasypała mnie pytaniami – co z Menelaosem? – co z tobą? – co z Agamemnonem? Nie mogła się nasłuchać.

– Ale palladion? Jak udało ci się go ruszyć, skoro miałeś do pomocy tylko Helenę? – spytałem.

Jego ramiona zatrzęsły się od śmiechu.

– Kiedy ja odmawiałem modły i prosiłem boginię o pozwolenie przeniesienia jej, Helena zniknęła. Po chwili wróciła z osłem! Potem wyprowadziła mnie z krypty prosto na ulicę za murem cytadeli, gdzie mnie ucałowała – bardzo niewinnie! – i życzyła powodzenia.

– Biedna Helena – rzekłem. – Deifobos musiał przechylić szalę na niekorzyść Troi.

– Masz absolutną rację, Diomedesie.

Agamemnon wzniósł wspaniały ołtarz na placu zebrań i umieścił palladion w pozłacanej niszy. Potem zgromadził tyle wojska, ile mogło zmieścić się na placu, i opowiedział, jak mnie i Odyseuszowi udało się wykraść Atenę. Pallas dostała własnego kapłana, który złożył jej najwspanialsze ofiary. Dym był biały jak śnieg i unosił się wysoko w niebo, z czego poznaliśmy, że jej nowy dom bardzo się jej spodobał. Jakże musiała mieć dość zimnego, ponurego mroku w trojańskim lochu! Święty wąż bez wahania wpełzł do jamy pod ołtarzem. Potem wytknął głowę, wychłeptał mleko ze spodka i połknął jajko. Imponująca i radosna ceremonia.

Kiedy rytuał się skończył, Odyseusz, reszta królów i ja poszliśmy za Agamemnonem do jego domu na ucztę. Żaden z nas nigdy nie odmówił posiłku u naszego króla królów. Jak dotąd miał najlepszych kucharzy. Sery, oliwki, chleb, owoce, pieczone mięso, ryby, słodczyce z miodem, wino.

Od królów biła radość. Prowadziliśmy ożywioną rozmowę, a wino lało się strumieniami. Menelaos zawołał harfiarza, żeby nam coś zaśpiewał. Rozsiedliśmy się w sentymentalnym nastroju. Nie było na świecie Greka, który by nie kochał pieśni, hymnów i opowieści. Zawsze woleliśmy raczej słuchać barda, niż zabawiać się z kobietami.

Harfiarz zaśpiewał nam jedną z pieśni o Heraklesie. Potem cierpliwie odczekał, aż umilkną z lekka histeryczne oklaski. Był zręcznym poetą i doskonałym muzykiem. Agamemnon wziął go z Aulidy dziesięć lat temu. Ale pochodził z północy i powiadano, że jest potomkiem śpiewaka nad śpiewakami, samego Orfeusza.

Ktoś poprosił o hymn wojenny Tydeusza, ktoś inny o lament Danae, a Nestor chciał opowieści o Medei. Ale wobec wszystkich próśb uśmiechając się, pokręcił przecząco głową. Potem przyklęknął przed Agamemnonem.

– Panie, jeśli pozwolisz, skomponowałem pieśń o wydarzeniach znacznie nam bliższych od czynów zmarłych herosów. Czy mogę zaśpiewać własną kompozycję dla ciebie?

Agamemnon przechylił swoją królewską siwiejącą głowę.

– Śpiewaj, Alfidesie z Salmydessos.

Przebiegł delikatnie palcami po sztywnych strunach, aby wprawić ukochaną lirę w melancholijny nastrój. Pieśń była smutna, a jednak wspaniała, pieśń o Troi i wojsku Agamemnona pod jej murami. Trzymał nas w zachwycie przez długi czas, ponieważ takiego ogromu poezji nie można zmieścić w paru chwilach. Siedzieliśmy, podpierając brody rękami, żadne oko nie drgnęło, a policzek nie pozostał suchy. Zakończył śmiercią Achillesa. Reszta była zbyt bolesna. Jeszcze do tej pory trudno nam było myśleć o Ajaksie.

Cały w złocie po śmierci, ten, co za życia był złoty,

W piękną maskę zakuty, delikatną, lecz martwą,
Z oddechem odciętym na zawsze, jako cień odpłynął w drogę.
Ciężkie są jego ręce w złotych rękawicach,
Cała jego śmiertelność stopiła się,
chwała jego metalem się stała, Niewidzący Achilles, gromki głos
jego zamilkł na zawsze.

O boska Muzo, wznosź moje serce, niechaj tchnie w niego życie!
Dzięki moim słowom niech odzije się w złoto,
Niech kroki jego głucho zadudnią, budząc lęk i grozę,
Gdy kroczyć będzie przez równinę pod ponurą Troję!
Niechaj dzięki mnie znów potrząśnie złotym pióropuszem,
W naszej pamięci błyszczący jak złote słońce w górze,
Biegający bez zmęczenia po zroszonej trawie Troi,
Z wstążkami na pancerzu wystukującymi rytmem.
Wspaniałe Achilles, bezwargi syn Peleusa.

Mimo bolących serc, głośno i długo chwaliliśmy harfiarza
Alfidesa z Salmydessos. Dał nam posmakować nieśmiertelności,
ponieważ jego pieśń z pewnością będzie żyła dłużej od nas
wszystkich. Pomyślałem, że choć jeszcze oddychamy, już
znaleźliśmy się w pieśni. Ciężar był trudny do udźwignięcia.

Kiedy pochwały w końcu zamilkły, chciałem znaleźć się sam
z Odyseuszem. Nastrój wśród mężczyzn był obcy temu, który tchnął
w nas harfiarz. Spojrzałem na Odyseusza, który zrozumiał mnie bez
słów. Wstał i zwrócił się ku drzwiom. Nagle zdumiony głośno jęknął.
W pokoju zapadła cisza i wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę.
My również jękliśmy.

Podobieństwo było niesamowite. Czar pieśni nadal silnie na

nas działał. Mieliśmy wrażenie, jakby pieśń Alfidesa z Salmydessos wyczarowała ducha, który wraz z nami słuchał muzyki. Pomyślałem – Achilles też przyszedł posłuchać! Ale kto dał mu krew, by jego cień nabrał ciała?

Wtedy przyjrzałem mu się dokładniej i zrozumiałem. To nie był Achilles. Był równie wysoki i szeroki w ramionach, ale o wiele młodszy. Zarost na brodzie ledwie się rysował i był ciemniejszy, a oczy miał bardziej bursztynowe. Poza tym posiadał dwie doskonale ukształtowane wargi.

Jak długo tam stał, tego nikt z nas nie wiedział. Z cierpienia na twarzy poznaliśmy, że musiał usłyszeć przynajmniej zakończenie pieśni.

Agamemnon powstał i podszedł do niego z wyciągniętymi ramionami.

– Ty jesteś Neoptolemos, syn Achillesa. Witaj – powiedział.

Młodzieniec skinął poważnie głową.

– Witaj, panie. Przybyłem, by pomóc, ale wyruszyłem, zanim... zanim dowiedziałem się, że mój ojciec nie żyje. Dowiedziałem się o tym od harfiarza.

– Czy istnieje lepszy sposób, by dowiedzieć się tak strasznej wieści? – spytał Odyseusz, podchodząc do nich.

Neoptolemos, wzdychając, pochylił głowę.

– Tak, pieśń powiedziała o wszystkim. Czy Parys nie żyje?

Agamemnon chwycił jego obie dłonie.

– Tak, nie żyje.

– Kto go zabił?

– Filoktet, strzałami Heraklesa.

Starął się być uprzejmy i nie okazywać żadnych emocji.

– Wybaczcie, ale nie znam was. Który z was to Filoktet?

– To ja – odezwał się Filoktet, wstając.

– Nie było mnie tu, bym go pomścił. Zatem dziękuję ci.

– Wiem, chłopcze, że wolałbyś zrobić to sam. Ale przypadek sprawił, że to ja złapałem tego łajdaka – a może zrządzenie bogów. Kto wie?

A teraz, ponieważ nikogo nie znasz, pozwól, że ci wszystkich przedstawię. Powitał cię arcykról. Potem przemówił Odyseusz. Reszta to Nestor, Idomeneusz, Menelaos, Diomedes, Automedon, Menestenes, Meriones, Machaon i Eurypylos.

W tej chwili uświadomiłem sobie, jak bardzo przerzedziły się nasze szeregi.

Odyseusz, rozentuzjasmowany Automedon oraz ja zaprowadziliśmy Neoptolemosa do obozowiska Myrmidonów. Był to długi spacer, a wieść o jego przybyciu już dawno dotarła do obozu. Wzdłuż całej drogi żołnierze powychodzili z domów i stali na palącym słońcu, by go witać równie szczerze, jak witali jego ojca. Stwierdziliśmy, że był podobny do Achillesa nie tylko z wyglądu. Przyjmował ich gwałtowną radość z tym samym cichym uśmiechem i niedbałym machnięciem dłoni. Podobnie jak ojciec był zamknięty w sobie. Nie narzucał się nikomu. Po drodze wypełnialiśmy luki pieśni, opowiadając, jak zginął Ajaks, Antiloch i inni. Potem opowiedzieliśmy mu o żyjących.

Myrmidoni stali jak na paradzie. Żadnej wesołości, dopóki chłopak – mógł mieć najwyżej osiemnaście lat – do nich nie przemówił. Potem zaczęli bić mieczami o tarcze, aż hałas wypędził mnie i Odyseusza na drugi koniec plaży.

– Zatem wszystko zmierza do końca, Diomedesie.

– Gdyby bogowie w ogóle znali pojęcie litości, modliłbym się, aby stało się to szybko – powiedziałem.

Zdmuchnął rudy kosmyk włosów z oczu.

– Dziesięć lat... dziwne, ale Kalchas się nie mylił. Zastanawiam się, czy miał tylko szczęście, czy rzeczywiście potrafił przewidywać przyszłość.

Zadrzałem.

– To niepolityczne wątpić w moc kapłana.

– Może, może. Och, strząśnąć kurz Troi z włosów! Znowu wypłynąć na otwarte morze! Zmyć z siebie stęchliznę tej równiny czystą, słoną wodą! Iść tam, gdzie nie ma wiatru, a gwiazdy świecą, nie rywalizując z tysiącem ognisk! Oczyszczyć się!

– Pragnę tego samego, Odyseuszu. Choć trudno mi uwierzyć, że koniec już niedługo.

– Skończy się kataklizmem, który dorówna katastrofom Posejdona.

Popatrzyłem na niego.

– Opracowałeś już, jak to zrobić?

– Tak.

– Powiedz mi!

– Przed czasem? Diomedesie! Nie mogę powiedzieć nawet tobie! Ale już niedługo, już niedługo.

– Wejdz do mnie i pozwól mi zmyć te pręgi po bacie.

To go rozśmieszyło.

– Zagoją się – powiedział.

Na drugi dzień wieczorem Neoptolemos przyszedł do nas na kolację.

– Muszę ci coś przekazać, Neoptolemosie – rzekł Odyseusz po posiłku. – To mój dar dla ciebie.

Neoptolemos spojrzał na mnie pytająco.

– O czym on mówi?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy ktoś to może wiedzieć z wyjątkiem samego Odyseusza?

Wrócił, ciągnąc olbrzymi trójnóg, w którym spoczywała złota zbroja zamówiona przez Tetydę u Hefajstosa. Neoptolemos skoczył na nogi, jękając coś, czego nie zrozumiałem, potem wyciągnął rękę i dotknął pancerza delikatnie, z miłością.

– Byłem zły, kiedy Automedon powiedział mi, że wygrałeś w walce z Ajaksem. Ale muszę prosić cię o wybaczenie. Wygrałeś, by dać ją mnie?

Odyseusz uśmiechnął się.

– Będzie na ciebie pasować, chłopcze. Powinno się ją nosić, a nie wieszać na ścianie czy tracić na krewnych zmarłego. Noś ją, Neoptolemosie, a może przyniesie ci szczęście. Jednakże trzeba się do niej trochę przyzwyczaić. Waży prawie tyle samo, co ty.

W ciągu następnych pięciu dni odbyliśmy kilka drobniejszych potyczek. Neoptolemos posmakował trochę Trojan i oblizywał wargi. Był wojownikiem, urodzonym do walki i żadnym jej. Jedynie czas był jego wrogiem, z czego zdawał sobie sprawę. Jego oczy mówiły, że wie, iż jego rola w tych końcowych momentach wielkiej wojny nie jest tak doniosła, że wieniec laurowy znajdzie się na innych czołach, czołach, które cierpiały przez dziesięć lat. Jednak on sam był czynnikiem decydującym. Przyniósł z sobą nadzieję, zapał i entuzjazm. Oczy wszystkich żołnierzy – bez różnicy: Myrmidonów, Argiwów czy Etolian – śledziły go z psim oddaniem, jadącego na rydwanie ojca, w jego zbroi. Dla nich był Achillesem. Ja natomiast nie przestałem obserwować Odyseusza, nie mogąc się doczekać wezwania na radę.

Przyniósł je jeden z królewskich heroldów pół księżyca po

przybyciu Neoptolemosa – mamy się stawić nazajutrz po obiedzie. Wiedziałem, że próba wysondowania Odyseusza jest daremna. Zatem po wspólnej kolacji udawałem, że jestem zupełnie nie zainteresowany, gdy on podnosił i porzucał temat niczym żongler pozłacane kule. Doskonale świadomy mego zniecierpliwienia, wybuchnął śmiechem, gdy w końcu wyszedłem od niego z godnością. Mogłem go kopnąć, ale ciągle boleśniej odczuwałem tamtą chłostę, boleśniej niż on sam. Zatem powstrzymałem się. Pofolgowałem sobie natomiast w ostrym epitecie wobec jego przodków.

Wszyscy przybyli do Agamemnona wcześniej, niczym psy trzymane na smyczy, czujące świeżą krew, ubrani wytwornie w swe najlepsze kilty i klejnoty, jak gdyby udawali się na przyjęcie do Sali Lwa w Mykenach. Główny królewski herold stał u podnóża Tronu Lwa, wywołując imiona obecnych, by podkreślić, czym zadaniem było przekazanie ich potomności.

– Jego Wysokość Agamemnon, arcykról Myken, król królów; Idomeneusz, arcykról Krety; Menestenes, arcykról Attyki; Nestor, król Pylos; Menelaos, król Lakonii; Diomedes, król Argos; Odyseusz, król Wysp Zewnętrznych; Filoktet, król Histiajotis; Eurypylos, król Ormenionu; Toas, król Etolii; Agapenor, król Arkadii; Ajaks, syn Ojleusa, król Lokrydy; Meriones, książę Krety, dziedzic Krety; Neoptolemos, książę Tesalii, dziedzic Tesalii; Teukros, książę Salaminy; Machaon, chirurg; Podalieros, chirurg; Epejos, inżynier.

Król królów skinął na heroldów, aby wyszli i wręczył Merionesowi laskę debaty. Potem przemówił do nas w bardzo oficjalnej, urzędowej mowie.

– Po tym, jak Priam, król Troi, złamał święte prawa wojny, udzieliłem Odyseuszowi, królowi Itaki, pozwolenia na wymyślenie planu, dzięki któremu można by wziąć Troję ukradkiem i podstępem. Zostałem poinformowany, że Odyseusz, król Itaki, gotów jest zabrać głos. Wszystkich was zwołałem na świadków jego

słów. Odyseuszu, udzielam ci głosu.

Uśmiechając się do Merionesa, Odyseusz wstał.

– Trzymaj laskę za mnie.

Potem wziął rolkę miękkiej, jasnej skóry ze stołu pośrodku pokoju i podszedł do ściany, aby go wszyscy widzieli. Tam rozwinął rolkę i skórę przypiął do ściany małymi sztyletami o ozdobnych rękojeściach.

Patrzyliśmy zaskoczeni, jakbyśmy byli ofiarami jakiegoś oszustwa.

Trzeba przyznać, że rysunek był nieźle wykonany, wyryty na skórze czarnym węglem. Rodzaj konia, bardzo dużego, a z jednej strony znajdowała się pozioma linia.

Odyseusz popatrzył na nas zagadkowo.

– Tak, to jest rysunek konia. Bez wątpienia zastanawiacie się, dlaczego jest tu dziś z nami Epejos. No cóż, przyszedł, bym mógł mu zadać kilka pytań.

Zwrócił się do Epejosa, równie oszołomionego, co skrepowanego uczestnictwem w radzie wysoko urodzonych.

– Epejosie, jesteś uznawany za najdzielniejszego inżyniera w Grecji od czasów Ajakosa. Uważa się także, że jesteś najzręczniejszym stolarzem. Przypatrz się uważnie rysunkowi. Zauważ linię przy koniu. Ta linia oznacza wysokość murów Troi.

Zaciekawieni, wszyscy patrzyliśmy z równą uwagą co Epejos.

– Po pierwsze, Epejosie, chciałbym zasięgnąć twojej opinii w pewnej sprawie – rzekł król Wysp Zewnętrznych. – Miałeś dziesięć lat, by przyjrzeć się murom Troi. Powiedz mi: czy istnieje jakiś taran albo maszyna oblężnicza na świecie zdolna zniszczyć Bramę Skajską?

– Nie, królu Odyseuszu.

– Dobrze zatem! Drugie pytanie: czy masz tutaj materiały, rzemieślników i narzędzia, których można by użyć do zbudowania ogromnego okrętu?

– Tak, panie. Mam cieśli okrętowych, stolarzy, kamieniarzy, drwali i wielu niewykwalifikowanych pracowników. Sądzę też, że w okolicy pięciu mil znajduje się dość drewna odpowiedniego gatunku, aby zbudować ci całą flotę.

– Wspaniale! Teraz trzecie pytanie: czy potrafiłbyś zbudować drewnianego konia o wymiarach zwierzęcia znajdującego się na mapie? Przypatrz się znowu tej czarnej kresce. Mury Troi mają trzydzieści łokci, zatem koń wraz z uszami mierzy trzydzieści pięć łokci. I – pytanie czwarte: czy potrafiłbyś zbudować tego konia na platformie na kołach, zdolnej utrzymać jego ciężar?

Epejos zaczął się uśmiechać, najwyraźniej projekt połaskotał jego wyobraźnię.

– Tak, na wszystkie twoje pytania, panie.

– Ile czasu ci to zabierze?

– Kilka dni.

Odyseusz odpiął skórę i rzucił ją inżynierowi.

– Dziękuję ci. Weź to i idź do mojego domu. Tam się z tobą później zobaczę.

Nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić. Na naszych twarzach musiało malować się oszołomienie, obawa i niepewność. Czekając, aż Epejos wyjdzie, Nestor zaczął chichotać, jakby dopiero co usłyszał najzabawniejszy dowcip w swym długim życiu.

Odyseusz rozpostarł szeroko ramiona i wyprostował się, jakby chciał wzlecieć. Nikt już nie mógł nim zachwiać ani go powstrzymać. Gestykułując zamasyście, wzniósł swój głos wysoko tak, że zadźwięczał wśród belek sufitu.

– Oto sposób, w jaki można wziąć Troję, szanowni królowie i książęta!

Siedzieliśmy oniemiałi i gapiliśmy się na niego.

– Tak, Nestorze, masz rację. Podobnie ty, Agamemnonie. Po pierwsze, koń o tych rozmiarach pomieści w swoim brzuchu, zakładam, około stu mężczyzn. A jeśli atak będzie cichy, nocny i niespodziewany, stu ludzi wystarczy, by otworzyć Bramę Skajską.

Z każdej części pokoju zaczęły dobiegać niecierpliwe pytania. Wątpiący jęczeli, entuzjaści klaskali i zapanował ogólny nieład. Wreszcie Agamemnon powstał ze swego Tronu Lwa, aby z rąk Merionesa przejąć laskę i uderzyć nią w podłogę.

– Pytajcie, ale w bardziej uporządkowany sposób – i dopiero po mnie. Odyseuszu, usiądź i nalej sobie wina, a potem wyjaśnij ten plan w drobnych szczegółach.

Rada rozwiązała się dobrze po zmroku. Odprowadziłem Odyseusza do jego domu. Epejos czekał cierpliwie z rozłożoną przed sobą skórzaną mapą. Było na niej teraz kilka mniejszych rysunków. Słuchałem biernie, jak omawiali sprawy techniczne – rzeczy, których Epejos będzie potrzebował, przypuszczalny czas, jaki zajmie wykonanie konia, konieczność absolutnej tajemnicy.

– Możesz pracować w jamie, tuż za moim domem – powiedział Odyseusz do Epejosa. – Jest głęboka, zatem koń nie wystawi swego łba ponad czubki drzew. Nikt nie zobaczy go z miejskich wież. Miejsce to ma jeszcze inne korzyści. Od tak wielu lat jest unikane, że nie będziesz miał tam niepożądanych obserwatorów. Ludzi, którzy tam mieszkają, możesz wykorzystać jako pomocników. Każdy człowiek, którego będziesz musiał sprowadzić do jamy, nie będzie mógł jej opuścić do końca pracy. Czy dasz sobie radę, pracując w takich warunkach?

Jego oczy błyszczały.

– Możesz na mnie polegać, królu Odyseuszu. Nikt nie będzie wiedział, co się tam dzieje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

OPOWIEŚĆ PRIAMA

Boreasz, wiatr północny, nadciągnął od pustkowi Scytii, wyjąc i malując drzewa na bursztynowo i żółto. Minęło lato dziesiątego roku, a Agamemnon nie odpłynął, plugawy pies pilnujący cuchnącej kości Troi.

Wszystko przepadło. Tuż przed śmiercią Hektora wydałem polecenie wyciągnięcia ostatnich złotych gwoździ z drzwi, posadzek, okiennic, zawiasów i wrzucenia ich do tygła. Skarbiec był pusty. Wszystkie wotywnne ofiary w świątyniach zostały przetopione na sztaby. Bogaci i biedni jednakowo jęczeli pod podatkami. Lecz ja nadal nie miałem dość złota na zakup tego, co Troja potrzebowała do walki – najemników, broni, machin wojennych. Od dziesięciu lat nie widziałem żadnego dochodu z ceł Hellespontu. Zbierał je Agamemnon od wszystkich greckich statków płynących do Euxinusa, do którego nie pozwolił wpływać statkom innych nacji. Nie głodowaliśmy, ponieważ bramy południowa i północno-wschodnia były nadal otwarte i wieśniacy mogli uprawiać ziemię, ale brakowało nam produktów, których nie można było hodować w naszym regionie. Jedynie kilka z fantastycznych koni Laomedona zostało na pastwiskach na południowej równinie. Byłem zmuszony prawie wszystkie sprzedać. To prawda, że koło fortuny zatacza pełny krąg. To, czego Laomedon i ja odmówiliśmy Grekom, teraz do nich należało. Dowiedziałem się bowiem po czasie, że głównym kupcem tych koni był król Diomedes z Argos. Pycha, pycha... idzie przed upadkiem.

W moich pokojach rozpalono wielki ogień, by rozgrzać moje

ciało, lecz nie ma na ziemi takiego ognia, który mógłby roztopić rozpacz gnieźdząca się w moim sercu. Spłodziłem pięćdziesięciu synów, pięćdziesięciu pięknych chłopców. Teraz większość z nich leży martwa. Bóg wojny wziął sobie najlepszych, zostawiając mi wybrakowanych, by stanowili pociechę starego wieku. Mam osiemdziesiąt trzy lata, a wygląda na to, że przeżyję ich wszystkich. Kiedy patrzę na pysznego Deifobosa, z moich oczu płyną rzeki łez. Hektorze, Hektorze! Moja żona Hekabe oszalała, wyje jak stara suka pozbawiona potomstwa. Jej ulubiona towarzyszka, Kasandra, jest jeszcze bardziej zwariowana. Jedynie jej piękno z biegiem lat zwiększyło się wraz z szaleństwem. Na jej czarnych włosach widać dwa siwe pasma, twarz nabrała delikatności, oczy zrobiły się wielkie i błyszczące jak smolistoczarne szafiry.

Czasami zmuszam się, by iść do Bramy Skajskiej i tam z wieży obserwować nieprzeliczone smugi dymu wznoszące się nad plażą, statki wyciągnięte na brzeg i ustawione w szeregach. Grecy nie atakowali. Wisieliśmy na włosku nad otchłanią, a oni nie dawali nam żadnej nadziei. Nie wiedzieliśmy, co zamierzają. Po prostu zajmowali się swoimi tajemniczymi interesami. Resztki trojańskiego wojska były skoncentrowane przy Zachodniej Kurtynie, to tam musi zaatakować Agamemnon. Ponieważ zaatakuje na pewno.

Co noc leżę i nie mogę spać. Ranek zastaje mnie z otwartymi szeroko oczami. A jednak nie pokonali mnie. Dopóki duch nadal kołacze się w moim wędzącym ciele, nie pozwolę Troi upaść. Gdybym nawet miał sprzedać każdą osobę mieszkającą w tych murach, nie oddam Troi zębom Agamemnona.

Trzeciego dnia od pojawienia się Boreasa leżałem z twarzą zwróconą do okna, kiedy świt wyczołgał się nad Idę – szare światło zamglone przez łzy. Płakałem nad Hektorem.

Usłyszałem słaby krzyk, wzdrygnąłem się i zmusiłem do wstania z łóżka. Dochodził jakby od Zachodniej Kurtyny. Idź tam, Priamie, zobacz, co się dzieje. Wezwałem rydwan.

Hałas stawał się coraz głośniejszy, gdy dołączało się coraz więcej głosów. Znajdowałem się jednak za daleko, by rozpoznać, czy wrzawa była wywołana radością czy żalem. Przyłączył się do mnie Deifobos, przecierając oczy ze snu, kwaśno nadęty.

– Ojczy, czy nas zaatakowano?

– Skąd mam wiedzieć? Jadę na mury, by się przekonać.

Stajenny przyprowadził mój rydwan, woźnica dowlókl się ze swojej kwatery prawie nieprzytomny. Odjechałem, zostawiając dziedzica. Niech sam zdecyduje, czy chce jechać.

Całe miasto wokół Bramy Skajskiej i Zachodniej Kurtyny pieniało się od ludzi. Ludzie biegali w różnych kierunkach, gestykulowali i krzyczeli. Nikt jednak nie zakładał zbroi. Zamiast tego podskakiwali i wrzeszczeli, by i reszta przyszła zobaczyć.

Jakiś żołnierz pomógł mi wejść po schodach na skajską wieżę. Cicho wyłoniłem się w stróżówce. Kapitan odziany w bieliznę stał, ocierając łzy z twarzy. Jego zastępca siedział na krześle, śmiejąc się szaleńczo.

– Co się tu dzieje, kapitanie? – spytałem.

Zbyt czymś owładnięty, kapitan, nie uświadomiwszy sobie, co robi, ścisnął mnie boleśnie za ramię i zaprowadził na zewnątrz, na ścieżkę na murach. Tam ustawił mnie twarzą do greckiego obozu i wskazał trzęsącą się ręką.

– Spójrz, panie! Apollo wysłuchał naszych modłów!

Nie wierzyłem własnym oczom, próbując przeniknąć wschodzące światło. Patrzyłem i patrzyłem. Jak to rozumieć? Jak w to uwierzyć? Paleniska Greków były zimne, żadnego zapachu płonących drew w powietrzu, żadnej drobnej postaci, która by się poruszała, tylko pasmo kamienistej plaży omywane falami błyszczącymi we wschodzącym słońcu. Jediną oznaką, że kiedyś stały tam okręty, był szereg głębokich bruzd biegnących do laguny.

Okręty zniknęły! Żołnierze zniknęli! Nic nie zostało po armii osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy, z wyjątkiem małego miasteczka szarych domostw. W nocy Agamemnon odpłynął.

Wydałem okrzyk. Stałem tam i dawałem upust nieopanowanej radości. Nagle moje członki straciły moc i upadłem na ziemię. Śmiałem się i płakałem, toczyłem się po ostrych kamieniach, jakby były z puchu. Paplałem podziękowania Apollinowi, chichotałem i klaskałem w dłonie. Kapitan dźwignął mnie na nogi. Wziąłem go w objęcia i ucałowałem, obiecując, nie wiem nawet co.

Deifobos nadbiegł ze zmienioną twarzą. Chwycił mnie i okręcał w szalonym tańcu, podczas gdy strażnicy stali w kręgu i klaskali w dłonie.

Żaden grecki potwór nie czaił się na plaży. Troja była wolna!

Nigdy wieści nie wędrowały tak szybko. Teraz już nie spało całe miasto. I wszyscy zgromadzili się na murach, by się radować, śpiewać i tańczyć. Kiedy słońce wzniosło się nad równiną, mogliśmy dostrzec wyraźniej: Agamemnon rzeczywiście odpłynął, odpłynął, odpłynął! O Panie Światła, dzięki ci! Dzięki ci!

Czujny kapitan stanął z powrotem przy mnie. Nagle usztywniony strachem, pociągnął mnie za rękaw. Wtedy Deifobos też to zauważył. Podeszedł bliżej.

– Co to jest? – spytałem, a moje rozbawienie odpłynęło.

– Panie, tam, na równinie coś stoi. Widzę to od świtu, ale teraz dopiero światło zaczęło się przebijać. To nie kępa drzew nad Simois. To jakiś duży przedmiot. Widzisz?

– Tak, widzę – odparłem. W ustach mi zaschło.

– Co to jest... – rzekł wolno Deifobos. – Zwierzę?

Inni także zaczęli się nad tym zastanawiać. Potem nagle znalazło się w smudze słońca i rozbłysło brązową, wypolerowaną powierzchnią.

– Jadę to zobaczyć – rzekłem, kierując się do drzwi stróżówki. – Kapitanie, nakaz otworzyć Bramę Skajską. Ale nie pozwól ludziom wychodzić na zewnątrz. Biorę Deifobosa i sprawdzę to osobiście.

Och, poczuć ten zimny powiew wiatru! Jazda przez równinę była lekiem na wszystko, co mnie bolało. Kazałem woźnicy jechać drogą, zatem podskakiwaliśmy na kamieniach. Równiejszych teraz niż kiedyś. Bezustanny przepływ ludzi i rydwanów wygładził kamienie, a szczeliny napęłniły się kurzem stwardniałym przez jesienne deszcze.

Oczywiście, wszyscy widzieliśmy, czym był ten przedmiot, ale nikt nie chciał uwierzyć w to, co widzi. O co w tym chodzi? Do czego to służy? Z pewnością nie jest to coś zwykłego. Przy bliższym przyjrzeniu się na pewno okaże się czymś dziwniejszym, innym. Kiedy jednak zbliżyliśmy się z Deifobosem i orszakiem kilku dworzan, okazało się, że to jest rzeczywiście to, na co wyglądało. Gigantyczny drewniany koń.

Ogromnych rozmiarów dębowy stwór wznosił się wysoko nad naszymi głowami. Ktokolwiek go wykonał, bogowie czy ludzie, oddał dokładnie anatomię konia, wyraźnie inną od muła czy osła. Został jednak sporządzony w takiej skali, że wznosił się na nogach grubszych niż te, które miało jakiegokolwiek żywe zwierzę. Olbrzymie kopyta przymocowano do platformy z kłód. Platforma wznosiła się nad ziemią na małych solidnych kołach – dwunastu z każdej strony, z przodu i z tyłu. Mój rydwan znajdował się w cieniu jego głowy i musiałem wykręcać szyję, aby zobaczyć spód jego pyska. Wykonany z polerowanego drewna był zarazem mocny i krzepki. Połączenia między deskami zasmarowano smołą, tak jak postępuje się z kadłubami statków. Między wysmołowanymi liniami wymalowano ochrą piękne wzory. Miał rzeźbiony ogon i grzywę. Kiedy cofnąłem się, aby objąć wzrokiem głowę, zobaczyłem, że jego oczy zostały wyłożone bursztynem i węglem, wewnątrz nozdrzy pomalowano na czerwono, a zęby widoczne w otwartym pysku były

z kości słoniowej. Jakże był piękny.

Wkrótce przygalopował cały oddział Straży Królewskiej z resztą dworzan.

– Musi być w środku pusty, ojcze, aby utrzymać się na platformie i jej nie zarwać – rzekł Deifobos.

Wskazałem na zad zwierzęcia z naszej strony.

– Jest święty. Widzisz? Sowa, głowa węża, egida, dzida. Należy do Pallas Ateny.

Niektórzy patrzyli z powątpiewaniem. Deifobos i Kapys mrucze­li coś pod nosem, ale inny mój syn, Tymojtes, wpadł w ekscytację.

– Ojcze, masz rację! Symbole przemawiają wyraźniej od języka. To dar Greków w zamian za palladion.

Główny kapłan Apolla, Laokoon, odchrząknął.

– Strzeżcie się Greków, gdy składają podarki! – powiedział.

Kapys zaczął jęczeć.

– Ojcze, to pułapka! Po co Pallas Atena żądałaby wykonania tak morderczej pracy od Greków? Ona kocha Greków. Gdyby nie zgodziła się na kradzież palladionu, Grecy nie mogliby go wykraść! Nigdy nie przeniosła swej sympatii z Greków na nas! To pułapka.

– Opanuj się, Kapysie – rzekłem, rozdrażniony.

– Panie, błagam cię! – nalegał. – Każ otworzyć mu brzuch i zobacz, co zawiera!

– Nie miej nic wspólnego z darami od Greków – powiedział Laokoon, wspierając się na ramionach swych dwóch młodych synów. – To pułapka.

– Zgadzam się z Tymojtesem – powiedziałem. – To ma zastąpić palladion. – Spojrzałem ostro na Kapysa. – Wystarczy, zrozumiałeś?

– W każdym razie – rzekł Deifobos praktycznie – nie miał być wprowadzony za nasze mury. Jest zbyt wysoki, nie przejdzie przez bramę. Jakikolwiek jest jego cel, to nie może być sztuczka. Ma pozostać tu, na tym miejscu, nie zagrażając nam ani nikomu innemu.

– To sztuczka! – zawołali Kapys i Laokoon, prawie równocześnie.

Kłótnia rozwijała się, gdy więcej ludzi gromadziło się wokół tajemniczego konia, by rozważyć i zalewać mnie swoimi opiniami. Aby się od nich uwolnić, jeździłem wokół konia, sprawdzając szczegóły, sondując znaczenie symboli, zachwycając się jakością rzemiosła. Stał dokładnie w połowie między plażą i miastem. Ale skąd się tu wziął? Gdyby zbudowali go Grecy, widzielibyśmy to. Musiał pochodzić od bogini, musiał!

Laokoon wysłał paru żołnierzy Straży Królewskiej, aby przeszukali obóz grecki. Ja nadal krążyłem wokół konia, kiedy pojawili się dwaj strażnicy na czterokołowym wozie z człowiekiem między sobą. Wsiedli obok mnie i pomogli zejść człowiekowi.

Jego ręce i nogi były zakute w kajdany, miał podarte ubranie, potargane włosy i cały był brudny.

Starszy strażnik ukląkł.

– Panie, znaleźliśmy tego człowieka ukrywającego się w jednym z greckich domów. Był, jak teraz go widzisz, w kajdanach. Został niedawno wychłostany, widzisz? Kiedy go przycisnęliśmy, zaczął błagać o życie i prosił, aby go zabrać do króla Troi, bo musi mu coś przekazać.

– Mów, człowieku. Ja jestem królem Troi – rzekłem.

Mężczyzna oblizał wargi, chrząknął, ale nie mógł wydobyć głosu.

Strażnik dał mu wody. Pił chciwie, potem oddał mi pokłon.

– Dzięki ci, panie, za twoją dobroć – powiedział.

– Kim jesteś? – spytał Deifobos.

– Mam na imię Sinon. Jestem Grekiem z Argos, baronem na dworze króla Diomedesa, którego jestem kuzynem. Służyłem jednak w oddziale specjalnym arcykróla Myken przeznaczonym do wyłącznej dyspozycji króla Odyseusza z Wysp Zewnętrznych.

Zachwiał się, strażnik go podtrzymał. Wysiadłem z rydwanu.

– Żołnierzu, posadź go na brzegu twojego wozu, a ja usiądę obok niego.

Ktoś jednak znalazł mi stołek, zatem usiadłem naprzeciw niego.

– Czy tak lepiej, Sinonie?

– Dzięki, panie. Nabrałem sił, by mówić dalej.

– Dlaczego baron z Argos miałby być zakuty w kajdany i obity?

– Ponieważ, panie, zostałem wtajemniczony w spisek, uknuty przez Odyseusza, by pozbyć się króla Palamedesa. Podobno Palamedes zranił Odyseusza w jakiś sposób tuż przed wyruszeniem na ekspedycję do Troi. Powiada się, że Odyseusz potrafi czekać całe życie, żeby znaleźć odpowiedni moment na zemstę. W przypadku Palamedesa czekał prawie osiem lat. Dwa lata temu Palamedes został skazany za poważną zdradę. Odyseusz spreparował oskarżenie i dowód, który potępił Palamedesa.

Nachmurzyłem się.

– Po co jeden Grek miałby konspirować, by doprowadzić drugiego Greka do śmierci? Czyżby byli sąsiadami, rywalizowali o ziemię?

– Nie, panie. Jeden rządzi wyspami na zachód od wyspy Pelopsa, a drugi ważnym portem morskim na wschodnim wybrzeżu. Chodziło o zazdrość, ale o co, nie wiem.

– Rozumiem. Dlaczego zatem znalazłeś się w takim położeniu? Skoro Odyseusz potrafił wymyślić oskarżenie o zdradę przeciw królowi, dlaczego nie zrobił tego wobec ciebie, zwykłego barona?

– Jestem najbliższym kuzynem jednego z potężniejszych królów, panie, tego, którego Odyseusz bardzo kocha. Poza tym opowiedziałem wszystko kapłanowi Zeusa. Dopóki żyję, kapłanowi nie wolno nic powiedzieć. Jeśli jednak umrę, bez względu na to, jak zginę, kapłan zacznie mówić. Ponieważ Odyseusz nie wiedział, który to z kapłanów, czułem, że jestem bezpieczny.

– Zakładam, że kapłan nigdy nie opowiedział historii, ponieważ ty żyjesz? – spytałem.

– Nie, panie, nic podobnego – rzekł Sinon, pijąc wodę. Wyglądał teraz mniej żałośnie. – Czas mijał, Odyseusz nic nie powiedział ani nie zrobił i – no cóż, panie, po prostu o tym zapomniałem! W ostatnich miesiącach w wojsku coraz bardziej narastało zniechęcenie. Po śmierci Achilleasa i Ajaksa Agamemnon stracił nadzieję na to, że kiedykolwiek wejdzie do Troi. Zatem zwołano radę i przeprowadzono głosowanie. Uchwalili, że wracają do Grecji.

– Ta rada odbyła się chyba w połowie lata!

– Tak, panie. Ale flota nie mogła wypłynąć, ponieważ były niekorzystne znaki. W końcu arcykapłan Taltybios znalazł odpowiedź. To Pallas Atena powodowała przeciwne wiatry. Obróciła się przeciw nam po kradzieży palladionu. Zażądała rekompensaty. Potem także Apollo ogłosił swój gniew. Pragnął ofiary z człowieka. Ze mnie! Z imienia! Nie mogłem znaleźć kapłana, któremu się zwierzyłem. Odyseusz wysłał go z misją na Lesbos. Kiedy więc opowiedziałem swoją historię, nikt mi nie uwierzył.

– Zatem król Odyseusz nie wybaczył ci.

– Nie, panie. Oczywiście, że nie. Po prostu czekał na właściwy moment, żeby uderzyć. Wychłostano mnie, zakuto w kajdany i zostawiono tutaj, na twojej łasce. Zaczął wiać Boreasz. W końcu

mogli wypłynąć. Pallas Atena i Apollo zostali obłaskawieni.

Wstałem, rozprostowałem nogi i znowu usiadłem.

– A co z tym drewnianym koniem, Sinonie? Dlaczego jest tutaj? Czy należy do Pallas Ateny?

– Tak, panie. Zażądała, by jej palladion został zastąpiony przez drewnianego konia. Sami go zbudowaliśmy.

– Dlaczego? – spytał Kapys podejrzliwie. – Czemu bogini nie zażądała po prostu, abyście zwrócili palladion?

Sinon spojrzał zdumiony.

– Palladion został zbezczeszczony.

– Kontynuuj – nakazałem.

– Taltybios wyprorokował, że w chwili gdy drewniany koń stanie w murach Troi, ona nigdy nie upadnie. Wróci do niej dawny dobrobyt. Zatem Odyseusz zasugerował, by zbudować konia tak dużego, by się nie zmieścił w bramie. W ten sposób, powiedział, posłuchamy Pallas Ateny, a jednocześnie będziemy pewni, że proroctwo nigdy się nie spełni. Drewniany koń pozostanie pod murami miasta. – Zajęczał, poruszył ramionami, próbując usiąść wygodniej. – Aj! Aj! Pocięli mnie na strzępy!

– Zabierzemy cię i zajmiemy się tobą, Sinonie – uspokoiłem go – ale najpierw muszę wysłuchać całej opowieści.

– Tak, panie, rozumiem. Choć nie wiem, co możecie zrobić. Odyseusz jest sprytny. Koń jest za duży.

– Zobaczymy – rzekłem ponuro. – Kończ.

– Już skończyłem, panie. Odплыnęli, a mnie zostawili tutaj.

– Popłynęli do Grecji?

– Tak, panie. Dzięki wiatrowi, to łatwe.

– Zatem dlaczego – spytał Laokoon, nadal bardzo sceptycznie nastawiony – przyczepiono koła do platformy?

Sinon zamrugnął zdumiony.

– A jak mieliśmy wydostać go z naszego obozu?

Nie można było wątpić w słowa tego człowieka! Jego cierpienie było zbyt prawdziwe. Tak jak ślady po bacie i krańcowe wyczerpanie. A w jego opowieści nie było niespójności.

Deifobos spojrział w górę na potężny tułów konia i westchnął.

– Co za szkoda, ojcze! Gdybyśmy mogli wprowadzić go do środka... – przerwał. – Sinonie – powiedział po chwili – co się stało z palladionem? Zbezczeszczony?

– Kiedy wniesiono go do naszego obozu... Wykradł go Odyseusz...

– Wiadomo! – rzekł Deifobos, przerywając.

– Została umieszczona na swoim ołtarzu – kontynuował Sinon – i zgromadziło się wojsko, aby ją zobaczyć. Kiedy jednak kapłani składali jej ofiary, trzykrotnie ogarniały ją płomienie. Gdy ogień zgasł po raz trzeci, zaczęła ociekać krwią. Wielkie krople pojawiły się na jej drewnianej skórze i toczyły po twarzy, w dół ramion, z kącików oczu, jak gdyby płakała. Ziemia zadrżała i z jasnego nieba spadł piorun w drzewa za Skamandrem – musieliście to widzieć. Biliśmy się w piersi, modliliśmy, nawet sam arcykról. Po czym stwierdziliśmy, że bogini obiecała siostrze Afrodycie przysługę – gdyby drewniany koń znalazł się wewnątrz Troi, wtedy Troja zgromadzi siły świata i podbije Grecję.

– Ha! – sarknął Kapys. – To zbyt wygodne! Ten wspaniały Odyseusz myśli o zrobieniu za dużego konia, a potem odpływa! Na co im tyle kłopotu tylko po to, by odpłynąć? Po co troska o rozmiary konia? I tak popłynęli do domu!

– Ponieważ – odparł Sinon, a jego głos wskazywał, że jego

cierpliwość wyraźnie się kończy – następnej wiosny oni tu wrócą!

– Chyba że... – rzekłem, wstając ze stołka – koń zostanie wprowadzony do miasta.

– Nie można tego dokonać – powiedział Sinon, opierając się o bok wozu i zamykając oczy – jest za duży.

– Można! – zawołałem. – Kapitanie, sprowadźcie liny, łańcuchy, muły, woły i niewolników. Jest wczesny ranek. Jeśli zaczniemy już teraz, wprowadzimy zwierzę, zanim zapadnie ciemność.

– Nie, nie, nie! – zawył Laokoon, a jego twarz stała się maską przerażenia. – Panie, nie! Pozwól mi najpierw zapytać Apolla!

– Idź i rób, co uważasz za słuszne, Laokoonie – rzekłem, odwracając się. – Tymczasem my zaczniemy wypełniać proroctwo.

– Nie! – krzyknął mój syn Kapys.

Ale reszta zawyła:

– Tak!!!

Zajęło to prawie cały dzień. Przywiązaliśmy liny wzmocnione łańcuchami do frontu i boków masywnej platformy z kłód, potem zaprzęgliśmy muły, woły i niewolników. Drewniany koń niemożliwie wolno ruszył drogą.

Bolesna, denerwująca i nadwerężająca cierpliwość harówka. Żaden Grek – żaden człowiek! – nie mógł liczyć na tyle uporu potrzebnego od tego zadania. Na każdym zakręcie cały zaprzęg trzeba było cofać i ruszać do przodu po kilka razy, aby nie wypadł z drogi na trawiasty teren. Koła były przymocowane tylko do platformy, nie było osi na świecie zdolnej utrzymać tak ogromny ciężar.

W południe dociągnęliśmy go przed Bramę Skajską, gdzie sami mogliśmy się przekonać, że głowa wystaje pięć łokci nad zwieńczający ogromną bramę łuk.

– Tymojtesie – rzekłem do mojego rozentuzjasmowanego syna – powiedz strażnikom, aby przynieśli kilofy i młoty. Trzeba zburzyć łuk.

Trwało to bardzo długo. Kamienie położone przez Posejdona Budowniczego Murów nie ulegały łatwo ciosom śmiertelników. Ale kruszyły się po kawałku, aż nad otwartą bramą pojawił się duży otwór. Zaprzęg pociągnął za liny, potężna głowa ruszyła do przodu. Kiedy pysk zbliżał się coraz bardziej, wstrzymałem oddech, potem krzyknąłem ostrzegawczo, ale za późno. Głowa uderzyła o mur. Trzeba było powiększyć otwór i spróbować powtórnie. Znowu się nie zmieścił. Czterokrotnie szacowna głowa uderzała o mur, zanim przestrzeń była wystarczająco szeroka. Wtedy gigantyczne zwierzę zajęczało i wtoczyło się na Plac Skajski. Ha, Odyseuszu! Nie udało ci się!

Aby mieć pewność, postanowiłem, że koń powinien stanąć na wzgórzu, wewnątrz trojańskich źródeł, w cytadeli. Trzeba było podwójnej liczby zwierząt i całej wieczności, choć także lud Troi nie żałował swych ramion, żeby go wtoczyć pod strome zbocze. Brama cytadeli nie ma łuku. Koń przecisnął się przez nią bez przeszkód.

Wciągnęliśmy go na zielony dziedziniec poświęcony Zeusowi. Kafle trzaskały i rozłupywały się pod olbrzymim ciężarem. Koła zapadły się w ziemię pośród kawałków chodnika, ale rekompensata za palladion stała prosto. Żadna siła na ziemi nie mogłaby jej teraz ruszyć. Pokazaliśmy Pallas Atenie, że jesteśmy warci jej miłości i szacunku. Potem wszem i wobec złożyłem publiczną przysięgę, że koń będzie miał odpowiednie warunki i u jego podstawy zostanie wzniesiony ołtarz. Troja była bezpieczna. Król Agamemnon nie wróci na wiosnę z nową armią. A my, kiedy odzyskamy siły, zjednoczymy wojska świata, aby podbić Grecję.

Nagle dobiegł mnie szalony śmiech Kasandry. Biegła od strony kolumnady, z rozrzuconymi rękami i rozpuszczonymi włosami. Jęcząc, zawodząc i wyjąc, upadła, obejmując mnie za kolana.

– Ojczy, weź to stąd! Zabierz to z miasta! Zostaw tam, gdzie było! To zwierzę śmierci!

Był z nią Laokoon, kiwał ponuro głową.

– Panie, znaki nie są dobre. Złożyłem Apollinowi łanię i dwie gołębice, ale on ich nie przyjął. Ta rzecz rzuciła ponury urok na nasze miasto.

– Widziałem to. Ojciec mówi prawdę – rzekł starszy z dwóch jego synów, blady i drżący.

Tymojtes rzucił się naprzód, żeby mnie obronić. Wzrósł też mój własny gniew. Głosy wokoło zaczęły wyrażać obawę.

– Chodź ze mną, panie – rzekł ponaglająco Laokoon. – Chodź do wielkiego ołtarza i sam się przekonaj! Koń jest przeklęty! Porąb go, spal, pozbadź się go!

Popychając synów przed sobą, Laokoon zaczął biec do ołtarza Zeusa, wyprzedzając znacznie moje stare nogi. Nagle podchodząc do marmurowego podwyższenia, wrzasnął. Podobnie krzyknęli jego synowie i skoczyli w bok. Kiedy podszedł do nich jeden z moich strażników, leżeli w bezładnej gromadzie i jęczeli, on obejmował rękami swych zwijających się z bólu synów. Wtedy strażnik szybko się wycofał i odwrócił ku nam przerażoną twarz.

– Panie, nie podchodź tu! – zawołał. – Tu jest gniazdo węży! Pokąsały ich!

Wzniosłem ręce do purpurowego nieboskłonu.

– Ojczy Niebios! Dałeś mi znak! Poraziłeś Laokoona na naszych oczach, ponieważ mówił przeciw ofierze twej córki dla ludu mojego miasta! Koń jest dobry! Koń jest święty! Przepędzi Greków od naszych bram na zawsze!

Skończyło się te dziesięć lat wojny z potężnym wrogiem. Przeżyliśmy i nie straciliśmy miasta. Hellespont i Euxinus znowu były nasze. Cytadela znowu będzie miała złote gwoździe. A my

znowu będziemy się uśmiechać.

Poprowadziłem dworzan do swego pałacu i zarządziłem ucztę. Nasze ostatnie niepokoje rozwiały się. Oddaliśmy się radości jak uwolnieni niewolnicy. Wybuchy śmiechu – pieśni – cymbały – bębny – rogi – trąby – dźwięki płynęły z ulic w górę, do cytadeli. Podobne odgłosy szły z cytadeli w dół. Troja była wolna! Dziesięć lat, dziesięć lat! Troja zwyciężyła! Troja przepędziła Agamemnona ze swych brzegów na zawsze.

Ja zaś największą ulgę czerpałem, patrząc na Eneasza! Nie poszedł zobaczyć konia ani nie wychylił nosa z pałacu podczas całej naszej pracy. Mógł równie dobrze nie przyjść na ucztę, siedział jednak z nami, ze smutną twarzą i zamglonymi oczami. Ja wygrałem, on przegrał. Krew Priama nadal istnieje. Troją będą rządzić moi potomkowie, nie jego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

OPOWIEŚĆ NEOPTOLEMOSA

Zatrzasnęli za nami trap dobrze przed świtem. My, którzy przeżywamy w ciemności każdą noc naszego życia, odkryliśmy teraz, czym jest ciemność prawdziwa. Otwierałem oczy coraz szerzej, by cokolwiek zobaczyć, jednak nadal nic nie widziałem. Nic. Byłem zupełnie ślepy. Tkwiłem w świecie czerni namacalnej i nieprzeniknionej. Dzień i noc zastanawiałem się – czy nam się uda. W końcu dzień i noc zastygły w jednym punkcie, pozbawionym choćby iskielki światła. Ze słońca nie mogliśmy odgadnąć godziny, każda chwila wydawała się nam wiecznością. Słuch doskonale wyczulony sprawiał, że każdy oddech przetaczał się niczym piorun z oddali.

Poczułem ramię Odyseusza. Instynktownie wzdrygnąłem się, zanim zdołałem się powstrzymać. W nosie kręciło mi się od zapachu potu, moczu, nieświeżych oddechów, mimo zakrytych wiader ze skóry, które Odyseusz kazał umieścić przy co trzecim mężczyźnie. Teraz rozumiałem, dlaczego tak na to nalegał. Inaczej siedzielibyśmy w ekskrementach. Stu mężczyzn oślepionych ciemnością – jak można przeżyć całe życie w ślepcie?

Myślałem, że nigdy już niczego nie zobaczę. Czy moje oczy rozpoznają światło albo czy szok wywołany oślepieniem nie pchnie mnie w nieodwracalne ciemności? Moja skóra była napięta. Czulem pełzające wokół mnie przerażenie. Stu najodważniejszych ludzi żywcem zamkniętych porażał śmiertelny strach. Język przylgnął mi do podniebienia. Sięgnąłem po worek z wodą, żeby cokolwiek zrobić.

Mieliśmy powietrze, przemyślnie filtrowane przez labirynt

drobnych dziurek nawierconych w całym ciele i głowie konia. Odyseusz ostrzegał nas, że nie zobaczymy przez nie światła, nawet za dnia, z powodu warstw wyścielającego płótna. W końcu zamknąłem oczy. Bolały tak bardzo od wysiłku, by zobaczyć cokolwiek, że była to prawdziwa ulga. I łatwiej było mi znosić ciemności.

Siedzieliśmy z Odyseuszem, jak wszyscy, plecami do siebie. Nasze plecy były jedynym oparciem, które znajdowało się w tym więzieniu. Pragnąc się rozluźnić, oparłem się mocniej o niego i zacząłem przypominać sobie wszystkie dziewczyny, jakie poznałem. Katalogowałem je metodycznie. Najładniejsze i najbrzydsze; najniższe i najwyższe; pierwsza dziewczyna, z którą spałem, i ostatnia; ta, która śmiała się z mojego niedoświadczenia, i ta, która nie miała nawet siły spojrzeć na mnie po nocy w moich ramionach. Skończywszy z dziewczynami, zacząłem liczyć zwierzęta, które upolowałem: lwy, dziki, jelenie. Wyprawy na ryby w poszukiwaniu wielorybów, lewiatana i dużych węży, choć wszystko, co udało nam się znaleźć, to tuńczyki i okonie. Przywołałem dni nauki z młodymi Myrmidonami. Małe potyczki, jakie staczałem w ich towarzystwie. Moje spotkania z wielkimi ludźmi i tymi mniej znanymi. Wymieniałem oznakowania statków i królów, którzy popłynęli do Troi. Wyszczególniałem nazwy wszystkich miast i wiosek w Tesalii. Śpiewałem w duszy pieśni o herosach. I jakoś ten czas mijał, choć włókł się niemiłosiernie.

Cisza pogłębiła się. Musiałem zasnąć, ponieważ obudziłem się od szarpnięcia i stwierdziłem, że Odyseusz zakrył mi usta dłonią. Leżałem z głową na jego kolanach, z oczami wypadającymi z orbit ze strachu, aż przypomniałem sobie, dlaczego nic nie widzę. Obudził mnie ruch – łagodne kołysanie. Zwinąwszy się, usiadłem, szukając po omacku dłoni Odyseusza, i ścisnąłem ją mocno. Pochylił głowę, poczułem jego włosy na policzku. Znalazłem jego ucho.

– Przesuwają nas?

Poczułem uśmiech na jego twarzy.

– Oczywiście. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że będą chcieli to ruszyć. Dali się nabrać Sinonowi, tak jak przypuszczałem – wyszeptał.

Nagła aktywność przerwała dręczącą inercję naszego uwięzienia. Przez długi czas czuliśmy się lżej, weselej, gdy przechylaliśmy się i kołysaliśmy, próbując domyślić się, z jaką szybkością się posuwamy, i obliczyć, kiedy dotrzemy do bramy. Rozmyślaliśmy, co Priam zamierza zrobić z faktem, że koń jest za duży. Mogliśmy teraz rozmawiać z sobą nie cicho, ale normalnie, pewni, że hałas wywołany przewożeniem nas, wszystko zagłuszy. Słyszeliśmy, że się poruszamy, ale głos ludzi i wołów do nas nie docierał. Jedynie huk i skrzypienie obracających się kół.

Odgadnięcie, kiedy dotarliśmy do Bramy Skajskiej, nie było trudne. Ruch ustał. Zdawało się nam, że tkwimy tu wieczność. Siedzieliśmy cicho, modląc się do wszystkich znanych nam bogów, by Trojanie się nie poddali, by – tak jak zakładał Odyseusz – przystąpili do niszczenia łuku. Potem znowu zaczęliśmy się poruszać. Zatrzymał nas jednak potężny, zgrzytliwy wstrząs, sprawiając, że się poprzewracaliśmy. Leżeliśmy cicho z twarzami przyciśniętymi do podłogi.

– Głupcy! – warknął Odyseusz. – Źle obliczyli.

Po czterech takich wstrząsach zaczęliśmy znowu się toczyć. Kiedy podłoga zmieniła kąt nachylenia, Odyseusz zachichotał.

– Wciągają nas na wzgórze, do cytadeli – rzekł. – Dostarczą nas prosto do pałacu.

Potem znowu wszystko zamarło. Zatrzymaliśmy się z potężnym jękiem, po czym zostawiono nas naszym myślom. Tak olbrzymia rzecz potrzebowała czasu, żeby osiąść, jak lewiatan w błoto, i zastanawiałem się, czy już na dobre się zatrzymaliśmy. Wtedy zaczął docierać do nas zapach kwiatów. Rozważałem, ile czasu zajęło

im dowleczenie konia na wzgórze, ale nie potrafiłem tego odgadnąć. Jeśli nie widzi się słońca, księżyca czy gwiazd, nie można określić przepływu czasu. Zatem oparłem się znowu o plecy Odyseusza i objąłem kolana rękoma. On i ja znajdowaliśmy się dokładnie przy trapie, podczas gdy Diomedes był na drugim końcu, by tam pilnować porządku (powiedziano nam, że jeśli ktoś wpadnie w panikę, trzeba go natychmiast zabić). Cieszyłem się z jego towarzystwa. Odyseusz był jak skała, nieporuszony. Samo opieranie się o jego plecy uspokajało mnie.

Kiedy zacząłem myśleć o swoim ojcu, chwile bieły szybciej. Nie chciałem o nim myśleć, bojąc się bólu. Lecz oczekiwanie przeciągało się i nie mogłem oprzeć się fali wspomnień. Natychmiast pozbyłem się wszelkiego bólu. Gdy otworzyłem swój umysł, by go przyjąć, poczułem go fizycznie w sobie. Znowu byłem małym dzieckiem, a on, olbrzym, wznosił się nad moją głową. Dla małego chłopca był bogiem i herosem jednocześnie. Był taki piękny. Taki niepokojący, z tymi ustami bez warg. Nadal mam bliznę po tym, jak próbowałem odciąć sobie wargi, by bardziej być do niego podobny. Przyłapał mnie na tym dziadek Peleus i mocno wychłostał za bezbożność. Nie możesz być taki sam, jak ktoś inny, powiedział. Ty jesteś sobą. Z wargami czy bez. O, jakże modliłem się, by wojna z Troją trwała wystarczająco długo, bym i ja mógł na nią pójść i walczyć u jego boku! Od kiedy skończyłem czternaście lat i uznałem się za mężczyznę, błagałem obu dziadków, Peleusa i Likomedesa, by pozwolili mi pozełgować do Troi. Ale nie zgadzali się.

Aż któregoś dnia do mojego pokoju w pałacu w Jolkos wszedł Peleus z szarą twarzą umierającego człowieka i pozwolił mi popłynąć. Po prostu mnie odesłał. Nie wspomniał o wiadomości od Odyseusza, że dni Achillesa są policzone.

Nigdy nie zapomnę tej pieśni, którą minstrel śpiewał dla Agamemnona i królów. Nie zauważony stałem w drzwiach i spijałem ją, delektując się jego wyczynami. Potem harfiarz zaśpiewał o jego

śmierci, o jego matce i wyborze, jaki mu dała, o tym, że dla niego nie był to żaden wybór: długie życie w bogactwie i gnuśności albo rychła śmierć w chwale. Śmierć. Nigdy nie łączyłem jej ze swoim ojcem, z Achillesem. Dla mnie on był ponad śmiercią. Żadna ręka nie mogła go powalić. Ale Achilles był śmiertelnikiem i umarł. Umarł, zanim zdążyłem go zobaczyć, ucałować. Dzisiaj nie musiałby mnie unosić w górę. Ludzie mi mówią, że jestem prawie jego wzrostu.

Odyseusz rozumiał o wiele więcej niż reszta i powiedział mi tyle, ile wiedział albo się domyślał. Potem opowiedział mi o spisku, nikogo nie oszczędzając – a najmniej siebie – i wyjaśnił, dlaczego ojciec pokłócił się z Agamemnonem i odmówił mu pomocy. Zastanawiałem się, czy ja miałbym dość siły i rozsądku, by spokojnie przyglądać się, jak na zawsze ginie moja reputacja, tak jak postąpił mój ojciec. Z bolącym sercem złożyłem Odyseuszowi przysięgę milczenia. Jakiś wewnętrzny zmysł mówił mi, że ojciec chce, by sprawy tak zostały. Odyseusz sądził, że miała to być pokuta z powodu jakiegoś wielkiego grzechu, który – jak sądził – ojciec popełnił.

Jednak nawet w tych nieprzeniknionych ciemnościach nie mogłem nad nim płakać. Moje oczy były suche. Parys nie żył, ale gdybym mógł zabić Priama za Achilleśa, może mógłbym zapłakać.

Znowu się zdrzemnąłem. Obudził mnie dźwięk otwieranego trapu. Odyseusz ruszył jak błyskawica, ale nie był dość szybki. Słabe, zamglone światło przedostające się przez otwór w podłodze ukazało splątane razem dwie pary nóg. Dobięgl nas odgłos niemej szamotaniny, potem jedna para nóg osłabła. Poczułem, jak jakieś ciało spada na ziemię, z dołu doszedł głuchy odgłos. Ktoś z wnętrza konia nie mógł już dłużej znieść swego uwięzienia. Kiedy Sinon z zewnątrz pociągnął dźwignię, która otwierała trap zapadni, niespodziewanie jeden z nas postanowił uciec w noc.

Odyseusz stał, patrząc w dół, potem rozwinął sznurkową drabinkę. Zbliżyłem się do niego. Nasze zbroje znajdowały się

zwinięte w tobołki w głowie konia, a my mieliśmy dokładnie ustalony porządek wychodzenia. Podchodząc w rzędzie do zapadni, każdy człowiek natrafiał dokładnie na swój pakunek.

– Wiem, kto spadł – rzekł do mnie Odyseusz – zatem wezmę swoją zbroję, poczekam na jego kolej i zabiorę tę, która należała do niego. Inaczej ludzie nie dostaną właściwych tobołków.

W ten sposób ja pierwszy znalazłem się na stałym lądzie, tylko że nie był on w ogóle stały. Jak człowiek ogłuszony ciosem stałem na oszałamiającej, pachnącej miękkości – dywanie jesiennych kwiatów.

Kiedy wszyscy byliśmy już na dole, Odyseusz i Diomedes podeszli do Sinona, by się z nim przywitać i uściskać. Sprytny Sinon był kuzynem Odyseusza. Nie widziałem go przed wejściem do konia i teraz byłem zdumiony jego wyglądem. Nic dziwnego, że Trojanie dali się nabrać! Chory, wychudzony, krwawiący i brudny. Nie widziałem nigdy niewolnika gorzej potraktowanego. Po wszystkim Odyseusz wyjaśnił mi, że Sinon dobrowolnie głodził się przez dwa księżyce, aby tak wyglądać. Uśmiechał się od ucha do ucha. Podeszedłem do nich.

– Priam połknął całą opowieść, kuzynie! Bogowie byli po naszej stronie – znak, jaki posłał Zeus, był straszny. Laokoon i jego dwaj synowie zginęli, wchodząc na gniazdo węży. Wyobrażacie sobie! Nic lepszego nie mogło się zdarzyć.

– Czy zostawili Bramę Skajską otwartą? – spytał Odyseusz.

– Oczywiście. Całe miasto jest pogrążone w pijackim śnie. Porządnie świętowali! Kiedy zaczęły się uroczystości w pałacu, wszyscy zapomnieli o biednej ofierze z obozu Greków. Nie miałem więc żadnych trudności, żeby wyślizgnąć się na cypel ponad Sigios i rozpalić sygnalizacyjne ognisko dla Agamemnona. Na mój ogień otrzymałem natychmiast odpowiedź ze wzgórz Tenedos. Arcykról powinien teraz wpływać do Sigios.

Odyseusz znowu go uściskał.

– Wspaniale się spisałeś, Sinonie. Bądź pewien, że otrzymasz nagrodę.

– Wiem o tym. – Przerwał na chwilę, potem sapnął zadowolony.
– Wiesz, kuzynie, myślę, że zrobiłbym to nawet bez nagrody.

Odyseusz posłał pięćdziesięciu ludzi do Bramy Skajskiej. Mieli dopilnować, żeby Trojanie jej nie zamknęli, zanim nie wejdzie Agamemnon. Reszta stała uzbrojona i gotowa, obserwując wschód słońca i delikatne złote smugi nad wysokim murem wokół wielkiego dziedzińca, wdychając poranne powietrze i zapach kwiatów pod stopami.

– Kto wypadł z konia? – spytałem Odyseusza.

– Echion, syn Proteusza – odparł krótko, wyraźnie myśląc o czymś innym. Potem zamruczał i poruszył się niespokojnie, zupełnie nie jak Odyseusz. – Agamemnonie, Agamemnonie, gdzie jesteś? – spytał na głos. – Powinieneś już tu być.

W tej chwili poranne niebo rozdarł dźwięk pojedynczego rogu. Agamemnon stał pod Bramą Skajską, a my mogliśmy ruszać.

Rozdzieliliśmy się. Odyseusz, Diomedes, Menelaos, Automedon, ja oraz kilku innych pobiegliśmy najciszej, jak potrafiliśmy, pod kolumnadą, a potem skręciliśmy w wysoki i szeroki korytarz, który prowadził do części pałacowego kompleksu, która należała do Priama. Tam Odyseusz, Menelaos i Diomedes zostawili mnie, skręcając bocznym przejściem w labirynt, ku pokojom Heleny i Deifobosa.

Wysoki, pojedynczy i długi krzyk rozdarł ciszę i rozległ się nad Troją. Korytarze pałacowe zaludniły się mężczyznami z mieczami w dłoniach, nagimi po wyjściu z łóżek, oślepienymi i oszołomionymi od nadmiaru wina.

To dawało nam olbrzymią przewagę – odparowywaliśmy niezdarne pchnięcia, zadając łatwe ciosy. Kobiety wyły i piszczwały.

Marmurowe kafle pod naszymi stopami były śliskie od krwi – nie mieli żadnych szans. Niewielu zdawało sobie sprawę z tego, co się naprawdę stało. Niektórzy rozpoznawali we mnie Achillesa w jego zbroi i uciekali, krzycząc, że cień Achillesa prowadzi cienie zmarłych do walki.

Z żądzą mordy w sercu nie oszczędzałem nikogo. Kiedy pojawili się strażnicy, opór się wzmocnił. W końcu mogliśmy trochę powalczyć, choć nie tak, jak na polu bitwy. Kobiety wprowadzały dodatkowy chaos i panikę, uniemożliwiając mężczyznom jakąkolwiek obronę. Za mną szli inni żołnierze, którzy przybyli tu we wnętrzu konia. Chcąc znaleźć Priama, zostawiłem ich, by dokończyli rzezi. Tylko Priam mógł odplacić śmierć Achillesa.

Kochali go, tego swojego głupiego króla. Ci, którzy obudzili się z dość jasną głową, zapinali zbroje i biegli określonymi drogami, by go bronić. Na drodze stanął mi mur uzbrojonych mężczyzn z dzidami postawionymi jak lance. Wyraz ich twarzy powiedział mi, że zginą za niego. Dogonił mnie Automedon z kilkoma innymi. Przez chwilę stałem nieruchomo, zastanawiając się, co robić. Z postawionymi dzidami czekali na mój ruch. Przeniosłem tarczę do przodu i spojrzałem nad ramieniem.

– Brać ich!

Skoczyłem tak szybko, że człowiek stojący na wprost mnie instynktownie cofnął się, łamiąc ich linię obrony. Z tarczą, niczym murem, spadłem wprost na nich. Nie mogli wytrzymać ciężaru człowieka i zbroi. Ich szyk załamał się, a dzidy stały się bezużyteczne. Zacząłem kręcić toporem. Jeden stracił ramię, inny pół klatki piersiowej, trzeci czubek głowy. Wycinałem ich niczym młode drzewka. Mój wzrost i zasięg ramion stanowił ogromną przewagę w walce wręcz. Stałem i ciałem.

Zakrwawiony od stóp do głowy, przeszedłem nad ciałami i znalazłem się pod kolumnadą biegnącą wokół małego dziedzińca. Na jego środku stał ocieniony wielkim, gęstym drzewem laurowym

ołtarz, do którego prowadziło kilka stopni.

Na samej górze przykucnął król Troi, Priam. Jego biała głowa i włosy błyszcząły srebrem w słabym świetle. Kościste ciało okrywała płócienna koszula nocna.

Zawołałem do niego z miejsca, w którym stałem, z toporem zwisającym u mojego boku.

– Weź miecz, Priamie, i giń!

Ale on patrzył w górę pustym wzrokiem, wodniste oczy były pełne łez, o niczym nie wiedział i o nic nie dbał. Powietrze wypełniała wrzawa śmierci i jęków o litość. Dym zaczął już wznosić się ku niebu. Wokół niego umierała Troja, a on siedział na granicy szaleństwa u stóp ołtarza Apolla. Przypuszczam, że nigdy nie domyślił się, iż wyszliśmy z konia, bóg tego mu oszczędził. Rozumiał tylko, że dalsze życie nie ma już dla niego sensu.

Obok niego przykucnęła stara kobieta, przywierając do jego ramienia. Wyła bez przerwy jak stara suka, a nie ludzka istota. Przy stole ołtarza stała tyłem do mnie młoda kobieta, z masą kręconych włosów, z rękami płasko opartymi na stole i głową wzniesioną w modlitwie.

Kolejni ludzie przybyli, by bronić Priama. Przyjąłem ich atak lekceważąco. Niektórzy nosili insygnia synów Priama, które pobudziły mnie do walki. Zabiłem wszystkich, aż został jeden, bardzo młody – Ilios? Jakie to ma znaczenie kto? Kiedy próbował mnie zaatakować mieczem, z łatwością mu go wytrąciłem, potem chwyciłem go za długie luźne włosy lewą ręką, zostawiając tarczę. Walczył, walił pięściami w moje nagolenniki, nawet wtedy, gdy przewróciłem go na plecy i ciągnąłem do podnóża ołtarza. Priam i Hekabe przywarli do siebie. Młoda kobieta nie odwróciła się.

– Oto twój ostatni syn, Priamie! Patrz, jak umiera!

Postawiłem piętę na jego młodej piersi, pociągnąłem za rękę,

unosząc go za ramiona nad ziemię, a potem odciąłem mu głowę ostrzem topora. Nagle Priam jakby mnie zauważył po raz pierwszy. Skoczył na nogi. Utkwiwszy wzrok w ostatnim ze swych synów, sięgnął po dzidę opartą o bok ołtarza, żona próbowała go powstrzymać, wyjąc jak wilczyca.

Nie udało mu się nawet zejść ze schodów. Potknął się i spadł do moich stóp, chowając twarz w ramionach. Jego kark był wystawiony na cios topora. Stara kobieta objęła go za uda. Młoda w końcu odwróciła się, ale nie patrzyła na mnie, tylko na króla, a jej twarz wypełniało współczucie. Spadł topór. Obliczyłem cios, nie mogło być pomyłki. Topór o podwójnym ostrzu przeciął powietrze niczym wstęga i w tej podniosłej chwili poczułem w sobie kapłana, który żyje w sercach wszystkich mężczyzn urodzonych, by zostać królami. Topór mojego ojca wykonał cios doskonale. Szyja Priama ziała otworem pod srebrnymi włosami, ostrze przeszło na wylot i zatrzymało się na kaflach. Głowa podskoczyła wysoko. Troja nie żyła. Jej król padł martwy tak, jak ginęli królowie w czasach starej religii – z głową ściętą przez topór. Odwróciłem się, by stwierdzić, że na dziedzińcu znajdują się sami Grecy.

– Znajdź pokój, który możesz zamknąć – rzekłem do Automedona – a potem wróć i schowaj w nim obie kobiety.

Zszedłem ze stopni ołtarza.

– Twój król nie żyje – rzekłem do młodej kobiety, prawdziwej piękności. – Ty jesteś moim łupem. Jak masz na imię?

– Andromacha z Cylicji, wdowa po Hektorze – odparła spokojnie.

– Zajmij się więc swoją matką, jak możesz. Wkrótce wyruszamy.

– Pozwól mi pójść do mojego syna – rzekła opanowanym głosem.

Pokręciłem głową.

– To niemożliwe.

– Proszę – nalegała, nadal bardzo spokojna.

Resztki mojego gniewu odpłynęły. Żal mi się jej zrobiło. Agamemnon nie pozwoli, aby chłopiec przeżył. Rozkazał całkowicie zniszczyć dom Priama. Zanim zdążyłem po raz drugi jej odmówić, wrócił Automedon. Obie kobiety, jedna ciągle wyjąc, a druga cicho nalegając na widzenie z synem, zostały odprowadzone. Ja również opuściłem dziedziniec i zacząłem badać labirynt korytarzy, otwierając wszystkie drzwi i zaglądając do pokoi w poszukiwaniu Trojan. Nie znalazłem jednak żadnego, aż dotarłem na drugi koniec i otworzyłem kolejne drzwi.

Tam, w łóżku, śpiąc spokojnie, leżał duży, potężnie zbudowany mężczyzna. Przystojny, na tyle ciemny, że mógł być synem Priama, ale nie był do niego podobny. Wszedłem cicho i stanąłem, przykładając mu topór do gardła. Potem szarpnąłem go gwałtownie za ramię. Najwyraźniej pijany mruknął coś, ale w chwili, gdy jego wzrok padł na zbroję Achillesa, nagle otrzeźwiał. Tylko topór na gardle powstrzymał go przed skokiem po miecz. Patrzył na mnie gniewnie.

– Kim jesteś? – spytałem, uśmiechając się.

– Eneasz z Dardanii.

– No, no! Odtąd jesteś moim więźniem. Jeśli twoi ludzie z Dardanii nadal cię szanują, zapłacą królewski okup, o który zamierzam ich prosić. A wtedy może jeszcze będziesz wolnym człowiekiem. To nagroda za to, że... byłeś czasami dla nas miły podczas bitwy.

Jego twarz rozświetliła radość.

– Zatem zostanę królem Troi!

Roześmiałem się.

– Kiedy twój okup zostanie zebrany, Eneasz, Troi już nie będzie. Mamy zamiar roznieść to miejsce na kawałki, a jego lud posłać do niewoli. Po równinie będą chodzić tylko cienie. Sądzę, że postąpisz rozsądniej, przenosząc się gdzie indziej. – Odsunąłem topór. – Wstawaj. Nago i w łańcuchach pójdiesz za moim rydwanem.

Warknął niezadowolony, ale wykonał, co mu kazałem, nie sprawiając żadnych kłopotów.

Któryś z Myrmidonów przyprowadził mój rydwan przez płonące i walące się ulice Troi. Znalazłem kilka kawałków sznura, wyprowadziłem obie kobiety z więzienia i mocno je związałem. Eneasz dobrowolnie wyciągnął nadgarstki. Całą trójkę kazałem Automedonowi wywieźć z cytadeli na plac Skajski. Trwała rzeź – to nie było zadanie dla syna Achillesa. Ktoś przyczepił bezgłowe ciało Priama do tyłu wozu, jak niegdyś było przytroczone ciało Hektora. Ślizgało się po kamieniach pod nogami trójki więźniów. Głowę Priama zatknęto na Stary Pelion, siwe włosy i broda ociekały krwią, czarne oczy szeroko otwarte, utkwione w obrazie śmierci i zniszczenia, patrzyły niewidząco na płonące domy i splątane ciała. Małe dzieci na próżno wołały swoje matki. Kobiety biegały szaleńczo, szukając dzieci, albo uciekały przed gwałcącymi i mordującymi żołnierzami.

Nic nie mogło ich powstrzymać. W dniu tryumfu folgowali sobie za całe dziesięć lat tęsknoty, bezdomności i wygnania, za zmarłych towarzyszy i niewierne żony, nienawidząc wszystkich Trojan i tego, co trojańskie. Buszowali po zadymionych ulicach niczym dzikie zwierzęta. Nigdzie nie widziałem Agamemnona. Być może moja chęć opuszczenia miasta w pośpiechu brała się częściowo z tego, że nie chciałem spotkać się z nim w tym dniu zagłady. To było jego zwycięstwo.

Tuż za cytadela, z bocznej uliczki wyłonił się Odyseusz, machając radośnie ręką.

– Już idziesz, Neoptolemosie?

Skinałem głową zniechęcony.

– Tak, najszybciej jak się da. Teraz, kiedy minął mój gniew, żołądek zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa.

Wskazał na głowę.

– Widzę, że znalazłeś Priama.

– Tak.

– A kogo my tu jeszcze mamy? – Przyjrzał się moim więźniom i z przesadną pompą złożył ukłon przed Eneaszem. – A więc wziąłeś Eneasza żywcem? Jestem pewien, że sprawił ci w tym niemało kłopotu.

Rzuciłem Dardaninowi szydercze spojrzenie.

– Przespał całą sprawę jak dziecko. Znalazłem go w łóżku, nagiego, jak go matka stworzyła, chrapał.

Odyseusz ryknął śmiechem. Eneasz zeszywniał z wściekłości. Napiął mięśnie, jakby chciał się pozbyć więzów. Nagle uświadomiłem sobie, że wybrałem dla Eneasza najbardziej niewygodny los. Był zbyt dumny, żeby przełknąć takie szyderstwo. W chwili gdy go obudziłem, myślał jedynie o tronie Troi. Teraz zaczynał rozumieć, że jego niewola będzie oznaczała obrazę, kpiny, nie kończące przypominanie, jak znaleziono go pijanego, podczas gdy reszta walczyła.

Odwiązałem starą Hekabe i pchnąłem naprzód. Potem włożyłem koniec sznura w rękę Odyseuszowi.

– Szczególny dar dla ciebie. Oczywiście wiesz, że to Hekabe. Weź ją i daj Penelopie jako służącą. Doda świetności twojej skalistej wyspie.

Zamrugął zdumiony.

– Nie ma potrzeby, Neoptolemosie.

– Chcę, żebyś ty ją miał, Odyseuszu. Gdybym chciał ją zatrzymać, Agamemnon i tak mi ją odbierze. Ale nie ośmieli się zażądać jej od ciebie. Niech także inne domy, a nie tylko Atreusza, szczycą się trojańskim łupem tak wysokiej rangi.

– A co z tą młodszą? Wiesz, że to Andromacha?

– Tak, ale ona mi się należy z prawa. – Pochyliłem się, aby wyszeptać mu do ucha. – Chce się zobaczyć ze swoim synem, ale wiem, że to niemożliwe. Co się stało z synem Hektora?

Przez chwilę w jego oczach widziałem chłód.

– Astyanaks nie żyje. Nie wolno mu było żyć. Sam go znalazłem i zrzuciłem z wieży cytadeli. Synowie, wnuki, prawnuki – wszyscy musieli zginąć.

Zmieniłem temat.

– Znalazłeś Helenę?

Jego chłód zniknął w wybuchu śmiechu.

– Oczywiście, że tak!

– Jak zginęła?

– Helena zginęła? Helena? Chłopcze, ona urodziła się, żeby dożyć późnej starości i umrzeć spokojnie w swoim łóżu, otoczona oplakującymi ją dziećmi i sługami. Czy mogłeś sobie wyobrazić Menelaosa zabijającego ją? Albo pozwalającego, by zrobił to Agamemnon? Bogowie, on kocha ją bardziej niż samego siebie!

Uspokoił się, choć nadal chichotał.

– Znaleźliśmy ją w jej apartamentach, otoczoną przez mały oddział straży, z Deifobosem gotowym zabić pierwszego Greka, jakiego ujrzy. Menelaos był jak oszalały byk! Ruszył sam na Trojan i rozniósł ich w mgnieniu oka! Diomedes i ja byliśmy tylko widzami.

Rozprawił się z wszystkimi, z wyjątkiem Deifobosa. Zaczęli przygotowywać się do pojedynku. Helena stała z jednej strony z przechyloną na bok głową, z piersiami na wierzchu i oczami jak zielone słońca. Piękna jak Afrodyta! Neoptolemosie, mówię ci, że nigdy na świecie nie było kobiety godnej trzymać jej lampy! Menelaos stał gotowy, ale pojedynku nie było. Helena zadziałała pierwsza, wbijając Deifobosowi sztylet między łopatki. Potem upadła na kolana. Z piersiami na wierzchu. „Zabij mnie, Menelaosie!”, wołała. „Nie zasługuję, by żyć! Zabij mnie od razu!” Oczywiście on tego nie zrobił. Spojrzał tylko na jej piersi i na tym był koniec. Wyszli z pokoju objęci, nie patrząc w ogóle w naszym kierunku.

Musiałem także się roześmiać.

– O ironio! Pomyśleć, że tyle narodów walczyło przez dziesięć całych lat, myśląc, że ujrzą Helenę martwą, tylko po to, żeby w końcu ona wróciła bezpiecznie z powrotem do Amyklaju jako wolna kobieta i – nadal królowa!

– No cóż, śmierć rzadko zjawia się tam, gdzie się jej spodziewamy – rzekł Odyseusz. Jego ramiona opadły i po raz pierwszy zobaczyłem, że zbliżał się do czterdziestki, że czuł już swój wiek i ciążyło mu wygnanie, że mimo całej miłości do intryg, pragnął jedynie znaleźć się znowu w domu. Pozdrowił mnie i odszedł, ciągnąc za sobą wyjąca Hakabe, po chwili zniknął w alejce. Skinąłem na Automedona i ruszyliśmy do Bramy Skajskiej.

Zapręg jechał wolno drogą prowadzącą na plażę. Eneasz i Andromacha szli za nami, a ciało Priama podskakiwało między ich nogami. Za wałami minąłem obozowisko Myrmidonów, przejechałem w bród Skamander i skierowałem się ścieżką ku grobowcom.

Kiedy konie nie mogły iść dalej, odwiązałem Priama od rydwanu, chwyciłem ciało za koniec szaty i zaciągnąłem do grobowca mojego ojca. Ustawiłem Priama w pozie kłęczącego błagalnika i wbiłem Stary Pelion z głową w ziemię, usypując u dołu mały kopiec z kamieni. Potem odwróciłem się, by spojrzeć na Troję

ponad równiną. Patrzyłem długo na jej domy trawione przez płomienie na tle mrocznego nieba, na bramy otwarte niczym usta trupa, aż szarość zmieniła się w mrok spowijający ziemię. I wtedy, wreszcie, zapłakałem.

Próbowałem sobie wyobrazić go wchodzącego do Troi. Wokół jednak było tyle krwi i szaleństwa śmierci. Przecież pamiętałem go tylko w jeden sposób, złotą skórę błyszczącą od olejku po kąpieli, żółte oczy, patrzące ciepło na mnie, jego małego synka.

Nie dbając o to, że ktoś mnie zobaczy płaczącego, wróciłem do rydwanu i stanąłem obok Automedona.

– Z powrotem na okręty, przyjacielu mojego ojca. Wracamy do domu – rzekłem.

– Do domu! – powtórzył z westchnieniem wierny Automedon, który wyruszył z Aulidy z Achillesem. – Do domu!

Troja za nami płonęła, ale nasze oczy widziały tylko tańczące na ciemnoczerwonym niebie iskierki słońca, wzywające nas do domu.

DALSZE LOSY NIEKTÓRYCH BOHATERÓW

AGAMEMNON wrócił do Myken zupełnie nieświadomy, że jego żona Klitajmestra przejęła tron i wyszła za Egista. Przywitawszy łaskawie Agamemnona, nakłoniła go, by wziął kąpiel. Podczas gdy on pluskał się szczęśliwy, ona wzięła święty topór i zamordowała go. Potem zabiła jego konkubinę, prorokinię Kasandrę. Orestes, syn Agamemnona i Klitajmestry, został wyprowadzony potajemnie z Myken przez starszą siostrę Elektrę, która obawiała się, że Egist zabije chłopca. Dorósłszy, Orestes pomścił ojca, zabijając matkę i jej kochanka. Znalazł się wtedy w sytuacji bez wyjścia – bogowie zażądali zemsty za ojca, skazując Orestesa na matkobójstwo. Oszalał.

ANDROMACHA, wdowa po Hektorze, dostała się jako łup Neoptolemosowi. Aż do śmierci była albo jego żoną, albo kochanką i urodziła mu dwóch synów.

ANTENOR, razem ze swoją żoną Teano i dziećmi, po upadku Troi został puszczony wolno. Osiedlił się w Tracji – albo, jak powiadają niektórzy, w Cyrenajce w północnej Afryce.

ASKANIUSZ, syn Eneasza z trojańskiej księżniczki Kreuzy, został w Azji Mniejszej po tym, jak jego ojciec poszedł z Neoptolemosem. W końcu zasiadł na tronie Troi, choć już nie tak potężnej.

DIOMEDES zmylił kurs i rozbił się na wybrzeżu Lieji w Azji Mniejszej, ale przeżył. W końcu dotarł do Argos, ale tylko po to, by się dowiedzieć, że jego żona dopuściła się cudzołóstwa i objęła tron wraz ze swym kochankiem. Diomedes został pokonany i wygnany na Korynt, potem stoczył wojnę w Etolii. Ale nie mógł nigdzie znaleźć sobie miejsca. Jego ostatni dom znajdował się w mieście Luceria w Apulii, w Italii.

ENEASZ według tradycji łacińskiej miał uciec z płonącej Troi ze swym starym ojcem na plecach i palladionem Ateny pod pachą. Wsiadł na okręt i pożegłował do Kartaginy w północnej Afryce, gdzie królowa Dydona beznadziejnie się w nim zakochała. Kiedy odpłynął, ona popełniła samobójstwo. Wtedy Eneasza przybił na dobre do środkowej Italii, stoczył wojnę i osiedlił się tam. Jego syn Julus z łacińskiej księżniczki Lawinii został królem Alba Longa i przodkiem Juliusza Cezara. Jednakże tradycja grecka temu wszystkiemu zaprzecza. Głosi, że Eneasza został wzięty jako łup przez syna Achillesa, Neoptolemosa, który zażądał za niego od Dardan okupu. Uwolniony osiadł w Tracji.

FILOKTET został wypędzony ze swego królestwa Hestajotis i postanowił wyemigrować do miasta Kroton w Lukańskiej Italii. Zabrał z sobą łuk i strzały należące niegdyś do Heraklesa.

HEKABE towarzyszyła Odyseuszowi, którego była łupem, do Chersonesse w Tracji (przylądek Kynossema?). Jej ustawiczne wycie tak bardzo go przerażało, że zostawił ją tam nad brzegiem morza. Litując się nad nią, bogowie zmienili ją w czarną sukę.

HELENA uczestniczyła w dalszych przygodach Menelaosa.

IDOMENEUSZ miał ten sam problem, co Agamemnon i Diomedes. Jego żona objęła tron Krety i dzieliła go ze swym kochankiem, który wypędził Idomeneusza. Wtedy on osiedlił się w Kalabrii, w Italii.

KASANDRA, prorokini, w młodości odrzuciła zaloty Apolla, za co on rzucił na nią klątwę. Miała zawsze prorokować prawdę, w którą nikt nie chciał wierzyć. Najpierw była łupem Małego Ajaksa, ale została mu zabrana, kiedy Odyseusz przysiągł, że tamten zgwałcił ją na ołtarzu Ateny. Agamemnon zażądał jej dla siebie i zabrał z sobą do Myken. Choć ona ciągle mówiła mu, że czeka tam na nich śmierć, Agamemnon nie zwracał na to uwagi. Klątwa Apolla nadal działała. W Mykenach zamordowała ją Klitajmestra.

MAŁY AJAKS, wracając do Grecji, rozbił się na rafie i utonął.

MENELAOS podczas powrotnej żeglugi prawdopodobnie zmylił kurs. Wylądował w Egipcie. W tym rejonie wraz z Heleną odwiedził wiele krajów, pozostając tam osiem lat. W końcu dotarł do Lakonii, i to w tym samym dniu, kiedy Orestes zabił Klitajmestrę. Menelaos z Heleną zarządzili Lakonią i położyli fundamenty przyszłego państwa Sparty.

MENESTENES nie wrócił do Aten. W drodze do domu jako swoje nowe królestwo obrał wyspę Melos i tam władał.

NEOPTOLEMOS odziedziczył tron Jolkos po Peleusie, ale po konflikcie z synami Askatosa opuścił Tesalię, aby żyć w Dodonie

w Epirze. Został zabity po tym, jak ograbił świątynię Pytii w Delfach.

NESTOR wrócił na Pylos szybko i bezpiecznie. Resztę swego bardzo długiego życia spędził, władając Pylos, w pokoju i dobrobycie.

ODYSEUSZ, jak przepowiedziała jego domowa wyrocznia, miał nie zobaczyć Itaki przez dwadzieścia lat. Po opuszczeniu Troi błąkał się po Morzu Śródziemnym i przeżył wiele przygód z syrenami, czarownicami i potworami. Kiedy wreszcie dotarł do Itaki, zastał w swoim pałacu licznych zalotników Penelopy, pragnących zawładnąć tronem poprzez ślub z królową. Udało się jej uniknąć tego losu. Nalegała, że nie może wyjść powtórnie za męża, dopóki nie skończy tkać dla siebie całunu. W nocy pruć to, co utkała za dnia. Z pomocą swego syna Telemacha Odyseusz zabił zalotników. Potem żył szczęśliwie z Penelopą.

POSŁOWIE AUTORKI

Wiele jest źródeł przekazujących opowieść o Troi. *Iliada* Homera jest tylko jednym z nich. Opowiada o wydarzeniach z pięćdziesięciu dni wojny, która trwała, z czym zgadzają się wszystkie źródła, dziesięć lat. Drugi poemat epicki przypisywany Homerowi, *Odyseja*, również dostarcza wielu informacji na temat wojny i tych, którzy brali w niej udział. Inne źródła są często fragmentaryczne, jak na przykład Eurypidesa, Pindara, Hyginusa, Hezjoda, Wirgiliusza, Apollodorosa z Aten, Tzetesa, Diodora Sycylijszyka, Dionizjusza z Halikarnasu, Sofoklesa, Herodota i innych.

Datę najważniejszej bitwy o Troję (było ich kilka) generalnie wyznacza się na rok 1184 przed Chrystusem. Był to czas wielkich przemian na wschodnim krańcu Morza Śródziemnego, przypisywanych zarówno naturalnym katastrofom, jak trzęsienia ziemi, jak i migracjom nowych ludów do tego obszaru oraz ruchom ludów tubylczych. Plemiona z obszaru naddunajskiego były spychane na południe do Macedonii i Tracji, a ludy Grecji kolonizowały wybrzeża współczesnej Turcji nad Morzem Egejskim i Czarnym. Te zmiany były wynikiem wcześniejszych migracji i poprzedzały następne. Miały się utrzymywać aż do czasów stosunkowo niedawnych. Dały początek wielu z najbogatszych tradycji nieodłącznych z historią Europy, Azji Mniejszej i basenu Morza Śródziemnego.

Dowodów archeologicznych dostarczyły odkrycia Heinricha Schliemanna w Hisserlik w Turcji i sir Arthura Evansa w Knossos na Krecie. To, że stoczono wojnę między achajskimi Grekami a mieszkańcami Troi (zwanej także Ilionem), jest prawie pewne. Z wielkim prawdopodobieństwem dotyczyła ona kontroli nad

Dardanelami, najważniejszą cieśniną łączącą Morze Czarne (Euxinus) z Morzem Śródziemnym (Egejskim). Z kontrolą nad Dardanelami (Hellespont) wiązał się monopol na handel między tymi dwoma wodnymi basenami. Bez niektórych dóbr trudno się było obyć, jak na przykład bez cyny nieodzownej wraz z miedzią do wytopu brązu.

Choć korzeniem tej wojny był handel, gospodarka i konieczność życiowa, trudno byłoby pozbawić tę opowieść bardziej legendarnych ornamentów, jak Helena i koń trojański.

W większości postacie noszą grecką formę imion. Niektórzy jak Helena i Priam, tak głęboko weszli w kulturę anglojęzyczną, że wolałam im zostawić ich angielskie imiona. Kilka postaci jest dzisiaj lepiej znanych w ich łacińskich formach, jak Herkules (Herakles), Wenus (Afrodyta), Jupiter (Zeus), Eneasza (Aineias), Patroklos (Patrokles), Ulises (Odyszeusz), Hekuba (Hekabe), Wulkan (Hefajstos) i Mars (Ares).